RZYM

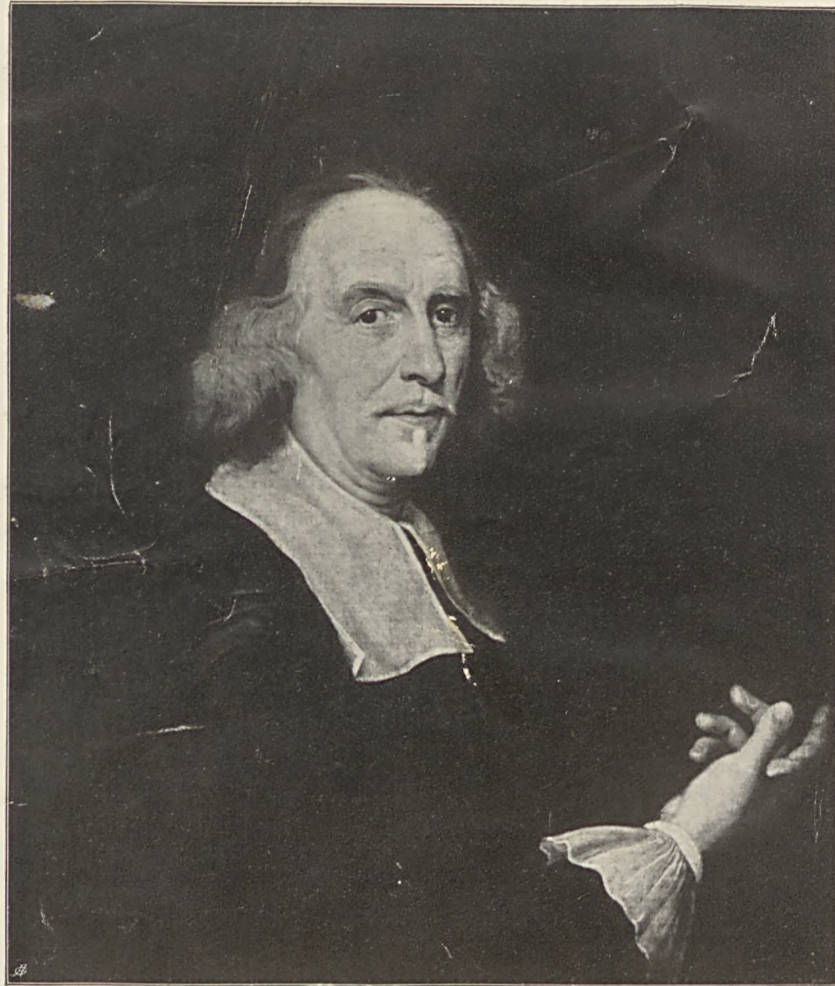
LUDZIE BAROKU



J. B.

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

RZYM



Gian Lorenzo Bernini

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

RZYM

LUDZIE BAROKU



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1931



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BAROCCO

I

Jak pokłady geologiczne, leżą w Rzymie obok siebie zabytki rozmaitego budownictwa, począwszy od murów przedhistorycznych mieszkańców i potężnych gmachów rzymskiego cesarstwa, a skończywszy na dzisiejszych bankach i pomnikach. Tego jednak, kto po raz pierwszy przechodzi ulicami wiecznego miasta, najbardziej może uderza jakaś architektura, pełna dziwactw, niezgodnych z klasycznemi tradycjami. Kościoły o wystających gzymsach, na których siedzą pyzate aniołki, niezliczone kaplice o ozdobach w kształcie skorup ślimaczych, lub w formie fantastycznych kartuszów, pałace o bramach, które podpierają gigantyczne karjatydy, o atletycznych nogach i ramionach, wazony splecione liściem i kwiatami, herbowe znaki: smoki, lwy, pszczoły, gwiazdy, słońce, użyte zamiast innych ornamentów, słowem, nieskończona ilość pomysłów, daleko odbiegających od motywów rzymskiej i renesansowej architektury. Większość owych budowli nie zadziwia twórczą potęgą, nie wspina się wysoko, ale mimo to narzuca się swą bujnością, swemi oryginalnemi kształtami, swem «czemś innem», powiedzmy barokiem, a wzrok spostrzega w nich zawsze coś nowego, coś, co wychodzi poza ramy uznanych wielkich stylów architektonicznych.

A to «barocco» opanowało nietylko Rzym, ale rozszerzyło się po całych Włoszech, po Wenecji, Genui i Medjolanie, szybkim krokiem przeszło Alpy i oparło się o Salzburg, Würzburg, Drezno, o Kraków, Lwów, Warszawę i o nasze wiejskie kościółki. Jakiś rozwichrzony, kapryśny genjusz wionął po murach, wybił na nich swe charakterystyczne piętno, czasem wesołe, często dziwaczne, zawsze zajmujące. Pełen miary renesans gdzieś zniknął, prostej linji się zaparto, pokrzywiono ją, pogięto, poprzerywano, zapomniano o powadze rysunku, jak ją rozumieli Grecy i Rzymianie. Im oryginalniej, tem lepiej; marmury dostały konwulsji, a wyrzeźbieni święci poprzemieniali się w gimnastyków, siedzących na gzymsach ze spuszczonemi nadół nogami. Doszło do tego, że jakiś architekt w Medjolanie wybudował kościół w kształcie wiolonczeli (San Francesco di Paola), a inny budowniczy upiększył fasadę kościoła San Moisé w Wenecji głowami wielbłądów.

Była to rewolucja przeciw architekturze i rzeźbie Odrodzenia, które się znudziły. Renesansowych motywów zabrakło, chciano czegoś nowego, a osobliwie ornament Odrodzenia, wiecznie ten sam, nie wystarczał ludziom XVII wieku. Poznano się na tem, że sztuka Odrodzenia dziwnie mało dodała ornamentacyjnych pomysłów do tych, które po starożytności odziedziczyła. Rafael, wielki malarz loggji, tak niewolniczo brał ozdoby z dawnych murów, że dziwić się trzeba, iż się nie zawahał iść tak bezwzględnie w ślady swych poprzedników. Gdyby ktoś cierpliwy rozebrał motywa dekoracyjne loggji, to oprócz instrumentów muzycznych i niektórych zwierząt niewieleby tam znalazł, coby nie było pożyczone od Rzymian. To samo, co w sztuce, działo się w literaturze; autorzy Odrodzenia odpisywali bez zarumienienia się całe stronice z ksiąg starożytnych.

Michał Anioł począł już mieć pewien, że tak powiem, wstręt do naśladowania starożytności, on pierwszy zupełnie się chciał wyswobodzić z dawnych architektonicznych formuł. Ale, jak zazwyczaj pierwsze kroki na nowych drogach nie zawsze bywają dość pewne, tak i u mistrza Odrodzenia pierwsze pomysły barokowe nie stały na wysokości jego genjuszu. Prawda, że Michał Anioł był już niemłodym artystą, gdy rzeźbił długie, niepodobne do rzeczywistości szyje Medyceuszów, siedzących na swych grobowcach, albo gdy nie wiedząc, czem ozdobić przedsionek Laurenziany, porobił na ścianie framugi okien, których tam nigdy być nie mogło. Przeżuwanie motywów starożytności w sztuce wyrobiło przesyt Odrodzenia. Niechęć ku przeszłości, która powstała u wielkiego mistrza florenckiego w końcu jego pracowitego żywota, przeszła na następców, których jeszcze bardziej nużyło płynąć utartem od dawno korytem. Najwybitniejszą artystyczną postacią, która w tym zwrocie przodowała, był Bernini; nad jego też działaniem dłużej się zastanowimy.

Nazwą «baroku» zanadto przyzwyczailiśmy się obejmować tylko objawy sztuki plastycznej, podczas gdy sztuka była tylko wykwitem dziwacznego społeczeństwa, które snadnie miano społeczeństwa barokowego nosić powinno. Od chwili, kiedy Sykstus V groźną ręką uspokoił Rzym i państwo kościelne, występują wyraźnie wszystkie znamiona nowych stosunków; epoka Odrodzenia, znienawidzona przez Kościół, pogardzona przez znaczną część wykształconego świata, znika powoli z dziejów, a na jej miejsce wchodzą czasy, pełne sprzeczności, uderzają nas ludzie, lśniący zdaleka blaskiem złota, drogich kamieni i barwnych pióropuszów, a obok nich zaledwie spostrzec można szare tłumy, głodne, ogłupiałe, apatyczne. Cnota zdaje się być otoczoną świetlaną aureolą, ale te promienie zasłaniają zbyt często rozpustę, brak zasad moralnych, a nawet i zbrodnię.

Stojąc w absydzie bazyliki św. Piotra, pomiędzy pomnikami Pawła III a Urbana VIII, widzimy odrazu ten olbrzymi przewrót, jaki się dokonał w siedmdziesięciu latach, które upłynęły od panowania Farnesego, od schyłku epoki Odrodzenia, do szczytu czasów baroku, do Barberinich. Na lewo strzeże jeszcze popiołów papieża mniemana Giulia Farnese, o klasycznych, prawie greckich rysach, na prawo pomnik pomysłu Berniniego, na którym razi brzydki, wstrętny kościotrup. Ale koło tego znaku śmierci rozkładają się zmysłowe kobiety, uginają się kotary z różnobarwnych marmurów, lśnią złocenia i herby.

Jeżeli się odwrócimy i obejmiemy wzrokiem całą bazylikę, to zdaje nam się, że w tych marmurach, bronzach i mozaikach brzmi «Te Deum», hymn triumfującego Kościoła. Renesans wybudował kopułę, barok dodał wszelkie ozdoby, pomniki, ołtarze, obrazy, uświetnił miejsce, gdzie miał być wielki Apostoł pochowany, kazał tym tysiącom aniołków i tym, burzą wiary miotanym postaciom świętych, roznosić chwałę Papiestwa. I rzeczywiście Kościół mógł triumfować. Za ostatnich renesansowych papieży zdawało się, że runie cała, wiekami stworzona budowa, a mimo to uratowano w drugiej połowie XVI wieku dla religji katolickiej większą część ludów Europy; odpadła wprawdzie Anglja, Szwecja, większa część Niemiec i Szwajcarji — straty olbrzymie; ale duch reformy przytłumiony został we Francji, w Polsce, na Węgrzech, w dziedzicznych krajach Habsburgów i we Włoszech. Ufność w potęgę Kościoła tak dalece się znowu wzmogła, że Pius V wrócił do idei wojen krzyżowych i stworzył ligę monarchów europejskich przeciw Turkom. Chrześcijańska Europa odniosła w imię wiary zwycięstwo pod Lepanto, a Sykstus V tak daleko posuwał się w swych marzeniach, że z pomocą przymierza z Persją i Polską chciał zniszczyć państwo tureckie, połączyć morze Śródziemne z morzem Czerwonem, stworzyć włoską potęgę morską, zdobyć grób Chrystusa i przenieść go nie do Rzymu, ale do Montalto, do małej wioski, wpobliżu Ascoli, w której się papież wychował. Był to jeden z tych barokowych pomysłów, z któremi się będziemy ciągle spotykać.

Do tego triumfu Kościoła przyczyniła się Hiszpanja, Karol V i Filip II, którzy się uważali za wyższych prawie naczelników chrześcijaństwa, aniżeli rzymscy papieże, przyczynił się zakon Ignacego Lojoli, a wreszcie Inkwizycja, o której dość już napisano. Nie można zaprzeczyć, że silna wiara i chęć szczera poprawy Kościoła niemało dopomogły do wzniesienia nowego gmachu, ale teroryzm inkwizycyjny zmiażdżył najszlachetniejszych ludzi, jak Sadoleto, Polo, Fregoso, Contarini tak, że niewielu z nich mogło przyłożyć cegłę do nowej budowy.

Koncyljum trydenckie, które miało zbudować fundamenty

pod reformę Kościoła, napotykało jeszcze lat dwadzieścia dwa na przeszkody, które się zdawały nie do zwalczenia. Sami papieże patrzyli zrazu niechętnem okiem na obrady soboru, obawiając się ukrócenia swej władzy. Przewidywali, że to nowe koncyljum mogłoby się stać, podobnie jak sobory w Pizie, w Konstancji i w Bazyleji, trybunałem, któryby sądził papieży i papiestwo. Osobliwie odstraszał ich sobór bazylejski, który był istotną rewolucją przeciw Kurji rzymskiej. Posiedzenia nowego soboru były burzliwe, przez długie czasy zdawało się, że nie przyjdzie do żadnych stanowczych uchwał, gdyż zastępcy każdego niemal państwa mieli najróżnorodniejsze szczegółowe interesa, sprzeczne z interesami innych krajów, lub niechętne zapatrywaniom samej Kurji, i dopiero niesłychanej dyplomatycznej zręczności Piusa IV i jego pomocnika, kardynała Morone, udało się olbrzymie dzieło do skutku doprowadzić. Morone okazał się zręczniejszym od Filipa II, od księcia Alby, od Katarzyny Medycejskiej i od posłów cesarskich. Współczesna karykatura przedstawia Ducha św., jak pocztą jeździ z Rzymu do Trydentu, ale właściwym zastępcą boskiego posłańca był kardynał Morone. Żelaznej woli i wytrwałości papieża i kardynała, tudzież pomocy jezuitów zawdzięczał Rzym, że przeprowadzono wszystko, czego papiestwo żądało.

Rezultaty były wielkie: ustalenie dogmatów wiary katolickiej, odbudowanie hierarchji kościelnej, zacieśnienie karności duchownej, zupełnie dotąd rozluźnionej, uznanie wyższości papieża nad soborami, a wreszcie położenie tamy dążnościom odśrodkowym duchowieństw różnych narodów. To ostatnie zadanie było niesłychanie trudne do przeprowadzenia, gdyż Kościół hiszpański uważał się niemal za odrębny i za wyższy od Kościoła rzymskiego. Sobór zaprowadził pewne rygory w klasztorach, a przedewszystkiem zapomocą Indeksu ustanawiał nieubłaganą kontrolę nad wszystkiem, co się drukowało. Głównie Inkwizycja i jezuici mieli się stać wykonawcami trydenckich postanowień, ale i nowych zakonów, które miały pomagać walce, powstało w latach 1521 do 1648 aż dziewiętnaście. Nastała epoka wojenna, nosząca, jak wogóle wojny religijne, wszelkie cechy zawziętych, nieubłaganych zapasów.

Stan oblężenia rozciągnięto na cały świat katolicki, dyktatura była w Rzymie, sądem wojennym stał się trybunał Inkwizycji. Właściwa istota strasznego boju daje się streścić w trzech hasłach: «jedność komendy», «ślepe posłuszeństwo», «bez pardonu, bez litości». Nuncjusze apostolscy, wyćwiczeni w dyplomatycznej strategji, tworzyli sztab jeneralny, będący w ciągłym związku z Rzymem i nieśli w najdalsze katolickie prowincje w jednem ręku błogosławieństwo papieskie, w drugiem klątwę.

Zadaniem całej tej armji nie była sama tylko walka odporna, ale i zaczepna; nie chodziło już o utrzymanie tego, co pozostało wiernem Rzymowi, ale i o odzyskanie straconych, a nawet zdobywanie nowych posterunków. Przedewszystkiem jezuici szli na czele i rozszerzali swój wpływ z niebywałą energją. Z końcem XVI wieku rozpostarli się już w czterech częściach świata, zapanowali we Włoszech, w Hiszpanji, w Portugalji, zyskiwali coraz większy wpływ we Francji, walczyli z protestantyzmem w Austrji, w Czechach, w Bawarji i w Polsce. Straszne te czasy wybornie charakteryzują dwie duże marmurowe grupy, ustawione w Gesù, w kościele, w Rzymie, po obydwóch stronach ołtarza, poświęconego Ignacemu Lojoli. Jedna z nich, artystycznie piękniejsza, przedstawia Religję, gnębiącą Herezję. Groźna kobieta, trzymająca w ręku pioruny, ma być religją — gniewna, roznamiętniona, mściwa, nieubłagana. Herezja spada w przepaść pod jej ciosami, brzydka, z wykrzywionem obliczem, napiętnowanem przestrachem cierpień i śmierci. Grupę tę wyrzeźbił Piotr Legros młodszy, w początkach XVIII wieku, a roznamiętnienie walk religijnych wrzało jeszcze u tych, którzy tę grupę zamawiali. Marmurowa to pamiątka smutnych czasów, kiedy wszelka litość, wszelka miłość, wszelka ludzkość ustępowała wobec wojennych haseł, wydanych w imię wiary.

Wielka płaskorzeźba marmurowa o podobnym temacie zrobiona o dwa wieki wcześniej, przedstawiająca już nie religję, ale samego Chrystusa wobec herezji, istnieje w dawnym budynku szpitalnym w Bolonji. Według legendy miał wejść w chwili, kiedy Madonna umierała, jakiś heretyk do przybytku śmierci. Przytomny temu św. Piotr chwycił oburącz



Wiara strącająca herezję w przepaść

Grupa marmurowa Legros'a młodszego w kościele Gesù w Rzymie

Do str. 6 Fot. Danesi



wielką księgę, która leżała wpobliżu i chciał ją w swem oburzeniu rzucić na niegodnego intruza; Chrystus jednak i św. Jan ujęli szybko wojowniczego apostoła za ramiona, aby go powstrzymać od gwałtownego czynu. Jakaż to różnica pomiędzy pojęciami XV i XVII wieku! Tam jeszcze miłość Zbawiciela, tutaj nienawiść wrzącej wojny.

Większość papieży drugiej połowy XVI wieku była najzupełniej przejęta namiętną walką; taki Pius V, Grzegorz XIII, Sykstus V nie byli to już monarchowie w duchu papieży Odrodzenia, ale ludzie surowi, którzy nie widzieli nic przed sobą, jak tylko złamanie wszelkiej opozycji przeciw Kościołowi i przytłumienie wszelkiej wolnej albo krytycznej myśli. Od wodzów, roztaczających wokoło postrach i grozę, odbijały czasami umysły spokojne, jak szlachetny Filip de Neri, które, walcząc o wiarę, nie zapominały o chrześcijańskiej miłości; ale takich było niewielu.

Począwszy od roku 1559, od traktatu, zawartego w Chateau Cambrais, Włochy leżą spowite podwójnemi łańcuchami absolutyzmu hiszpańskiego i absolutyzmu papieskiego. Obydwie te potęgi, rozchodząc się często i nienawidząc nawzajem, działają w zgodzie, kiedy chodzi o przytłumienie wszelkiej wolnej albo krytycznej myśli. Hiszpanja ciąży nad Włochami aż po rok 1700, po pierwszą wojnę sukcesyjną. Manzoni w swej nieocenionej powieści «Promessi Sposi» dał wyborny obraz rządów hiszpańskich we Włoszech; popularne też przysłowie mówiło, że ministrowie hiszpańscy ogryzają Sycylję, zjadają Neapol, a pożerają Medjolan. Wicekrólowie neapolitańscy uważali swój urząd za źródło przyjemności i kopalnię złota. A papiestwo także nie było wyjęte z pod obcego wpływu; poseł wenecki w Rzymie, Quirini, mógł napisać w jednem ze swych sprawozdań do Signorii, że Kurja rzymska stała się zwyczajnem beneficjum, które co jakiś czas, pod różnemi warunkami, rozdaje Hiszpanja lub Francja.

Hiszpanji wycisnęła na włoskiej kulturze, na zwyczajach i obyczajach znamienne swe piętno. Osobliwie klasy wyższe społeczeństwa ulegały temu wpływowi. Ta olbrzymia Hiszpanja, w której słońce nie zachodziło, to bogactwo, przywożone z Ameryki, otaczały Hiszpanów pewnym urokiem wielkości;

oni roznosili towarzyskie obejście i modę. Każdy magnat włoski wpatrywał się w Filipa II, od którego spodziewał się dożywotnej pensji, urzędu lub tytułu. Gonitwa zwłaszcza za tytułami stała się powszechną; przy końcu XVII wieku nie było już we Włoszech znaczniejszej rodziny, któraby nie miała tytułu markiza. Jednych obdarzał tym zaszczytem papież, drugich król hiszpański, lub cesarz, a ludzie, którzy nie chcieli nikogo obrażać, tytułowali markizami nawet takich, którzy nimi nie byli. Wkrótce tytuł markiza tak spowszedniał, że florentyńczyk Jacopo Salviati nie chciał się podpisywać markizem i wystarał się u Urbana VIII o tytuł «duca». Strozzi poszli za tym przykładem, a Innocenty X zamienił im pogardzony markizat na tytuł książęcy. Kto tylko miał jakie stosunki w Hiszpanji, lub we Wiedniu, zamieniał markizat lub hrabstwo na cudzoziemskie tytuły Reichsgrafów, lub choćby tylko baronów. Ludzie, chcący się madryckiemu dworowi przypodobać, ubierali się z hiszpańska, a kto raz jeździł do Madrytu, przejmował się hiszpańskim ceremonjałem i szlachecką «sussiego», tą drobiazgową dumą, tem dziwacznem zachowaniem się, które miało cechować członków arystokracji. Wstawać rano zaczęło należeć do złego tonu, a ludzie tak chętnie poddawali się temu zwyczajowi, że prawie dwa wieki nie widzieli wschodu słońca i dopiero Rousseau objawił wyższym klasom społeczeństwa piękność jutrzenki.

Charakterystyką hiszpańskiej «etykiety», która najechała cały włoski półwysep, były owe spory o pierwszeństwo siedzenia w kościele, przy uroczystościach i przy obiedzie, a pierwszeństwo wejścia do sal stało się jedną z najważniejszych kwestyj dyplomatycznych układów. Jeden z Estów modeńskich chciał synów wysłać w podróż po najcelniejszych miastach włoskich, ale układy z «ościennemi państewkami» o miejsce, jakie mieli zajmować podczas ich przyjęcia, i o honory, jakie im miano oddawać, nie doprowadziły do pożądanego rezultatu i młodzi książęta musieli zostać w domu. Gdy jeden z wicekrólów neapolitańskich spostrzegł, że arcybiskup klęknął na dwóch poduszkach, wyszedł oburzony z katedry, ponieważ księciu Kościoła należała się tylko jedna poduszka. W Neapolu umarła w r. 1658 jakaś księżniczka włoska; urządzono egzekwje, ale zastępca wicekróla zakazał nabożeństwa i pogrzebu, ponieważ herby i znaki na katafalku były o stopień wyższe, aniżeli się to zmarłej należało. Rząd więc polecił tylko tymczasowo pochować ciało, dopóki nie nadejdą odpowiednie rozkazy z Madrytu!

Ale nietylko książętom chodziło o pierwszeństwo; namiętność ta przeniosła się także na ludzi uczonych. Ośmdziesiąt dwa lat spierały się trybunały w Kremonie i Pawji, który z nich miał mieć pierwszeństwo przy uroczystościach. Rzecz oparła się o senat w Medjolanie, który «po najpoważniejszej rozwadze i głębokiem rozpatrzeniu sprawy» postanowił «nie wydać w tej mierze żadnego orzeczenia».

Społeczeństwo tak się przejęło temi kwestjami etykiety, że pomiędzy kościelnemi bractwami, pomiędzy ludźmi najniższych zajęć przychodziło nieraz do rozlewu krwi z powodu sporu o pierwszeństwo. Czasami nie można było w święto Bożego Ciała odbyć zwykłej procesji, albowiem bractwa nie mogły się ze sobą pogodzić, które ma iść bliżej baldachimu.

Dwory we Florencji i w Turynie zapatrywały się na dwór hiszpański, a co się tam działo pod względem etykiety, to przechodzi najmniej rozsądne pojęcia. Ubieranie i rozbieranie króla i królowej należało do najściślej określonych i w swoim rodzaju najkomiczniejszych czynności dworskich. Z uderzeniem godziny dziewiątej wieczór, kiedy królowa siedziała jeszcze przy wieczerzy, zaczynały ją rozbierać panie, należące do pierwszych rodów Hiszpanji. Dwie z nich wchodziły pod stół i z namaszczeniem, w najzupełniejszem milczeniu zdejmowały jej pończochy, a ściągając z wielką ceremonją resztę ubrania, brały ją na ręce i kładły do łóżka, jak lalkę. Król potrzebował dwie godziny z rana na całkowite ubranie się. Dwadzieścia osób, książąt krwi i grandów Hiszpanji brało udział w uroczystości wdziewania koszuli i mycia rąk Jego królewskiej Mości. Utytułowani widzowie w czterech grupach wchodzili do komnaty przypatrywać się ceremonji, podczas której musiała panować grobowa cisza. Z podobną pompą kładziono króla do łóżka, który zapewne z radością oczekiwał odejścia ponurych dygnitarzy, aby otworzyć ukryte

drzwi, z których wysuwały się słynne madryckie piękności. A te piękności były paniami kobiecej mody. Przedewszystkiem, aby dogodzić ascetycznemu duchowi czasu, starały się o to od dzieciństwa, aby mieć jak najszczuplejsze łono i duży zbiór małych, misternych relikwjarzy i obrazków świętych, które służyły do ozdoby paska i rękawów. Te nabożne pamiątki nie przeszkadzały wszakże, że owe panie były oprawne w suknie z niesłychanie drogich materyj, obszywane galonami i koronkami ze złota i srebra. Z powodu spodnic, wydętych jak balony, mogły siadać tylko na taburetach z nogami skrzyżowanemi na sposób wschodni; wyglądały też jak indyjskie bożyszcza, z tą tylko różnicą, że zamiast brzydkiej twarzy Buddy, wyglądała z tego zwoju jedwabiów mała główka, z oczami, pełnemi żaru, z włosami, upstrzonemi muszkami z diamentów i motylami z różnobarwnych kamieni. Do bóstw indyjskich stawały się tem podobniejsze, że twarze ich były polakierowane jakąś mieszaniną z białka i kandyzowanego cukru, a brwi poczernione łączyły się w środku czoła. Farby na tem bożyszczu nie brakło: policzki, broda, wyższa warga, końce uszów, dłoń, palce, ramiona, wszystko to było pomalowane na różowo, a trzeba było genjuszu Velasqueza, aby z takich modeli stworzyć arcydzieła. Dodać jeszcze trzeba, że te małe osóbki napełniały powietrze zapachem spalonych trociczek, lub przejmującą wonią kwiatu pomarańczowego.

Obok mody wciskał się do Włoch język hiszpański, a wyższe klasy społeczeństwa przeplatały ojczystą mowę kastylijskiemi wyrazami i zwrotami. Jednym wszakże z najgorszych podarunków, jakie Hiszpanie do Włoch przywieźli, był kodeks honoru, przepisy, jak postępować należy, aby stać na wysokim poziomie hiszpańskiej szlachty. Do dziś dnia istnieją jeszcze owe księgi o «punktach honoru», zawierające szczyt dziwactw i niedorzeczności, które jednak w historji tragiczne pozostawiły ślady. Jedna z tych ksiąg nosi tytuł «Conclusioni del duello e della pace, evangelisti della umana reputazione, le cui parole servono ad empire di tanti dogmi di fede d'onore i margini delle cavallersche scritture». Znajdujemy tam określenie honoru, jakoteż właściwości obelgi, co do jej jakości, ilości, co do stopnia namiętności, gniewu, czasu, w jakim popełnioną została; następuje wykład o «Carico», to jest o obowiązku odczucia, udowodnieniu jej i odparciu, tudzież bardzo subtelne sformułowanie różnicy pomiędzy nieprzyjaźnią a niechęcią. Mowa w owych pismach o wendecie «transwersalnej», o podejściu, o wszelkich odcieniach kłamstwa, które może być potwierdzające, przeczące, ogólne, szczególne, warunkowe, bezwzględne, głupie, obelżywe, opisane, ukryte, fałszywe, śmieszne, ogólne co do rzeczy szczególnej i szczególne co do rzeczy ogólnej. Podobnych określeń jest tam bez liku, a czytając je, nabieramy przekonania, że średniowieczna scholastyka, wypędzona przynajmniej częściowo ze szkół, nie miała się gdzie schronić i poczęła rycerstwu głowę zawracać. Ile strasznych zbrodni popełniono wskutek owego «punto d'onore», ściśle określićby trudno. Do najgłośniejszych należało zamordowanie księżnej na Paliano, Carafy, za mniemaną niewierność mężowi. Wykonawcami, stosownie do hiszpańskich zwyczajów, byli dwaj członkowie rodu, hr. d'Aliffe, brat księżnej, i Leonardo di Cardine, krewny Carafów. Hr. d'Aliffe zawiązał oczy siostrze i własnoręcznie ją powrozem zadusił, w imię honoru.

Wespazjan Gonzaga, pan na Sabionecie, wielki miłośnik sztuk pięknych, gdy się dowiedział, że w jego nieobecności małżonka, Diana Cardone, miała stosunek ze swym sekretarzem, rozkazał zabić winnego, a żonę chwycił za rękę, zaprowadził do pokoju, gdzie leżał zamordowany, i dał jej flaszeczkę z trucizną, a powiedziawszy: «Bevi», «pij!», wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą. Nieszczęśliwa kobieta nie miała odwagi przyłożyć do ust śmiertelnego napoju; dwa dni pasowała się z chęcią życia, sądząc, że okrutnik się nad nią zlituje. Ale Wespazjan przychodził co kilka godzin pod drzwi komnaty i przez szparę od klucza wołał: «Bevi!» Gdy zabrakło sił nieszczęśliwej, wychyliła truciznę i upadła obok ciała kochanka. Vespasiano ogłosił, że księżna zmarła na udar serca, przywdział wraz z całym dworem żałobę, sprawił jej świetny pogrzeb i szedł za trumną, udając wielką boleść. A Vespasiano należał do ludzi «wysokiej kultury».

Przepisy «honorowe» jeszcze większej nadały wagi towarzyskim ceremonjom i sprawom «pierwszeństwa», gdyż każde

wykroczenie przeciw nim pociągało za sobą krwawe wendety. To też życie klas wyższych upływało po większej części na błahych ceremonjach, albo pompatycznych obchodach. Natura, sztuka, nie obchodziła tych ludzi sama przez się, ale o tyle, o ile stanowiła dekorację ich zwyczajów i zachcianek. Wzajemne pozdrowienia, ukłony, najbardziej szczegółowe rozróżnianie drobnostek towarzyskich: co się należy księciu di baldachino, co hiszpańskiemu grandowi, co papieskim nepotom, komu można dawać tytuł ekscelencji, a komu eminencji, to wszystko były sprawy pierwszorzędnego znaczenia. W «buona compagnia» o tem się po największej części mówiło, a nadto o teatrze i muzyce, które kwitnęły, bo przecież kardynałowie i magnaci rzymscy potrzebowali także rozrywki. Największy wytwór ówczesnej wyobraźni literacko-muzykalnej, to melodramat, który doszedł do wielkiego rozkwitu. Ale śpiewaczki musiały się nazywać «virtuose», co nie przeszkadzało, że ludzie dla nich fortuny tracili i że Ferdinando mantuański sprzedał Casale, aby dogodzić kaprysom jednej z tych cnotliwych. Zresztą miłość, jak zawsze, wielką odgrywała rolę, ale miłość, ocukrowana sentymentalnemi wyrazami, sonetami, duetami modnych muzyków. Powoli, także stosownie do hiszpańskich zwyczajów, wchodził pomiędzy małżeństwa wyższych towarzystw «ten trzeci», który zajmował pewne, mniej lub więcej określone stanowisko «przyjaciela» pani domu i nazywał się w XVII wieku cicisbeo. Po raz pierwszy wypłynął on w Genui, mającej najwięcej stosunków z Hiszpanją, i miał towarzyskie prawa, które małżonkowie, chcąc nie chcąc, cierpieć musieli, jeżeli im zależało na hiszpańskiej modzie.

Moralna niewola, obawa cenzury kościelnej wpływała nader niekorzystnie na wszelkie objawy życia umysłowego tak, że w ciągu XVII wieku wytwarzała się coraz to większa próżnia w literaturze. Z wyjątkiem dwóch większych poetów, Gianbattisty Mariniego i Alessandra Tassoniego, o których mówić będziemy, ludzie, obdarzeni wyobraźnią, pisali tylko marne wierszydła. Wychodziły wprawdzie księgi, najczęściej tak duże, że trudno je podnieść z zaprószonych półek bibljotecznych, ale co te księgi zawierają? — kroniki rodzinne, w których niema słowa prawdy, gdyż celem autorów było

otoczyć słynniejsze familje dymem kadzideł, wywody o herbach i rycerskich imprezach, teologiczne traktaty, których nikt dzisiaj już nie rozumie. A wszystkie te pisma były nadziane cytatami, inwektywami na ludzi żyjących, cichemi uszczypliwościami i wendetami pióra, które nigdy nie miały oglądać światła dziennego.

Umysłowa próżnia pociągała za sobą próżność charakterów, pychę, dziwactwa i brak jasnego poglądu na rzeczy tak, że wiek XVII możnaby pod wielu względami nazwać epoką zamarcia zdrowego rozsądku.

Umysł ludzki jest wszakże tak giętki i różnostronny, że owe czasy tłumienia wolności myśli i słowa, że nawet płomienie, od których zginął Giordano Bruno, nie zdołały zniweczyć ducha i jego działania. Poważni, spokojni uczeni pracowali w cichości tam, gdzie się zdawało, że ich nie dosięgnie żadna duchowa kontrola, i pozostawili po sobie wielką spuściznę, niebywały rozwój nauk przyrodniczych, matematyki, astronomji i fizyki. Do tego rozwoju pośrednio przyczynił się sobór trydencki. Niewzruszone zasady religijne, które skodyfikowali zebrani w Tyrolu książęta Kościoła, stały się powodem zupełnego rozłamu pomiędzy naukami teologicznemi, opartemi na objawieniu, a filozofją, której zasadą jest doświadczenie, wnioski, wysnute ze zjawisk przyrody. Renesans silił się pogodzić wiarę chrześcijańską z nauką starożytnych mędrców; sobór trydencki usiłowaniom tym kres położył, a tem samem sprowadził je na drogę empiryczną, którą oddawna iść były powinny. Rzecz zaś szczególna, że uczeni XVII wieku, opierający swą wiedzę na badaniu zjawisk przyrody, uważali ten zgóry narzucony rozłam, jako ujmę dla nauki, a Galileusz, jak zobaczymy, bronił się przeciw oddzieleniu teologji od jego astronomicznych badań. Na szczęście ludzkiej wiedzy rozłam ten się dokonał i stał się największą zasługą XVII wieku. Ukryci poza zielonemi i niebieskiemi pióropuszami, poza karmazynowemi baldachimami, skromni uczeni, jak Galileusz, Volta i kilku innych, stanowią dzisiaj zaszczytne znamię czasu peruk i taburetów.

II

Żaden z papieży Odrodzenia nie pozostawił po sobie w Rzymie wielkiego rodu; Della Rovere, Borgia, Cybò zupełnie znikli; Medici istnieli tylko w bocznej linji, we Florencji. Nepotyzm bowiem owych czasów był nepotyzmem politycznym, potęga papieży opierała się w znacznej części na sile bliskich krewnych, którzy fundowali państewka pożyteczne dla siebie, ale i potrzebne dla Watykanu. Polityczny nepotyzm okazał się nietrwałym, albowiem każda następna rodzina starała się osłabić lub zniszczyć poprzednią. Po utrwaleniu się papieskiego państwa, po Sykstusie V, nie było już miejsca dla takich nepotów, którzyby mieli ochotę zakładać własne księstwa i grać rolę w polityce półwyspu. Małe lenna we Włoszech były już w stałem posiadaniu; jedne zabrała Hiszpanja dla siebie, lub dla swych przyjaciół, inne zostały wcielone do papieskiego państwa. Okruchów ziemi nie było do wzięcia. Nepotyzm więc papieży późniejszych, począwszy od Sykstusa V, przybrał inną formę, już nie polityczną, ale ściśle familijną: zakładał wielkie rodziny książęce, otoczone aureolą, że wydały z pomiędzy siebie papieża, potężne bogactwem, błyszczące pałacami, willami, gromadzące artystyczne zbiory. Pierwsza z tych nowych rodzin, Carafa, znikła w sposób tragiczny i dopiero familje Boncompagnich, po Grzegorzu XIII, Perettich albo Montaltich, po Sykstusie V, rozpoczęły ów szereg nepotycznych rodów, który cechuje rzymskie społeczeństwo XVII wieku. Po Perettich wystąpili Aldobrandini, a po nich pozostawia każdy z dwunastu papieży, panujących w XVII wieku, wielki, wzbogacony ród nepotów, z wyjątkiem Odescalchich, nie zawdzięczających swego stanowiska Innocentemu XI, człowiekowi niesłychanie surowemu, i Pignatellich, krewnych ostatniego papieża XVII stulecia, postaci wyjątkowo szlachetnej. Zresztą geneza nepotycznych rodów, w porządku chronologicznym, jest następująca. Klemens VIII pozostawił Aldobrandinich, Paweł V Borghesów, Grzegorz XV Ludovisich, Urban VIII Barberinich, Innocenty X Pamfilich, Aleksander VII Chigich, Klemens IX Rospigliosich, Klemens X Altierich, Innocenty XI Odescalchich i wreszcie Innocenty XII Pignatellich.

Szczytem nepotyzmu były rządy Urbana VIII Barberiniego i Aleksandra VII Chigiego, pomimo że ten ostatni papież w początkach swego panowania bronił się od najazdu krewnych; później jednak najzupełniej się im poddał i we wszelki sposób wzbogacał ich i naprzód posuwał. Pod papieżami XVII wieku weszło w zwyczaj, że kardynał nepot rządził państwem papieskiem, a w znacznej części i całym Kościołem, jakby mu się wszelka władza już tem samem należała, że jego stryj, czy wuj został papieżem. Conclave, wybierając papieża, tem samem już milcząco pozwalało wynieść protegowanego przez niego nepota na najwyższe w rządzie stanowisko. A ponieważ nepot najczęściej według własnej woli obsadzał urzędy, przeto na posady hierarchji rzymskiej, przynoszące największe dochody, dostawali się ludzie niezdolni, nieobeznani z interesami państwa, dlatego tylko, że byli w łaskach u panującej rodziny, albo dobrze się jej opłacali. Dochody Kamery Apostolskiej służyły bardzo często do wzbogacenia rodziny papieskiej, a takie postacie, jak donna Olimpia Maidalchini, bratowa wiekiem zniedołężniałego już Innocentego X, dochodziły do wielkiego wpływu w Watykanie.

Rzym jednak w czasach tego nowego nepotyzmu bardzo się podnosił, gdyż owe bogate rody papieskie przebywały w mieście, budowały pałace i wille i otaczały się wielkim dworem. Za Leona X, a więc w czasie największego rozkwitu Odrodzenia, Rzym miał zaledwie 55.000 mieszkańców, po «Sacco di Roma», w r. 1528 liczba ta spadła do 30.000 i dopiero od czasów Pawła III wzrastała nieustannie tak, że w roku 1600 miasto liczyło około 110.000 mieszkańców. Była to epoka politycznego spokoju; Hiszpanja ciążyła nad Włochami, nie miał kto z kim wojować.

Ze zwiększaniem się ludności Rzym, który w czasach Odrodzenia cisnął się nad Tybrem, posuwał się ku Kwirynałowi, ku pagórkom Wiminalskiemu i Eskwilińskiemu, i coraz bardziej zabudowywał się na Campo Marzio. Nowa arystokracja potrzebowała miejsca na swoje pałace. Aldobrandini zmieścili się jeszcze na Corso i postawili pałac, późniejszy

pałac Salviatich, niezbyt duży, ale bardzo piękny. Borghese zajęli znaczną część Campo Marzio olbrzymim gmachem, który do dziś dnia jest ozdobą miasta. Barberini wspięli się na pagórek Kwirynalski, gdzie już z dawniejszych czasów miał kardynał Ottavio Bandini przepyszny ogród, gdzie stały wille kardynałów d'Este i Sforzy. Pamfili usadowili się, równie jak Chigi, na Corso, Rospigliosi uczepili się pochyłości Kwirynału, Altieri osiedli na placu del Gesù.

Oprócz pałaców budowały te rody wspaniałe wille, jużto w obrębie Rzymu, jużto na stokach gór Albańskich i we Frascati. Wtedy powstały urocze, letnie rezydencje Aldobrandinich, Borghesych, Ludovisich, Barberinich i Pamfilich. Do jakiego stopnia posuwano zbytek w ozdabianiu ścian wewnętrznych w tych pałacach, przekonać się jeszcze można w willi Borghese, wyłożonej najróżnorodniejszemi marmurami, alabastrami, płaskorzeźbami tak, że całe majątki weszły w te ozdoby.

Miasto korzystało z tego zbytku, tworzyła się arystokracja miejscowa, rzymska, która dużo wydając, żywiła część zawsze ubogiej ludności. Była to wszakże jedyna zasługa tej arystokracji. Roztaczała ona wkoło siebie niewidziany blask i zbytek, gdyż zewnętrzna okazałość była jedynym tytułem jej pychy. Zasług nie miała, przodkowie jej nie przelewali krwi na wojnach, nie przyczynili się do wielkości ojczyzny w handlu i przemyśle, jak florenccy lub weneccy patrycjusze; rody te nie miały żadnych tradycyj, a tylko przypadkowo wydały papieża, który je wzbogacił, i nic więcej. Zabezpieczona fideikomisami przed szybkim upadkiem, dekoracyjna ta arystokracja nie brała udziału w życiu publicznem i tylko młodszych swych synów oddawała Kościołowi, aby zostawali kardynałami i w ten sposób utrzymywali wielkość rodziny.

Bogate rody, mieszkające stale w Rzymie, tworzyły towarzystwo arystokratyczne, kobiety zaczęły grać w wiecznem mieście wielką rolę. Za czasów Odrodzenia wyjątkowo tylko ukazywały się wielkie panie w pałacach rzymskich, gdyż panowały tam kurtyzany. Gdy Izabella d'Este przyjechała do Rzymu, Leon X i kardynałowie nie mogli się dość nacieszyć, że mają przecież znakomitą damę u siebie. Teraz było inaczej, otwierano salony, dawano przedstawienia teatralne, albo koncerty; przy wyzłoconym szpinecie, na którym jaki znakomity artysta wymalował miłosne sceny, gromadzili się amatorzy i śpiewali madrygały. U Colonnów bywały wielkie przyjęcia, u Barberinich i Pamfilich grywano komedje, w pałacach kardynałów przedstawiano melodramaty, a pałac Riariów na Lungarze, gdzie mieszkała królowa szwedzka Krystyna, brzmiał od echa serenad i wesołych wieczorów, podczas których popisywali się prestigitatorzy i gimnastycy.

Niemiłą przerwą w głośnych zabawach rzymskiego towarzystwa był pontyfikat Innocentego XI Odescalchiego. Do najwyższego stopnia surowy papież chciał cały Rzym zamienić w jeden wielki klasztor. Swe uprzedzenia przeciw jakiejkolwiek światowej zabawie posuwał tak daleko, że wydał zakaz, aby żadna kobieta, panna, mężatka czy wdowa, nie ważyła się śpiewać, a tem samem, aby żadnemu muzykantowi nie było wolno dawać lekcji śpiewu lub muzyki, pod grzywną 50 skudów. Papież polecił duchowieństwu, aby przy spowiedzi nie dawało rozgrzeszenia kobietom, któreby się zbytkownie ubierały.

III

Marszałkowa de Guebriant, bardzo rozumna Francuzka, która odprowadzała do Warszawy drugą żonę Władysława IV, Marję Gonzagę, córkę księcia Mantuańskiego, zatrzymała się w swej podróży dłuższy czas w Rzymie i spisała wcale zajmujące wspomnienia z pobytu w papieskiej stolicy, wydane w r. 1647. Otóż Rzym zrobił na niej wrażenie wielkiej wsi, tyle tam jeszcze było ogrodów i niezabudowanych placów i jedynie dwór papieski nadawał mu blasku. Mieszkańcy, po większej części cudzoziemcy, albo synowie «forestierów», sami zaś Rzymianie ubodzy, nędzni. W tem mieście, które dawniej panowało nad światem, widać tylko służalstwo, a ten się uważa za najnieszczęśliwszego, kto nie ma nad sobą pana, kto nie należy do jakiego kardynała, markiza lub księcia.

Mówiono u nas dawniej «kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie», przysłowie to z większą jeszcze słuszno-



ścią da się zastosować do Rzymu, gdzie nie było przemysłu, nie było handlu, a rolnictwo na Kampanji, jak dzisiaj, tak i wówczas na bardzo niskim stało stopniu. Każda niemal rodzina szlacheckiego, czy mieszczańskiego stanu starała się przynajmniej jednego syna oddać na usługi Kościoła; kto nie dostąpił tego szczęścia, szukał umieszczenia na jakimś dworze, czy kardynalskim, czy arystokratycznym, albo przy jednym z kościołów, których było bez liku. Na szczęście ubogiej ludności, dwory potrzebowały niezmiernej ilości próżniaków, którzy mało, albo zupełnie nie płatni, służyli jedynie za strawę i za «barwę» i rozsiadali się po przedpokojach i przedsionkach, obmawiając wyższych i rozsiewając plotki. Rzemieślnicy po większej części byli cudzoziemcami, gdyż miejscowi robili źle i powoli. Mnóstwo ludzi żyło z dobroczynności, a tłum uliczny pilnował festynów, podczas których rozdawano chleb albo pieniądze, a przedewszystkiem nie opuszczał pogrzebów, w zwyczaju bowiem było u rodzin zamożniejszych, że przy domu zmarłego, albo przy bramie kościoła, w którym ciało wystawiono, rozdawano jałmużnę. Przy zakończeniu obrzędów religijnych powstawała zwykle bójka o świece, która się nieraz rozlewem krwi kończyła.

Lata jubileuszowe były żniwem dla ubogiej ludności; zarabiało się na wynajmowaniu mieszkań, na żywieniu pielgrzymów, na zmianie pieniędzy, na sprzedawaniu szkaplerzy, chustek św. Weroniki i rozmaitych pamiątek. W r. 1675 olbrzymi był napływ pielgrzymów, większa część łączyła się w grupy, jako bractwa w procesjach. Bractwo św. Sakramentu z Viterbo wchodziło uroczyście przez «porta del Popolo», z narzuconemi na głowę kapturami i z trupiemi czaszkami w rękach. Nasz Stanisław Reszka opowiada, że niektóre bractwa z różnych włoskich krain boso do Rzymu przychodziły, ciało swe żelaznemi łańcuszkami, albo węzłowatemi powrozami tak biczując, że krew oblewała nietylko wory, któremi byli odziani, ale kolana i ręce i ściekała na ziemię. Chodziły kompanje rzymskie, mówi dalej Reszka, złożone z książąt, szlachciców i prałatów, które na siebie dobrowolnie pewne powinności przyjmują, modlić się, pościć, ubogich żywić, chorych opatrywać i odwiedzać, pielgrzymów podejmować, szpitalom służyć lub żebrać na ich utrzymanie. Tych kompanij było około stu; kardynałowie, książęta i szlachcice wdziewali na siebie grube wory, w jakich «w starym zakonie żydowie pokutę odprawiali». Jedni w czerwonych szli szatach, drudzy w modrych, białych, czarnych, żółtych, zielonych, błękitnych, na których są poprzyszywane, jakoby jakie rycerskie znaki, krucyfiksy, wyobrażenia Trójcy św., Ciała Pańskiego, Panny Marji, albo innych świętych. Bractwa te chodziły po Rzymie, Pana Boga pokornie prosząc, niektóre z muzyką, niektóre pieśni kościelne śpiewając, psalmy Dawidowe i litanje. Jedno z tych bractw, liczące około tysiąca ludzi, szło najprzód do św. Piotra, gdzie mu pokazywano włócznię, którą Zbawiciela przekłuto i wystawiano głowę św. Andrzeja. «Na widok tych relikwij», opowiada Reszka, «wołali ci ludzie bardziej sercem, aniżeli głosem: «misericordia! misericordia!» który głos z tak pokornego serca pochodzący, wszystkie niebiosa przebijał i przed oblicznośc Bożą przychodził». Od św. Piotra szły kompanje do św. Pawła, stamtąd do św. Jana, potem do Panny Marji «Maioris». Większość tych bractw wszczynała po kościołach krwawe bójki pomiędzy sobą, już to o pierwszeństwo miejsca, jakie zająć miała, już to z innych błahych powodów, tak, że u św. Piotra i w lateraneńskiej bazylice bywało niekiedy dużo rannych i zabitych.

Montaigne także widział procesję biczowników i dziwił się, że ich twarze nie zdradzały boleści, pomimo głębokich świeżych ran, jakie sobie zadawali, a dwunasto- albo trzynastoletnie chłopaki ranili się, jakby dla przyjemności. Jakaś kobieta na ulicy zaczęła żałować jednego z nich, na co biczujący odwrócił się i żartobliwie jej powiedział: «To za twoje, a nie za moje grzechy». Owe wyrostki biczowali się, skacząc po bruku, a gdy im podawano wino na pokrzepienie, żaden się napoju nie dotknął. Mimo to, powiada Montaigne, lud w Rzymie jest daleko mniej pobożnym, aniżeli we Francji.

Obok tej zarazy biczowania, którą raczej za objaw patologiczny, aniżeli religijny, uważać było można, istniał niejako oficjalny zwyczaj biczowania się w wielki piątek. Abbé de Coulange widział taką procesję w czasie pierwszej swej podróży do Włoch w r. 1658 i barwnie ją opisuje. Po jede-

nastej w nocy przeciągał tłum biczowników przez plac św. Piotra. «W życiu nie przypatrywałem się niczemu podobnemu», powiada Coulange, «coby tak wzbudzało najwyższe obrzydzenie i bynajmniej nie zachęcało do pobożności. Na czele niesiono krzyż i chorągiew bractwa, następnie szło trzech kardynałów: Azzolino, landgraf Fryderyk z Hessen-Darmstadt i Carlo Barberini, ubrani wprawdzie w wory ze zgrzebnego płótna, ale przed każdym z nich szła służba w liberji z pochodniami z białego wosku. Za kardynałami postępowali pokutnicy: twarze zakryte, a plecy obnażone. Niektórzy mieli białe koszule na plecach, aby krew lepiej znać było, a towarzysze, idący obok, oświetlali czerwone plamy. Jeden z nich miał jakiś przyrząd, najeżony szpilkami, i ciągle się nim chłostał, tak, że nie było miejsca na ciele, skądby krew nie ciekła. Kapucyni zachęcali tych biedaków do biczowania się i dawali im wino i inne posiłki, aby dalej mogli wytrzymać tę krwawą komedję. Jedzenia było poddostatkiem, gdyż przekupnie nieśli baryłki z winem i kosze mięsiwa. Procesja składała się z około ośmiuset biczowników, niosących ze 600 pochodni, i szła do św. Piotra, gdzie jej pokazywano relikwje». De Coulange dodaje, iż patrząc się na ten pochód, miał wrażenie, jakoby ci ludzie byli zapłaceni, aby odgrywać komedję biczowania i jakoby większość ich miała skórę zabarwioną jakąś maścią, która ma kolor krwi. «Cały Rzym śmieje się z tej procesji i dowcipkuje» kończy francuski podróżnik.

Równie wstrętnem, jak procesja biczowników, było wypędzanie szatana z opętanych. Montaigne z ciekawości poszedł do kościoła, gdzie się właśnie taka operacja odbywała. Pacjenta przyprowadzono do małej kaplicy, kazano mu uklęknąć przed ołtarzem i trzymano za jakiś kołnierz sukienny, który mu okręcono około szyi. Ksiądz czytał nad nim modlitwy i egzorcyzmy, rozkazując djabłu, aby opuścił ciało chorego, a wreszcie zwrócił się do opętanego, zaczął go przeklinać, bić pięścią, plwać mu w twarz, co ów biedak znosił cierpliwie i mówił jakieś niewyraźne słowa, to w swojem imieniu, to w imieniu szatana. Operacja ta trwała dość długo, poczem ksiądz podszedł bliżej ołtarza, położył jedną rękę na cyborjum, a do drugiej wziął zapaloną świecę, spuszczając ją

knotem ku posadzce, aby się prędzej topiła, i ciągle wymyślał na djabła i krzyczał, co mu sił starczyło, aby opuścił ciało opętanego. Djabeł był wszakże zawzięty, nie chciał tak łatwo się wynieść, tak, że duchowny spalił drugą świecę bez skutku i dopiero przy trzeciej świecy djabeł, znudzony i przestraszony, uciekł. Wtedy ksiądz zbliżył się do chorego i oznajmił krewnym, którzy go przyprowadzili, że teraz mogą spokojnie z nim wracać do domu. Przytomnemu zaś Montaignowi, który się przypatrywał tej czynności wraz z kilkoma znajomymi, opowiadał ów duchowny, że ten djabeł, którego właśnie wypędził, należał do najgorszego rodzaju piekielników, gdyż był dziwnie uparty i zawzięty i dużo kosztowało pracy, aby się go pozbyć. Ów lekarz opętanych chwalił się także, że wczoraj uwolnił jakąś kobietę od gorszego jeszcze szatana i że z ust pacjentki wychodziły gwoździe, szpilki i całe kłęby djablej sierści. Należało to bowiem do właściwości opętanych kobiet, że wypluwały gwoździe kopyt czartowskich.

Barocco wszędzie. Nawet chorych żebraków nie umiano wtedy sprowadzić do nowego przytułku bez dziwacznej uroczystości. Grzegorz XIII kazał zbudować duży szpital i 27 lutego 1581 r. miano tam umieścić przeszło trzy tysiące biedaków. Dziady wolały jednak wolność, aniżeli szpital, a bractwo Trójcy świętej, które się tą sprawą zająć miało, mogło ich zebrać zaledwie ośmiuset. Dla tych urządzono rodzaj procesji, która szła najprzód na Kapitol, a potem dopiero do szpitala. Pochód rozpoczynali członkowie bractwa w czerwonych habitach, niosąc wielki krzyż, jarzące się świece z białego wosku, a za nimi postępowały różne chóry, śpiewające psalmy, i muzyka, wtórująca pobożnym pieśniom. Następnie szli ubodzy w łachmanach, mogący jeszcze chodzić, za nimi ślepi i kulawi na wozach, które ciągnęli zdrowi żebracy, a wreszcie jechało czternaście wozów, zapełnionych kalekami. Wielu z tych nieszczęśliwych miało najobrzydliwsze zaraźliwe choroby, co wszakże nie przeszkadzało, aby ich w tryumfie prowadzić na Kapitol.

I w dobroczynności nie obeszło się bez rzeczy nadzwyczajnych. Według Reszki opowiadali polscy pielgrzymi, iż częstokroć w nocy przychodził po nich jakiś dobry człowiek,

z twarzą zakrytą, prowadził ich do jakiegoś domu, gdzie był stół «wielkim dostatkiem nagotowany», i tam im «wiele person» z zakrytemi twarzami służyło z pokorą. Po wieczerzy nogi im umywano i rozdawano jałmużnę. Zapewne byliby pielgrzymi woleli, gdyby ich ze snu nie budzono i nakarmiono w dzień, a nie w nocy, ale w owych czasach robiono wszystko «inaczej». Vergilius Crescentius, ostatni ze znakomitej familji Crescencich, «narodu polskiego wielki miłośnik, spotkawszy na ulicy polskich pielgrzymów, jedzeniem, piciem i łożem ich opatrzał. Sam z małżonką, z dziatkami i czeladzią im do stołu służył, przyodziewał, szmaty stare oprawiać kazał, nowemi sukniami darował, ręce całował, nogi umywał i jałmużny czynił».

W kościele św. Trójcy wprowadził jeszcze Pius V co sobotę kazania dla Żydów, sądząc, że w ten sposób Kościół zyska wielu nawróconych. Za czasów Montaigna wybornym kaznodzieją był tam przechrzta Andrea de Monti, dawniejszy rabbi, mówił znakomicie i zbijał tekstem biblji nauki talmudystów. Ale Żydzi nie chcieli uczęszczać na te kazania; Grzegorz XIII wydał więc rozporządzenie, aby przynajmniej jedna trzecia część Izraelitów z Ghetto z żonami i dziećmi powyżej lat dwunastu przychodziła do św. Trójcy, sądząc, że w ten sposób będzie tam zawsze na kazaniu stu mężczyzn i pięćdziesiąt kobiet. Kościelny musiał czuwać nad tem, aby słuchacze zachowywali się spokojnie i nie spali, a organista zapisywał nazwiska obecnych. Kto nie przyszedł, ulegał grzywnie. Kazania te później, aż do roku 1614, odbywały się w kościele S. Angelo di Peschiera, jako najbliższym żydowskiej dzielnicy, ale widocznie niewiele przynosiły Kościołowi pożytku, gdyż je później zaniechano.

Straszną plamą na XVII wieku było rozwielmożnienie się trucicielstwa. Żony truły mężów, dzieci ojców, młodsi bracia starszych, aby po nich dziedziczyć, a nie było człowieka na wyższem stanowisku, któryby każdej chwili nie obawiał się podstępnego zamachu na swoje życie. Urban VIII uciekał do Castel Gandolfo przed trucicielami, kardynał Richelieu nie spożył żadnej potrawy, dopóki jej nie dał skosztować swym ulubionym kotom, które jako największe smakosze pomiędzy

domowemi zwierzętami, nie tkną się żadnego podejrzanego jadła. Trucicielstwo wprowadzili już Borgie do Włoch na szeroką skalę, ale dopiero w XVII wieku stała się trucizna powszechną plagą. Jak we wszystkiem, w dobrem i złem, przodowała i w tej mierze Florencja. Tam byli najzdolniejsi alchemicy, którzy przyrządzali takie trucizny, że sądy nie mogły rozpoznać, czy wogóle zmarła osoba była otrutą; tam robiono «lekarstwa», które wywoływały choroby, zabijające człowieka w ustanowionym zgóry czasie. Mistrzostwo w sposobach pozbywania się ludzi dochodziło do tej doskonałości, że jabłko, przekrojone na dwie połowy, przynosiło śmierć tylko jednemu z tych, którzy je spożyli; nóż był zatruty tylko z jednej strony.

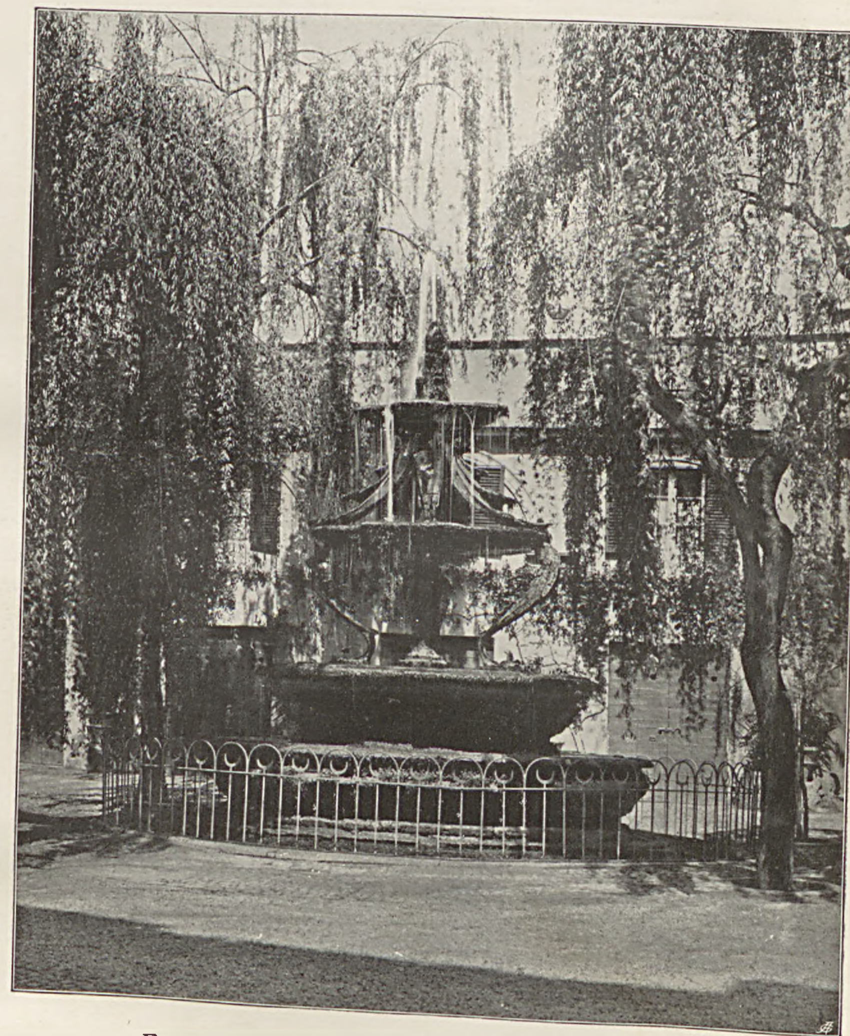
ROZDZIAŁ DRUGI

PAOLO GIORDANO ORSINI

I

W starej dzielnicy Rzymu, niedaleko Tybru i dzisiejszego Corso Wiktora Emanuela, znajduje się mały pagórek, zaledwie wart tej nazwy, a na nim duży czworoboczny gmach z przestronnym dziedzińcem i śliczną, starą studnią, ocienioną płaczącemi wierzbami. Z wysokiego muru spoglądają na podwórze dwa kamienne niedźwiadki, omszałe znaki herbowe dawnych właścicieli tego zamku, Orsinich. Gmach ten nazywa się dzisiaj Palazzo Gabrielli-Taverna, a w wiekach ubiegłych był jedną z głównych siedzib Orsinich, którzy posiadali w Rzymie cały szereg kamienic, a pomiędzy innemi pałac na Campo de'Fiore i przy placu Navona, Palazzo Braschi.

W roku 1583 był głową owego rodu Paolo Giordano Orsini, duca di Bracciano, właściciel wielu posiadłości, tworzących prawie udzielne państewko. Urodził on się około roku 1537, miał zatem wtedy lat czterdzieści sześć, był wysoki, niezmiernie otyły, rudowłosy i blady na twarzy, którą ożywiał uśmiech raczej ironiczny, aniżeli wesoły. Paolo Giordano należał do najgwałtowniejszych ludzi pomiędzy rzymskimi baronami; dumny, wyniosły, mściwy i przewrotny, odznaczał się wcale gruntownem wykształceniem i prawdziwie krasomowczym talentem. Za Grzegorza XIII był pierwszym panem



Fontanna w podwórzu dawnego pałacu Orsinich na Monte Giordano w Rzymie

Do str. 24

Fot. Danesi

rzymskim i jak monarchę, nazywano go tylko po imieniu, Paolo Giordano. Jeżeli o Colonnach mówiono, że istnieli jeszcze przed Abrahamem, to Orsini mogli się szczycić, że Kościołowi dali trzech papieży i cały szereg kardynałów, że jedenaście królowych z ich rodu zasiadało na tronach Europy i że dwanaście cór cesarskich i królewskich połączyło się z nimi węzłem małżeńskim. Duca di Bracciano miał od cesarza nadany sobie tytuł «altezza» i podobnie, jak inni panujący włoskich księstw, utrzymywał stale swego posła przy cesarskim dworze, ba, nawet król neapolitański miewał rezydenta na zamku w Bracciano.

Matka Paolo Giordana, Francesca, była córką Bosia Sforzy, hrabiego di Santa Fiora, a ponieważ wcześnie umarła, równie jak ojciec jego, Girolamo, przeto wychowaniem młodego Orsiniego zajmował się wuj po kądzieli, kardynał di Santa Fiora. Girolamo zadłużył swe dobra, kardynał także fortuny wychowańca nie powiększył, tak, że Paolo Giordano odebrał spuściznę po przodkach bardzo obciążoną, a zamiast złota odziedziczył mnóstwo procesów. Musiał też zaraz w początkach swego gospodarstwa pozbyć się znacznej części dóbr, a mianowicie sprzedał Isolę, starożytne Vei, kardynałowi Farnese, a dobra Palo kardynałowi Guid'Ascanio Sforzy. Nie był on zresztą zdolnym do uporządkowania spraw majątkowych, rozrzutny bowiem i lubiący otaczać się przepychem, zadłużał się coraz bardziej, zwłaszcza że brał udział w rozmaitych wojennych wyprawach, a za Pawła IV przygotowywał obronę Rzymu przeciw Hiszpanom, co go niemało pieniędzy kosztowało. Chcąc się ratować w swych finansowych kłopotach, ożenił się z Izabellą, córką Cosima de'Medici, który także chętnie łączył się z Paolem Giordanem, z politycznych powodów. Dobra bowiem Orsinich graniczyły z posiadłościami sieneńskiej rzeczypospolitej i duca di Bracciano mógł być pomocnym Medyceuszowi w opanowaniu Sieny, którą od dawna chciała Florencja przyłączyć do swego państwa.

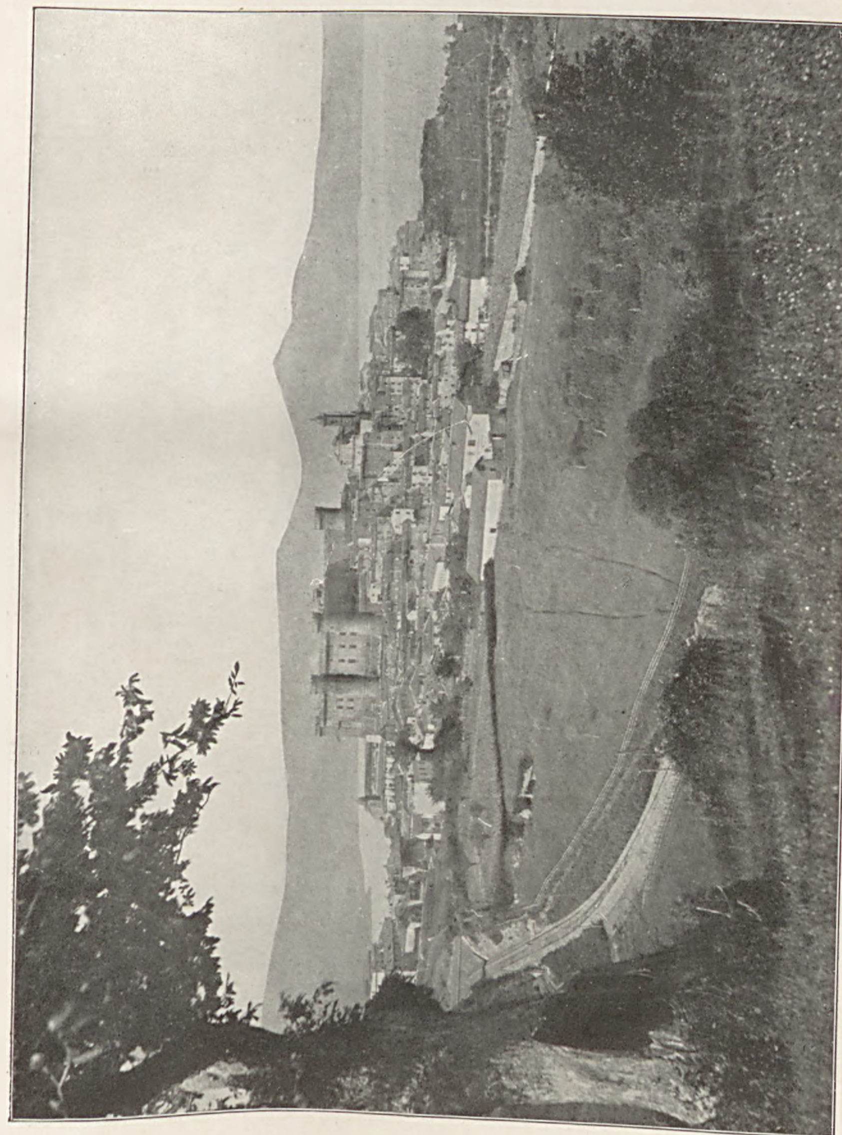
Izabella była niepospolitą kobietą; bardzo piękna, bystrego przytem umysłu, zajmowała się naukami i brała żywy udział we wszystkiem, co poruszało ówczesnem społeczeństwem. Cosimo jednak źle wyszedł na koligacji z Orsinimi,

gdyż Paolo Giordano, nagabywany przez wierzycieli, trapił go ciągle prośbami o pożyczki. Raz nawet dał Medyceusz zięciowi 30.000 skudów na uporządkowanie interesów, co się wszakże nie na wiele przydało, gdyż Izabella była równie rozrzutną, jak jej mąż, i gospodarstwo szło jak najgorzej. Publiczność rzymska podziwiała wprawdzie wspaniałomyślność Paola Giordana, «la grandezza del suo animo», ale Cosima wcale nie cieszyła ta sława.

Raz jednak, za młodszych czasów, okazał Paolo Giordano rzeczywiście «animusz» i odwagę, godną swych przodków, biorąc bowiem udział w bitwie morskiej pod Lepanto, na galerach hiszpańskich, pod dowództwem Giovanniego d'Austria, wpadł ze swoim okrętem pomiędzy turecką flotę, zmusił jednego z nieprzyjacielskich kapitanów do porzucenia galery i ratowania się w łodzi ucieczką. W uznaniu tych zasług mianował go król katolicki jenerałem piechoty, ale zczasem tłuszcz coraz bardziej oblewał rycerza, tak, że Paolo Giordano stał się niezdolnym do wojskowej służby. Został jednak grandem hiszpańskim, pobierał roczną pensję 3000 skudów i był w łaskach w Eskurialu, gdyż przy każdej sposobności okazywał swe przywiązanie do króla Filipa II.

Izabella de'Medici powiła w roku 1568 córkę Leonorę, a w r. 1572 syna Virginia, ale rodzinne szczęście w Bracciano mącili wierzyciele, którzy po śmierci Cosima jeszcze natrętniej oblegali pałace Orsiniego, wiedząc, że kasy Medyceuszów zamkną się teraz dla rozrzutnika. I rzeczywiście, gdy Paolo Giordano zwrócił się w r. 1574 do następcy swego teścia, do wielkiego księcia toskańskiego Franciszka, o pożyczkę 70.000 skudów, szwagier odmówił pieniędzy, tłumacząc się, że z powodu wstąpienia na tron po ojcu zanadto miał wiele wydatków. Paolo Giordano okazał nawet w tym razie dużo naiwności, żądając pomocy od Franciszka, gdyż nowy książę był znanym z nieuczynności, z najgorszych obyczajów, a na jego niestały charakter nigdy nie było można liczyć.

Franciszek był jednak człowiekiem «honorowym» według ówczesnych pojęć. Hiszpanie przynieśli do Włoch honor, który pomiędzy innemi na tem polegał, że mężowi wszystko robić wolno, nawet zdradzać żonę dowoli, ale jeżeliby kobieta



Zamek w Bracciano

Do str. 27

wstępowała w jego ślady, musiała, jakeśmy już przytoczyli tego przykłady, być śmiercią ukarana, po cichu, tajemnie, ze wszelkiemi możliwemi względami na stanowisko rodziny. Wielki książę miał wkrótce po wstąpieniu na tron zastosować te zasady do swojej siostry.

Izabella bawiła często na dworze we Florencji, a nie kochając męża, zawiązała tam stosunek z Troilem Orsinim, synowcem Paola Giordana, trzydziestokilkoletnim, dzielnym żołnierzem, który był szambelanem króla francuskiego i brał udział w kilku wojennych wyprawach. Troilo może niewiele więcej był wart od Paola Giordana, ale przynajmniej nie raził Izabelli swą bezmierną otyłością. O tym stosunku dużo mówiono, a złe języki jeszcze więcej zaczęły się zajmować księżną Bracciano, gdy Izabella po wyjeździe Troila nawiązała romans z jednym ze swych paziów. Dbały o honor rodzinny Franciszek wezwał szwagra, aby przyjechał do Florencji i tam wyjawił mu gorszące zachowanie się księżny. Z rozmowy, którą prowadził Franciszek z Paolem Giordanem, usłyszano tylko słowa pożegnania. «Pamiętaj, że jesteś rycerzem i chrześcijaninem» miał powiedzieć Medyceusz, a dworzanie domyślili się zaraz, co mają znaczyć te piękne napozór wyrazy. Były one wyrokiem śmierci dla Izabelli.

Paolo Giordano wyjechał niebawem ze swoją małżonką na polowanie do Cerreto Guidi, a w kilka dni później kazał ogłosić, że «księżna, myjąc sobie głowę, upadła nieżywa w ramiona jednej ze swych damigelli». We Florencji wiedziano, że Paolo Giordano własnoręcznie Izabellę udusił. Dla «honoru domu» sprawił jej wszakże morderca wspaniały pogrzeb, szedł za trumną swej ofiary, według zwyczaju, pogrążony w smutku. Aby zaś zemsta była zupełną, musiał zginąć i Troilo. Wielki książę znalazł z łatwością wykonawcę haniebnego czynu, a rzecz szczególna, że «brawem» był tym razem człowiek, który chciał popełnić morderstwo nie za zapłatę, ale dla honoru przysłużenia się wielkiemu księciu. Zgłosił się do Franciszka żołnierz, Ambrogio Tremazzi z Modigliany i prosił tylko o trzysta skudów na drogę do Paryża, gdzie Troilo przebywał, aby dopełnić wendetty imieniem księcia. Franciszek przyjął z rozczuleniem ofiarę wiernego poddanego i wysłał go

do Paryża, gdzie Tremazzi, czatując przez kilka tygodni za węgłami domów, zamordował wreszcie Troila 30 grudnia 1577, a powróciwszy do Florencji, prosił w nagrodę za swój czyn «szlachetny» o ucałowanie ręki wielkiego księcia. Do tego doprowadziły spaczone wyobrażenia o «honorze», które na krzywdę Kościoła spleciono nawet z pojęciami religijnemi. Uważano bowiem za zasługę zmyć zbrodnią grzech, popełniony przeciw zasadom religji.

II

W dzielnicy Parione, przy via Papale, mieszkał w skromnym domu, wraz ze swą najbliższą rodziną, kardynał Montalto, dawniej ulubieniec Piusa V, dzisiaj, za Grzegorza XIII, odsunięty od głównych interesów Kościoła. Arystokratyczni kardynałowie, jak Este i Medici, mówili o nim, że za młodu świnie pasał, co mogło być prawdą, gdyż Felice Peretti, tak się bowiem kardynał właściwie nazywał, pochodził z ubogiej rodziny, osiadłej na brzegach Adrjatyku, w Grottamare, a jego ojciec posiadał małe gospodarstwo i trudnił się ogrodnictwem. Peretti byli Słowianami, uciekli przed najazdem Turków z Ilyrji i schronili się na ziemię włoską, podobnie jak wielu innych emigrantów, od których nawet w Rzymie jedna z ubogich dzielnic «Schiavonia» się nazywała.

Dziewięcioletniego Perettego oddali rodzice do klasztoru franciszkanów w pobliskiem Montalto, a w dwunastym roku chodził już młody chłopak w zakonnym habicie. Wielkie zdolności, żelazna wytrwałość i pracowitość otworzyły mu naroścież wrota kościelnej hierarchji. Zasłynął ze swej kaznodziejskiej wymowy, dostał się do klasztoru w Rzymie, pozyskał przyjaźń kardynała Carafy, późniejszego Pawła IV i kardynała Ghislieri, później Piusa V, zbliżył się do Ignacego Loyoli i Filipa de Neri, słowem, stał się zczasem najsłynniejszym franciszkaninem we Włoszech. W trzydziestym szóstym roku życia reformował już «frate», z polecenia papieskiego, klasztory w Sienie, w Neapolu i Wenecji, a ponieważ był surowym i nieugiętym w przeprowadzaniu swych zamiarów, więc został postrachem zakonników. Papież Pius IV zamianował go inkwizytorem i wysłał do Hiszpanji z legacją, na czele której stał kardynał Boncompagni, późniejszy papież Grzegorz XIII. Celem tego poselstwa było zbadanie wyroku, którym trybunał inkwizycji hiszpańskiej skazał na spalenie na stosie arcybiskupa z Toledo za herezję. «Frate», biegły w prawie kościelnem, miał być doradcą, teologiem kardynała, ale dumny Boncompagni nie znosił jego zarozumiałości i gdzie mógł, poniżał braciszka. Gdy w podróży hiszpańskiej nie można było dostać potrzebnej ilości koni, kardynał kazał jechać zakonnikowi na jucznych mułach, w towarzystwie poganiaczy. Mnich poddał się, ale wierzył w swą przyszłość i miał nadzieję, że zapanuje kiedyś nad tymi, którzy go upokarzają. Może z owych czasów pozostał mu charakterystyczny rys twarzy, niezwykle silne zaciśnięcie ust, zamykające szczelnie wszystkie gniewy i walki, które się w jego duszy burzyły.

Szczęście sprzyjało mnichowi. Po śmierci Piusa IV wybrano papieżem znowu przychylnie dlań usposobionego kardynała Ghislieri, który wstąpił na tron jako Pius V. Peretti został zaraz arcybiskupem św. Agaty, a następnie otrzymał arcybiskupstwo w Fermo, a w roku 1570 kardynalski kapelusz i przyjął nazwisko Montalto od owego klasztoru, w którym rozpoczął swą duchowną karjerę. Co więcej, papież, uważając go jako jednego z uboższych kardynałów, wyznaczył mu pensję po sto talarów miesięcznie, którą zazwyczaj pobierali tylko prałaci, mający bardzo szczupłe dochody.

Ale Pius V nie długo panował; po nim wstąpił na stolicę apostolską ów kardynał Boncompagni, który braciszkowi kazał podróżować w towarzystwie poganiaczy mułów. Montalti jeszcze bardziej zacisnął usta, usunął się z otoczenia Grzegorza XIII, oszczędzał i czekał. Kiedy niekiedy tylko opowiadano sobie w Rzymie jakąś złośliwą uwagę o panującym papieżu, jakieś sarkastyczne słowo, które wychodziło z domu w dzielnicy Parione, a może i odbijało się o ucho Grzegorza XIII i psuło jeszcze bardziej i tak już niedobry stosunek pomiędzy papieżem a kardynałem.

Domem Montalta zarządzała jego siostra donna Camilla, do której kardynał był bardzo przywiązany. Kamilla była za-

mężną za Giambattistą Mignucim da Montalto, rolnikiem, i miała z nim dwoje dzieci, syna Francesca i córkę Marję. Jak tylko owdowiała, a fra Felice był w tym czasie jeszcze inkwizytorem, sprowadził ją wraz z dziećmi do Rzymu i odtąd z nią mieszkał, otaczając całą jej rodzinę jak najtroskliwszą opieką. Franciszkanin porównywał siostrę z powodu świętości do św. Moniki, porównanie jednak, przynajmniej co do pokory, nie było zbyt trafne, gdyż Kamilla należała do kobiet niesłychanie ambitnych, a choć wychowana bardzo skromnie i żyjąca w młodości prawie w ubóstwie, stała się tem dumniejszą i tem bardziej żądną władzy, gdy losy wyniosły brata jej na szerszą widownię. Korzystając też ze stanowiska fra Felice, wcześnie wydała swą córkę Marję za rzymskiego szlachcica Fabia Damasceniego i jak zobaczymy, umiała pokierować fortuną swych wnuków. Synowi kazała zapomnieć o skromnym ojcu i przyjąć nazwisko Perettich, które już uświetniał kardynał. Zmiany nieznanych nazwisk na głośniejsze były zresztą wówczas czemś bardzo powszedniem i zwykłem.

Nad młodym Perettim zaciążyły jednak smutne losy; w spokojny dom kardynała wniósł on zarzewie ciężkich przejść i tragedyj. Zakochał się w szesnastoletniej dziewczynie z dobrego rodu, Wiktorji Accaramboni, jaśniejącej wielką urodą, ale nie posiadającej prawie żadnego posagu. Accaramboni pochodzili z Tolentino, gdzie mieli posiadłość Castello di Piega, a następnie osiedlili się w Gubbio i zajmowali w tamtejszem społeczeństwie wybitne stanowisko. Kilku z nich było podestami, dziad zaś Wiktorji, Girolamo, medyk i profesor w Perugji, w Bolonji i w Padwie, został lekarzem Leona X. Syn jego Claudio trudnił się wojskowem rzemiosłem, towarzyszył słynnemu Piotrowi Strozziemu w jego wojennych wyprawach i doszedł nawet do zaszczytnego urzędu konserwatora miasta Rzymu. Był on żonaty z Tarquinią Paluzzi Albertoni i miał z nią dwanaścioro dzieci: dziewięciu synów i trzy córki. Najmłodszą z nich, ową piękną Wiktorję, ochrzczoną w r. 1557, zaprowadził Francesco Peretti w lipcu r. 1573 w Rzymie do ołtarza.

Młoda para, nie mając własnego domu, sprowadziła się do donny Kamilli. Lekkomyślny Francesco nie miał żadnego

zajęcia, Wiktorja zanadto jaśniała swemi wdziękami i zanadto była żądna światowych uciech, aby mogła się czuć szczęśliwą pomiędzy oszczędną i małomiejską Kamillą a surowym kardynałem. Uchodziła za najbardziej uroczą kobietę w Rzymie, zadziwiała żywością umysłu, nadzwyczaj miłem obejściem i naturalną gracją ruchów, którą współcześni pisarze jednomyślnie podnoszą. Oczy jej płonęły żarem, a wesoły uśmiech z ust prawie nie schodził. Jakiś poeta nazywa ją najpiękniejszą pomiędzy pięknemi, «ante caeteras omnes pulchritudines pulcherrima», a w jednym z sonetów do niej pisanych czytamy, że Wiktorja odniosła palmę zwycięstwa nad greckiemi i rzymskiemi kobietami.

La Gran Vittoria io son ch'l pregio tolsi
Di bellate alle greche e alle latine.
E morte anch'io recai guerre e ruine
Et Roma a grado mio sossopra volsi.

Jasna ta kobieta dziwnie wyglądała w szarym domu Perettich. Kardynał żył bardzo skromnie, pomimo że miał dostateczne dochody; mówiono, że się przygotowuje do papiestwa, «che papaggiasse». Z zaoszczędzonych pieniędzy nabył winnicę koło Santa Maria Maggiore, którą się bardzo cieszył, założył tam zczasem ogród i budował willę według planów młodego architekta Fontany, którego sprowadził z Lombardji.

Grzegorza XIII gniewało to, że kardynał udaje niezamożnego, a willę stawia; kazał się więc raz zawieźć w okolice Sta Maria Maggiore, a zobaczywszy rozpoczętą budowę, polecił kasie watykańskiej, aby przestała wypłacać Montaltowi pensję, którą go Pius V obdarzył, utrzymując, że ubodzy prałaci nie stawiają pałaców. Kardynał nie szczędził zresztą grosza tam, gdzie chodziło o pokazanie się dobroczynnym i zaskarbienie sobie względów opinji publicznej. Gminie Montalto dał 1370 skudów na założenie szkoły i 2000 na utrzymywanie lekarza, dalszych krewnych wspierał i zakonowi swemu pomagał. Wiktorję zrazu dość lubił, ale na żadne zbytki jej nie pozwalał. Młoda kobieta zaczęła się buntować, nie myślała bynajmniej poddać się franciszkańskiemu mnichowi i teściowej tercjarce, nie zgodziła się na to, aby młodość swą zmar-

nować na chodzeniu do kościoła, ale zaraz w początkach małżeństwa zaczęła okazywać swą wolę i dogadzać własnym upodobaniom. Męża, jako człowieka niższego od siebie rozumem i światowem obejściem, lekceważyła i uważała się z rodu za wyższą istotę od chłopów Perettich. Ubiorami starała się wyszczególniać od innych kobiet, sprawiając przepyszne suknie. Wprowadziła jakiś nowy sposób fryzowania włosów, niewidziany jeszcze w Rzymie, a chcąc zapewne, aby o niej mówiono, szczególną miała przyjemność w trzymaniu dzieci do chrztu. W księgach parafjalnych rzymskich zapisano Wiktorję, w przeciągu lat kilku, jedenaście razy, jako matkę chrzestną. Być może zresztą, że korzystała z tych sposobności, aby się wyrywać z pod opieki madonny Kamilli i widywać z przyjaciółmi.

Biedny Francesco nie mógł nastarczyć wydatkom, zwłaszcza, że Montalto coraz mniej okazywał się hojnym. Accaramboni się buntowała i skarżyła przed każdym, kto jej chciał słuchać, że nie na to wyszła zamąż za siostrzeńca kardynała, aby żyć w biedzie, wyjeżdżać na oślicy do miasta, jak pierwsza lepsza kupcowa, i nie mieć nawet powozu. Ten brak wehikułu gniewał ją, czuła się upokorzoną wobec pań rzymskich, z których każda miała pyszną karocę.

Można sobie wystawić, jak te wymagania gniewały Kamillę i jak jej stosunek ze synową stawał się coraz gorszy; zresztą i kardynał był z niej niezadowolony, że nie miała syna, któryby stał się dziedzicem jego nazwiska i majątku. Wiktorja posuwała zresztą rzeczy do ostateczności, buntowała męża i swoją rodzinę, aby żądano zwrotu jej posagu, który Kamilla zabrała i zahipotekowała na winnicy kardynała. Na postrach, który miał zaniepokoić franciszkanina, żądała, aby wysłano ją z mężem do Montalto, skoro w Rzymie nie może mieć przyzwoitego utrzymania. Wiktorja wiedziała, że kardynał jest zanadto dumnym, aby pozwolić na powrót siostrzeńca na głuchą prowincję i narazić się na opowiadania o swojem skąpstwie. Montalto, chcąc uniknąć obmowy, oświadczył, że zwróci posag, ale pod warunkiem, że odsetki od pieniędzy nie będą wręczane Wiktorji, którąby je wydała na stroje, lecz zostaną użyte na utrzymanie młodego małżeństwa i na inne konieczne wydatki, co znaczyło, że donna Kamilla miałaby liczyć synowej każdą łyżkę minestry. Po długich targach skłonił się kardynał do odstąpienia na własność małżeństwu winnicy na Esquilinie. Ale ogród mało przynosił dochodu, a Wiktorja wolała gotówkę. Wkońcu wypłacił jej kardynał 2000 skudów i zabrał napowrót winnicę, zdarzyła się bowiem sposobność dokupienia sąsiednich gruntów i Montalto powziął myśl wybudowania tam swej willi.

Więcej może, aniżeli z Wiktorji, był kardynał niezadowolony z jednego z jej braci, Marcella Accaramboniego, o którym przypuszczano, że skończy na galerach. Młody, przystojny, gotów był Marcello każdej chwili do jak najgorszego czynu, jeżeli tylko spodziewał się zysku. Kardynał wyrobił mu w Rzymie korzystną posadę, lecz to się nie przyczyniło do uspokojenia burzliwego awanturnika; Marcello zabił, z powodu jakiejś «honorowej» sprawy, Mateusza Pallaviciniego, brata kardynała tego samego nazwiska, i musiał z miasta uciekać. Wtedy udał się do Bracciano, do Paola Giordana Orsiniego, który zawsze potrzebował ludzi odważnych, a do wszelkiej zbrodni gotowych. Orsini go polubił, utrzymywał jako dworzanina w Bracciano, skąd Marcello potajemnie robił częste wycieczki do Rzymu i jak mówiono, nocował w mieszkaniu swej siostry. Odwiedziny zresztą Marcella miały cel, o którym ani kardynał, ani Kamilla nie wiedzieli. Orsini poznał w Rzymie Wiktorję, która mu się nadzwyczaj podobała, a usłużny Marcello, chcąc skorzystać ze słabostki swego pana i wkraść się jeszcze bardziej w jego łaski, postanowił Paola Giordana zbliżyć do swojej siostry. Paolo nie był człowiekiem, którymby się kobieta zająć mogła, ale jego stanowisko pierwszego magnata rzymskiego, jego pałace, zamki, służba, konie i powozy zawróciły głowę próżnej Accaramboni. Wiktorja zezwoliła więc na schadzki, które Marcello ułatwiał, ale, jak zauważył jeden ze współczesnych pisarzy, nie było łatwo kochankowi o tak olbrzymiej tuszy, jak Giordano, skradać się do niej wąską furtką w ogrodzie i o niezwykłej porze. Trudności wszakże, na jakie napotykał Orsini, jeszcze bardziej podniecały jego żądze, zwłaszcza, że obawiał się niebezpiecznego współzawodnika, kardynała Aleksandra Farnese,

który, jak mówiono, starał się także o łaski pięknej Accaramboni. Kardynał liczył wprawdzie lat sześćdziesiąt, ale wyjątkowo piękna Wiktorja mogła jeszcze pobudzać jego namiętności. Opowiadano nawet o kilkutygodniowym pobycie Accaramboni w Capraroli, który o tyle był możliwy, że wobec męża i świata zasłaniał te odwiedziny poważny wiek kardynała.

Paolo Giordano, przywykły do usuwania przeszkód w życiu gwałtownemi środkami, postanowił, aby posiąść Wiktorję, zamordować jej męża, a wykonawcą zbrodni miał być Marcello, który może i poddał ową myśl swemu panu. Zabrał on się do rzeczy jak doświadczony bandyta. Przedewszystkiem wprowadził do domu swej siostry zaufaną kamerierę, Katarzynę z Bolonji, i jej kochanka, Alfonsa z Città di Castello, dawniej służącego w Bracciano. Alfons był niewidomy, ale miał więcej przebiegłości, aniżeli niejeden służący o zdrowych oczach, i działał tak, aby nie zwracać żadnego podejrzenia, że się coś złego przygotowuje. Gdy uważał chwilę za stosowną, dał znać do Bracciano i Marcello przybył do Rzymu z kilkoma sprawnymi bandytami, których zawsze było poddostatkiem na usługach Orsiniego. Przewodził im bravo, Paolo Barca z Bracciano, silny mężczyzna, o czarnej brodzie i brunatnych oczach. Jemu i kilku towarzyszom kazał się Marcella ukryć w nocy z szesnastego na siedmnastego kwietnia r. 1581 w jakimś zaułku na Kwirynale i oczekiwać tam Francesca Perettiego, aby go zamordować.

Zaledwie się owej nocy Francesco do snu ułożył, zapukano do drzwi. Weszła kameriera Katarzyna i przyniosła jakiś bardzo pilny list. Francesco pieczęć rozłamał; było to pismo od Marcella, który go prosił usilnie, aby przyszedł zaraz pod ogrody Sforzy, na Montecavallo, gdyż ma do niego ważny interes. Peretti zebrał się zaraz, nie podejrzywając nic złego, i pomimo próśb żony, aby został w domu, wyszedł z jednym służącym, który niósł przed nim pochodnię.

Ogrody Sforzów znajdowały się tam, gdzie dzisiaj pałac Barberinich, a Francesco musiał przechodzić około wielkich starożytnych murów i pustych placów. Gdy się już zbliżył do wskazanego miejsca, dały się słyszeć strzały z rusznic. Francesco powalił się odrazu, nieżywy, a służący uciekł. Mordercy przecięli swej ofierze gardło i oddalili się, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Wiktorja była wdową.

III

Nazajutrz po popełnionem morderstwie pisał monsignor Aleksander Medici, ambasador Wielkiego księcia toskańskiego, swemu panu, że pomimo wczorajszej tragedji kardynał Montalto przyszedł z rana na konsystorz i nie okazywał żadnego wzruszenia, jakby przelana krew wcale go nie obchodziła. Inni kardynałowie spoglądali z pewnem zdziwieniem na wyraz prawdziwej, czy udanej obojętności, malującej się na obliczu Montalta, a gdy papież, po skończonych obradach, zaczął go pocieszać i obiecywał najsurowiej ukarać zbrodniarza, kardynał błagał Jego Świątobliwość, aby zaniechano wszelkich dochodzeń, gdyż on i jego rodzina chcą winę darować mordercy, ktokolwiek nim jest; nie radzi ściągać na siebie wielkiego grzechu vendetty, pragną owszem zdać się w tej mierze na wolę Bożą.

To zachowanie się kardynała różnie sobie tłumaczono; jedni sądzili, że Montalto nie chciał, aby w śledztwie wyszły najaw jakie szczegóły, któreby mogły cień rzucić na Wiktorję i na rodzinę Perettich, inni wynosili szlachetność kardynała pod niebiosy, głosząc, że i papieski Rzym ma swego Katona.

Co więcej, pomimo, że całe miasto mówiło o tem, iż sprawcą zbrodni jest Paolo Giordano, kardynał przyjął księcia, który doń przyjechał, aby wyrazić swój żal z powodu nieszczęścia, jakie spotkało rodzinę Perettich. Orsini tak był zdziwiony tym udanym spokojem kardynała i powagą, jaką umiał pokrywać swe myśli i zamiary, że wsiadając do powozu, powiedział jednemu ze swych dworzan: «Ależ to siła w tym mnichu!»

Co do Wiktorji, kardynał rozporządził, aby wróciła do swej rodziny, pozwalając jej zabrać wszystkie kosztowności,

które od męża i od kardynała dostała w podarunku. Młoda wdowa zamieszkała więc w pałacu Accarambonich, później de'Masa, wpobliżu kościoła San Luigi de'Francesi, wraz z ową bolońską kamerierą, którą jej Marcello polecił. W tym pałacu mieszkali rodzice Wiktorji i brat jej, abbate Mario, a powszechnie mniemano, że matka Accaramboni wiedziała o stosunku swej córki z Orsinim i bardzo z tego powodu była uszczęśliwiona, gdyż według wszelkiego podobieństwa do prawdy Paolo obiecał się ożenić z Wiktorją w razie, gdyby została wdową.

Usunąwszy więc przeszkodę połączenia się z Accaramboni, dążył duka do rychłego urzeczywistnienia swych zamiarów. Kazał zawołać oddanego sobie księdza, don Paola Malettę, i posłał go do rodziców Wiktorji, aby w jego imieniu oświadczył im, że pragnie pojąć ich córkę za małżonkę, znał ją bowiem jako najczystszą i najwierniejszą kobietę, całą duszą Bogu oddaną. Don Maletta miał dodać także, że życzeniem jest Orsiniego, aby ślub odbył się wprawdzie wobec księdza i dwóch świadków, ale aby przez sześć miesięcy był przed światem tajemnicą. W ostatniej chwili jednak uląkł się Maletta odpowiedzialności wobec papieża, gdyż przewlekał przez kilka dni pod różnemi pozorami owe oświadczyny. Tymczasem Orsini stracił cierpliwość; poszedł więc do Accarambonich, zawołał na świadka służącą Katarzynę i zamienił z Wiktorją pierścionki, mówiąc uroczyście, że ją bierze za żonę. Ale Wiktorja nie ufała tego rodzaju zaślubinom, tem bardziej, że rodzice i brat Mario wymagali, aby się zadość stało przepisom kościelnym. Widząc więc, że w zamierzony sposób nie osiągnie ręki młodej wdowy, posłał książę Malettę do monsignora Pirra Taro, zastępcy wikarjusza Apostolskiego, z zapytaniem, czyby nie mógł zaślubić Wiktorji potajemnie, tylko wobec księdza, dwóch świadków i notarjusza, nie rozgłaszając narazie owego małżeństwa ze względu na przeszkody, któreby rodzina Orsinich mogła stawiać temu związkowi. Paolo Giordano miał zresztą słuszność, bo zanosiło się już na wielkie intrygi. Częste jego odwiedziny w pałacu Accarambonich zwróciły powszechną uwagę, domyślano się, że duka zamyśla się z Wiktorją ożenić. Przypomniano sobie drobny napozór fakt z ostatniego karnawału, który teraz nabierał znaczenia. Podczas wyścigów na piazza Colonna wystąpiła służba Paola Giordana w zupełnie czarnej liberji, obszytej srebrnemi łzami i ozdobionej dewizą: «Aut lacrimis, aut sanguine», «albo łzami, albo krwią». Łzy widocznie nie na wiele się przydały, więc krwią cel miał być osiągnięty.

O zamiarach Paola Giordana dowiedział się już kardynał Ferdynand de'Medici, ten sam, który później, złożywszy purpurę, zajął tron toskański. Małżeństwo to przyniosłoby hańbę rodowi Medicich, a co więcej, wyszłoby na szkodę dzieci Izabelli, Leonory i Virginia, które kardynał bardzo lubił. Orsini także zaczęli się burzyć przeciw temu małżeństwu, które uważali za niegodne głowy ich domu, byli pewni, że za złe weźmie je król hiszpański, dotąd tak im przychylny, i że aureola ich rodu na dworze katolickim będzie przyćmiona. Spokrewnieni z Paolem Giordanem kardynałowie Cesi, Salviati i Rusticucci także uderzyli na alarm, cały Watykan zawrzał oburzeniem.

Monsignor Mario Marzio, zastępca wikarjusza Apostolskiego, kazał też do siebie zaprosić Wiktorję, a gdy w towarzystwie kilku krewnych pań przybyła do Watykanu, oświadczył jej imieniem papieża, że w razie, gdyby chciała z kimkolwiek zawrzeć ponowne małżeństwo, musi mieć osobne na to pozwolenie Jego Świątobliwości na piśmie, inaczej jej małżeństwo byłoby uważane za nieważne i za niezawarte. Wiktorja udała wielkie zdziwienie, że wogóle monsignor mówi z nią o małżeństwie, gdyż ona po niedawnej tragicznej śmierci Perettego o powtórnych ślubach nie myśli, a gdyby kiedyś do nich przyjść miało, to spodziewa się po sprawiedliwości papieża, że jej w tej mierze przeszkód stawiać nie będzie.

Orsini przeczuwał, że ostrzeżenie monsignora Marzio zapowiada dalsze niebezpieczeństwa, a obawiając się, aby kardynał nie zmusił Wiktorję do wstąpienia do klasztoru, czemprędzej zabrał ją do swej willi na Magnanapoli, pozostawiając dla przyzwoitości rodzinie pisemne oświadczenie, że uważa ją za swoją narzeczoną i że małżeństwo nie będzie spełnione,

dopóki nie nadejdzie potrzebne pozwolenie od Jego Świątobliwości. Równocześnie odesłał Paolo Giordano matkę Wiktorji i bolońską kamerierę do Bracciano.

Montalto przypatrywał się spokojnie całej sprawie; nie chciał sobie robić nieprzyjaciół w przewidywaniu, że na przyszłem conclave może być wybrany papieżem. Gdyby był wystąpił teraz przeciw Orsiniemu, gdyby dał poznać po sobie, że go uważa za mordercę Francesca, toby poruszył kardynała de'Medici i całe jego stronnictwo, tudzież naraziłby się królowi katolickiemu, u którego Paolo Giordano był w łaskach. Wolał więc milczeć i udawać, że wszelkie możliwe winy Orsiniemu przebaczył. I rzeczywiście postępowanie kardynała nadzwyczaj korzystne w Rzymie sprawiało wrażenie; mówiono, że jest prawdziwie ewangelicznym mężem, który za złe płaci dobrem, że daleki od intrygi, prowadzi cichy, skromny żywot w swej willi, że ma otwartą dłoń dla ubogich, a przedewszystkiem, że nie jest mściwym i nie myśli o wendecie. Ta popularność Montalta gniewała arystokratycznych kardynałów, nazywali go «asino delle Marche», «osłem z Marchji», a gdy miał przemawiać w kongregacjach, szeptali sobie: «Cicho, osieł zaczyna ryczeć».

Pogłoski wszakże, że bandyci z Bracciano zamordowali Perettego, stały się tak powszechne, że rząd papieski nie mógł być obojętnym wobec popełnionej zbrodni. Gubernator Rzymu polecił więc, aby bargello ze swymi zbirami dostawił jednego ze sług Orsiniego, który się znajdował w pałacu swego pana. Ale pałace tak Orsinich, jak i innych magnatów, kardynałów i ambasadorów, miały zabezpieczoną nienaruszalność osób, które się tam schroniły, tak zwane «franchigie», na podobieństwo kościołów. Rzecz prosta, że te prawa czyniły nieraz niemożliwem chwytanie przestępców i bezpieczeństwo publiczne nadzwyczaj na nich cierpiało. Niektórzy papieże, jak Juljusz III, Pius IV, a nawet Grzegorz XIII w r. 1573, chcieli unieważnić owe przywileje, ale napotykali na taki opór tak szlachty, jak i ambasadorów, że wszelkie kroki, aby usunąć bezprawie, były nadaremne. Nawet już za czasów Grzegorza XIII kazał kardynał D'Este z bronią w ręku odeprzeć napad papieskich zbirów, którzy jednego z jego służby chcieli uwięzić. Mimo tych niepowodzeń papieskiej policji, polecił bargello zbirom uderzyć w nocy na zamek na Monte Giordano i porwać ludzi, na których padało podejrzenie, że brali udział w zamordowaniu Francesca Perettego. Orsiniego tam nie było, nocował w willi ogrodowej na Magnanapoli; ale służba, postępując w myśl rozkazów swego pana, zabroniła zbirom wstępu do zamku. Nazajutrz gubernator miasta posłał pisemne wezwanie do Paola Giordana, aby stanął w urzędzie i wydał winnych. Orsini nie przyjął pisma, gdyż, jak się wyraził, nie nadeszły jeszcze Bogu dzięki czasy, w których rozkazy gubernatora mogłyby przerywać sen rzymskim książętom. Gubernator więc przybił na bramie pałacu rozkaz, wzywający winnych, aby się przed sądem stawili. Wtedy duka grzeczniej już odpowiedział, że winnych nie może dostawić, gdyż pouciekali, każe ich wszakże szukać wszędzie, z wyjątkiem w Bracciano. Było to więc urąganie z papieskich rozporządzeń, co tak oburzyło Grzegorza, że pomimo swej powolności kazał zawiadomić Orsiniego, że jeżeli nie wyda obwinionych, ulegnie grzywnie dziesięciu tysięcy skudów. Paolo Giordano wypełnił w ten sposób polecenie, że posłał do sądu takich dworzan, którzy mogli złożyć dowód, że podczas morderstwa w Rzymie się nie znajdowali. Na tem się sprawa narazie skończyła, dalszych poszukiwań nie robiono i o grzywnie, nałożonej na Orsiniego, nie było już mowy.

Paolo Giordano używał tymczasem rozkoszy niedozwolonego małżeństwa, trzymał Wiktorję w swej willi ogrodowej, obsypywał ją klejnotami i sprawił jej dwie suknie wartości tysiąca pięciuset dukatów. Aby zaś ułagodzić papieża, wystarał się o posłuchanie i prosił go, aby pozwolił Wiktorji zawrzeć powtórne małżeństwo, a gdy Grzegorz temu żądaniu odmówił, Orsini wybiegł rozgniewany z sali, zaczął głośno skarżyć się na niesprawiedliwość papieża i opowiadał każdemu, kogo spotkał, że Accaramboni jest jego żoną. Oburzony Grzegorz XIII na takie postępowanie, rozkazał Orsiniemu, aby natychmiast odesłał Wiktorję do ojca i nieważył się z nią widywać, ani do niej pisać. Podobny rozkaz wysłano do Wiktorji.

Paolo Giordano zastanawiał się, co dalej począć; knuł zemstę, udawał chorego i wyjechał do Bracciano. Wiktorja

ze wzruszeń rzeczywiście ciężko zaniemogła; powszechnie ją żałowano, panie rzymskie zaczęły ją odwiedzać; znękana moralną i fizyczną boleścią ślubowała, jeżeli wyzdrowieje, ofiarować bogate szaty Madonnie de'Monti, do której się wówczas szczególnie zwracało nabożeństwo Rzymianek. Owa Madonna przechodziła charakterystyczne koleje. Zawieszona na murze jednego z domów Attavantich, była tak dalece w zapomnieniu, że ją przykryto składanem tam sianem. Zdarzyło się jednak, że jakaś ciemna kobieta odzyskała wzrok, modląc się do tej pogardzonej Madonny. Cud stał się głośny. Clelia Farnese zawiesiła tam kosztowne exvotum, a Paolo Giordano oprawił obraz w srebrne ramy, ponieważ jego syn, wskutek modłów do tej Madonny, wyzdrowiał. Co więcej, w r. 1580 padła na Rzym zaraza; według «Avvisi» ludzie zaczęli zapadać na taką chorobę, jak owce na motylicę, i w przeciągu dwóch miesięcy miało umrzeć dziesięć tysięcy osób. Powszechnie zwracano się wtedy do Madonny de'Monti; zaniedbywano wszystkie inne cudowne obrazy, wierzono tylko w modły, zanoszone do skromnej Matki Boskiej. Sława Madonny de'Monti była już tak rozgłośną, że papież wyznaczył osobną komisję, któraby spisywała cuda owej Madonny, a na prośbę kardynała Sirleto podarował ją kościołowi Katechumenów. Ażeby jednak lud dzielnicy de'Monti się nie burzył, postanowiono cudowny obraz w nocy przenieść na nowe miejsce. Trzech monsignorów i cała gromada murarzy i zbirów udała się w cichości, ukradkiem o drugiej w nocy do owego domu Attavantich, aby wykraść Madonnę. Nieszczęście jednak chciało, że któryś z sąsiadów spostrzegł, co się dzieje, zaczął wołać: «Zabierają Madonnę, ratunku!» i w jednej chwili okna domów się pootwierały, powstał straszny wrzask, zaczęto rzucać kamieniami na rabusiów, tak, że monsignorowie czemprędzej pouciekali, a dwóch murarzy zostało rannych. Nie myślano już dalej o przeniesieniu Madonny, a papież postanowił wybudować tam kościółek i oddać go Katechumenom, aby strzegli owego skarbu.

Podczas gdy Wiktorja modliła się do Madonny de'Monti, Paolo Giordano zbierał w Bracciano bandytów i rozpuszczał wieści, że napadnie na Rzym, jeżeli mu papież nie pozwoli

odwiedzać Accaramboni w jej rodzicielskim domu. Papież też ustąpił, zakaz został odwołany.

Zachęcony tem zwycięstwem i widząc, że w Watykanie przestano już mówić o Accaramboni, sprowadził ją Orsini znowu do swojej willi na Magnanapoli i zaczął skupywać ślubną wyprawę. Wskutek tego kardynał de'Medici i Wielki książę toskański uderzyli znowu na alarm, przedstawiając w Watykanie, że Paolo Giordano nie dotrzymuje obietnic, że, jeżeli papież stanowczo nie wystąpi przeciw temu zgorszeniu, to Orsini znajdzie sposoby, aby się z Wiktorją połączyć węzłem małżeńskim. Grzegorz zdobył się na energję i wydał rozkaz, aby Orsini pod karą 25.000 dukatów odesłał Wiktorję do rodzicielskiego domu. Paolo Giordano zastosował się narazie do tego zarządzenia, nie przewidując, co się dalej stanie. Gdy bowiem Wiktorja znalazła się u ojca, bargello z całym zastępem zbirów otoczył pałac, kazał ją wyprowadzić, wsadzić do karocy i w wojskowem otoczeniu zawieźć do więzień di Corte Savella, a stamtąd cichaczem przenieść do klasztoru św. Cecylji in Trastevere.

Uwięzienie było tak zręcznie przeprowadzone, że Orsini dowiedział się o wszystkiem dopiero wtedy, kiedy Wiktorję zamknięto już w klasztorze. Rozgniewany do najwyższego stopnia, wyjechał do Bracciano, aby przygotować napad i wykraść kochankę. Ale w Watykanie spodziewano się tego, a zakonnice także musiały się obawiać, iż z powodu Accaramboni klasztor ich może się znaleźć w niemałem niebezpieczeństwie. Przewieziono więc Wiktorję czemprędzej do Castel Sant'Angelo. W nocy 20 grudnia 1581 zamknęły się bramy zamku za kobietą raczej lekkomyślną, aniżeli występną.

IV

Grzegorz XIII, Hugo Boncompagni, któremu zawdzięczamy reformę kalendarza, pochodził ze znakomitej mieszczańskiej rodziny w Bolonji i został za Piusa IV kardynałem. Francuzi żartowali zrazu z tej reformy, nazywając ją «les

dix jours du Pape», ale ostatecznie przestali dowcipkować, gdy cały chrześcijański świat przyjął nową rachubę.

Papież był pięknym starcem, o długiej, siwej brodzie, średniego wzrostu, prosto się trzymał i dziwnem cieszył się zdrowiem, pomimo lat ośmdziesięciu. Utrzymywał, iż czerstwość swą zawdzięcza temu, że zawsze przed śniadaniem żuje kilka ziarn jałowca, oddalających wszelkie choroby. Montaigne, który zawsze cierpiał na żołądek i na żółciowe kamienie, nie posiadał się z zazdrości, widząc o tyle starszego papieża, któremu nic nie brakuje. Paolo Tiepolo, poseł wenecki, pisał o nim w roku 1576, że krwisty i wesół, będzie dłużej żył, niż jego ojciec i dziad, z których pierwszy dosięgnął lat ośmdziesięciu, a drugi umarł, mając lat dziewięćdziesiąt. Żył też Grzegorz XIII jak najskromniej, jadł niewiele i lubił jak najprostsze potrawy. Chodził po trzy do czterech godzin na przechadzkę po Kampanji, nie zważając na wiatr i deszcz, a młodzi ludzie, których brał ze sobą, nie mogli mu dorównać w wytrwałości. Do zdrowia papieża przyczyniało się i to niemało, że się nie oddawał zmartwieniu, brał rzeczy dość lekko, a sprawy państwa nie leżały mu zbyt na sercu. O historji i polityce niewiele miał wyobrażenia, to też ostrożny był w sądach i z zasady skłaniał się raczej do «nie», aniżeli do «tak». Mówił też o nim kardynał trydencki Madrucci, że mamy papieża negatywnego, «Habemus papam negativum». Swojego «nie» nie osładzał bynajmniej grzecznemi słowami, ale krótko, sucho przeczył. Pod jednym względem wszakże był zarozumiałym: zdawało mu się, że jest najznakomitszym prawnikiem i wszystko zwracał do punctum iuris. Na starość pozostała mu namiętność budowania; stawiał więc gmachy publiczne, kościoły, mosty, szpitale i wytyczał drogi. Za jego rządów powstała w Rzymie ulica od Lateranu do Santa Maria Maggiore i Capella Gregoriana u św. Piotra. Papież mawiał, że wznosząc publiczne gmachy, udziela jałmużny, gdyż daje zajęcie wielu ubogim. Na swoją osobę szczędził wydatków, nie pozwalał, aby obiady więcej kosztowały, jak pół skuda, natomiast wspierał wiele rodzin niezamożnych w Rzymie, wypłacając im miesięczną pensję. Wobec potrzebujących wsparcia zapominał o swem «nie» i dawał «per l'amor di Dio».

Będąc jeszcze profesorem bolońskiego uniwersytetu, miał Grzegorz XIII syna, Jacopa Boncompagni, z młodą dziewczyną, pokojową u madonny Laury, jego bratowej. Hübner w swojem dziele o Sykstusie V robi ze służącej «une noble dame bolognaise»; upiększanie pochodzenia Jacopa nie jest wszakże potrzebnem, bo chłopak wyrósł na rozumnego człowieka i jednego z najbardziej lubianych papieskich nepotów. Profesor dał owej dziewczynie posag i wyszukał jej męża z niższego stanu, syna zaś legitymował i uważał później za swego nepota. Jako papież, obsypywał Grzegorz Jacopa urzędami i łaskami, mianował go już wtedy kasztelanem zamku św. Anioła, z płacą około 10.000 dukatów rocznie, kiedy chłopak jeszcze nie ukończył nauk, a w kilka lat później wyniósł do godności dowódcy papieskiej armji. Zaszczyty i wysokie pensje spadały na szczęśliwego nepota ulewnym deszczem, nawet senat wenecki nadał mu w r. 1579 patrycjat jako «bliskiemu krewnemu», «stretto parente» papieża. Kupił także Grzegorz dla syna signorię d'Arpino i Rocca Secca, tudzież hrabstwo d'Aquino za 140.000 dukatów, a następnie księstwo Sora. Wkrótce jednak spostrzegł się papież, że może za daleko posuwa się w miłości ku swemu ulubieńcowi; zaczął mu więc naraz wszystkiego odmawiać, o co tylko prosił, a nawet wysłał go do Ankony, aby tam nadzorował budowę obronnych murów. Niedługo jednak wytrwać mogło w tej obojętności ojcowskie serce; papież powołał napowrót Jacopa do Rzymu, ożenił go w r. 1576 z Constanzą Sforzą, kontessą di S. Fiora, sprawiwszy świetne wesele. Małżeństwo to pobłogosławione zostało dwanaściorgiem dzieci, które się rozrosły w potężną rodzinę Boncompagnich. Z ostatnią dziedziczką Ludovisich przeszło później i księstwo Piombino na Maremmie na Boncompagnich i było ich własnością aż do roku 1801, do zmiany włoskich stosunków wskutek francuskiej rewolucji. Napoleon nadał Piombino jako lenno Elizie Bacciochi-Bonaparte, a kongres wiedeński przyznał je wielkiemu księciu toskańskiemu. Wielki książę musiał jednak wypłacić rodzinie Boncompagnich indemnizację w sumie 800.000 skudów. Syn więc boloń-

skiego profesora i ładnej pokojowej stał się założycielem tego wielkiego rodu, a współcześni nie szczędzą mu pochwał i mówią, że był protektorem artystów i literatów. Poseł wenecki Antonio Tiepolo wychwalał Jacopa przed swoją signorią, jako człowieka wielce wspaniałomyślnego, nadzwyczaj zdolnego do prowadzenia spraw państwowych i powszechnie bardzo lubianego.

Miłość jednak do Jacopa i owo trzymanie się zawsze ściśle zasad prawnych miały wywrzeć szkodliwy wpływ na rządy Grzegorza XIII. Nigdy Włochom nie dał się tak we znaki bandytyzm, jak za owego papieża. Zdawało się, że powracają dawne czasy kondotjerów; na prowincji zawierano układy z bandytami, opłacano się ich przewódcom, a nawet w Rzymie nikt przed nimi nie był bezpiecznym. W ostatnich latach panowania Grzegorza XIII liczono w samem państwie kościelnem od dwunastu do dwudziestu siedmiu tysięcy bandytów, mniej więcej tyle, ile wynosiły razem wzięte stałe wojska wszystkich książąt włoskich.

Na ten rozrost bandytyzmu składały się rozmaite przyczyny, a przedewszystkiem idea papieża, że wszystkie dobra lenne, będące od wieków w posiadaniu znakomitych rodzin, należą do Kościoła i że się powinno nieprawnych posiadaczy wywłaszczyć i owe ziemie inkamerować. Wielkim lennikom, jak rodom Orsinich, Colonnów, nie można było tak łatwo zamków odebrać, zaczęto więc od słabszych.

Pod pozorem, że prawa tej szlachty były przedawnione, że lennicy nadużyli swej władzy, lub dopuścili się jakiejkolwiek winy wobec papieża, grabiono dobra, które ich rodziny posiadały. W ciągu lat wydziedziczono w ten sposób pięćdziesiąt feudalnych rodzin. Ludzie ci, niezdolni do żadnej pracy, wyrośli z mieczem u boku, zbierali około siebie podobnych sobie towarzyszy i łączyli się w bandy, aby żyć z cudzego mienia, a przedewszystkiem mścić się na papiestwie. W Neapolitańskiem panowały podobne stosunki; niesprawiedliwość i zdzierstwo hiszpańskich wicekrólów, konfiskaty dóbr rycerskich, pomnażały w zastraszający sposób szeregi bandytów. Ale tam był rząd silniejszy, bardziej sprężysty, więc mnóstwo wydziedziczonych, obawiając się wojować

w ojczyźnie, uciekało do papieskiego państwa, gdzie rzemiosło bandyckie było łatwiejsze. Zresztą i prywatne stosunki dostarczały sporo zaciężnych do tej ruchliwej armji. O sprawiedliwość w Rzymie, zwłaszcza gdy się miało za przeciwnika magnata, kardynała lub jakiego krewnego wielkich dygnitarzy, bardzo było trudno. Pokrzywdzony zaprzysięgał zemstę mocniejszemu i szedł pomiędzy bandytów, aby z ich pomocą dokonać vendetty. Gdy się zaś wielkie bandy potworzyły, zaczęły niektóre rządy i wielu magnatów używać ich do swoich celów. Powtórzyły się po części podobne stosunki, jak za czasów kondotjerów. Wielki książę toskański i książę na Urbinie bardzo często używali bandytów i popierali ich przy każdej sposobności jako swoich sprzymierzeńców, ba, i rząd papieski liczył czasami na ich pomoc.

Gdy przyszło do stanowczej walki przeciw bandytom, papież zawsze się obawiał, aby ich przywódcy nie wywarli zemsty na jego ukochanym Jakóbie, aby go nie zamordowali, a przeto jego energja słabła w stanowczych chwilach.

Najsilniejszym i najstraszniejszym pomiędzy naczelnikami band stał się Alfons Piccolomini, książę na Montemarciano, okrutnik, przed którym drżała ludność całego papieskiego państwa. Nienawidził on Baglionich z Perugji, a mszcząc się za jakieś doznane od nich urazy, popełnił kilka morderstw. Rząd Grzegorza XIII obłożył go cenzurami kościelnemi i skonfiskował mu dobra. Piccolomini zebrał silną bandę, a zręczny, szybki w ruchach, spadał jak piorun na swych nieprzyjaciół i niepokoił osobliwie Marchję i Romanję. Papież wysyłał kilkakrotnie znaczne oddziały wojska przeciw niemu, ale z potyczek z papieskimi żołnierzami wychodził Piccolomini zawsze zwycięsko.

Raz pod Cattoliką, mając tylko trzysta ludzi, rozbił i rozprószył pięć tysięcy wojska papieskiego; innym razem w sto pięćdziesiąt ludzi zdobył jakąś twierdzę, wymordował całą załogę i znikł bez śladu. Gdy go zanadto niepokojono, cofał się w posiadłości wielkiego księcia toskańskiego, który go zawsze osłaniał, albo szukał schronienia w jednym z zamków Orsinich, najczęściej w Pitigliano. Orsini byli spokrewnieni z Piccolominim i prawie otwarcie go popierali. Grze-

gorz XIII zwrócił się do wielkiego księcia Francesca z żądaniem, aby mu pomógł zniszczyć ową straszną bandę, ale florentyński rząd uchylił się od jakiegokolwiek czynnego wystąpienia przeciw Piccolominiemu; ofiarował się tylko pośredniczyć w układach pomiędzy bandytą a papieżem. Nie mając innego wyjścia, zgodzono się w Rzymie na to pośrednictwo i zawarto z Piccolominim w r. 1580 układ, na mocy którego rząd papieski zwracał Alfonsowi skonfiskowane dobra w Marchji, a Piccolomini zobowiązał się spokojnie osiąść w dawnym dziedzicznym majątku, w Pienzy, którą przodek Alfonsa, Pius II, przemienił w artystyczną siedzibę. Do tego układu przyczynił się niemało kardynał de'Medici, spokrewniony z Alfonsem. Pomimo wszakże chwilowego usunięcia niebezpiecznego dowódcy, wszelkie starania i zabiegi papieskie, zmierzające do wytępienia bandytyzmu, nie na wiele się przydały, powstawały bowiem coraz to nowe bandy, a w roku 1580 szczególnie dawał się we znaki ludności Petrino Leoncilli da Spoleto, jak mówiono, syn kardynała Farnese, tudzież Lamberto Malatesta, któremu kamera papieska zagrabiła dobra. Był zresztą tych bandytów cały legjon, jak Marianaccio, zwany ludożercą, który niszczył Kampanję, jak Giovanni Valenti, ksiądz, wykonujący swą vendettę za urazy do papiestwa, mieniący się królem Maremm, jak słynny prete Guerico, także obrażony duchowny, jak conte Lionello i wielu innych.

Alfonso Piccolomini, pomimo, że według układu z papieżem miał nie opuszczać Pienzy, był przyjmowany na dworze Francesca we Florencji i odwiedzał Paola Orsiniego w Bracciano. Teraz stał się tam szczególnie pożądanym gościem, gdy Orsini używał go jako postrachu wobec Watykanu. Gdy bandyci byli w ruchu, mówiono o nich, że «pracują»; otóż Piccolomini w porozumieniu z Paolem Giordanem zaczął znowu pracować «travagliare», wysuwając naprzód Marcella Accaramboniego, który zebrał garstkę «druhów» i poszedł w Kampanję, aby niepokoić Rzym.

Tymczasem w stolicy schwytano jakiegoś bandytę nazwiskiem Marreina, który wyznał, że zamordowanie Perettego urządziła matka Wiktorji z pomocą kameriery z Bolonji i że

wykonawcą zbrodni, oprócz dwóch innych bandytów, był także Marcello. Ale winnych nie można było ukarać, gdyż stara Accaramboni mieszkała w Bracciano, a Marcello pustoszył okolice Rzymu. Papież nie wiedział, jak wyjść z tych trudności, zwłaszcza, że Medici i Montalto przedstawiali, iż trzeba raz tę sprawę zakończyć, trzymając bowiem Wiktorję w zamku św. Anioła, popycha się niejako Paola Giordana w objęcia Piccolominiego i wywołuje wielkie niebezpieczeństwo napadu na Rzym. Grzegorz się przestraszył, chodziło mu o życie ukochanego Giacomo, którego bandyci mogliby zamordować. Postanowił więc rozmówić się osobiście z Orsinim i wezwał go na audjencję. Paolo Giordano przyjechał; jakie mu jednak Grzegorz stawiał żądania, nie wiadomo. Mówiono, że papież ofiarował córkę Giacoma, z posagiem dwukroć stutysięcy skudów, za żonę dla Virginia, syna Orsiniego z pierwszej żony, pod warunkiem, że Paolo Giordano odda swoje państwo synowi, a sam zadowolni się odpowiednim dochodem, który mu będzie wypłacany. Inni opowiadali, że papież rozmaitemi obietnicami chciał go tylko odciągnąć od Piccolominiego. Po tem posłuchaniu, a zwłaszcza po rozmowie z ambasadorem hiszpańskim, Olivarezem, który imieniem Filipa oświadczył, że król nie mógłby ścierpieć, aby Orsini, grand hiszpański, zawarł małżeństwo, nie licujące z jego stanowiskiem, zaczął Paolo Giordano udawać, jakoby już stanowczo porzucił myśl poślubienia Wiktorji. Napisał więc list do papieża, w którym dziękuje mu, że go wyleczył z jego zaślepienia, że już więcej nie myśli o Accaramboni i pozostawia zupełnie do woli Jego Świątobliwości, czy ją zechce uwolnić, czy dalej w więzieniu zatrzymać.

Wiktorji dobrze się działo w zamku św. Anioła, umiała sobie pozyskać całe otoczenie, a nawet wicekasztelan, Napoleon Malvagia, prosił ją, aby mu trzymała do chrztu córeczkę. Uważano ją tam za małżonkę Orsiniego, obchodzono się z nią jak najlepiej.

W kilka dni po audjencji Paola Giordana u papieża otrzymała jednak Wiktorja list, w którym jej Orsini donosi, że musi się zastosować do woli papieża, że zwraca jej wolność i pozwala, aby urządziła sobie życie, jak jej się podoba;

Giordano dodawał, że o tem swojem postanowieniu uwiadomił już kardynała Medici, wielkiego księcia, króla hiszpańskiego i papieża. Wiktorja, przeczytawszy list, zaczęła biec ku platformie zamku, aby się rzucić w przepaść; ale cameriera schwyciła ją za suknię, żołnierze przybiegli i po niejakimś czasie zdołano ją uspokoić. Po tem zajściu nie wiedziano w Watykanie, co z nią właściwie począć, czy oddać do klasztoru, czy jeszcze lepiej, wydać zamąż, oczywiście nie za Orsiniego. Ale Wiktorja utrzymywała, że wzięła ślub z Paolem Giordanem, a gdy żądano, aby zwróciła listy księcia i pierścień, który jej dał jako pierścień ślubny, stanowczo odpowiedziała, że tych pamiątek nie odda. W sprawę wdał się dopiero kardynał Borromeusz, który radził papieżowi, aby ją ukarać, jeżeli jest winna, albo uwolnić, jeżeli w zamiary zamordowania Perettego nie była wtajemniczoną. Rozsądne to zdanie przemogło, papież kazał otworzyć przed nią bramy więzienia, postawić tylko za warunek, aby nie widywała się z Orsinim i w przeciągu trzech dni wyjechała do Gubbio, skąd bez pozwolenia papieża wydalić jej się nie było wolno pod grzywną dziesięcy tysięcy skudów, które ojciec Accaramboni musiał poręczyć. Aby uniknąć zbiegowiska, wywieziono ją w nocy do rodzicielskiego pałacu, gdzie nazajutrz musiała wraz z ojcem przed notarjuszem podpisać akt, że dotrzyma nałożonych warunków.

Gdy te formalności zostały załatwione, Wiktorja prosiła o posłuchanie u papieża, które jej zostało dozwolone, a dzienniczek «Avvisi di Roma» opowiada, że piękna Wiktorja, «niby nowa Judyta», rzuciła się do nóg Jego Świątobliwości ze łzami w oczach i rękami skrzyżowanemi na pięknych piersiach i «podobna do Sofonizby przed Masynissą», miała długą, rozrzewniającą mowę, która poruszyła do głębi ojcowskie serce Grzegorza. Pojechała do kardynała Montalta, który według owej gazetki miał ją przyjąć z niewymowną czułością, ale gdy go zapytała, jak się ma ubierać, czy jako wdowa, czy jako mężatka, radził jej przywdziać suknie brunatne (l'abito lionato), jako bardziej odpowiednie dzisiejszemu jej położeniu. Wiktorja więc wyjechała do Gubbio we wdowich szatach, gdyż kolor brunatny oznaczał wdowieństwo, w otoczeniu całej

rodziny i oddziału wojska, aby brygantom nie przyszło na myśl wzbogacić się jej kosztowną garderobą.

W Rzymie opowiadano sobie, że Wiktorja przed odjazdem pisała do Paola Giordana i że nie otrzymała od niego odpowiedzi; sądzono wszakże, że całe zachowanie się Orsiniego jest komedją i że wcześniej czy później pan na Bracciano połączy się z Wiktorją.

V

Rzecz niesłychana, ten Alfons Piccolomini, który przed rokiem jeszcze rabował poddanych papieskich, który był dumnym, że własną ręką zamordował 370 ludzi, miał w zamiarach pokojowych przyjechać na wiosnę r. 1583 do Rzymu, aby prosić papieża o zdjęcie z niego klątwy i przebaczenie popełnionych morderstw. Ale ludność nie dowierzała Piccolominiemu, mówiono, że przychodzi w porozumieniu z Paolem Giordanem, aby pomścić uwięzienie Wiktorji. Pogłoski zdawały się tem bardziej wiarygodne, że przed kilkoma tygodniami bandyci zapuścili się aż na piazza di Ponte i poturbowali dworzan Farnezych. Na wiadomość też, że Piccolomini się zbliża, kazał kardynał Farnese zabarykadować bramy swego pałacu, większość baronów ściągnęła do Rzymu swoje milicje, bargello ze zbirami tracił głowę, a stary papież płakał z obawy, że mu Piccolomini zamorduje ukochanego Giacoma, jak się tem niejednokrotnie odgrażał. Grzegorz zwrócił się więc ponownie do Medicich, przyjaciół Piccolominiego, aby go ratowali. Kardynał de'Medici wdał się w sprawę i przeprowadził układ z Piccolominim. Umówiono się z hersztem bandytów, że papież da mu pozwolenie udania się do Rzymu na dni dwanaście, gdzie narazie będzie przebywał jako «uwięziony» w pałacu kardynała de'Medici i traktował przez ten czas z kurją o zwrócenie mu majątków i darowanie wszystkiego, co przewinił. Na tem stanęło.

Przedostatniego marca wjeżdżał do Rzymu Alfons Piccolomini, duca di Montemarciano, jakby triumfator, w towarzystwie swego krewnego, Paola Sforzy, w otoczeniu pięćdzie-

sięciu zbrojnych rycerzy ze znakomitych rodzin, z których dziesięciu należało do rzymskich bryganlów, zwanych wówczas grzecznie emigrantami, fuorisciti. Kardynał de'Medici wyjechał naprzeciw tak znakomitego gościa z całym dworem, w mnóstwo karet i powozów, a lud rzymski zalegał ulice, któremi król rozbójników miał przejeżdżać. Piccolomini wyglądał też, jakby uciekł z borów. Dwudziestopięcioletni zaledwie młodzieniec, ogorzały, o długich włosach, spadających na czoło i na ramiona, o brodzie gęstej, krótkiej, nie strzyżonej chyba od czasu, jak wyrosła. W oczach przebijała się dzikość i okrucieństwo, nic szlachetnego z tej twarzy wyczytać nie było można. Kawalkata zwróciła się do willi kardynała, do dzisiejszej Akademji francuskiej, gdzie przygotowano dla bandyty prawdziwie królewskie pokoje. Alfons był zadowolony z przyjęcia, gdyż kardynał utrzymywał jego otoczenie własnym kosztem, a rycerstwo rzymskie oddawało mu «należne» honory. Prawie cała znakomitsza szlachta rzymska była u niego w odwiedziny. Pomiędzy Piccolominim a Baglionimi z Perugji przyszło do zgody; dawne urazy miały być zapomniane, a wreszcie papież przysłał Alfonsowi breve, zawierające zupełne odpuszczenie jego win i zacierające owe 370 popełnionych przez niego morderstw. Po dwunastu dniach był Piccolomini taki czysty i taki sprawiedliwy, że w jednej karocy z kardynałem wyjeżdżał na miasto, albo otoczony swem rycerstwem, konno zwiedzał osobliwości rzymskie. Wreszcie starał się o posłuchanie u papieża, ale «Avvisi di Roma» pisały, że byłoby niebezpiecznem pisać o tych «zachodach».

W czasie, gdy Piccolomini odnosił swoje rzymskie triumfy, bawił Paolo Giordano w Bracciano. Ród Orsinich zastępował w mieście Lodovico Orsini, wówczas najbardziej rycerski, najbardziej świetny przedstawiciel wielkiego domu. Lodovico mieszkał w pałacu na Monte Giordano wraz z braćmi Walerym i Rajmondem. Bywał on dawniej w interesach Paola Giordana w Hiszpanji, a gdy mu się znudziły rokowania dyplomatyczne, brał udział w wojnie o sukcesję Portugalji, w roku zaś 1581 wrócił do Rzymu, ożenił się z Giulią, córką Krzysztofa Savellego z Albano, i dbały o splendor rodu

Orsinich, utrzymywał okazały dwór na Monte Giordano. W całym Rzymie uchodził za najznakomitszego znawcę rycerskich zwyczajów i przepisów, mających strzec honoru szlachcica; on też rozstrzygnął, gdy raz chodziło o to, w jakim stroju mają się odbywać pojedynki, że pojedynkować powinno się tylko w koszuli. Dbały o prawa baronów rzymskich i o nietykalność ich pałaców, dawał bardzo często przytułek rozmaitym zbrodniarzom i bandytom. Zdarzyło się, iż na wiosnę r. 1583 uwiadomił gubernator Norcii władze rzymskie, że dwóch bandytów, których ściga, schroniło się do Orsinich w Rzymie. Bargello, Giambattista Pace, korzystał z odbywającej się właśnie uroczyście obchodzonej rocznicy pierwszego cudu Madonny de'Monti, podczas której nikogo z panów w pałacu na Monte Giordano nie było, aby tam wpaść ze zbirami i od służby zażądać wydania owych bandytów. Zamach się narazie udał; bargello schwycił zbrodniarzy, ale pogwałcenie nietykalności pałacu Orsinich miało pociągnąć za sobą ciężkie skutki. W procesji na cześć Madonny de' Monti brała także udział liczna kawalkata arystokratycznej młodzieży. Był tam Rajmondo Orsini, ośmnastoletni młodzieniec, bardzo w mieście lubiany z powodu swej uprzejmości i szlachetnego sposobu myślenia, był Silla Savelli, krewny Ludwika Orsiniego, był i Ottavio Rustici, bardzo bogaty, jedyny potomek tego wielkiego rodu, gorączka, znany z licznych pojedynków, dalej Piero Gaetani, synowiec kardynała tegoż nazwiska i kilkunastu innych.

Jak tylko bargello uprowadził owych dwóch bandytów, kilku ze służby Orsinich pobiegło czemprędzej na procesję, aby uwiadomić swoich panów o tem, co zaszło. Iskra padła pomiędzy młodzież; «gwałt! naruszenie praw naszych!» zaczęli krzyczeć i z Rajmundem Orsinim na czele popędzili za naczelnikiem policji, aby odbić bandytów. Na swych rączych koniach dopadli bargella z trzydziestoma trzema zbirami na piazza di Siena; rozpoczęła się kłótnia, obrzucano bargella obelgami, a gwałtownik Rustici uderzył go nawet laską po twarzy. Wtedy Pace wyrwał dzidę jednemu ze swych podwładnych, ugodził nią młodego śmiałka, raniąc go śmiertelnie, i zrzucił z konia. Powstała formalna bitwa, kula jednego ze

zbirów trafiła Savellego w głowę, który także spadł na bruk: Rajmondo Orsini, Piero Gaetani zostali ranni. Młodzież pomimo tych strat nacierała gwałtownie na bargella, ale on tak zręcznie kierował swoją garstką zbirów, że potrafił się wycofać aż do pałacu gubernatora i tam się zabarykadował.

Nieżywego prawie Rajmonda niesiono tymczasem na Monte Giordano, a gdy się lud dowiedział, że to znienawidzone zbiry go zabiły, powstał na ulicach rozruch nie do opisania. Lodovico, rozwścieczony, ślubował vendettę, przysięgał, że krew zbirów będzie się lała po ulicach, ze wszystkich dzielnic miasta śpieszyła już szlachta ku pałacowi Orsinich, aby im pomagać. Savelli, Rustici, Gaetani, Capizzuchi prowadzili ze sobą całe szeregi zbrojnych, a niebawem plac na monte Cavallo przed pałacem papieskim był pełny. Liczono tam czterysta konnego rycerstwa. Równocześnie zbierało się małe wojsko na Campo de Fiore, które pod wodzą Paola Giordana miało wyruszyć, aby mordować zbirów.

W Watykanie potracono głowy; Giacomo Boncompagni posłał Paola Sforzę do Giordana, a Wincentego Vitelli do Lodowika, prosząc ich, aby się uspokoili, i obiecując, że rząd pozwoli im wywrzeć na bargellu i na zbirach taką vendettę, jaką tylko zechcą. Pod tym warunkiem przyrzekli Orsini czekać.

Wieczorem jednak rozeszła się wieść, że bargello uciekł; Orsini sądzili, że Boncompagni z nich zażartował, że uspokajał ich tylko na to, aby Pace miał czas się ratować. Całe miasto zawrzało więc na nowo, zapalono pochodnie, zbierano się przed Monte Giordano i przed pałacem księcia nepota, a gdy się rycerstwo dowiedziało, że i Savelli umarł z ran odniesionych, oburzenie nie miało granic, zewsząd krzyczano: «krew, krew!» Wtedy gubernator Rzymu, Vincentio Portico, arcybiskup Raguzy, kazał ogłaszać po ulicach, aby każdy, ktokolwiek dowie się o miejscu pobytu Giovana Battisty Pace, bargella, donosił o tem rządowi, pod karą śmierci i konfiskaty majątku; karze tej ulegnie, ktokolwiek go ukrywał, albo ułatwiał mu ucieczkę.

Tego rodzaju rozkaz stał się hasłem, aby mordować zbirów. Rozpoczął się straszny pogrom, wywlekano policjantów z mieszkań, z piwnic i zabijano w sposób barbarzyński. Jednego z nich wyrzucono przez okno, a stojący na ulicy żołnierze chwycili go na nadstawione lance; innych wieszano na balkonach. Największem okrucieństwem odznaczał się szlachcic rzymski ze znakomitego rodu Garganów i zaledwie dwudziestoletni młodzieniec ze znanej medjolańskiej familji Incasatich. Noc przerwała wreszcie rozlew krwi, ale nazajutrz mordowano na nowo, zwłaszcza, że z Bracciano, z Albano i z sąsiednich zamków przyszły baronom nowe posiłki. Obcy ludzie, nie znając zbirów, wywlekali z mieszkań zupełnie niewinne ofiary.

W Kwirynale zaczęto się obawiać o papieża, rozbestwiona tłuszcza mogła napaść na pałac papieski; ściągano więc, skąd się dało, konnicę i ustawiano wokoło kwirynalskiego pagórka.

Nareszcie rząd chwycił się dość skutecznego środka; sądził, że chciwość zapanuje nad rozlewem krwi. Gubernator ogłosił, że będzie dawał nagrody tym, którzy doniosą o miejscu pobytu zbirów, a kto dostawi żywego bargella, otrzyma 500 skudów nagrody. Zaczęło się więc polowanie na bargella i rzeczywiście schwytano go w jednym z majątków Orsinich, przebranego za wieśniaka, zbierającego sitowie, i przystawiono w nocy do Rzymu. Orsini i cała szlachta żądała, aby Pacego na śmierć skazano; pałace baronów były już pełne bandytów, gotowych do wojny z papieżem w razie, gdyby uwolnił ofiarę. Grzegorz XIII ustąpił z obawy o syna; kazał ściąć bargella, pomimo, że znaczna część św. Kollegjum sprzeciwiała się wyrokowi, urągającemu wszelkiej sprawiedliwości. Nadomiar hańby kazano głowę Pacego wystawić na publiczny widok przez trzy godziny w castello S. Angelo na czarnem suknie, wśród dwóch jarzących się świec, ponieważ ten honor należał się zmarłemu jako wysokiemu urzędnikowi państwa! Cały Rzym mówił, że lepiej być naczelnikiem bandytów, aniželi papieskich zbirów. Nowy bargello zrozumiał też położenie i gdy mu Kwirynał dał rozkaz uwięzić jakiegoś bandytę, który się schronił na terytorjum kardynała Medici, odmówił posłuszeństwa, bojąc się o swą głowę.

W czasie, kiedy chwytano dawnego bargella, nowa trwoga zapanowała w otoczeniu papieża. Piccolomini, ba-

wiący ciągle w Rzymie, domagał się posłuchania u Grzegorza XIII, aby raz jego sprawę załatwiono: zwrócono mu dobra, a nadto, aby dano rozgrzeszenie sześćdziesięciu czterem jego «towarzyszom broni», którzy także niemało morderstw mieli na sumieniu. Papież wahał się znowu, nie wiedział, co począć; więc Piccolomini przybrał sobie dwustu zbrojnych i wszedł z nimi podczas mszy do kościoła Santa Maria della Pace, wiedząc, że tam zastanie Boncompagniego. Po nabożeństwie zastąpił bandyta nepotowi drogę i wyraził swoje zdziwienie, że podczas gdy on, Piccolomini, dotrzymuje obietnicy i spokojnie się zachowuje, rząd nie myśli o dopełnieniu swoich zobowiązań. Ale jeżeli rząd słowa nie dotrzyma, to on, Alfonso, potrafi sobie wymierzyć sprawiedliwość. Boncompagni zaczął się uniewinniać, czynić nowe obietnice, więc go Piccolomini narazie z rąk swoich wypuścił; ale gdy do kilku dni nie miał odpowiedzi, wyruszył niespodzianie ze swem otoczeniem do Bracciano. W Kwirynale znowu przestrach; papież powołał do siebie kardynała de'Medici, aby rzecz z Piccolominim załagodził, zapewniając, że już z pewnością zwróci mu dobra i we wszystkiem go zadowolni. I rzeczywiście wkrótce wysłał Grzegorz XIII urzędnika kurji do Piccolominiego, aby go wprowadził w posiadanie dóbr, wypłacił 3.700 dukatów, jako wynagrodzenie za szkody, które wojsko papieskie mu zrządziło podczas oblężenia zamku w Montemarciano, i sprawę zakończył. Ponieważ jednak w układzie z kurją apostolską postawiony był warunek, że Piccolomini nie będzie mieszkał w papieskiem państwie, więc młody herszt band zbójeckich osiadł we Florencji, otworzył wielki dom, był częstym gościem na dworze toskańskim, a wielka księżna wysłała nawet swoje lektyki do Pienzy, aby małżonkę znakomitego gościa sprowadzić do Florencji. Wielki książę używał potem Piccolominiego do wytępienia bandytów w Toskanji, a Alfonso, uporawszy się z tem zadaniem i zamordowawszy jakiegoś bandytę Alcibiadesa z dwunastoma towarzyszami, udał się następnie do Francji, gdzie służył w królewskiem wojsku.

W Rzymie tymczasem Giacomo zarządzał jak najsurowsze środki przeciw bandytom; ale rozkazy się na nic nie

przydawały, gdyż nie było sprawiedliwości, a sądy prowadziły raczej wojnę z niewinnymi, aniżeli ze zbrodniarzami. Co więcej, z Orsinimi wybuchły na nowo zatargi. Gubernator Rzymu, Vitelli, chciał koniecznie ukarać Lodowika, którego uważał za głównego podżegacza ostatnich zaburzeń. Kazał więc schwytać jednego ze szlacheckich jego domowników, jakiegoś Gargana, ściąć mu głowę i przybić na moście, tudzież powiesić trzech stajennych Orsiniego, a pomiędzy nimi jednego, wielkiego ulubieńca. Lodovico niedługo zwlekał z odwetem, zwłaszcza, że miał przekonanie, że gubernator na jego życie nastaje. Czwartego września był Vitelli na wieczerzy u Boncompagniego w jego pałacu przy Santi Apostoli, a koło pierwszej po północy wracał powozem, z sześcioma służącymi, do swojej willi na Montecavallo. W chwili, gdy jechał pod górę, w miejscu, gdzie kościół św. Katarzyny sieneńskiej, otoczyło go dziesięciu ludzi i wymierzyło ku karocy rusznice. Strzały były celne, trzech służących zostało rannych, jeden koń padł na miejscu i sam Vitelli został ciężko ranny. Pozostali słudzy uderzyli na alarm, przybiegło ze trzydziestu zbirów, porozstawianych na Montecavallo i zaniosło umierającego do willi. Lodovico Orsini widocznie już czekał wpobliżu Porta Pinciana na wynik napadu, a dowiedziawszy się, że zamach się udał, tej samej nocy z kilkoma towarzyszami z Rzymu wyjechał. Nazajutrz umarł Vitelli, a papież wyznaczył 500 dukatów nagrody dla tego, kto doniesie, gdzie się mordercy znajdują. Ale nagrodę powinien był dostać właściwie sam Lodovico, gdyż znalazłszy się poza Rzymem, napisał zaraz list do młodego Virginia Orsiniego, syna Paola Giordana, że kazał zamordować Vitellego, ponieważ nie dotrzymywał mu danych obietnic, a nadto nastawał na jego życie.

Gubernator Rzymu posłał po ucieczce Lodovika cały oddział zbirów na Monte Giordano, aby zajęli wszystkie kosztowności i ruchomości Orsiniego; ale rozczarowanie było wielkie, gdy w całym zamku znaleziono tylko trzy stare sługi i kilka glinianych talerzy. Papież był przekonany, że morderstwo zostało dokonane z rozkazu głowy rodziny, księcia na Bracciano, i kazał natychmiast zarządzić ścisłe dochodzenie,

które jednak nie wykazało nic, coby mogło obciążać Paola Giordana, ponieważ rzecz zręcznie była ułożona, a Lodovico uciekł do swojej majętności w Toskańskiem, do Pitigliano. Wielki książę nie był jednak zadowolony z tego gościa, obawiał się zatargów z papieżem; Lodovico więc, zrozumiawszy położenie, udał się do Castellutieri, które było lennem cesarskiem. Tam zebrał małą armję bandytów, oddanych mu zupełnie, dzikich, odważnych, po większej części członków znakomitych rodzin i ofiarował swą służbę weneckiej signorii. Orsini niejednokrotnie zasłużyli się rzeczypospolitej; signoria też z ochotą przyjęła Lodovika wraz z jego oddziałem.

Z Wenecji rozesłał Lodovico do znajomych rodzaj manifestu, usprawiedliwiającego zamordowanie Vitellego, w którym pomiędzy innemi powiada, że nie chciał za urazy mu wyrządzone wyzywać go do walki, gdyż Kościół zakazuje pojedynki. W wyobrażeniu więc Orsiniego pojedynek był większem wykroczeniem przeciw przepisom Kościoła, aniżeli morderstwo!

Vitelli miał trzynastu synów, którzy wołali o zemstę na Orsinich; rząd papieski wydał więc po przeprowadzonem dochodzeniu wyrok, skazujący Lodowika na konfiskatę dóbr i na odebranie mu wszystkich zamków lennych. Wyrok ten miał być rozciągnięty także na synów zbrodniarza. Orsini nie został winnym odpowiedzi, zebrał 200 strzelców, a połączywszy się z Prosperem Colonną, któremu papież także dobra skonfiskował, wyruszył pustoszyć papieskie państwo. Grzegorz XIII, jak zwykle, przestraszył się i prosił Medicich, aby pośredniczyli pomiędzy Kamerą Apostolską a Orsinim celem zawarcia zgody. Układ został zawarty, Lodovico cofnął się do Wenecji.

VI

Tymczasem Paolo Giordano, człowiek pobożny, wybrał się do Loreto, aby prosić tamtejszej Madonny o odpuszczenie grzechów, a papież dał mu także polecenie, aby przy sposobności oglądnął fortyfikacje w Ankonie, mające zabezpieczyć miasto od tureckich napadów.

W Watykanie zapomniano, że z Loretto blisko do Gubbio i że madonną Orsiniego była ciągle jeszcze Wiktorja. «Avvisi di Roma», bardziej przewidujące, pisały, że duka myśli w tej podróży zapewne więcej o innej wizycie, aniżeli o modłach w Santa Casa. I rzeczywiście przywiózł Paolo Giordano ze swej pobożnej pielgrzymki Wiktorję do Bracciano, gdzie ją witano jako księżnę. Pragnęła ona jednak, aby papież uznał ich małżeństwo; więc Orsini wybrał się do Rzymu, pozostawiwszy ją w zamku pod opieką Marcella. Paolo Giordano sądził, że usposobienie Grzegorza XIII dla niego o wiele się polepszyło i że tym razem przeprowadzi swoje zamiary. Papież bawił wówczas we Frascati, w ulubionej willi Mondragona, będącej własnością kardynała Marka Altemps. Orsini pojechał więc w małem tylko otoczeniu do Frascati, gdzie zaraz otrzymał posłuchanie. Papież szczegółowo kazał sobie zdać sprawę o postępie robót fortyfikacyjnych w Ankonie, wreszcie zapytał, czy jako pielgrzym przywiózł z Loreto jaką pamiątkę, jaki różaniec, co Paolo Giordano potwierdził, nie wspominając, że tym upominkiem była Accaramboni. Chcąc jednak okupić kłamstwo, nabył zaraz w Rzymie koronę, wysadzoną agatami, za trzysta dukatów i posłał ją w darze Madonnie w Loreto. Papież był rozczulony nabożeństwem Orsiniego, który też korzystał z dobrego usposobienia Grzegorza, aby przez przyjaciół prosić o pozwolenie zawarcia ważnego małżeństwo z Wiktorją. Złośliwi mówili, że papież skłaniał się tym razem do tej prośby, chcąc dokuczyć wielkiemu księciu toskańskiemu, który protegował ciągle bandytów. Urzędowo mówiło się jednak, że Grzegorz, Namiestnik Chrystusa, nie chce więcej przeszkadzać temu, co w niebie postanowionem zostało. Wogóle mniemano, że Kurja rzymska tym razem zgodzi się na ważny ślub, co jednak, jak się później okazało, było nieprawdą.

Powróciwszy z Rzymu, obwoził duka małżonkę po księstwie, a Wiktorja przyjmowała hołdy wasali i ludności. Bracciano miało prawie wszelkie prawa udzielnego księstwa. Duka wymierzał sprawiedliwość, mógł nawet skazywać na śmierć bez odnoszenia się do Rzymu, w fortecach miał własne załogi, a na basztach powiewał wszędzie sztandar Orsi-

nich. Wolno mu także było wyrabiać saletrę i proch strzelniczy, bić monety i mianować doktorów i notarjuszów, legitymować nieprawe dzieci, a nawet pasować na rycerzy. Te przywileje mieli pomiędzy lennikami Kościoła tylko książęta Parmy, Urbinu i Ferrary. Duka posiadał także hrabstwo Anguillara i tam był małym monarchą, niezależnym od zwierzchnictwa Kościoła, gdyż jeden z jego przodków kupił tę niezależność od Aleksandra VI za pięćdziesiąt dwa tysiące skudów, potrzebnych Cezarowi Borgia na zdobycie Romanji.

Ażeby poddani nie mieli wątpliwości, że Wiktorja jest rzeczywiście dukessą Orsini, urządził Paolo Giordano po raz wtóry wesele, według wszelkich kościelnych i prawnych formalności. Przedewszystkiem sporządził 10 października r. 1583 wobec notarjusza, proboszcza z Bracciano i kilku jeszcze świadków akt, na mocy którego zapisywał jej jako posag 20.000 skudów, zabezpieczonych na części dóbr Cerveteri, a następnie w kościele parafjalnym wziął ślub z nią wobec licznych świadków. Ślub dawał miejscowy proboszcz. Aby zaś nie obrażać Medyceuszów i króla hiszpańskiego, którym przyrzekł, że się nie ożeni z Accaramboni, utrzymywał ciągle wobec nich, że nie zawarł małżeństwa, w co nawet kardynał de'Medici przez jakiś czas wierzył. Duka tak był zakochany w Wiktorji, że w Rzymie zaczęto go nazywać duca Accarambono.

Miłość tę przypisywano zaklęciom greckiej czarownicy, którą Wiktorja miała zawsze przy sobie od czasów małżeństwa z Perettim. Greczynka wychodziła często w nocy nad jezioro i tam zbierała jakieś zioła, z których robiła cudowny płyn, wzbudzający miłość, i zadawała go w kroplach Orsiniemu.

Ale to szczęście na zamku w Bracciano wkrótce zakłóciła choroba Paola Giordana. Miał on fistułę w nodze, która tak głęboko sięgała, iż lekarze sądzili, że trzeba będzie odjąć całą nogę. Wiktorja pielęgnowała wtedy księcia z całą miłością, a taka była piękna, że gdy kardynał de'Medici przyjechał w odwiedziny, nie mógł się oprzeć jej urokowi i nie robił już księciu wyrzutów z powodu, że złamał słowo. Wobec króla Filipa małżeństwo Orsiniego miało być jeszcze



Marc-Antonio Colonna
Według portretu Piotra Novelli w galerji Colonna w Rzymie

Do str. 59



ciągle tajemnicą i Accaramboni musiała zniknąć na kilka dni z zamku, gdy connetable Marcantonio Colonna, wicekról Sycylji, bohater z pod Lepanto, miał przybyć do Bracciano. Colonna jechał w otoczeniu 400 ludzi i bawił dni jedenaście w gościnie u Paola Giordana. Zamek oddawna nie widział tak licznego zgromadzenia. Szesnaście stołów dla starszyzny i szesnaście dla podwładnych zastawiano rano i wieczór, a przy każdym stole siedziało trzydziestu sześciu gości. Orsiniemu bardzo na tem zależało, aby go Colonna w dobrem świetle przedstawił w Madrycie; baronowie rzymscy, jak słoneczniki, zwracali się wtedy do słońca, do króla Filipa, od niego spodziewali się bowiem łask, podczas gdy papież konfiskował im tylko dobra, aby niemi wzbogacać swego nepota.

Ten Marcantonio, uwieńczony dzisiaj w marmurze na Kapitolu, porównywany ze starożytnymi wodzami rzymskimi, był postacią, niezupełnie zasługującą na tę aureolę chwały, którą go później otoczono. Włochy miały wówczas tak mało bohaterów, że śmiesznego Marcantonia wyniosły na wysoki piedestał. Colonna rozpoczął swój wojskowy zawód, podobnie jak wielu innych magnatów papieskiego państwa, od tego, że był hersztem bandytów. Prześladowany w Rzymie, rzucił się w objęcia Hiszpanji i został wicekrólem Sycylji. Ale rządy jego nawet w Madrycie się nie podobały; despota, uciskał ludzi, a podobnie, jak Paolo Giordano, kazał zamordować męża swej kochanki, barona Corberio, aby posiąść jego żonę. Do Madrytu ciągle dochodziły skargi na tyrańskiego wicekróla, tak, że król Filip powołał go wreszcie do siebie, ad audiendum verbum. Marcantonio przyjął od Hiszpanów wszystkie najgorsze ich wady. Gdy przejeżdżał przez Rzym, był celem pośmiewiska publiczności, ubierał się bowiem, jak hiszpański młodzieniaszek, w beret wzorzysty, koronkowy kołnierz, złociste spodnie, białe pończochy, a gdzie mógł, poprzyczepiał klejnoty na swym stroju. Opuściwszy Bracciano, wsiadł na okręt w Civitavecchia, ale w Hiszpanji dojechał tylko do Mediny, gdzie nagle umarł. Powszechnie mniemano, że kardynał Granvela kazał go otruć, jako niewygodnego rządowi wicekróla.

Po odjeździe Marcantonia przybył Lodovico Orsini do

Bracciano, gdyż straciwszy prawie całe mienie, nie miał się gdzie schronić. Obecnie chciał sprzedać Paolowi Giordanowi to, co mu jeszcze pozostało, połowę pałacu na Monte Giordano, i starać się, aby papież przebaczył mu morderstwo Vitellego i zwrócił skonfiskowane dobra. Pierwszy zamiar się udał, Paolo Giordano kupił od niego połowę rzymskiego pałacu; co do dóbr, zajętych dla Kamery Apostolskiej, to papież już się skłaniał, aby darować winy Lodowikowi, ale cała rodzina Vitellich taki alarm podniosła, że Grzegorz XIII cofnął się z obawy rozruchów. Pomiędzy dwoma znakomitymi monsignorami, a mianowicie Vitellim, bratem zamordowanego, i Valeriem, bratem Lodowika, przyszło już z tego powodu do takich starć, że obydwaj wyjeżdżali z domu na ulicę w otoczeniu zbrojnych i w Watykanie obawiano się, że lada chwila przyjdzie do rozlewu krwi pomiędzy obydwoma monsignorami. Gubernator Rzymu rozkazał im rozbroić swoje gwardje i wezwał, aby każdy z nich złożył kaucję dwudziestu pięciu tysięcy dukatów, że się nawzajem drażnić nie będą. Obydwaj posłuchali wprawdzie rozkazu gubernatora, ale monsignore Orsini, nie dowierzając swemu przeciwnikowi, schronił się do Bracciano.

Nie mając nadziei odebrania swoich dóbr, wysłał Lodovico bardzo zręcznego ajenta, Franceska Filelfa da Tolentino, do Wenecji, aby przypomniał Signorji zasługi Orsinich około rzeczypospolitej i prosił dla niego o odpowiednie stanowisko w weneckiem wojsku. Signorja wysłuchała prośby i nadała Lodowikowi 14 kwietnia 1584 stopień pułkownika z płacą 1200 dukatów rocznie. Pensja była bardzo świetna na owe czasy; Filelfo wynajął zaraz dla Orsinich piękne mieszkanie w Wenecji i urządził je odpowiednio. Lodovico wybrał się więc z Bracciano do miasta dożów, ale Vitelli, widząc, że im vendetta z rąk się wyśliga, urządzili na niego po drodze zasadzkę, z której jednak zdołał się wymknąć i szczęśliwie osiągnął cel swej podróży.

Tymczasem Paolo Giordano udał się z Wiktorją do Rzymu, jakby już z uznaną przez papieża małżonką, wyjeżdżał z nią na miasto, a i panie wielkiego świata bywały u niej w odwiedziny. Co więcej, Orsini pojechali do kardynała Montalta, który ich przyjął nadzwyczaj uprzejmie,

uściskał Wiktorję i zapewnił, składając ręce na piersi, że nie wierzy, jakoby Paolo Giordano był przyczyną śmierci jego synowca. «Avvisi di Roma» nie ufały jednak w szczerość zapewnień kardynała, gdyż donosząc o tych odwiedzinach, które w Rzymie dużo narobiły hałasu, pisały, «że Montalto grubą osłoną ukrył żal, który miał w sercu i fałszem zabarwił swój uśmiech».

Ten pobyt Orsinich w Rzymie był jednak wielkim błędem; papież czuł się dotkniętym, że Paolo Giordano niejako urąga jego zakazom, i polecił osobnej komisji zbadać ważność ślubu, który duka zawarł z Wiktorją w Bracciano. Do komisji przeznaczył Grzegorz XIII najznakomitszych teologów, Hiszpana Toleda, pierwszego jezuitę, który później, w r. 1593 został kardynałem, i słynnego kanonistę, Marcina Navarrę. O tym ostatnim opowiadano, że tak jest dobroczynnym, że mulica, na której jeździł, stawała, widząc przy drodze ubogiego, i szła dalej, jak tylko kardynał dał mu jałmużnę. Komisja nabrała przekonania, że małżeństwo jest nieważne i już miano przesłać Orsiniemu nakaz stawienia się przed nią, gdy kardynal de'Medici uprosił papieża, aby się jeszcze wstrzymać z ostatecznemi zarządzeniami, gdyż Paolo Giordano oświadcza, że nie będzie mieszkał z Wiktorją i że się z nią rozłączy. Orsini o tem wszakże ani myślał, a swem oświadczeniem chciał tylko zyskać na czasie, zamyślał bowiem zupełnie Bracciano opuścić i przenieść się do Wenecji. W tym celu polecił już Filelfowi, aby wybadał, jakie ten projekt u Signorji znajdzie przyjęcie.

W Rzymie zaprzestano się chwilowo zajmować sprawą unieważnienia małżeństwa. Miało tam przybyć poselstwo japońskie, po którem spodziewano się pożytku dla Kościoła. Ambasada japońska, podobnie jak ambasada moskiewska z r. 1562 pod wodzą Possevina, miała się stać triumfem jezuitów, których Grzegorz XIII nadzwyczaj popierał, budując nawet dla nich wspaniały gmach, zwany Collegio Romano. Cały Rzym cieszył się na myśl zobaczenia Japończyków, którzy przeszło trzy lata byli w drodze ze swego kraju, aby złożyć hołd papieżowi. Kardynał Farnese przyjął ich świetnie w Capraroli, a papież wysłał naprzeciwko nich cały oddział

wojska, piechotę i konnicę. Jakież było jednak rozczarowanie, gdy publiczność zobaczyła tylko trzech młodzieniaszków, nie mających jeszcze lat dwudziestu i jakoś tak niepodobnych do zamorskich gości, że złośliwe języki mówiły, że to są jezuici, przebrani za Japończyków! «Avvisi di Roma» jednak twierdziły, że to przecież Japończycy, gdyż wyglądają dziko i mają takie dobre żołądki, że piją ciepłą wodę. Przygotowano im wspaniały wjazd. Pochód ruszył z willi papieża Juljusza, za porta del Popolo; naprzód szła gwardja szwajcarska, następnie papiescy szambelani, służba watykańska w szkarłatnych liberjach, familja, to jest dwory kardynałów i ambasadorów, muzykantów całe gromady, a wreszcie trzej Japończycy na białych koniach, przykrytych kapami z czarnego aksamitu, haftowanego w złote ozdoby. Przy odgłosie dział, bijących z Castel Angelo, wchodzili nowi chrześcijanie do sala regia, gdzie papież przyjmował ich z całym konsystorzem. Staruszek mniemał, że już cała Azja nawrócona na rzymsko-katolicką wiarę; ze wzruszenia łzy mu stanęły w oczach i zawołał słowami biblijnego Szymona: «Ora dimetti il tuo sero, o Signore!»

Pan go wysłuchał; po kilku dniach, piątego kwietnia papież ciężko zachorował, niespodzianie rozeszła się wiadomość, że w silnym napadzie astmy wyzionął ducha.

«Bogu dzięki!» pisały «Avvisi», a wyrażały tym razem opinję publiczną całego Rzymu, gdyż bezrząd wszystkich zniechęcił. W styczniu roku 1582 liczono w więzieniach w corte Savella, na Kapitolu, w Tordjnona zamkniętych 6450 ludzi, oprócz tych, którzy odsiadywali karę w Castello San Angelo, w Borgo i w Sant'Uffizio. A mimo to coraz częstsze były zbrodnie.

Nagła śmierć papieża była szczęściem dla Rzymu, bo szumowiny społeczeństwa, zawsze przygotowane do rabunku, nie miały czasu rozpocząć swego «działania». Gubernator, konserwatorowie kaporioni czemprędzej poobsadzali wojskiem pałac Apostolski, a w dzień śmierci Grzegorza zebrali się kardynałowie pod przewodnictwem dziekana, kardynała Farnese, aby zarządzić wszelkie środki bezpieczeństwa. Obawiano się Orsinich, a mianowicie, aby Paolo Giordano nie zechciał wywołać jakich zaburzeń, tudzież, aby Lodovico nie

przybył z Wenecji ze swoją bandą rabusiów. Proszono więc ambasadora Signorji, aby doża nie pozwolił Orsiniemu wyjeżdżać z Wenecji.

Paolo Giordano jednak zachował się spokojnie, wziął udział w zwykłem zebraniu ambasadorów i książąt, którzy kardynałom składali kondolencje z powodu śmierci papieża, zapewniając, że się przyczynią do bezpieczeństwa conclave. Co do Paola Giordana zauważono tylko, że przed dziekanem kardynałem, zastępującym papieża, zdołał z powodu swej tuszy uklęknąć tylko na jedno kolano. Na żądanie kardynała Farnese przyrzekł odesłać zaraz do Bracciano jednego z najniebezpieczniejszych ludzi dla publicznego porządku, Marcella Accaramboniego, ale się z tej obietnicy, jak zobaczymy, w dwuznaczny sposób wywiązał. Napomnienia Farnesego były bardzo potrzebne, gdyż bandyci, dowiedziawszy się, że papież umarł, ciągnęli już ze wszystkich stron na Rzym, aby korzystać z nieporządków i zamieszania. Straszny wówczas Marco Sciarra zstąpił zaraz z gór, z Abruzzów, aby rabować, a inny herszt, Cursielo di Sambuco, wasal Colonnów, z dwudziestoma towarzyszami rabował, mordował tuż pod bramami Rzymu. Vitelli zbroili się, sądząc, że Lodovico Orsini przybędzie także z Wenecji ze swoją bandą. Obawa była tem słuszniejsza, że Lodovico nawet pod surowym rządem w Wenecji nie mógł utrzymać swej «familji» w karności. Zresztą on sam dawał zły przykład, wyśmiewając się z tych «tondini», z tych ludzi w togach, którzy rządzą w palazzo ducale. Właśnie miał jakieś zajście z Signorią z powodu swych rozbójników, gdy nadeszła wiadomość o śmierci papieża. Zaraz prosił dożę o pozwolenie wydalenia się i wyjechał do Padwy, wysławszy naprzód do Rzymu swego Filelfa, aby uwiadomił rząd papieski, że przybywa w pokojowych zamiarach. Vitelli, nie wierząc w dobre chęci Lodovika, oświadczyli, że go do Rzymu nie wpuszczą.

Tymczasem Paolo Giordano, korzystając z bezkrólewia, przygotowywał się do trzeciego ślubu. Jeżeli dwa poprzednie miały być nieważne, to ten trzeci powinien być urządzony według wszelkich przepisów trydenckiego soboru tak, aby go żaden papież nie mógł unieważnić. Wpobliżu Campo de'

Fiori był mały kościółek Grottapinta, który jeden z Orsinich wybudował. Orsini wykonywali tam prawo prezenty i osadzili na parafji Hiszpana, Bartolomea Olalla de Roja, który miał dużo rodowych tytułów, ale podłą duszę. Otóż ten Hiszpan miał dawać trzeci ślub Wiktorji, a chcąc zadość uczynić wszelkim formalnościom, ogłosił zapowiedzi z ambony, wprawdzie nie w trzech tygodniach, ale w trzech dniach. Trzeciego dnia, 24 kwietnia, odbył się ślub w przytomności licznych świadków, przyjaciół i dworzan Orsiniego. Don Bartolomeo włożył młodej parze poświęcone pierścionki na palce i stosownie do przepisów soboru pytał nowożeńców, czy chcą pomiędzy sobą zawrzeć małżeństwo. Oboje mieli z pośpiechem i wyraźnie odpowiedzieć «volo!»

Po ślubie udali się nowożeńcy do swego pałacu, ale nie ubiegła jeszcze godzina, a z ulicy zaczęły dochodzić głosy: «papa! papa!» Czyżby tak prędko był wybrany nowy monarcha? Głosy stawały się coraz donośniejsze, tłum na ulicy coraz bardziej wzrastał. I rzeczywiście, przed chwilą wyszedł kardynał de'Medici przed drzwi conclave i donośnym głosem oznajmił zgromadzonym: «Wielką radość wam zwiastuję. Mamy papieża, najdostojniejszego, najszanowniejszego pana, kardynała di Montalto, który przybrał imię Sykstusa V». Na tę wiadomość zamiast okrzyków radości zapanowała cisza, zaczęto sobie powtarzać: «Il frate, il frate!»...

W pałacu Orsinich nastąpiło przerażenie.

Publiczność nie mogła pojąć, jak się to stało, że ten mnich, którego większość kardynałów nienawidziła, a którego ambasador francuski nazwał «un cordelier, nommé Mantalto», został wybrany w tak krótkim czasie. Cały Rzym spodziewał się, że papieżem zostanie Farnese, ten od wielu lat «fabrykant papieży», ten wielki pan, świetny, hojny, uprzejmy, nie znający zemsty. Jednego wieczora przeciągały nawet przez ulice tłumy, krzycząc: «Niech żyje Farnese!», posuwając się ku pałacowi na Campo de'Fiori, aby według zwyczaju rabować mieszkanie nowego papieża. Ale pałac był otoczony zbrojną służbą kardynała, a nadto wkrótce się dowiedziano, że papież jeszcze niewybrany. Obok Farnesego rej wodzili w świętem kollegjum kardynał Este, Medici i San Sisto, nepot zmarłego



Sykstus V

Według portretu Sassoferrata w pałacu Laterańskim w Rzymie

Do str. 64



papieża; te wielkości wszakże nawzajem sobie zazdrościły tiary i wszelkich używały sposobów, aby żadnego z ludzi potężnych na tron papieski nie dopuścić. Tym trzem zawdzięczał «frate» swoje wyniesienie, oraz powszechnej opinji, że był człowiekiem spokojnym, łatwym w obcowaniu, nie mającym krewnych, bogobojnym. Sądzono, że nikt nie ma powodu obawiać się tego mnicha; jeden Orsini byłby wszelkiemi sposobami intrygował przeciw niemu, ale nie miał siły po temu i nie przypuszczał nawet, aby wobec kilku świetnych kardynałów wybór miał właśnie paść na Montalta. W kilka niemal godzin po wyborze jechali już baronowie rzymscy ucałować stopę nowego papieża, a jeden z pierwszych Paolo Giordano Orsini z uśmiechem na ustach, z udaną radością, zbliżył się do papieża, składając w wyszukanych słowach swoje życzenia. Ale papież, który w jednej chwili zapomniał o tem, że był znanym z uprzejmości kardynałem, spoglądnął zimnym, przenikliwym wzrokiem na pierwszego magnata swego państwa i ani słowem na jego życzenia nie odpowiedział.

Równocześnie prawie cisnęli się kardynałowie, ambasadorowie obcych państw do domu donny Kamilli. Wszystkich, którzy tam byli po raz pierwszy, uderzyło ubóstwo i pospolitość urządzenia w mieszkaniu; poseł wenecki Priuli zauważył, że mały Alessandro miał na sobie ubranie więcej jak wytarte, ale że je wkrótce zamieni na purpurę. Pomiędzy paniami, odwiedzającemi siostrę papieża, była i Accaramboni. Mówiono, że donna Kamilla przyjęła ją z wyszukaną grzecznością, ucałowała, wyprowadziła nawet na schody, ale wróciwszy do pokoju, miała wykrzyknąć: «Oh, ta zbrodniarka! ma jeszcze czoło wchodzić w te ściany!»

Po wstąpieniu na tron ułaskawiał zazwyczaj nowy papież pewną ilość przestępców, zamkniętych w rzymskich więzieniach. Korzystając z tego zwyczaju, wystarał się Paolo Giordano — pomimo zimnego przyjęcia, jakiego doznał u papieża — o audjencję, chcąc prosić o ułaskawienie jakiegoś Marca Bracciolinego, jego dworzanina, który odsiadywał karę w Tordinona za zabójstwo. Papież posłuchania udzielił, ale Bracciolinego nie uwolnił, a gdy Paolo Giordano chciał za-

pewniać Sykstusa, że jako wierny wasal użyje całej swej siły, aby wspierać zamiary papieża, «frate» sucho odpowiedział, że nikomu więcej, jak jemu (papieżowi), na tem nie zależy, aby zachowanie Orsiniego było takie, jakie przystoi jego stanowisku. Urazy, jakich kardynał Montalto doznał od Paola Giordana, będą darowane, ale jeżeli Orsini dotknie Sykstusa V, to Sykstus tego nie przebaczy. Dla dobrego Orsiniego będzie dobrym papieżem, dla nieposłusznego dotkliwym. «Wracajcie do Bracciano — dodał Sykstus, groźnie się podnosząc z siedzenia — i wyczyśćcie zamek z bandytów».

Orsini oniemiał z osłupienia, że jest człowiek na świecie, który śmie do niego w ten sposób przemawiać; nie oddał nawet Sykstusowi należnego pokłonu, lecz wzburzony wsiadł do karocy i pojechał do przyjaciela, do kardynała de'Medici. Kardynał, wysłuchawszy opowiadania, dał mu zwięzłą radę: «Wyjeżdżaj, nie trać czasu».

Więc dumny Paolo Giordano zabrał Wiktorję, udał się coprędzej do Bracciano i ku powszechnemu zdumieniu uwolnił większą część bandytów ze służby. Za kilka dni dowiedział się, że głowę Bracciolinіego zatknięto na żerdzi, sterczącej z zamku św. Anioła. Zła to była zapowiedź. Duka kazał rzeczy spakować i 21 maja opuścił swe zamczysko i państwo papieskie, pozostawiwszy Muzia Frangipana gubernatorem Bracciana i poleciwszy krewnemu, Leliowi Orsiniemu, opiekę nad swemi sprawami. Marcello Accaramboni i kilkunastu dworzan towarzyszyło mu przy wyjeździe, kilkudziesięciu innych miało się w drodze z nim połączyć. Księstwo pojechali do Urbino, gdzie dobrze zostali przyjęci, stamtąd do Pesaro, aby wsiąść na galery weneckie i udać się do tej rzeczypospolitej, która ich miała ochronić przed sprawiedliwością i gniewem Sykstusa V. Nadomiar nieszczęść, Orsini zachorował na różę w twarzy, a że lekarze obawiali się o jego życie, więc Paolo Giordano w drodze jeszcze podyktował testament, w którym zapisał Wiktorji 40.000 skudów, nie nazywając jej żoną, aby z tego powodu nie chciano obalić tej ostatniej woli. Opiekę nad synem powierzył kardynałom d'Este i de'Medici.

Ale duka jeszcze tym razem wyzdrowiał; w Wenecji wyszedł naprzeciw niemu Lodovico Orsini i cały poczet tamtejszej szlachty. Czuł się znowu wolnym i zamieszkał najprzód w pałacu Dandolo na Giudecca, a później na Murano. Niedługo tam wszakże bawił i przeniósł się do Padwy, gdzie wynajął pałac Foscarich na dwa lata za roczny czynsz siedmiuset skudów.

VII

Było w zwyczaju, że gubernator miasta Rzymu przedkładał nowoobranemu papieżowi listę więźniów, zasługujących na amnestję. Tym razem ze dwustu bandytów, spodziewających się poparcia baronów i kardynałów, oczekiwało uwolnienia. Zamiast darowania im winy, na które zresztą nie zasługiwali, odpowiedział Sykstus V nepotowi zmarłego papieża, kardynałowi San Sisto, że system pobłażliwości, której się trzymał jego poprzednik, już się skończył, że ta powolność była powodem ciągłych zbrodni, że więc nikogo nie należy z więzień wypuszczać, ale jak najprędzej wykonywać na skazańcach wyroki śmierci, aby było miejsce w lochach dla tych złoczyńców, którzy jeszcze wolno chodzą po Rzymie.

Kardynałowie magnaci, Medici, Farnese i Colonna, którzy się głównie przyczynili do wyboru Sykstusa, nie chcieli jeszcze wierzyć w tę surowość franciszkańskiego braciszka, więc poszli do niego wstawić się za szeregiem więźniów, którym przyrzekli uwolnienie. Papież zwięźle odpowiedział petentom, aby mieli na pamięci, że Chrystus dał wprawdzie klucze św. Piotrowi, ale nie upoważnił innych Apostołów, aby byli jego pedagogami. Więc i on idzie za przykładem Zbawiciela i od kardynałów nauk nie przyjmuje. Gdy jeden z proszących zwrócił uwagę, że ta surowość sprawi jak najgorsze wrażenie pomiędzy heretykami, odrzekł Sykstus, że heretycy nie gorszyli się temi winami, które się karało, ale temi, które uchodziły bezkarnie, i gdyby on był papieżem w początkach reformacji, toby luteranie nie powstali, gdyż powodem reformy było skandaliczne zachowanie się kleru.

Po tem posłuchaniu pisał rezydent wielkiego księcia toskańskiego, że kardynałowie bardzo teraz żałują, «iż wybrali

tego dzikiego Marchezańczyka». Ten żal stał się tradycyjnem dziedzictwem w św. Kollegjum, gdyż kardynałowie bali się odtąd wybierać mnicha papieżem.

Za Grzegorza XIII «frate» tak ucichł, że kardynałowie zapomnieli o jego dawniejszych wystąpieniach, nie znamionujących bynajmniej łagodnego charakteru, któryby się komukolwiek dał powodować. Jako kaznodzieja tak się raz Peretti uniósł na ambonie, że rzucał gromy na Karola V, na Ferdynanda I i Henryka VI, w obecności kardynałów i ambasadorów, tak, że dopiero dyplomacja papieska musiała sprawę załagodzić.

Po kardynałach stawili się konserwatorzy kapitolińscy przed papieżem, przedstawiając mu, że ludność spragnioną jest sprawiedliwych rządów, pokoju i dobrobytu. Sykstus odpowiedział, że przedewszystkiem spodziewa się sprawiedliwości po nich, jako najwyższych urzędnikach miasta, i że w tej mierze mogą najzupełniej liczyć na jego poparcie; gdyby zaś inaczej postępowali, to będzie wszelkie nadużycie władzy karał najsurowiej i wysoka ich godność bynajmniej go nie powstrzyma od tego, aby im głów nie kazał poucinać.

Dygnitarze, osłupieni takiem przywitaniem, strzegli się odtąd dawać nauki papieżowi.

Po tego rodzaju zapowiedziach nastąpiły czyny.

Zaraz po wyborze wydał papież zakaz noszenia broni na ulicach Rzymu. Czterech jednak braci, młodzieńców, którzy podczas conclave służyli w zbrojnym oddziale Sforzy, utworzonym celem utrzymania porządku w mieście, uważało się przez to niejako za uprawnionych do noszenia broni i wyszli z mieszkania z rusznicami na plecach. Bargello kazał ich uwięzić i doraźnie skazać na śmierć. Kilku kardynałów, dowiedziawszy się o tej niesłychanej surowości, poszło do papieża, rzucili mu się do nóg i prosili o przebaczenie dla nierozważnych, ile że nie było przykładu, aby tracono skazanych zaraz na początku panowania nowego papieża, a zwłaszcza przed koronacją. Papież ułaskawienia odmówił i nazajutrz, we dwie godziny po wschodzie słońca, czterej bracia zostali powieszeni na moście św. Anioła.

Sykstus wydał straszną, ale wówczas dla uspokojenia

państwa i zapewnienia publicznego bezpieczeństwa konieczną wojnę bandytom. Narówni prawie z bandytami postawił astrologów, wróżbitów, zawodowych karciarzy, bluźnierców, oszustów, nowinkarzy, rozsiewających wiadomości, które powinny być utrzymane w tajemnicy, duchownych, kalających swą szatę, i kurtyzany. Piątego lipca ogłoszono bullę «Hoc nostri pontificatus initio», która grozą przejęła całą ludność. Na bandytów miała się odbyć powszechna obława. Gdziekolwiek się niepewni ludzie ukazali, miano uderzyć w dzwony, chwytać za broń, więzić, albo na miejscu zabijać złoczyńców. Pokrewieństwo z bandytą nie uwalniało od tego obowiązku; kto nie spełnił swej powinności, ulegał nawet karze śmierci. Za głowy bandytów zostały ustanowione nagrody, które wszakże nie wypłacała Camera Apostolica, lecz krewni ściganego, albo gmina, do której złoczyńca należał, w razie, jeżeliby rodzina była zanadto uboga. I tak rozkazał papież krewnym bandyty Fary pod karą śmierci, aby go dostawili żywego lub nieżywego, a rodzina wykonała niespełna w miesiąc polecenie i przesłała żądaną głowę do Rzymu. Całe państwo pełne było szubienic; pomiędzy Anagni a Frosinone wystawiono ich dwanaście, a na każdej poprzybijano poćwiartowane ciała złoczyńców. Na moście św. Anioła i na murach Moles Hadriani wisiało ciągle, miesiącami, po kilka i kilkanaście trupów, które w gorąca letnie się rozkładały, szerząc wokoło najwstrętniejsze wyziewy. Dwom wisielcom, a mianowicie byłemu księdzu Guercinowi, który się kazał nazywać «królem Kampanji», tudzież innemu duchownemu, «królowi Maremmy», włożono na głowę pozłacane korony na pośmiewisko. Konserwatorowie miasta posłali do papieża deputację, aby zwrócić uwagę Jego Świątobliwości na niebezpieczeństwo zarazy, jaka powstać może z tego wystawiania ciał przez czas dłuższy i prosić o pozwolenie usunięcia wstrętnego widoku. Papież szorstko odpowiedział, że Rzymianie mają zanadto czułe powonienia; zbrodnie im «nie śmierdziały», a trupów zbrodniarzy znieść nie mogą. Ciała też bandytów zapowietrzały dalej most św. Anioła w lipcowe upały.

Kilku junaków ze złotej młodzieży, a pomiędzy nimi Virginio Orsini, Ascanio Sforza i Marc Antonio Incoronati po-

zwoliło sobie na żart niebezpieczny i wyśmiewając wyroki papieża, powystawiało w nocy głowy zabitych kotów na żerdziach na moście św. Anioła. Papież się o sprawcach dowiedział, kazał ich uwięzić, lecz nierozważnej psoty śmiercią nie ukarał.

Po mieście obiegała rozmowa pomiędzy posągami św. Piotra i św. Pawła, ustawionemi przy wejściu na most św. Anioła. «Dlaczego» pytał św. Paweł swego towarzysza, «nosisz torbę na plecach?» — «Opuszczam Rzym» odpowiedział św. Piotr, «z obawy, aby mnie nie zasądzono za to, że Malchusowi ucho odciąłem».

W roku 1585 powstało nietylko we Włoszech, ale w całej Europie wielkie oburzenie, że z rozkazu Sykstusa uduszono w więzieniu starca, hrabiego Giovanniego Pepoli, członka jednej z najbardziej poważanych rodzin w Bolonji. Pepoli dał schronienie jakiemuś bandycie w jednym ze swoich zamków i nie chciał go wydać, tłumacząc się tem, że ów zamek jest lennem cesarskiem, a nie papieskiem, i władza Sykstusa tam nie sięga. Ale papież na takie rzeczy nie zważał i polecił legatowi w Bolonji porwać siłą owego bandytę. Rządowe zbiry nie zdołały jednak uprowadzić zbrodniarza, ludzie Pepolego odparli ich napad. Wtedy papież wysłał większą siłę zbrojną i nietylko kazał ściąć głowę bandycie, lecz i na Pepolego wydał wyrok śmierci, rozległe zaś dobra hrabiego polecił skonfiskować na rzecz papieskiego skarbu. Kilku kardynałów, tudzież rodzina Estów wstawiała się u Sykstusa, aby złagodzić wyrok na starca, który był bardzo dobroczynnym i lubianym w Bolonji. Prośby nic nie pomogły, wyrok został wykonany.

Nasz Reszka donosił, jeszcze w dziesięć lat (1589) po wstąpieniu na tron Sykstusa, swemu przyjacielowi, biskupowi przemyskiemu, Baranowskiemu, że w «przeszłym tygodniu była w Rzymie sroga iustitia, propter adulterium kilku na «galgen» posłano i mnicha jednego, canonicum regularem, i z mniszką szyi pozbawiono, o jakieś nocne insolencje». Surowość nie ustawała.

Całe lata szczelnie zamykał kardynał Montalto gniew na Orsinich i na bandytów w swej mniszej piersi, przywykłej

do milczenia. Poznał ich lepiej, aniżeli kto inny; teraz więc, gdy miał władzę w ręku, z całą bezwzględnością, z całą surowością inkwizytora uwalniał społeczeństwo od zbrodniczego teroru. Zadanie było ciężkie, ale konieczne; środkowym Włochom groziło najzupełniejsze ekonomiczne zniszczenie i moralne rozluźnienie.

Patrząc na współczesne ryciny, przedstawiające Sykstusa V, uśmiechniętego, dobrodusznego, zdawałoby się, że ten papież nie umiał nawet podpisać wyroku śmierci. Jedyny może portret, na którym poznajemy Montalta takim, jakim był, znajduje się w lateraneńskim pałacu. Wzrok papieża przenikliwy, usta zaciśnięte, trochę szydercze, energja i silna wola w całem obliczu. Charakterystycznym jest nos tej nadzwyczaj wyrazistej twarzy, nos długi, sięgający prawie do górnej wargi, u dołu szeroki, panujący prawie nad obliczem. W całej głowie jest coś zagadkowego, coś z natury Sfinksa; jakaś tajemniczość wyrobiła się w Sykstusie, człowieku z natury gwałtownym, wskutek długoletniego tłumienia namiętności i niewyjawiania swych myśli i zamiarów.

Mimo swej surowości umiał papież być w codziennem życiu dobroczynnym i dobrodusznym mnichem, osobliwie jeżeli miał przed sobą bliższych przyjaciół, albo niższych duchownych, którzy nie mogli krzyżować jego dróg dyplomatycznych. Nasz Reszka zapisał kilka takich rysów, dowodzących, że w tym strasznym papieżu tkwiło dużo ujmującej prostoty człowieka z gminu, który o własnych siłach doszedł do najwyższego stanowiska w chrześcijaństwie. I tak donosi nasz poseł 14 maja 1588, że Sykstus przyjął go bardzo wdzięcznie, rozmawiał z nim o wielu rzeczach, słuchał go chodząc, klęknąć nie kazał i «na lewą rękę przestępować nie dopuścił». Innym razem pożegnał go łaskawie, wymawiając się, że nie może z nim dłużej rozmawiać z powodu wielkiego kataru. «Andate in nome di Dio», mówił, «state sano, perche noi havemo gran catharro».

Czasami czuł się Sykstus trochę Słowianinem, chciał dla Słowian południowych wystawić collegium i zabezpieczyć tej instytucji dochody, ale osobliwie mu o Polskę chodziło, nietyle, że Polacy do Słowian należą, ile, że potrzebował ich do

odparcia tureckiej potęgi, która go bardzo niepokoiła. Skarżył się, że europejscy monarchowie papiestwu w tej mierze nie pomagają. Filip hiszpański był za stary, cesarz «imbecillis» i chwalił sobie tylko króla Stefana Batorego, ale tego, niestety, niebawem zabrakło. Był on, jak się wyraził papież, «manu et consilio fortis«. Z rządów Zygmunta III mniej był zadowolony, roześmiał się, gdy mu Reszka opowiadał, że go heretycy nazywają «królem jezuitów», i wymawiał posłowi polskiemu, «że król się jeszcze nie ozwał», że jego rządy niewyraźne. Niecierpliwił się, że Zygmunt ociąga się z wysłaniem poselstwa z obedjencją, chodziło mu bowiem nadzwyczajnie o to, aby wyprawiono do Rzymu poselstwo świetne, «pomposum et splendidum», magnata, któryby wjechał do Rzymu, jak Paweł Uchański, a gdy się dowiedział, że z Warszawy chcą wysłać biskupa, a nie wielkiego pana, sierdził się, że «nie tak czynił król Stefan; teraz ślecie prałata, nie z obedjencją, ale aby pieniędzy żebrać» na wyprawę przeciw Turkom. W tej mierze zresztą chciał Polsce pomagać; chwalił się przed Reszką, że królowi Stefanowi posłał w tym celu 25.000 skudów, a że teraz Zygmuntowi III dałby więcej, bo zebrał pięć miljonów skudów «na każdą potrzebę i przygodę chrześcijaństwa». Nie był jednak zadowolony z postępowania polskiego rządu, a głównie chodziło o tę obedjencję. «Robicie, jakbyście ze mną igrali», mówił do Reszki. «Dziś będzie, jutro będzie, każecie mi się starać u cesarza o litteras passus, ale ze wszystkiego nic. Nie czujecie się w waszej powinności i mało sobie poważacie».

Gdy się rozeszła wiadomość, że król Zygmunt III ustąpi królestwo polskie cesarzowi Maksymiljanowi, a ten «nawzajem się do tego zniży», że siostrę królewską Annę pojmie za żonę, i gdy ze strony cesarskiej starano się w tej mierze o pomoc papieża, Sykstus się żachnął i uważał ten projekt za zupełnie niedorzeczny. O nuncjuszu w Warszawie, Annibalu z Kapuy, który mu o tem w poważny sposób doniósł, wyraził się, «że nuncjusz musi być niespełna rozumu». «Niby to król polski do tego się posunie», mówił Reszce, «że wstawszy ze swej stolicy, szczęście swe da Maksymiljanowi i koronę zdjąwszy ze swej głowy, włoży na głowę siedzącego, jakgdybym ja w porze zimowej, zdjąwszy czapkę, chciał ją ci włożyć na głowę». Co mówiąc, zdjął swoją czapeczkę i trzymał ją oburącz nad głową Reszki, dodając: «Ja w takie bzdurstwa wdawać się nie będę, gdyżbym się wystawił na pośmiewisko».

Obok uporządkowania stosunków wewnętrznych państwa papieskiego, zabezpieczenie chrześcijaństwa od najazdu tureckiego, pokonanie potęgi mahometańskiej było główną, szczerą troską Sykstusa i rzec można, że mało zasiadało papieży na Stolicy Apostolskiej, którzyby tak sumiennie pojmowali swoje posłannictwo. Istniało pewne podobieństwo charakterów pomiędzy Sykstusem V a Juljuszem II. Sykstus był także «il terribile», ale umiał więcej panować nad sobą; Juljusz podnosił kij w gniewie i wymyślał, jak marynarz, Sykstus podpisywał milcząco wyroki śmierci. Jeden i drugi nienawidził cudzoziemców, najeżdżających Włochy; papież renesansowy Francuzów, który wtedy nad półwyspem ciążyli, papież końca XVI wieku Hiszpanów, a osobliwie ambasadora króla Filipa, Olivareza, który jeden wobec papieża śmiało występował. Ani Juljusz, ani Sykstus nie osiągnęli swych marzeń, uwolnienia ojczyzny od obcej przemocy; Sykstus V umierał nadto w obawie o losy chrześcijaństwa, a przy schyłku życia mówił do Reszki: «Wierz mi, że w tych trwogach wszystkiego chrześcijaństwa często sobie raczej śmierci, niż tak frasowitego żywota życzę».

Jedyną pociechą w owych troskach była Sykstusowi siostra Kamilla, do której bardzo się przywiązał. Ona jedna miała wielki wpływ na papieża, jej się ze wszystkiem zwierzał. Kardynałowie radzili Reszce, aby w interesie Polski ją się starał pozyskać, a będzie mu wielką pomocą. Królowa Anna pisała do niej, polecając Reszkę, ale tego nie było dość polskiemu posłowi, prosił jeszcze i samego króla o list do donny Kamilli.

Kamilla stała się ważną osobistością w Rzymie, przywdziewała kosztowne szaty i otaczała się zbytkiem, bo tego wymagały zwyczaje. Idąc w ślady poprzedników, postępował Sykstus V ze swymi krewnymi, jakby z panującą rodziną. Aleksandra Perettego, syna Marji Felicji Damasceni, wyniósł

do godności kardynała, pomimo, że liczył dopiero lat trzynaście; młodszego Perettego, Michała, ośmioletniego dzieciaka, mianował jenerałem armji Kościoła i kazał mu, a raczej jego matce, wypłacać przywiązane do tej posady dochody. Później oddał mu księstwo Venafro. Sykstus nie odstępował w tej mierze od dawnych zwyczajów, obdarzał siostrę i nepotów licznemi dobrami lennemi i kupował w Rzymie pałace i realności, intabulując je na nazwisko Kamilli. W ten sposób nabył papież niebawem cztery pałace w dzielnicach Parione, all'Orso, alla Pigna i w Borgo i został właścicielem domów w vicolo de'Sentieri i koło San Salvatorello. Najbardziej mu jednak leżała na sercu winnica koło Santa Maria Maggiore; dokupił do niej przyległe grunta, założył pyszne ogrody i budował dalej ów pałac, który tak gniewał Grzegorza XIII.

Jedną z namiętności Sykstusa było budowanie. Używał on do swych prac Fontany, który nie należał do wielkich artystów, ale był człowiekiem sumiennym i poddawał się wszelkim wymaganiom papieża. Istnieje współczesna rycina, przedstawiająca portret Sykstusa, okolonego budowami, które imię jego utrwaliły; widzimy tam kaplicę w Santa Maria Maggiore, pałac Lateraneński, most Sykstyński i aż sześć kolumn i obelisków, które papież kazał ustawić. Gdy praca około obelisku na placu św. Piotra się udała, wygrzebał papież z rumowiska i inne starożytne kolumny i zdobił je krzyżem lub postacią apostoła na wierzchu.

W roku 1587 mógł Sykstus kazać wybić medal na pamiątkę wykorzenienia bandytyzmu, z napisem «Perfecta securitas», «Zupełne bezpieczeństwo» i przedstawiającym wieśniaka, śpiącego pod drzewem, z otwartą torebką, pełną dukatów. Było w tym napisie trochę przesady, ale przyznać trzeba, że heroiczne środki Sykstusa na jakiś czas skutkowały i że ludność państwa papieskiego mogła się oddać pracy bez obawy przed Piccolominimi.

W społeczeństwie pozostawił jednak Sykstus straszne po sobie wspomnienie, a gdy się rozeszła wiadomość o jego śmierci, lud rzymski biegł na Kapitol, aby zgruchotać posąg, który mu senat wystawił na pamiątkę wytępienia bandytów.

Kardynałowie jednak wysłali czemprędzej konnetabla Colonnę, ożenionego z nepotką zmarłego papieża, aby swym wpływem tłumy uspokoił. Colonna obiecał ludowi, że posąg każe zaraz zakryć, dopóki senat nie orzeknie, co z nim począć. Dzieło artystyczne zostało uratowane, ale senat uchwalił, że żyjącym papieżom nie wolno stawiać posągów. Uchwała ta zresztą została martwą literą.

Groza, jaką Sykstus V roztaczał, tak się wyryła w pamięci włoskiej ludności, że, jak zapewnia historyk Muratori, we dwa wieki po śmierci papieża straszono jeszcze dzieci jego nazwiskiem.

VIII

Wróćmy jednak do Paola Giordana.

Zaledwie osiedlił się na lato w Salò, nad jeziorem Garda, zamierzając na jesień wrócić do Wenecji, zachorował niespodziewanie na silną febrę. Puszczono mu krew z ramienia, ale ta operacja jeszcze bardziej osłabiła schorowany organizm i Orsini umarł 12 października r. 1585. «Avvisi di Roma» donosiły, że śmierć Paola Giordana «nie mogła się zdarzyć bardziej w porę», a publiczność rzymska posądzała wielkiego księcia Franceska, tego arcykapłana trucicieli, że go kazał usunąć. Wiktorja zemdlała przy śmierci męża, a gdy przyszła do przytomności, chwyciła za pistolet, aby także życie zakończyć. Ktoś ze służby wydarł jej broń z ręki i otoczenie zdołało ją uspokoić. Kazała zdjąć maskę z umarłego, zabalsamować ciało i porozsyłać listy o śmierci Paola Giordana. Brat jej, biskup z Fossombrone, otrzymawszy zawiadomienie, napisał jej list, pełen szczerego współczucia; radził, aby całą duszą zwróciła się ku niebu, i jakby przeczuwał jej tragiczne losy, zakończył słowami: «Il mal mi preme e mi spaventa il peggio».

Nie mając domu, wybrała się Wiktorja do Padwy. W Weronie spotkała Ludwika Orsiniego, który na wiadomość o śmierci Paola Giordana dążył do Salò. Towarzyszył jej do Padwy, czuwając nad tem, aby wdowa nie przywłaszczyła

sobie jakich kosztowności. Paolo Giordano zapisał żonie w testamencie oprócz owych 40.000 skudów, o których wspomnieliśmy, wszystkie kosztowności, złożone w klasztorze Tor de' Specchi, tudzież srebra, sprzęty i ruchomości, znajdujące się w Padwie i Wenecji. Pomiędzy innemi polecił jej nosić pierścień św. Brygidy, który go nie opuszczał przez całe życie. Po jej śmierci pierścień ten miał wrócić do rodziny. Księciu Toskany i Orsinim chodziło przedewszystkiem o unieważnienie tych zapisów, gdyż ruchomości i klejnoty wielką miały wartość. Ludwik Orsini pośpieszył donieść do Florencji, że jego staraniem będzie, aby wdowa nic nie zabrała, i że ręczy, iż wszystko wróci do rodziny.

Wiktorja, przybywszy do Padwy, zamieszkała w domu, zwanym de' Cavalli, udała się zaraz do podesty, który, stwierdziwszy autentyczność testamentu Paola Giordana, wprowadził ją w posiadanie rzeczy po zmarłym pozostałych. Ludwik Orsini zawrzał gniewem, czuł się poniżonym wobec Medicich i Virginia Orsiniego, a widząc, że jego starania w Wenecji rzeczy nie zmienią, że tam panowało prawo, postanowił we właściwy sobie sposób wejść w posiadanie kosztowności i zemścić się na kobiecie, która mu w drodze stanęła.

Pałac Contarinich, gdzie mieszkał Lodovico, leżał nad Brentą, blisko domu de' Cavalli. Dwudziestego drugiego grudnia, o drugiej w nocy, wchodzili tam cichaczem ludzie podejrzani, przyjaciele Ludwika: Conte Paganello, Ubaldi z Arezzo, capitano Tolomeo Visconti i capitano Splandiano Addami da Fermo. Oprócz nich zgromadził Lodovico ze dwudziestu brawów, zdolnych do każdej zbrodni za dobrą zapłatę. Wszystkim kazał wdziać przygotowane już długie czarne płaszcze, poprzyprawiać sobie fałszywe brody lub maski; niektórych przebrał za kobiety. Cała ta zgraja, dobrze uzbrojona, w puginały i rusznice, udała się z rozkazu Orsiniego ku domowi Wiktorji i obsadziła wszystkie wejścia.

W pałacu służba dawno już odeszła do swoich mansard, ale Wiktorja i jej najmłodszy brat Flaminio jeszcze nie spali. Wiktorja, chodząc po komnacie, odmawiała różaniec, jako w wigilję swej patronki, Flaminio zaś śpiewał półgłosem psalm «Miserere», akompanjując sobie na lutni. Wiktorja

nie wiedziała jednak, że czuwało jeszcze dwóch ludzi z jej służby, zdrajców. Ci otworzyli drzwi Orsiniemu, trzem jego przyjaciołom i pięciu brawom. Przy świetle dwóch pochodni wszedł najprzód Lodovico do pokoju Flaminia, który zaczął uciekać do siostry, ale rażony strzałem z rusznicy, upadł prawie na progu.

Zamaskowani znaleźli się wobec Wiktorji, która, widząc morderców, upadła na kolana przed krucyfiksem.

«Czeka cię nagroda za wszystkie zbrodnie» rzekł jeden z towarzyszy i podniósł puginał ku piersi bezbronnej kobiety. «Pozwólcie mi się wyspowiadać» wyjękła ofiara. Były to ostatnie jej słowa, gdyż morderca silnym ruchem utopił w jej piersi puginał prawie po rękojeść.

Lodovico zapytał: «Przebite serce?»

«Przebite», odrzekł wykonawca zbrodni, Tolomeo Visconti de Recanti, członek znakomitego rodu. Ale to zapewnienie nie zaspokoiło brawów; rzucili się ze sztyletami na drgające jeszcze ciało i zadali mu siedmdziesiąt cztery ran. Flaminia, który się zaczołgał pod łóżko, dobili szpadami.

Po skończonem dziele zebrali się w podwórzu, zawołali na zarządcę domu, przykazując mu, aby się starał całe urządzenie utrzymać w porządku; jeżeliby co zginęło, będzie odpowiadał przed wielkim księciem toskańskim. Nie zachowali więc tajemnicy, z czyjego rozkazu zbrodnia spełnioną została. Że jednak pomiędzy bandytami był sam Ludwik Orsini, tego służba się nie domyślała, jeden bowiem z dworzan Wiktorji pobiegł do pałacu Ludwika, aby donieść, co się stało. Orsini udawał zdziwionego, jakoby o niczem nie wiedział i kazał dać znać podeście o napadzie.

Nazajutrz w całej Padwie mówiono, że głównym sprawcą zbrodni był Lodovico Orsini; wyprawiono posłańca do weneckiej Signorji, która natychmiast rozkazała obstawić gwardją pałac Orsiniego, zamknąć bramę miasta i nikogo nie wypuszczać, ktoby nie miał wyraźnego pozwolenia od Rady Dziesięciu.

Lodovico nie przypuszczał, aby Signorja miała na tyle odwagi, ażeby się targnąć na Orsiniego, na członka rodu dobrze zasłużonego Wenecji. Widząc jednak powszechne zbro-

jenie się, sam zgromadził w pałacu z pięćdziesięciu ludzi, zamknął bramy i czekał. Wkrótce rektorowie miasta wezwali go do siebie, aby go zapytać, czy nie wie coś bliższego o zamordowaniu Wiktorji Accaramboni. Lodovico odpowiedział, że o niczem nie wie, i w sposób szorstki i dla miejskich dygnitarzy obelżywy wyrzucał im, jak śmią w ten sposób obchodzić się z gubernatorem Korfu, a do tego Orsinim, godniejszym od wielu innych książąt.

Ale Lodovico zapomniał, że ma do czynienia z rządem weneckim, który, jedyny może wówczas we Włoszech, szanował prawo i umiał mu nadać poszanowanie. W radzie weneckiej szybko jego losy zostały rozstrzygnięte; po długich rozprawach, trwających aż do drugiej w nocy, rzucono do urny 171 gałek, a z nich 149 za uwięzieniem Orsiniego. Natychmiast wysłano rozkaz do rektorów w Padwie, aby go dostawili żywego, albo umarłego. Z rana, a był to dzień Bożego Narodzenia, rozlegał się wszędzie po ulicach Padwy okrzyk: «Do broni, do broni!» «Arme! Arme!», a niebawem cały pałac Orsiniego oblegały tłumy zbrojnego ludu. Lodovico kazał się zapytać, czego właściwie żądają. Odpowiedziano, że jego osoby. «Pójdę z własnej woli, ale nie zmuszony» odrzekł i polecił swemu sekretarzowi, aby napisał rodzaj protestu, który kazał wręczyć władzy i czekał w domu dalszych wypadków.

Rektorom jednak śpieszyło się wykonać rozkaz Signorji; kazali wytoczyć kilka armat i strzelać do pałacu, dopóki się Orsini nie podda. Rozległ się jeden strzał i drugi, kawałek muru się zwalił, trzech ludzi ze służby zostało zabitych. Inni, obawiając się o swój los, zaczęli się buntować; Lodovico widząc, że się poddać musi, wyszedł z bramy, chciał coś mówić do ludu, ale mu ust otworzyć nie pozwolono, otoczono go milicją i natychmiast wraz z trzydziestoma siedmioma towarzyszami wywieziono do Wenecji. Orsini, jak wielu innych, musiał przejść przez ponte dei sospiri.

Proces przeciw zbrodniarzowi szybko został przeprowadzony i wyrok śmierci wydany. Cancelliere Rady Dziesięciu uwiadomił go, że umrzeć musi. «A jaką śmiercią mam zginąć?» zapytał. — «Śmiercią równą innym waszego stanu»,

odpowiedział wysłaniec, co znaczyło, że będzie uduszony. Lodovico prosił, żeby mu na chwilę zdjęto łańcuch z prawej ręki, aby mógł do żony napisać, co mu uczyniono. Prosił także o książkę do nabożeństwa, należącą do żony, i odmówił z niej pięć modlitw łacińskich, które mu przypominały lepsze czasy. Wśród tego wybiła godzina szesnasta, godzina stracenia; wniesiono krzesło skórzane, przywiązano go do siedzenia i kat założył mu na szyję sznur jedwabny, karmazynowy, ostatni przywilej namiestnika Korfu i rzymskiego barona. Signorja doniosła o tej egzekucji wielkiemu księciu toskańskiemu, wyraźnie w liście podnosząc, że straceńcowi nie został odmówiony zaszczyt karmazynowego sznura. Ciało Ludwika, stosownie do jego życzenia, zostało pochowane w kościele Santa Maria dell'Orto. Piękną bronią, po nim pozostałą, ozdobiono salę Rady Dziesięciu.

Po naczelniku nastąpiło wykonanie wyroków na jego towarzyszach; pierwszego dnia powieszono dwóch, a dni następnych dziewiętnastu. Sprawiedliwość, wymagającą strasznej vendetty, spełniono z przerażającą dokładnością. Rozpalonemi obcęgami chwytano skazańców za ręce, przebijano serca nożem, a niektórzy z nich żyli jeszcze chwilę, tarzając się po ziemi w konwulsjach. Gdy skonali, ćwiartowano ich ciała na cztery części i każdy kawał kazano powiesić na szubienicach, przed czterema bramami miasta.

Na śmierć Wiktorji i Ludwika Orsiniego napisano, jak wiekowi XVI przystało, sporo rozmaitych wierszy i epigramów. Brat Wiktorji, Ottavio, biskup z Fossombrone, szeroko wspomniał o niej w kazaniu, które miał w katedrze, wynosząc nietylko piękne zalety jej ciała, ale i życie «zacne, rozważne, pełne dobroci i powagi», zakończył zaś zapewnieniem, że Wiktorja do nieba została przyjętą. Jakiś poeta żalił się, że razem z Wiktorją zeszły wszystkie cnoty ze świata:

Al cader di Vittoria
Cadé virtù e valore
Di pudicizia, e honore
Di gratia, e gentilezza
D'umiltà, d'innocentia e di belezza

E di pietate e fede
Si fece al suo caler la terra herede.

Inaczej sądzili Rzymianie. Wypisali oni jej epitafja, aż do przesady złośliwe.

Madonna Peretti postarała się o to, aby wszyscy, winni jej rodzinnej tragedji, skończyli pod ręką kata. Marcello Accaramboni uciekł do Wenecji, ale papież żądał jego wydania, jak również przystawienia greckiej czarownicy, którą podejrzywano o otrucie siostry Francesca Peretti. Signorja, chcąc okazać szczególną uprzejmość dla Stolicy Apostolskiej, wysłała tę zbrodniczą parę do Ankony, gdzie gubernator kazał tak Marcella, jak i Greczynkę ściąć bez procesu.

Francesco został pomszczony, trzeba było jeszcze przed ludem rzymskim okazać, że «Peretti» nie może zginąć bezkarnie. Papież zarządził, aby zamordowanemu przed laty sprawiono raz jeszcze wspaniały pogrzeb. W czerwcu więc w r. 1588 przeniesiono zwłoki Franceska z Santa Maria degli Angeli do Santa Maria Maggiore, gdzie wobec ośmnastu kardynałów, licznego orszaku duchowieństwa świeckiego i mnichów zostały złożone do krypty grobowej.

Zaledwie upłynęły cztery lata od tragicznej śmierci Paola Giordana i Wiktorji Accaramboni, a już obydwie rodziny Orsinich i Perettich zapomniały o niedawnej nienawiści. Wendecie stało się zadość, zastąpiły ją wzajemne interesy. Papież pragnął wysokich związków dla swojej rodziny, syn Paola Giordana zaś, siedemnastoletni młodzieniec, potrzebował gotówki, aby uporządkować swe majątkowe stosunki, które ojciec pozostawił w bardzo smutnym stanie. Na wiosnę roku 1589 wychodziła zamąż Flavia Peretti, siostrzenica zamordowanego, wnuczka papieża, za syna mordercy. Ósmy kwietnia był triumfem Perettich; jedna nepotka zostawała księżną na Bracciano, a siostra jej, Orsina Peretti, tego samego dnia szła do ołtarza z Marcantoniem Colonną, synowcem zwycięzcy z pod Lepanto. Każda z sióstr dostawała w posagu po 100.000 skudów. Na cześć sióstr Perettich wydał sam Tasso zbiór pochwalnych wierszy, które wówczas nazywano «Tempio». Takie «Tempia» dostawały w darze najpiękniejsze kobiety; Flavia i Orsina nie należały do najurodziwszych, lecz były nepotkami Sykstusa. Papież tak był zadowolony z połączenia swej rodziny z dwoma najznakomitszymi domami Włoch, że stał się odtąd o wiele łagodniejszym w wykonywaniu swych surowych rządów.

Sykstus umarł 27 sierpnia 1590. Rozeszła się wieść, że go otruli Hiszpanie, a mianowicie poseł ich w Rzymie Olivarez, zawzięty wróg Sykstusa, pragnący papieża bardziej uległego katolickiemu królowi i lidze przeciwnej Francji. Rządy Sykstusa wywarły stanowczy wpływ na przyszłość papieskiego państwa i na kulturę całych Włoch. Straszny papież zniszczył przewagę rzymskich rodów arystokratycznych, odebrał wszelką władzę miejskim municypjom i założył ściśle kościelną, scentralizowaną monarchję. W państwie zapanował spokój, a w miejsce dawnych rodów rzymskich wypłynęły rody nepotów.

Siostra papieża, Kamilla Peretti, żyła jeszcze długo, do r. 1605. Ród Perettich, a raczej Damascenich, szybko wszakże wygasł; ostatni z nich, kardynał Franciszek, zmarł w r. 1655 podczas conclave, z którego wyszedł Aleksander VII.

ROZDZIAŁ TRZECI

RODZINA CENCICH

I

Francesco Cenci i jego rodzina byli to ludzie moralnie upadli, z których część przynajmniej musiała skończyć pod toporem kata; nie znajdziemy tam ani jednego szlachetnego charakteru.

Mimo to wglądnięcie w stosunki rodzinne Cencich jest dzisiaj zajmujące, gdyż proces ich odsłania zepsucie, jakie panowało w społeczeństwie rzymskiem w końcu XVI stulecia. Cenci należeli do wysokiej szlachty rzymskiej, zajmowali już w XII wieku ważne stanowiska, łączyli się z wielkiemi rodami, jak Astalli, Albertoni, Massimi, Frangipani, Orsini, Lanti i t. d. i mieli jeden z najwspanialszych pałaców w Rzymie, na brzegu Tybru. Wieża Cencich została zburzona dopiero w ostatnich dziesiątkach lat, gdyż stała na zawadzie założeniu spaceru, zwanego «passegiata del Lungotevere». Blisko pałacu wznosi się kościół S. Tomaso a Cenci, ufundowany jeszcze w r. 1113, który Cenci uważali niejako za swój kościół rodzinny.

Cenci mieli duży majątek, a w XVI wieku przyczynił się do powiększenia fortuny głównie Cristoforo Cenci, kleryk Kamery Apostolskiej. Cristoforo był naczelnym skarbnikiem papieskim, a prócz tego miał sobie powierzonych sporo pu-

blicznych urzędów, z których tak dobrze umiał korzystać, że pozostawił majątek, wynoszący na dzisiejszą monetę przeszło dwa miljony lir, co w ówczesnych stosunkach miało o wiele większą wartość. Zarządzał on także funduszami kościoła św. Tomasza w sposób podobny, jak papieską kasą, ponabywał też mnóstwo winnic, folwarków, will i pałaców. Żonatym nie był, ale miał stosunek z niejaką Beatryczą Arias, kobietą zamężną, niższego stanu, która go obdarzyła synem, Franceskiem. Małżonek Beatryczy nic nie miał przeciwko temu, aby Cristoforo uważał Franceska za swego syna, a nawet, aby go nazwał Cencim. Mówiono jednak, że najwięcej praw ojcowskich do tego syna miał izraelita, nazwiskiem Falcione, do którego Francesco był nawet podobny.

Gdy Cristoforo umierał, mąż Ariasowej już nie żył. Na łożu śmierci połączył się więc węzłem małżeńskim z matką Franceska, a był już wtedy tak osłabiony, że nie miał nawet siły włożyć pierścionka na palec Beatryczy i obecny notarjusz musiał go w tej mierze wyręczyć. Czując zapewne zbliżający się kres życia, upełnoletnił Cristoforo Franceska, pomimo, że chłopak nie miał jeszcze lat dwunastu, a może i dobrze uczynił, gdyż Beatrice wyszła niebawem po raz trzeci zamąż, za rządcę zmarłego Cristofora, adwokata, Ewangelistę Recchię di Barbarano, i majątek Cencich byłby narażony na rabunek ojczyma.

Ażeby wyjść na wykształconego człowieka, na to Francesco nawet nie miał czasu; ojciec wszakże utrzymywał dla niego nauczyciela, jak się zdaje pedagoga o niezbyt wysokiej kulturze i moralności, gdyż nauczyciel i uczeń pobili w r. 1560 aż do krwi jakiegoś Quintiliana di Vetralla i musieli stawać przed sądem. Młody Cenci wcześnie się zaprawiał do bijatyk. Żył wogóle prędzej, jak inni; w czternastym roku już się ożenił z Ersilją Santacroce, siostrzenicą swego byłego opiekuna, panną z dobrej rodziny, która mu wniosła pięć tysięcy skudów w posagu. Zaledwie się oświadczył 24 października 1563 o rękę Ersilji, a już w tydzień później prowadził ją do ołtarza. Widocznie miał poparcie w biurach Watykanu i uzyskał pozwolenie na sumaryczne zapowiedzi. W przeciągu dwudziestu jeden lat (1563—1584) pożycia miał z tą pierwszą żoną

6*

dwanaścioro dzieci, z których pięcioro umarło, a pozostało przy życiu pięciu synów i dwie córki, Antonina i Beatrice.

Cała ta liczna rodzina znalazła się naraz wobec wielkiego majątkowego niebezpieczeństwa. W roku 1585 wstąpił Sykstus V na tron papieski, a że musiał oddawna wiedzieć, iż Cristoforo Cenci nadużywał zaufania, położonego w nim przez papieży, za których był jeneralnym skarbnikiem Kamery Apostolskiej, więc kazał rzecz badać i zagrozić Franceskowi odebraniem nieprawnie nabytego majątku. Co więcej, papież uważał zaślubiny Cristofora z Beatryczą Arias za nieważne, jako zawarte z ominięciem niektórych przez Kościół wymaganych formalności, a zatem i Franceska za nieprawego syna Cristofora. Ponieważ jednak Francesco miał już lat czterdzieści jeden, a dwadzieścia ośm lat upłynęło od chwili, kiedy Cristoforo zawarł małżeństwo na łożu śmierci z Beatryczą Arias, przeto papież dał się ułagodzić i pozwolił na zatwierdzenie owego małżeństwa pod warunkiem, że Francesco Cenci zapłaci Kamerze Apostolskiej dwadzieścia pięć tysięcy skudów. Francesco zapłacił, a pieniądze zostały obrócone na budowę mostu na Tybrze, który zwano podówczas Ponte Felice. Francesco otrzymał cyrograf, w którym powiedziano, że Cristofora Cenci uważa się, jakgdyby nie był klerykiem, Franceska zaś za urodzonego z małżeństwa legalnie zawartego, a Beatryczę Arias, jakgdyby oprócz Cristofora Cenci nie miała była innego małżonka. Dokument ten nazwano «sanatoria», uzdrowieniem stosunków rodzinnych Franceska.

Te legalizacja nie poprawiły wszakże charakteru Franceska. Był on człowiekiem w najwyższym stopniu gwałtownym, kłótliwym, rozbijał głowy sługom, bił dzieci, głodził, a jako sknerę i chciwca nienawidziło go całe miasto. Śladami ojca poszli i synowie, tak, że niebawem sądy rzymskie z żadną może rodziną nie miały tyle do czynienia, co z domem Cencich. Już od roku zaślubin (1563) rozpoczyna się rejestr wydanych na Franceska wyroków i wykaz grzywien, które musiał zapłacić. Sądy bowiem trzymały się najczęściej tej zasady, że bogatych zbrodniarzy uwalniano za wysoki okup, a ubogich skazywano na śmierć. Francesco powiesił w r. 1568 jednego ze swych dzierżawców; uwięziono go wprawdzie narazie w Narni, lecz uciekł stamtąd w Abruzzy. Pius V kazał go schwytać i osadzić w zamku Ś. Anioła. Zdaje się, że tam długo nie przebywał, wykupił się bowiem, składając Kamerze Apostolskiej pięć tysięcy skudów. Następnego roku, rozgniewawszy się na służącego, że drzwi nie zamknął, zaczął go kijem tak okładać, że go zranił w głowę. Znowu uwięziono gwałtownika, ale tym razem osadzono w wieży, przeznaczonej dla zwykłych zbrodniarzy, w Tordinona. Za wstawieniem się jednak kardynała Carafy został Cenci wkrótce uwolniony. Nauka nie skutkowała; w kilka lat później tak ciężko pobił kijem i poranił obcasami od butów swoją służącą, Marję z Medjolanu i chłopca stajennego, Giorgia Peretto, że został wydalony z państwa papieskiego na sześć miesięcy.

Tymczasem dzieci dorastały. W r. 1595 Antonina Cenci wyszła zamąż za Lucia Savelli, ale młoda kobieta wcześnie umarła w jesieni r. 1598, jeszcze przed wielką rodzinną katastrofą, przed procesem Beatryczy.

Najstarszy syn Franceska, Giacomo, narobiwszy długów i skradłszy ojcu z mieszkania sporo pieniędzy i klejnotów, sfałszował na szkodę Franceska dokument na 13.000 skudów i z sądami ciągle miał do czynienia to z powodu zakazanej gry w kości, to za jakieś miłosne sprawy.

Nie lepsi byli młodsi synowie Franceska, Cristoforo i Rocco; mając jak najgorszy przykład w domu, grali w kości i robili długi, gdzie się dało, tak dalece, że aż trzydziestu wierzycieli pozwało ich do sądów o zwrot udzielonych im pożyczek w ogólnej sumie szesnastu tysięcy skudów. Stosunek pomiędzy ojcem a synami pogarszał się z dniem każdym, doszło nawet do tego, że Francesco wypędził z domu wszystkich trzech synów, zapowiadając, że im nie da nic na utrzymanie i że długów za nich płacić nie będzie. Pozwolił im wszakże mieszkać w jednym z licznych domów, które w Rzymie posiadał.

Synowie, pozbawieni wszelkich środków do życia, pozwali ojca przed trybunał o alimentacje. W sprawę wdali się wszakże kardynałowie Mattei i Aldobrandini i skłonili Franceska do wypłacania najstarszemu synowi po sto skudów

miesięcznie; Cristoforo i Rocco mieli otrzymywać tylko po ośm skudów.

Do zupełnego poróżnienia się rodziny przyczyniło się jeszcze ożenienie się Giacoma przeciw woli ojca. Giacomo pojął w r. 1591 za żonę Ludwikę Velli, bliską swoją krewną, córkę Cezara Cenci. Zdaje się, że Ludwika albo nie miała żadnego posagu, albo bardzo mały, wskutek czego Giacomo nie mógł się utrzymać z owych stu skudów, które mu ojciec przeznaczał. Nienawiść syna ku ojcu wzmogła się jeszcze bardziej, gdy Giacomo dowiedział się o testamencie, w którym Francesco wydziedziczył dwóch najstarszych synów, Giacoma i Cristofora, ograniczając ich do zwykłej legitymy.

We dwa lata po synu, w r. 1593, ożenił się także Francesco po raz wtóry. Wybraną była Lukrecja Petroni, wdowa po Feliksie Vellim, z którym miała sześcioro dzieci. Najstarsza jej córka była już zamąż wydana, a trzem pozostałym przyobiecał Francesco dać po tysiąc skudów posagu. Ta Lukrecja Petroni była cokolwiek lepszą, aniżeli cała rodzina Cencich.

Giacomo tak znienawidził ojca, że postanowił go zgubić jako jedyną przeszkodę rodzinnego szczęścia. Zdaje się, że były pewne poszlaki, iż Francesco oddaje się sodomji, która jako «crimen pessimum» pociągała za sobą spalenie winnego. Giacomo z tych podejrzeń skorzystał. Oskarżył ojca przed trybunałem inkwizycji o ową zbrodnię, która zresztą była wówczas nadzwyczaj rozpowszechnioną pomiędzy mężczyznami wyższych klas społeczeństwa. Franceska uwięziono, wytoczono mu proces, ale z zeznań świadków, a mianowicie Marji, zwanej la bella Spoletina, z którą Cenci miał stosunek, i jakiegoś chłopca stajennego i innych, nie można nabrać zupełnego przekonania, że Francesco był winnym zarzuconej mu zbrodni. Cokolwiekbądź, owe zeznania dowodzą, że Cenci należał do ludzi, dla których jakieś zasady moralności zupełnie nie istniały. Niektórzy świadkowie obstawali przy swych zeznaniach, oskarżających Franceska, pomimo, że ich męczono na torturach, sam Cenci zaś utrzymywał ciągle, że jest niewinnym. Gdy go wszakże miano poddać próbie powrozów, ceska do wypłacania najstarszemu synowi po sto skudów

aby nie dopuścić do tortur i uniknąć strasznej kary spalenia na stosie. Papież uznał wprawdzie Franceska winnym, lecz zamienił karę śmierci na grzywnę w kwocie 100.000 skudów i na zapłacenie kosztów procesu. Nadto nie wolno było Cenciemu wydalać się z jednego ze swych zamków, który mu na łagodne więzienie został przeznaczony, ani też opuszczać Rzymu, pod karą 150.000 skudów. Owe 100.000, które według dzisiejszej monety równały się pół miljonowi franków, zostały obrócone na zakupno zboża dla Kamery Apostolskiej, która w czasach drożyzny sprzedawała ludowi zboże po tańszej cenie, albo rozdawała je ubogim za darmo.

Zaledwie Francesco opuścił publiczne więzienie, wniósł skargę przeciw synom, że przekupili świadków, aby fałszywe porobili zeznania. Nowy więc proces, w którym jeden ze świadków zeznawał, jakoby Giacomo go namawiał, aby otruł, albo w inny sposób zgładził Franceska. Mimo to sąd uwolnił Giacoma, ponieważ zeznania innych świadków były dla niego korzystne.

Synowie Franceska należeli do największych awanturników w Rzymie; jeżeli Giacomo był zły i podstępny, nie cofający się przed żadną zbrodnią, gdy mu chodziło o osiągnięcie jakiego celu, to drugi po starszeństwie, Cristoforo, mniej rozważny, ciągle miał sprawy w sądach z powodu swej gwałtowności. Jak wojował, tak zginął. W nocy 12 czerwca 1598 skradał się w towarzystwie jednego tylko służącego, Ottavia Pali, do jakiegoś domu na isola di S. Bartolomeo, gdzie mieszkała piękna żona rybaka. Miał z nią stosunek zaledwie od trzech dni i nie wiedział zapewne, że jego rywalem był Paolo Bruno Corso, człowiek niższego stanu. Wpobliżu domu rybaczki kazał Cristoforo zatrzymać się służącemu i czekać. Ottavio usiadł pod murem i zasnął. Po chwili zbudził go jakiś hałas, pobiegł w kierunku, gdzie jego pan poszedł, i znalazł zamordowanego Cristofora, leżącego na ulicy. Z dochodzenia okazało się, że go zabił Corso.

Gorszym od Cristofora był Rocco Cenci, którego nigdy nie brakowało tam, gdzie w nocy zakłócono spokój uliczny. Raz napadł o godzinie trzeciej po północy, w koszuli, ze szpadą w ręku, w towarzystwie dwóch służących, na dom są-

siadów z jakiejś błahej przyczyny; innym razem, spotkawszy kilku rybaków, kazał im pomiędzy sobą urządzić wyścigi, a gdy rybacy nie chcieli słuchać błazeńskich pomysłów panicza, wyciągnął szpadę, rzucił się na nich i poranił biedaków dość ciężko. Skazano go na zapłacenie grzywny w kwocie pięciu tysięcy skudów, a gdy ojciec nie chciał dać pieniędzy, uwięziono Rocca na krótki czas, a następnie skazano na wygnanie, na uniwersytet — do Padwy. Przed owem wygnaniem kazał gubernator Rzymu dać mu trzy cięgi grubym powrozem jako ojcowskie napomnienie. Po dwóch latach pozwolono mu wrócić.

Przyjacielem i towarzyszem w awanturach Rocca był monsignor Mario Guerra, sekretarz kardynała Montalta. Guerra nie był duchownym, pomimo, że nosił sutannę, istniał bowiem zwyczaj aż do czasów Piusa IX, że nawet świeccy urzędnicy Kurji mogli się ubierać w duchowne szaty i otrzymywać beneficja. Guerra był krewnym Cencich, ojciec bowiem jego, Stefan, ożenił się z Lukrecją Arias, siostrą Beatryczy, matki Franciszka Cenci. Zdaje się, że monsignor pomagał przyjacielowi do wyniesienia rozmaitych wartościowych przedmiotów z domu rodzicielskiego w czasie, kiedy Francesco był uwięziony, przyszło bowiem do karnej rozprawy o kradzież, w której siostra Rocca, Beatrice, świadczyła przeciw bratu i przeciw Guerze.

Rocco miał także jakieś zajście z Amilkarem Orsinim, nieślubnym synem hrabiego di Pitigliano. Dwaj nieprzyjaciele spotkali się w nocy 10 marca 1595 na placu S. Maria in Monticelli, wyciągnęli szpady, rzucili się na siebie i Orsini tak głęboką ranę zadał Roccowi, że ten padł nieżywy.

W ten sposób tracił Francesco synów; pozostało ich jeszcze trzech: Giacomo, Bernardo i Paolo, zawsze jeszcze dość na to, aby w połączeniu z Beatryczą ojca prędzej pozbawić życia, aniżeli się mógł spodziewać.

W takiem otoczeniu rodzinnem żyła Beatrice, a z natury gwałtowna, namiętna, poddawała się tem żywiej szkodliwym wpływom, które bezustannie na nią działały. O dobrych wpływach mowy tam być nie mogło, gdzie jedyną spokojną istotą w rodzinie była jej macocha, Lukrecja Petroni. Beatrice przewyższała jednak Lukrecję i inteligencją i namiętnościami. Petroni, słabego charakteru, myśląca tylko o zabezpieczeniu losu córkom z pierwszego małżeństwa, nie umiała sobie wyrobić stanowczego wpływu w nowej rodzinie. Zresztą poznawszy bliżej Franceska, mogła go wkrótce równie znienawidzić, jak jego dzieci.

II

Grzywny, jakie Francesco musiał zapłacić skarbowi za własne winy i wybryki synów, doszły do takich sum, że nawet duża fortuna Cencich narazie się zachwiała. W dwóch latach 1594 i 1595 wynosiły one conajmniej 116.000 skudów, a uwięzienie Franceska wpłynęło także niekorzystnie na stan jego interesów. Postanowił więc przynajmniej na jakiś czas wydalić się z Rzymu, aby żyć oszczędniej, na co musiała wpłynąć i obawa, aby syn najstarszy, którego zawiodła nadzieja, że ojciec zginie pod toporem kata, nie starał się go otruć, albo w inny sposób pozbawić życia. Zwrócił się więc do swego przyjaciela, księcia Marzia Colonny, aby mu pozwolił zamieszkać w jednym ze swych zamków, a mianowicie w Petrella, w neapolitańskich Abruzzach. Zamek Petrella był położony niedaleko Aquili, w okolicy pustej, w której nie miało się żadnych przyjemności, ale też i żadnych prawie wydatków. Otrzymawszy to pozwolenie, wybrał się Francesco na wiosnę r. 1595 z żoną i Beatryczą, tudzież z trzema służącymi w drogę. W Petrelli przyjął ich kasztelan Colonnów, Olimpio Calvetti, pięćdziesięcioletni człowiek, o burzliwej przeszłości. Przystojny jeszcze, chociaż trochę otyły, o ogorzałej twarzy i brodzie, przyprószonej lekką siwizną, ubierał się Calvetti z hiszpańska i nosił czarny kapelusz o dużych krysach, na którym był przyszyty obrazek Madonny z Loreto. Za młodych lat był czeladnikiem krawieckim u majstra Antoniego w Rzymie, wpobliżu kościoła SS. Apostołów, a gdy Marcantonio Colonna zaciągał w r. 1570 milicję na wojnę przeciw Turkom, Olimpio porzucił igłę, a przypasał szpadę i walcząc pod Lepanto, otrzymał ranę w głowę, z której się bardzo szczycił. Powróciwszy z wojny,

służył u Prospera Colonny w Neapolu z początku jako stajenny, że się jednak umiał przypodobać owemu możnemu rodowi, został następnie kasztelanem zamku w Petrelli. Na sumieniu miał tylko dwa morderstwa; raz zabił strażnika polowego, a drugi raz w r. 1590 szynkarza w Rzymie, nazwiskiem Angela, który utrzymywał osterję koło rzeźni de' Corvi. Że jednak chodziło o morderstwo «małych» ludzi, więc potrafił uniknąć kary. Olimpio ożenił się w Castello di Petrella z niejaką Plantillą, która mu powiła córkę; było to ukochane dziecko kasztelana.

Zamek był niezbyt duży, ściany w pokojach i na korytarzach malowane, a z jednej komnaty wychodziło się na balkon, położony tak wysoko, że spadłszy stamtąd, można się było zabić na miejscu. Na pierwszem piętrze, na piano nobile mieszkały Lukrecja i Beatrice, na parterze Olimpio ze swoją rodziną.

Osadziwszy żonę i córkę w owej pustelni, z widokiem na góry i doliny, powrócił Francesco z jednym służącym do Rzymu, gdzie dwa lata pozostał, zajmując się uporządkowaniem interesów i traktując z księciem Mantuańskim o kupno markizatu d'Incisa. Pomimo więc owych wysokich grzywien, zapłaconych kamerze papieskiej, majątek Cencich musiał być jeszcze bardzo duży, skoro Francesco zamierzał nabyć znaczne dobra.

Beatrice, młoda, pełna życia, strasznie się w tem zamczysku nudziła, zdaje się nawet, że koni nie miała do wyjazdu, a mąkę i makaron przywożono z Aquili na ośle. Jedynym mężczyzną, jakiego widywała, był Olimpio, który w swej służbie wojskowej nauczył się przedsiębiorczości wobec kobiet. Więcej zapewne z nudów, nie z miłości, zawiązał się stosunek pomiędzy kasztelanem a młodą Rzymianką, stosunek, który nie został bez skutków. Francesco nie przypuszczał nawet w czasie swego pobytu w stolicy, że Beatrice powiła mu wnuka, którego Olimpio oddał na wychowanie jakiejś znajomej rodzinie w Aquili.

Po dwóch latach, w końcu roku 1597, przyjechał Francesco do Petrelli w towarzystwie synów, Bernarda i Paola. W zamku było teraz za ciasno, więc Olimpio z żoną wyprowadził się do pobliskiego domu, należącego także do Marzia Colonny. Bracia Beatryczy nie mogli długo wytrzymać w tej samotności i powrócili, z wiedzą, czy bez wiedzy ojca, do Rzymu. Francesco musiał jednak mieć jakieś podejrzenie, że zachowanie się Beatryczy w jego nieobecności nie było bez zarzutu, gdyż opuszczając po niejakim czasie znowu Petrellę, zamknął obydwie kobiety prawie do więzienia. Ustanowił nad niemi stróżem jakiegoś Santi da Pompa d'Argenio, starego sługę, który miał ich pilnować, aby nie wychodziły z pokojów. Okna ich mieszkania kazał Francesco opatrzyć w żelazne kraty, a w drzwiach zrobić z zewnątrz zamykany otwór, przez który Santi podawał im jedzenie. Powoli musiały uwięzione kobiety ułagodzić starego stróża, zapewne go przekupić, tak, że wreszcie pozwalał im na dzień wychodzić na podwórze i tylko na noc je zamykał. Francesco wystarał się także, że Colonna odebrał zarząd zamku Calvettemu, który jednak musiał zamieszkać wpobliżu Petrelli, gdyż go tam jeszcze spotkamy.

Kobiety były w rozpaczy, wpadły więc na myśl napisania prośby do papieża, aby je kazał uwolnić z niezasłużonego więzienia i pozwolił Beatryczy udać się do klasztoru w Aquili, a Lukrecji wrócić do Rzymu, albo zamknąć się także w klasztorze. Beatrice ułożyła memorjał i posłała do Rzymu komuś zaufanemu, aby go wręczył papieżowi. Prócz tego napisała do brata Giacoma i do wuja Marcella Santacroce, przedkładając im tę samą prośbę.

Listy te jeszcze pogorszyły położenie biednych kobiet. Francesco natychmiast pojechał do Petrelli, a przybywszy tam w dzień św. Łucji r. 1597, w barbarzyński sposób obił Beatryczę, kazał ją zamknąć do osobnego pokoju i podawać jej przez trzy dni tylko suchy chleb i trochę wina. Lukrecji także się dostało kilka uderzeń ostrogami, które Francesco właśnie trzymał w ręku.

We dwa tygodnie po przybyciu Franceska do Petrelli miał się zdarzyć fakt, który dopiero nadał tragiczne zabarwienie późniejszej sprawie Beatryczy. Służąca w zamku, nazwiskiem Calidonia, przesłuchiwana w procesie jako świadek zeznała, że w jednym z pokojów zamku spał Francesco

z żoną, tudzież Beatrice, w sąsiedniej zaś stancji miały swe łóżka dwie służące, Calidonia i Girolama. Jednej nocy wybiegła Lukrecja z sypialni, płacząc, a Calidonia usłyszała w tej samej chwili, jak Beatrice zawołała: «Non voglio essere brucciata» «Nie chcę być spaloną!» Druga jednak sługa, Girolama, tych słów nie słyszała. Zeznanie Calidonii stało się jedynem źródłem, z którego padło na Franceska podejrzenie o kazirodztwo, motyw, który następnie wyzyskali poeci, aby stworzyć temat tragedji, podobnej swą grozą do greckich tragedyj rodu Atrydów.

Najnowszy biograf Betryczy Cenci, jezuita Ilario Rinieri, który miał sposobność gruntownie zbadać akty procesu Cencich, uważa zeznanie Calidonji za nieprawdziwe i wogóle całą historję o tym zamachu Franceska na swą córkę za rzecz, wymyśloną przez adwokata Farinaccia, aby zmniejszyć winę Beatryczy i uratować ją od śmierci. Nie można zaprzeczyć, że ojciec Rinieri napisał najlepszą książkę o procesie Cencich, pierwszy bowiem mógł przestudjować w tej mierze watykańskie papiery. Trzeba jednak podnieść, że autor zanadto przychylnie traktuje postać Franceska Cenci, aby tem więcej cieni móc rzucić na Beatryczę. O. Rinieri uważa całe powyższe zajście za niepodobne do prawdy i przedstawia Franceska nawet jako wcale dobrego ojca. Naszem zdaniem opowiadanie Calidonji mogło być nieprawdziwe, sługa, przekupiona przez Giacoma Cenci, mogła zeznawać, co jej nakazano, że jednak Francesco był człowiekiem w najwyższym stopniu zepsutym, zdolnym do każdej zbrodni, to z całej historji Cencich jasno wynika. W tym wypadku jednak kwestja zostanie na zawsze nierozstrzygniętą; czy Beatrice miała powód zawołać: «Nie chcę być spaloną!», czy nie, tego wiedzieć nie będziemy. To wszakże pewne, że w dniu, kiedy Francesco obił Beatryczę, obudziła się w niej najwyższa nienawiść ku ojcu, i że wtedy powiedziała Lukrecji: «Signor Francesco pożałuje tych cięg, któremi mnie potraktował».

Gniew Beatryczy podniecał jeszcze Olimpio, z którym się potajemnie widywała. Zdaje się też, że kasztelan, doświadczony już w morderstwach, pierwszy poddał jej myśl, aby ojca zgładziła. Beatrice lękała się zrazu tej ostateczności, stał

jej na myśl topór katowski gdy jednak Olimpio powiedział, że rzecz bierze na siebie, a po morderstwie wszyscy troje: on, Beatrice i Lukrecja uciekną z Petrelli, przystała na plan Olimpia i tak się przejęła wendettą, że odtąd ona kierowała krwawym spiskiem. Lukrecja zgodziła się na wszystko z obawy, aby i jej nie zamordowano, jeżeli ich zdradzi.

Do spełnienia zbrodni potrzebował Olimpio wprawnego towarzysza; sam sobie niezupełnie ufał. Takiego łatwo znalazł w Marziu Catalano, przez pół bandycie. Marzio podjął się wyszukać pięciu brawów, którzy mieli przy sposobności napaść na Franceska i znienacka go zamordować. Beatrice obiecywała za tę usługę oddać wszystkie pieniądze, które się znajdują w zamku, a miało ich być sporo; obiecała nadto obdarzyć Catalana złotym pierścieniem i srebrnym krzyżem. Gdy już umowa stanęła, udał się Olimpio do Rzymu, aby się porozumieć z Giacomem Cencim, którego pragnieniem było oddawna wyprawić ojca na tamten świat. Giacomo musiał uważać otrucie za mniej niebezpieczny sposób do osiągnięcia tego celu, aniżeli wciąganie do zbrodni obcych bandytów. Dał więc Olimpiowi jakiś czerwony korzeń, truciznę, tudzież flaszeczkę z opjum, którą sam napełnił i polecił dawać ten środek usypiający Franceskowi w napojach i potrawach.

Gdy więc Olimpio wrócił do Petrelli, rozpoczęły się najprzód trucicielskie próby; lecz Francesco niedowierzał potrawom, które mu podawała Beatrice i nim je sam brał do ust, kazał je kosztować córce. Beatrice obawiała się, że się sama otruje; zaniechała więc zadawania trucizny i po naradzie z Olimpiem postanowiła wybrać inny sposób zadania ojcu śmiertelnego ciosu. Ułożono zatem, że Beatrice ukryje u siebie Olimpia wraz z Catalanem, da ojcu napić się trochę opjum w winie, aby go silny sen zmorzył, a gdy zaśnie, będzie go można łatwo zamordować. Zamach jednak nie udał się pierwszej nocy; Cenci napił się bardzo mało wina, gdyż zdawało mu się gorzkie, i co chwilę się budził. Odłożono więc napad do następnej nocy. Francesco cały dzień leżał w łóżku; zdaje się, że opjum przecież na niego działało, mordercy postanowili przeto wykonać zamach w nocy z siódmego na ósmego września. Gdy się jednak zaczęli skradać ku komnacie,

w której spał Francesco, spotkali Lukrecję, która pod wpływem strachu zaczęła ich prosić, aby się wstrzymali, bo jutro dzień Matki Boskiej Loretańskiej i mógłby się jaki cud zdarzyć, któryby przeszkodził wykonaniu zamiaru. Olimpio, który miał szczególne nabożeństwo do tej Madonny, cofnął się, aby się jeszcze naradzić. Beatrice wszakże napierała, aby nie zwlekać, lecz zaraz przystąpić do czynu. Przyniosła im wina, mięsiwa, chleba, aby się posilili i nabrali otuchy. Po chwili więc szli obydwaj zbrodniarze napowrót ku sypialni Franceska, lecz Olimpio przypadkowo zakaszlał, a obawiając się, że Cenci głos jego usłyszy, znowu się cofnął. Beatrice go wyłajała, że umyślnie kaszle, aby nie wejść do pokoju Franceska, i że radby w ten sposób całej sprawy zaniechać. Olimpio się żachnął i oświadczył, że jeżeli Beatrice chce, aby poszedł do piekła, to pójdzie.

Dla ostrożności odłożono jednak zamach do następnego dnia. Dziewiątego września, o świcie, zapukali obydwaj oprawcy do pokoju Beatryczy, oświadczając, że są gotowi. Beatrice poszła z nimi i przekonała się, że Francesko spał. Wtedy Olimpio i Catalano cicho wsunęli się do komnaty, kierując się w stronę łóżka, a Beatrice uchyliła okiennicę, aby widzieli ofiarę, poczem cofnęła się do drugiego pokoju do Lukrecji. Tymczasem mordercy rzucili się na Franceska; Olimpio uderzył go silnie w głowę młotkiem do rozbijania kamieni, Catalano dopomagał tak dobrze pałką, okutą żelazem, że Francesco zginął pod razami, nie wydawszy nawet głosu. Mordercy jednak, chcąc się zapewnić, że ofiara nie żyje, zadali jej tyle ran, że krew trysnęła na podłogę, a kołdra i materace były krwią przesiąknięte.

Po ukończeniu «dzieła» zawlekli zbrodniarze ciało do drugiego pokoju, ubrali je w zimarrę, wciągnęli zamordowanemu spodnie, włożyli mu beret na głowę, zanieśli na balkon i wyrzucili na dół, aby się zdawało, że Francesco wyszedł tam rano użyć świeżego powietrza i spadł przypadkowo w przepaść. Chcąc zaś ten upadek uczynić podobnym do prawdy, wybił Olimpio dziurę w balkonie, aby się zdawało, że kamień się skruszył pod ciężarem ciała. Lukrecja zaś uprzątnela pokrwawioną pościel i część materaca, poczem zaczęły obydwie kobiety wołać na służbę, wywodzić żale, że signor Francesco się zabił. Gdy się ich zapytano, czy widziały, jak upadł, mówiły, że nie, i tylko słyszały, jak zawołał: «Jesù!»

Zbrodniarki nie zachowały jednak potrzebnych ostrożności. Gdy na ich udane lamenty przyszło kilka kobiet ze wsi, zobaczyły gdzieś w kącie porzucone zakrwawione prześcieradło. Pomiędzy innemi przybiegła Plantilla, żona Olimpia, a widząc, co się dzieje, zaczęła prać ową bieliznę, zawodząc się od płaczu. Na co nadeszła Beatrice i miała się gniewnie zapytać: «Czego płaczesz?» A gdy jej Plantilla odpowiedziała, że z powodu tego morderstwa, Beatrice obruszyła się, mówiąc: «Ah! bestiaccia!»

Gdy we dwa dni po morderstwie przyszedł Catalano po przyobiecaną zapłatę, dała mu Beatrice tylko dwadzieścia dukatów w srebrze i cokolwiek drobnej monety, obiecując resztę wypłacić w Rzymie. Catalano odszedł niezadowolony.

Beatrice wysłała zaraz posłańca do Giacoma z wiadomością, co się stało, i z prośbą, aby przysłał ludzi, którzyby ją i Lukrecję odprowadzili do Rzymu. Giacomo z radością przyjął wiadomość i wypełnił polecenie siostry; więc Beatrice, po trzech latach i pięciu miesiącach pobytu w Petrelli, znalazła się wkrótce w pałacu na Monte a Cenci.

Lukrecja, wyjeżdżając z Petrelli, dała cichaczem jakąś małą kwotę tamtejszemu proboszczowi, aby odprawił mszę za duszę Franceska, a zarazem prosiła go, aby o tem nikomu nie mówił.

III

Zamordowanie Cenciego zrobiło w okolicy Petrelli wielkie wrażenie. Osobliwie obeszła ta zbrodnia księcia Marzia Colonnę, ponieważ popełnioną została w jego zamku i ofiarą był jego przyjaciel. Kazał więc swoim oficjalistom rzecz śledzić i donieść o wszystkiem wicekrólowi neapolitańskiemu, hrabiemu de Olivarez. Dochodzenie nie było trudne, gdyż wszelkie poszlaki wskazywały, że brodnię kazała popełnić

najbliższa rodzina i że wykonawcami jej byli Olimpio Calvetti i Marzio Floriani, zwany Catalanem. Rząd kazał ich pochwycić, lecz dawny kasztelan z żoną i z córką był już w Rzymie, w pałacu Cencich, a Catalano wałęsał się po Abruzzach.

Równocześnie jednak doniósł Colonna o swych podejrzeniach rządowi rzymskiemu. Papieża Klemensa VIII nie było wtedy w stolicy, pojechał 12 kwietnia 1598 do Ferrary, którą Kamera Apostolska wtedy obejmowała po wygaśnięciu ferrarskich Estów. Zastępca papieża w Rzymie, kardynał Innico d'Aragona, zarządził zaraz śledztwo, a po pierwszem przesłuchaniu nałożył na Beatryczę i Lukrecję areszt domowy. Olimpio był jeszcze w pałacu, lecz Giacomo zaczął się obawiać, aby jego obecność i ciągłe, zanadto przyjacielskie rozmowy z Beatryczą nie zwróciły uwagi na ich stosunek. Chciał się go zatem pozbyć, pozbyć zupełnie. Rzecz stała się tem bardziej nagląca, że z Neapolu nadeszła groźna wiadomość, że Marzio Catalano został schwytany i że będzie odstawiony do Rzymu, do Corte Savella. Giacomo więc przedstawił Olimpiowi, że pobyt dla niego w Rzymie staje się niebezpiecznym i poradził mu, aby wyjechał z państwa papieskiego z jego domownikiem, Camillem Rosatim, który w interesach musi się udać do Lombardji. Olimpio przystał na tę podróż, nie przeczuwając, że Rosati ma polecenie otruć go w drodze albo zamordować.

Giacomo zaczął się pozbywać niewygodnych świadków. Pierwszą ofiarą padł najmłodszy z rodzeństwa, Paolo, który wiedział o spisku na Franceska i o stosunku Beatryczy z Olimpiem. Paolo miał dopiero lat piętnaście i trzeba się było obawiać, że w razie dochodzenia powie niepotrzebne rzeczy. Umarł nagle, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, otruty.

Nie tak łatwo poszło z usunięciem Olimpia. W drodze, w osterji w Novellarze, przymieszał Camillo Rosati jakiejś trucizny do wina Olimpia, lecz silny jeszcze kasztelan z Petrelli przechorował się tylko, ale nie umarł. Rosati więc, chcąc się go koniecznie pozbyć, poszedł do hrabiny di Novellara, opowiedział, że jego towarzysz jest mordercą, niebezpiecznym

człowiekiem i żądał, aby go osadzono w więzieniu. Rzecz się udała, Olimpia zamknięto, a Camillo Rosati pojechał dalej, skorzystawszy ze sposobności, aby ukraść pierścień z brylantem, którym Beatrice obdarzyła swego ulubieńca.

Lecz kraty więzienia w Novellarze były za słabe. Olimpio wyłamał się z wieży, a nie przypuszczając, aby Rosati miał rozkaz zamordowania go, wrócił do Rzymu. Wierzył jeszcze w przyjaźń Cencich, opartą na wspólności interesów.

Przybywszy do stolicy, dowiedział się, że Giacomo i Bernardo Cenci zostali uwięzieni w Castel Angelo, a Lukrecję i Beatryczę odprowadzono do gorszego jeszcze lochu, do Tordinona. Nie wiedząc, co począć, schronił się do swego brata Pietra, który był laikiem u dominikanów i zakrystjanem kościoła. Pietro znał Cencich, bo sprzedawał relikwje Giacomowi. Olimpio nie miał pieniędzy, zwrócił się więc o pożyczkę do zakrystjana, do Cezara Cenci i do przyjaciela Cencich, monsignora Marji Guerra. Pomoc uzyskał, ale jaką? — Tak Cesare, jak Guerra uważali za konieczne zgładzić Olimpia, najważniejszego świadka w procesie. Guerra się tem energicznie zajął, a Ruffone pomagał. Dał pieniędzy Olimpiowi, aby co prędzej uciekał z Rzymu, a równocześnie kazał wynająć aż piętnastu brawów, którzy go mieli napaść wpobliżu osterji Cantalice, koło Terni. Plan się udał, rozbójnicy zamordowali Olimpia na wskazanem miejscu, odcięli mu głowę, włożyli do sakwy i odeszli, niepoznani. Mimo to rzecz się wydała, Ruffone został uwięziony, a zręczny Guerra dość wcześnie wyjechał z Rzymu karocą, zaprzężoną w sześć koni, najprzód do Celano, a potem do Neapolu.

Na nieszczęście Cencich siedział Marzio Catalano, wykonawca zbrodni, zamknięty w Tordinona. Wyznał on wszystko, opowiedział szczegółowo o morderstwie w Petrelli, a przesłuchiwany także Pietro Calvetti, ów zakrystjan u dominikanów, i wzięty na tortury, poczynił zeznania, bardzo obciążające Cencich i monsignora Guerrę. Olimpio Calvetti był dość lekkomyślnym, aby bratu opowiedzieć, że obydwie panie, Lukrecja i Beatrice, były w porozumieniu z Giacomem Cenci i że od nich miał polecenie zamordowania Franceska. W na-

grodę za zbrodnię miał otrzymać dwa tysiące skudów, jako posag dla córki Wiktorji.

Tak Beatrice i Lukrecja, jak i bracia Cenci stanowczo zaprzeczali, jakoby mieli jakikolwiek udział w zbrodni i jakoby zeznania Marzia Catalana były prawdziwe. Gdy jednak rozmaite inne poszlaki wskazywały prawie napewne ich winę, użyto tortur. Pierwszy Giacomo został wzięty na powrozy; za pociągnięciem strasznego przyrządu zaczął wołać: «Puśćcie mnie, puśćcie — powiem całą prawdę!» W zeznaniach swych, chcąc siebie uniewinnić, obciążał Beatryczę i Bernarda. Zastraszony Bernardo, zobaczywszy przyrząd do tortur, opowiedział wszystko, lecz głównie obciążał Beatryczę i Lukrecję.

Wreszcie przyszła kolej na kobiety. Przeczyły one udziału w zbrodni nawet wtedy, gdy im przeczytano zeznania świadków i gdy im Giacomo w oczy te zeznania potwierdził. Znów więc zabrano się do tortur. Po pierwszem ściągnięciu powrozów Lukrecja wyznała, że brała udział w zbrodni, gdyż Olimpio jej zagroził, że jeżeli nie przystanie na zamordowanie Franceska, to przypłaci swój opór śmiercią.

Ostatnią wobec narzędzi tortur postawiono Beatrycze. Związana, podniesiona na powrozach, stanowczo jeszcze przeczyła. Ból jednak musiał być straszny, gdyż naraz zawołała: «Ohime! ohime! oh! Madonna Santissima, aiutatemi!» I po tem wezwaniu Madonny wyjęknęła: «Puśćcie mnie — już powiem prawdę».

Powiedziała rzeczywiście zupełną prawdę.

Dziesięć miesięcy trwał proces; cały Rzym był zajęty tą sprawą, która prawdopodobnie miała zaprowadzić pod topór dwie kobiety i dwóch mężczyzn, członków tej samej rodziny. Mimo popełnionej zbrodni mieli Cenci wielu przyjaciół, którzy starali się odwrócić od nich karę śmierci. Zgłaszali się rozmaici świadkowie, których twierdzenia dowodziły, jak źle się Francesco obchodził ze swemi dziećmi, że bił Bernarda, tak, że pewnego razu sługa podniosła chłopca na korytarzu,

prawie nieżywego. Wybrano dwóch najlepszych adwokatów w Rzymie celem obrony obwinionych. Jeden z nich, Farinaccio, wsławił się swym memorjałem, uderzał głównie w to, że postępek Beatryczy da się wytłumaczyć wobec zbrodniczego ojca, «stuprum committere volentem». Broniła ona swego honoru, a w razie, jeżeli Francesco rzeczywiście wykonał zamach zbrodniczy, spełniła wendettę pod wpływem rozpaczy.

Farinaccio jako obrońca o tyle miał bardzo utrudnione zadanie, że Beatrice o zamachu ojca ani słowem nie wspominiała. Drugi adwokat, Incoronati, starał się wykazać, że fakt, w jaki sposób Francesco został zamordowany, nie jest w zupełności udowodniony, a samo zeznanie obwinionych nie wystarcza, aby ich na śmierć skazywać. Co do Beatryczy podzielał Incoronati zdanie Farinaccia, że działała tylko we własnej obronie.

Klemens VIII, który niedawno powrócił z Ferrary i nie znał całego przebiegu procesu, kazał sobie przedłożyć akt oskarżenia i memorjały adwokatów i z jednym z kardynałów całą noc je studjował. Nepot papieski, Cinzio Passeri-Aldobrandini, znany protektor Tassa, jedna z najszlachetniejszych postaci, które otaczały papieży XVII wieku, człowiek wielkiego serca i niemały wpływ mający na Klemensa, starał się koniecznie uzyskać u papieża złagodzenie kary Cencich. Cinzio był zresztą spowinowaconym z tą rodziną i tem więcej miał powodów przemawiać za oskarżonymi. Klemens VIII, choć znakomity prawnik, który odrazu zrozumiał słabe strony obrony adwokatów, zaczął się chwiać i byłby zapewne nie podpisał wyroków śmierci, gdyby nie zaszła okoliczność, która go nakłoniła do zastosowania na zbrodniarzy najcięższej kary.

Właśnie w chwili, kiedy starano się, aby papież złagodził karę Cencich, doszła do Rzymu wiadomość o podobnej, może jeszcze straszniejszej zbrodni, popełnionej w Subiaco. Paolo Santa Croce, należący także do najwyższej rzymskiej arystokracji, zamordował matkę Constanzę i uciekł wraz ze swym stajennym, który mu dopomógł w wykonaniu zbrodni.

Principessa Constanza Santacroce, bardzo bogata wdowa,

pomimo, że miała lat sześćdziesiąt, była jeszcze piękna i przepędzała lato w Subiaco. Miała dwóch synów, Onofria i młodszego Paola, który się ciągle i natarczywie od niej domagał, aby go mianowała jedynym dziedzicem majątku. Gdy mu to stanowczo odmówiła, rzucił na nią podejrzenie, że prowadzi życie niezgodne z powagą matrony i że się znajduje w stanie, w którym kobiety w jej wieku zwykle się nie znajdują. Z wiadomością tą pojechał do brata Onofria, księcia na Oriolo, po radę, w jaki sposób odwrócić hańbę od rodu Santacroce. Stosownie do kodeksu honorowego postanowili synowie matkę zamordować, a Paolo miał wykonać wyrok. To było jego życzeniem; spełnił je też rzetelnie, ugodziwszy śpiącą puginałem w serce. O ciało, krwią zbroczone, więcej się nie troszczył.

Wiadomość o tem morderstwie takie na papieżu i wogóle na rzymskiej publiczności zrobiła wrażenie, że sprawa Cencich została rozstrzygnięta. Klemens rozkazał, aby postąpiono ze zbrodniarzami według litery prawa, a prawo ówczesne postanawiało za zamordowanie ojca lub matki karę śmierci i konfiskatę dóbr. Według dawnych, rzymskich zwyczajów wsadzano takiego mordercę do woru wraz z psem, kogutem, małpą i żmiją i wrzucano do morza lub do rzeki. Jeszcze z końcem XVI wieku zdarzyła się podobna egzekucja w Rzymie, z tą tylko odmianą, że winowajcę, zamiast do morza, wrzucono do ciemnego lochu, w towarzystwie żmiji, psa i koguta. Brakowało tylko małpy, gdyż zapewne jej dostać nie było można.

Sędzia więc wydał taki wyrok na ród Cencich: Giacoma należy wieść przez miasto, aby publiczność przypatrywała się ojcobójcy, następnie ma być zbrodniarz szarpany rozpalonemi obcęgami i ma mu być wbity klin w głowę, dopóki winny ducha nie wyzionie; wreszcie ciało, rozpłatane na cztery części, zostanie przybite na czterech palach.

Beatrice i Lukrecja będą ścięte zapomocą manai (przyrządu podobnego do późniejszej gilotyny), tak, aby głowy od tułowiów zostały odłączone.

Bernardo, jako mniej winny, skazany został na rok więzienia w kajdanach, a następnie na galery na całe życie. Dobra morderców, tudzież ich kapitały miały przejść na własność Kamery Apostolskiej.

Wyroki zostały wykonane. Jedenastego września o dziesiątej z rana wyprowadzono obydwie kobiety z zasłoniętemi twarzami, ubrane w czarne płaszcze, z corta Savella. Towarzyszyli im członkowie bractwa miłosierdzia w zgrzebnych worach, śpiewając psalmy. Giacomo i Bernardo jechali na osobnych wózkach, także w płaszczach, któremi sobie pozakrywali twarze. Ponury orszak skierował się ku mostowi św. Anioła, gdzie ustawiono estradę, aby lud mógł patrzyć się na odstraszający przykład. Pierwsza wyszła Lukrecja, więcej umarła, jak żywa; kat musiał jej głowę podłożyć pod manaję; za nią śmiało postępowała Beatrice i szybkim ruchem schyliła głowę pod żelazo. Następnie męczono Giacoma, a Bernarda przywieziono tylko na to, aby się przypatrzył straceniu swego rodzeństwa.

Ciało Beatryczy oddano bractwu stygmatów św. Franciszka, które je zaniosło w procesji «z wielkiemi honorami» do św. Piotra Montorio, gdzie zostało pochowane.

Nadzwyczaj charakterystyczne są testamenty Beatryczy i Giacoma; świadczą one o owej wkorzenionej wówczas wierze, że największe zbrodnie okupić można fundacjami, ustanowionemi na cele kościelne i dobroczynne. Beatrice przeznaczyła kilkadziesiąt legatów dla kościołów i bractw pobożnych w Rzymie, z których kilka na msze za jej duszę, tudzież dla przyjaciół z prośbą, aby się za nią modlili. Już w głównym testamencie uderza zapis dla madonny Katarzyny de Santis, wdowy, mieszkającej u signory Margherity Sarocchi w Rzymie, gdyż chodzi w nim, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, o zabezpieczenie wychowania dziecka, które Beatrice miała z Olimpiem. Dziwić tylko może skromność tego zapisu wobec innych bardzo hojnych datków. Beatrice przeznacza tam trzysta skudów Katarzynie de Santis, ażeby złożyła tę kwotę na procenty, «na jałmużnę», stosownie do życzenia, jakie ustnie madonnie de Santis wyraziła. Katarzyna powinna komuś zaufanemu polecić, aby w razie jej śmierci dalej tę jałmużnę wypłacał. W razie zaś śmierci osoby, dla której ta jałmużna jest przeznaczona,

może madonna de Santis rozporządzać ową kwotą według swej woli.

W ostatniej jeszcze chwili, przed wykonaniem wyroku, sporządziła Beatrice kodycyl w wielkiej tajemnicy, przed innym notarjuszem, nie tym, który spisywał testament, wyraźnie postanawiając, że akt ten ma być otwarty dopiero po jej śmierci. W kodycylu przeznaczyła znowu po pięćset skudów dla Margherity Sarocchi-Birago i dla Katarzyny de Santis, wyjaśniając wyraźniej cel tego zapisu. Odsetki od funduszu miały służyć na utrzymanie «biednego dziecka», o którem tym paniom ustnie powiedziała. Gdy dziecko dorośnie i dojdzie lat dwudziestu, ma mu być kapitał wypłacony. O kodycylu uwiadomiła Beatrice także swego spowiednika. Tajemnicę życia wyjawiła dopiero w ostatniej chwili, być może dlatego, aby adwokaci mieli łatwiejszą obronę; gdyby bowiem sąd był wiedział, że Beatrice miała syna z Olimpiem, wtedy i główny nacisk adwokatów na zbrodnię Franceska byłby utracił wiele ze swej wartości.

Kim była Margherita Sarocchi, do której Beatrice miała tyle zaufania, później opowiemy.

Po śmierci Giacoma Cenci wystąpiła wdowa po nim Ludovica Velli, matka siedmiorga małoletnich dzieci, wobec Kamery Apostolskiej z żądaniem, aby konfiskatę dóbr po Francesku unieważniono, ponieważ dobra te były fideikomisem, a przeto należały do rodziny, a nie do Franceska. Inni Cenci, a pomiędzy nimi i Bernardo, żądali unieważnienia konfiskaty z tego samego tytułu, lecz rościli sobie prawa do fideikomisu, z wyłączeniem dzieci Giacoma Cenci, ponieważ Francesco wydziedziczył go testamentem, jeszcze w r. 1586 sporządzonym. Nad sprawą tą długo się w Watykanie zastanawiano, zaś wdowa po Giacomie widząc, że wynik sprawy jej niepewny, i obawiając się, że proces przeciągnie się w nieskończoność, ofiarowała się spłacić skarbowi papieskiemu ośmdziesiąt tysięcy skudów, pod warunkiem, że dobra po Francesku będą oddane jej dzieciom.

Skarb papieski przystał na taki układ, lecz trudność polegała na tem, że wdowa nie miała gotówki na spłacenie długów po Francesku. Papież więc pozwolił na założenie banku Monte Cenci, który wypuścił, mówiąc po dzisiejszemu, 1000 obligów po sto skudów, rentujących się po sześć od sta. Obligi zostały rozprzedane, gdyż miały hipotekę na dobrach Cencich. Narazie jednak, dopókiby dobra nie przynosiły dochodów, brakowało pieniędzy. Papież pozwolił zatem na sprzedanie ze spadku Franceska gruntów pomiędzy Porta S. Giovanni a Porta Maggiore, mających znaczną wartość. Rozpisano w maju r. 1600 pierwszą, a w październiku powtórną licytację na owe posiadłości, a ponieważ nie było kupców, więc nabył je na trzecim terminie Francesco Aldobrandini, kapitan wojska papieskiego, za sumę dziewięćdziesięciu trzech tysięcy skudów.

Zapewne kupno to stało się powodem powszechnej opinji, że Klemens VIII skazał Giacoma i Beatryczę na śmierć jedynie dlatego, aby skonfiskować ich dobra i wzbogacić swoją rodzinę. Posądzenie to, chociaż nieprawdziwe, gdyż każdy ówczesny monarcha byłby podpisał wyrok śmierci na ojcobójców, którzy po długich przygotowaniach i z całym rozmysłem popełnili barbarzyńskie morderstwo, zakorzeniło się tak dalece w umysłach poetów i powieściopisarzy, że dopiero pierwszy A. Bertolotti, znakomity badacz z XIX wieku, prawdę potrafił wyświetlić. Autor dzieła «Francesco Cenci e la sua famiglia» miał sposobność przestudjować dużo oryginalnych listów i aktów, tyczących się procesu Cencich i oczyścił w tej mierze pamięć Klemensa VIII, a zarazem przedstawił Beatryczę Cenci w prawdziwem świetle. Badania Bertolottego uzupełnił i rozwinął w ostatnich latach jezuita O. Ilario Rinieri, który wszakże posunął się za daleko, chcąc i nepotów papieskich uniewinnić z zarzutu zbogacenia się na niekorzyść rodziny Cencich.

Naszem zdaniem, posądzenie, jakoby papież z tego powodu skazał Cencich na śmierć, aby Aldobrandini posiedli ich fortunę, uważać należy za niesłuszne i nieprawdziwe; nie można jednak usunąć podejrzenia, że rodzina Aldobrandinich skorzystała z ruiny Cencich, aby nabyć za niską cenę znaczną

część ich posiadłości. Rozpisywanie licytacyj, na których rzekomo nikt do kupna się nie zgłosił, niczego nie dowodzi, rzecz bowiem naturalna, że jeżeli wiedziano, że rzymskie dobra Cencich zamierza nabyć nepot papieski, to nikt nie chciał się narażać Aldobrandinim i nikt na owych licytacjach, jeżeli wogóle publiczność o nich wiedziała, nie stanął. Aldobrandini ułożyli się z wdową po Giacomie Cencim na niekorzyść innych członków rodziny, którzy też przeszkadzali wszelkiemi sposobami zawarciu tego układu i wdowie wytoczyli nawet proces.

Znakomity badacz archiwów rzymskich, Leone Vicchi, słusznie powiada [1]), że tradycja ludowa o wzbogaceniu się Aldobrandinich przy sposobności procesu Cencich, ma swoje podstawy i że widział akt, który potwierdza to mniemanie.

Z poetów pierwszy Shelley w czasie swego pobytu we Włoszech czytał w r. 1819 rękopis o procesie Beatryczy, który się znajdował w archiwach rodziny Cencich i powziął myśl napisania tragedji, którą wydał pod tytułem «The Cenci». Angielski poeta w najwyższym stopniu wyidealizował Beatryczę, a przed oczyma miał ów obraz pięknej dziewczynki w zawoju, znajdujący się dziś w galerji Barberinich, który miał przedstawiać bohaterkę procesu. Bertolotti dowiódł już, że to płótno nie przedstawia i nie może przedstawiać Beatryczy [2]). Według podania miał adwokat Farinaccio, we dwa czy w trzy dni przed śmiercią zasądzonej, wprowadzić do więzienia Guida Reniego, aby wymalował ten portret, uchodzący za jej podobiznę. Beatrice była jednak starszą, aniżeli dziewczynka w galerji Barberinich, a nadto zbiedzona długiem więzieniem, fizycznemi i moralnemi cierpieniami, nie mogła wyglądać tak kwitnąco i wesoło. Wobec strasznej śmierci, jaka ją czekała, nie miałaby ochoty stroić

[1]) Dott. Leone Vicchi, Villa Borghese. Roma. Forzani, 1885. str. 50.

[2]) Prawie niezbite dowody, że portret, o którym mowa, nie przedstawia Beatryczy Cenci i nie jest pędzla Guida Reniego, przytacza A. Bertolotti w dziele «Francesco Cenci e la sua famiglia». Firenze 1879, str. 143.

się po wschodniemu, jakgdyby zamiast pod żelazo manai miała iść w karnawał na bal maskowy. Zresztą nie bawił nawet wówczas Guido Reni w Rzymie i wielka zachodzi wątpliwość, czy wogóle ten obraz do jego dzieł należy zaliczyć.

Cały szereg poetów i powieściopisarzy zajmował się postacią Beatryczy, najwięcej jednak przyczynił się Domenico Guerazzi swoją, niby to historyczną powieścią «Beatrice Cenci, storia del secolo XVI» do wprowadzenia w błąd europejskiej publiczności o całym procesie Cencich. Guerazzi kończy swe opowiadanie słowami spowiednika Beatryczy, zwróconemi do tych, co ją skazali: «Questo e il capo di Beatrice Cenci, v e r g i n e romana». «Oto głowa Beatryczy, rzymskiej d z i e w i c y». Słowa nieprawdziwe. Nasz Słowacki, pisząc swój dramat, także stworzył Beatryczę, niepodobną do córki Franceska Cenci.

Bernardo Cenci, świadek strasznej rodzinnej tragedji, skazany na całe życie na galery, uzyskał od papieża pozwolenie na rewizję procesu i został uwolniony. Ożenił się ze swoją krewną, Clizią Cenci, i miał z nią sześcioro dzieci, familja więc Cencich bardzo się rozrodziła. Jeden z synów Bernarda, Tiberio, był kardynałem, drugi Giulio doszedł także do wysokich kościelnych godności, od trzeciego pochodził ów Virginio, który w r. 1775 był dziedzicem książąt na Vicovaro i markizów di Roccapriora. Do dziś dnia istnieją dwie linje Cencich; głową starszej linji jest Don Virginio Cenci Bolognetti, principe di Vicovaro, przedstawicielem drugiej linji hr. Guido Cenci Bolognetti, z książąt di Vicovaro. W herbie mają Cenci sześć półksiężyców, trzy na czerwonem, a trzy w białem polu.

Jeszcze kilka słów o monsignorze Guerra. Uciekł on, jak wspomnieliśmy, do Neapolu, lecz wyśledzono go i wicekról neapolitański wydał go rządowi papieskiemu. Przeszło trzy lata był więziony w Tordinona; ponieważ jednak nie można mu było dowieść udziału w morderstwie Franceska Cenci, lecz tylko pomoc w wyprawieniu z Rzymu Olimpia, więc skazany został na wygnanie na wyspę Maltę, ale po

kilku latach ułaskawił go Urban VIII i nadał mu nawet jakiś urząd w Watykanie.

Europejskiej literaturze ubył jeden temat do tragedji. Beatrice Cenci nie była bohaterką, ale zwykłą zbrodniarką, a cała historja jej skazania na śmierć zasługuje tylko na tytuł procesu kryminalnego i nie ma w sobie żywiołów, których dotychczas wymagało się od tragedji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

BORGHESE

I

Nazwisko Borghesów spotyka się w Rzymie na każdym kroku, a obok Roverów nie było papieskiego rodu, któryby tak silnie się zaznaczył w artystycznych dziejach wiecznego miasta, jak Paweł V i jego nepot, kardynał Scipione.

Czy to w Cassino Borghese, z przepysznym ogrodem i galerją, czy w pałacu na Campo Marzio i fasadzie świątyni watykańskiej, czy na fontannie, rzucającej obfitym strumieniem wodę z jeziora Bracciano, czy w San Gregorio Magno, na Awentynie, wszędzie nas wita ów wesoły smoczek, znak herbowy Borghesów. Za rządów Pawła V przybyła prawie trzecia część nowego Rzymu, nietylko bowiem papież i kardynał Scipione budowali nowe gmachy i upiększali miasto, ale także krewni Borghesów i kardynałowie, zachęceni przykładem papieża, starali się przyczynić do uświetnienia jego epoki. Nawet niechętny papieżom, wielki plotkarz Gregorio Leti powiada, że Paweł V przewyższył wszystkich papieży w ozdobieniu i podniesieniu Rzymu, Bernini zaś, ze swego artystycznego stanowiska, nazwał Pawła V najbardziej zasłużonym papieżem XVII wieku. Jak dawniej za Leona X, tak obecnie znowu, według poetów, zapanował wiek złoty dla artystów, a mało znany wierszokleta Antonio Querego śpiewał:

Terna verendum quem tueris principem
Cinctum corona, hic Paulus ille maximus
Est quintus, orbi quo imperante reddidit
Astraea laeto saecla rursus aurea [1]).

Paweł V pochodził ze starożytnego rodu sieneńskich patrycjuszów, a dziad jego, Jakób, przeniósł się do Rzymu, gdy sieneńska rzeczpospolita straciła swą samoistność «suppressa libertate senensi». Ojciec papieża, Marcantonio, został adwokatem przy Kurji rzymskiej, a taka adwokatura była wówczas szczeblem do honorów i sposobnością zrobienia wielkiego majątku. W ważnych sprawach międzynarodowych wzywali nawet obcy panujący do porady rzymskich adwokatów; tak się umieli wsławić znajomością praw i zręcznością. To też gdy Filip II hiszpański chciał ugruntować prawa swe do korony portugalskiej, zwrócił się do Marcantonia z żądaniem, aby mu napisał odpowiedni memorjał. Marcantonio miał z drugiego małżeństwa z donną Flaminią Astalli, Rzymianką, dość liczne potomstwo, a pomiędzy innemi dziećmi syna Kamilla, urodzonego w r. 1552, późniejszego papieża. Camillo, ukończywszy nauki, obrał karjerę duchowną, został referendarzem Kurji, później audytorem Roty, który to urząd nabył za 70.000 talarów rzymskich i nietyle się odznaczał zdolnościami, ile wielką pilnością i uczynnością. Jeden ze współczesnych Francuzów, który miał sposobność dobrze go poznać, mówi o nim, jako o osobistości «de grande integrité et probité». Za Klemensa VIII został Camillo nuncjuszem w Madrycie, gdzie tak polubił Hiszpanów i wszystko, co hiszpańskie, że na całe życie został przyjacielem wrogiego Włochom narodu. Z nuncjusza niedaleka droga była do kardynalskiej godności; papież Aldobrandini odział go w r. 1596 w purpurę, a na tem nowem stanowisku tyle umiał sobie u ludności rzymskiej pozyskać sympatji, że go zwano «l'ottimo cardinale».

[1]) Patrz, oto władca w troistej koronie
Powagi pełen, wielki Paweł Piąty;
Pod jego berłem Astrea wiek złoty
Znów wesołemu ukazała światu.

W r. 1605 umarł Klemens VIII; intrygi i spory w conclave, których głównym powodem byli czterej kardynałowie z rodu Aldobrandinich, doszły do tego stopnia, że jak ktoś ze współczesnych powiedział, świątynię wielkiego Apostoła chcieli zamienić w «casa del diavolo». Wreszcie przeprowadzili Aldobrandini przyjaznego sobie kandydata, za którym zresztą przemawiała powszechna opinja i wybrali 16 maja 1505 «il ottimo cardinale».

Gdy się nowy papież znalazł na najwyższym tronie chrześcijańskiego świata, musiała go przejąć trwoga. Dziwny fatalizm prześladował jego poprzedników. Urban VII wybrany papieżem w r. 1590, panował dni piętnaście, a w Rzymie mówiono, że został otruty. Jego następca Grzegorz XIV zasiadał ośm miesięcy i dziesięć dni na Stolicy Apostolskiej. Po Grzegorzu wybrano Innocentego IX, przyjaciela Camilla Borghese, człowieka w sile wieku, pełnego zdrowia i życia. I ten zmarł po dwóch miesiącach. Wszyscy ci papieże nie mieli dość czasu, aby się otoczyć nepotami, ludźmi, którzyby już z rodzinnego interesu czuwali nad ich życiem. To też, gdy tylko Hipolit Aldobrandini, Klemens VIII, został papieżem, natychmiast zamianował swego nepota, Piera Aldobrandiniego, dwudziestodwuletniego młodzieńca «kardynałem patronem» z nieograniczoną prawie władzą, aby mieć przy sobie człowieka zaufanego. Kardynał Piero był brzydki, prawie zezowaty, niesłychanie podejrzliwy, znienawidzony w Watykanie, lecz pod jego opieką panował papież prawie lat trzynaście.

Nastąpił po nim na Stolicę św. Piotra Leon XI, Alessandro Ottaviano Medici i żył tylko dni dwadzieścia sześć. Fakta te musiały na Pawle V sprawić pewne wrażenie. Wszyscy ci krótko panujący papieże mogli umrzeć naturalną śmiercią, ale w wieku XVII obawiano się więcej, niż kiedykolwiek, trucizny.

Camillo Borghese, który jako kardynał był przeciwnikiem nepotyzmu, zaczął więc naśladować tych ze swoich poprzedników, którzy długo panowali. Miał jednak tylko jednego synowca i jednego siostrzeńca. Synowiec, Marcantonio, był synem Giovanbattisty, najstarszego brata papieża, i Wirginji Lanti. Paweł V zaczął go używać do różnych ważnych spraw

państwa i chciał mu nadać godność kardynalską. Lecz Marcantonio nie miał ochoty przywdziewać sukni duchownej i ożenił się, co mu papież brał za złe. Stryj wkrótce się jednak z nim pogodził, gdy Marcantonio przyprowadził mu małego synka i powiedział, że dzieciak więcej wart, aniżeli czerwony kapelusz. W nagrodę kupił papież synowcowi księstwo Sulmona, a w krótkich odstępach czasu tak Marcantoniowi przybywały rozmaite księstwa i markizaty, że stał się najbogatszym i najpotężniejszym magnatem papieskiego państwa. Dzisiejsza rodzina Borghesów pochodzi od Marcantonia, a głową rodu obecnie jest Don Paolo Borghese, książę na Sulmonie, ożeniony z hr. Apponyi.

Ponieważ Marcantonio nie chciał zostać purpuratem, więc papież nadał swemu siostrzeńcowi, synowi Hortensji Borghese i Franceska Caffarelli, nazwisko Borghesów i zamianował owego dwudziestoletniego młodzieńca kardynałem (1605), a zarazem powierzył mu czuwanie nad pałacami papieskiemi, policją bezpieczeństwa i oddał sprawy zagraniczne.

Paweł V czuł się Rzymianinem i za jeden z celów życia postawił sobie uświetnić «Urbs», aby blask stolicy rzucał i na papiestwo swe promienie. Rozpoczął więc regulowanie i porządkowanie miasta na wielkie rozmiary. Kazał przebijać nowe ulice, otwierać place i budować wspaniałe gmachy. Woda, którą sprowadził, nie tryskała jak skromna fontanna, lecz jak rwący strumień pięcioma ramionami, a jego pałace i kościoły lśniły od złota i marmurów. Wszędzie chodziło raczej o przepych, aniżeli o prawdziwe piękno. Kościół św. Piotra postanowił ukończyć; ukończył go też po swej myśli jako olbrzymią świątynię, mającą wzbudzić podziw całego świata. Pasquino miał wprawdzie temu dziełu do zarzucenia, że nazwisko Borghesów na architrawie portyku daleko więcej miejsca zajmuje i daleko większemi literami wyryte, aniżeli słowa «na cześć księcia Apostołów», ale to był zarzut chyba najmniejszy; artyści cięższe podnosili i podnoszą krytyki.

Rodzinna kaplica Borghesów istniała dotąd w kościele della Trinità de' Monti. Była ona dla papieża za skromna, więc kazał wybudować ową wspaniałą w bazylice Santa Maria Maggiore, wyłożyć ją różnokolorowemi marmurami,



Kardynał Scipio Borghese

Popiersie dłóta Berniniego, w galerji Borghese w Rzymie

Do str. 111 Fot. Anderson



wschodniemi alabastrami, oprawić w bronzy, ozdobić freskami i rzeźbą, tak, że ten przybytek rodziny Borghesów zaliczyć trzeba do najwspanialszych budowli tego rodzaju.

Bernini był, jak zobaczymy, nadwornym rzeźbiarzem Borghesów; pozostawił nam też popiersia marmurowe papieża i kardynała nepota. Mały biust papieża znajduje się teraz na jednym ze stołów, na pierwszem piętrze galerji Borghesów. Papież tak lubił to dzieło sztuki, że zawsze je miał w swojej komnacie. I rzeczywiście portret Pawła V wyborny, przedstawia osobistość poważną, bardzo dumną, patrzącą na świat trochę przymrużonemi oczyma, ale mimo to widzącą wszystko, co się wkoło niej dzieje. Papież był wysoki, w swym pontyfikalnym stroju majestatyczny, małomówny, rozsądny i tak czystych obyczajów, że przyjaciele mówili o nim, iż nawet w młodości nie zakosztował rozkoszy ziemskiej miłości. W wysokim stopniu despota, pytał kardynałów wtedy o radę, kiedy był pewny, że przyklasną jego zdaniu, zresztą zważał tylko cokolwiek na opinję kardynała nepota.

Z twarzy i z postawy cokolwiek podobnym do papieża był Scipio Caffarelli-Borghese.

Także w galerji Borghese, w sali wchodowej widzimy dwa duże popiersia z białego marmuru, przedstawiające czterdziestoletniego kardynała o okrągłej twarzy, krótkich wąsach i bródce hiszpańskiej, który, sądząc po dobrym wyglądzie, musiał mieć wybornego kucharza. Owe dwa popiersia dłóta Berniniego, mają swoją historję. Pierwsze z nich było już skończone, gdy robotnicy spostrzegli małą skazę w marmurze, która twarz szpeciła. Bernini, nic nie mówiąc o tem kardynałowi, w bardzo krótkim czasie zrobił inne popiersie, a gdy Scipio o tem się dowiedział, zakupił obydwa marmury. Na owych biustach nie wygląda Scipio sympatycznie; pyszny, zadowolony z siebie i ze swego majątku, zdaje się całym światem pogardzać; tym razem jednak powierzchowność zdawała się niezupełnie odpowiadać charakterowi kardynała, współcześni bowiem nie mają dla niego dość słów pochwały. Lud rzymski nazywał go z powodu uprzejmości i grzecznego obejścia «la delizia di Roma», a dyplomaci podnosili takt

i umysł pojednawczy, z jakim umiał najtrudniejsze sprawy traktować.

Pomimo rozlicznych zajęć miał kardynał dość czasu, aby pisać wiersze; nie były to wszakże poezje zbyt wysoko odbiegające od ziemi, gdyż te, które znamy, miały za cel chwalić kardynałów, których papież Paweł V mianował. Były to poezje, skąpane w mleku i miodzie. Może więcej, jak literatura, zajmowała go sztuka, a jako protektora Berniniego poznamy jeszcze kardynała. Scipio, idąc w ślady dawniejszych nepotów, powziął zamiar budowania will i pałaców. Dwór papieski współzawodniczył w owych czasach co do przepychu z dworami hiszpańskim i francuskim; nie chciano, już ze względu na urok polityczny, aby Rzym stał niżej, aniżeli Paryż lub Madryt. Kardynał rozpoczął więc najprzód prace około willi we Frascati, a wkrótce potem zajął się budową owego «Cassina» w Rzymie, za porta Pinciana, które nas dzisiaj jeszcze sympatycznie usposabia dla papieskiego nepota. Paweł V szczodrze mu pomagał, a pomagali i ci, którzy się papieżowi przypodobać chcieli. Tomaso d'Avolos darował Scipionowi swoją winnicę za porta Pinciana, a papież dodał mu sąsiedni ogród, pochodzący ze spuścizny po biskupie Pawji, monsignorze Wilhelmie Bastone. Ów monsignor został winien Kamerze Apostolskiej dziesięć tysięcy dukatów; ściągnięto więc tę sumę z jego spuścizny, a papież dał jej połowę nepotowi na budowę pałacu. Przez lat ośmnaście korzystał Scipio z każdej sposobności, aby nabywać sąsiednie ogrody i winnice, dopóki nie powstał ów park nieoceniony, który przez kilka wieków opiewają poeci. Paweł V obsypywał też kardynała beneficjami i złotem, cieszył się bowiem, że Scipio wsławiał nazwisko Borghesów. Do powiększenia dochodów kardynała przyczyniały się rozmaite synekury, jak legacja awignońska, arcybiskupstwo bolońskie, a pomiędzy innemi otrzymał szczęśliwy nepot w r. 1611 od papieża pałac i ogród na pagórku Kwirynalskim, który później sprzedał Bentivogliom. Kardynał umiał jednak dobrze używać dochodów; na sposób renesansowych magnatów otaczał się uczonymi, artystami, a na jego salonach spotykać było można

sławnych podróżnych i wogóle wszelkie znakomitości, które do Rzymu przybywały.

To wzbogacenie nepota zaczęło obudzać zawiść, osobliwie w kołach mniej szczęśliwych kardynałów i wysokich dygnitarzy kościelnych. Teodor Amayden, słynny adwokat Kurji rzymskiej, opowiada z tego powodu fakt charakterystyczny. Oto kardynał Robert Bellarmino, jezuita, widząc, że niebywała kumulacja beneficjów w ręku kardynała nepota szkodzi powadze Kościoła, zaprosił do siebie biskupa z Nepi, spowiednika papieskiego, i robił mu wyrzuty, że daje Pawłowi V rozgrzeszenie, pomimo, że papież popełnia niesłychane błędy w rozdawaniu beneficjów.

— Nie mam sposobności rozgrzeszania — odpowiedział biskup — ponieważ się o to wcale nie oskarża.

— To są wszakże rzeczy publicznie wiadome; jeżeli się sam nie czuje winnym, to go upomnij — rzekł Bellarmino.

Biskup, człowiek prosty, ale bardzo zacny, usłuchał kardynała i przy pierwszej sposobności zwrócił uwagę papieża na te uchybienia. Paweł V przyjął jednak robione mu wyrzuty milczeniem. Niezadowolony tem kardynał, nakazał spowiednikowi pod karą ognia piekielnego, w jego imieniu i z jego rozkazu, żądać od papieża odpowiedzi. Przestraszony biskup ponownie zapytał się Pawła V, czy uważa za godne ze swojem sumieniem gromadzenie kościelnych beneficjów w ręku nepota. Papież, zapewne podrażniony natarczywością kardynała, tym razem odrzekł: «Nasi poprzednicy robili to samo, nie widzimy więc powodu odstąpienia od ich przykładu». Bellarmino zgorszył się tą odpowiedzią, ale przeciw woli papieża rady już nie było.

Przy najbliższej jednak sposobności, gdy Paweł V zobaczył Bellarmina, sam się go zapytał, co myśli o papieskiej wspaniałomyślności wobec swej rodziny. Na co purpurat odrzekł, że Jego Świątobliwość może nepotom dawać dochody, pochodzące ze źródeł świeckich, jeżeli nie robi tem krzywdy swym poddanym, dochody wszakże kościelne, a mianowicie te, które pochodzą z kumulacji beneficjów, nie mogą być rozdawane nepotom.

— Dziwna rzecz — odrzekł papież — mamy teologów, którzy zupełnie przeciwnego są zdania.

Kardynał umilkł, a papież dalej aż do śmierci hojną ręką obdarzał rodzinę.

Paweł V miał olbrzymie dochody i dobrze się rządził; wyznaczał duże kwoty na jałmużny, nawet poza granicami Włoch, kazał wspierać w Rzymie pielgrzymów i rodziny niezamożne, wstydzące się żebrać, a dwa razy w tygodniu polecił rozdawać chleb i wino dla tysiąca ubogich. Na dobra i pałace, podarowane rodzinie, wydał, o ile wiadomo, 1,873.000 skudów, powiększył skarb papieski o 900.000 skudów, a prócz tego kazał na czarną godzinę zamurować w zamku św. Anioła 400.000 dukatów w złocie. Mimo tych wydatków na nepotów i robionych oszczędności, lud rzymski miał tego papieża w dobrej pamięci. Gdy następca Pawła V, Grzegorz XV, przejeżdżał ulicami Rzymu, wołano, chcąc dokuczyć nowemu papieżowi: «Evviva Paolo V!»

Ten sam Amayden, który pisze o owem zajściu pomiędzy papieżem a kardynałem Bellarminem, wyraża się także bardzo przychylnie o Pawle V, nazywa go «jak najlepszym papieżem, miłośnikiem pokoju, ojcem ubogich, który czuwa nad porządkiem w państwie i broni sprawiedliwości». Na to wszakże, ażeby zupełnie podzielać zdanie Amaydena, trzeba być Rzymianinem, poczuwającym się do wdzięczności względem Pawła V za ogrody i fontanny; ale już poddani papieskiego państwa poza obrębem stolicy nie mogli dzielić tych przesadnych pochwał. Ów «ottimo cardinale», zostawszy papieżem, wielkim był despotą, a zaraz po wstąpieniu na tron zaznaczył swe panowanie okrutnym wyrokiem. Jakiś nieznany autor, Piccinardi, napisał żywot Klemensa VIII Aldobrandiniego, w którym porównywał papieża, bardzo zresztą niestosownie, z cesarzem Tyberjuszem. Rękopis zachował jednak dla siebie, prawie nikomu go nie pokazywał i nie miał wcale zamiaru dawać go do druku. Jakaś kobieta, zapewne z powodu prywatnej zemsty, doniosła inkwizycji, że Piccinardi przechowuje tak niebezpieczne pismo; zawleczono więc biedaka wraz z rękopisem do więzienia i za obrazę papieskiego majestatu skazano na śmierć. Możni ludzie, a pomiędzy innymi

i posłowie obcych mocarstw, wstawiali się za nim do papieża; wszelkie prośby jednak nic nie pomogły, Piccinardego ścięto na moście św. Anioła. Surowy ten wyrok tem bardziej może dziwić, że Paweł V nie był z natury człowiekiem okrutnym, posuwał tylko wyobrażenie o majestacie papieża tak daleko, że nawet myśl, ubliżającą temu majestatowi, uważał za zbrodnię. Wyobrażenia ludzkie o sprawiedliwości tak są mętne i niedostateczne, że każda zasada mniemanej sprawiedliwości, posunięta do ostatecznych granic, prowadzi do okrucieństwa.

Za Pawła V zaczęli jezuici mieć jeszcze większy wpływ w Watykanie, aniżeli za poprzednich papieży, a osobliwie kardynał Bellarmino T. J., zdolny pisarz, ze wszystkich sił pracował nad tem, aby wobec papiestwa ustawała i nikła wszelka świecka władza. Zaprzeczał on królom prawa wynoszenia się w czemkolwiek nad władzę duchowną i uważał każde dążenie monarchów w tej mierze za bunt, za pogańską tyranję. Jego zdaniem ma sługa Boży sądzić cesarza, a nie cesarz duchownego, byłoby bowiem niedorzecznością, «aby owca wydawała wyrok na pasterza». Duchowny należy do rodziny Chrystusa, a przeto wyjęty być powinien od wszelkich danin i podatków. Panujący może ściągać daniny ze zwykłych poddanych; duchowieństwo mu się opłacać nie powinno, gdyż daje mu rzecz cenniejszą nad złoto — modli się za niego.

Wogóle hasłem wyższego duchowieństwa w Rzymie, zostającego wówczas pod wpływem jezuitów, było stworzyć na świecie jedną trzodę i jednego pasterza. Znalazł się i taki ideolog, który dowodził, że dopiero wtedy, kiedy nad całym światem zapanuje Vicarius Christi, a wszystkie świeckie państwa znikną, nadejdzie wiek złoty, opiewany przez poetów, nastanie najlepsza rzeczpospolita, opisywana przez filozofów i Jeruzalem będzie uwolnione od heretyków i niewiernych.

Opanowanie wszelkiej świeckiej władzy przez duchowieństwo stało się znowu, jak w średnich wiekach za Innocentego III, jak później jeszcze za Piusa V i Urbana VIII, hasłem polityki Watykanu, ale zasada ta spotkała się jeszcze za panowania Pawła V z niebezpiecznym dla państwa opo-

rem. Już z powodu sąsiedztwa państwa papieskiego z weneckiemi posiadłościami wynikały ciągłe spory pomiędzy Kurją rzymską a Signorją, z których papiestwo zawsze chciało wychodzić zwycięsko; żądania jednak Watykanu za Pawła V przechodziły wszelką sprawiedliwą miarę: w Rzymie przyjęto zasadę kardynała Bellarmina, że duchowieństwo świeckie i klasztory albo wcale, albo tylko w bardzo szczupłej mierze powinny się przyczyniać do wydatków państwa. Doszło do tego, że dochód weneckiego duchowieństwa wynosił jedenaście miljonów dukatów, a państwu dostawało się z tych sum olbrzymich tylko 12.000 dukatów.

Drobnostkami napozór drażniowo w Rzymie ludność wenecką. Druki weneckie były sławne na cały świat i przedsiębiorstwa drukarskie w wysokim stopniu tam kwitnęły. Teraz Kurja rzymska zaczęła zakazywać książek, które się nie podobały duchowieństwu i poprawiać teksty przez swoich cenzorów. Całe nakłady dzieł już drukowanych stały się w ten sposób bezużyteczne i drukarze ogromne ponosili straty.

Wkrótce nazbierało się tyle uraz, tyle żalów do rzymskiej Kurji, że wenecki patrjota, znakomity uczony, zakonnik, fra Paolo Sarpi, wystąpił otwarcie w obronie praw państwa wobec uroszczeń papiestwa. Aby teorji jezuitów przeciwstawić równie potężną zasadę, głosił fra Sarpi, że wszelka władza panującego pochodzi bezpośrednio od Boga i że papieżowi nie służy prawo mieszania się w sprawy świeckie państwa. Gdyby papieżowi wolno było wdawać się w wewnętrzne stosunki rządów, wszelka władza świecka stałaby się iluzoryczną, nastąpiłoby zupełnie rozluźnienie, a nawet zupełny upadek władzy. Duchowieństwo tak samo, jak ludzie świeccy, muszą być posłuszni naczelnikowi państwa. Chrystus nie wykonywał świeckiej sprawiedliwości, a zastępcom swym nie mógł nadać praw, których sam nie żądał i nie wykonywał. Paolo Sarpi wszedł na drogę, którą już po części szła Francja, ale jeszcze daleko wyraźniej rozdzielił w teorji zakres działania władzy świeckiej od władzy Kościoła.

Rzecz prosta, że w Rzymie powstało wielkie oburzenie, a ponieważ rząd wenecki, na czele którego stał przeciwnik

papieskich uroszczeń, doża Leonardo Donato, wyznawał zasady, zgodne z wywodami fra Paola, więc Paweł V obłożył wielką klątwą dożę, senat i wszystkie władze państwowe, a jeżeliby się krnąbrna rzeczpospolita w przeciągu ośmiu dni nie poddała woli papieskiej, nie wolno było odprawiać nigdzie nabożeństwa na jej terytorjum.

Władze Rzeczypospolitej przyjęły interdykt spokojnie i zapytały tylko duchowieństwo, za kim pójdzie: za papieżem, czy za rządem. Duchowieństwo nie wahało się ani na chwilę, lecz oświadczyło, że będzie wspierać rząd i pomimo interdyktu odprawiano nabożeństwa, jak zwykle, we wszystkich kościołach.

Papież nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy; zrazu myślał wydać Wenecji wojnę, zmusić rzeczpospolitą do posłuszeństwa Kościołowi. Część kardynałów poszła w tym kierunku, nawet zaczęto się zbroić, ale wkońcu przemogła rozwaga, że z Wenecją nie tak łatwa sprawa, że rzeczpospolita mogłaby się do protestantów zwrócić o pomoc i wkońcu odpaść od Kościoła. Zresztą wojsko papieskie nie było zdolne spotkać się z poważnym nieprzyjacielem. Dawniej składała się konnica papieska z 650 jeźdźców, głównie przeznaczonych do uganiania się za bandytami; w ostatnich czasach bandytów było coraz mniej, więc i o tę konnicę nie dbano. Na pomoc Hiszpanji Paweł V liczyć nie mógł. Francja skłaniała się raczej ku Wenecji, nie było więc rady, trzeba się było uciec do układów. Signorja także nie chciała posuwać rzeczy do ostateczności, zgoda przyszła do skutku, lecz zgoda dla papieża osobliwie z tego powodu upokarzająca, że Wenecja w żaden sposób nie chciała się zgodzić na przyjęcie napowrót jezuitów do swego państwa. A jezuici byli tak drodzy jego sercu, tak pracowali nad podniesieniem uroku Stolicy Apostolskiej! Signorja pod tym względem wszakże była nieubłagana.

Zatarg Pawła V z Wenecją znów był dla papiestwa przestrogą, że do czasów Innocentego III wracać już nie można, że rządy świeckie muszą być oddzielone od rządów kościelnych.

Rezultatem rządów Pawła było: ufundowanie najpotężniejszego rodu nepotów, upiększenie Rzymu i rozwinięcie idei oddzielenia państwa od Kościoła, czego ani papież, ani kardynał Bellarmini nie pragnął. Zanadto śmiałe wywieszenie sztandaru wszechpotęgi papiestwa wywołało reakcję, której naukowym reprezentantem był zakonnik Sarpi. Rzec można, że dzieła tego Wenecjanina stały się podstawą późniejszego wyzwolenia się państw europejskich z pod przewagi Kościoła.

Paweł V dostał ataku apoplektycznego podczas procesji, którą urządzono na uczczenie zwycięstwa nad czeskimi protestantami na Białej Górze pod Pragą. Wkrótce potem umarł, 28 stycznia 1621.

ROZDZIAŁ PIĄTY

URBAN VIII I NEPOCI

I

Na stokach Apeninu, wpobliżu Florencji, istnieje mała osada, podobna do innych toskańskich miasteczek, Barberino di Mugello. Nad nią panuje niewielki zamek, o dawnych tradycjach, należał bowiem już w r. 1074 do rodziny Barberinich, jak świadczy dokument, przechowany w archiwum państwowem florentyńskiem. Barberini byli Florentyńczykami, lecz w XIV wieku rozdzielili się na dwie gałęzie: Giovanni został na zawsze we Florencji i jego potomkowie zrobili duży majątek na handlu ze Wschodem przez Ankonę. Giuliano przeniósł się ze swym synem Antonim do Rzymu. Ta gałąź, której członkowie zresztą często wracali do Florencji, wydała papieża, Urbana VIII, pięciu kardynałów, wielu ambasadorów i innych dygnitarzy. Rzymscy Barberini wygaśli w r. 1722, ostatnia z rodu, Kornelja, wyszła w jedenastym roku życia, za osobnem pozwoleniem papieskiem, za księcia Colonnę.

Ojcu Urbana VIII na imię było Antonio, a matka, Camilla Barbadori, pochodziła z rzymskiej rodziny, którą zwano także Amadori. W herbie mieli Barberini początkowo trzy gzy, które zczasem zamienili na szlachetniejsze owady, na

pszczoły. Barbadori musieli być gorących uczuć, albowiem pieczętowali się aż trzema sercami.

Matteo Barberini, późniejszy papież, urodził się z Antonia i Camilli w r. 1568 we Florencji, w jednym z domów na północnej stronie placu Sta Croce, naprzeciwko kamienicy, której fasada ozdobiona była pięknemi freskami Giovanniego de San Giovanni. Nie miał jeszcze trzech lat, jak stracił ojca, więc stryj Francesco, protonotarjusz apostolski, zabrał go do siebie do Rzymu, aby kierować jego wychowaniem. Ów Francesco nie należał do ludzi wielkich zdolności, ale «swą florentyńską oszczędnością» zebrał znaczny majątek i uważał synowca za swego spadkobiercę. Dokładał też wszelkich starań, aby Mattea wszechstronnie wykształcić, a na dokończenie nauk posłał go na uniwersytet w Pizie.

Mając stryja w urzędach watykańskich, postanowił Matteo poświęcić się zawodowi duchownemu, zwłaszcza, że lubił naukę i głębsze studja bardzo go ku sobie pociągały. Po skończeniu uniwersytetu powrócił też do Rzymu, przywdział suknie duchowne, a mając z domu znaczne dochody, kupował przyjętym obyczajem urzędy watykańskie i posuwał się szybko po szczeblach kościelnej hierarchji. W młodych stosunkowo latach został nuncjuszem papieskim we Francji, gdzie się bardzo odznaczył i zyskał łaski Henryka IV. Podczas dwukrotnego swego pobytu w Paryżu polubił Matteo nadzwyczaj Francuzów, zawiązał tam przyjacielskie stosunki, co później bardzo wpłynęło na jego antyhiszpańską i antyaustrjacką politykę.

Paweł V mianował Mattea w roku 1606 kardynałem, a w siedemnaście lat później, po śmierci Grzegorza XV, w r. 1620 mógł Barberini włożyć na głowę papieską tiarę. Wybór swój zawdzięczał głównie francuskim wpływom i zawiści dwóch nieprzyjaznych sobie stronnictw pomiędzy kardynałami, którzy, nie mogąc przeprzeć własnych kandydatów, wybrali papieżem trzeciego.

Dawno nie było tak młodego i tak pełnego energji papieża. Barberini miał lat pięćdziesiąt pięć, gdy wstąpił na Stolicę Apostolską i przybrał imię Urbana VIII. Był średniego wzrostu, miał twarz śniadą, czarne włosy i brodę, wysokie,



Urban VIII i nepoci

Według ryciny w dziele «Aedes Barberinae a comite Tetio descriptae». Romae 1647.

Do str. 121

pogodne czoło, oko jasne, niebieskawe, ale bystre, pełne ognia. Mówił nadzwyczaj szybko, a ruchy jego były nieraz tak gwałtowne i niespodziewane, jak u człowieka, podlegającego najwyższemu rozdrażnieniu nerwów. Aby niejako okiełznać ten bujny temperament, jeździł konno, nawet w późnym wieku, aż do zmęczenia, chodził na dalekie spacery, wymyślał sobie rozmaite ćwiczenia ciała, korzystał z każdej sposobności, aby przebywać na wsi, na świeżem powietrzu. Nigdy też nie chorował, odznaczał się wielką bystrością umysłu i nadzwyczajną pamięcią. Zawsze na wiosnę kazał sobie krew puszczać, a jeden z jego biografów powiada, «że wtedy wychodziły z żył humory w kształcie zgęszczonych kawałków krwi».

Papież wierzył w wpływ gwiazd na człowieka, zajmował się astrologją i cały porządek swego codziennego życia stosował do gwiaździarskich kombinacyj. To mu jednak nie przeszkadzało wydawać ostre zakazy przeciw astrologom. Nieprzyjemne sprawy o ile możności odsuwał od siebie, a wenecki ambasador, Aluise Contarini, wróżył mu z tego powodu długi wiek życia. Wogóle papież był postacią nadzwyczaj wybitną, którą kapucyn fra Fulgenzio Micanzio, umysł bardzo spostrzegawczy, tak scharakteryzował: «Papież jest napozór Włochem, w swych śmiałych zamiarach Hiszpanem, w maskowaniu się (nella dissimulazione) Francuzem, a w rzeczywistości samym sobą (ma, in effetto, tutto suo proprio)».

Jako młodzieniec, a nawet jeszcze jako papież, pisał Matteo wiersze po włosku i po łacinie, religijne i świeckie. Pierwsze wydanie tych poezyj wyszło w r. 1635 z dość nieudanym miedziorytem Berniniego, jako kartą tytułową. W łacińskich odach, hymnach, eklogach, niewiele się można doszukać poetyckiego talentu, a parafrazy psalmów i kantyków wcale nie dorównują poetyckiej wspaniałości oryginałów, zwłaszcza, że je w znacznej części przerabiał na miarę wiersza Horacego, zupełnie sprzeczną z powagą poezji Ojców Kościoła. Papież parafrazował także hymn św. Ambrożego «Te Deum laudamus», lecz i tutaj skrzydła wyobraźni nie wywynoszą go na wyżyny uczucia pierwotnego autora. To nie

przeszkadzało, że jeden z panegirystów pisał po śmierci Barberiniego: «Stupent poetae Christiani ut novum Davidem, profani ut alterum Apollinem». W przeciwieństwie do łacińskich poezyj tchną sonety włoskie Mattea, noszące tytuł «Poesie toscane», świeżością i pewnym polotem, osobliwie, gdy autor znajduje się pod wrażeniem pięknej przyrody.

Za kardynalskich czasów przepędzał Matteo jesień zazwyczaj nad Albańskiem jeziorem, w Castel Gandolfo, gdzie monsignor Visconti posiadał skromną willę wraz z dużym obszarem gruntów, na których miała niegdyś stać Albalonga, a później znajdowały się ogrody Domicjana. Zostawszy papieżem, nabył Barberini ową willę, kazał ją przebudować na papieski pałac i tam często przebywał. Aleksander VII i późniejsi papieże powiększali ten gmach, który do ostatnich czasów służył za papieską wilegjaturę. Wybór Castel Gandolfo na letnią siedzibę papieży świadczy o wielkiem poczuciu piękności przyrody, jakie ożywiało Urbana VIII. Jeszcze jako kardynał zapraszał tam swego przyjaciela, monsignora Wawrzyńca Magalotti w liście, pisanym heksametrową miarą, aby porzucił duszny Rzym i przyjechał nad Albańskie jezioro odetchnąć górskiem powietrzem. «Uroczy kraj», pisał kardynał, «świeże tchy od morza nęcą ku sobie. Tutaj do sił przychodzę i chętnie tam przebywam, gdzie wzrok może śmiało bujać po słonecznych polach i zielonych wyżynach. Tutaj ciało się krzepi i ciężar lat znika, a umysł się uspokaja po umęczeniu żmudnem zajęciem. Jeżeli chcesz, kochany Magalotti, pozbyć się na chwilę ciężkiej troski, przyjedź nad Albańskie jezioro, które roztacza swe lśniące zwierciadło, przyjedź do zamku w Gandolfo, do grodu julijańskiej Alby, gdzie skromny dom stoi otworem dla upragnionych przyjaciół».

Także w jednym z sonetów unosi się kardynał nad pięknością widoku w Castel Gandolfo i wogóle w jego poezjach czuć duszę, rozmiłowaną w czarach przyrody. A i na wdzięki kobiece miał Matteo oko otwarte, gdyż aż w dwóch sonetach podnosi ich niebezpieczeństwo i każe się strzec «śmiertelnej piękności».

Atti gentili e placidi sorrisi,
Sguardi soavi e leggiadro sembiante
Son d'angoscia e di morte armi funeste [1]).

Za czasów kardynalskich miał Barberini sekretarza, także poetę, Francesca Bracciolinego z Pistoi, który w literaturze włoskiej zajmuje poczesne stanowisko. Otóż ów Bracciolini napisał po wyborze swego kardynała poemat pod tytułem: «L'Elezione d'Urbano VIII», w którym, chcąc być zupełnie oryginalnym, wymyślił wojnę pomiędzy cnotą a występkami. Oczywiście cnota zwycięża, a jej triumf pociąga za sobą wybór Urbana. Poemat w dwudziestu trzech pieśniach, w heroicznym stylu, pełen jest postaci, uosabiających nietylko cnoty i występki, lecz i rozmaite uczucia, zjawiska przyrody, zawiera całą mitologję, bladą i w części nie dość zrozumiałą.

Bracciolini był niesłychanie skąpy, a wskutek tego brudny i w odzieniu zaniedbany, tak, że mimo dobrych dla niego chęci papieża nie można mu było nadać jakiegoś wyższego stanowiska. Urban VIII odznaczył go w sposób nikomu nieszkodliwy, pozwolił mu dodać trzy pszczoły Barberinich do herbu i odtąd podpisywał się poeta, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, Bracciolini delle api.

Urban VIII był z usposobienia wielkim autokratą i pojmował swą władzę zupełnie w duchu papieży Odrodzenia; rzec też można, że papiestwo o familijno-monarchicznych cechach ujawniło się po raz ostatni w tej bądź co bądź niepospolitej postaci. Urban VIII był do pewnego stopnia anomalją w XVII wieku i chętnie widziałoby go się w czasach Michała Anioła i Rafaela. Rządy jego były zupełnie osobiste, nie znosił opozycji, kierował się nawet w polityce własnemi poglądami, albo interesami swej rodziny, o zdanie kardynałów, doradców niewiele się troszczył. Szlachetną postacią i wyższością umysłu robił wielkie wrażenie na wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia, a dźwięcznym głosem i piękną toskańską mową umiał każdego pokonać, zwłaszcza, że będąc bardzo oczytany, popierał swe myśli zdaniami, wziętemi ze starożyt-

[1]) Zgrabne ruchy i wdzięczne uśmiechy, Słodkie spojrzenia, uprzejme oblicze Są straszną bronią troski i śmierci.

nych autorów. Broda, którą nosił dość długą i ściętą w prostokąt, przydawała jeszcze jego postaci powagi.

Gdy mu raz któryś z kardynałów zwrócił uwagę na obowiązujące jeszcze bulle dawnych papieży, Matteo odpowiedział, że zdanie jednego żyjącego więcej znaczy, aniżeli postanowienia stu zmarłych papieży. Wenecjanin Pietro Contarini skarżył się w r. 1627 swemu rządowi, że na audjencji Urbana VIII nie można nigdy dojść do słowa; papież ciągle mówi, porusza najrozmaitsze przedmioty, popisuje się swoją uczonością do tego stopnia, że on (poseł) często nie ma sposobnej chwili przedstawić mu swoją prośbę. Któryś z kardynałów dobrze powiedział, że do Urbana nie idzie się w tym celu, aby mieć, ale na to, aby dawać mu posłuchanie. Role się zupełnie zmieniają: papież mówi, a petent musi słuchać w milczeniu jego rozpraw.

Konsystorze rzadko Urban VIII zwoływał i nie przedkładał kardynałom ważniejszych spraw do obrad; wyrażał się nieraz, że daleko lepiej zna się na rzeczach, aniżeli wszyscy kardynałowie razem wzięci. Chciał być uwielbianym, wymagał, aby się do niego zbliżano z największą pokorą, a jego postanowienia zależały od humoru i chwilowego usposobienia. Otoczenie wiedziało o tem bardzo dobrze, że papież chce mieć zawsze słuszność i nie cierpi cudzego zdania. Brano się więc na sposoby i nieraz ten, kto chciał, aby Urban do jego prośby się przychylił, sam podnosił jej niedostatki. Wskutek tego papież zbijał zarzuty petenta i najczęściej uczynił zadość jego woli.

Urban był wielkim nieprzyjacielem dynastji Habsburgów, których potęga, rozciągając się na Austrję, Hiszpanję i połowę Włoch, zagrażała papieskiemu państwu. Nie mógł też zapomnieć napadu wojsk Karola V na Rzym, zwłaszcza, że niedawna, stuletnia rocznica Sacco di Roma przypominała mu całą grozę owych czasów. Łączył się też zawsze z Francją, a nawet za jego potajemnem przyzwoleniem stanęło przymierze pomiędzy Francją a protestanckim Gustawem Adolfem na zgnębienie Austrji. Mówiono o papieżu, że jest bardziej francuskim, aniżeli pierwszy lepszy mieszczanin paryski. Papież cieszył się zawsze ze zwycięstw szwedzkiego króla, a chcąc się usprawiedliwić z powodu zarzutów, jakie mu czyniono, że popiera protestancką sprawę, utrzymywał, że Gustaw Adolf nie zagraża katolicyzmowi, lecz tylko cesarstwu. Barberini, jak jego poprzednicy, sądził, że Reforma jest tylko chwilową rewolucją i że protestanci prędzej czy później wrócą na łono rzymskiego Kościoła.

Hiszpańska potęga ciężyła oddawna na papiestwie. Sykstus V chciał się od niej uwolnić, lecz usiłowania energicznego mnicha były daremne, Grzegorz XIV i Innocenty IX stali się narzędziami w ręku hiszpańskich ambasadorów i dopiero Klemens VIII Aldobrandini stanowczo zaczął się opierać obcej przemocy. Od tego czasu papiestwo zwróciło się ku Francji i trzej następcy Klemensa szukali w Paryżu obrony przeciw hiszpańskiej potędze. Grzegorz XV znowu poddawał się Hiszpanji, zato jego następca Urban VIII tem ściślej połączył się z Francją. Tą obawą przed Hiszpanją i cesarstwem tłumaczy się, że Barberini nic nie czynił, aby wstrzymać zwycięski pochód protestanckich Szwedów. Prymas węgierski, Pazman, wysłany do papieża, wyniósł tak niekorzystne wrażenie o polityce papieża, że go nazwał «kacerzem i przyjacielem protestantów» [1]).

Dopiero gdy «Lew północy» zginął na polu bitwy w Niemczech, Urban VIII zmienił swą politykę, zaczął się znowu zbliżać do cesarstwa. Śmierć Gustawa Adolfa zrobiła na papieżu wielkie wrażenie, gdyż na nim opierał głównie swe nadzieje upokorzenia Austrji. Rezydent mantuański w Rzymie, Fulvio Testi, donosił wtedy swemu księciu, że śmierć króla szwedzkiego przeraziła papieża, że tego dnia był nadzwyczaj wzburzony i gniewny, «che Sua Stà stette tutto quel giorno alteratissima e rabbiosissima».

Nienawiść Barberiniego do domu cesarskiego dochodziła do tego stopnia, że papież czynił, co mógł w Polsce, aby królewicz Władysław nie został wybrany królem polskim z obawy, aby nie pojął za małżonkę córki cesarskiej. Pragnął

[1]) Aluise Contarini Rel. della Corte di Roma I 376, mówi o papieżu: «Che egli fosse eretico, amatore dei buoni progressi dei protestanti, come in effetto tal volta non li hebbe discari per la politica dell' equilibrio».

wyboru królewicza Kazimierza, o którym sądził, że niezbyt jest oddany dworowi wiedeńskiemu.

Chcąc i w ognisku władzy apostolskiej, w kościele św. Piotra, dać widoczny znak moralnej potęgi papiestwa po wieczne czasy wobec cesarstwa, postanowił Urban VIII sprowadzić popioły wielkiej hrabiny Matyldy do Rzymu i wznieść jej wspaniały pomnik. Matylda dała materjalną podstawę papiestwu, zapisując mu swe posiadłości we Włoszech, wspierała Kościół w ciągłych walkach, a imię jej związało się z największym triumfem średniowiecznego papiestwa, z upokorzeniem cesarstwa w Canossie.

Popioły hrabiny Matyldy spoczywały od przeszło pięciuset lat w klasztorze benedyktynów w Mantui, a miasto i dynastja Gonzagów były dumne, że owe relikwje tam się znajdują. Papież więc, spodziewając się oporu Gonzagów, porozumiał się tylko z opatem benedyktynów i kazał w tajemnicy, w nocy, szczątki te do Rzymu uprowadzić, a kiedy się Mantua dowiedziała o rabunku, popioły Matyldy leżały już w kościele św. Piotra, w grobowcu, zbudowanym według planów Berniniego.

II

Do najbliższego otoczenia Urbana VIII należało czterech Barberinich, o których się raz papież bardzo niepochlebnie wyraził. O jednym, o kardynale Francescu, swym synowcu, powiedział, że to święty, który cudów działać nie umie, z drugiego, rodzonego brata, kardynała Antonia starszego, żartował, że jest wprawdzie mnichem, lecz brak mu pokory i cierpliwości, trzeci, kardynał Antonio młodszy, także synowiec papieski, uchodził za dobrego mowcę, a mówić nie umiał, czwarty wreszcie, Taddeo Barberini, książę na Palestrinie, był dowódcą armji papieskiej, a nie potrafił szpady wyciągnąć z pochwy.

Mimo tego sarkastycznego sądu o najbliższych krewnych poświęcił papież dobrą sławę swego panowania nepotom i śmiało rzec można, że Urbana VIII możnaby było zaliczyć do najznakomitszych panujących, którzy zasiadali na Stolicy Apostolskiej, gdyby nie bezwzględne popieranie krewnych. W tej namiętności wyniesienia własnej rodziny posuwał się tak daleko, że nepotyzmy Carafów, Aldobrandinich, Borghesów i Ludovisich bladły wobec nepotyzmu Barberiniego. Udzielnych księstw wprawdzie nie mógł im dawać, musiał się w tej mierze zastosować do zakazów swoich poprzedników i przy wstąpieniu na tron potwierdzić bullę Piusa V i późniejszych papieży, które nie pozwalały oddawać nepotom w lenno ziem, należących lub mających należeć do Kościoła. A pokusa była wielka, gdyż zaraz w początkach panowania Barberiniego umarł ostatni potomek domu della Rovere, panującego w Urbino, młody jeszcze syn księcia Francesca Marji. Stary książę, zrozpaczony po stracie swego następcy, oddał jeszcze za życia księstwo Kościołowi, a sam zamieszkał w zamku, otoczonym przepysznym ogrodem, w Castel Durante, gdzie w zaciszu przepędził ostatnie lata. Kościół wzbogacił się Urbinem, do którego miał wątpliwe prawa, gdyż księstwo było lennem cesarskiem, a nadto mógł się o nie upominać młody ówczas wielki książę Ferdynand II de' Medici, ożeniony z jedyną wnuczką Francesca Marji, Wiktorją della Rovere. Ale ówczesny rząd florentyński bardzo był niedołężny i nie umiał skorzystać z dobrej sposobności przyłączenia Urbina do Florencji.

Jeżeli jednak Urban VIII nie mógł rozporządzać Urbinem na korzyść swoich nepotów, to starał się w inny sposób jak najhojniej ich zato wynagrodzić, że się urodzili jego bliskimi krewnymi. Przedewszystkiem dał zaraz po wstąpieniu na tron czerwony kapelusz Francescowi, który mimo wyrażenia papieża, «że cudów działać nie umie», był bardzo rozumnym, godnym, powszechnie lubianym człowiekiem; nawet złośliwy Leti mówi o nim, że znany był z przykładnego życia. Papież wysoko cenił Francesca, mianował go kardynałem patronem państwa, obarczał ważnemi pracami i wiecznie się na niego powoływał, jeżeli na siebie nie chciał za jakąś czynność brać odpowiedzialności; gdy jednak przyszło powziąć ważne postanowienie, zawsze narzucał mu swoje zdanie. Z powodu tego wysuwania naprzód kardynała patrona przyszło

nawet razu pewnego do nieprzyjemnego zajścia. Gdy Odoardo Farnese był w Rzymie, papież w rozmowie, chcąc mu pochlebić, powiedział, że «kardynał padrone nadzwyczaj wysokie ma o nim wyobrażenie», na co Farnese odrzekł: «Ojcze Święty, co do mnie, nie mam żadnego innego patrona, jak tylko Waszą Świątobliwość!» i tego samego dnia wyjechał z Rzymu. Papież obdarzał Franceska coraz to nowemi beneficjami i urzędami, przynoszącemi olbrzymie dochody, a po śmierci wicekanclerza Kurji, Ludwika Lodovisi, nadał mu i tę posadę. Francesco poświęcał wolne godziny nauce, tłumaczył nawet księgi Marka Aureljusza i dał początek owej nadzwyczaj cennej bibljotece Barberinich, która niedawno przeszła na własność watykańskiej książnicy. Kardynał zbierał także dzieła sztuki, osobliwie obrazy, z których sporo znajduje się jeszcze w galerji Barberinich. Dużo obrazów, medali i gemm sprzedała jednak później Cornelia Barberini i darowała Klemensowi XIV ów obelisk, który stoi dzisiaj na Monte Pincio. Wtedy to nabyła gliptoteka w Monachjum najsłynniejszy skarb muzeum Barberinich, starożytną grecką rzeźbę, przedstawiającą śpiącego satyra, zwaną zazwyczaj Faunem Barberinich. Brytyjskie muzeum nabyło naczynie szklane z białemi figurami, wazę Portlandzką.

Francesco umarł za pontyfikatu Innocentego XI Odescalchiego, w r. 1679, mając lat ośmdziesiąt.

Despotyzm Urbana wywierał nadzwyczaj niekorzystny wpływ na kardynałów, którzy wiedząc, że jakąkolwiek opozycją mogą się papieżowi tylko narazić, udawali w chwilach ważnych postanowień, że nie mogą przybyć na konsystorz z powodu choroby; jeden kaszlał, drugi skarżył się na bóle artretyczne, trzeci dostał febry, a ci, którzy przyszli do Watykanu, starali się w ten sposób uchylić od złych humorów papieża, że albo prawili ogólniki, albo milczeli, ruszając nieznacznie ramionami. Czasami przychodziło do gwałtownych zajść na konsystorzach, a gdy kardynał Gasparo Borgia chciał odczytać słynny protest rządu hiszpańskiego przeciw antyhiszpańskiej i antyaustrjackiej polityce Watykanu, papież zerwał się ze swego tronu i groźnie zawołał: «Milcz!» Innych kardynałów, a mianowicie Capponiego i Ubaldiniego nie mógł

znosić, ponieważ mu powiedziano, że ci książęta Kościoła, na zapytanie francuskiego ambasadora, czy Barberini należą do starożytnej szlachty florentyńskiej, odpowiedzieli przecząco. Ubaldiniego podejrzywał papież nadto o hiszpańskie sympatje i chciał raz zamknąć go do zamku św. Anioła. Biedny kardynał nie mógł odtąd przechodzić koło Moles Hadriani, aby nie dostał nerwowych dreszczów, wyjechał więc z Rzymu, osiadł w swej willi we Frascati i tam życia dokonał.

Daleko mniej wybitną osobistością, aniżeli kardynał Francesco, był Antonio Barberini starszy, którego papież wyniósł w drugim roku swego panowania do kardynalskiej godności. Antonio był kapucynem w jednym z oddalonych od Rzymu klasztorów; to też gdy się dowiedział, że papież ma go zamianować kardynałem, przestraszył się i nie chciał przyjąć tak wysokiej godności, był bowiem bardzo pobożnym i oddawał się «heroicznym mortyfikacjom». Gdy jednak papież nalegał, aby się udał do Rzymu, szedł na objęcie godności kardynalskiej piechotą, nocami, a przywdziawszy nawet purpurę, nosił pod świetną suknią nadal habit kapucyński i żył jak najskromniej. Fra Antonio tak przywykł do zwyczajów, jakie panowały w klasztorze, że nie mógł się oswoić ze swem wyniesieniem. Urągano z jego zakonnej uległości, zwracano uwagę na «bassesse cappucinnesche», które ciągle popełniał, wreszcie śmiano się, że kardynalski kapelusz zaciągał zawsze na tył głowy, jak mniszą kapucę. Raz nawet wobec ambasadora weneckiego tak nisko na plecy opuścił ową oznakę kardynalskiej godności, że kapelusz spadł na posadzkę ku wielkiej uciesze obecnych. Powoli jednak przyzwyczaił się Antonio do nowego stanowiska, a skromność klasztorna nie przeszkadzała mnichowi gromadzić intratne beneficja i zbierać całe worki złota, tak, że niebawem stał się jednym z najbogatszych nepotów. Ponieważ ów zakonnik w kardynalskim stroju był człowiekiem bardzo miernych zdolności, więc papież, nie mogąc mu powierzyć ważniejszego urzędu, zamianował go bibljotekarzem watykańskiej książnicy.

Najwięcej łask papieskich spływało na dom Taddea. Dotąd urząd prefekta Rzymu był dziedzicznym w rodzie Rowerów, ale w ciągu lat zeszedł na nic nieznaczący tytuł; papież

więc skorzystał ze śmierci ostatniego z Rowerów, aby natychmiast godność tę przenieść na Taddea, rozszerzając jego władzę i nadając znowu temu urzędowi wielkie znaczenie w zarządzie miasta. Nadto zamianował papież Taddea jenerałem armji kościelnej, pomimo że, jak widzieliśmy, miał bardzo słabe wyobrażenie o jego zdolnościach wojskowych. Wogóle, w ciągu pontyfikatu Urbana, tyle spadło na tego szczęśliwca urzędów i zaszczytów, że biedak nie mógł sobie czasem przypomnieć, jakie godności piastował. Zaraz po nominacji na prefekta obdarzył go papież złotą różą zasługi, później został don Taddeo grandem Hiszpanji, patrycjuszem weneckim, kawalerem złotego runa, ale co najważniejsza, papież ułatwił mu ożenienie się z Anną Colonną, córką Filipa, duki di Paliano, wielkiego konnetabla Neapolu, i Lukrecji Formacelli. Zdarzyło się wtedy, że Francesco Colonna, książę na Palestrinie, która od wieków należała do tego wielkiego rodu, był zmuszony z powodu długów sprzedać swą siedzibę; papież więc nabył owo księstwo za 775.000 talarów i obdarzył niem swego nepota. Taddeo stał się w ten sposób pierwszym magnatem państwa kościelnego, zwłaszcza, że papież dokupił mu do tych dóbr zamek Monte Rotondo na stokach gór Sabińskich od Orsinich i posiadłość Valmontone koło Anagni od Sforzów. Mówiono, że za te trzy majątki zapłacił papież przeszło dwa miljony talarów.

Zaślubiny Taddea z Anną Colonną odbyły się w kaplicy papieskiego zamku, w Castel Gandolfo, w obecności czternastu kardynałów. Stamtąd pojechał cały orszak ślubny do pobliskiego zamku Marino, gdzie ojciec panny młodej wyprawił wspaniałą ucztę.

Trzeci kardynał nepot, Antonio młodszy, najpóźniej z Barberinich otrzymał tę godność, najmniej też na to zasługiwał; prowadził życie wesołe, otaczał się zbytkiem i przepychem. Był z usposobienia trochę podobny do papieża, niespokojny, zamiłowany w ćwiczeniach ciała, w turniejach i rzeczach wojskowych. Zrazu nie lubiano go z powodu niezmiernej dumy i złośliwości tak, że mówiono o nim «Il cardinal Antonio — serve in Roma di demonio»; później jednak pozyskał sobie więcej sympatji, rad był bowiem każdemu do-



Kardynał Antonio Barberini młodszy
Według ryciny w dziele «Aedes Barberinae a comite Tetio descriptae». Romae 1647

Do str. 130

godzić, kto się do niego o pomoc udawał, a nadto bardzo popierał literatów. Ta uczynność hojnie mu się raz wypłaciła. W zamku św. Anioła był uwięziony i na śmierć skazany ostatni z Frangipanich, Mario, winny skrytobójstwa. Kardynał Antonio wstawił się za nim u papieża, uwolniono mordercę, a ten, umierając w r. 1654, zapisał swemu oswobodzicielowi cały duży majątek. W ten sposób Barberini dziedziczyli po owym starożytnym rodzie, który nie mało dał się we znaki średniowiecznym papieżom.

Kardynał Antonio utrzymywał w Rzymie liczną gwardję brawów, po większej części byłych bandytów i nie wyjeżdżał inaczej, nawet do miasta, jak w ich otoczeniu. Ponieważ był hojnym, więc ta gwardja w wielkiem go miała poważaniu. Przez długi czas u drzwi jego karocy jechał zawsze Pietro Mancino, szef bandytów, o którym przyjdzie nam jeszcze wspomnieć.

Trzej kardynałowie Barberini stanowili olbrzymią potęgę tak co do wpływów, jak i co do majątków, a zagraniczni posłowie ubiegali się o ich przyjaźń. Nazwano ich trójkątem kardynalskiego majestatu «Il triangolo della maestà cardinalitia» i wszelkie sprawy się o nich opierały. W największem poszanowaniu był Francesco; kardynał Antonio starszy usuwał się i zbierał kapitały. Antoniowi młodszemu w sprawach publicznych nic nie wierzono, gdyż umiał się zawsze wyśliznąć, jak węgorz, z danych przyrzeczeń. Barberini tak się wzbili w dumę, że raził ich już tytuł «Illustrissimus», który dotąd dawano kardynałom, pragnęli wyższego tytułu. Ponieważ jednak nie można było do nich mówić «Eccellenza», gdyż ten tytuł przysługiwał oddawna we Włoszech tylko udzielnym książętom, więc wymyślili sobie tytuł «Eminenza». Zrazu sądzili, że sami tylko będą mogli się w ten sposób odszczególniać, ale papież zwrócił ich uwagę na niestosowność takiego odróżniania się od innych kardynałów, więc wszystkich purpuratów nazywano odtąd «Eminencjami».

W pierwszych czasach swego panowania zajmował się Urban VIII wraz z kardynałem Franceskiem bardzo gorąco sprawami Kościoła; dbał o podniesienie moralności duchowieństwa i wglądał we wszystkie czynności urzędów waty-

kańskich. Po pięciu, czy sześciu latach pontyfikatu poświęcił się jednak wyłącznie rzeczom świeckim, obronie państwa papieskiego, stawianiu fortec; lanie armat najwięcej go zajmowało i było największą jego troską. Interesa religji i Kościoła pozostawił nepotom, którzy też korzystali z tej wolności i myśleli tylko o tem, w jaki sposób zagarniać jak najwięcej opactw i beneficjów. Dzieciom z rodziny Barberinich dawano dochody z opactw, a gdy Anna Colonna wychodziła zamąż za don Taddea, postawił jej ojciec pomiędzy innemi i ten warunek, aby jedno z opactw było udzielone pierworodnemu synowi młodego małżeństwa. Rzecz prosta, że w ten sposób brak było beneficjów dla prawdziwie zasłużonych duchownych i gdy który z nich przybył do Rzymu, aby się starać o powiększenie dochdódw, radzono mu zazwyczaj, aby był cierpliwym «che si dasse un poco di pazienza», a po niejakim czasie, gdy petent się niecierpliwił, znowu go uspokajano, aby jeszcze jakiś czas poczekał, «che dovera darsi ancora un poco di pazienza». Natomiast kto służył domowi Barberinich, ten mógł być pewny, że nepoci o nim nie zapomną i że opływać będzie w bogactwa i zaszczyty. Monsignora Viscontego, nuncjusza w Polsce, człowieka nadzwyczaj zasłużonego, nie chciano mianować kardynałem, pomimo że król kilkakrotnie się za nim wstawiał, ponieważ byli inni kandydaci, milsi rodzinie Barberinich. Przy nominacjach kardynałów chodziło głównie o to, aby mieć w Kolegjum jak największą ilość przyjaciół papieskiej dynastji, gdyż kardynał Francesco liczył na to, że po śmierci Mattea, zostanie drugim papieżem z rodu Barberinich.

W Rzymie panowało oburzenie z powodu tych nadużyć i dość często ukazywały się zjadliwe satyry na Barberinich, albo rozrzucano rysunki, podburzające ludność przeciw panującemu rodowi. Jeden z tych obrazków przedstawiał prałata, proszącego w Watykanie o jałmużnę, gdzie mu odpowiadano: «Niestety, niema ani quadrina, albowiem wszystko zabrali Barberini». W czasie wojen Gustawa Adolfa w Niemczech krążyły ulotne kartki, przedstawiające człowieka, odartego z odzienia, z ranami zadanemi mu przez Szwedów, którego muchy obsiadły. Człowiekiem tym miał być Kościół, a muchami owe znienawidzone, herbowe «mosche» Barberinich. Cesarz klęczał przed rannym i prosił Rzym o pomoc, wieczne miasto jednak odpowiadało: «Nie mogę cię wesprzeć, bo muchy wyssały ze mnie ostatnią kroplę krwi». Obliczono, że rodzina Barberinich otrzymała w ciągu panowania Urbana VIII dwieście dwadzieścia siedm rozmaitych intratnych urzędów, godności, opactw i beneficjów.

Zresztą trzeba być sprawiedliwym i przyznać, że nie wszystkie dochody papiestwa pożerali nepoci. Urban chciał pozostawić państwo kościelne zdolne do obrony. Gdy mu pokazywano marmurowe grobowce jego przodków, powiedział, że pragnie sobie postawić pomnik żelazny. Zaczął też od umocnienia zamku św. Anioła, zaopatrzenia go w żywność i amunicję, a ogrody na Monte Cavallo otoczył silnym murem, niszcząc zabytki starożytności. W Tivoli urządził fabrykę broni, komnaty watykańskiej bibljoteki zamienił na skład przyborów wojennych. Nawet na granicy bolońskiej, w Castelfranco, kazał zbudować twierdzę, którą zwano fortecą Urbana.

III

W rok po wstąpieniu na tron Urbana VIII (1624) przyjechał do Rzymu królewicz polski Władysław, zwycięzca Turków pod Chocimem, późniejszy król Władysław IV. Towarzyszyli mu: Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, jako ochmistrz i «wiadomy tamtych krajów», Stefan Pac, pisarz i referendarz litewski, kronikarz tej podróży, i kilku innych panów, z których każdy miał co najwięcej czterech służących. Królewicz chciał poznać środkową i zachodnią Europę, więc obrócił swą drogę na Wiedeń, Norymbergę i Kolonję do Brukseli, gdzie go bardzo gościnnie przyjmowała infantka Izabella, córka Filipa II, a następnie przez Szwajcarję, Lucernę i Lugano skierował się do Włoch.

W Parmie chciał mu książę Odoardo Farnese oddawać wielkie honory, lecz Władysław nie lubił «wdawać się w ceremonje» i wszędzie wymawiał się od wystawnych przyjęć. Więc też i w Bolonji uchylił się od towarzystwa synowca

kardynała Torresa, protektora Polski, który tam przybył, aby królewiczowi towarzyszyć w dalszej drodze do Rzymu. W Forli jednak nie mógł już uniknąć «włoskich grzeczności», czekał tam bowiem na niego wysłany przez papieża dowódca gwardji watykańskiej Karol Magaloti z listem od Urbana VIII, z uprzejmemi słowami powitania dla zwycięzcy Turków i Tatarów.

W towarzystwie więc Magalotego zboczył jeszcze Władysław do Loreto, gdzie złożył jako votum szczerozłoty posążek, przedstawiający św. Władysława, «w którego koronie, jabłku i berle niemało było drogich kamieni», a następnie jechał już na wozach i koniach papieskich na Asyż do Rzymu.

Do stolicy papieskiej przybył królewicz późnym wieczorem, a pomimo, że mu ofiarowano mieszkanie w Watykanie, albo na Monte Cavallo, wymówił się od tego zaszczytu i zajął wraz ze swojem otoczeniem pokoje w pałacu «Ameryka», będącym własnością markiza Caponiego. Papież życzył sobie jeszcze tego samego dnia przyjąć gościa z Północy; więc Polacy nie mieli nawet czasu przebrać się i włożywszy na siebie tylko suche płaszcze, bo w drodze deszcz ich zmoczył, pojechali do Watykanu z kardynałem Torresem.

W Watykanie wyszedł naprzeciw nich do antykamery kardynał Francesco Barberini, a po przywitaniu się z królewiczem, «con parole di cortesia», zaprowadził go wraz z Torresem, pod przewodnictwem mistrza ceremonji, do sali, w której się papież znajdował. Pac opowiada, że królewicz, zbliżając się do papieża, musiał trzy razy uklęknąć, raz przy drzwiach, drugi raz na środku «izby», a trzeci raz «już do samego papieża przyszedłszy», gdzie zwykłą ceremonję całowania nogi uczynił. Papież go «obłapił, mówi Pac, i w prawą jagodę pocałował, co tylko królom i ich synom zwykł czynić». «Postawiono potem dwa zedle z obu stron, po prawej ręce siadł królewicz, po lewej dwa kardynały, pytając go, jako mu droga plagowała i zdrowie jak mu służyło».

Następnie towarzysze królewicza weszli «do całowania nogi papieskiej», jeden tylko pan Denhoff, «aby przeciw regułom Kalwina nie zgrzeszył, nie chciał papieża witać, chociaż

pan Rozen, tejże albo mało lepszej wiary, z towarzyszami pospołu to czynił, co drudzy».

Po tych powitaniach i grzecznościach królewicz «tymże kształtem, którym wszedł, wyszedł między dwoma kardynałami» i do domu pojechał. Zdaje się wszakże, że Polacy żałowali, iż nie chcieli zamieszkać na Monte Cavallo, «w tak zacnym pałacu i ogrodzie, jakiego drugiego pewnie w świecie niema», gdyż tam, gdzie stanęli, nie mieli dość spokoju.

Kardynałowie i książęta rzymscy życzyli sobie, aby królewicza powitać mogli, «nie dlatego, aby mu tem honor uczynili, bo co oni dbają o Polskę, ale żeby go sami stąd mieli, bo tą wizytą chcieli królewicza obligować, żeby on im tę wizytę oddał». Stosownie jednak do rzymskich zwyczajów zaczęli kardynałowie wymagać, aby będąc u królewicza siedzieli po jego prawicy, na co Władysław się nie zgodził i kazał ich «grzecznie ostrzec, aby sobie niewczasu nie zadawali wizytami», gdyż przyjechał tylko na kilkanaście dni, a przyjmując i oddając «nawiedziny», traciłby dużo czasu i musiałby odjechać, nic nie widziawszy i «nie uczyniwszy nabożeństwa, gwoli którego przyjechał».

A zwiedzał pilnie wszystkie ciekawości, a pomiędzy innemi był świadkiem w kościele alla Minerva, jak przy asystencji wszystkich kardynałów palono posąg i pisma heretyka de Dominis, który szczęśliwie umarł w Anglji naturalną śmiercią.

Jednem z życzeń królewicza było widzieć chustkę św. Weroniki, przechowywaną w kościele św. Piotra. Tamtejsi kanonicy nie chcieli zrazu na to pozwolić, utrzymując, że po Karolu V nikt, nawet z monarchów, nie widział z bliska tej relikwji i że tylko kanonicy mają prawo brać ją do rąk. Papież jednak, uprzejmy dla Władysława, kazał powiedzieć kapitule, «że każdego takiego monarchę, który za wiarę chrześcijańską się zastawia i który tak wiele bitew przeciwko poganom wygrał, jak królewicz, niema za mniejszego nad Karła piątego», i rzecz stosownie do swego usposobienia rozstrzygnął. Zamianował królewicza kanonikiem kapituły św. Piotra i pozwolił mu relikwję wziąć do rąk. Władysław więc ubrał się w komżę i z balkonu, podobnie jak się dzieje w wielki piątek, pokazał

chustkę św. Weroniki zgromadzonemu na dole ludowi i trzechkrotnie go pobłogosławił. Opuszczając Rzym, złożył Władysław ową godność, która mu tylko w powyższym celu była nadana [1]).

Drugiego stycznia wyjechał Władysław do Neapolu, gdzie go hiszpański wicekról bardzo gościnnie przyjmował. Urządzono konne gonitwy na cześć królewicza, a wieczór odbył się bal w zamku, «na którym były wszystkie co najprzedniejsze panie». Podczas balu siedział wice-rex pod baldachimem, haftowanym złotem, perłami i djamentami, sam zaś miał klejnot djamentowy i takąż przepaskę u kapelusza, którą na kilkakroćstotysięcy szacowano. Zresztą czarno był ubrany, «nie tyle od szat, ale i od włosów na głowie i na brodzie, bo je sobie farbował, już dobrze siwe mając, jako człowiek siedemdziesięcioletni».

Po dziesięciodniowym pobycie w Neapolu wrócił królewicz do Rzymu, a nauczony doświadczeniem, korzystał już z gościnności papieskiej i zamieszkał w pałacu św. Piotra. Tym razem obdarzył go Urban VIII uroczyście mieczem i berłem poświęcanem, a następnie zaprosił na obiad, który był urządzony w wielkiej sali wobec publiczności. Według zwyczaju były nagotowane dwa stoły: przy jednym, pod baldachimem, na estradzie siedział papież, przy drugim, »bez podstawek i bez baldachimu», siedział królewicz «na zydlu prostym, pomalowanym tylko». «Gdy się papież umywał, królewicz przyklęknąwszy, ręcznik mu oddał». Z uwagi na pogromcę Turków były stoły ozdobione figurami z cukru, przedstawiającemi «zwycięstwo nad pogany». Ponieważ stół królewicza był oddalony niemal o dwa sążnie od stołu papieża, przeto Urban VIII rozmawiał czasem z Władysławem «przez kamerjery, pytając o to i o owo, i pił do królewicza raz albo dwa». «Kiedy papież pił», opowiada dalej Pac, «wszyscy, co stali, przyklękali na kolana». Tylko pan Denhoff, «uparty w swej wierze kalwińskiej, nie chciał ani papieża witać, ani mu nogi całować, ani w kościele przy ceremonjach i nabożeństwach bywać, powiadając, że to wszystko bałwochwalstwo». Ale przy owym obiedzie, gdy papież pił, uklęknął i pan Denhoff, «żeby sam jeden między wielu klęczących nie stał», zwłaszcza, że był na oku, blisko papieża. «Gdy tedy uklęknął», pisze Pac, «roześmialiśmy się z księciem panem kanclerzem serdecznie i jam mu rzekł, jeżeli rozumie, że jego wiara jest prawdziwa i dobra, to raz czas był wyznać ją publicznie i rzec, że to bałwochwalstwo, które się papieżowi od katolików urządza, a zatem męczennikiem kalwińskim zostać może». Całą tę rozmowę słyszał królewicz i tak się nią ucieszył, że papieżowi o niej opowiedział, którego również to zajście zabawiło, wiedział bowiem, że Denhoff nie jest katolikiem.

[1]) Tego samego zaszczytu dostąpił w r. 1700 Cosimo III, wielki książę Toskanji, który wszakże już na całe życie pozostał kanonikiem.

Po obiedzie muzyka. Przed antykamerą papieską śpiewały chóry, przy akompanjamencie różnych instrumentów, wiersze na chwałę królewicza «i jego szczęśliwej ekspedycji przeciw poganom». Autorem tych poezyj był monsignor Ciampola, człowiek «godny i uczony», który pisywał imieniem papieża piękne listy do Polski, a muzykę komponował Tedescino, najznakomitszy muzyk w Rzymie, co Włochów gniewało, gdyż ów kompozytor, jak już nazwisko wskazuje, był Niemcem. Po koncercie odszedł królewicz do swoich pokojów, a wieczorem pożegnał wraz ze swoją drużyną papieża, gdyż nazajutrz, dwudziestego stycznia, wyjechał. «Żegnanie», powiada Pac, «było tymże sposobem, jako i witanie, słowa komplementów z obu stron». Królewicz udarował hojnie Magalotego, który mu był dodany do towarzystwa, jako też i służbę, i udał się do Florencji.

IV

Papieżom czasów Baroku chodziło nadzwyczaj o to, aby ambasadorowie obcych państw występowali w Rzymie z wielkim przepychem. Widzieliśmy, jak Sykstus V starał się, aby król polski przysłał z «obedjencją» wielkiego pana, któryby mógł świetnie wystąpić, a nie skromnego biskupa. Jeszcze w wyższym stopniu lubił Urban VIII otaczać blaskiem Rzym i papiestwo, więc też król polski Władysław IV, wiedząc o tem, wybrał na poselstwo do Rzymu magnata, który zupeł-

nie mógł zadowolić nawet Barberiniego. Był nim Jerzy Ossoliński, a wjazd posła polskiego w r. 1633 do Rzymu zapisał się może najgłębiej w wyobraźni tamtejszego ludu ze wszystkich uroczystości, jakie się odbyły z powodu przyjazdu posłów zagranicznych w pierwszej połowie XVII wieku.

Nie tutaj miejsce rozwodzić się nad powodami, które skłoniły króla Władysława IV do wysłania Ossolińskiego do Rzymu, wyłuszczył je Ludwik Kubala w swem pięknem i gruntownem dziele o Jerzym Ossolińskim. Władysław IV był bezsprzecznie najpotężniejszym umysłem pomiędzy późniejszymi panującymi w Polsce. Plany jego były śmiałe, chciał stworzyć z Polski wielkie państwo, łącząc je z schyzmatycką Moskwą. Do osiągnięcia tego celu potrzebował pewnych ustępstw ze strony Rzymu, chciał, aby papież nie sprzeciwiał się jego ugodzie, zawartej z schyzmatykami, która na przyszłość miała mieć wielkie znaczenie. Rzym jednak nie zrozumiał śmiałych planów króla polskiego, a trzymając się zasady, że żadnych ustępstw schyzmatykom robić nie można, przyczynił się jeszcze do pogłębienia przepaści, jaka istniała pomiędzy ludami na Wschodzie. Król pisał do Rzymu, ufając, że Ojciec św. nie zechce ruiny Polski i katolicyzmu, lecz ani Urban VIII, ani kardynałowie nie usłuchali rad ludzi, którzy znali lepiej stosunki, aniżeli rzymscy purpuraci.

Ossolińskiego głównem zadaniem było przekonać papieża i kardynałów o konieczności ustępstw dysydentom i schyzmatykom w Polsce, a ponieważ wiedziano, że w Rzymie trzeba występować wspaniale, dać uczuć pewną potęgę, aby przeprowadzić swoje żądania, więc i król i Ossoliński postanowili, aby poselstwo olśniło Rzym i dało wyobrażenie o sile polskiego monarchy. Do najwspanialszych festynów należały wówczas w stolicy papieskiej wjazdy posłów francuskich; Ossoliński postanowił więc «iść ich wzorem, ale co Francuzi mieli ze srebra, on to chciał mieć ze złota, co oni ze złota, on z drogich kamieni, gdzie tamci mieli drogie kamienie, on chciał mieć djamenty» [1]). Ponieważ jednak Ossoliński nie był

[1]) Poseł francuski Fontenay-Mereuil jechał do Watykanu 131 powozami (z okazji przedstawienia się Urbanowi VIII); dziedziczny mar-

dość zamożnym człowiekiem na takie wystąpienie, więc przyszły mu na pomoc skarbiec królewski i mennica. Wiózł on także podarunek dla papieża, ów przywilej, którym Kontantyn Wielki miał darować Rzym i Kampanję na własność papieży. Dokument ten dostał się po zdobyciu Konstantynopola do skarbca carów, a gdy Żółkiewski zajął Moskwę, przywiózł go ze sobą do Polski. W Rzymie zapewne mniejszą do tego dokumentu przywiązywano wagę, aniżeli w Warszawie, pomimo bowiem, że Lorenzo Valla za czasów Eugenjusza IV w głośnem swem piśmie dowodził, że owa darowizna nigdy nie nastąpiła, nikt z chrześcijańskich panujących nie zaprzeczał papieżom posiadania Rzymu i nawet oryginalny dokument nie miałby już znaczenia za czasów Urbana VIII. Gdyby zaś Turcy byli Rzym najechali, toby nawet autentyczny dokument nie na wiele się przydał.

Ossoliński wybrał się w drogę z początkiem września r. 1633 i zabrał ze sobą 300 ludzi, 20 karoc, 30 koni wierzchowych i 10 wielbłądów na podziw Włochów. W półtrzecia miesiąca, dnia 20 listopada, stanął pod murami Rzymu, a zobaczywszy kopułę św. Piotra, «ukląkł na ziemi, prosząc Boga, ażeby wszechwładną swą ręką kierować raczył sprawami Kościoła i Rzeczypospolitej». U bramy «del Popolo» czekali na niego sekretarze poselstw zagranicznych z powitaniem w imieniu ambasadorów, a Ossoliński, odpowiadając na ich grzeczności po włosku, po hiszpańsku, po francusku i po niemiecku, powszechny wzbudził podziw. Protektor Polski, kardynał de Torres, tudzież mnóstwo prałatów i członków arystokracji rzymskiej, częścią z ciekawości, częścią dla uczczenia znakomitej osoby posła, wyjechało naprzeciw niego, tak, że z jakie sto sześćdziesiąt karet towarzyszyło Ossolińskiemu aż do pałacu Gabrielli na Trinitá de' Monti, przeznaczonego mu na mieszkanie. Zaledwie się poseł ogarnął z dalekiej podróży, pojechał natychmiast na Monte Cavallo dla ucałowania nóg chorego wówczas papieża, poczem poskładał wizyty ne-

szałek conclave, książę Savelli, używał 140 karet; poseł hiszpański wjeżdżał trzystoma powozami; wszystkie te pojazdy były po większej części wynajęte u magnatów rzymskich.

potom Barberinim, wiedząc, jak dalece papieżowi na tem zależało, aby całą jego rodzinę uważać niejako za rodzinę panującą. Grzeczność Ossolińskiego nadzwyczaj ujęła Urbana VIII, który przychylnie kazał mu kilka dni wypocząć po trudach i wjazd uroczysty naznaczył na dzień 27 listopada w niedzielę.

Orszak zbierał się przed bramą Flamınińską, ale Polacy ze smutkiem spoglądali, że niebo się chmurzyło i groził deszcz ulewny. Mnóstwo niepoliczone przepysznych karoc, zaprzężonych ozdobnie w konie, przystrojone pióropuszami, zjeżdżało się ze wszystkich dzielnic Rzymu, a pomiędzy niemi wspaniałością odznaczały się powozy poselstw francuskiego, hiszpańskiego, cesarskiego i wielkiego księcia toskańskiego.

Na szczęście niebo się wypogodziło, gwardja szwajcarska z muzyką ustawiła się na czele karoc i wjazd się rozpoczął przez bramę Flamınińską, wjazd barwny, powolny, pompatyczny, jak na barokowe czasy przystało. Przejechawszy bramę, zastał Ossoliński czekającego nań marszałka dworu papieskiego z licznym orszakiem prałatów i szlachty, który go powitał imieniem papieża i prowadził pochód jak najdalszą drogą, aby i lud mógł się nacieszyć niezwykłem widowiskiem.

Stefano della Bella, znakomity ówczesny artysta, przypatrywał się wjazdowi i na długim zwoju papieru oddał rylcem z wielkiem zacięciem ową uroczystość. Miedzioryt poświęcił artysta toskańskiemu księciu Wawrzyńcowi de' Medici, gdyż florentyńscy Medyceusze szczególnie się wtedy zajmowali wszystkiem, co było i piękne i wspaniałe.

Dwaj kurjerzy, ubrani po polsku w atłasy i aksamity, otwierali pochód; za nimi szło dwadzieścia dwa jucznych mułów, przybranych w różnobarwne rzędy, a następnie jechał oddział konnej gwardji papieskiej. Tłocząca się po oknach i ulicach ludność wybuchła jednak okrzykami podziwu, gdy za gwardją ukazało się dziesięć olbrzymich wielbłądów, grających srebrnymi dzwonkami, przepysznie przystrojonych w pióropusze, złote tkaniny i siatki, z długiemi, powiewającemi frendzlami. Wielbłądy niosły drogie sprzęty, okojowe i całą szatnię posła.

Podziw Rzymian się wzmagał, gdy ujrzano czterech trę-



Do str. 140

Czoło orszaku Ossolińskiego
Według ryciny Stefana della Belli

baczy na koniach, dziwacznie ubranych na sposób wschodni w opończe z zielonego aksamitu, dmących jakieś obce dla włoskiego ucha, ale piękne arje. Za trębaczami postępowała kozacka gwardja polskiego posła. Trzydziestu czterech jeźdźców, których konie o długich grzywach i ogonach, o zapuszczonych pęcinach zdawały się swobodnie pląsać według tonów trębaczy. Te postacie kozackie, marsowe, dzikie, od stóp do głów uzbrojone, lśniły się w promieniach słonecznych swemi «barwami» z różowej, złotem litej, jedwabnej materji i długiemi strusiemi piórami na kołpakach. Każdy z nich trzymał łuk w ręku, którym jakby z uciechy rozmaite wyprawiał ruchy.

Grupę kozacką zamykała dziwna postać, giermek Ossolińskiego, starzec z długą, białą brodą, cały uskrzydlony, upierzony, jakby ze swym ciężkim koniem miał w powietrze się unieść. Ubrany był w kaftan, zrobiony na sposób perski ze złocistego brokatu, u łęku wisiała tarcza, w ręku trzymał dzidę, ozdobioną wąską chorągiewką i jedwabnym kutasem, na hełmie zaś i na plecach miał skrzydła z piór żórawich. Nogi nawet wschodniego rumaka były ozdobione skrzydełkami, przywiązanemi powyżej pęcin.

Za giermkiem, w swobodnej grupie jechało trzydziestu paziów Ossolińskiego, wyrostki dzielne, w jasnej barwie z niebieskawo-zielonego aksamitu (acqua marina), z sahajdakami i łukami lśniącemi srebrną oprawą. Konie mieli wszyscy jednej maści, kasztanowate, przykryte czerwonemi czaprakami i ozdobione pióropuszami ze strusich piór.

Za paziami po dwóch masztelarzy prowadziło sześć tak pysznych tureckich rumaków, jakich podobno w Rzymie nie widziano. Każdy z nich potrząsał czubem z czaplich piór i miał na sobie szczerozłoty rząd i strzemiona. Czapraki haftowane djamentami, rubinami i szmaragdami, lśniły się w promieniach słońca, ale najbardziej zwracały uwagę klejnoty na czołach, z których każdy wart był dziesięć tysięcy dukatów. Owe to dzianety miały złote podkowy, których tradycja przetrwała wieki. Zapomniano, w jakich sprawach Ossoliński jeździł do Rzymu, ale o złotych podkowach naszego posła wie każdy żak szkolny. Ossoliński był oszczęd-

niejszy, aniżeliby się zdawało; chcąc olśnić tłum rzymski, kazał słabo przytwierdzić złote podkowy, aby po drodze odpadły, ale tylko dwie, inne mocno były przybite i w Krakowie wróciły znowu do mennicy. Cel był wszakże osiągnięty, w całych Włoszech i w całej niemal Europie mówiono o złotych podkowach polskiego posła.

Znowu inna grupa. Na jej czele koniuszy Ossolińskiego, ze srebrną buławą w ręku, na rosłym koniu o czubie z piór czaplich, a za nim dwudziestu młodych dworzan, dzielnych i pięknych junaków, jednakowo ubranych, w adamaszkach niebieskiego koloru; siodła, szable i handżary lśniły od złota.

Po polskiej młodzieży zupełnie inna, różnobarwna kawalkata: kilkudziesięciu panów rzymskich i hiszpańskich, tudzież szlachta, którą kardynałowie wysłali, aby wjazd posła uświetnić. Stroje tych panów odbijają od polskich ubiorów, płaszcze innego kroju, duże kapelusze albo berety z piórami. Nawet konie szły inaczej, więcej pompatycznie, uczenie, ale z mniejszym ogniem.

Po cudzoziemcach znowu Polacy. Na czele marszałek dworu Ossolińskiego z buławą w ręku, za nim dwudziestu dworzan, przepysznie ustrojonych. Zadziwiali pięknością futer; same sobole i rysie.

Ludzie XVII wieku umieli urządzać kawalkaty, chodziło im nietylko o wspaniałość, ale i o rozmaitość, któraby oko bawiła. Więc gdy przyjechali Polacy, ukazali się dworzanie papiescy po większej części w hiszpańskich strojach, a wyróżniał się bogactwem szat książę de Richmond, krewny posła francuskiego.

To, co nastąpiło po cudzoziemskiej kawalkacie, przechodziło nawet wschodnią wyobraźnię. Jechali na tureckich koniach przyjaciele Ossolińskiego i urzędnicy poselstwa. Postępowali jeden za drugim w pewnej odległości, a każdego konia prowadziło dwóch kawalerów rzymskich. «Jechał nasamprzód, powiada Kubala, Komorowski, kanonik krakowski, trzech Naruszewiczów, synów podskarbiego Wielkiego księstwa Litewskiego, Wężyk, synowiec prymasa, Krzysztof Lanckoroński i Stanisław Miński, dworzanie królewscy; dalej Lipski, kanonik płocki, Ronkali, sekretarz królewski i Korniakt,



Typ jeźdźca z orszaku Ossolińskiego
Według ryciny Stefana della Belli

Do str. 142



siostrzeniec posła. Najbardziej się podobał młody Ciekliński, sekretarz królewski. W długiej szacie, lśniący od złota i szkarłatu, kamieniami drogiemi oświecony, siedział na ślicznym anatolskim rumaku, który, nie przerywając poważnego pochodu, z przedziwną gracją igrał ze swoim jeźdźcem i z zadziwiającą szybkością najrozmaitsze skoki wykonywał. Patrzano nań z ciekawością, a kiedy złoty młodzieniec, ujrzawszy większy tłum, poskoczył naprzód i rzucając się wbok, jednym zgrabnym ruchem zerwał łańcuch od munsztuku i złote ogniwa pomiędzy ludzi rozrzucał, kawalerowie rzymscy przyjęli ten żart oklaskiem, w który cały tłum zawtórował».

Dalszym ciągiem tego pochodu był orszak polskiej młodzieży, która umyślnie przybyła do Rzymu, aby wziąć udział w tej narodowej uroczystości. Nie ustępowała ona w niczem przepychowi innych grup, a dość powiedzieć, że pomiędzy jeźdźcami znajdowali się członkowie najpierwszych domów, jak Zebrzydowski, Tarnowski, dwaj Firlejowie, Lubomirski i synowiec posła, Mikołaj Ossoliński, na karym, dzielnym koniu, ustrojonym kitą czarnych, strusich piór.

Wreszcie ostatni orszak: L'Eccellentissimo Ambasciatore, w otoczeniu sekretarza poselstwa, Gembickiego, i marszałka dworu papieskiego, Kajetaniego. Drogę ambasadorowi torowali papiescy Szwajcarzy i kompanja piechoty polskiej w niebieskich mundurach, ze srebrnemi guzami.

«Ubiór Ossolińskiego, powiada Kubala, w odległości szary, za zbliżeniem rozrzucał iskry djamentów. Wyglądał jak szary zmierzch». Poseł miał na sobie żupan czarny, złotem haftowany, spięty dwudziestoma szerokiemi pętlicami i guzami z dużych djamentów. Peleryna z soboli okrywała ramiona, a beret na głowie z kitą czaplich piór świecił zdala kosztowną agrafą. U boku miał Ossoliński przypasaną karabelę, obsypaną drogiemi kamieniami, którą szacowano na dwadzieścia tysięcy skudów. Siwy koń strojny był w chryzolity i czarne pióra w djamentowej osadzie, a szedł poważnie, wiedział, kogo niesie.

Za posłem jechała jego karoca, wybita zielonym aksami-

tem, ciągniona sześcioma perskiemi końmi, a dalej cały szereg powozów.

Gdy Ossoliński zbliżał się do Watykanu, grzmiały działa z zamku św. Anioła, dopóki poseł nie stanął w papieskim pałacu. Na tem się zakończył ów głośny w dziejach uroczystości XVII wieku wjazd polskiego posła.

Szóstego grudnia Ossoliński miał publiczną audjencję u papieża i przy tej sposobności znowu z całym orszakiem, z tą samą pompą, co po raz pierwszy, jechał do Watykanu. Papież, chociaż chory, przyjął go w sali królów, a poseł wypowiedział wówczas sławną mowę po łacinie, o której Urban VIII się wyraził, że i Cycero lepiejby nie mówił.

Po audjencji obiad na cześć posła według zwykłego ceremonjału, przy którym Ossoliński zwracał swą roztropnością i ujmującem zachowaniem się wszystkich uwagę. Papież rozmawiał z nim po obiedzie, podziwiał jego piękny ubiór, a ująwszy rąbek szaty, rzekł do obecnych: «Takim kształtem nosili się niegdyś poważni Rzymianie». Widocznie Urban VIII niezbyt był obeznany z ubiorami Rzymian, skoro strój polski mógł porównywać do starożytnej togi.

Ossoliński wyjechał z Rzymu dwunastego grudnia, «żegnany przez tłumy ludu wołaniem i wielkim płaczem», jak się współczesny autor wyraził, i na Florencję, Wenecję i Wiedeń wracał do Warszawy.

V

Olbrzymie dochody Barberinich pozwoliły im roztaczać około siebie prawdziwie monarszą świetność, a że tak papieżowi, jak i nepotom, nie można było zaprzeczyć lotnej wyobraźni i szerokich poglądów, więc cały ten zbytek, skierowany w artystyczne łożyska, stał się niepospolitą podnietą dla kultury XVII wieku. O stosunku Barberinich do rzeźbiarzy i o ich architektonicznych pomysłach na innem miejscu mówić będziemy; tutaj zajmie nas teatr i muzyka, około której ta słynna rodzina ma niepospolite zasługi.

Do rozwoju melodramatu, z którego powstała opera, nie

mało się przyczynili Barberini, a trzeba było dużo śmiałości i lekceważenia ascetyczno-mniszych poglądów, aby w tej mierze iść po obranej drodze. Zaraz w początkach kościelnej reakcji powstała zacięta walka przeciw wesołym obyczajom Odrodzenia, a przedewszystkiem uważali asceci przedstawienia teatralne za szkodliwe zgorszenie. Wielkim ich nieprzyjacielem był Filippo Neri, ów kapłan wyjątkowej cnoty i pobożności, którego ideałem było zamienić Rzym w pewien rodzaj olbrzymiego klasztoru. Filippo nie liczył się z namiętnościami człowieka, z wymaganiami rozwijającego się społeczeństwa i chciał teatr ograniczyć do swej kongregacji, «dell' Oratorio nella Chiesa Nuova», gdzie młodzieńcy, należący do tego pobożnego stowarzyszenia, grali w ostatni wtorek karnawału jakąś sztukę niepodejrzanej moralności, albo śpiewali utwory muzyczne poważnej, religijnej treści, z których się rozwinęły owe «oratorja», będące do dziś dnia ważnym działem wyższej muzyki.

Sykstus V także wszelkiemi sposobami przeszkadzał rozwojowi teatru i świeckiej muzyki, tak, że początków melodramatu trzeba szukać poza Rzymem. Florencja, Ferrara i Mantua, dwory Medicich, Estów i Gonzagów wyprzedziły papieską stolicę. Melodramat zrodził się właściwie z sielanek. Już w połowie XVI wieku zaczęto przedstawiać w Ferrarze sielanki, jak «Sacrificio» Agostina Beccari, jak «Amintę» Tassa i «Pastora Fido» Guariniego z muzyką; później, w ostatnich dwóch dziesiątkach lat XVI wieku, działało we Florencji towarzystwo kilkunastu poetów, muzyków i uczonych, którzy obrali sobie za zadanie dociec, w jaki sposób starożytni muzycy osiągali te nadzwyczajne wrażenia na słuchaczy, o jakich opowiadają greccy i rzymscy autorzy. Do tego klubu należeli Girolamo Mei, który studjował w tym kierunku osobliwie grecką literaturę, Vincenzo Galilei, ojciec słynnego uczonego, autor dzieła o muzyce «Dialogo della musica antica e moderna» (1581) i hr. Giovanni Bardi, u którego owi akademicy się zbierali. Towarzystwo to nie potrafiło wprawdzie odkryć tajników greckiej muzyki, lecz zrobiło wielki krok naprzód w rozwoju włoskiego śpiewu, a głównie przyczynił się do tego muzyk i śpiewak Caccini, który potem w r. 1601 wydał

książkę «Nuove Musiche», będącą właściwie początkiem nowego stylu. Przed Caccinim i jego towarzyszami śpiew nie stosował się do treści słów, sylaby rozszerzano lub skracano dowolnie, aby tylko odpowiedzieć wymaganiom kontrapunktu. Dopiero studja greckich pisarzy doprowadziły tych florenckich uczonych do ustalenia zasady, że śpiew przedewszystkiem jest rytmiczną mową, ton zaś drugie dopiero zajmuje miejsce. Muzyka XVI wieku stała się przez nadużycie kontrapunktu niezdolną do wyrażenia uczucia, zawartego w poezji. Caccini starał się powrócić do greckiej tradycji i muzykalnie mówić «in armonia favellare», jak się wyrażał. Ponieważ zaś dotąd śpiew włoski głównie polegał na kilku głosach, przeto Caccini rozwinął śpiew solowy, aby w ten sposób móc w pieśń wlać więcej uczucia. Stosownie do tych zasad ułożył muzykę do śpiewu pasterzy Sanazzara «Itene all'ombra degli ameni faggi» i do innych jeszcze poezyj, a ta «nowa muzyka» tak się nietylko we Florencji, ale i w Rzymie podobała, że stała się niemal punktem wyjścia dla autorów i kompozytorów melodramatu w XVII wieku.

Pod wpływem nowych kierunków ukazały się: sielanka Percivalliego «Orsilva», grana we Florencji w r. 1589, i komedja w stylu klasycznym, także z muzyką, «La Pellegrina» Bargagliego. W kilka lat później poeta Ottavio Rinuccini i muzyk Jacopo Peri stworzyli melodramat «Dafne», który po raz pierwszy był przedstawiony w r. 1594 w pałacu Corsinich, w kole samych znakomitych słuchaczy, a powtórzony w karnawale r. 1597 wobec dworu Medyceuszów. Ów muzykalny dramat nadzwyczaj się podobał; więc Rinuccini z Perim napisali wkrótce drugi pod tytułem «Euridice», a po tym początku melodramat szybko się już rozwijał. Triumf melodramatu zapewniły dwie wielkie artystki, a zarazem śpiewaczki, Vittoria Piissimi i Izabella Andreini, o których jeszcze mówić będziemy.

Po roku 1608 całe Włochy cieszą się dramatami i komedjami z muzyką i śpiewem. W Rzymie tworzą się słynne szkoły śpiewu i odtąd ze stolicy papieskiej wychodzą prawie na cały świat artystki, zwane «Le Romanine». Romaniny utrzymują przez dwa wieki sławę włoskiego śpiewu, począwszy od słynnej Vittorji, a skończywszy na Marjannie Bulgarini, która była, rzec można, muzą poety Piotra Metastazja.

Z początkiem też XVII wieku kardynałowie zaczęli w Rzymie wspierać muzykę dramatyczną, a kardynał Montalto utrzymywał nawet własne towarzystwo teatralne, do którego należała słynna śpiewaczka Ippolita. Za Borghesów także melodramat wchodził do kardynalskich pałaców, ale dopiero ród Barberinich, chcąc dodać blasku panowaniu Urbana VIII, stanął na czele ruchu muzycznego w Rzymie. Papież kazał w początkach swego panowania wybudować dla swej rodziny nietylko wspaniały pałac, lecz także i duży teatr, mogący pomieścić trzy tysiące widzów. Pałac został ukończony w r. 1633, a Don Taddeo z małżonką zamieszkali tam w rok później. Musieli się jednak na jakiś czas wyprowadzić z nowego gmachu, gdyż mury były jeszcze wilgotne; lecz w r. 1634 mogli już dawać przyjęcia w swych gościnnych salonach. Teatr otwarto w karnawale ósmego lutego r. 1634, a pierwsze przedstawienie na tej nowej scenie stało się epoką w dziejach opery. Główną zasługę w tej mierze położył kardynał Giulio Rospigliosi.

Giulio Rospigliosi, późniejszy papież Klemens IX, był najsympatyczniejszą postacią w otoczeniu Urbana VIII. Antonio Grimani, ambasador Rzeczypospolitej weneckiej, unosił się później nad jego charakterem, chwalił jego ludzkość, skromność, uprzejmość, umiarkowanie, łagodność, czystość umysłu i sumienia i utrzymywał, że lepszego człowieka w życiu swem nie spotkał.

Giulio pochodził z zamożnej rodziny, osiadłej w Pistoi, a więc znowu był Toskańczykiem. Urodził się w Pistoi w styczniu r. 1600, a więc na samym początku nowego wieku, wykształcił się na uniwersytecie w Pizie, a zaprzyjaźniwszy się z Barberinimi, przyszedł do Rzymu zaraz po wyborze Urbana VIII. Napisał nawet «Un discorso» nad poematem Braccioliniego «L'elezione di Urbano VIII», ale ta rozprawa niewiele ma wartości i chyba obchodzić nas może z powodu górnych wyobrażeń, jakie Giulio miał o poetach. Uważa on poetów, jeżeli rzeczywiście ogień płonie w ich sercach, za boską drużynę i z dumą mówi: «Est Deus in nobis», «Bóg

mieszka w nas». Giulio mówił «in nobis», gdyż i on był poetą i rozpoczął, jak każdy, od lirycznych uniesień. Owa rozprawa o poemacie Braccioliniego otworzyła mu wszakże szerokie wrota kościelnej hierarchji. Pojechał z Franceskiem Barberinim w poselstwie do Hiszpanji, został później sekretarzem dwóch kongregacyj, a nadto i inne rozmaite spłynęły na niego zaszczyty. Ale przedewszystkiem był ulubionym poetą Barberinich. Odnalazł on swój talent w utworach dramatycznych i właśnie na otwarcie teatru Barberinich napisał wspaniały melodramat «dramma musicale» pod tytułem «Sant' Alessio», do którego muzykę ułożył Stefano Landi, kompozytor rzymski, kontralt orkiestry papieskiej.

Przedstawienie tego melodramatu stało się w Rzymie wielkiem zdarzeniem tak z powodu otwarcia nowej sceny, jak i ze względu na autora sztuki. Blasku przedstawieniu dodawała jeszcze obecność księcia Aleksandra Karola, brata króla polskiego, który wtedy bawił w Rzymie, a sam kardynał Francesco pokazywał mu ciekawości wiecznego miasta.

Gdy odsunięto zasłonę, ukazał się w głębi obraz Rzymu, a po bokach kulisy, przedstawiające grupy rozmaitych domów. Na scenę weszła postać kobieca «Roma», otoczona ośmioma niewolnikami, skutymi w łańcuchy, niosącymi rozmaite łupy. Owa zwycięska Roma mówiła prolog, zaczynający się od pochwał dla najdostojniejszego gościa, księcia polskiego Aleksandra Karola, i od wyrażenia powszechnej radości z powodu jego przybycia. «Aby uczcić Jego Wysokość, dodała Roma, będą przedstawione losy świętego Aleksego, który się niegdyś odznaczył nietylko nieporównaną cnotą, lecz i głośnemi, wojennemi czynami». Poczem wspaniała postać patetycznym ruchem rozkazała, aby z niewolników zdjęto łańcuchy, «gdyż Rzym, pomimo że panuje nad światem, jest przedewszystkiem królem serc i uczuć ludzkich».

Po tym wstępie wyszedł na scenę Eufemian, senator rzymski i ojciec świętego Aleksego, w towarzystwie rycerza Adrasta, który właśnie co powróciwszy z wojny, wyraża swą radość, że go znowu może powitać w ojczystem mieście. Rozpoczyna się dłuższa rozmowa, w której Eufemian skarży się, że syn jego przed laty opuścił Rzym, poszedł w dalekie

kraje i słuch o nim zaginął. Adrasto go pociesza i przyjaciele odchodzą.

W drugiej scenie ukazuje się ów syn Eufemiana, św. Aleksy, zamyślony, poważny, w zaniedbanem odzieniu, i w dłuższym monologu zastanawia się nad próżnością wszystkiego, co ludzkie i nad znikomością świata. Narzeka na męczarnie doczesnego życia, mówi, że ziemia jest dla niego więzieniem, i w tej boleści prosi Boga, aby go uwolnił od tej doczesnej wędrówki.

Gdy Aleksy tak rozmyśla, nadchodzi dwóch paziów Eufemiana, Martio i Curtio, a sądząc, że to jakiś obcy żebrak, włóczęga, zaczynają się z niego wyśmiewać. Aleksy przyjmuje te urągania z pokorą i odchodzi.

Po tej wstępnej akcji zmienia się scena, otwiera się wielka otchłań w piekle, czerwone blaski oświecają teatr, a wśród skał piekielnych czeluści zaczyna się taniec czartowski. Ośmiu starych demonów i czterech małych tańczy około swego mistrza, śpiewając i prosząc go, aby urządził wyprawę na ziemię celem uwiedzenia świętego Aleksego.

Znowu dekoracje się zmieniają; scena przedstawia domy, jak w pierwszej odsłonie, tylko w głębi widać łuk, otwierający widok na długą ulicę. Trzy kobiety się spotkały: matka, żona i stara piastunka Aleksego i wszystkie narzekają, że ich ulubieniec nie wraca, pełne trwogi, czy jeszcze żyje. Wreszcie modlą się, aby go Bóg strzegł od złego, gdziekolwiek się znajduje.

Następuje balet, charakterystyczny na owe czasy, bo zgodnie łączy ze sobą starożytną mitologję z chrześcijańskiemi postaciami. Na tle leśnego pejzażu gra Apollo na lutni, a wokoło niego tańczy czterech Faunów. Wkrótce wychodzi z poza drzew Aleksy w towarzystwie starego pustelnika. Tym pustelnikiem to demon, mieszkaniec piekieł, który wyraża swój żal, że Aleksy w tak młodych latach porzucił świat i jego przyjemności, i zręcznie namawia go, aby wrócił do zwykłego życia. W tej chwili jednak anioł zlatuje z obłoków, staje obok Aleksego, przepowiada mu śmierć, która otworzy wrota do lepszego życia, i doradza, aby nie słuchał złych podszeptów, lecz wytrwał w swym zamiarze poświęce-

nia się tylko Bogu. Również i Religja zjawia się na wozie, otoczonym obłokami, i nakłania chwiejnego jeszcze w duchu rycerza, aby nie schodził z raz obranej drogi. Co widząc szatan-pustelnik, traci nadzieję, aby pozyskał Aleksego dla siebie, ucieka, skacząc w przepaść, z której buchają piekielne płomienie.

Aleksy umiera; rodzina opłakuje stratę, lecz chóry aniołów i ludzi cnotliwych cieszą się, że dusza rycerza została z radością przyjęta w niebiosach. «Religja» poświęca zmarłemu w Rzymie świątynię, która za czasów pogańskich istniała pod nazwą Herkulesa, a zapewne ze względu na obecność polskiego gościa dodaje, że w klasztorze, sąsiadującym z tym kościołem, mieszkał ongi św. Wojciech męczennik, który nawrócił naród polski na prawdziwą wiarę.

Wspaniała scena, przedstawiająca św. Aleksego w raju, otoczonego śpiewającymi i grającymi na różnych instrumentach aniołami, zakończyła słynny melodramat.

Zachowało się kilka sprawozdań naocznych świadków o tem przedstawieniu, a każdy z widzów unosi się nad przepysznemi urządzeniami scenicznemi i piękną muzyką. Obraz nowożytnego Rzymu, lot aniołów w powietrzu, wjazd «Religji» na obłoku, wszystko to zdawało się nie być sztuką, ale rzeczywistością. Również widoki nieba i piekła, ogrodów i perspektywa, otwierająca się w dal przez otwór łuku, były niezrównane. A cóż dopiero mówić o ubiorach aktorów, o tańcach i muzyce, która zachwycała słuchaczy nowością motywów! Nawet Francuz Fétis, który bawił wówczas w Rzymie, zapewnia, że część muzykalna melodramatu zawierała «une multitude de choses neuves et de bon gout».

Na pierwszem przedstawieniu «S. Alessia» znajdowali się tylko sami mężczyźni; mnóstwo kardynałów, prałatów, panów, należących do dworu papieskiego, i dopiero w kilka dni później powtórzono melodramat dla pań wielkiego świata, które mogły przyjść z mężami do teatru.

Kobiece role grali aktorzy śpiewacy. Od czasów Sykstusa V nie wolno było kobietom w Rzymie występować na scenie. W prywatnych teatrach niezbyt ściśle przestrzegano

tego zakazu, ale na scenach publicznych i na wielkich przedstawieniach, jak u Barberinich, nie można było powierzać głównych ról kobietom. Sopranami bywali więc kastraci, a inne głosy kobiece rozdzielano pomiędzy śpiewaków według możności. Zakaz Sykstusa był wszakże bardzo szkodliwy dla rozwoju sceny, więc często używano kobiet, przebranych za mężczyzn do wysokich głosów, osobliwie w chórach. I tak na małej scenie, którą za Pawła V urządzili Borghese, często występowały śpiewaczki w męskich strojach, ba, nawet główny reżyser teatru, kardynał Orazio Lancellotti, własnoręcznie je ubierał, aby wyglądały zupełnie po męsku. Teodor Amayden, który pisał żywot tego kardynała, bardzo nawet złośliwą zamieszcza uwagę jednej z przebieranych w ten sposób artystek.

Zwyczaj zastępowania ról kobiecych w operach mężczyznami istniał nawet później w Rzymie, aż po koniec XVIII wieku i pierwsza dopiero Angelica Catalani przełamała tę nierozsądną tradycję i bardzo jeszcze wówczas młoda wystąpiła w karnawale roku 1799 jako «Ifigenia w Aulis» Józefa Moski, w teatrze, zwanym Argentina.

Rzecz szczególna, że kilku znakomitych ludzi Północy, jak Archenholtz, jak Volkmann, a przed innymi Göthe, nie widzieli nic rażącego w zastępowaniu kobiet mężczyznami na scenie. Ostatni unosił się w Rzymie (1787) nad złudzeniem, jakie się ma na tego rodzaju przedstawieniach. Sądził nawet, że artystyczna przyjemność jest w tych razach większą, aniżeli gdy kobiety występują na scenie, gdyż, po pierwsze, podziwia się doskonałą grę aktora czy śpiewaczki, a powtóre, radość nam sprawia aktor, który przezwycięża wybornie trudność naśladowania kobiety. Te pochwały dziwić nas nie mogą, bo w Göthem wszystko wzbudzało zachwyt, cokolwiek mu przypominało starożytną kulturę. Wszak wielki poeta, będąc w Asyżu, nie zważał na potężne gotyckie budowle franciszkańskiego kościoła, a unosił się nad resztkami mało znaczącej rzymskiej świątyni.

Nadzwyczajne powodzenie melodramatu «Sant'Alessio» zachęciło Barberinich do przedstawienia w następnym karnawale r. 1635 nowej opery «Vita di Santa Teodora», do

której libretto ułożył także monsignor Rospigliosi. Urządzenia sceniczne może jeszcze były świetniejsze, aniżeli w «Sant'Alessio», a muzyka się tak podobała, że aż trzy razy powtórzono nową operę. Rzecz ciekawa, że towarzystwo rzymskie tak wyraźnie dzieliło się wówczas na trzy odłamy, iż donna Anna Barberini zaprosiła na pierwsze przedstawienie samych Francuzów i Rzymian, skłaniających się ku Francji, na drugie samą rzymską arystokrację, a na trzecie Hiszpanów. Każde stronnictwo miało zresztą przedstawiciela w samej rodzinie Barberinich, aby można politykować ze wszystkimi. Protektorem Francuzów był kardynał Antonio, Rzymianinem par excellence don Taddeo, a z Hiszpanami w przyjaźni żył kardynał Francesco.

Teatr Barberinich szybko jednak uwolnił się od melodramatów treści religijnej, zwłaszcza że tego rodzaju przedstawienia straciły urok nowości, gdyż je zaczęto dawać po klasztorach. Już w r. 1637 wystawili Barberini na swojej scenie świecki melodramat, «Favola in musica», pod tytułem «Falcone», a we dwa lata później Rospigliosego komedję «Chi soffre, speri». Na tem przedstawieniu był także angielski poeta Milton i unosił się nad niem w liście do Łukasza Holstenjusza; pisał, że komedja wypadła z prawdziwie rzymską wspaniałością, «magnificentia vere romana». Montecuccolemu z Modeny podobało się osobliwie urządzenie jarmarku na scenie, wóz zaprzężony wołami, lektyka, którą niosły dwa żywe muły, jeździec na koniu, a następnie chmury, zaciemniające całe widowisko, piorun, jakby prawdziwy, grad i deszcz rzęsisty. «Avvisi di Roma» także były zachwycone przedstawieniem, pomimo że trwało aż pięć godzin. Urządzenie jarmarku także im się podobało; rozmaici kupcy zachwalali swój towar, śpiewając, karozze przejeżdżały przez scenę, nawet widać było wyścigi i ogród pałacu Barberinich, jakby prawdziwy.

Przed odsłonięciem kurtyny krzątał się kardynał Antonio Barberini, aby znakomitszym osobistościom dobre miejsca przeznaczyć, a zobaczywszy jednego z gości, dwudziestopięcioletniego młodzieńca, że chce zająć krzesło, zaczął go laską okładać, uderzył z pięć czy sześć razy i wypędził za drzwi. Milton musiał się zapewne dziwić energji rzymskiego kardynała, zwłaszcza że należał do skrajnych, nieprzejednanych protestantów i w Rzymie nawet nie wstrzymywał się, aby ostro nie krytykować katolickich obrzędów. Ale Urban VIII i Francesco Barberini mieli wówczas jeszcze nadzieję, że potrafią nawrócić Anglję do katolicyzmu; przykład jednak najmłodszego kardynała z rodu Barberinich nie musiał zbudować tego przedstawiciela Reformy.

W ostatnich latach panowania Urbana VIII teatr Barberinich był zamknięty, nastąpiły bowiem groźne polityczne zawikłania, wojna o Castro, o której niebawem mówić będziemy, tak, że do r. 1653 głucho było na świetnej niedawno scenie.

VI

Polskiemu gościowi, księciu Aleksandrowi Karolowi, chciano pokazać nietylko teatr, lecz także jaką rycerską zabawę, a kardynał Antonio Barberini, przedstawiciel rodu, gdy chodziło o uroczystości i festyny, zastanawiał się zaraz, jakby uczcić znakomitego cudzoziemca. Na szczęście bawił właśnie w Rzymie markiz Korneli Bentivoglio, mistrz w urządzaniu karuzelów i rycerskich zabaw, więc kardynał po naradzie z nim postanowił przedstawić «bieg do Saracena», «Corsa del Saracino».

Saracino był to duży manekin bez nóg, trzymający w prawej ręce miecz i tak zrobiony, że jeżeli rycerz w biegu nie ugodził go w głowę, lub w piersi, lecz w inne miejsce, to Saracen spuszczał swą broń i mógł się stać dla nacierającego rycerza bardzo niebezpiecznym. Manekina stawiano na dość wysokiej podstawie, tak, aby rycerz na koniu miał przed sobą owego wypchanego nieprzyjaciela.

Kardynał zamianował zaraz Bentivoglia «mantenitorem», niejako reżyserem festynu, a markiz Malatesta został «maestrem di campo». Trzech miało nadto być sędziów: konnetabl Colonna, książę di Carbognano i markiz Giustiniani. Na wyścigi przeznaczono plac Navona, gdzie zwykle odbywały się rozmaite uroczystości i gdzie jeszcze nie było monumentalnych fontan Berniniego.

Gdy już wszystko było postanowione, oznajmił polski książę, że nie będzie mógł być świadkiem wspaniałej uroczystości i że musi się udać do Florencji. Nie wiemy właściwego powodu tego nagłego wyjazdu Aleksandra Karola, domyślamy się tylko, że trudności «pierwszeństwa» skłoniły go do opuszczenia Rzymu. Zapewne nie chciano mu dać odpowiedniego miejsca przed kardynałami i jako książę krwi królewskiej nie mógł się na to zgodzić, aby kardynałowie mieli przed nim pierwszeństwo. W przekonaniu tem utwierdza nas opis tej uroczystości Witalego Mascardi, poświęcony kardynałowi Antoniemu Barberiniemu, w którym autor powody wyjazdu przemilcza i fakt ten zbywa tylko kilkoma słowami. Widocznie rzecz była nieprzyjemna dla Barberinich, więc ją Mascardi pominął.

Przygotowania jednak do festynu były już zrobione, więc kardynał postanowił, pomimo wyjazdu polskiego księcia, urządzić turniej dnia 25 lutego 1631. Rzecz się udała, a bieg «do Saracena» należał do najwspanialszych i najbardziej charakterystycznych tego rodzaju uroczystości w XVII wieku. Obok tego rycerskiego festynu głośny był jeszcze przepyszny karuzel, który się odbył w Medjolanie w r. 1669 pod tytułem «Amore e Gloria», tudzież festyn z baletem na koniach, którym przyjmowano w Wiedniu w r. 1667 Małgorzatę Teresę, infantkę hiszpańską. Wyszła ona w Madrycie zamąż, za księcia di Medina des Torres, a cesarz Leopold I życzył sobie, aby jak najmilsze w Wiedniu odniosła wrażenie.

Ale wróćmy do Rzymu. Większą część placu Navona okolono na dzień 25 lutego dwoma rzędami wznoszących się nad sobą lóż, a wejścia na arenę były dwa, jedno od strony pałacu Giovan Antonia Orsiniego, dzisiejszego ministerstwa spraw wewnętrznych, a drugie na przeciwległej stronie. Po bokach areny znajdowały się namioty dla konnetabla Colonny i dla sędziów, a wśród lóż wyróżniała się przepysznie ubrana loża dla księżny Anny Colonny i Constanzy Barberini, gospodyń festynu.

Przed rozpoczęciem biegów zapełniły się nietylko okna i loggie otaczających plac domów, ale nawet dachy obsadzone były widzami. Na dany znak przez maestra di campo wjechała «Fama» na dwukolistym wozie, ciągnionym przez wielkiego orła. Famę przedstawiał Marcantonio Pasquilini, słynny śpiewak kardynała Antonia, przebrany za skrzydlatą kobietę, odzianą w fałdzistą suknię, na której było wyhaftowanych mnóstwo ust, oczu i uszu, znamion rozgłosu i sławy. «Fama» trzymała długą złotą trąbę w prawej ręce, objeżdżała arenę, a zatrzymując się tu i ówdzie, śpiewała dość długi wiersz, w którym wyliczała swoje symbole i znamiona.

Quella son'io, che le grand'alme, e l'opre
Ignote al cieco mondo
Fo note, e col mio volo
E termine al lor grido il mare, e'l Polo.
Quella ancora son'io
Che l'opre, e i nomi oscuri
Condanno al cieco oblio.

Fama nazwała się w tym wierszu «Relatrice volante», jakby już przeczuwała dzisiejszych reporterów, łowiących wiadomości na morzu i lądzie, w skwarnej Afryce i na lodach Północy.

Gdy śpiew Famy ustał, ukazał się młody Herold na pięknym rumaku, ze znakiem swego pana na lewem ramieniu i zwiniętym karteluszem w prawej ręce. Zaczął czytać wyzwanie Mantenitora, rycerza Tiama z Memfis, wyzwanie dziwaczne, niezwykłe. Egipcjanin utrzymywał, że tajemnica w miłości jest dawnym niegodnym zabononem, gdyż dowodzi braku zasługi u kobiety, albo ubóstwa ducha u mężczyzny. «Płomień zamknięty nie jest płomieniem, ale tylko dymem, który wszelki ogień tłumi». Zdania swego gotów bronić ów Arab, uderzając po trzy razy lancą w «Saracena».

Śmiały rycerz ukazał się też niebawem otoczony swoją drużyną, aby lancą poprzeć wyzwanie. Tworzył on pierwszą tak zwaną «squadriglię». Czterech konnych trębaczy otwierało pochód, za nimi masztalerze prowadzili sześć pysznych rumaków w dwóch rzędach, następnie szło dwudziestu ośmiu służby, tak zwanych staffierów, i czterech konnych paziów z koszykami, zawierającemi kartelusze i sonety, drukowane na białym atłasie, do rozdawania pomiędzy panie. Konny

«staffiere» niósł lancę, a pochód zamykał sam «mantenitore», ubrany niesłychanie bogato, niby to po egipsku, w zielonym, haftowanym kaftanie i płaszczu, wyszytym złotemi ozdobami. Na piersiach miał duży klejnot ze złota i pereł, na głowie turban, nad którym się wznosił powiewny, ogromny pióropusz w kształcie wachlarza, a raczej liścia palmowego, ozdobionego robionemi kwiatami i rubinami. Pióra wachlarza były białe i zielone, a z nich sterczały jeszcze kiście białych piór pawich. Środek tej iście barokowej maszyny zawierał znowu rodzaj klejnotu z imprezą mantenitora, promieniejącem słońcem i napisem:

«Non latet, quod lucet».
«Nie ukrywa się, co świeci».

Dziwaczny ten rycerz, jakaś pośrednia postać pomiędzy indyjskim kacykiem a hiszpańskim grandem, trzymał w prawej ręce halabardę ze srebra i złota i nie był bynajmniej tak uzbrojony, aby iść na średniowieczny turniej, zwłaszcza że ciężka, złocista kapa przykrywała konia.

Gdy paziowie mantenitora rozdali atłasowe zwoje z sonetami, wjechała druga «squadriglia» i wywołała okrzyki radości i jeszcze większy podziw, aniżeli pierwsza. Tę drugą grupę uzbroił i ubrał swym kosztem kardynał Antonio, a główremi jej osobistościami byli czterej książęta, których dawny Rzym pojął w niewolę: Aristobulos, król Palestyny, Tigranes, infant Armenji, Artafernes, książę Bitynji, Oksatres, tyran Kapadocji. Oni to przyjęli teraz wyzwanie egipskiego rycerza, a za świadków służyli im, nie mniej, nie więcej, tylko Fabius Maximus, Claudius Marcellus, Cecilius Metellus i Manlius Torquatus.

Już z daleka poznać było można, że ci więźniowie pochodzili z królewskich rodów, mieli bowiem na głowie złote korony, z których jednak, stosownie do mody barokowej, wystawały żółte pióropusze. Squadriglie, których było sześć, składały się z równej ilości ludzi i koni, różniły się tylko ubiorami i kolorami piór. Squadriglia Antonia Barberiniego tem się tylko odznaczała, że na jej czele jechał karzeł kardynała na małym byczku. Aby jednak karzeł nie spadł ze swego oryginalnego rumaka, szło dwóch ludzi po bokach, trzymając byka za rogi. Na ozdobach tej squadriglji było tyle wyhaftowanych i wyzłoconych pszczół Barberinich, jakgdyby cały ul się wyroił.

Po czterech królewskich jeńcach wjechała na arenę squadriglia romana, do której należeli panowie Virginio Cenci i Girolamo Astalli, a byli ubrani w pancerze trochę podobne do zbroi starożytnych; ten archaizm przygłuszały wszakże olbrzymie pióropusze, tak prawie wysokie, jak koń razem z jeźdźcem. Następna squadriglia przywoływała na pamięć tradycje prowansalskiego rycerstwa i wydała rodzaj manifestu, w którym ogłaszano, że trybunał miłości na dworze Rajmunda, hrabiego Prowancji, składający się z najpiękniejszych i najroztropniejszych pań świata, orzekł, że twierdzenia Tiama di Memfis o łamaniu tajemnic miłości są barbarzyńskie i niegodne. Mądry kochanek powinien kochać i milczeć. «Il saggio amante ha da amare, e tacere», a zdanie to zostało, osobliwie w lożach pań rzymskich, przyjęte szczeremi oklaskami. Piąta squadriglia pod znakiem bogini Izydy odznaczała się tem, że pióropusze na hełmach rycerzy składały się aż z sześćciuset piór różnokolorowych, spiętych złotemi ozdobami. Szósty i ostatni oddział kawalerów ze Scytji także tak wyglądał, jakby całe stado strusi afrykańskich złożyło się na pióropusze przybyłych z daleka młodzieńców.

W biegu do Saracena egipski rycerz sromotnie został pobity; zasada tajemnicy w miłości zwyciężyła. Dwunastu rycerzy przebiło Saracena według wszelkich reguł turnieju, a ponieważ jedna tylko była przeznaczona nagroda, więc sędziowie zarządzili losowanie, który z nich ją otrzyma. Szczęście sprzyjało Wirginiowi Cenci, któremu Anna Colonna wręczyła klejnot z djamentów, spoczywający w bukiecie róż. Prócz tej nagrody darował kardynał Antonio szpadę srebrną, haftowane rękawice i kilka innych przedmiotów dla rycerzy tej squadriglji, która za najpiękniejszą będzie uznaną. Signora Anna Colonna orzekła, że squadriglie «czterech królów» i «prowansalska» najbardziej się wyróżniały i że pomiędzy niemi zatem wybierać trzeba. Te dwie grupy wyznaczyły zatem po

jednym rycerzu, aby walczyli o pierwszeństwo. Rycerze się starli i nagrodę otrzymała «Prowancja».

Wreszcie jeszcze wielka niespodzianka. W bramie, od strony St. Maria della Pace, ukazał się przepysznie ustrojony okręt. Maestro di campo kazał zapytać, co to za galera: czy włoska, czy nieprzyjacielska, a gdy odpowiedziano, że bóstwo na niej przypływa, odrzekł, że dla bogów wstęp wolny, aż do nich bowiem jego władza nie sięga.

Zmierzch już zapadał, więc zajaśniało przeszło tysiąc pochodni, a w czerwonym blasku ukazała się na przodzie galery olbrzymia, wyrzeźbiona syrena, trzymająca w jednej ręce słońce, znak Barberinich, a w drugiej kolumnę, herb Colonnów. Okręt bujał jakby na wodzie. Na pokładzie, pod baldachimem, siedział uwieńczony winnem gronem Bachus w towarzystwie kobiety, «śmiech» przedstawiającej. U stóp boga wesołości skupiło się czterech satyrów, czterech pasterzy i ośm bachantek, śpiewających i grających na rozmaitych instrumentach muzycznych. Wiosłowało sześciu marynarzy. Galera zatrzymała się przed lożą Anny Colonny, a następnie przed lożą markizy di Castel Rodrigo, ambasadorowej hiszpańskiej. Bachus porzucił swój boski tron, śpiewał, tańczył wraz z towarzyszkami, a wesołość okrętowej osady udzielała się całemu zgromadzeniu, które zaczęło wtórować bachicznym chórom.

Tymczasem Anna Colonna kazała roznosić kosze i półmiski z rozmaitemi chłodnikami i ciastami, tak, że świetne towarzystwo jeszcze ze dwie godziny pozostało w cyrku, Bachusowa zaś galera posuwała się dalej ulicami aż do Corso, aby i lud się zabawił.

Nazajutrz wydał kardynał Antonio obiad w wielkiej galerji «Kancellarji» na pięćdziesiąt siedm nakryć dla panów, którzy brali główny udział w «corsa del Saracino». Nie obyło się i bez sonetu na cześć kardynała Barberiniego, który rozdawano pomiędzy gości. Autorem tych pochwalnych rymów, w których Afryka i Azja, Syrja, Arabja i Egipt składały swe hołdy, był cavaliere Festi.

VII

Gdyby się chciało sądzić stan Włoch, a Rzymu w szczególności po tych teatrach i giostrach, toby się miało fałszywe wyobrażenie o tamtejszych stosunkach w pierwszej połowie XVII wieku. Z workiem złota u boku nie można było spać bez troski pod drzewem, jak to mówiono, nawet za Sykstusa V. Bandytyzm rozrósł się na nowo za Barberinich i zdawało się, jakoby wracały czasy Grzegorza XIII. W r. 1625 liczono w królestwie neapolitańskiem sześć tysięcy bandytów na dwa miljony ludności, a odpowiednia liczba ludzi żyjących z rabunku niepokoiła prowincje rzymskie. Do tak niesłychanego wzmożenia się bandytyzmu przyczyniał się przedewszystkiem rząd hiszpański w Neapolu, a w znacznej części także rządy rzymskie i toskańskie. Każde z tych państw używało bandytów, w razie potrzeby, do swoich celów i nigdy nie chodziło panującym naprawdę o ich wytępienie. Gdy tylko powstawały jakie dyplomatyczne trudności pomiędzy Rzymem a Neapolem, albo Rzymem a Florencją, zawsze każde z tych państw przyciągało do siebie całe oddziały bandytów, aby nimi dokuczać nieprzyjacielowi i osłabiać jego siły. Zresztą do utrzymywania bandytyzmu przyczyniały się w wysokim stopniu klasztory, które, opierając się na służących im prawach azylu, stały się formalnemi siedliskami prześladowanych bandytów, którzy za udzieloną im opiekę często się łupem dzielili z zakonnikami. Sykstus V zniósł wprawdzie owe prawa «schroniska», służące klasztorom, lecz Grzegorz XIV znowu je w znacznej części przywrócił.

Polityka Barberinich wobec bandytów nie była jednostajną. Gdy już bryganci bardzo dawali się we znaki rzymskim prowincjom albo zbliżali się do samej stolicy, wtedy urządzano na nich obławy, ale do tych wypraw używano znowu bandytów, zwłaszcza takich, którzy byli w łaskach u kardynała Antonia. Kardynał utrzymywał przez dłuższy czas w swym pałacu w Rzymie jednego z najsłynniejszych neapolitańskich bandytów, Pietra Mancino, który poprzednio pustoszył Abruzzy, papieską Romanję i cały szereg morderstw

i okrucieństw miał na sumieniu. Głośniejszym jednak od Mancina był Giulio Pezzola, który w Rzymie doczekał się prawie takich honorów, jak słynny Piccolomini za Grzegorza XIII. Pezzola wypłynął najprzód w Neapolu i tam sobie zyskał sławę «wielkiego» bryganta. Wpadał kilka razy w granice państwa kościelnego, prowadził formalną wojnę z Colonnami, a pomiędzy innemi okrucieństwami, jakie popełnił na rzymskiej ziemi, wymieniano straszne morderstwo dwóch duchownych, z których kazał drzeć pasy, pomimo, że jeszcze żyli. Pezzola był przez jakiś czas w służbie wicekróla neapolitańskiego jako «birro di campagna», to jest, jako naczelnik zbirów na prowincji. Rząd papieski skazał go kilka razy na śmierć, lecz wyroku wykonać nie mógł, bo Pezzola był zręczniejszym, aniżeli policja Barberinich. Zdarzyło się jednak, że Pezzola potrzebował otwarcie udać się do Rzymu, gdyż miał tam wykonać jakieś tajne polecenie wicekróla neapolitańskiego. Nastąpiły więc układy pomiędzy wicekrólem a Watykanem, który pozwolił, aby Pezzola przybył do Rzymu pod warunkiem, że dostawi dwanaście głów bandytów, pustoszących Kampanję, i urządzi wyprawę przeciw innym brygantom w państwie kościelnem. Pezzola dotrzymał pierwszego warunku, przysłał żądane głowy, a następnie przybył do Rzymu z trzydziestoma swymi towarzyszami; jako poddany królestwa neapolitańskiego zamieszkał w pałacu ambasadora hiszpańskiego, margrabiego di Castel Rodrigo. Ambasador przyjął go z wielkiemi honorami, kazał mu podawać potrawy na srebrnych półmiskach i dał mu karocę do użytku. Zaraz po przyjeździe doręczono Pezzoli breve papieskie, odpuszczające mu wszelkie winy, poczem bandyta składał wizyty znakomitym osobistościom. Kardynał Antonio nadzwyczaj był dla niego uprzejmy, a monsignor Bolognetti, biskup w Rieti, wyszedł nawet naprzeciw niego na schody, przy pożegnaniu zaś odprowadził go aż do karety.

Pezzoli tak się dobrze działo w Rzymie, że ani mu na myśl nie przychodziło wyruszać w pole przeciw brygantom w państwie kościelnem. Kardynał Antonio się niecierpliwił, lecz nie było sposobu pozbyć się niebezpiecznego gościa. Szczęściem Pezzola z własnej woli Rzym opuścił, obawiał się

bowiem, że Colonna, principe di Galiano, z którym miał dawne rachunki, napadnie go w Rzymie, gdyż zebrał w mieście około tysiąca brawów. Pezzola, widząc te przygotowania, wymknął się w góry, gdzie się czuł bezpiecznym.

Doświadczenie z Pezzolą bynajmniej nie zniechęciło Barberinich do posługiwania się brygantami. W r. 1641 przyjął rząd papieski na żołd pięćdziesięciu bandytów pod dowództwem herszta, Titta Ferretti z Ascoli. Ludzie ci, uzbrojeni od stóp do głów, chodzili swobodnie po ulicach Rzymu, a publiczność uciekała przed nimi ze strachu. Mówiono, że to «contro-mina» przeciw Pezzoli, którego napadów się obawiano. W marcu było tych stróżów bezpieczeństwa już dwustu, a w lecie przyjęto jeszcze innych pod wodzą wsławionego Marka Marchetti. Kronikarz Amayden powiada, że powszechnie się dziwiono tej nowości i nie wiedziano, do czego zmierza werbunek ludzi tak niebezpiecznych.

Zresztą nietylko Barberini ściągali do stolicy bandytów; książę di Galiano nie rozpuszczał bynajmniej swojej armji brawów, lecz żywił ją nadal w stolicy. Raz nawet bandyci księcia rozpoczęli bójkę z żołnierzami papieskimi na placu kolumny Trajana. Szczęściem przejeżdżał kardynał Antonio, a widząc, co się dzieje, wyskoczył z karocy, przyczem spadł mu kapelusz z głowy, i porwał za ramię jednego z żołnierzy, aby rozbroić bijących się. Żołnierz poznał kardynała, rzucił mu się do nóg, co i na drugich zrobiło wrażenie, tak, że się w spokoju rozeszli.

W wojnie o Castro, o której mówić będziemy, odgrywali bandyci także ważną rolę.

VIII

Niezmierne wzbogacenie się Barberinich wywoływało zawiść nietylko u rzymskich rodów, ale nawet udzielni książęta we Włoszech niepokoili się tą materjalną potęgą papieskich nepotów. Osobliwie florentyńscy Medyceusze, Estowie w Modenie i Odoardo Farnese w Parmie nie czuli się bezpieczni, podejrzywano bowiem papieża, że chce doprowadzić

do wojny na półwyspie i jednego z Barberinich, zapewne Taddea, osadzić na tronie, zajmowanym przez Farnezych, a co najmniej odebrać im Castro.

Owo Castro, położone niedaleko Rzymu, w okolicach Capraroli, darował Paweł III swemu synowi, Pier Luigiemu, zanim go wyniósł na tron Parmy i Piacenzy. Późniejszych papieży raziła ta darowizna, gdyż Castro leżało wpośród ziem papieskich, było otoczone silnemi murami i mogło w danym razie służyć za niebezpieczne oparcie dla nieprzyjaciół państwa. Nepoci Urbana VIII mieli ochotę zagarnąć je dla siebie i czyhali tylko na sposobność do wojny z Farnesem, o którym wiedzieli, że się znajduje w jak najgorszem finansowem położeniu. Powód, chociaż bardzo błahy, znalazł się w r. 1641. W Rzymie panował wielki niedostatek żywności, a Farnese zakazał wywozić zboże z Castro. Papież wydał mu wojnę. Wielki książę toskański, wicekról Neapolu, posłowie Francji i Wenecji, starali się pośredniczyć i spór załagodzić, lecz wszelkie usiłowania w tej mierze były daremne, nepoci chcieli posiąść Castro.

Rozpoczęła się wojna, która, rzecz dziwna, nie znalazła dotąd komicznego barda. Możnaby z niej stworzyć epopeę, godną Cervantesa.

Główna siła papieska zbierała się pod Viterbo, sześć tysięcy piechoty i pięćset konnych, z odpowiednią ilością armat, pod dowództwem markiza Ludwika Mattei. Prócz tego Taddeo Barberini i kardynał Antonio gromadzili zaciężnych i bandytów. Choleryk Urban rozkazał równocześnie księciu Farnese, aby w przeciągu dni trzydziestu zrównał z ziemią forteczne mury w Castro, jeżeli chce uniknąć pewnej klęski. Farnese nie posłuchał, a co więcej, jego szwagrowie, wielki książę Ferdynand toskański i książę modeński, obiecali mu pomagać w walce przeciw papieżowi. Za takie nieposłuszeństwo rzucił Urban VIII klątwę na księcia Parmy i kazał mu odebrać kościelne lenno. Tego i Wenecji było za wiele; signorja również obawiała się zanadto wielkiej przewagi Barberinich, zawarła więc związek z Farnesami, Medyceuszami i Estami. Wszelkie układy zostały zerwane, armaty miały rzecz rozstrzygnąć.

Wbrew przewidywaniu strategików watykańskich sprzy-



Odoardo Farnese
Według współczesnej ryciny

Do str. 163



mierzeni najechali ferraryjską ziemię, która wtenczas stanowiła już część państwa papieskiego. Wojsko papieskie musiało koło Ferrary stawić opór nieprzyjacielowi i w tamtą stronę wyruszyli Taddeo i kardynał Antonio, aby czoła swe ozdobić wawrzynami. Szyki pomieszał im wszakże zręczny Farnese, który przedewszystkiem postanowił uwolnić Castro. W trzy tysiące dobrze uzbrojonych jeźdźców, pod wodzą marszałka d'Estrées, wyruszył w dzień św. Mikołaja z Tolentino, dziesiątego września 1642 z Parmy, a lud przyklaskiwał z murów miejskich wyjeżdżającemu księciu, że zdobył się na tak szybkie działanie. Sprzymierzeni szwagrowie przestraszyli się, a uważając odosobnioną wyprawę Odoarda za szaleństwo, odradzali mu nierozważny krok. Farnese nie słuchał, w szybkich pochodach minął Reggio z zamiarem najechania ziem papieskich. Graniczne oddziały wojska Barberinich pierzchnęły, a na bolońskiej ziemi rozwinął Odoardo sztandar gonfaloniera Kościoła, chcąc okazać, że nie idzie walczyć z Kościołem, ale z Barberinimi. W pobliżu Bolonji wysłał trębacza z pismem do kardynała Durazzo, legata papieskiego i do magistratu miasta Bolonji, w którem oświadczył, że chce tylko bronić praw swoich do Castro przed braćmi Barberinimi i bynajmniej nie ma zamiaru wyrządzić jakiejkolwiek szkody ludowi i szlachcie bolońskiej. Gdy jednak otrzymał nieprzychylną odpowiedź i bram miasta nie otworzono, ruszył dalej ku Imoli. Po drodze spotkał główną armję papieską, idącą ku Ferrarze walczyć ze sprzymierzonymi. Nie długo się namyślając, kazał swoim kirysjerom, pod wodzą hrabiego Ludwika Capra, stanąć w szyku bojowym i kilku dragonom ustawić się po rowach, w zasadzce. Nieprzyjaciel tak się przestraszył, że konnica papieska uciekła, nie zatrzymując się aż pod Imolą, a piechota w najbliższym lesie szukała ochrony. Widząc, z jaką armją ma do czynienia, szedł Farnese dalej do Imoli. Pod bramami miasta zażądał od legata Romanji, kardynała Franciotti, wolnego przejścia. Kardynał jednak kazał bramę zamknąć i przygotowywać się do obrony. Jakiś stary komandor maltański zaczął zbierać milicję, ale ci bohaterowie zaledwie jednemi drzwiami weszli, drugiemi już

uciekali; zresztą w zamku nie było ani rusznic, ani moździerzy, a cały zapas prochu wynosił piętnaście funtów. Tymczasem przybiegł bez tchu kapitan milicji miejskiej i blady, jak wosk, opowiadał, że jeden z ojców kapucynów zbliżył się do bramy i widział olbrzymią armję nieprzyjacielską, ustawioną w szyku bojowym, i że Farnese znudzony, że mu miasto nie daje odpowiedzi, kazał petardy podkładać pod bramy; najbardziej zagrożona brama koło klasztoru kapucynów, ponieważ deski w niej przegniły. Na taką wiadomość kazali ojcowie miasta założyć żelazną kratę przed bramę, ale krata okazała się zepsutą, nie do użycia. Rad nie rad, musiał kardynał kapitulować; wysłał trzy karoce ze znakomitymi obywatelami do nieprzyjacielskiego obozu, aby księciu ofiarowali klucze. Jakież było wszakże zdziwienie, gdy Farnese tego daru nie przyjął, oświadczając wysłańcom, że nie przychodzi jako wróg, lecz chce tylko Barberinim odebrać to, co mu zabrali. Owszem prosił mieszczan, aby zostali wierni Kościołowi, poczem wojsko w jak największym porządku przeszło przez miasto, a kobiety w oknach nie posiadały się z radości, widząc tak piękny pochód rycerstwa, jakby wspaniały turniej. Farnese odwiedził kardynała i ruszył dalej do Faenzy. Tam powtórzyła się mniej więcej ta sama historja, co w Imoli. Zrazu chciano się opierać najeźdzcy, ale niebawem spuścił się gubernator, monsignor Fieschi, na linie z murów miasta, rozmówił się z mniemanym nieprzyjacielem, a widząc, że książę niema złych zamiarów, kazał otworzyć bramę i wojsku przejść pozwolił. Cokolwiek trudniej miała się rzecz pod bramami Forli; mieszczanie chcieli się rzeczywiście bronić, a że rycerstwo Farnesego było znużone i deszcz lał strumieniami, więc książę kazał kilku dragonom zsiąść z koni i podłożyć petardy pod bramę. Gdy poczciwi mieszkańcy zobaczyli, że Farnese nie żartuje, wysłali co prędzej gwardjana kapucynów, aby księcia ułagodził. Przybył nawet sam biskup, monsignore Teodoli, i zaczął się targować i stawiać warunki. Wtedy książę ostro odrzekł, że żadnych warunków nie przyjmuje, a jeżeli go w spokoju do miasta nie wpuszczą i dragonom osuszyć się nie dadzą, to każe bramy powysadzać, domy zrabować, miasto podpalić na czterech rogach i nie

będzie oszczędzał ani starców, ani kobiet. Ta groźba wystarczyła, wojsko mogło sobie jeden dzień w Forli wypocząć.

Farnese szedł śmiało dalej ku Arezzo i niebawem stanął nad Trazymeńskiem jeziorem.

Gdy się w Rzymie dowiedziano, że nieprzyjaciel się zbliża, zapanowała w Watykanie trwoga nie do opisania; zaczęto wprawdzie stawiać barykady, ale nikt z Rzymian nie miał ochoty się bronić. Gdy ktoś opowiadał, że żołnierz z konnicy papieskiej tak blisko podjechał ku nieprzyjacielowi, że padł kulą ugodzony, zauważył jeden z odważnych Rzymian z oburzeniem: «Che pazzo! S'e fatto ammazzar alla Francese!» «Głupiec! pozwolił się zabić na sposób francuski», to znaczy, że był odważnym jak Francuz.

Za kilka dni stał Farnese już pod Acquapendente; papież nie wiedząc, co począć, nie dowierzając strategicznym zdolnościom kardynała Antonia, powołał do siebie Francuza, bawiącego w Rzymie, Achillesa d'Estampes-Valençay, Bailly de Valençay, dzielnego żołnierza, który odznaczył się w służbie zakonu Johannitów. Jego zamianował Urban VIII maestrem di campo i poddał pod dowództwo kardynała Antonia, generalissimusa armji. Bailly skłonił kardynała do wyruszenia z Rzymu naprzeciwko nieprzyjaciela. Rozpoczęto marsz ku Orvieto, ale tam spostrzeżono w dali jakiś oddział konnicy. Kardynał się przestraszył, żałował, że się dał nakłonić do tak niebezpiecznej wyprawy; Bailly jednak, doświadczony żołnierz, chciał się przekonać, jaki to oddział i czy bardzo liczny. Zabrał więc ze sobą dziesięciu żołnierzy i pojechał na zwiady; kardynał i otaczający go Rzymianie mówili, że Francuz zwarjował, żeby się na pewną śmierć narażać. Okazało się wszakże, że mniemany nieprzyjaciel, to oddział papieskiego wojska, który szedł inną drogą. Gdy Bailly wrócił do obozu, otoczyła go cała starszyzna, winszując bohaterskiej odwagi.

Duch wstąpił w papieską armję, ruszono na Acquapendente i zaraz odniesiono zwycięstwo. Schwytano czterech dragonów Farnesego, którzy się zanadto oddalili od swoich, aby łowić kury i gęsi. Kardynał Antonio uszczęśliwiony, kilka razy uściskał Baillego i wysłał czemprędzej gońca do papieża, aby oznajmić wielkie zdarzenie. W Rzymie nie posiadano się

z radości; wszyscy kardynałowie składali Urbanowi VIII życzenia z powodu odniesionego zwycięstwa. Ale powszechna radość zamieniła się w wielkie zaniepokojenie. Bailly otrzymał wiadomość, że może wracać na dwór do Paryża, z którego był przez niejaki czas wykluczony. Pełen uciechy chciał zaraz do Francji wyjechać, ale kardynał Antonio zaczął go błagać, aby pozostał; straszył, że papież umrze z rozpaczy. Bailly dał się po długich targach nakłonić i obiecał, że jeszcze czternaście dni zostanie w papieskiej służbie. Nim jednak te dwa tygodnie minęły, Urban zamianował go kardynałem i wódz francuski stale został związany z rzymską kurją, której później oddał znakomite wojskowe usługi.

Tymczasem Farnese popełnił wielki błąd, nie poszedł wprost na Rzym, lecz zatrzymał się w Acquapendente i wdał się w układy. Miał zresztą po temu ważne powody, gdyż jego dragoni, zmęczeni szalonemi pochodami, zaczęli uciekać, a zresztą zima nadchodziła i wyżywienie koni było coraz trudniejsze. W Castelgiorgio został zawarty pokój pomiędzy Barberinimi a Farnesem, na podstawie którego papież miał zwrócić Castro Odoardowi. Gdy jednak wiosna nadeszła, Barberini układów nie dotrzymali, lecz wzmocniwszy swe siły, postanowili wojnę odnowić. Ta wojna z r. 1643 była jednak dla nich jeszcze nieszczęśliwszą, aniżeli poprzednia wyprawa na Castro. Wojsko papieskie wszędzie zostało pobite, gdziekolwiek się starło z armją sprzymierzonych książąt; uległo pod Mongiovino koło Perugji, poniosło klęskę pod Lagoscuro nad Padem, gdzie kardynał Antonio o mało że nie dostał się do niewoli.

Przestraszony i zrozpaczony stary papież ciągłemi niepowodzeniami, błagał kilkakrotnie Francję o pośrednictwo celem zawarcia pokoju. Dzięki też Francji został zawarty pokój 31 marca 1644 w Wenecji, na mocy którego zdjętą została klątwa z księcia Parmy i Castro miało mu być zwrócone w przeciągu dni sześćdziesięciu.

Tak się skończyła owa sławna «Guerra di Castro», którą prowadziło pięć państw włoskich: Rzym, Wenecja, Florencja, Parma i Modena, w której brali udział najznakomitsi książęta Włoch ówczesnych.

Miała zresztą ta wojna jeszcze dość zajmujący epilog. Ferdynand II toskański, który, jak wspominaliśmy, był szczególnym protektorem bandytów, używał w celu niepokojenia ziem papieskich sławnego bryganta, Tiberia Squilletti, zwanego fra Paolem, na którego głowę wyznaczył rząd papieski znaczną cenę. Fra Paolo tak się dobrze sprawił w wojnie o Castro, że gdyby nie zawarcie pokoju, byłby ze swoją bandą bezwzględnie przechylił szalę zwycięstwa na korzyść nieprzyjaciół Barberinich.

Gdy jednak pakty przyjacielskie pomiędzy papieżem a książętami Włoch północnych zostały podpisane, fra Paolo, nie mając zajęcia, postanowił zostać — zakonnikiem. Wielki książę, nie potrzebując już usług bryganta, chętnie go odstępował Barberinim. Słynna kurtyzana, Margherita, przyjaciółka wielkiego księcia, a zarazem będąca w łaskach u Barberinich, podjęła się układów. Kardynał Francesco był zawsze uszczęśliwiony, gdy mógł nawrócić jakiego wielkiego grzesznika, więc też nie robił żadnej w tej mierze trudności. Układ pomiędzy fra Paolem a Barberinimi został zawarty, wielki książę dał «nawróconemu» tysiąc piastrów i parę koni na drogę, tak, że niedawny brygant mógł bezpiecznie wjeżdżać do Rzymu w lutym r. 1644. Ba, nawet karoce Barberinich wysłano naprzeciw niego i fra Paolo został umieszczony w domu don Taddea, prefekta miasta, który mu także dał powóz do użytku. Publiczność dziwiła się, widząc tego bandytę jeżdżącego po Rzymie w karmazynowym stroju; zdziwienie jednak było tem większe, gdy się rozeszła wieść, że fra Paolo zostanie księdzem i że mu będzie nadaną kanonja u św. Piotra. Wiadomość była zapewne fałszywa, tyle jednak pewne, że kardynał Francesco przyjął karmazynowego pokutnika z honorami, że kazał mu zrobić długą duchowną suknię i że polecił Datarji, aby fra Paolowi nadano jakieś beneficja. Amayden powiada, że cały dwór papieski nie mógł pojąć tego postępowania wobec człowieka, który tyle morderstw miał na sumieniu. Powtórzyła się sprawa Alfonsa Piccolominiego.

IX

Urban VIII żył i panował za długo, tak dla tych, którzy niczego się już po Barberinich nie spodziewali, jak i dla pragnących zasiąść na stolicy papieskiej. Wielu więc było niecierpliwie oczekujących jego śmierci, a tem samem ciekawych, kiedy Pan Bóg powoła papieża do swej chwały. Ponieważ zaś wierzono, że z pomocą astrologji można odkryć przyszłe losy człowieka, więc astronomowie i nekromanci bardzo się Urbanem VIII zajmowali.

Należał do nich także Horacy Morandi, dawny opat w Vallombrozie, a później przełożony klasztoru św. Praksedy w Rzymie, własności tych samych mnichów, co Vallombrosa. Morandi uchodził za jednego z najuczeńszych astrologów, miał dużą bibljotekę, przepowiadał często polityczne wypadki, a osobliwie był wyrocznią, gdy chodziło o przyszłość znakomitych osobistości. Według odwiecznych zasad astrologicznych każdy człowiek zależał od pewnej gwiazdy, pewnego ciała na niebie. Przypadkowa okoliczność, pod panowaniem której gwiazdy kto się urodził, najczęściej rozstrzygała o jego losach; zresztą były w tej mierze jeszcze najróżnorodniejsze, bardzo szczegółowe spostrzeżenia i przepisy. Odwieczną teorję astrologiczną postanowił Morandi oprzeć na doświadczeniu; na wielką skalę więc zapisywał urodziny mnóstwa znanych osobistości, a ponieważ w tych badaniach każda drobnostka zdawała się mieć wielkie znaczenie, więc w swych katalogach notował nietylko godzinę, ale nawet minutę przyjścia na świat wielkich ludzi i ich losy. Z tych zestawień obliczał możliwą długość żywota, nawet zdrowych jeszcze ludzi, a Urbanowi VIII naznaczył jako kres życia rok 1634 albo 1635. Rzecz prosta, że o tych obliczeniach mówił tylko bardzo zaufanym osobistościom, którym szczególnie zależało na krótkości życia Barberiniego, więc też kardynałowie «papabili» udawali się do niego w tajemnicy, aby się dowiedzieć, kiedy nareszcie doczekają się przyszłego conclave. Obliczenie jego, że papież umrze w r. 1634 albo 1635 roku, tem się zdawało podobniejszem do prawdy, że inni astrolodzy, przyjaciele opata, jak opat Gerardo z Padwy i Francesco Lamponi, doszli w swych badaniach do tego samego wyniku. Jedyny tylko Rafael Visconti, profesor matematyki w Rzymie, ten sam, któremu polecono badać dzieła Galileusza, był innego zdania; sądził, że papież pożyje dłużej.

Wiadomość o tych zbyt ciekawych astrologach doniosła się do papieża; Urban VIII tak się na nich rozgniewał, że kazał wytoczyć proces opatowi Świętej Praksedy i jego wspólnikom, ale śledztwo powierzył trybunałowi gubernatora Rzymu, a nie zanadto surowej Inkwizycji, gdyż przeczuwał, że pomiędzy owymi «ciekawymi» mogą się znajdować kardynałowie, z którymi łączyło go pokrewieństwo, albo przyjaźń.

Uwięziono więc opata, odprowadzono go do Torre di Nona, a bibljotekę u św. Praksedy opieczętowano. Gdy jednak sędzia śledczy przystąpił do przeglądnienia papierów Morandego, nie znalazł tam nic, coby dowodziło jakiejkolwiek jego winy, tak dalece, że sąd chciał już proces umorzyć. Nieroztropność jednak Teodora Amayden, adwokata klasztoru św. Praksedy, wszystko zepsuła. Służący opata mówił mu, że zakonnicy oderwali jakieś drzwi ukryte, któremi się było można dostać do bibljoteki klasztornej i wynieśli wszystkie papiery, któreby mogły zaszkodzić opatowi. Część ich spalili, a dużo pochowali w kościele i w klasztorze. Amayden opowiedział to w księgarni «pod Pasquinem», a ktoś podsłuchał opowiadanie i doniósł o tem sądowi. Zawołano Amaydena przed sędziego, gdzie rzecz potwierdził. Natomiast służący opata tak wiernym był swemu panu, że nawet na torturach nie zeznał nic obciążającego zakonników i utrzymywał, że wszystko, co Amayden opowiada, jest nieprawdą. Nie mogąc wyjaśnić sprzecznych zeznań, obiecał sędzia zakonnikom, że nie ulegną żadnej karze, jeżeli prawdę zeznają, w przeciwnym razie będą srogo karani. Zakonnicy postanowili wszystko wyjawić i wskazali sądowi miejsca, gdzie pisma opata ukryli. Aktów tych było tak dużo, że musiano je na wózkach zwozić do urzędu.

Morandi przyznał, że papiery są jego własnością i że pracował nad horoskopem Urbana VIII, ponieważ nowinkarze go o to prosili. Wymienił także swoich wspólników, pomiędzy którymi był opat Gherardi i Visconti. Gdy tych duchow-

nych przesłuchiwano, prawie wszyscy jednozgodnie oświadczyli, że badania ich były raczej naukową zabawą i miały za cel tylko zaspokojenie ciekawości znajomych, zwłaszcza że do nich udawali się często kardynałowie, którzy mieli nadzieję, że zostaną papieżami, albo ich krewni. Sąd uwolnił mniej winnych, jedynie Morandego skazał na śmierć i kazał go cichaczem otruć w więzieniu 5 października r. 1630, aby na duchowieństwo nie rzucać złego światła, gdyby opata otwarcie uznano winnym i stracono publicznie. Giaconto Gigli, znany kronikarz ówczesny, opowiada, że zadano mu truciznę w potrawach i że dwa dni przed Morandim umarł w ten sposób jeden ze wspólników opata, który razem z nim był uwięziony.

Zniknięcie Morandego nie odstraszyło jednak niektórych kardynałów, aby «pracować» nad śmiercią Urbana VIII.

Na wiosnę r. 1634 odkryto spisek, uknowany przeciw papieżowi, do którego należał synowiec kardynała d'Ascoli, biskup Giacinto Centino, zarządca domu kardynała, tudzież sześciu mnichów, księży, którzy zapomocą sztuk magicznych chcieli zgładzić Urbana VIII, spodziewając się, że po nim wstąpi na tron papieski kardynał Centino. Biskup Giacinto obiecał owym zakonnikom, z których trzech było franciszkanów, a trzech augustjanów, że jeżeli jego stryj zostanie papieżem, zamianuje ich wszystkich kardynałami. Byli oni przekonani, że jeżeli się włoży na rożen figurkę, podobną do osoby, którą się chce zgładzić, i przy ogniu tak obraca, że powoli się spali, to i człowiek, którego ta figurka ma przedstawiać, zginie powolną śmiercią.

Aby magiczną tę sztukę wypróbować, zrobili spiskowi figurkę, podobną do pewnej znanej im kobiety i zniszczyli ją w powyższy sposób, podczas gdy jeden z nich żałobną mszę odprawiał. Zdarzyło się, że owa kobieta rzeczywiście umarła. Wtedy ci duchowni magicy zrobili posążek papieża Barberiniego i zaczęli go znowu powoli palić, tak jak podobiznę zmarłej baby. Dziwna jednak rzecz, że posążek nie zwęglał się tak, jak należało. Mądrzy ci ludzie uradzili, że papież nie jest zwykłą osobistością i że chcąc, aby posążek dobrze się spalił i aby papież umarł, trzeba figurkę, nim się ją wbije na

rożen, skąpać we krwi jednego z nich; tej ofiary szatan wymaga. Ciągnęli więc losy pomiędzy sobą, który z nich ma być djabłu poświęcony. Los padł na synowca kardynała, ale ten nie miał ochoty umierać, więc wyjaśnił towarzyszom, że jeżeli jego na ofiarę zabiją, to nie zostaną kardynałami. Losowano też po raz wtóry i tym razem nieszczęśliwcem miał zostać jeden z franciszkanów. Ten się jednak także rozmyślił, nie chciał, aby po jego trupie inni dochodzili do dostojeństwa, więc cichaczem poszedł do trybunału Inkwizycji i całą sprawę wyjawił.

Spiskowych uwięziono, wytoczono im proces i skazano synowca kardynała na ścięcie, dwóch innych na powieszenie; ciała ich miały być spalone.

Dwudziestego drugiego kwietnia r. 1635 miano ogłosić wyrok w kościele św. Piotra po południu. Ludność była tak rozciekawioną, że tłumy się zebrały w kościele i na placu, a zbiry papieskie nie mogły sobie dać rady z utrzymaniem porządku. W ścisku zamordowano w kościele jednego zbira, tak, że świątynia, wskutek przelewu krwi, na nowo musiała być poświęcona.

Następnego dnia prowadzono skazanych pieszo z Corte Savella na Campo di Fiore, gdzie znów zebrały się wielkie tłumy ciekawych. Żałowano nierozważnych, bo wszyscy jeszcze byli młodzi.

Takich kandydatów na kardynałów przyszłego papieża było jeszcze więcej. Rektor kościoła i szpitala św. Karola przy Corso, osobistość bardzo poważna, o długiej brodzie, przepowiadał znowu, że po śmierci Urbana VIII, która niebawem nastąpi, zostanie papieżem kardynał Giannasio i ozdobi go purpurą.

Doniosło się do inkwizycji, że ów rektor także odbywa jakieś praktyki, które zmierzają do uśmiercenia papieża. Poszukiwania, robione w jego mieszkaniu, doprowadziły do zupełnie niespodziewanych rezultatów. Znaleziono u niego posążek Urbana VIII, który zapewne także miał służyć do tego samego celu, jak drewniana figura synowca kardynała d'Ascoli. Bibljotekę owego duchownego stanowiło mnóstwo książek, tyczących się nekromancji, a z dochodzenia dowiedziano się

o różnych jego zbrodniczych tajemnicach. Zdaje się, że ten nekromant musiał znać już rodzaj hipnozy, gdyż dziwny wpływ miał na kobiety, któremi się posługiwał. Zupełne wrażenie dzisiejszego «medjum» robi jakaś Monica Penzoca, która pod jego wpływem miewała rozmaite wizje. Zdawało się jej, że była w niebie, że widziała, jak św. Piotr mszę odprawiał, i że siadała z nim do stołu, wierzyła, że została świętą. Wysłańcy inkwizycji zastali go raz w nocy, ubranego w mszalny ornat w chwili, kiedy, jak się zdaje, wprowadzał ową Monikę w sen magnetyczny.

Praktyki te musiał życiem przypłacić; powieszono go na Campo di Fiore, spalono jego księgi, a Monikę kazano wsadzić na osła i smagając ją, prowadzić po ulicach Rzymu. Po tej przechadzce, przypominającej najciemniejsze średnie wieki, została owa ofiara nekromanta zamurowana w ciasną szczelinę, gdzie po dwóch dniach umarła.

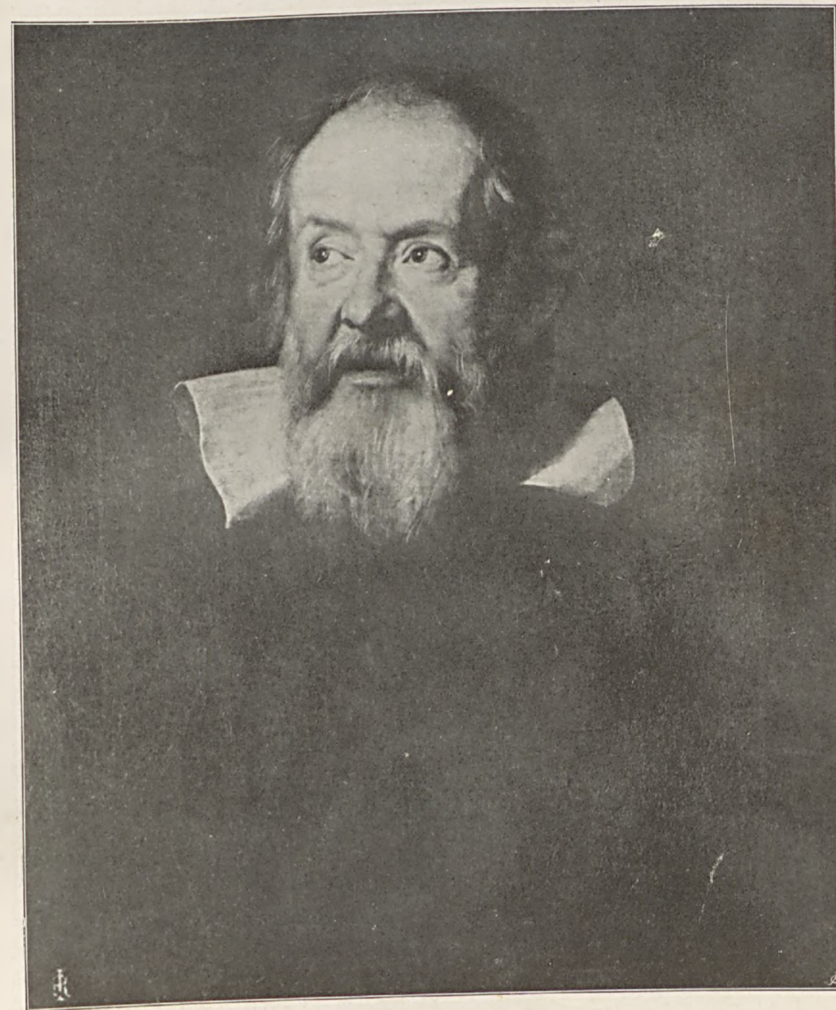
Urban VIII żył dłużej, niż astrologowie i nekromanci się spodziewali, w ostatnich latach wszakże bardzo już niedomagał. Śmiertelny cios zadała mu wojna o Castro, nie mógł przeżyć tej klęski. W chwili, kiedy musiał podpisać upokarzający go pakt pokojowy, zemdlał, a lekarz sądził, że to był początek choroby, która powaliła dumnego starca.

W ostatnich latach robił sobie także wyrzuty, że zanadto wielkiemi łaskami obsypywał nepotów i że na sądzie ostatecznym nie mógłby się z tego postępowania usprawiedliwić.

Wezwał więc kilku znakomitych teologów, pomiędzy innymi kardynała Lugo i jezuitę, ojca Lupio, aby go w tej mierze pouczyli. Odpowiedź tego sądu była wymijająca. Ponieważ nepoci Ojca świętego, mówili teolodzy, narobili sobie wielu nieprzyjaciół, więc słusznem jest i zgodnem z honorem Stolicy Apostolskiej, aby pozostawić środki, któreby im pozwalały także po śmierci papieża bronić się i zajmować stanowisko, jakie im się należy.

Papież umarł dwudziestego dziewiątego lipca 1644.

Był on, rzec można, ostatnim rzymskim monarchą w duchu papieży średniowiecza, którzy władzy swej nawet wszel-



Galileo Galilei

Według portretu J. Sustermansa w Uffizi we Florencji

Do str. 175

Fot. Alinari

kie interesa świeckie państw europejskich podporządkować chcieli. Urban VIII uzupełnił i jeszcze raz ogłosił ową Bullę «In cena Domini», która od wieków wyrażała tendencję papiestwa do opanowania świata. Bulla rzuca nietylko przekleństwo na wszystkich kacerzy, Husytów, Luteranów, Kalwinistów, Hugenotów i piratów morskich, lecz określa wszechwładzę papieża, która ma iść tak daleko, że bez pozwolenia Stolicy Apostolskiej królowie nawet nowych podatków na ludność nakładać nie mieliby prawa.

Bulla Urbana VIII znosiła wszelką wolność ludów i ich panujących. Wydana jednak została w chwili, kiedy narody inne miały troski, aniżeli wdawać się w prawno-polityczne spory ze Stolicą Apostolską, cała Europa wrzała od wojen i rewolucji. Bulla więc nie wywarła prawie żadnego wrażenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

URBAN VIII I GALILEI

I

Gdy Galileusz wynalazł teleskop, nie chciał Cesare Cremonio, jeden z wielbicieli Arystotelesa i dawnego systemu naukowego, przybliżyć oka do nowego instrumentu z obawy, że zobaczy zjawiska, które zachwieją w nim wiarę w zasady dotychczasowej filozofji.

W ten sposób postępowali mniej więcej wszyscy perypatetycy, którym się zdawało, że świat się zachwieje w posadach, jeżeli ich nauka w czemkolwiek okaże się błędną. Ponieważ zaś długowiecznem, sofizmatycznem rozumowaniem umiano tak nakręcić wywody starożytnego mędrca, że się nie sprzeciwiały zasadom rzymskiego Kościoła, więc jezuici, którzy w XVII wieku opanowali szkolną naukę, oparli cały swój system filozoficzny na schrystjanizowanych dziełach poczciwego poganina. Ale powoli przygotowywała się reakcja przeciw artykułom arystotelesowskiej wiary, powstali buntowniczy realiści, którzy, widząc przed sobą błędne rozumowania perypatetyków, chcieli wyswobodzić ludzkość z tego ściśle określonego koła utartych wyobrażeń. Owa reakcja umiała tylko przeczyć, ale dowodów na swe twierdzenia dostarczyć jeszcze nie umiała. Na sztandarze antiarystotelików zapisali swoje nazwiska, oprócz mniej głośnych, tacy uczeni, jak Francesco Pa-

trizio, Giordano Bruno i Tommaso Campanella. Ich zasady opierały się zawsze na więcej lub mniej zręcznych rozumowaniach, ale nie miały doświadczalnej podstawy. Dopiero wielkie odkrycia Kopernika, a za nim ujęta w niezachwiane prawa nauka Galileusza zmieniły zupełnie istniejące filozoficzne poglądy. Zaczęto budować na realnych fundamentach. Galileusz wypowiedział zasadę, że zjawiska natury są głuche i nieprzystępne ludzkim pragnieniom, że one dyktują prawa filozofji, a nie filozofja przyrodzie. Utrzymywał to samo, co równocześnie głosił Bakon, który kładł podstawy pod metodę doświadczalną.

Galileusz rozpoczął swoje naukowe działanie w Pizie, gdzie jako student medycyny i matematyki, zwrócił już na siebie uwagę zbadaniem praw oscylacji wahadła i zastosowaniem go do zegarów. Piza była jego kolebką, tam się urodził 15 lutego 1564, chociaż pochodził z patrycjuszowskiej florentyńskiej rodziny. Następnie uczył się we Florencji i utrzymywał z udzielania prywatnych lekcyj.

W r. 1589 został powołany na katedrę matematyki na uniwersytecie pizańskim, gdzie wkrótce zasłynął z nowych odkryć, pomiędzy któremi może najważniejszem było prawo grawitacji. Wówczas już obudził zawiść tamtejszych profesorów i uczonych, którzy nie mogli mu darować, że odkrył to, czego oni nawet nie przypuszczali, a nadto, że żył po koleżeńsku ze swymi uczniami, co wówczas sprzeciwiało się pedantycznej powadze. Do zawiści dały głównie powód głoszone przez niego zasady o prawach dynamiki, które przy końcu życia rozwinął w słynnym djalogu o «Nowych umiejętnościach». Oburzenie przeciw niemu wzrosło jeszcze bardziej w kołach profesorskich, gdy w r. 1591 napisał wiersz humorystyczny, w rodzaju Berniego, w którym drwił z poważnej togi i karcił brak tolerancji naukowej. Stosunki więc jego w Pizie nie były przyjemne, zwłaszcza że płaca nie wystarczała na utrzymanie, a w r. 1591 ojciec umarł i opieka nad licznem rodzeństwem jemu przypadła jako najstarszemu. Matka, Giulia Ammanati, była dziwaczką, siostry, dużo od niego młodsze, jeszcze zamąż nie wychodziły, a brat Michelangelo, z zawodu muzyk, także bardzo często nie miał tyle,

ażeby niezbędne potrzeby zaspokoić. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy Galileusz poznał się już w Pizie z Matteem Barberinim, który jako dziewiętnastoletni młodzieniec, starszy od Galileusza, studjował tam Arystotelesa i Platona i odznaczył się gładką łacińską mową, którą miał na uniwersytecie po śmierci wielkiego księcia toskańskiego, Franciszka de'Medici, męża Bianki Capello.

Nie mogąc podołać rodzinnym ciężarom, starał się Galileusz o lepszą posadę w uniwersytecie w Padwie i został tam w r. 1592 lektorem matematyki. Były to najpiękniejsze czasy uczonego, wykładał pod opieką rządu weneckiego lat ośmnaście, zarabiał dość dużo prywatnemi lekcjami i pracował nad nowemi wynalazkami w dziedzinie fizyki i astronomji, które zadziwiały świat cały. Do najpopularniejszych należała konstrukcja teleskopu, którego nawet poeta Marino nie pominął w swoim «Adonisie» i bardzo zręcznie instrument opisał:

> . . . Uu ammirabile stromento
> Per cui cio ch'e lontan vicino appare;
> E con un occhio chiuso e l'altr'intento
> Speculando ciascun l'orbe lunare,
> Scorciar potrà lunghissimi intervalli
> Per un picciot cannone e due cristalli
> Adone X.

W Wenecji pokazywał Galileusz teleskop Signorji, a najstarsi senatorowie wychodzili na wieżę św. Marka, aby widzieć okręty, płynące ku portowi, których gołem okiem spostrzec nie było można. Teleskop stał się powodem niesłychanie ważnych wynalazków astronomicznych, a mianowicie odkrycia księżyców Jowisza, przez co obalał prastarą teorję perypatetyków, że ziemia jest środkiem wszechświata. Księżyce Jowisza nazwał Galileusz planetami Medyceuszów, aby się przypodobać wielkiemu księciu toskańskiemu. W Padwie także wsławił się wynalazkiem nowego instrumentu, «compasso geometrico e militare», z pomocą którego można było rozwiązywać mnóstwo zadań matematycznych i geometrycznych. Instrument tak szybko się rozpowszechniał, że

uczony musiał założyć formalny warsztat, aby móc uczynić zadość licznym zamówieniom, które napływały nawet z dalekiej Polski. Pomiędzy tymi, którzy chcieli mieć ten przyrząd, spotykamy nazwiska Krzysztofa, księcia na Zbarażu, Gabrjela i Jana, hrabiów na Tenczynie, tudzież Rafała Leszczyńskiego.

O ile Galileusz w Padwie coraz większą zyskiwał sławę, o tyle wikłały się coraz bardziej jego prywatne stosunki. Poznał on się tam z niejaką Mariną Gambą, piękną kobietą niższego stanu, z którą miał dwie córki, Wirginję i Liwję, tudzież syna Wincentego. Oprócz tej szybko rosnącej rodziny musiał się przyczyniać do utrzymania matki i często wspomagać brata, Michelangela, który przez jakiś czas był muzykiem na dworze księcia Krzysztofa Radziwiłła, wojewody wileńskiego, a następnie mieszkał w Monachjum i we Włoszech.

Wskutek nazwania księżyców Jowisza planetami Medyceuszów, ujął sobie Galileusz w wysokim stopniu dwór florentyński; pragnął więc skorzystać z tego i powrócić do Toskanji, spodziewając się tam polepszenia swego losu. Zresztą, jak się zdaje, ciężył mu bardzo stosunek z Mariną Gambą, chciał się od niej oddalić, a może i zupełnie ją porzucić. Jego starania w tej mierze odniosły skutek i wielki książę toskański zamianował go w r. 1610 nadwornym matematykiem i filozofem, z siedzibą we Florencji. Wyjeżdżając, musiał los dzieci zabezpieczyć. Dla dziewczynek, z których Wirginja miała lat czternaście, a Liwja trzynaście, wystarał się o schronienie w klasztorze San Matteo in Arcetri we Florencji, przeznaczając je na zakonnice, gdy dojdą lat siedmnastu. Był to wówczas najłatwiejszy sposób pozbycia się córek, które rodzicom zawadzały. Jeżeli nie małżeństwo, to klasztor. Syna, najmłodszego z rodzeństwa, zostawił Galileusz u Mariny Gamby, która zresztą wkrótce po odjeździe filozofa poszła wcale dobrze zamąż. Syn ten, Wincenty, wstąpił później w ślady swego stryja Michelangela, udał się na Północ i był w jakimś domu książęcym, zapewne także Radziwiłłowskim, nauczycielem śpiewu i gry na lutni.

W r. 1611 mieszkał już Galileusz we Florencji, gdzie zrazu był w wielkich łaskach u wielkiego księcia i bywał

często zapraszany do pałacu. Na jednym z obiadów dworskich w październiku r. 1611 spotkał się z kardynałem Mateuszem Barberinim. Kardynał powziął dla uczonego wiele szacunku i sympatji i pisał wkrótce do niego, w czasie, gdy Galileo był złożony chwilową chorobą, nadzwyczaj gorące słowa pociechy. W liście tym wyraził się Matteo Barberini, «że prosi Boga, aby zachował Galileusza, gdyż ludzie tacy, jak on, zasługują na to, aby długo żyli dla powszechnego dobra; a on, Matteo, w szczególności ma w jego zdrowiu osobisty interes, gdyż żywi ku niemu wielki «afekt», którego dowody będzie mu składał przy każdej nadarzającej się sposobności». Następnego roku, znowu na obiedzie u wielkiego księcia, była mowa o wynalazkach Galileusza i Barberini bronił jego teorji, jak się zdaje, co do czterech księżyców Jowisza przed kardynałem Gonzagą, który nie bardzo wierzył w nowe odkrycia. Barberini zachęcał swego kolegę, aby się obznajmił z najnowszą teorją Galileusza o plamach na słońcu, ostatnim, według niego, wyrazem filozofji. Co do owych plam słonecznych pisał Barberini do Galileusza, «że dotyka on rzeczy nowych i niesłychanie zajmujących i że opiera swe wywody na zupełnie pewnych podstawach». Kardynał był pod urokiem badawczego umysłu Galileusza.

Galileusz miał wielu przyjaciół nawet w świętem Kollegjum; oprócz Barberiniego sprzyjali mu kardynałowie Conti, Borghese, Montalto, Farnese, Orsini, ale i liczba zawistnych mu i niechętnych coraz bardziej rosła, do czego przyczyniała się jego nadmierna drażliwość i nerwowe usposobienie. W młodości zaziębił się nasz uczony tak szkodliwie, że całe życie zapadał często na zdrowiu, a ciągłe choroby pozbawiły go potrzebnego spokoju w traktowaniu swoich przeciwników. Zresztą zawiść kolegów niemało się do tego przyczyniała, aby tę nerwowość jeszcze potęgować. Powoli też zaciągały się we Florencji groźne chmury nad jego głową. Przeciwnicy jego teorji nie spoczywali i jak zwykle, użyli kobiety do poruszenia przeciw niemu umysłów. Wielka księżna toskańska matka, Krystyna lotaryńska, odegrała w tej mierze bardzo ważną rolę. W jej salonach przedstawił jeden z przeciwników Galileusza, perypatetyk, lektor fizyki na uniwersytecie pizańskim,

szkodliwość zasad nadwornego filozofa, sprzeciwiających się Pismu świętemu, i pozyskał do tego stopnia wpływową matronę, że księżna odtąd głośno przeciw Galileuszowi występowała. Nasz filozof, trochę popędliwy i gwałtowny, dowiedziawszy się o tych machinacjach, wystosował do jednego ze swych uczniów, Castellego, otwarty list pod dniem 21 grudnia 1613, w którym zakreśla granice pomiędzy wiarą a umiejętnością i oświadcza, że fakty, o których nas uczy naoczne spostrzeżenie, nie mogą być podane w wątpliwość przez ustępy Pisma świętego, gdyż nie wszystko, o czem mówią księgi Zakonu, jest tak dokładnie dowiedzionem, jak każde zjawisko przyrody.

List ten rozniecił burzę. Dominikanin Tommaso Caccini miał w adwencie r. 1614 w Santa Maria Novella kazanie, potępiające naukę Galileusza i piętnujące matematykę jako szatański wymysł. Dominikanin twierdził, że matematycy są początkiem wszelkiej herezji i powinniby być wygnani ze wszystkich państw chrześcijańskich. Równocześnie inny dominikanin, Niccolo Lorini, denuncjował Galileusza do Sant' Uffizio, przestrzegając, że z jego nauk może powstać herezja, i wyrażając obawę, ażeby «parvus error in principio, non sit magnus in fine».

Donosy dominikanów miały ten skutek, że Galileusz postanowił udać się do Rzymu w późnej jesieni r. 1615, aby tam położyć koniec intrygom, które knuto przeciwko niemu. Uczony ufał w swoją niewinność i w przyjaźń kilku potężnych kardynałów, którzy, jak tuszył, wystąpią w jego obronie. Kardynał Matteo Barberini bardzo się za nim ujmował, ale dawał mu rady, «aby w swych pismach nie przekraczał granic fizyki i matematyki, skoro teolodzy utrzymują, że tłumaczenie Pisma świętego jest ich rzeczą». Tego samego zdania byli kardynałowie Del Monte i Bellarmino, przyjaźnie mu usposobieni. Lecz Galileusz, pomimo, że w swym liście do Castellego ściśle oddzielał nauki na doświadczeniu oparte od teologji, przecież wdawał się ciągle w rozprawy teologiczne i podsuwał przez to inkwizytorom sposobność do występowania przeciw niemu. W zaczepkach był dość śmiały, a ufając zanadto w siłę prawdy, tak nieostrożnie zachowywał się

wobec Inkwizycji, że poseł florentyński, Piero Guicciardini, skarżył się w liście z 4 marca 1616 wielkiemu księciu, że tak on, jak kilku kardynałów starało się go uspokoić i przekonać, aby swych opinij publicznie nie rozgłaszał, ale to się na wiele nie przydało. Doszło więc do tego, że przyjaźni mu kardynałowie nie mogli go obronić i Sant'Uffizio wydało na podstawie opinji jedenastu teologów ową nieszczęśliwą sentencję, potępiającą naukę Kopernika, jakoby słońce, a nie ziemia, było centrum świata i ziemia się obracała, a nie słońce. Sant'Uffizio nazwało zasadę, wygłoszoną przez wielkiego astronoma, «głupią i niedorzeczną ze stanowiska filozofji, a heretycką ze względu na religję». Z Galileuszem obeszło się Sant' Uffizio tym razem dość łagodnie, gdyż bronili go kardynałowie Matteo Barberini, Del Monte, Borghese, a bardzo gorąco ujmował się za nim Orsini. Skończyło się więc na tem, że papież polecił kardynałowi Bellarmino, aby oświadczył Galileuszowi, że jeżeli się nie wyprze niektórych swych opinij, a przedewszystkiem swej nauki o plamach na słońcu i będzie dalej te fałszywe poglądy rozszerzał, to Sant'Uffizio wystąpi surowo przeciw niemu. Galileusz obiecał zastosować się do tego rozkazu, a w kilka dni później zostały zakazane księgi Kopernika.

Mimo tego procesu przyjął papież Galileusza bardzo łaskawie i uczony otrzymywał zewsząd dowody wysokiego poważania i sympatji, a gdy w r. 1619 zachorował we Florencji, odwiedzał go w domu austrjacki arcyksiążę Leopold, brat małżonki wielkiego księcia. W rok później ułożył kardynał Matteo Barberini na jego cześć łacińską odę, której dał tytuł «Adulatio perniciosa». Wiersz ten przesłał kardynał uczonemu z bardzo pochlebnym listem, podnosząc serdeczny stosunek, jaki pomiędzy nimi istnieje, i prosząc, aby odę uważał za słaby tylko dowód dobrych jego chęci dla uczonego badacza. Nasz filozof był niesłychanie wdzięczny za ten dowód przyjacielskich uczuć kardynała i podziękował mu listem pełnym uniżoności, na jaką się tylko ludzie XVII wieku zdobyć umieli. Galileusz kończył swoje pismo pokornym zwrotem, «że nie mogąc się wywdzięczyć za tyle łask, któremi go kardynał obsypuje, całuje rąbek jego szaty i prosi Boga, aby go najwyższem szczęściem obdarzył».

W owych chwilach przeciwności i smutków, które Galileuszowi sprawiał proces rzymski, wielką osłodą i pociechą była mu córka, siostra Maria Celeste. Została ona tymczasem zakonnicą, a że klasztor San Matteo d'Arcetri należał do najuboższych we Florencji, więc położenie jej było bardzo smutne. Zakonnice często były głodne, tak, że nierzadko Galilei przynosił swym córkom skromne pożywienie. Najbardziej jednak siostra Celesta skarżyła się na to, że przez dłuższe lata musiała dzielić swoją celę z drugą zakonnicą; dopiero wskutek starań ojca miała zczasem otrzymać osobny pokoik. Siostra Celesta odziedziczyła po ojcu wielki talent; wybornie pisała, zajmowała się naukami, o ile klasztorna klauzura na to pozwalała, i czytywała, a nawet odpisywała dzieła swego ojca, wogóle żyła tylko sławą i powodzeniem ojca, któremu donosiła o każdem zdarzeniu klasztornem. Było w zwyczaju w żeńskich klasztorach, że każda zakonnica wybierała sobie jakiegoś świętego za patrona, któremu zwierzała się w modlitwach ze wszystkich swoich cierpień i radości. Patron ten nazywał się w klasztornym języku «Devoto». Otóż takim Devotem siostry Marji Celesty był ojciec; jemu spowiadała się ze wszystkiego, co ją bolało, do niego często pisywała, a w listach tych przebija wszędzie prawie macierzyńska dla niego miłość i troska o jego zdrowie i powodzenie. Druga córka Galileusza, siostra Arcangela, była typem zakonnicy egoistki, zajętej tylko swojem zdrowiem i religijnemi praktykami.

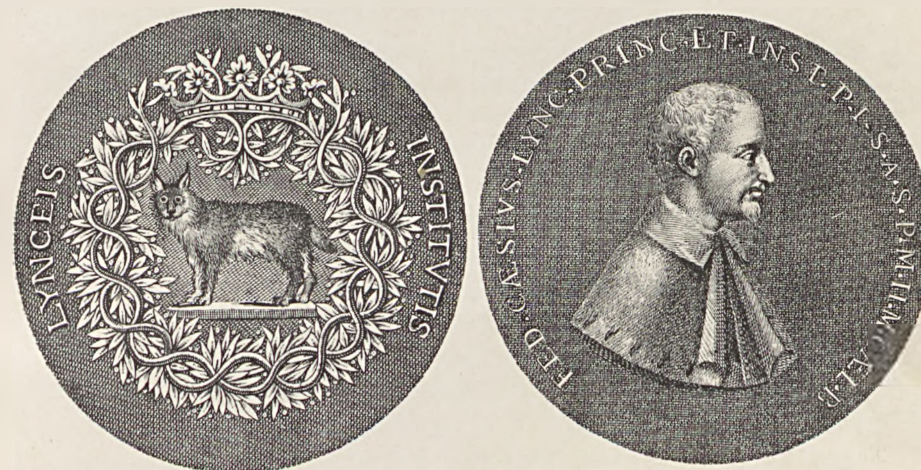
II

W czerwcu r. 1623 najwyższa radość panowała w rodzinie Galileusza, gdyż kardynał Matteo Barberini został papieżem. Siostra Maria Celeste nie miała słów, aby wyrazić ojcu swoją radość z tego powodu, i w prostocie duszy nazwała nowego papieża «najwznioślejszym panem całego świata». Sam Galileusz napisał list do Franciszka Barberi-

niego, w którym mu donosi, jak się czuje szczęśliwym z powodu wstąpienia Jego Świątobliwości na najwyższy tron świata i wyraża nadzieję, że teraz nauki i literatura, które były na wygnaniu za dawniejszych rządów, powrócą znowu do ojczyzny; radość jego nie ma granic, że mógł dożyć triumfu swego ukochanego i najszanowniejszego pana i umrze teraz w spokoju, gdyż większe szczęście nie mogło go spotkać na ziemi.

A Galileo może nigdy dotąd nie potrzebował tak oparcia w Rzymie, jak w tej właśnie chwili. Wdał się w niebezpieczną polemikę z jezuitami. W latach 1618 i 1619 ukazywały się na niebie komety, które bardzo zajmowały ówczesny świat uczonych. Jezuita Orazio Grassi, matematyk w Collegio Romano, miał o nich wykład, który się nie zgadzał z opinjami Galileusza. Nasz astronom, dość ciężko wówczas chory, prosił jednego ze swoich uczniów, Marję Guiducciego, aby w akademji florentyńskiej wystąpił z odczytem, w którymby wyraził jego zapatrywania na pojawianie się komet. Zapatrywania te nie zgadzały się z opinjami O. Grassiego; to też gdy odczyt wyszedł z druku w r. 1619, jezuita nie posiadał się z gniewu. Pod pseudonimem Lotara Sarsi wydał pismo polemiczne, które nie zwracało się przeciw Guiducciemu, jako mniej ważnej w tej sprawie osobistości, ale wprost przeciw samemu Galileuszowi. Gwałtowność i złośliwość, z jaką w tej broszurze napadł Grassi na Galileusza, przypominały czasy Odrodzenia, kiedy to Lorenzo Valla z Filelfem za łby się niemal wodzili. Oczywiście, że i Galileusz nie został dłużnym odpowiedzi, ale w replice, napisanej z wielkiem zacięciem i werwą, wykazał błędne twierdzenia jezuity. Replika nosiła tytuł «Il Saggiatore» i miała być drukowaną właśnie w chwili, kiedy Barberini został papieżem. Galileusz tak był pewny, że papież za słuszne uzna jego wywody, że postanowił poświęcić mu to pismo. W tym celu udał się do bardzo życzliwego mu prezydenta akademji dei Lincei, księcia Fryderyka Cesi, przyjaciela papieża, aby wybadał, czy Urban VIII pozwoli sobie przesłać ową książkę imieniem akademji z przedmową, podnoszącą zasługi papieża, jako uczonego.

Przyjaźń Urbana VIII z księciem Cesi jest charaktery-



Federico Cesi

Założyciel akademji de'Lincei i godło akademji, ostrowidz. Według ryciny w dziele P. Odescalchiego «Memorie dell'accademia de'Lincei». Roma 1806.

Do str. 182

styczna dla postępowych pojęć papieża i jego stosunku do nauk ścisłych. Książę, jako ośmnastoletni jeszcze młodzieniec, założył w r. 1603 wraz z kilkoma towarzyszami w Rzymie Akademję dei Lincei, której celem było szerzyć zamiłowanie do studjów pozytywnych, opierających się na doświadczeniu, i walczyć z arystotelizmem. Oprócz księcia Cesego należeli jeszcze do głównych założycieli akademji Jan Eckins, medyk holenderski, Francesco Stelluti, tudzież Anastasio De Filiis, Rzymianin; grono to urządzało trzy razy na tydzień wykłady o astronomji, medycynie, geometrji i filozofji Platona. Czterej młodzi uczeni robili doświadczenia fizyczne, ale co do wyników tych badań najściślejszą zachowywali tajemnicę. Jezuici i Sant'Uffizio bardzo niechętnie patrzyło na prace akademji, zwłaszcza, że do jej członków należał później i Galileusz. Zaczęto owych młodych uczonych prześladować, tak, że Eckins musiał wyjechać z Rzymu, a od roku 1606 do 1609 akademja prawie nie istniała. Cesi jednak nie spoczywał; w r. 1610 przybrał sporo członków do swego towarzystwa i postanowił rzecz całą ostrożnie prowadzić dalej, a nawet zakładać filje akademji po główniejszych miastach Włoch.

Otóż Cesi dobrze usposobił papieża dla książki Galileusza, co zresztą nie było potrzebnem, gdyż jak pisał naszemu uczonemu Tommaso Rinuccini z Rzymu, papieżowi tak się «Saggiatore» podobał, że Jego Świątobliwość kazał sobie czytać to wyborne pismo polemiczne podczas obiadu. Rzecz prosta, że jezuita Grassi nie musiał być z tego zadowolony, bo Galileusz niemiłosiernie się z nim tam obchodził, i czekał tylko sposobnej chwili, aby wywrzeć zemstę na florentyńskim filozofie. Narazie nie było o tem mowy, bo papież zanadto przychylnie się wyrażał o Galileuszu, a nawet powiedział jednemu ze znajomych astronoma, że pragnąłby go znowu powitać, jeżeli tylko zdrowie uczonego pozwoli na podróż do Rzymu, gdyż, jak się Urban VIII wyraził, «ludzi, jak Galileusz, powinno się szanować, aby żyli jak najdłużej».

O tem wszystkiem wiedział Galileusz; więc zachwycony temi doniesieniami, wybrał się w kwietniu r. 1624 do Rzymu, gdzie go papież nadzwyczaj łaskawie przyjął. Uczony miał aż sześć posłuchań u Urbana VIII, który mu podarował piękny

obraz, dwa medale, jeden złoty, drugi srebrny, tudzież kilka «Agnus dei». Również kardynał Francesco Barberini i inni członkowie papieskiej rodziny okazywali mu wiele uprzejmości. Pomiędzy innemi znakomitościami rozmawiał Galileusz z kardynałem Zollerem, który właśnie miał jechać do Niemiec, a przeto gorąco zajmował się sprawą Kopernika. Kardynał opowiadał, że papież wyraził się, iż Kościół bynajmniej nie potępił astronoma i nie potępiłby go jako heretyka, lecz tylko uznał, że jest zbyt śmiałym w swoich twierdzeniach. «Gdyby zaś nadszedł dzień, dodał Urban VIII, w którymby twierdzenie Kopernika uznać trzeba za prawdziwe, Kościół nie miałby wcale powodów do obaw».

Urban VIII miał przekonanie, że w sprawie Kopernika Sant'Uffizio posunęło się za daleko, a w kilka lat później, w r. 1630, pisał Ojciec Castelli, jeden z najznakomitszych uczniów Galileusza, do swego mistrza o bardzo zajmującej rozmowie, jaką Ojciec Campanelli miał z papieżem. Otóż Urban VIII opowiadał, że miał do czynienia z kilkoma szlachcicami niemieckimi, którzy się ku temu skłaniali, aby przejść na wiarę katolicką. Gdy się jednak dowiedzieli, że Sant'Uffizio zakazało rozszerzania nauki Kopernika, byli do tego stopnia zgorszeni, że odstąpili od tego zamiaru. Urban VIII oświadczył wtedy Ojcu Campanelli, «że potępienie nauki Kopernika nie odpowiadało jego zamiarom i że, gdyby to było wówczas w jego mocy, nigdyby nie wydano takiego dekretu».

Zachęcony temi oświadczeniami Ojca Świętego, postanowił Galileusz powrócić otwarcie do nauki Kopernika, pomimo zakazu świętego Uffizio z r. 1616, tem bardziej, że opinja powszechna zwróciła się przeciw dekretowi i sami członkowie owej duchownej władzy byliby się go teraz chętnie wyparli.

Od dawna, bo jeszcze od czasów padewskich, pracował Galileusz nad dziełem filozoficzno-astronomicznem, będącem w związku z odkryciami Kopernika, którego wszakże nie kończył z powodu owego dekretu Sant'Uffizio, potępiającego naukę polskiego astronoma.

Teraz powrócił do owej pracy, wygotował ją do druku i nadał jej tytuł «Dialoghi del flusso e reflusso». Celem wydrukowania książki pojechał do Rzymu z początkiem maja 1630, pomimo, że ciągle na zdrowiu niedomagał. Dwór florentyński pożyczył mu lektyki, w której go niesiono, a ambasador toskański, Francesco Niccolini, przyjął go w Rzymie do swego pałacu.

Chcąc się zapewnić, że papież nie będzie miał nic przeciw publikacji tej książki, zwrócił się Galilei do życzliwego sobie Ojca Mikołaja Riccardi, maestra del Sacro Palazzo, aby rękopis przejrzał. Riccardi po przeczytaniu dzieła wskazał Galileuszowi niektóre potrzebne zmiany, aby nie popaść w kolizję z Sant'Uffizio. Rzeczy więc stały jak najlepiej, papież przyjął znowu Galileusza na audjencji i nawet w swej dobroci i życzliwości podwyższył mu o sześćdziesiąt skudów jakąś kościelną pensję, którą mu miano wypłacać.

Ale nieprzyjaciele nie spoczywali. Właśnie wtedy Sant'-Uffizio wytaczało proces O. Horacemu Morandi za to, że przepowiedział bliską śmierć Urbana VIII, tudzież kilku astrologom, którzy, jak się zdaje, w tę niebezpieczną sprawę byli wmieszani. Otóż niechętni Galileuszowi chcieli i jego zawikłać w ten proces, gdyż była to wyborna sposobność, aby uczonego oczernić w oczach papieża i pozbawić łask, które im tak zawadzały. Przeszkodą w tych wszystkich intrygach był książę Cesi, który umiał u papieża osłabić wszelkie zarzuty, robione Galileuszowi. Ale nieszczęście chciało, że książę umarł właśnie w zamku swym Acquasparta i nasz uczony został pozbawiony najbardziej wpływowego przyjaciela. Do zawikłania go w proces Morandego wprawdzie nie przyszło, gdyż najmniejszych ku temu nie było powodów, lecz droga do intryg wskutek śmierci Cesiego była otwarta. Galileusz tymczasem odjechał do Florencji, aby w książce poczynić zmiany w myśl uwag Ojca Riccardi. Wkrótce uczynił zadosyć tym żądaniom, lecz rękopisu do Rzymu posłać nie mógł, gdyż tam wybuchła groźna zaraza i poczta nie przyjmowała żadnych papierów. Posłał więc Riccardemu tylko przedmowę, pozostawiając mu wolność poczynienia takich zmian, jakie będzie uważał za stosowne. Riccardi przedłożył rzecz papieżowi, który oświadczył, że nic nie stanie na przeszkodzie drukowaniu książki, jeżeli Galileusz przedstawi w niej naukę Kopernika jako hipotezę, a nie jako absolutną prawdę i nie

będzie w niej dotykał Pisma świętego, nadto, jeżeli przytaczając argumenty, przemawiające za teorją Kopernika, zarazem wyjaśni, że Sant'Uffizio odrzuciło ją nie dla braku wiedzy i nauki, ale ponieważ dowody Kopernika nie były jeszcze dostateczne.

Dopilnowanie, aby rękopis w ten sposób został pozmieniany, polecił Riccardi Ojcu Hiacyntowi Stefaniemu, radcy Inkwizycji we Florencji. Galileusz oświadczył, że się najzupełniej zastosuje do tych uwag, pozmieniał rzecz w porozumieniu z Ojcem Stefanim, dał książce bardzo długi tytuł[1]) i oddał rękopis we Florencji do druku. Ale w rzymskich kołach, nieprzyjaznych Galileuszowi, zaczęto na nowo bić na alarm, że książka jest szkodliwą, że publikacja jej nie powinna być dozwoloną, gdyż autor stara się dowieść tego, co już Kościół potępił, i że wbrew woli papieża wdaje się w niej w rozprawy teologiczne. Zarzuty były o tyle słuszne, że Galileusz zastosował się wprawdzie do uwag, które mu Riccardi i Stefani porobili, lecz pominął wyraźną wolę papieża, którą Urban VIII od początku objawiał, aby autor nie wkraczał w dziedzinę teologji, nie wciągał w dyskusję tekstów Pisma świętego, nie wdawał się w teologiczne rozprawy, ale zasady Kopernika starał się utwierdzać wyłącznie tylko wywodami matematycznemi. Nic zresztą nie było łatwiejszego, jak trzymać się ściśle nauki, wszelkie wkraczanie w dziedzinę teologji nie przyczyniało się bynajmniej do rozjaśnienia naukowych wywodów. Ale w Galileuszu tkwiło jeszcze potrosze przyzwyczajenie uczonych Odrodzenia, aby Pismo święte i wogóle nauki wiary objawionej wciągać do badań filozoficznych, co zupełnie było niepotrzebnem, a nawet nakładało pęta ścisłemu rozumowaniu, opartemu na doświadczeniu. Upór Galileusza zgubił go; nieprzyjaciołom uczonego łatwiej teraz było przekonać papieża o nieposzanowaniu jego woli,

[1]) Dialogo di Galileo Galilei Linceo, Matematico sopraordinario dello Studio di Pisa e Filozofo, e Matematico primario del Serenissimo Gr. Duca di Toscana. Dove ne i congressi di quattro giornate si discorre sopra i due Massimi Sistemi del Mondo proponendo indeterminatamente le ragioni Filosofiche e Naturali tanto per l'una, quanto per l'altra parte.

zwłaszcza, że w otoczeniu Urbana VIII nie miał już wiernego obrońcy, księcia Cesi. Jezuici zaczęli rozgłaszać, że książka Galileusza więcej przyniesie szkody Kościołowi, aniżeli jej wyrządził Luter albo Kalwin, a co gorsza, podsunęli Urbanowi VIII podejrzenie, że Galileusz wprowadził w swoje «Dialogi» śmieszną osobistość, która ma przedstawiać papieża, i chce zohydzić jego naukowe zapatrywania.

W tym «Dialogu», który, rzec można, ma kulturalne znaczenie, wspomniał Galileusz o dekrecie z r. 1616, wydanym przeciw Kopernikowi, a chcąc uczynić zadość wymaganiom Urbana VIII, uznał potrzebę takiego pisma, ponieważ w ten sposób usunięto niebezpieczne dla pojęć religijnych polemiki. Zarazem jednak krytykował sędziów w Sant'Uffizio, którzy, nie mając wiadomości astronomicznych i unosząc się chwilową namiętnością, nie zbadali całej sprawy ani dokładnie, ani umiejętnie. Oświadcza dalej, że popierał zasady Kopernika, ale tylko jako ściśle matematyczną hipotezę i walczył z perypatetykami, którzy, pomijając zupełnie doświadczenie, opierają się jedynie na źle zrozumianych czterech zasadach Arystotelesa. Wywody swoje włożył Galileusz, według ówczesnego literackiego zwyczaju, w usta kilku spierających się ze sobą osobistości. Rzecz niby się dzieje w Wenecji, a interlokutorami są Giovan Francesco Sagrada, Wenecjanin, Filippo Salviati, Florentyńczyk, obydwaj zmarli już uczniowie Galileusza, i jakiś Simplicius, tak nazwany, ponieważ ślepo wierzy w dawnego komentatora Arystotelesa, tego samego nazwiska.

Ten Simplicius jest postacią trochę śmieszną, trochę głupowatą, która chcąc bronić Arystotelesa, wygłasza same niedorzeczności. Galileusz popełnił wielką nieroztropność, że zrobił ze Simplicjusza przeciwnika swojej teorji o przypływie i odpływie morza, której także i papież nie uznawał. W całej zresztą rozmowie owych trzech osób przebija tendencja poniżenia współczesnych perypatetyków, którzy przecież otaczali Barberiniego za jego kardynalskich czasów. Wprawdzie Galileusz starał się uwydatnić rozum i takt kardynała, który czuwał nad tem, aby nie dopuścić pomiędzy uczonymi ze względów religijnych do ostrych przymówek, ale bądź co

bądź dał swym przeciwnikom sposobność do niebezpiecznych zaczepek.

Zrazu jednak nikt nawet nie przypuszczał, aby Galileusz chciał w postaci Simpliciusa przedstawić papieża, i owszem, osobistość ta w jego rozprawie, jako zupełnie obojętna, bawiła czytelników, jak to wynika z korespondencji ojca Castelli.

Dwaj przeciwni Galileuszowi jezuici, Grimberger i Grassi, odkryli zaraz słabą stronę «Dialogu» i podsunęli Urbanowi VIII podejrzenie, że astronom chciał w postaci Simpliciusa wystawić papieża na śmieszność, jako grubego nieuka.

To wystarczyło. Papież odrazu zmienił swoje postępowanie wobec uczonego. Wszystkie gniewy, do jakich Urban VIII był zdolny, wybuchły na tę myśl, że Galileusz chciał go poniżyć, wyszydzić i że to zrobił człowiek, któremu Barberini czynił zawsze dużo dobrego.

Urban VIII wziął ową książkę do ręki, przeczytał ją w sierpniu r. 1632, t. j. dopiero wtedy, kiedy już był uprzedzony przeciw jej autorowi i kiedy Sant'Uffizio wydało zakaz jej rozpowszechniania. W swem usposobieniu cholerycznem i popędliwem tracił spokój, a gdy mu wspomniano tylko nazwisko Galileusza, chciał zaraz wydać rozkaz, aby go stawiono przed sąd Inkwizycji. Tylko interwencji wielkiego księcia toskańskiego i prośbom jego ambasadora zawdzięczał Galileusz, że Urban VIII mianował osobną kongregację, któraby poprzednio dokładnie zbadała książkę, podejrzaną pod względem prawowierności. Kongregacja szybko rzecz załatwiła, wyliczając w osobnym memorjale wszystkie zarzuty, jakie ze stanowiska Kościoła można było zrobić Galileuszowi. Zaledwie papież ów memorjał otrzymał, wydał natychmiast rozkaz, aby uczony w przeciągu miesiąca, w październiku r. 1632 stawił się przed jeneralnym komisarzem S. Uffizio w Rzymie.

Takiego obrotu rzeczy, ufając ciągle w łaskawośc Urbana VIII, Galileusz się nie spodziewał. Był on tak przekonany, że książką swą nie narazi się bynajmniej papieżowi, że w r. 1631 wynajął wpobliżu klasztoru San Matteo d'Arcetri małą willę, zwaną «Il Gioiello», aby być blisko ukochanej córki Marji Celesty i spędzać tam w spokoju ostatnie lata swego życia. Schorowany i słaby, bał się już zresztą i podróży do Rzymu, prosił więc za pośrednictwem rządu toskańskiego papieża, aby mógł stanąć, celem usprawiedliwienia się, przed inkwizytorem we Florencji, a nie w Rzymie. Lecz Urban VIII taki był na niego zawzięty, że kazał mu natychmiast przedsięwziąć podróż do Stolicy. Galileusz jeszcze bardziej zaniemógł z przerażenia, a papież, sądząc, że obwiniony udaje chorobę, wydał w grudniu r. 1632 rozkaz, aby S. Uffizio wysłało do Florencji swego komisarza w towarzystwie lekarzy, którzy mieli zbadać stan jego zdrowia i jeżeliby się przekonali, że Galileusz może podjąć podróż do Rzymu, aby go okuli w łańcuchy i tam na własne jego koszta przystawili. Wielki książę Ferdynand II, najprzyjaźniej usposobiony dla Galileusza, nie miał dość odwagi oprzeć się rozkazowi papieża, pomimo, że uczony był jego poddanym, więc znękany astronom udał się dnia 20 stycznia 1633 do Rzymu. W drodze musiał na granicy państwa papieskiego odbyć dwudziestodniową kwarantannę, co jeszcze wzmogło jego moralne i fizyczne cierpienia, tak, że dopiero 12 kwietnia 1633 stanął w Rzymie. Tam przyjęła go małżonka posła toskańskiego Niccoliniego w swój dom, w willi Medici, i wielką mu okazywała łaskawość. Co więcej, pisywała nawet do siostry Celesty, aby ją uspokoić co do zdrowia ojca. Biedna zakonnica ufała zresztą, że sprawa Galileusza dobrze się skończy; z jednej strony bowiem była przekonaną o sprawiedliwości papieża, z drugiej wiedziała, że ojciec jej należy do ludzi religijnych i że wszystko, co pisze, pisze w dobrej wierze.

Siostra Celesta się myliła. Natychmiast po przybyciu do Rzymu wezwano Galileusza do pałacu Inkwizycji, przy kościele Minerwy. Tam po raz pierwszy przesłuchał go jeneralny komisarz Inkwizycji, O. Wincenty Maculano da Firenzuola, w asystencji prokuratora państwa.

Galileusz tłumaczył się źle, niegodnie, jak schorowany starzec, przygnębiony obawą. Utrzymywał, że wiele rzeczy nie pamięta, że w swojej książce bynajmniej nie bronił nauki

Kopernika, lecz owszem wykazywał, że dowody astronoma nie mają żadnej realnej wartości. Zwrócono mu uwagę, że w książce swej właśnie przeciwnego jest zdania, a teolog, jezuita Melchjor Inhofer, który miał powierzone sobie dokładne zbadanie «Dialogów», wykazywał, iż nietylko obstawał w niej przy poglądach Kopernika o ruchu ziemi, ale co więcej, uważał za najgłówniejsze zadanie zbijać wywody Ojca jezuity, Krzysztofa Scheinera, przeciwnika teorji Kopernika. Tak Inhofer, jak dwóch innych jezuitów, którzy mieli przedłożyć sprawozdanie o inkryminowanej książce, uznali jednomyślnie, że Galileusz wykroczył przeciw dekretowi Sant'Uffizio z r. 1616 i że jego obecne tłumaczenie zostaje w sprzeczności z tem, co napisał. Zagrożono mu zatem, i to z rozkazu papieża, że jeżeli się nie przyzna do winy, jeżeli się nie zaprze fałszywej zasady, jakoby ziemia się obracała, a słońce stało, to na pełnem posiedzeniu kongregacji del Sant'Uffizio będzie wzięty na tortury.

Ze strachu przed fizycznemi mękami oświadczył wtedy Galileusz, że się przyznaje do winy, i podpisał dokument, w którym się zapierał swej nauki, swego całego życia. Kazano mu złożyć to oświadczenie «szczerem sercem i nieudaną dobrą wiarą». «Poczciwy starzec — donosił Jean Jacques Bouchard dnia 29 czerwca 1633 r. jednemu ze swych znajomych w Wenecji — musiał wkońcu ulec. Dwa dni jeszcze zatrzymano go w Sant'Uffizio, poczem zaprowadzono w czerwonej koszuli, co było znakiem pokuty, do Minerwy, przed kardynałów i innych członków Kongregacji. Tam skazano go na więzienie w Sant'Uffizio i wydano zakaz sprzedawania książki. Doprawdy dziwię się, że starzec potrafił przeżyć taki cios. Zawiść triumfowała, poniżając go w oczach świata». Ten sam Bouchard w innym liście wyraził się o Galileuszu, że to starzec najmądrzejszy, najzacniejszy i najwymowniejszy, jakiego kiedykolwiek widział; jest w nim coś ze starożytnych filozofów. Starzec jednak był fizycznie złamany.

Jezuita Scheiner nie posiadał się z radości z powodu wyroku na Galileusza; rozgłaszał, że filozof przywłaszczył sobie jego wynalazki i dziwił się, «że ten człowiek mógł przeżyć ten wstyd, jakim się okrył». Scheiner pisał do Atanazego Kirchera, że sam papież i jenerał Zakonu zachęcali do wystąpienia przeciw Galileuszowi. Inny jezuita, Krzysztof Grimberger, ubolewał nad uczonym, że nie umiał sobie pozyskać przychylności jezuitów; gdyby z nimi był w dobrych stosunkach, sława jego byłaby zapewniona po wsze czasy «i mógłby był pisać, coby mu się podobało, nawet o obrocie ziemi». Ojciec Grimberger nie przewidywał, że po kilkunastu już latach świat cały będzie wdzięczny Galileuszowi za jego wynalazki, a o istnieniu OO. Grassego i Scheinera dowiedzą się uczeni o tyle, o ile na nich spadnie cień wielkiego uczonego.

Po wyroku na Galileusza rozpoczęto w Rzymie zawziętą walkę przeciw nauce Kopernika. Papież złożył ojca Riccardego z urzędu maestra del Sacro Palazzo, ponieważ dał swe «imprimatur» «Dialogom», a Ciampoli, który się starał u papieża o pozwolenie na druk, został wysłany na gubernatora małej mieściny Montalto i pozbawiony widoków na godność kardynalską, która mu była przyobiecana.

Gdy jednak jezuita Scheiner wyjechał do Niemiec, zabrakło w Rzymie jednej z głównych osobistości, które jątrzyły papieża przeciw Galileuszowi. Powoli więc, ostrożnie, zaczęli przyjaciele uczonego, a mianowicie Ojciec Castelli i hrabia de Noailles, ambasador francuski, tłumaczyć papieżowi, że uczonemu ani na myśl nie przyszło, aby w osobie Simpliciusa przedstawiać Jego Świątobliwość. Postępowanie Urbana VIII cokolwiek złagodniało. Pozwolił najprzód, aby Galileusz odsiadywał więzienie u przyjaciela, arcybiskupa Ascania Piccolominiego w Sienie, a następnie w swej willi w Arcetri, we Florencji, pod warunkiem, że nie będzie tam przyjmował odwiedzin i żyć będzie w zupełnem odosobnieniu.

Na złagodzenie postępowania wpłynęło także powszechne oburzenie, jakie w całej Europie wywołał proces Galileusza. Pomiędzy innymi Kartezjusz, oddany zawsze Kurji rzymskiej, powiedział, że raczej spaliłby wszystkie swoje papiery, aniżeliby miał pozwolić, ażeby je badała albo potępiała Inkwizycja. Prowansalczyk Peiresse, osobistość bardzo poważna, przyjaciel kardynała Francesca Barberiniego, napisał do niego,

radząc, aby się koniecznie zajął złagodzeniem losu Galileusza, gdyż sprawa tego uczonego byłaby plamą na świetności i sławie pontyfikatu Urbana VIII. Peiresse dodał w drugim liście do kardynała, że najszlachetniejsze umysły współczesne ubolewają nad surowością, z jaką się papież obszedł z Galileuszem, i że potomność osądzi to prześladowanie uczonego tak surowo, jak osądziła wyrok na Sokratesa. Stany jeneralne w Holandji pragnęły powołać Galileusza na katedrę, która miałaby być ustanowiona w Ateneum amsterdamskiem; lecz uczony, nie chcąc drażnić papieża i obawiając się, aby go nie kazał przewieźć do więzienia w St. Uffizio, wymówił się, że daleka droga zanadtoby go zmęczyła, i korzystnej posady nie przyjął. W tych ciężkich chwilach ubyła Galileuszowi ostatnia pociecha, którą miał na świecie. Siostra Marja Celesta umarła dnia 2 kwietnia 1634, a ojciec przypisywał śmierć jej moralnym cierpieniom, jakie przebyła podczas procesu. Donosząc o tem nieszczęściu jednemu ze swych przyjaciół, nazwał swą córkę kobietą wysokich zalet umysłu, szczególnej dobroci i nadzwyczajnego do niego przywiązania.

Wszystkie te nieszczęścia nie zdołały złamać potężnego umysłu; Galileusz wrócił do pracy. Napisał nową naukową rozprawę «Dialoghi delle nuove Scienze», dzieło nadzwyczajnej doniosłości, w którem położył podstawy pod nowoczesną fizykę. Nadto zabrał się do pracy nad sposobem oznaczenia długości morskich, mających służyć do użytku marynarzy. Stany Jeneralne holenderskie, dowiedziawszy się o tem, zachęcały go, aby rzecz jak najprędzej wykończył, przysłały mu łańcuch złoty wartości pięciuset florenów i kazały zaasygnować tysiąc florenów na potrzebne instrumenty. Galileusz tak się przeraził, przewidując, że ów łańcuch będzie dla Inkwizycji powodem nowych podejrzeń i ostrzejszego wobec niego postępowania, że podarunku nie przyjął, co w Rzymie bardzo się podobało.

Ale wielki uczony nie mógł już nawet uczynić zadość żądaniom Holendrów. Od maja r. 1636 tak miał wzrok osłabiony, że zaprzestał po nocach badań astronomicznych, a w rok później tak mu się pogorszyło, że w lecie r. 1637 zupełnie zaniewidział. Galileo prosił florentyńskiego inkwizytora,

aby doniósł o tem do Rzymu, sądząc, że teraz będzie mu wolno przenieść się do miasta, aby móc w każdej chwili poradzić się lekarza. Inkwizytor, padre Fanano, udał się, stosownie do otrzymanych z Rzymu rozkazów, do Arcetri wraz z lekarzem i znalazł uczonego w stanie opłakanym. «Zupełnie wzrok stracił, pisał dnia 13 lutego 1638 do kardynała Barberiniego, a chociaż ma nadzieję, że się wyleczy, toć w siedemdziesiątym roku życia, którego Galilei teraz dożywa, niema mowy o zdjęciu katarakty. Nadto różne dokuczają mu choroby i tak źle wygląda, że podobny raczej do zmarłego, aniżeli do żyjącego człowieka».

Sprawozdanie inkwizytora przeczytano dnia 26 lutego r. 1638 na posiedzeniu Sant'Uffizio, które się odbyło pod przewodnictwem papieża. Zawziętość Urbana VIII była jednak tak wielka, że jeszcze uważał Galileusza za człowieka zanadto niebezpiecznego, by mu dać zupełną wolność, o którą prosił. Pozwolił mu tylko przenieść się z willi Gioiello do Florencji pod warunkiem, że nie wyjedzie z miasta pod karą formalnego więzienia i grozą klątwy i że nawet w domu z nikim nie będzie rozmawiał o teorji Kopernika. Florentyński inkwizytor pozwolił synowi Galileusza, Wirginjuszowi, opiekować się ojcem, robiąc go odpowiedzialnym za należyte wykonanie rozkazów, które wydało Sant'Uffizio. Kontrola nad starcem tak była ścisłą, że Galileusz musiał otrzymać osobne pozwolenie inkwizycji, aby móc w wielkim poście udać się do pobliskiego kościoła San Giorgio i tam uczynić zadość religijnym przepisom.

W pierwszych miesiącach r. 1639 wniósł uczony jeszcze jakąś prośbę do Urbana VIII; o co mu chodziło, nie wiemy, wiadomo tylko, że suplika nie została uwzględnioną. W owym roku przeniósł się znowu do Arcetri, straciwszy nadzieję odzyskania wzroku i z dziwną świeżością umysłu dyktował dalsze dwie pogadanki, mające uzupełnić «Dialoghi delle nuove Scienze». Ciemnego starca odwiedzał jeszcze Milton, jadący wówczas do Rzymu.

W listopadzie r. 1641 zachorował Galileo obłożnie na febrę. Jeszcze 20 grudnia podyktował list do Aleksandry Bocchineri Buonamici, dawnej swej przyjaciółki, a w nocy

8 stycznie 1642 umarł, oświadczając, że nigdy nie zboczył z drogi pobożności i nigdy nie uchybił winnemu uszanowaniu dla Kościoła i wymaganiom własnego sumienia, co tylko jemu samemu wiadomo na ziemi, a Bogu w niebie. Dwóch wiernych uczniów, Ewangelista Toricelli i Wincenty Viviani, pilnowało go z miłością do chwili, kiedy wydał ostatnie tchnienie.

W całej sprawie Galileusza nie chodziło właściwie o naukową zasadę, lecz o osobiste urazy. Urban VIII był zanadto rozumnym i zanadto wykształconym człowiekiem, aby bezwzględnie odrzucał teorję Kopernika o obrocie ziemi. Wszak potępiał wyrok, który wydało w tej mierze Sant'Uffizio w r. 1616 i o wiedzy Galileusza wysokie miał wyobrażenie. Walka przeciw filozofowi wyszła od dwóch jezuitów, Scheinera i Grassego; obrażeni na Galileusza i zazdroszcząc mu sławy, skorzystali z dwóch najdrażliwszych stron charakteru papieża, aby znienawidzonego im filozofa powalić i zniszczyć. Dumy Urbana VIII i jego despotycznego usposobienia nie wolno było dotknąć. Wmówiono w papieża, że Galileusz poważył się obrazić go, a co więcej, ośmieszyć, a nadto, że nie usłuchał woli papieskiej, która powinna być dla wszystkich rozkazem. To były dostateczne powody, aby Urban VIII stał się nieubłaganym i aby tej nienawiści do Galileusza żaden wzgląd ludzkości i miłosierdzia nie zatarł. W całym zaś procesie wielki książę toskański okazał się człowiekiem niegodnie słabym, lękającym się stawić czoło papieżowi, gdy chodziło o obronę własnego poddanego, i to takiego poddanego, jak Galileusz. Nieszczęściem filozofa było, że opuścił Padwę; Signoria wenecka byłaby umiała rozciągnąć nad nim swą opiekę.

Urban VIII przeżył o dwa lata Galileusza, dość czasu, aby się przekonał, że nie zdołał zniszczyć ani sławy, ani zasad wielkiego uczonego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CAVALIER MARINO

I

W tym samym czasie, co Marino, żył «jakiś» Shakespeare w Anglji, o którym nikt wówczas nie wiedział; dzisiaj Shakespeara zna każdy student, o Marinim zaś wielu ludzi nawet oczytanych nigdy nie słyszało. A przecież Marina uważano w XVII wieku za najznakomitszego poetę w całej Europie, pisano o nim, że nietylko przewyższa swych rzymskich poprzedników, ale że jest większym od greckich, chaldejskich i hebrajskich wieszczów! Taki Lopez de Vega podziwiał go i stawiał wyżej od Tassa.

Ale bądźmy sprawiedliwi; idźmy w odległe osady Abruzzów, do Neapolu i w górskie zakątki Sycylji, a znajdziemy w rękach włoskiego ludu drukowane ćwiartki z wierszami Marina, a osobliwie jego «La strage degli Innocenti» rozczula dotąd kochające matki.

Giovan Battista Marino urodził się 14 października r. 1569 w Neapolu i był jednem z siedmiorga dzieci Giovana Francesca, prawnika. Francesco pochodził z Kalabrji, musiał mieć jakiś urząd, zapewne był adwokatem, ale w wolnych chwilach zajmował się poezją, nawet uległ powszechnej wówczas zarazie teatralnej i urządzał w swym domu przed-

stawienia eklog i komedyj, w których brali udział członkowie rodziny i znajomi.

W ojcowskim domu po raz pierwszy spotkał się Marino z muzami, chociaż jeden z ówczesnych astrologów utrzymywał, że z urodzenia musiał być poetą i to bardzo lubieżnym, gdyż przyszedł na świat w czasie połączenia się Wenery z Saturnem. Francesco nie pragnął jednak, aby jego syn wiersze pisał; chciał z niego zrobić także adwokata, gdyż ten zawód w ówczesnych stosunkach neapolitańskich najwięcej popłacał i bywał nieraz stopniem do wielkich dostojeństw. Przewidujący ojciec wysłał Gianbattistę najprzód do słynnej szkoły humanistycznej Alfonsa Gabota, a gdy syn miał lat czternaście i umiał gramatykę, kazał mu w r. 1583 uczyć się prawa. Ojciec był surowym człowiekiem «genitor severo», a chociaż Gianbattista nie miał najmniejszej ochoty do studjów prawniczych, przecież uległ woli Francesca i po kilku latach został adwokatem, mogącym bronić spraw przed neapolitańskiem forum. Te sądowe urzędy w hiszpańskim wówczas Neapolu były stekiem najgorszego hultajstwa; więc też młody adwokat z największym wstrętem chodził do «tych piekieł neapolitańskich», przekonawszy się jednak, że «sprawiedliwość opuściła ziemię, aby zamieszkać w niebie», pożegnał się z forum i oddał zupełnie studjom literackim i poezji. Jako dziewiętnastoletni młodzieniec postarał się, że go przyjęto do akademji «degli Svegliati», jednej z najbardziej «arytokratycznych» w Neapolu, należało do niej bowiem sporo książąt i markizów. Założył ją poeta i filozof Giulio Cortese, a członkiem jej był przez jakiś czas nawet Tasso. Młodzieniec napisał wtedy kanzonę «I baci», w której, jak się sam wyraził, pierwszy nauczył «l'arte del ben baciare». Kanzona, ucząca, jak całować należy, była wkrótce jedną z najpopularniejszych piosnek neapolitańskich, śpiewano ją nad morzem i w pomarańczowych gajach. Nauka pocałunków była tam bardzo dokładna: usta stały się w niej «miłem więzieniem», «kąsającym koralem», a przedewszystkiem medycyną na wszystkie przykrości:

Baci aventurosi
Ristoro de'miei mali...



Giambattista Marino
Według ryciny w Albertynie w Wiedniu

Do str. 196

Że Marino lubował się w tym temacie, dowodzi także piękna stanca w «Adonisie», gdzie Venus zwraca się do ust kochanka:

. . . . . . Usta wy lube,
Pałaców śmiechu brylantowe wrota;
Klombie różany, skąd na moją zgubę
Miłosna żmija żądełkiem się miota;
Skrzynio, perłami na natury chlubę
Szyta: alkowo, gdzie Amor niecnota
Chroni się trwożny, z obawy katusze,
Gdy zabił serce i zrabował duszę.
(Adone VIII, 120 i nast. tłum. E. Porębowicz).

Zdarzyło się, że wkrótce po wstąpieniu Gianbattisty do znakomitego grona Svegliatich stał się w mieście fakt, który na wszystkie wrażliwe umysły wstrząsające wywarł wrażenie. Donna Marja d'Avalos, należąca do jednej z najpierwszych rodzin, wdowa po dwóch mężach, stanęła niedawno po raz trzeci przed ołtarzem ze swoim krewnym, Karolem Gesualdem, księciem di Venosa, wielkim lubownikiem muzyki, który nawet dorabiał muzykę do kilku madrygałów Tassa. Dom księstwa Venosa był otwarty dla poetów i literatów, a donna Marja, pomimo, że miała już trzeciego męża, jaśniała jeszcze urodą, a serce jej było skłonne do miłosnych żarów. Częstym gościem bywał u księstwa Don Fabrizio Carafa, duca d'Andria; młody i przystojny, zakochał się w donnie Marji i znalazł wzajemność. Mimo prawie nieprzezwyciężonych trudności znaleźli kochankowie sposoby, aby się widywać i urządzać schadzki miłosne w pałacu di Sangro, wpobliżu kościoła S. Domenico Maggiore. Gesualdo musiał się dowiedzieć o niewierności małżonki, udał, że wyjeżdża z Neapolu, a w rzeczywistości, palony zazdrością, czyhał tylko na sposobność, aby się zemścić. W nocy też 15 października 1590, gdy kochankowie, czując się bezpiecznymi w jednej z komnat pałacu Sangro, zasnęli po namiętnych uściskach, wszedł cichaczem Gesualdo, rzucił się na śpiących i w straszny sposób oboje zamordował.

Cały zastęp poetów opiewał tragiczną scenę, Tasso posłał Wincentemu Caracciolo sonet «na temat, z powodu którego płacze cały Neapol», a więc i dwudziestoletni Marino

uchwycił sposobność, aby się dać poznać w szerszych kołach i napisał dwa sonety, które miały łzy wyciskać poetycznie usposobionym Neapolitankom.

Ojciec Francesco inaczej jednak zapatrywał się na synowski talent do sonetów. Zrazu dobrocią starał się przekonać Gianbattistę, że wiersze chleba nie dają, prosił, aby młody adwokat chodził raczej do trybunału, aniżeli do akademji; ale gdy wszelkie rozsądne namowy na nic się nie przydały, wypędził syna z domu, pozbawił go wszelkich środków utrzymania, aby go zmusić do ponownego podjęcia adwokatury. Płakała matka Gianbattisty z powodu srogości ojca, wstawiały się siostry za bratem u starego; nic nie pomogło. Francesco się zawziął, miłość do syna zmieniła się u niego w gniew niepohamowany, prawie w nienawiść; nie chciał widzieć niewdzięcznika, nie chciał go cierpieć pod swoim dachem.

Gianbattista znalazł się na bruku neapolitańskim, prócz talentu do wierszy, pozbawiony wszystkiego. Ale wówczas nie brak było mecenasów, którym to pochlebiało, gdy poeci opiewali ich wspaniałomyślność. Do takich należał właściciel pysznej willi na Posilipie, markiz Manso, żołnierz-poeta, u którego Tasso przez jakiś czas przebywał. Manso był także członkiem akademji degli Svegliati, a na jej zebraniach poznał go zapewne Gianbattista. W swej biedzie udał się do niego Marino, prosząc o pożyczkę pięciu dukatów, które obiecywał oddać w przeciągu dni piętnastu. Te pięć dukatów miało, jak pisał Gianbattista, «zdjąć mu jarzmo z szyi, a łańcuchy z nóg» i zapewnić lepszą przyszłość. Manso przysłał dukaty, a Gianbattista, nie mając na termin pieniędzy, spłacił dług sonetem. Neapolitański mecenas musiał być wszakże przyzwyczajony do tego rodzaju spłacania pożyczek, udzielanych poetom, gdyż bynajmniej nie wziął za złe niesłowności biedaka, lecz owszem wspomagał go dalej nietylko pieniędzmi, ale także odzieniem i książkami. Niewiele też czasu upłynęło od pierwszego zapożyczenia się u Mansa, a już Gianbattista był śmielszy i prosił go o trzydzieści dukatów, obiecując, że je odda wraz z dawniejszemi długami; przyrzekał zresztą, że dopóki mu tchu stanie, będzie «publiczną trąbą

zacności człowieka, który mu dopomógł w chwilach największej niedoli».

Zręczny Gianbattista umiał sobie niebawem pozyskać i innych protektorów; pochlebny wiersz zawsze jeszcze miłe robił wrażenie w pałacach możnych książąt. Sonet otworzył poecie także drzwi do księcia di Bovino. Marino opiewał wdzięki księżnej Porcji z domu Carafa i korzystał z każdej sposobności, aby sobie zdobywać nowych przyjaciół i protektorki. Razu pewnego poniosły konie powóz principessy di Castelvetrano i o mało że z księżną i jej przyjaciółką, markizą di Cerchiara, nie wpadły do morza. Nasz poeta napisał wiersz radosny z tego powodu, który musiał dlań ująć dwa serca kobiece.

Akademja degli Svegliati była w modzie i miała nietylko przyjaciół, ale i liczne protektorki. Należała do nich także Cornelja de la Noy, duchessa di Castel di Sangro. Na nieszczęście księżna umarła w r. 1594, więc wszyscy akademicy, a pomiędzy nimi i Gianbattista płakali rzewnemi sonetami. Dochody jednak z okolicznościowych poezyj nie wystarczały na utrzymanie, więc Marino wystarał się o jakieś zajęcie u typografa Salvianiego, a zarazem przysłużał się, jak mógł, swoim możnym przyjaciołom, pomiędzy innemi przygotował dla nich powtórne wydanie «Sztuki jeżdżenia konno» signora Pirra Ferraro, pod tytułem «Cavallo frenato». Sam zapewne niewiele się rozumiał na ujeżdżaniu rumaka.

Wreszcie po długich staraniach dostał się w r. 1596 na dwór najpotężniejszego pana w Neapolu, Don Mattea di Capua II, księcia di Conca, który był przez jakiś czas także protektorem Tassa. Była to pierwsza «służba» poety na wielkim dworze, która niemało wpłynęła na całe jego życie. Marino nauczył się tam kortezji i tak przywykł do dworactwa, że później, podobnie jak Tasso, nie mógł się już obejść bez «dworu», pomimo, że na «servizio» ciągle narzekał.

Don Matteo, principe di Capua był właścicielem rozległych posiadłości w Neapolitańskiem, a zarazem piastował godność wielkiego admirała królestwa. Od młodości umiał używać życia, tak dalece, że jego ojciec, chcąc, aby się ustatkował, ożenił go ze słynną z urody Hiszpanką, donną Giovanną Pacecco,

córką hrabiego Piotra di Miranda, krewną wicekróla neapolitańskiego. Tasso ułożył kanzonę na głośne wówczas małżeństwo, które po śmierci trochę oszczędnego ojca Don Mattea, wprowadzało w skromny dotąd dom wspaniały przepych i zbytek. Pałac księcia Capuy znajdował się w górnej, arystokratycznej dzielnicy Neapolu, wpobliżu klasztoru św. Antoniego z Padwy. Była to prawdziwie książęca siedziba, otoczona wspaniałym ogrodem, mieszczącym największy plac do gry w «rachettę» i w «pallone», od którego nawet przyległą ulicę nazwano via del Pallonetto.

Wewnętrzne urządzenie pałacu odpowiadało czarującemu otoczeniu. Ściany wysokich komnat były pokryte arazzami, przedstawiającemi «Stworzenie świata», «Adama i Ewę w raju», «Sceny z żywota Chrystusa», «Historję Tobjasza i Jonasza», a gdzie opon nie stało, porozwieszano najkosztowniejsze obrazy i portrety rodziny właściciela. Meble były z hebanu, wykładane słoniową kością, albo rzeźbione z drzewa, wyzłacane, portjery zaś i firanki z adamaszku, aby jaskrawe słońce południowe nie raziło oczu. W stajniach księcia stało sto koni wierzchowych i karecianych, a dwie wozownie pełne były kosztownych rzędów i lśniących od złota i aksamitów karoc.

Służby i dworzan, tak zwanej «familji», było bez liku, pomiędzy nimi członkowie najznakomitszych rodzin neapolitańskich, jak Carafa, Lopez de Luna, Capece i Sangro, a gdy książę udawał się na przechadzkę po mieście, towarzyszył mu cały szereg znakomitości. Większa część tych «familjantów» nie miała nic do czynienia, służąc jedynie do uświetnienia domu książęcego.

Matteo di Capua był zresztą niezwykłym człowiekiem; bardzo wykształcony, znał się na malarstwie, na muzyce, na literaturze i oczywiście pisał poezje, a dom jego stał się ogniskiem umysłowego życia Neapolu. Współzawodniczył z nim pod tym względem Luigi Carafa, principe di Stigliano, także poeta, zakochany w śpiewaczce Adrianie Basile, o której jeszcze mówić będziemy; współzawodniczyli i inni, jak principe di Avellino, Marino Caracciolo, principe di Venosa, ale

żaden z nich nie mógł mu dorównać prócz może księcia del Conca, także protektora Tassa.

Matteo di Capua miał zamki w Abruzzach, w Kampanji, a osobliwie siedziba jego w Vico Equense prawdziwie po królewsku była urządzona; książę zgromadził tam mnóstwo cennych dzieł sztuki. Gianbattista miał tytuł sekretarza książęcego i jeździł wszędzie, gdzie dwór się przenosił. Zbierał wrażenia, rozkoszował się widokami pięknej natury, układał sonety, madrygały i kanzony i powziął już wtedy myśl napisania wielkiego poematu pod tytułem «Adone», który później miał być jego najznakomitszem dziełem.

Na salonach księstwa miał Gianbattista sposobność poznać najpiękniejsze kobiety neapolitańskiej arystokracji i patrząc się na rozliczne intrygi miłosne, zbierać wzory do przyszłych swoich poezyj. Piękne sny młodego poety przerwało bardzo smutne zajście. Nagle, niespodziewanie został uwięziony i odprowadzony do ciemnych lochów. Nikt nie wiedział powodu uwięzienia, krążyły tylko domysły. Później dopiero rzecz się wyjaśniła. W czasie pobytu książęcego dworu w Neapolu zakochał się Marino w pięknej i młodej Antonelli Testa, córce zamożnego kupca z Sycylji; ciesząc się najzupełniejszą wzajemnością bogdanki, prosił rodziców o jej rękę. Bogaty kupiec szorstko odprawił chudego poetę, który nie miał majątku, ani stanowiska. Młodzi kochankowie postanowili jednak zmusić rodziców do dania zezwolenia na kościelne śluby i znaleźli sposobność, aby spełnić akt małżeński bez zapowiedzi. Kupiec spostrzegł, co się stało, a przedstawiwszy rzecz przed władzami w ten sposób, jakoby Marino dopuścił się gwałtu, postarał się o jego uwięzienie.

Gianbattista jednak, pewien, że rzecz się musi wyjaśnić i że panna przeciw niemu świadczyć nie będzie, w dość wesołem usposobieniu znosił więzienie i układał tam żartobliwe wiersze. Opisywał w nich swoich towarzyszy w kaźni, jakiegoś komicznego «bakałarza» i rabusiów, których przyprowadzano po północy, rozwodził się nad więcej jak skromnym obiadem, którym go tam karmiono, nad twardem łożem i nad dokuczliwem robactwem, przysięgał, że gdyby najwięk-

sze popełnił zbrodnie, jeszczeby nie zasłużył na takie z nim obchodzenie.

Po miesiącu pobytu pomiędzy rabusiami, dzięki wpływom możnych przyjaciół odzyskał Gianbattista wolność. Książę Capua przyjął go napowrót do swego domu, sycylijski kupiec był tylko twardy i nie oddał mu córki za żonę.

Marino miał niebawem sposobność zarobić sobie na to, aby o nim dobrze mówiono, gdy bowiem we wrześniu r. 1598 umarł Filip II, napisał aż cztery sonety na cześć zmarłego monarchy. Jak nisko wtedy upadł patrjotyzm Włochów, można z tego sądzić, że prawie wszyscy znakomitsi neapolitańscy poeci śpiewali hymny pochwalne dla ciemiężyciela narodu i starali się podchlebić wicekrólowi, hrabiemu d'Olivares.

W rok później (1599) pojechał Marino pierwszy raz do Rzymu z okazji jubileuszu, który ogłosił Klemens VIII. Niewiadomo, z kim się udał do wiecznego miasta; zapewne jednak towarzyszył jednemu z panów neapolitańskich, którzy wraz z nowym wicekrólem, hrabią de Lemos, pragnęli złożyć papieżowi hołd imieniem nowego króla katolickiego. Podróż ta posłużyła poecie do napisania znowu całego szeregu sonetów, z których wszakże jeden «na wylew Tybru» został wpisany na Indeks, gdyż zanadto krytykował rządy papieskie.

Powróciwszy do Neapolu, zawikłał się Gianbattista w nową nieprzyjemną sprawę. Przyjacielowi jego Marc'Antoniemu d'Alessandro sprzeniewierzyli celnicy znaczną część mąki. Rozgniewany młodzieniec pobiegł do dzierżawcy ceł, Ferranta Monsolina na skargę, a źle przyjęty, uderzył dwa razy w twarz zwierzchnika, który usprawiedliwiał swoich poddanych. Monsolino kazał schwytać śmiałka, ale Marc'Antonio wyrwał się z rąk służby, zabiwszy jednego z pachołków. Mimo to nie zdołał uciec, uwięziono go, a wicekról skazał go na ucięcie ręki i głowy. Mnóstwo osób wstawiało się za porywczym młodzieńcem, lecz wicekról nie chciał zmienić wyroku. Było jednak w zwyczaju, że gdy wyższe duchowieństwo wdało się w sprawę, wykonanie kary, przynajmniej chwilowo, zostało wstrzymane i rzecz poddano nowemu dochodzeniu. Marino, chcąc uratować przyjaciela, czemprędzej sfałszował pismo biskupa i stanął przed trybunałem, żądając na tej podstawie

jego uwolnienia. Sędziowie jednak poznali się na fałszerstwie, kazali uwięzić Marina, a biednemu Marc'Antoniowi ucięto najprzód głowę, a potem rękę.

Tym razem niebezpieczeństwo było wielkie; Gianbattiście groziła taka sama kara, jakiej uległ jego przyjaciel. «Gentil poeta» zwrócił się więc czemprędzej z wierszowaną petycją do księcia Conca, aby go ratował, lecz książę nie chciał się wdawać w nieczystą sprawę. Marino pisał i do innych przyjaciół, ale wszyscy się odwracali od fałszerza dokumentów; dopiero poczciwy Manso zlitował się nad poetą, poszedł błagać wicekróla, aby przebaczył nierozważnemu młodzieńcowi, lecz twardy Hiszpan nie znał litości. Wtedy Manso, korzystając z nieporządków, jakie panowały w więzieniu, i przekupiwszy stróżów, ułatwił mu ucieczkę. Owe neapolitańskie więzienia miały swą sławę w całych Włoszech. Dobrze opłaceni stróże pozwalali schodzić się więźniom w jednej celi i grać w karty i w kości, a nawet wypuszczali niektórych na nocną zabawę pod warunkiem, że się stawią o świcie.

II

Dzięki pomocy Mansa i służby więziennej uciekł Marino w r. 1600 do Rzymu. Prędzej może, jak się spodziewał, znalazł tam mecenasa, monsignora Melchjora Crescenzio, pomocnika camerlenga papieskiego, człowieka bardzo zamożnego. Crescenzio pochodził ze znakomitej rzymskiej rodziny, a ojciec jego Aleksander słynnym był z dobroczynności. Nasz Reszka bardzo sympatycznie o Virgilim Crescenziu wspomina, jako o wielkim przyjacielu Polaków, który pielgrzymom w czasie jubileuszu w r. 1575 wiele czynił dobrego. Alessandro umarł na wiosnę w r. 1581, mając lat siedmdziesiąt pięć i rzecz szczególna, zapisał cały duży majątek, wynoszący czterdzieści tysięcy dukatów swemu synowcowi, a synowi, księdzu Melchjorowi tylko legitymę. Mimo to monsignor Melchjor należał do bardzo zamożnych ludzi w Rzymie, miał własny pałac wspaniale urządzony i żył na wielką skalę, otoczony licznymi klientami; monsignor Crescenzio pisał poezje, wspierał lite-

ratów, przyjął też Marina do siebie, wyznaczył mu płacę i bardzo go polubił.

Siostra monsignora, Fenizia, była zakonnicą w arystokratycznym klasztorze di Torre de'Specchio, a ponieważ grywała na lutni, więc Gianbattista parafrazował dla niej «Stabat mater» i dał do swego hymnu dorobić muzykę jakiemuś Neapolitańczykowi, a nadto ułożył dla niej kanzonę «La Pietà». Wkrótce pozawiązywał Marino mnóstwo stosunków w Rzymie i komu mógł, przysługiwał się sonetami i kanzonami. Dla potężnego kardynała d'Este ułożył dwanaście oktaw, które wygłosił «Amor» podczas giostry, urządzonej w willi kardynała w Tivoli. Atmosfera pochlebstwa, która w Rzymie panowała, miała zły wpływ na niego, a wszystkie wiersze Gianbattisty z owych czasów są wprawdzie pełne starannie dobieranych frazesów, ale zato nader ubogie w myśli; poeta sili się po większej części na grę słów, zazwyczaj bierze za temat imię lub nazwisko tego, komu sonet poświęca, aby z niego wysnuć jakieś jałowe dowcipy.

Tych kanzon, oktaw i madrygałów zebrał się cały tomik; Gianbattista pojechał więc na krótki czas do Wenecji, gdzie najlepsze były drukarnie, aby wydać swoje poezje. W Wenecji dobrze mu się działo, wyniósł stamtąd niezatarte wspomnienia. Poznał się tam z Guarinim, autorem dramatycznej sielanki «Pastor fido», i z kilkoma miejscowymi poetami, a wszędzie umiał sobie czynić rozgłos pewną neapolitańską «blagą». I tak, gdy raz w jakiejś księgarni spotkał kilku znakomitych literatów, których jeszcze nie znał, zaczął bez jakiegokolwiek powodu deklamować naprędce ułożony sonet, a skończywszy poetycki popis, wyszedł, nie czekając na oklaski i pochwały, grzecznie się tylko towarzystwu skłoniwszy. Był to jeden z jego najpiękniejszych sonetów, a całe towarzystwo z rozciekawieniem dowiadywało się, kim był ten dziwaczny młodzian. Gdy druk poezyj został ukończony, powrócił Marino do swego mecenasa do Rzymu, żałując może więcej Wenecjanek, aniżeli samego miasta, które raziło jego powonienie wyziewami nieczystych kanałów.

W Rzymie pozostał już tylko kilka miesięcy w domu monsignora Crescenzia; sława jego tak rosła, że kardynał

Pietro Aldobrandini, wszechwładny wówczas nepot papieski, zapragnął go mieć pomiędzy swoimi dworzanami. Zapewne Crescenzio nie chciał się sprzeciwiać temu życzeniu kardynała, gdyż Marino przeszedł do nowej «służby» w zupełnej zgodzie z monsignorem. Aldobrandini wyznaczył mu pięćdziesiąt skudów miesięcznie płacy i uważał go za ozdobę swojego dworu, jako «gentiluoma» bez wyraźnych obowiązków. Zdaje się, że Filippo Guicciardini z Florencji, wielki przyjaciel i bankier Aldobrandinich, polecił Gianbattistę kardynałowi, gdyż własne jego rymotwórcze słabostki zbliżyły go do Marina.

Pałac Piotra Aldobrandiniego był wtedy w Rzymie ogniskiem politycznego, a w znacznej części i umysłowego życia. Ród Aldobrandinich rósł szybko w potęgę. Papież Klemens VIII, wspierany przez tak rozumnego, jak Pietro, nepota, umiał rozszerzać wpływy swej familji, a był zanadto Florentyńczykiem, aby mu brakło zręczności. Po Piotrze nikt się zrazu nie spodziewał, że tak potrafi zawładnąć papieżem i interesami Watykanu. Napozór niepokaźny, niski, o twarzy ospą zeszpeconej, astmatyk, wiecznie kaszlący, przytem często szorstki, nie ujmował bynajmniej swą powierzchownością. Gdy go papież powołał na ważne stanowisko kardynała nepota, nikt nie myślał, że ten nowy dostojnik potrafi mieć wielki wpływ, zwłaszcza, że Klemens VIII nie był bynajmniej monarchą, któryby się dał łatwo komu powodować. Papież miał dużo surowości w swym charakterze, ostrem powiedzeniem często zrażał dyplomatów i niełatwo było na niego wpływać. Pietro wszakże tak umiał udaną powolnością i spokojnem rozumowaniem gładzić szorstkości papieża, że Klemens VIII wkrótce się spostrzegł, iż ten nepot wielkie mu oddaje usługi. Drugi nepot papieski, Cincio Aldobrandini, postać o wiele szlachetniejsza od Pietra, znany opiekun Tassa, miał zrazu także niemały wpływ na papieża, powoli jednak bardziej praktyczny Pietro prawie go odsunął od spraw publicznych tak, że gdy papież posuwał się w lata, w początkach XVII wieku, kardynał nepot stał się prawie wszechwładnym w Watykanie. «Wszystkie dyplomatyczne układy, wszystkie łaski od niego zależą», pisze jeden ze współcze-

snych. «Prałaci, szlachta, dworzanie, posłowie zapełniają jego salony. Rzec można, że papież słyszy tylko jego uchem i że od jego opinji wszystko zależy; jego usta dobre i złe oznajmiają, w jego rękach spoczywa przeprowadzenie wszelkich uchwał i postanowień». Mówiono wtedy, że cały świat skupia się w Rzymie, a cały Rzym w pałacu kardynała Piotra.

Tyle władzy nagromadzonej w jednych rękach, zwłaszcza władzy, opierającej się nie na prawie, lecz na osobistej przychylności papieża, musiało obudzać mnóstwo zawiści.

Tem milszemi też były mu pochwały poetów, tem pożyteczniejsze związki z potężnemi rodzinami. Kardynał postarał się o to, aby jego nepoci, urodzeni z siostry Olimpji i Giovan Francesca Aldobrandiniego, powchodzili w świetne koligacje. Margherita, ich córka, wyszła zamąż za Ranuccia Farnese, księcia Parmy, Marja za Giovan Paola Sforzę, a Lesa za Marino Caracciolo, wielkiego kanclerza państwa neapolitańskiego, wreszcie ostatnia oddała rękę w r. 1602 Antoniemu Carafie, księciu di Mondragone, jedynemu synowi księcia di Stigliano.

Marino miał znowu sposobność napisania na te małżeństwa wiersza pod tytułem «Imeneo», a nieco później sonetu na wesołe zdarzenie, że Klemens VIII mianował trzynastoletniego Sylwestra Aldobrandiniego kardynałem.

Życie dworskie u kardynała było bardzo huczne, na bankietach występował czasem karzeł papieski, Adam, którego Klemens VIII przywiózł ze sobą z Polski. Karzeł musiał być dowcipny, gdyż wolno mu było bawić papieża przy obiedzie swemi konceptami.

Otoczenie jednak w kardynalskich salonach źle wpływało na Gianbattistę, gdyż w owym czasie «służby» u Aldobrandinich pisał dużo wierszy, nie mających rzeczywistej wartości, same pochlebstwa. Do takich należała kanzona na willę Aldobrandinich we Frascati. Kardynał Pietro, doszedłszy do najwyższej władzy i usunąwszy swego krewnego Cincia Passeri na drugi plan, postanowił wybudować sobie «un luogo di delizie» i polecił budowniczemu św. Piotra, którym był wówczas Giacomo della Porta, aby mu nakreślił plan wspaniałej willi, na którą wybrał jeden z najpiękniej położonych pagórków, z przepysznym widokiem na Rzym i na Kampanję aż ku morzu. Ponieważ w willi kardynała d'Este w Tivoli wodotryski wielką były ozdobą ogrodu, i więc i kardynał Pietro polecił Giovanniemu Fontanie, aby w porozumieniu z Giacomem della Porta użył kaskad i wodospadów do podniesienia uroku nowego pałacu. Z wielkim trudem sprowadzono wodę z góry Algido i z Mollary, którą Klemens VIII zakupił od Altempsów i darował swemu nepotowi, aby go wynagrodzić za wojenną wyprawę, której celem było odebranie Estom Ferrary. Inżynier Orazio Olivieri uzupełnił jeszcze fontannę rozmaitemi pomysłami, z których najwięcej się podobały grające organy, poruszane siłą wody. Ozdobienie willi freskami powierzył kardynał Dominikowi Zampieremu i Bolończykowi Violi, z których pierwszy wymalował postacie Apollina i Muz na Parnasie, a drugi podłożył tło pejzażowe. Reszta fresków wyszła po większej części z pod pędzla Cavaliera d'Arpino, który brał tematy ze Starego Testamentu. Arpino liczył się także do służby kardynała.

Rzym za czasów Aldobrandinich był wesołą stolicą. Dużo magnackich i kardynalskich domów otwierało dla gości swoje podwoje, muzyka kwitnęła. Do ożywienia towarzystwa bardzo się przyczyniał kardynał Deti, krewny papieża, który urządzał u siebie koncerty i deklamacje poetów. Kardynał dość świeckiemi oznaczał się obyczajami, żartowano sobie z szumnego tytułu urządzanych u niego literackich zebrań, zwanych akademją «degli Ordinati», gdyż było to właściwie towarzystwo «degli disordini».

Również kardynał Peretti Montalto, wielki lubownik i znawca muzyki, zbierał znakomitości artystyczne w swoim pałacu, inny zaś Aldobrandini, Giovan Giorgio, wspierał teatr i śpiewaczki. Marino bywał we wszystkich tych towarzystwach, najbardziej mu wszakże podobał się dom Margherity Sarrocchi, która może pierwsza miała w Rzymie salon literacki, podobny do późniejszych salonów paryskich, przezwany jednak według ówczesnej mody akademją. Margherita, zamożna wdowa, była Rzymianką; wychowana w klasztorze św. Cecylji otrzęsła się szybko z zakonnych przyzwyczajeń, nadzwyczaj dużo czytała i tak była wykształcona, że jeden ze współ-

czesnych pisarzy nazwał ją «mostro del sesso feminile», co tyle wie i tak uczenie rozprawia, że się obawiać trzeba, aby swą mądrością człowieka nie zamieniła w osła. Mówiono o niej także, że jest mężczyzną pomiędzy kobietami, a kobietą w męskiem towarzystwie. «Inter mulieres vir, et inter viros mulier». Marino jednak utrzymywał, że nazwa jednej z najsławniejszych kobiet Grecji zanadto byłaby dla niej pogardliwa, a każdy promień zanadto ciemny wobec jej świetności.

Margheritę bardzo zajmowały uporczywe walki, jakie staczał z Turkami Giorgio Castriota, zwany Scanderbegiem i podobnie jak wielu innych wierszokletów, powzięła i ona z nich treść do poematu «Scanderbeide» w dwudziestu dwóch pieśniach. Owa epopea, zawierająca mnóstwo opisów bitew lądowych i morskich, rozmaitych przygód podróżników, igrzysk i klęsk głodowych, znalazła pomiędzy współczesnymi grono admiratorów, lecz po większej części takich, którzy byli wielbicielami samej poetki. Nieprzyjazny jej Stigliani wyraził się, że ów poemat nie jest «eroico», ale z dodatkiem dwu tylko liter «erronico», nie «heroiczny», ale pełny błędów.

Mniejsze utwory donny Sarocchi były bardzo cenione, a nawet jakiś sonet do Tassa powszechnie się podobał. Wogóle Margherita lubiła zawiązywać literackie stosunki ze znakomitymi ludźmi, których gromadziła w swoich salonach. Bywali tam Aldo Manuzio, Tassoni, a z Galileuszem wymieniała dość częste listy; donosiła słynnemu astronomowi o powodzeniu jego pism, broniła jego odkryć i widocznie ufała w łaski Galilea, kiedy posłała mu swoją «Scanderbeidę» do krytycznego przejrzenia. Miała do tego szczególny powód, gdyż w swej epopei pisała rzeczy zajmujące o astrologji i rozmaitych zjawiskach przyrody, opierając się na ówczesnych badaniach.

Do Galileusza zbliżył ją przyjaciel uczonego Luca Valerio, z którym Margherita miała bardzo ścisły stosunek, uwieńczony uroczem «bambinem». Valerio umarł nawet w jej domu.

Podobnych stosunków naliczyćby można dość dużo

w życiu poetki, pomimo, że miała i męża, nazwiskiem Birago, który wszakże niknie zupełnie w cieniu wobec przyjaciół Margherity i nigdzie niema o nim mowy.

Gdy Marino zaczął pisać sonety do poetessy, wyłoniła się wkrótce z tych rymów tak gorąca miłość, że jak stwierdza jeden ze współczesnych, Sarocchi bawiła Gianbattistę «alio amore, quam platonico».

Marino był bardzo przystojnym mężczyzną, typem zupełnie południowym: niezbyt wysoki, silnie zbudowany, o kruczych prawie włosach, cerze śniadej i czarnych, płomiennych oczach. Ubierał się zawsze fantastycznie, lubił żywe barwy, materje jedwabne o wzorach kwiecistych, starał się wyglądać na to, czem zresztą był, na poetę i artystę. Margherita jaśniała ostatniemi już, niestety, blaskami gasnącej piękności, miała lat czterdzieści, o dziesięć lat więcej od poetycznego kochanka. Para więc nie była dobrana, robak toczył od samego początku piękne napozór drzewo miłości. A trzeba dodać, że Marino nie posiadał uczuć stałych i nie pojmował wierności. Stosunek więc trwał niedługo. Marino zerwał go, jak się zdaje, dość szybko, bezwzględnie, co tem więcej Margheritę zabolało, że się przekonała, iż nie jest już zdolną zarzucać na swych wielbicieli sieci, któreby się łatwo nie rwały. Miłość jej do Marina wlot się więc przemieniła w nieubłaganą ku niemu nienawiść; literatka zaczęła się nad nim mścić satyrą. Na tem polu jednak niebezpiecznie było zaczepiać Gianbattistę, na satyrę odpowiadał prawie paszkwilem, niegodnym zresztą młodzieńca wobec tego, że przeciwnikiem była kobieta, która go niegdyś obdarzała swemi łaskami, a później w «Adonisie» nazwał ją gadatliwą sroką «loquacissima Pica». Narazie jednak wojna ustała, gdyż Sarocchi umiała przekonać Gianbattistę, że wdziękami swemi jeszcze zwyciężać potrafi. Zwyciężonym był tym razem monsignor Scipione Pasquali, referendarz w Watykanie, późniejszy biskup w Casale, znakomity filolog, grek i łacinnik.

Marino nie potrzebował zresztą przyglądać się temu uczonemu romansowi, gdyż wkrótce zaszły wypadki, które pociągnęły za sobą przewrót w jego życiu. Dwudziestego drugiego lutego 1605 r., kiedy kardynał padrone właśnie zwie-

dzał swoje biskupstwo w Rawennie, nadeszła wiadomość, że papież ciężko chory. Kardynał zaraz wrócił do Rzymu i był jeszcze przytomnym śmierci Klemensa, który umarł piątego marca. Powszechnie panowało przekonanie, że zgon papieża wywróżyła jakaś niezwykła gwiazda, która się wtedy przez krótki czas ukazywała na niebie. Zjawisko to posłużyło Gianbattiście do napisania wiersza, w którym zapewnia, że gwiazda zabłysła, aby powołać swoją towarzyszkę, duszę Klemensa, do nieba. Była posłem Stwórcy

A richiamar le sue compagne in cielo.

Conclave trwało niezbyt długo, tylko jeden miesiąc, a z urny wyszedł Ottaviano de' Medici, jako następca Klemensa. W sześć dni po wyborze złożył Pietro Aldobrandini swoje urzędy i przeniósł się na mieszkanie z Watykanu do swego pałacu na Corso, dzisiejszego pałacu Doriów.

Nowy papież panował tylko dwadzieścia siedm dni, a po nim wstąpił na stolicę św. Piotra Camillo Borghese, jako Paweł V. Pietro Aldobrandini pozostał jeszcze rok w Rzymie, mieszkając to na Corso, to we Frascati, w czerwcu jednak roku 1606 musiał się przenieść na arcybiskupstwo do Rawenny, zabrawszy swoją siostrę Olimpję, która tymczasem owdowiała, i cały swój dwór rzymski. W Rzymie zapanowali Borghese, dla Aldobrandinich nie było miejsca.

Marino z wielkim żalem musiał Rzym opuścić.

III

Była to mała katastrofa w życiu poety. Rawenna zdawała mu się nieznośna, pusta. Już sam ten muł, który go niósł do nowej siedziby, gniewał go przez całą drogę, gdyż zawsze oglądał się na swoich towarzyszy. Ale rozpacz była zupełna, gdy się poeta znalazł w tem mieście, podobnem do pustyni, i musiał oddychać powietrzem, niosącem zarazę. «Pożywienie złe, powiada Gianbattista, opisując swoje wrażenia z Rawenny, wino kwaśne, woda ciepła, niezdrowa, ludzi mało, a ci, których widać, do dzikich podobni, Żydów (manichei) nawet niema. O piękny Rzymie, jakżeż wzdycham za tobą; im dłużej tutaj będę, tem krótsze będzie moje życie».

Nie chcąc wpaść w melancholję, wyjeżdżał Marino z Rawenny, jak tylko się dało. Pocieszał się kilka razy w Wenecji, wymykał się do Rzymu, a jeżeli już nie można było inaczej, jechał do Bolonji, gdzie brał udział w dość wesołym karnawale. Z rozpaczy został pobożnym, czytał Pismo święte, układał «Rime sacre» i «Devozioni», co więcej, oddawał się studjum prawa kanonicznego i dekretów trydenckiego soboru. Marino sam siebie nie poznawał.

Po dwóch latach pobytu w Rawennie mógł się poeta wydobyć na szerszy horyzont. Dwie infantki sabaudzkie, córki Karola Emanuela I, wychodziły zamąż, za książąt Mantuy i Modeny. Pietro Aldobrandini, jako protektor Piemontu, wybrał się do Turynu na te uroczystości w towarzystwie kardynała San Cesareo i znacznej części «swojej familji», do której należał i Gianbattista. Świetny orszak kardynała przybył w lutym roku 1608 do sabaudzkiej stolicy.

Karol Emanuel był wówczas może najbardziej lubianym i poważanym z książąt włoskich; rycerski, a przytem wykształcony, otaczający się uczonymi i poetami, umiał sobie pozyskać wielką popularność. Cały chór poetów, począwszy od Tassa, Guariniego i Tassoniego, a skończywszy na Andreinim, Paolim i Bianchim, rymotwórcach, o których potomność zapomniała, opiewał zasługi tego księcia. Marino więc także pochwycił z upragnieniem sposobność, aby się dać poznać księciu, i na cześć młodych par napisał epitalamja «Il Letto», tudzież «Il Balletto delle Muse», w których dając poetyczną historję domu sabaudzkiego, nie zapomniał i o pochwałach dla swego kardynała.

Wiersze tak się podobały, że zaproszono Gianbattistę, aby towarzyszył młodym parom w ich podróży Padem do Mantuy, gdzie urządzono księżniczkom wspaniałe przyjęcie. Najświetniejszą chwilą uroczystości było oblężenie i zdobycie zamku, umyślnie na ten cel zbudowanego na jeziorze mantuańskiem, zapewne przy wieczornem oświetleniu i przedstawienie komedji Guariniego «L'Idropico». Komedja nie miała wielkiej wartości, ale «intermezzi», balet i rozmaite sceny fan-

tastyczne nadzwyczaj się podobały. Także słynna śpiewaczka, Virginia Andreini, zachwycała swym głosem w operze «Arianna». Marino wyniósł z Mantuy niezatarte wrażenia, a wróciwszy do Turynu, zaraz zaczął pisać poemat «Il Ritratto del Serenissimo Don Carlo Emmanuele, duca di Savoia», chcąc tym panegirykiem złożyć hołd księciu i zaskarbić sobie jego łaski na przyszłość. Książę wywdzięczył się zaraz poecie, mianując go kawalerem orderu «Dei Santi Maurizio e Lazzaro», a Marino był tak dumnym z tego odznaczenia, że odtąd już zawsze tytułował się «kawalerem». Później, podobnie jak Berniniego, nikt inaczej nie nazywał Marina, jak Cavaliere, i powszechnie w Turynie wiedziano, że «quando si dice Cavaliere, s'intende il cavalier Marino». Charakterystycznem jest zresztą dla XVII wieku, że największy poeta i największy artysta, Bernini, prawie więcej sobie cenili tytuł «cavaliera», aniżeli swe inne zasługi.

Pomimo wdzięczności dla kardynała Aldobrandiniego, rad był Gianbattista pozostać w Turynie i nie wracać do nudnej Rawenny; jak mógł, starał się więc o łaski księcia. Niespokojny jednak, jak zawsze, narobił w czasie krótkiego pobytu na dworze Karola Emanuela I tyle hałasu, że całe miasto się nim zajmowało. Pomiędzy literatami, będącymi «w służbie» księcia, był niejaki Gasparo Murtola, ksiądz genueński, który przez dłuższy czas bawił w Rzymie i tam się z Marinim zapoznał. Ułożył on ośmdziesiąt dwa niesmacznych sonetów, w których opisywał swoją miłość do rybaczki Elpinji, biorąc obrazy z życia ryb. Siebie samego porównywał do sepji, co mu się zresztą udało, gdyż był taki brzydki i taki szary, jak to wstrętne morskie stworzenie. Powiada tam, że wynalazki Galileusza na stropie niebieskim niczem są wobec tych odkryć, które on poczynił w twarzy i w łonie Elpinji.

Che se il mio sguardo, Elpinia, e a te rivolto
Sol con l'occhio d'amor, veggio nel seno
Piu d'una valle e piu d'un poggio accolto.
Se poscia a le due luci uniche e corte
M'affiso, ecco un bel ciel che va sereno
D'uno nun gia, ma di due soli in fronte.

Poetyckie pomysły Gaspara wogóle były mniej szczęśliwe, porównywał np. czarne oczy swej kochanki do dwóch otworów w kałamarzu, a w innych sonetach sławi ulubione psy księcia, Pina i Fidelina. Murtola zaczął drwić z poezji Marina, naśladując jego wiersz o pocałunkach w swej kanzonecie «La guerra de'baci», a co gorsza, zadrasnął Gianbattistę, pisząc kanzony «Le esequie d'Adone», w których chciał zohydzić ten temat przed publicznością, zanim jeszcze Marino wydrukuje swego «Adonisa».

Marino i Murtola jeździli razem do Mantuy i zdaje się, że w drodze tak sobie dokuczyli rozmaitemi złośliwościami, iż wzajemna niechęć ich ku sobie wyrodziła się w otwartą nieprzyjaźń. Właśnie wtedy wydał Murtola pobożny poemat «Della creatione del mondo», w którym wpadł na nieszczęśliwy pomysł współzawodniczyć z poematem Tassa o stworzeniu świata. Robota była bardzo nieudana, mnóstwo wierszy bez werwy i siły, na którą genueńskiego księdza stać nie było.

Gianbattista napisał też swoje zdanie o tym poemacie w kształcie sonetu, który się kończył tym trójwierszem, że Pan Bóg stworzył świat z niczego, Murtola zaś «wszystko» w wielkie «nic» przemienił.

Il Greator di nulla fece il tutto,
Costui del tutto un nulla, e in conclusione,
L'un fece il mondo, e l'altro l'distrutto.

Murtola na sonet odpowiedział długim wierszem, pełnym zjadliwych obelg, w którym streścił żywot Gianbattisty. W wierszu tym przedstawia się Marino publiczności i powiada o sobie:

Di patria fui Napolitan, di padre
Povero, vile et avezzo a carpire
Sfacciato, pronto, e di maniere ladre.

Neapolitański poeta wydał znów cały szereg sonetów, w których miażdżył Murtolę. Pomiędzy innemi wyśmiewał się z jego kanzony, napisanej na cześć Pina, psa książęcego, nazywał biednego księdza «osłem zrodzonym z krowy», radził Emanuelowi I, «aby go zamknął do swego zwierzyńca

jako mieszańca z kozła i świni», i częstował go całym szeregiem podobnych określeń.

Murtola nie pozostał dłużnym odpowiedzi, ułożył trzydzieści sonetów pod tytułem «La Marineide», w których posądzał Marina, że cudze poezje wydaje za swoje, wymyślał na niego, że z psiego rodu pochodzi, że jest na tyle zarozumiałym, iż chciałby przyćmić sławę Arjosta i Tassa.

Cały dwór bawił się walką dwóch poetów; ale księciu było tych wybryków za wiele, a uważając zapewne Murtolę za bardziej winnego, usunął go ze swej służby. Murtola postanowił zemścić się na Neapolitańczyku, którego uważał za sprawcę książęcej niełaski. Pierwszego lutego zaczaił się na jednej z głównych ulic miasta i na przechodzącego Gianbattistę strzelił z pistoletu, nabitego aż pięcioma kulami. Trzy kule utkwiły w drzwiach jakiegoś sklepu, dwie drugie drasnęły lewe ramię poety i zraniły Braida, przyjaciela Marina w bok dość ciężko. W liście, pisanym do jednego ze znajomych, przypisuje Gianbatista cudowne prawie swe ocalenie głównie św. Maurycemu, którego «barwę» przywdział przed kilkunastu dniami i obiecuje zawiesić jakieś votum przy relikwjach tego świętego. Ocalenie swe uważa za tem dziwniejsze, że nowy płaszcz, który miał na sobie, został kulami przedziurawiony, z wyjątkiem krzyża, którego strzał nie dotknął.

Murtola, popełniwszy zbrodnię, zaczął uciekać; ale zbiry go wkrótce pochwyciły i został zaprowadzony do więzienia. Przy śledztwie wyznał, że miał zamiar zamordować Marina, nawet, gdyby go zobaczył jadącego w karocy z księciem albo z kardynałem. Sąd skazał go na śmierć, ale kara nie zaraz była wykonana, a później, w r. 1609, został nawet uwolniony za wstawieniem się księcia mantuańskiego; musiał tylko opuścić Turyn i udać się do Rzymu. Tam miał także do czynienia z policją, ponieważ jakiejś sąsiadce w mieszkaniu groził, że ją obije i nazwał ją «porca poltrona». Mimo to wszakże wystarał się u Pawła V o jakiś mały urząd w Corneto Tarquinia, gdzie już pozostał do końca życia.

Natomiast Marino przepędził karnawał r. 1609 bardzo wesoło w Turynie, gdyż tak książę, jak i duc de Nemours,

tudzież wielu panów sabaudzkiej arystokracji urządzali bale, teatry, wycieczki sankami i rozmaite inne zabawy. Gianbattista nie miał czasu pisać i tłumaczył się, że Muzy podobne są do śpiewających ptaków, które na strzał myśliwego uciekają i nie mogą się uspokoić; Murtola je spłoszył.

Po karnawale trzeba było wracać do Rawenny. Wspomnienia jednak rozmaitych miłostek w Turynie pobudziły Marina do napisania kilku poezyj tak zmysłowych, że nieprzyjaciele donieśli o tem inkwizycji, która mu o mało nie wytoczyła procesu, mogącego się skończyć także płomieniami, ale nie miłości. Jeden z tych wierszy, «Amoroso trattenimento del cavaglier Marini con la sua cara», należy wprawdzie do najbardziej sprośnych poezyj, jakie się w literaturze spotyka, lecz nie jest pozbawiony pewnego polotu, którym się odznaczał talent Gianbattisty.

Z powodu tych wierszy, które krążyły w odpisach, nie mógł Marino pojechać do swego ukochanego Rzymu, obawiał się bowiem zanadto zbliżyć do siedziby trybunału Inkwizycji.

IV

Możni protektorowie rozciągnęli jednak opiekę nad swawolnym poetą; Marino mógł wkrótce powrócić na stałe mieszkanie do Turynu. Carlo Emmanuele I powołał go na swój dwór i dał mu tytuł sekretarza.

Nastały świetne czasy Gianbattisty, romanse i zabawy. Cavalier stał się ulubieńcem kobiet w Turynie, wielkie panie starały się o jego przyjaźń, a pomiędzy innemi marchesa di Ceraglio i contessa di Calosso wywdzięczały mu się nietylko złotem za sonety.

Lecz szczęście, jak zwykle, trwa niedługo, pozazdrościli mu łask księcia inni dworzanie. Powodów do oczernienia poety przed Karolem Emanuelem było niemało. Przedewszystkiem w grę weszły kobiety. W r. 1609 występowała w Turynie dawna przyjaciółka Gianbattisty, Virginia Andreini, w towarzystwie teatralnem, zwanem «Comici Fedeli». Andreini,

współzawodniczyła z signorą Flaminją, która tam także bawiła ze swoją «kompanją», «dei Comici Accesi». Zakochany Marino, chcąc dogodzić swej Andreini, napisał, zapewne przez nią podmówiony, aż czterdzieści satyrycznych sonetów na Flaminję, która się cieszyły protekcją dworu. Niedość na tem, Marino kochał się prawie równocześnie w młodej wdowie Teresie del Vallauri, miał jednak powody do mniemania, że wdowa także komu innemu oddaje swe serce. Zazdrosny, ułożył satyrę dotkliwą na piękną Teresę. Wdowa miała jednak krewnego, który się za nią zemścić postanowił.

Marino wydał był jeszcze w Neapolu jakiś satyryczny poemacik pod tytułem «Cuccagna», w którym w sposób zjadliwy krytykował ludzi, stojących wówczas u steru rządu. Poemacik ten wygrzebał krewny pięknej Teresy i przez znajomych podsunął księciu Karolowi Emanuelowi, jako wiersz świeżo napisany i skierowany przeciw niemu. Co gorsza, Marino zawinił niemało swoją gadatliwością i brakiem ostrożności. Książę, który chciał być także poetą, dawał mu poprawiać swe wiersze, licząc na to, że dworzanin będzie dość rozumny, aby rzecz zachować w tajemnicy. Marino musiał się chełpić tem współpracownictwem, a nawet doniósł komuś ze znajomych, że książę codziennie daje mu swoje bazgraniny do poprawiania i że mu już zanadto tego nudnego zajęcia.

Z ówczesnymi despotami nie można było żartować. Książę kazał złośliwego poetę wtrącić w kwietniu r. 1611 do więzienia. Marino znalazł się pomiędzy złoczyńcami, w «djabelskiem towarzystwie, jak pies, uwiązany na łańcuchu», w brzydkim lochu, a w swej naiwności zaczął żałować utraconej łaski książęcej, będąc przekonanym, że w niczem wobec Karola Emanuela nie zawinił. Rozpisywał z kaźni listy do wszystkich swych potężnych mecenasów, poruszył niemal całe Włochy swą niedolą, ale książę nie zważał na żadne prośby i wstawiania się. O litość dla lekkomyślnego poety prosił kardynał Aldobrandini, pisał kardynał d'Este, błagał książę Mantuy i kardynał Gonzaga, nawet wicekról neapolitański chciał wzruszyć Karola Emanuela; książę był nieubłagany. Nareszcie wpadł poeta na myśl przekonać swego ciemiężcę, że «Cuccagna» była napisana rzeczywiście w Neapolu

przeciw hiszpańskim możnowładcom, w co książę, podżegany przez nieprzyjaciół Marina, nie chciał dotąd wierzyć. Z dawniejszych jego neapolitańskich protektorów kilku już nie żyło, lecz zacny Manso jeszcze mógł go obronić. Do niego więc się udał Gianbattista, aby poświadczył, że poemat «Cuccagna» zupełnie w innym celu był pisany, a nie na to, aby ośmieszać księcia Sabaudji. Książę znał z młodszych jeszcze czasów Mansa, który służył nawet w jego szeregach, więc świadectwo neapolitańskiego mecenasa nie mogło mu być podejrzanem. Myśl Gianbattisty była dobra; Manso napisał do księcia, a gdy jeszcze ambasadorowie Francji i Anglji wstawili się za biednym poetą, otwarły się wrota więzienia.

Towarzystwo jednak, w jakiem Marino musiał się obracać przez czas dłuższy, i brak słońca usposobił go przynajmniej chwilowo bardzo poważnie. Poeta zaczął się znowu zagłębiać w Piśmie świętem, pisał rymy pod tytułem «Divozioni» i rodzaj rozmyślań pobożnych, które nazwał «Dicerie». Osobliwie o tych ostatnich miał wysokie wyobrażenie, sądził, że niemi zdziała więcej dobrego, aniżeli wielu kaznodziejów i zapowiadał, że «świat się zdziwi, kiedy je pozna». Przekonany, że formę «Dicerii» będą musieli naśladować duchowni, czytał je kardynałowi d'Este, który miał je podziwiać. Wkrótce w roku 1614 wydał tom nowych swoich utworów, w których trochę niestosownie mieszczą się «dewocje» obok poezyj miłosnych i «kaprysów» (Capricci).

Turyn nie miał już dla Marina tego uroku, co dawniej; nie mógł zapomnieć cierpień w wieży książęcej. Pomimo więc, że jako dworzanin układał niejako z urzędu rozmaite pochwalne wiersze na księcia i cały dom sabaudzki, wzdychał do tego, aby się wydobyć na szerszy świat i wejść w nowe stosunki. Zresztą chciał wydać swój skończony już poemat «L'Adone», a obawiał się, że Inkwizycja powykreśla mu lubieżne ustępy «lasciviette amorose», o które mu bardzo chodziło, aby były wydrukowane.

Szczęście i teraz go nie opuściło. Już w r. 1609 zapytywała się królowa Marja de' Medici, czyby Marino nie chciał przenieść się na jej dwór; później jednak jakoś o tym projekcie nie było słychać i dopiero w roku 1615 prosił Marino

księcia o uwolnienie od «służby», w której gorzkie przebył chwile i o pozwolenie udania się na dwór francuski. Książę nic nie miał przeciw wyjazdowi poety, lecz Marino widocznie nie był pewny, czy to pozwolenie jest szczerem, czy go książę po drodze schwytać nie rozkaże, gdyż skorzystał z podróży ambasadora francuskiego, aby się przyłączyć do jego orszaku i pod tą opieką opuścił Włochy.

V

W wesołem usposobieniu wjeżdżał Marino do Francji; po drodze poznał romansopisarza D'Urfé, witano go wszędzie z wielkiemi honorami, a nawzajem i on, chcąc sobie zyskać sympatję królowej i jej otoczenia, zaczął od tego, że napisał poemat na cześć Marji de' Medici, tudzież wiersze do Leonory Concini, która była, rzec można, pierwszą osobą po królowej na francuskim dworze. W tych swoich wierszach, napisanych na wstępie do Francji, nie zapomniał i o słynnym marszałku d'Ancre, ulubieńcu Marji de' Medici, o którym mu powiedziano, że coraz większy ma na nią wpływ. Mały poemat, o sześciuset wierszach, poświęcony królowej, nosił według ówczesnej literackiej mody tytuł «Il Tempio». A zaczął Marino swój panegiryk od wezwania Muz, aby zstąpiły na ziemię i pomogły mu zbudować ową świątynię:

Un Tempio, ov'immortal poscia s'adori
Questa Donna de'Galli e Dea de'cori.

W swym poemacie podnosi Marino wdzięki królowej «le bellezze corporali de la reina», nie zapomina ani o jej ustach, ani o rękach i nogach, a szczególne ma upodobanie do nosa Marji de'Medici. To też starzejąca się królowa tak mu wdzięczną była za owe pochlebstwa, że gdy rozparta w swej wielkiej pozłacanej karocy spotkała poetę, jadącego na małej mulicy wpobliżu Luwru, kazała zatrzymać powóz i długo z nim rozmawiała, ku wielkiemu zdziwieniu całego Paryża.

W wierszu swym nie zapomina Marino i o marszałkowej Leonorze Concini i poświęca jej «Tempio».

Wiersze Marina zrobiły jak najlepsze wrażenie; królowa i wszechwładne u niej małżeństwo Concini stali się wielkimi jego protektorami. W maju r. 1615 przybył poeta do Paryża i zachwycał się miastem i Francuzami; tak mu się tam wszystko po Włoszech dziwacznem wydawało. Po kilku miesiącach napisał też przedziwny list do swego przyjaciela Lorenza Scota w Turynie, w którym w sposób humorystyczny i barwny maluje swoje wrażenia. Przedewszystkiem powiada, że z trudnością mu idzie przyswojenie języka francuskiego i że dotąd nauczył się tylko «ouy» i «nani», ale to mu narazie wystarcza, gdyż wszystko na świecie zawisło od «afirmacji» i od «negacji». Francja, według niego, jest odmiennym światem, nietyle odznaczającym się wielkością i ilością ludzi, ile uderzającym swą dziwacznością. Dziwactwa robią zaś świat pięknym, bo złożonym ze sprzeczności. Wszystko we Francji jest dziwacznem, zwyczaje, wybuchy strasznych szaleństw, ciągłe zmiany, nieustające wojny bratobójcze, zamieszki, powstania, konfuzje, rzeczy, któreby właściwie powinny kraj przyprowadzić do upadku, a rzecz dziwna, utrzymują go na nogach.

Wszystko tam inaczej się dzieje, aniżeli gdzie indziej. Tam mężczyzni są kobietami, a kobiety mężczyznami. Kobiety są paniami w domu, zajmują się gospodarstwem, a mężczyźni stroją się w koronki. Kobiety posypują sobie włosy jakimś białym proszkiem tak, że wszystkie wyglądają posiwiałe, stare, a nadomiar nadzwyczajności przylepiają sobie czarne plastry nad oczami. Co do stroju, to otaczają się obręczami, jak beczki, wskutek czego wyglądają poważniej i zajmują więcej miejsca, jak powinny. Mężczyźni w największe zimna noszą batystowe koszule, lecz pod spodem mają ciepłe kaftaniki. To najnowsza odmiana dworskiej hipokryzji. Żeby się zdawało, że umieją konno jeździć i że mają w stajni wierzchowe rumaki, każdy z nich nosi u butów ostrogi, nawet taki, który nigdy na koniu nie siedział. Być może, że dlatego zowią się Gallami, ponieważ, podobnie jak koguty (galletti), mają ostrogi. Zdaleka wyglądają wszyscy jakby kardynało-

wie, ze szczególnem bowiem upodobaniem każą sobie robić nietylko berety, ale i spodnie ze szkarłatu. Pióropusze noszą tak długie, jak lisie ogony, a na głowie mają drugie piętro włosów sztucznych, które zowią «parrucca». Młodzież szlachecka chodzi po całych dniach i nocach po ulicach, szukając zaczepki na żart (a spasso), i z powodu pierwszej lepszej kobiety wyzywają się na pojedynki. Nagabują ludzi zupełnie obcych, muszę się więc strzec, mówi Marino, aby kiedyś nie być zabitym «dla żartu». Gdy się spotka dwóch Francuzów, to tak się sobie kłaniają, tak około siebie skaczą, jakgdyby w szkole tańców uczyli się tych «caprioli». Dopiero po takim balecie następuje rozmowa. Panie pozwalają się publicznie całować, co Marina bardzo gorszy.

Zresztą, mówi on, nic się we Francji nie widzi, jak tylko same zabawy, uczty, festyny, balety. A na tych ucztach tyle zjadają różnorodnych potraw, że możnaby sądzić, że rzeźnicy więcej zabijają bydląt w jednym dniu, aniżeli ich się rodzi w całym roku. Najbardziej trzeba się mieć na ostrożności we Francji przed służbą, przed panami lokajami; jest to niegrzeczna rasa, niepodobna do ludzi, ale raczej do Satyrów i Faunów. A szczególnie podobają się im cudze torebki z pieniądzmi, pazury mają dłuższe od drapieżnych ptaków.

Wszystkie te osobliwości są niczem wobec kaprysów francuskiego klimatu. Codziennie ma się tam cztery pory roku; każdy też Francuz nosi cztery płaszcze, aby je móc zmienić o każdej godzinie, jeden od deszczu, drugi od gradu, trzeci od wiatru, a dopiero czwarty od słońca. Biedne słońce naśladuje tam karnawałowe panie i chodzi zawsze w masce.

Niestety, kończy Marino, musiałem się zastosować do wszystkich tych zwyczajów francuskich i tak się ubrać, że mógłbym w Turynie uchodzić za papugę krzyczącą w oknie, albo w tłusty czwartek bawić uliczników.

Mimo tych dowcipnych uwag o Francuzach Marino nie poznał dobrze, przynajmniej narazie, stosunków na paryskim dworze. Zdawało mu się, że marszałek d'Ancre i cała kamaryla włoska królowej ma wszechpotężną władzę, a tego nie spostrzegł, że pod kamarylą nurtuje jednak stronnictwo ściśle francuskie i że niebezpiecznie zanadto jawnie składać hołdy

marszałkowi. Małżeństwo młodego Ludwika XIII z Anną Austrjaczką, infantką hiszpańską, które było dziełem marszałka, dało poecie sposobność do napisania wiersza «La Francia consolata», w którem zapowiadał, że samo słońce

Congiunse al Gallo l'Aquila Ispana

i że ten związek zapewni spokój Italji. Nadzwyczaj wysoko wynosił marszałkową d'Ancre, jej umysł prawie męski, jej bystrość i znajomość spraw publicznych. Ze swego stanowiska Marino miał słuszność. D'Ancre wyrobił mu u królowej pensję dwu tysięcy skudów rocznie i mnóstwo innych dodatków. Ferrari, który znał Gianbattistę we Francji, zapewnia, że jego dom był w Paryżu tak uczęszczany, jak świątynia Pallady, że szlachta uczyła się po włosku, aby się rozkoszować jego poezjami, że sama królowa bardzo go polubiła.

Marino był oszczędnym i umiał cenić pieniądz. Zamieszkał więc w małym, bardzo skromnym hoteliku przy Rue de la Huchette i dzień i noc pracował nad dytyrambami, które przynosiły znaczne dochody. Opowiadano o nim, że gdy po raz pierwszy był u Conciniego, wszechwładny dworzanin powiedział mu po francusku, aby poszedł do kasjera i kazał sobie wypłacić pięćset talarów. Neapolitańczyk jednak «nie rozumiał obcego języka» i zażądał w kasie tysiąca. Gdy mu w kilka dni Concini wymawiał tę neapolitańską przesadę, Marino odpowiedział: «Szczęście, że nie zażądałem trzech tysięcy, gdyż jeszcze się nie nauczyłem tutejszego języka». Dobry rachmistrz poeta zaczął zbierać sporo pieniędzy i postanowił wybudować sobie w Neapolu willę, czy nawet pałac, w którymby zamieszkać mógł na starość i pomieścić swe obrazy, których dużo ponabywał od artystów za pochlebne o nich wzmianki.

Zaledwie weselne uroczystości Ludwika XIII się skończyły, stronnictwo przeciwne królowej i jej kamarylli, na czele którego stał Karol de Luynes, zaczęło usilnie pracować, aby zniszczyć wpływ marszałka, uwolnić bojaźliwego króla z pod jarzma matki, która go prawie jak więźnia trzymała w Luwrze, odsunąwszy najzupełniej od interesów państwa.

Lud, nienawidząc Marji de' Medici, pomógł stronnictwu młodego króla; szewc, nazwiskiem Picart, przewódca pospólstwa, podniósł sztandar rewolucji, tłum uliczny wpadł do pałacu D'Ancra i do domu jego sekretarza Corbinellego i za nim wojsko przybiegło, obrócił prawie w ruinę mieszkanie znienawidzonych Włochów. D'Ancre upadał na duchu, ale żona dodawała mu otuchy, aby wytrwał i zgnębił przeciwników. Tych nieprzyjaciół było wszakże coraz więcej; biskup z Carcassone, człowiek wielkiego wpływu, przedstawił królowej, że interes publiczny koniecznie tego wymaga, aby oddaliła Conciniego, a gdy Marja de' Medici opierała się jeszcze tym żądaniom, król kazał uwięzić faworyta matki. Dwudziestego czwartego kwietnia 1617 kapitan gwardji, de Vitry, powalił z rozkazu króla trzema strzałami z pistoletu znienawidzonego Włocha, a lud rzucił się na ciało i w dzikim szale poszarpał je prawie w kawałki. Małżonkę marszałka także uwięziono, wytoczono jej proces, obwiniając pomiędzy innemi, że używała sztuk czarnoksięskich, aby opanować królowę, i skazano na śmierć za zbrodnię obrazy boskiego i królewskiego majestatu. Z Bastylji wywieziono ją na plac de la Grève i wobec niezmiernych tłumów ludu, urągających kobiecie potężnej do niedawnych czasów, została ściętą publicznie. Ciało spalono na stosie, a popioły rozrzucono, aby je wiatr rozniósł na cztery strony świata. Tak w więzieniu, jak w czasie egzekucji niepospolita ta kobieta zachowywała podziwienia godny spokój ducha i powagę.

Majątki ziemskie marszałka D'Ancre i jego żony we Francji i we Włoszech zostały skonfiskowane wskutek uchwały parlamentu paryskiego. Czy banki w Rzymie i we Florencji wydały rządowi francuskiemu znaczne kapitały, które Concini gromadziła tam dla większego bezpieczeństwa, niewiadomo.

Królowa, zgnębiona temi wypadkami, prześladowana na każdym kroku przez faworytów królewskich, dobrowolnie przeniosła się z Paryża do Blois i zamieszkała w tamtejszym zamku. Własnego dochodu miała 200.000 skudów, do których król dodał jeszcze 100.000 z własnej szkatuły. Wolno jej

było utrzymywać kompanję gwardji przybocznej i liczny dwór, a na doradcę wyznaczony jej został biskup Richelieu.

Podczas tych przewrotów rząd uwięził prawie wszystkich domowników i ajentów marszałka i powytaczał im procesy. Niektórzy zostali skazani na więzienie, Włochów wygnano z Francji. Rzecz szczególna, że Marino, pomimo swych wierszowanych apologij, poświęconych marszałkowej, nie został ani uwięziony, ani wydalony. Prawdopodobnie wziął go pod swoją opiekę nuncjusz papieski, który potrzebował wówczas pióra poety przeciw Hugonotom. Reformatorzy wydali imieniem «des quattre ministres de Charanton» list otwarty do króla, niesłychanie obelżywy i występujący przeciw rzymskiej religji. Na to pismo odpowiedział Richelieu z Avignonu, a prócz tego napisał Marino przeciw owym czterem ministrom inwektywę «La Sferza, Invettiva a quattro ministri della Iniquità», w której wydobywając cały swój zasób wiadomości biblijnych napadł na Hugonotów, posądzając ich o ignorancję, złośliwość i bezwstydność. Marino nazywa reformatorów Żydami, ludźmi, którzy nie mają wyobrażenia o teologji, żąda, aby wszystkich Hugonotów skazano na stos i spalono wraz z ich książkami, nadto, aby karano tych, którzy drukują i sprzedają ich pisma, wreszcie, aby zburzono ich kościoły.

Inwektywę tę przedłożono królowi i panu de Luynes, którym się nadzwyczajnie podobała, a nuncjusz papieski, bardzo życzliwy Gianbattiście, posłał ją do Rzymu, aby dobrze dla niego usposobić koła watykańskie i Inkwizycję i zatrzeć złe wrażenie, jakie dawniej sprawiły tam bardzo zmysłowe wiersze poety. Marino, znudzony Francją, sterawszy zdrowie, nosił się już z myślą powrócenia do ojczyzny; pragnął się tylko zapewnić, że Inkwizycja nie podniesie przeciw niemu zarzutów, któreby mogły posłużyć za powód do niebezpiecznego procesu. W tym celu pomnożył swe «Dicerie Sacre» i wydał je na nowo w dwóch tomach, a nadto dokończył poemat, pod tytułem «Galeria», rozpoczęty już w Turynie, który miał pomnożyć jego zbiory artystyczne. Był to łatwy sposób nabywania obrazów. Zamierzając spisywać swe wrażenia ze znakomitych dzieł sztuki, przymawiał się o nie

u właścicieli, tudzież u samych artystów, aby mu je przysyłali. Ten i ów, chcąc być wymienionym w poezjach Marina, posyłał mu rzeczy, mające nawet wysoką wartość.

Z końcem roku 1618 wielkie festyny zadziwiały cały Paryż. Książę Wiktor Amadeusz sabaudzki zaślubiał tam madamę Krystynę, drugą siostrę króla. Wymyślano na tę uroczystość najrozmaitsze zabawy, a przez dwa dni wystawiano balet, «jakiego jeszcze świat nie widział». Ognie sztuczne należały także do owych wspaniałości, a Marino pysznił się, że jako dworzanin mógł z okien Luwru przypatrywać się, jak Sekwanę oświecał blask kolorowych świateł.

Zaledwie się skończyły ślubne uroczystości, Marja de' Medici uciekła z Blois do Angoulême, a połączywszy się z księciem d'Epernon, zaczęła nieprzyjaźnie występować przeciw królowi i o mało, że nie nastąpiła mała domowa wojna pomiędzy matką a synem. Wskutek tego dał się czuć w kasie królewskiej coraz większy brak pieniędzy i nie wypłacono Gianbattiście zwykłej pensji. Poeta znowu się znalazł w kłopotach, a położenie jego było o tyle niewygodne, że w miarę, jak fortuna sprzyjała pewnym osobistościom, a inne postacie znikały z hryzontu, musiał ciągle poprawiać i zmieniać swego «Adonisa». W poemacie schlebiał to królowej, to Ludwikowi XIII, to możnym dworzanom, będącym u steru, a te pochwały, które wczoraj mogły przynieść korzyści, nazajutrz stawały się szkodliwemi dla poety. Wreszcie w r. 1620 Marja Medycejska pogodziła się z synem, protestanci zostali pokonani, pokój zapanował we Francji, dwór zajaśniał znowu od hucznych festynów i zabaw. Marino się uspokoił i sądził, że nadeszła chwila, aby oddać do druku swego «Adonisa», którego oczekiwano, osobliwie we Włoszech, z niecierpliwością, możni bowiem przyjaciele i protektorowie poety spodziewali się, że znajdą tam pochlebne dla siebie ustępy. W sierpniu roku 1622 wyszedł w Paryżu «L'Adone», poemat, rozpoczęty jeszcze w młodości Marina; poeta pracował nad nim prawie całe życie. Zestarzał się, stracił zdrowie, lecz miał już teraz dostateczny dochód, aby móc wrócić do ojczyzny i nie troszczyć się o środki utrzymania.

Ostatnie dwa lata pobytu Marina w Paryżu odznaczały

się świetnością francuskiego dworu. Królowa matka wróciła do Paryża, odzyskała prawie swój dawny wpływ, a ukończywszy budowę pałacu Luksemburskiego, urządziła go z wielkim przepychem. Olbrzymia serja obrazów Rubensa miała pędzlem uświetnić żywot Marji Medycejskiej, jak to już uczynił Marino w swem «Tempio». Panie francuskiej arystokracji dawały świetne przyjęcia, a osobliwie salony księżnej de Conti i hrabiny de Soisson zasłynęły nie tylko światowym, ale i literackim blaskiem. Marino mógł być dumnym, że D'Urfé tłumaczy i naśladuje jego poezje, że Voiture i Cottin biorą z niego wzory. Zebrania w hotel de Rambouillet zaczynały już odgrywać wielką rolę w życiu umysłowem stolicy.

Marino zastał w Paryżu w wyższem towarzystwie Włoszkę, która się niemało przyczyniła do jego rozgłosu we Francji. Markiza de Rambouillet, małżonka wielkiego szatnego za Ludwika XIII, była z domu Pisani i rodziła się także z Włoszki, z Rzymianki Savelli. Markiza należała do pań, które Katarzyna Medycejska bardzo popierała; w jej salonie gromadziło się literackie i artystyczne towarzystwo włosko-francuskie. Pani de Rambouillet nie była piękną, ale odznaczała się wielką «dystynkcją» i rozumem, starała się uchodzić za kobietę bardzo wykształconą, za «bel esprit». Hotel Pisani, później przezwany Rambouillet, własność markizy, położony przy ulicy Saint-Thomas-du-Louvre, pomiędzy staremi, gotyckiemi budowlami, wyróżniał się od sąsiednich domów swą architekturą włoskiego Odrodzenia i rozległym ogrodem, utrzymanym z wielkim zbytkiem. Salony pani de Rambouillet otwarte były w pierwszych latach XVII wieku dla paryskich literatów, pomiędzy którymi głośnymi byli Cotin, Boussault, a przedewszystkiem Voiture i młody Chapelain.

Pani domu wprowadzała w towarzystwie włoską wykwintność w wyrażaniu się, wykluczała wszelką pospolitość wymowy francuskiego mieszczaństwa, starała się, aby jej salon był wzorem jakiejś wytwornej, rzec można, przeczulonej kultury. Od «ulicy», od pospolitego tłumu, miało towarzystwo Hotelu Pisani być rozdzielonem całą przepaścią. Aby jeszcze

bardziej wynieść się na wysokość idealnej kultury, przyjęli goście markizy, na wzór włoskich akademików, osobne nazwiska. Tylko że włoscy uczeni starali się o jakieś komiczno-charakterystyczne imiona, a towarzystwo pani de Rambouillet szukało swych nazwisk w poematach Arjosta, Tassa, Bemba i Sadoleta. Sama pani domu nazwała się Artenice i przyjmowała bliższych przyjaciół w swym «budoarze», poezje zaś odczytywano w pokoju genjusza w «chambre du génie». Każdy, kto dostąpił tego zaszczytu, aby wchodzić w tę świątynię, stawał się «szacownym», «précieux»; powoli też nazwano panie, należące do tego koła «précieuses», a mężczyzn «précieux». Markiza umiała sobie wyrobić takie stanowisko, że cały dwór ubiegał się o to, aby być w łaskach u Artenicy. Biskupi wysilali się na madrygały dla markizy, biskup Godeau szczycił się z tytułu «karła» wielkiej Julji, a z czasem tyle znakomitości należało do towarzystwa Hotelu Rambouillet, że przyjaciele margrabiny wspierali się nawzajem u dworu i wyrabiali sobie tytuły i posady. W hotelu Pisani umiano się także bawić; margrabina urządzała bale maskowe, koncerty, balety, grupy mitologiczne, rozmaite niespodzianki, a przewodnią jej myślą było zawsze wszczepiać włoski obyczaj, okraszony mitologicznemi wspomnieniami. Jednego wieczora ukazała się Artenice swym gościom w powiewnym stroju Djany, a niezliczona ilość woskowych świec uwydatniała jej kształty, któremi w braku pięknej twarzy chętnie się popisywała. Innym razem na przyjęcie jakiegoś biskupa urządziła żywy obraz z dwudziestu bardzo niedostatecznie odzianych nimf, ugrupowanych około sztucznej skały. Nimfy trzymały girlandę z kwiatów i opierały się o harfy, gitary i rozmaite instrumenty muzyczne. Artenice stała się panią nietylko literackiej, ale i artystycznej mody. Marja de' Medici, stawiając pałac Luksemburski, nakazała architektom, aby w nim były okna na wzór pałacu Pisani.

Można sobie wystawić, z jaką radością przyjęło towarzystwo Hotelu Pisani «największego poetę», i do tego poetę Włocha. Ktoś ze współczesnych opowiada, że gdy Marino wchodził na salony markizy de Rambouillet, drzwi się przed nim otwierały, jak przed księciem Kondeuszem. Wchodził pomiędzy świetne zgromadzenie z głową podniesioną i zdejmując rękawiczkę z powagą Hiszpana, całował z wyszukaną grzecznością rękę markizy. Swe przywitanie okraszał zazwyczaj jakiemś ozdobnem, kwiecistem słowem, które wypowiadał od niechcenia.

Od chwili też wystąpienia Marina w hotelu Rambouillet zaczyna się jego wpływ na literaturę francuską, która trwa prawie do końca XVIII wieku. W trzydzieści lat wszakże po ukazaniu się włoskiego poety i po wielkim rozkwicie hotelu Rambouillet wydali Boileau, Racine i Moliére w imię zdrowego rozsądku wojnę Marinizmowi i madrygałom «o małym piesku, którego markiza trzyma w swych objęciach», a o Marinim wkrótce zapomniano we Francji.

W karnawale roku 1621 przybyła do Paryża ze swem towarzystwem komików ukochana artystka Mariniego, Virginia Andreini, przypominająca poecie piękne czasy turyńskie. Włoscy komicy grali wtedy także na salonach księcia de Luynes, a na pierwszem przedstawieniu była i królowa matka. Zdarzyło się jednak, że Andreini grała księżnę, która żywot swój rozpoczęła w wielkich dostatkach i świetnościach, a skończyła prawie w nędzy. Królowa wzięła to za przytyk do siebie i do swych losów, skarżyła się z płaczem przed królem, że jej wyrządzono taką zniewagę, i już więcej nie poszła na przedstawienia Andreini.

W dzień Bożego Narodzenia r. 1623 ofiarował Marini królowi egzemplarz swego «Adonisa», a dworzanie pod niebiosy podnosili talent wielkiego poety. Mimo to musiał Gianbattista Paryż opuścić; zapadał coraz więcej na zdrowiu i tęsknił za ojczyzną. Nie dowierzając jeszcze Inkwizycji, skorzystał z pobytu kardynała sabaudzkiego na dworze francuskim, aby w jego towarzystwie i pod jego opieką wrócić do Włoch.

VI

Marino zatrzymał się tylko krótki czas w Turynie, gdyż kardynałowi śpieszyło się do Rzymu, aby od Grzegorza XV

otrzymać różne beneficja. W stolicy papiestwa przyjmowała poetę publiczność jak triumfatora, a nawet i papież, a zwłaszcza kardynał nepot Ludovisi byli nań bardzo łaskawi. Kardynał ofiarował mu mieszkanie w swoim pałacu, lecz Marino wolał przyjąć gościnę u Crencenzia Crencenzi, brata owego monsignora Melchiora, który był dawniej jego protektorem.

Na przybycie Gianbattisty pisali poeci powitalne wiersze, a każdy chciał mieć portret cavaleria, tak że sprzedawano tysiące jego podobizn. Marino skarżył się wszakże w jednym z listów, że wszystkie te portrety niewiele warte.

Papież Ludovisi starał się o rozwój literatury, a nawet pozwolił, aby w «Pałacu» w Watykanie odbywały się posiedzenia akademji, która została założona za jego przyczyną. Naśladowali go kardynałowie i wybitni członkowie arystokracji, a «inteligencja» gromadziła się około sodalicji «degli Umoristi», do której i Marino należał jeszcze za czasów pierwszego swego pobytu w Rzymie. Sodalicja urządziła na cześć poety wielkie posiedzenie, na którem cavalier miał przemowę. Rozciekawienie było tak wielkie, że nawet wiele osób na wysokich stanowiskach nie mogło się docisnąć do sali i czekało na schodach i na ulicy, aby choć kilka słów usłyszeć z ust wielkiego poety. Konserwatorowie miasta urządzili dla niego śniadanie na Kapitolu w salach, przyozdobionych najpyszniejszemi rzeźbami i obrazami, a Marino, chcąc się im wywdzięczyć, przeczytał jeden śpiew ze swego poematu «Strage degli Innocenti». Także Crescenzi i kardynałowie d'Este i Savoia wspaniale przyjmowali go w swoich salonach.

Wszystkie znakomitości rzymskie prosiły poetę o krótki przynajmniej wiersz na pamiątkę, ale cavalier odpowiadał, że zanadto zmęczony wrażeniami ostatnich czasów, aby mógł się zdobyć na jaki utwór poetyczny. Odbierał wszakże zewsząd listy z uwielbieniem z powodu «Adonisa», a jakiś Wenecjanin, Giovan Francesco Businelli, przysłał słowa pełne entuzjazmu z «najpiękniejszego miasta na świecie dla najpiękniejszego poematu, jaki istnieje». Businelli tak się zachwycał «Adonisem», iż mówił, że każda strofa sprawia rozkosz czytelnikowi, każda równa się drugiej pięknością, podobnie jak gwiazdy na firmamencie, których rozróżnić od siebie nie

można, gdyż wszyskie równem światłem promienieją. Wenecjanin zapewniał, że jego, tj. Marina dzieła poetyczne będą rozkoszą przyszłych wieków.

Grzegorz XV panował bardzo krótko, dwa lata i pięć miesięcy, co było dla Marina wielkim zawodem; wspierany bowiem tak przez papieża, jak przez kardynała nepota, sądził, że ta protekcja opromieni jeszcze ostatnie lata jego życia.

Ponieważ czasy bezkrólewia w Rzymie zawsze bywały niespokojne, więc kardynał sabaudzki, mający przyboczną gwardję i liczną służbę, zaprosił Marina do swego pałacu na czasy burzliwe, aby tam mógł je przebyć we wszelkiem bezpieczeństwie. Nadzieje Marina znowu się ożywiły, gdy z urny wyszedł Matteo Barberini, a poeta pisał wówczas «Niech Bóg będzie pochwalony, po tylu niepokojach bezkrólewia mamy papieża poetę, człowieka pełnego talentów i bardzo przyjaźnie nam usposobionego, nostro amicissimo!» Tym razem zawiódł się Marino, gdyż ów przyjazny mu papież bardzo surowo wystąpił przeciw «Adonisowi» i zakazał druku tej książki w państwie papieskiem.

Po kilku miesiącach przekonał się poeta, że mu już w Rzymie róże nie zakwitną; pożegnał więc swego wiernego przyjaciela Crencenzia i udał się w maju r. 1624 do Neapolu. W Kapui już oczekiwał go markiz di Villa, Giovan Battista Manso w towarzystwie wielu członków arystokracji i literatów. Gianbattista, który przed laty musiał z rodzinnego miasta uciekać w nocy w przebraniu, wracał niemal jako triumfator, napełniwszy świat swą sławą, uznany we Francji i w Hiszpanji za największego poetę, ozdobiony zaszczytnym krzyżem kawalerskim.

Wicekról, straszny książę Alba, wysłał naprzeciw niemu własne karoce. Marino rozpierał się w jednej z nich, wspaniale ubrany, z wielkim złotym łańcuchem, błyszczącym na piersiach, i jak monarcha kłaniał się na wszystkie strony, gdy deszcz kwiatów padał z balkonów i entuzjastyczne okrzyki ludu odbijały się o mury zamku St. Elmo. Za jego karocą ciągnął się cały szereg powozów, a przed nią niósł jakiś młodzieniec rozwinięty sztandar purpurowy, na którym złotemi literami były wyszyte słowa:

«Kawalerowi Janowi Baptyście Marino, morzu niezrównanej wiedzy, bujnej wymowy i głębokiej nauki, duszy poezji i literatury, celowi dla piór, materji dla kałamarzy; fontannie myśli, skarbnicy cennych koncepcji, kopalni dziwnych pomysłów, szczęśliwemu Feniksowi literatów, cudowi genjuszów, kochankowi Muz, zaszczytowi wawrzynów, sławie Neapolu, księciu łabędzi; poecie, którego przesławne pióro nadaje epopei rzetelną wartość, wymowie naturalne barwy, wierszom prawdziwą harmonję, prozie zupełny artyzm; mężowi uwielbianemu przez uczonych, zaszczycanemu przez królów, przedmiotowi oklasków świata, którego nawet zawiść wynosi, te kilka wierszy składa, jako trybut, wątły strumyk...».

Napis, idący z najgłębszych kryjówek duszy XVII wieku, chorej na «virus secentistico». Wymyślił go i wyhaftował na purpurze signor Faciuti (mały strumyk), a cała ludność była zachwycona górnemi pomysłami młodzieńca i na widok tych niedorzeczności krzyczała: «Evviva!»

Marino zamieszkał w Neapolu narazie u teatynów św. Sylwestra, w ich świetnym domu dei SS. Apostoli, zapoznał się bowiem w Rzymie z jenerałem zakonu Don Vincenzem Gilbertim, który go zaprosił do siebie, dopóki pałac na Posilipie, naprzeciwko grobu Wergiljusza, nie będzie gotowy.

W Neapolu może jeszcze bardziej, aniżeli w Rzymie, zespolił się cały ruch umysłowy i naukowy w akademjach; rząd bowiem hiszpański obawiał się, aby ruch ten nie przeszedł, że tak powiem, na ulicę, więc pozwalał, aby się ograniczył do towarzystw wielkich panów i zawodowych uczonych. Włosi zakładali przeto już z patrjotycznych pobudek tyle akademij, ile się dało, i starali się je ożywiać na wszelkie sposoby. Do najpierwszych należała zawsze jeszcze akademja degli «Infuriati», którą fundował, jakeśmy mówili, Francesco Carafa. Obok niej celne miejsce zajmowało towarzystwo «Oziosi», na którego czele stał Manso, marchese di Villa. Ta akademja miała mnóstwo członków pomiędzy arystokracją, a ponieważ Manso był jej założycielem, więc tem samem i Marino musiał do niej wstąpić.

Zebrania «Oziosich» odbywały się w wielkiej sali kapitulnej di S. Domenico Maggiore, podczas gdy «Infuriati» mieli swoją siedzibę w chiostro di S. Lorenzo. Pomiędzy temi akademjami powstało bardzo nieprzyjazne współzawodnictwo, gdyż «Infuriati», jako starsze stowarzyszenie, obawiali się, aby ich «Oziosi» nie prześcignęli co do wpływu i sławy. Infuriati puszczali w obieg jak najbrzydsze sonety na nowych akademików, a zdaje się, że samemu wicekrólowi nie podobał się szybki wzrost «Oziosich» i pośrednio także się starał, aby ich gnębić na wszelkie sposoby. Gdy więc Marino przybył do Neapolu, zaczęły te dwa stowarzyszenia ubiegać się o jego odczyty, a zawziętość doszła do tego stopnia, że poeta dostawał bezimienne ostrzeżenia, że jeżeli będzie przemawiał w S. Domenico Maggiore, to go czeka śmierć niechybna. Grożono mu, że już są najęci brawi, którzy niespodziewanie zastrzelą go z rusznic.

Mimo rzucanych postrachów musiał Marino ze względu na łaski, doznane od markiza Mansa, wystąpić z odczytem u «Oziosich». Dzień tego odczytu stał się niemal powszechną uroczystością; akademja mianowała go swoim przewodniczącym «principe», tłumy ludu zebrały się około S. Domenico a arystokracji przybyło tyle, że sam Marino naliczył pomiędzy obecnymi stu sześćdziesięciu książąt i markizów. Odczytano na jego cześć nieskończoną ilość poematów, anagramów i rozmaitych innych kompozycyj, poczem Gianbattista przemówił tak dowcipnie, tyle rozsypał oryginalnych pomysłów, paradoksów i antytez, że całe zgromadzenie nie posiadało się z podziwu i uwielbienia. Po świetnem przyjęciu, jakiego doznał, wygłaszał Marino co środę w akademji odczyty, które nazwano «Discorsi Bizzarri». Panowie z arystokracji prześcigali się, aby go zapraszać na obiady, a nawet wicekról dał bankiet na cześć poety. Te honory zmęczyły wszakże tak dalece poetę, że myślał nawet o ponownem przeniesieniu się do Rzymu, a mianowicie o przyjęciu «służby» u kardynała sabaudzkiego, który bardzo go polubił.

Marino nie przeczuwał, że tymczasem w Rzymie, w kołach zazdrosnych literatów, tudzież pośród wysokich dygnitarzy kościelnych, gorszących się zmysłowością poezyj Gianbattisty, nurtowały bardzo nieprzyjazne mu prądy. Na czele zawistnych literatów stał Stigliani, a kardynał Pio, jako cenzor

«Adonisa», niemiłosiernie kreślił najpiękniejsze ustępy poematu. Dopiero tak obcięty «Adonis» mógł być sprzedawany w papieskiem państwie.

Tymczasem Gianbattista coraz bardziej zapadał na zdrowiu; cierpiał na kamień w pęcherzu, a przyjaciele namówili go, aby się poddał operacji. Najlepszym chirurgiem w Neapolu miał być jakiś braciszek z zakonu dominikanów; sztuka tego operatora nie dopisała, braciszek najstraszniej pokaleczył biednego poetę, który już i tak schorowany, wynędzniały, dostał gwałtownej gorączki i był bliski śmierci. Manso sprowadził mu spowiednika O. Don Andrea Castaldo, w którego ręce złożył poeta, może trochę zapóźno, przyrzeczenie czystości i obietnicę, że nie będzie już więcej pisał rzeczy świeckich. Z porady spowiednika postanowił Marino zaraz spalić rękopisy, zawierające poezje nie dość przyzwoite, lecz na szczęście obecni przyjaciele częścią porozbierali owe papiery, częścią wyrwali je z płonącego stosu.

Marino pozostawił, jak na poetę, dość znaczną gotówkę, cenny zbiór obrazów i dużą bibljotekę, którą zapisał OO. teatynom, gdyż oni do ostatnich chwil nieustannie go pielęgnowali. Dnia dwudziestego czwartego marca 1625 umarł z wielkim żalem tych, którzy go bliżej znali.

Ciało zostało zabalsamowane; Manso chciał urządzić wspaniały pogrzeb, lecz kardynał Decio Carafa, ówczesny biskup neapolitański, sprzeciwił się stanowczo, aby takiemu człowiekowi, jak zmarły, oddawano cześć, jaka się świętym należy. Pozwolił tylko na pochowanie ciała w nocy, w kościele teatynów. Manso, teatyni i cała publiczność neapolitańska postarała się o to, aby ten nocny pogrzeb przemienić w wspaniałą uroczystość na cześć zmarłego poety. Mnóstwo szlachty zebrało się z zapalonemi pochodniami, tłumy ludu postępowały za trumną. Na katafalku były wymalowane postacie najznakomitszych poetów: Wergiljusza, Owidjusza, Dantego, Petrarki i Tassa, a księgi Marina były ułożone wokoło trumny. Mowy pogrzebowe wygłoszono po łacinie i po włosku, a jeden z oratorów przemawiał imieniem wszystkich dziewięciu Muz. Pięćset pochodni gorzało w kościele, a rymotwórcy rzucali całe stosy sonetów na jego grób.

Neapolitańskie uroczystości pogrzebowe na cześć Marina zbladły wobec wspaniałych egzekwji, jakie mu urządzili akademicy «Umoristi» w Rzymie. Chcieli oni uczcić pamięć tego, który nie tak, jak Orfeusz, ujarzmiał swym śpiewem dzikie zwierzęta, lecz olśniewał umysły największych władców na ziemi. Smutny ten festyn urządzono w wielkiej sali Akademji, ozdobionej brunatnem suknem, różnemi emblematami i dużym portretem poety we wspaniałych, złoconych ramach. Marino przedstawiony był siedząco, w chwili poetycznego natchnienia. Trzymał zeszyt ze swymi utworami w prawej ręce, a na stoliku obok niego leżały lira, szałamaja i trąba, jako symbole lirycznej, pasterskiej i heroicznej poezji. Obraz ten malował hr. Francesco Crescenzio, cavaliere Romano, brat kardynała, a dzieło było tak udane, że nazwano tego amatora-artystę rzymskim Apellesem. Pochwał sobie wtedy nie szczędzono. Długoby było opisywać te wszystkie znaki i przybory, któremi salę ubrano, dość, że Crenenzio dołożył wszelkich starań, aby uroczystość akademicka wypadła wspaniale. W sali zgromadziło się świetne towarzystwo, nie brak było duków di Pastrana i d'Alcala, ambasadora hiszpańskiego, księcia Karola Colonny, najznakomitszych prałatów i kawalerów papieskiego dworu.

Manso wystawił w kilka lat po śmierci Marina skromny pomnik dla poety w swej kaplicy di S. Angelo a Foro, z głową zmarłego z bronzu, którą bardzo pięknie wymodelował Bartolomeo Viscontini. Kaplicę tę zburzono, aby zrobić miejsce na Oratorium św. Filipa Neri, a piękny bronz zaginął. Dużo później OO. teatyni w Neapolu wmurowali na swym cmentarzu pamiątkową tablicę dla poety, który w blizkich z nimi zostawał stosunkach.

VII

Marino był najznakomitszym przedstawicielem seicentizmu, tej poetycznej zarazy, która w XVII wieku szerzyła się w większej części krajów europejskich i nazywała się we Francji «preziosismem», w Hiszpanji «gongorismem», a w An-

glji «eufuismem». Seicentizm kiełkował od dawna w poetycznej literaturze włoskiej, ale jak motyl w larwie czekał odpowiednich warunków, aby wylecieć ze swego powicia i zabłysnąć żywemi barwami. Dostrzec go można już w XV wieku w poezjach Policjana, a nawet gdzieniegdzie w epopei Arjosta. Gdy wielki ferrarski poeta chce podnieść piękność róży, nie obawia się powiedzieć, że temu kwiatowi niebo, ziema i słońce hołdują, nie wzdryga się przed żadną przesadą. Pomniejsi poeci Odrodzenia, taki Alunno, mający mniej talentu, a przeto chcący działać nadzwyczajnemi porównaniami i obrazami, także płynęli tem korytem. Ale wiek XVII był jakby stworzony, aby te skromne jeszcze poetyczne kwiaty rozrosły się w chwasty, przygłuszające wszelką zdrową myśl, a przedewszystkiem cichą, spokojną prostotę.

«Bizzarria» była znakiem czasu; podobnie jak artyści chcieli stwarzać koniecznie coś nowego, tak samo i poeci starali się głaskać ucho nowemi tonami wiersza.

Marino, «figlio della Sirena», szczególnie się do tego nadawał, aby muzyką swej pieśni bawić społeczeństwo. Wiersz o rozmaitych formach płynął mu z taką łatwością, z jaką Bernini rzeźbił swój marmur, ucho pieściło się rytmem, a południowa namiętność, którą drgały jego słowa, udzielała się czytelnikowi, pobudzając zmysłowość w wysokim stopniu. Zresztą jego staraniem było, jak wogóle modą XVII wieku, olśniewać. «Lo stupore» stało się hasłem poetów; kto powie coś niebywałego, ten zwycięży. Jakim sposobem się do tego dochodzi, o to nie pytano. Sam Marino wyznał, że celem poety jest wzbudzać podziw:

E del poeta il fin la meraviglia.

Hołdowano wszelkiej przesadzie, powtarzano z lubością tę samą ideę w najróżnorodniejsze sposoby, wymyślano niepodobne do prawdy porównania, puszczano wodze wyobraźni, która też bujała swobodnie po najgorszych manowcach. Sama treść była rzeczą podrzędną, niemal ogrodową drabiną, na której upinano róże, powoje, glicynie tak, że znikała pod obfitością i różnobarwnością rozbujałej roślinności.

Fabuła słynnego «Adonisa» jest podobną siatką do rozpinania przepysznych kwiatów. Wenus zapałała miłością do Adonisa i prowadzi go przez pięć ogrodów, symbolizujących pięć zmysłów, do źródła Apollina. Stamtąd wiezie go w karocy, którą Merkury powozi, do nieba, pokazuje mu planety Merkurego i Wenery, a po tej przejażdżce, uprzyjemniającej miodowe dni zakochanej pary, powraca z młodzieńcem na ziemię, do pałacu miłości. Lecz zazdrosny Mars spostrzegł, co się dzieje, czyha na życie młodzika, który dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, ucieka. Po drodze spodobał się Adonis czarodziejce Falsirenie, która go chce u siebie zatrzymać, używa różnych ku temu sposobów, a spotykając się z oziębłością młodzieńca, daje mu napój miłosny. Źle jednak przyrządziła owo lekarstwo: Adonis, wypiwszy trunek, przemienia się w ptaka. Merkury opiekuje się nim i podaje mu sposób, aby znów mógł przybrać postać człowieka. Falsirena nie przestaje go wszakże prześladować i w postaci węża czołga się za nim; spostrzegłszy to Adonis, przebiera się za wiejską dziewczynę, a po różnych awanturniczych przejściach wraca wkońcu do Wenery, do pałacu miłości i tam gra z nią — w szachy. Następnie z pomocą boskiej kochanki zostaje królem Cypru i jako panujący oddaje się przyjemnościom monarchy i lubuje się w łowach. Na jednem z tych polowań, w czasie nieobecności Wenery na Cyprze, zapłonął miłością do pięknego młodzieńca; odyniec, podżegany przez mściwego współzawodnika, Marsa, chcąc go ucałować, kłami bok mu rozdziera. Wenera wraca na Cypr, zastaje kochanka ciężko rannego, który pomimo wszelkiej opieki na jej rękach umiera. Tę mitologiczną fabułę ubarwił Marino mnóstwem epizodów komicznych, a nawet poważnych, wziętych ze współczesnych dziejów. Merkuremu każe opowiadać wojny Henryka IV, Ludwika XII i książąt sabaudzkich, opisuje turniej, urządzony na cześć zmarłego Adonisa, w którym biorą udział Farnesy, Colonny, Orsini, Borghesy i Carafy, tudzież trzech książąt z sabaudzkiego rodu, i rozmaite inne wplata opowieści. Bardzo zabawne są jego uwagi o miłostkach Marsa z Wenerą.

Cały poemat zawiera pięć tysięcy wierszy i jest praw-

dziwą orgją południowej wyobraźni, pomimo że Marino, podobnie jak Arjosto i Tasso, mnóstwo opowieści czerpał z Teokryta, Owidjusza, Wergiljusza, Katulla, Lukana i Klaudjana, Tebaldea, Serafina d'Aquila, Lope de Vega, Ronsarda, lub Tassa. Marino chciał się podobać współczesnym i umiał cel ten osiągnąć rozmaitością treści, wspaniałemi opisami i barwnością obrazów. Sądził on w swojej zarozumiałości, że napisał epos przewyższające «Gerusalemme Liberata» Tassa. Jeżeli jednak nie umiał stworzyć epopei, to przynajmniej napisał poemat, który nam daje świadectwo o zepsutem smaku wykształconej publiczności XVII wieku. Poemat dowodzi, co się podobało w czasach baroku we Włoszech, dowodzi umysłowego upadku narodu. Marino, będąc odbiciem epoki, miał mnóstwo naśladowców, stał się założycielem szkoły poetycznej, zwanej marinizmem. Najbliżej mistrza stali Claudio Achillini i Girolamo Preti, którzy starali się odtworzyć, a o ile się da, jeszcze prześcignąć muzykę wiersza Gianbattisty. Preti osobliwie rozpływał się w kulcie kobiety, a nawet doszedł do tego wniosku, że niewieścimi wdziękami można zwalczać ateizm, gdyż nikt prócz Boga nie mógł stworzyć tak boskiej, jak kobieta, postaci.

Non è possente
Crear forma divina altre che Dio.

Tych marinistów był cały legjon. Gianbattista Mamiani doszedł tak daleko, że nawet opiewa białe zwierzątka, które się zagnieździły w jasnych warkoczach jego ukochanej:

Ne la selva gentil d'aurato crine
Vidi fere vagar leggiadre e suelle,
E in varie forme unitamante belle
Far del candido sen dolci rapine; itd.

A nie były to sonety, pisane jako brzydki żart, lecz rymy, które uważano za najwyższy hołd złożony kobiecej urodzie. Tego rodzaju zboczeń od dobrego smaku i rozsądku, dopuszczano się na każdym kroku, najwstrętniejszą rzecz chciano «uszlachetnić poezją». Znalazł się nawet poeta, Alessandro Adimari, który w pięćdziesięciu sonetach opiewał fizyczne ułomności kobiet, twierdząc, że każde z tych kalectw ma swój szczególny urok. Adimari nie był nawet wyjątkiem w tego rodzaju kulcie fizycznej brzydoty, poezje na cześć kobiet ułomnych bywały bardzo podziwiane.

Inny znów marinista, Ottavio Rossi da Brescia, powiada, że gdy się oczy jego bogdanki zaiskrzą, to cały świat staje w płomieniach; błaga ją, aby ze swych pocałunków zrobiła łańcuch, któryby z ust schodził do serca i powiązał go z ukochaną.

Bacciami, vita mia, prima ch'io mora...
Fabrica de' tuoi baci una catena
Che dalle labbra mie descenda al core
E'l laghi alla tua lingua, alma sirena.

A wreszcie, nie mogąc inaczej wyrazić swych miłosnych żarów, wzywa ukochaną, aby go zamieniła w pocałunek.

Achillini, opisując jakieś kazanie, powiada, że duchowny przemawiał z taką siłą o ukrzyżowaniu Chrystusa, że słuchacze co rano po nabożeństwie wpadają w śmiertelną agonję. Albo mówiąc o kopule św. Piotra, utrzymuje, że Michał Anioł przyprawił skrzydła marmurom i wichry wprawił w zdumienie.

Jeszcze może najwyżej pomiędzy marinistami stał Vicenzo Da Filicaia, w którego lirycznych poezjach czuć prawdziwą siłę. Natomiast inne jego poezje, poważne, pobożne i moralne, pozbawione są wszelkiego polotu. Do takich należy słynna swego czasu kanzona na zwycięstwo Jana Sobieskiego pod Wiedniem, rzecz zimna i słaba.

Po tym nawale niedorzeczności musiała nastąpić reakcja. Jeden z pierwszych był Salvator Rosa, który w swej satyrze «La poesia» wyśmiewał przesadne metafory współczesnych poetów; wtórowali mu Cesare Orsini, Antonio Abati, Bracciolini i wielu innych. Prawdziwa walka dwóch obozów literackich powstała wszakże dopiero w drugiej połowie XVII wieku i wtedy «antimariniści» zaczęli z całą siłą występować i wyśmiewać «marinistów», którzy w parodję obrócili górne porywy «wielkiego» poety.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ALESSANDRO TASSONI

I

Człowiek, który w XVII wieku odróżnia się od innych, gdyż przebija się przez świat własną myślą, a będąc dworzaninem z potrzeby, nie płaszczy się, nie poddaje, lecz ma niezawisłe od nikogo zdanie i widzi jasno moralny upadek narodu i błędy włoskiego społeczeństwa — oto Tassoni. «Nie dam się nieść pospolitemu prądowi, jak kawał drzewa rwącej wodzie», to była jego zasada.

Tassoni urodził się w Modenie w r. 1565, w zamożnym szlacheckim domu; w dzieciństwie stracił rodziców i dostał się w ręce opiekunów, notarjuszów i adwokatów, którzy mu rozdrapali odziedziczone mienie. Musiał więc całe życie walczyć z biedą i dopiero na kilka lat przed śmiercą dostał jakąś spuściznę po to, by mógł umierać spokojnie.

Z młodości pozostała mu wszakże gorycz, która w połączeniu z wrodzonym dowcipem i ironją stała się główną cechą jego talentu. Tassoni bowiem był znakomitym pisarzem i poetą. Opiekunowie pozostawili mu tyle z ojcowskiej fortuny, że mógł chodzić do szkół w Modenie, a następnie zwyczajem wędrownych studentów przenosić się z jednego uniwersytetu na drugi, z Bolonji do Ferrary, z Ferrary do Pizy. Gdy środków do utrzymania zabrakło, wrócił do rodzinnego

miasta i zaczął zwyczajem poetów pisać pochwalne sonety, które mu utorowały drogę do dworskiej służby. Jego mecenasem został kardynał Ascanio Colonna, syn Marcantonia, który się okrył sławą pod Lepanto. Ascanio był wybitnym typem arystokraty zdegenerowanej rasy; już jego ojciec, któregośmy poznali w Bracciano, s.ynął z dziwactw, a syn przeszedł jeszcze rodzica. Z wychowania i przyzwyczajeń prawie Hiszpan, niesłychanie dumny i zarozumiały na swój ród wysoki.

Z Colonną udał się Tassoni w r. 1600 do Hiszpanji, lecz po trzech latach wrócił do Rzymu, gdyż kardynał został wicekrólem Sycylji i posłał go do Klemensa VIII, aby prosił w jego imieniu o pozwolenie przyjęcia tej wysokiej posady. Tassoni zrobił na papieżu jak najlepsze wrażenie i zdaje się, że zachęcony przyjęciem w Watykanie, miał zamiar przywdziać suknię duchowną, aby dojść do godności kościelnych i do beneficjów. Napróżno jednak sprawił sutannę i kazał sobie wystrzyc tonzurę; nadzieje go zawiodły, posady w urzędach watykańskich nie otrzymał. Żył więc w stolicy Apostolskiej jako chudy literat, zajął jednak wybitne stanowisko w tamtejszych dwóch akademjach «degli Umoristi» i «dei Lincei», a nawet został w tej ostatniej przewodniczącym, «il principe». Wówczas zbliżył się do bawiącego tam w r. 1613 księcia Karola Emmanuela sabaudzkiego, znakomitego mecenasa, popierającego literatów. Książę mianował go w r. 1618 sekretarzem piemonckiego poselstwa w Rzymie; zdaje się jednak, że Tassoni nie długo zajmował to stanowisko, gdyż niebawem widzimy go dworzaninem kardynała sabaudzkiego, syna księcia Karola Emmanuela. Z listów, które Tassoni pisywał często do Turynu, powziął Karol Emmanuel wysokie wyobrażenie o zdolnościach politycznych Alessandra i o jego gruntownej znajomości stosunków hiszpańskich, które go bardzo obchodziły; powołał go więc do Turynu na pierwszego sekretarza swej dyplomatycznej kancelarji.

Wtedy to napisał Tassoni swoje sławne «Filippiche» rodzaj listów otwartych do książąt i do rycerstwa włoskiego, wynosząc Karola Emmanuela I jako jedynego księcia, który może władców półwyspu zjednoczyć przeciw Hiszpanji. W listach tych przestrzegał autor Włochy przed zamiarem króla

katolickiego opanowania Piemontu, owej bramy półwyspu i z niesłychaną na owe czasy odwagą uderzał na króla Filipa. Przypominał, że państwo kościelne, prawie bezbronne, musi się co chwilę obawiać Hiszpanów, którzy opanowali Neapol, trzymają Toskanję jakby w obcęgach, otoczywszy ją swemi posiadłościami, i faktycznie zagarnęli Genuę i Medjolan. Dowodził, że książęta Parmy, Modeny i Urbina stoją na żołdzie hiszpańskim i że nawet Wenecja, chociaż wolna, jest wobec Hiszpanów bezsilną, gdyż musi się bronić przed nawałą turecką.

Owe «Filipiki» może się w duszy bardzo podobały księciu Piemontu, ale mogły go zanadto narazić Hiszpanji, której on sam nie zdołał stawić oporu; więc też Karol Emmanuel uwolnił Tassoniego od służby i odesłał napowrót do Rzymu, do swego syna. Z kardynałem poróżnił się jednak Tassoni z niewiadomych powodów, więc i u niego nie mógł pozostać i w r. 1622 wynająwszy jakiś dom z ogródkiem, poświęcił się studjom i ogrodnictwu. Podobnie jak Arjost, okopywał i plewił jarzyny i kwiaty.

Widocznie jednak ani dochody nie wystarczały na spokojne życie, ani zupełne usunięcie się od dworskiego ruchu dogadzało człowiekowi, przyzwyczajonemu do życia publicznego. Podobnie jak Tasso, jak wielu innych, nie mógł się obejść bez «dworu», pomimo że kazał się wymalować z figą w ręku, jako jedyną nagrodą, którą sobie zdobył na dworskich pokojach.

W r. też 1626 wszedł znowu do «służby»; tym razem u kardynała Ludovisi, nepota zmarłego papieża Grzegorza XV, u którego pozostał aż do r. 1632 do śmierci kardynała. Tassoni był już wówczas sławnym; przypomniał więc sobie o jego istnieniu Franciszek I, książę Modeny, a nie chcąc, aby chwała poety spływała na obcego mecenasa, nadał mu urząd «literackiego szlachcica», «gentiluomo di belle lettere», wyznaczając mu płacę 300 skudów rocznie.

Tassoni nie należał do ludzi spokojnych; drażliwy, kłótliwy, sarkastyczny, znowu zawikłał się w jakieś nieprzyjemne intrygi. W czasie, kiedy był dworzaninem kardynała sabaudzkiego, kazano mu wyjechać na dziesięć dni z Rzymu na wygnanie, ponieważ kogoś obił; teraz w Modenie tak sobie naraził tamtejszych zakonników złośliwemi sonetami, że wynikiem poezji była bójka na kije. Kto w tej walce zwyciężył, czy zakonnicy, czy Alessandro, nie wiemy; to jednak pewne, że te zajścia wpłynęły na jego zdrowie i że wkrótce zachorował obłożnie i umarł w Modenie 25 kwietnia 1635.

Tassoni pozostawił bardzo oryginalny testament, wyrażając się w nim, że to, co ma najdroższego, swą duszę, oddaje najwyższej, niewidzialnej, wiecznej Istocie, a ciało, przeznaczone na żer robactwa, życzyłby sobie, aby było spalone. Ponieważ jednak ten rodzaj usuwania ciał ludzi zmarłych sprzeciwia się zwyczajom religji, w której się wychował, przeto prosi sąsiadów, aby go pochowali w nocy, w poświęconej ziemi. Nie chce jednak, aby na pogrzeb robiono znaczne wydatki; jeden ksiądz, mały krzyżyk, worek na ciało ze zgrzebnego płótna, «facchino», któryby worek zaniósł na plecach, zupełnie wystarczą. Na koszta, które śmierć za sobą pociąga, pozostawia dwanaście dukatów, a «pewnemu nicponiowi», imieniem Martio, synowi, którego podobno miał z jakąś Łucją Garfaginą w dolinie Marignano (przynajmniej Łucja tak utrzymywała), zapisuje sto skudów, aby się mógł włóczyć po karczmach. Tassoni nie bardzo wierzył, żeby ów Martio rzeczywiście był jego synem, i mawiał o nim, że to chłopak najgorszych skłonności, «pessima natura», niegodny bastard o strasznych obyczajach.

Poeta kilka razy pisał testament, a w każdym były rozmaite, dziwaczne i złośliwe zapisy. Dla monsignora Boschetti, który pomimo słabych zdolności doszedł do znaczenia w kościelnej karjerze, przeznaczył obraz, przedstawiający Fortunę, podnoszącą osła do góry; przyjacielowi, który mimo rozumu nie osiągnął w życiu zaszczytów, darował własny portret z ową figą w ręku, a innemu ze znajomych, Forcicolemu, ofiarował wszystkie swoje pisma z warunkiem, «aby je popalił». Kapucynów w Modenie obdarzał beczką wina, ale bez beczki, sądząc, że ją prędko wypróżnią i nie będą jej potrzebowali. Krewnym, do których miał przez całe życie żal niezatarty, pozostawił tylko sonet, ale straszny, pełen goryczy. Raczej chciałby się powierzyć opiece Turków, albo Maranów, raczej szukać łask u żebrzących mnichów, aniżeli u rodziny.

II

Tassoni wywołał wielką rewolucję, wydawszy swoje «Considerazioni sulle rime del Petrarca», w których z gryzącym sarkazmem powstawał przeciw bożyszczu poetów i nazwał go «królem słodziuteńkich», «rè dei melici». Ale zupełnie rewolucyjnem dziełem były dopiero jego «Pensieri diversi», jedna z najdziwaczniejszych książek, jakie wyszły we Włoszech w XVII wieku. Są to dość chaotyczne zapiski Tassoniego o najrozmaitszych rzeczach: zapatrywania na kwestje z astrologji, astronomji, fizyki, fizjologji, historji naturalnej, historji powszechnej, zdania o sztuce wojennej, polityce, poezji, słowem, o wszystkiem, co mu na myśl wpadło. Zadaje on tam sobie często pytania, któreby dzisiaj uśmiech wywoływały, i odpowiada na nie rozprawkami, pełnemi paradoksów, ale zawsze wybornie charakteryzującemi ten chaos zapatrywań, jaki wówczas panował. Najsprzeczniejsze kwestje graniczą ze sobą; autor pyta np., dlaczego słońce, pomimo, że gorące, oziębia niektóre przedmioty? a niebawem chce wytłumaczyć «poważną» sprawę, dlaczego biszkopty są twardsze na gorąco, aniżeli na zimno. Gdzie indziej rozciekawia go kwestja, na co Pan Bóg stworzył muchy, albo skąd to pochodzi, że zwierzęta nie mają zielonych futer, albo że kobietom włosy na brodzie nie rosną. Roztrząsa też pytanie, z jakiego powodu raki cofają się, a nie idą naprzód, lub skąd się wziął zwyczaj, że w Ferrarze młode pary pobierają się tylko w maju? Dalej zaciekawia go, czemu należy przypisać, że mądrzy ojcowie mają najczęściej głupich synów?

Zastanawiając się nad rzeczami wielkiej wagi, jak nad systemem Kopernika, o którym wszyscy wówczas rozprawiali, nie może się zgodzić na zapatrywanie wielkiego astronoma i na dowód, że Kopernik nie ma słuszności, przytacza następujący przykład. Jeżeli stoimy w pokoju i przypatrujemy się przez okno świecącemu słońcu na południu, to według pojęć Kopernika, powinnoby się okno wraz z ziemią tak szybko obracać, że w jednej chwili stracilibyśmy słońce z oczu, a przecież widzimy je aż do zachodu. Że ziemia naokoło

słońca, niejako w obliczu słońca się obraca, jeszcze Tassoni nie mógł zrozumieć. Nie uprzedza on się wszakże przeciw nowym teorjom, jest człowiekiem wolnomyślnym i każdą ideę uważa za godną głębszego zastanowienia. Trzyma się zasady, że trzeba tak postępować, jak postępowali starożytni, «filosofare con l'antica libertà».

Tej wolności myśli broni na każdym kroku i jest zawziętym przeciwnikiem skostniałych wyobrażeń. Z największą furją rzuca się na perypatetyków, którzy nawet wtedy szliby ślepo za Arystotelesem, gdyby starożytny uczony mówił same kłamstwa.

E perchè gli è Aristotele, bisogna
Credergli, ancorchè dica la menzogna.

Można sobie wystawić, jaką burzę wywołały «Pensieri diversi» u arystotelików, u tych ludzi, którzy «jak ostrygi przyczepili się» do perypatetycznych doktryn. Lecz Tassoni bronił się sarkazmem, śmiał się ze swoich nieprzyjaciół, że gotowi uczonego poganina zrobić świętym chrześcijaninem, że lada chwila wynajdą cuda, któremi się odznaczył, i podadzą długi memorjał do Kongregacji obrządków, czyniąc wszelkie starania, aby kanonizować wielkiego Greka. Wyrzuca perypatetykom, że dlatego upierają się przy zasadach Arystotelesa, ponieważ z niego żyją; gdyby się go nie trzymali całą siłą, toby im chleba zabrakło, albowiem «ci najemnicy Arystotelesa» nic innego nie umieją. On zaś, Tassoni, nie potrzebuje się oglądać na greckiego filozofa, gdyż i bez niego potrafi sobie na świecie poradzić.

Z tego rodzaju zapatrywaniami nie mógł Tassoni zawsze żyć w zgodzie z Inkwizycją, pomimo, że starał się inkwizytorów, o ile możności, omijać. Naśladował filozofów XVI wieku, którzy, jak Pico z Mirandoli, mieli dwie wiary: jedną jako poddani Kościoła, drugą jako uczeni. Czasami jednak zabrakło mu cierpliwości, gdy mu inkwizytorowie zanadto dokuczali. W roku 1602 w czasie, kiedy był sekretarzem kardynała Colonny i bawił z nim w Valladolid, dowiedział się, że go w Rzymie oskarżono przed Inkwizycją, jakoby sprzedał jakiejś pani w Modenie djabła, zamkniętego w ampułce. Tego mu było

za wiele; z właściwą sobie ironją napisał do zastępcy świętej Inkwizycji w Modenie, który doniósł ową wiadomość do Rzymu, list, zadziwiający swą śmiałością.

Każdy literat, wydając choćby lichą książkę, poświęcał ją jakiejś wpływowej, albo zamożnej osobistości, gdyż to był jedyny sposób wydobycia korzyści z pisania. Ale Tassoni chodził zawsze własnemi drogami; wydając swe «Pensieri diversi», odstąpił od tego zwyczaju, poczuwał się jednak do obowiązku wytłumaczyć, z jakiego powodu to czyni. Poprostu, nie miał komu swej książki poświęcić, gdyż «pomimo, że przez lat siedmnaście bywał na dworze rzymskim, tak mało pozyskał sobie łask u gwiazd owego nieba, że stracił nadzieję, żeby ich blask rozświecił kiedykolwiek ciemności, które go otaczają». Zresztą, powiada, jeżeli książka dobra, to znajdzie protektorów, bez dedykacji, jeżeli niewiele warta, to żadne dedykacje jej nie pomogą.

Na Rzym był bardzo zagniewany, widać to nietylko z przedmowy, ale i z samej książki. Zapewne chciał otrzymać jakąś posadę w datarji, ale, jak powiada, nie mógł tego szczęścia osiągnąć, «aby jego nazwisko mogło być zapisane na ścianach tej magistratury, gdzie wchodzi tyle osłów i koni». Przypisuje to swemu urodzeniu w złej konstelacji, we wrześniu, «w czasie wielkiej klimakterji», w najstraszniejszej epoce dla tych, którzy wtedy na świat przychodzą. «Temu losowi nieszczęsnemu, powiada, przypisać należy, że prawie w pieluchach zostałem bez matki i ojca i bez krewnych, otoczony całą chmurą procesów, które pożarły największą część rodzicielskiej spuścizny. A po długich, ciężkich przejściach, zaprowadziło mnie owe fatum ostatecznie na dwór rzymski, gdzie spędziłem lat siedmnaście wśród tysiąca przykrości, pomimo, że dokładałem wszelkich starań, aby odpowiedzieć moim obowiązkom. I podczas gdy inni, godni i niegodni, zbierali zaszczyty i majątki, ja sam jeden, zamiast żeby się czego dorobić, musiałem wydać w czasie rozmaitych klęsk to, co mi po rodzicach pozostało».

Tak się też zagniewał na astrologję, na ten fatalny wpływ gwiazd na jego losy, że wkońcu nazywa całą tę naukę «złą i szkodliwą» i potępia ją na wieki.

Tassoni był arystokratą, miał przekonanie, że prawdziwe szlachectwo dziedziczy się wskutek urodzenia, za najlepszą też formę rządów uważał monarchję. To jednak nie przeszkadzało, że nienawidził tyranji politycznej i wolność uważał za największe dobro, które człowiek posiada, obok życia. W pismach Tassoniego skrystalizowało się już uczucie patrjotyczne, które w XVI wieku jeszcze bardzo było słabe, do najwyższej potęgi. «Ojczyzna», mówi on, «jest więcej, jak naszą matką, i jeżeli nie wolno robić ze swej matki niewolnicy, jakiekolwiekby popełniła błędy, tak samo nie wolno okuwać w kajdany własnej ojczyzny, choćby się widziało pewne błędy w jej rządach». Wszystkie jego polityczne gniewy są skierowane przeciw Hiszpanom, których z całej duszy nienawidzi. Osobliwie drażni go i boli to, że książęta i arystokracja włoska poddaje się ich «barbarzyńskim, afrykańsko-maurytańskim zwyczajom, że przyjmuje pensje, ordery i tytuły, będące nagrodą za serwilizm». Z oburzeniem woła, «że jedynie Włosi różnią się od wszystkich innych narodów, nawet od wszystkich zwierząt tem, że zdradzają przyjaciół, zdradzają ojczyznę, aby się łączyć z nieprzyjacielem». Autor ma zupełnie inne wyobrażenie o ówczesnej potędze hiszpańskiej, aniżeli wielu innych Włochów. Mówi, że Hiszpanja podobna do słonia z duszą kurczęcia, do błyskawicy, która olśniewa, a nie zabija, do olbrzyma, który ma ramiona, nićmi przywiązane. Znając półwysep iberyjski, opisuje go w sposób zupełnie odpowiedni swoim wyobrażeniom o narodzie hiszpańskim. Z ironją powiada, że kraj hiszpański to ruda ziemia, która nic innego nie rodzi, jak rozmaryn i dziką lewantę; najpiękniejsza płaszczyzna, na której spotyka się jedną zagrodę na cały dzień drogi, pyszne skały, wyglądające, jak wiejskie osady, czarujące pagórki, bez źdźbła trawy i bez źródełka wody, wspaniałe miasta, złożone z drewnianych chat i lepianek. Z takiego to ogrodu świata, z takiego przybytku rozkoszy wyjeżdżają owe legjony błędnych rycerzy, którzy przywykli żywić się upieczonym na słońcu chlebem i cebulą i spać pod gołem niebem, przychodzą, aby panować nad naszemi miastami. Podobne wrażenia wyniósł z Hiszpanji jeden z ówczesnych podróżnych francuskich, który tam jakiś czas bawił. Opowiada on, że Hiszpanie stali się na-

rodem próżniaczym, że w Madrycie nikt nie chce zamiatać błota przed swemi drzwiami, że w słotny dzień wieśniacy nie chcą do miasta przywozić ani chleba, ani jarzyn, że Francuzi dostarczają zboża hiszpańskiej stolicy, pomimo, że w Kastylji i w Andaluzji jest dużo zboża za bezcen.

Tassoni ubolewa, że Włosi z powodu niezgody narodowej poddają się takiemu nędznemu narodowi, jak Hiszpanie, i wychwala zasługi Karola Emanuela I, księcia Sabaudji, który jedyny pomiędzy książętami półwyspu wydał hasło (w r. 1613) niepodległości Włoch wobec Hiszpanów. Do tego księcia zwrócił się jeden z poetów w 43-ech stancach, które się zaczynają słowami, powtarzanemi w XVII wieku w całych Włoszech:

Carlo, quel generoso invitto core
Da cui spera soccorso Italia oppressa
A che bada? a che tarda? a che più cessa?
Nostre perdite son le tue dimore...

Naco poeta Testi imieniem Carla miał odpowiadać słynnym sonetem:

Italia' ah non temer, non credo il mondo
Ch'io muova ai danni tuoi l'oste guerriera
Chi desia di sottrarti a grave pondo
Contra te non congiura. Ardisci e spera.

Tassoni tak był przejęty nieszczęściami swojej ojczyzny i hiszpańskim uciskiem, że zaczął pogardzać literaturą i umiejętnościami, ponieważ te nauki wydają ludzi «ambitnych, zazdrosnych, złośliwych, niedowierzających, a przedewszystkiem bojaźliwych», a cały naród chciał zamienić w zdrowych, silnych żołnierzy. «Gęsi uratowały Kapitol», wykrzykuje, «nie czytałem wszakże nigdzie, aby jakiś literat cośkolwiek dobrego uczynił swojej ojczyźnie!» Wyśmiewa on uczonych o długiej brodzie, wydających się olbrzymami w todze i wielkim płaszczu, ludzi o basowym głosie, którzy pod fałdzistą suknią kryją nikłe ciało, obwisłą skórę i umysł, niezdolny do jakichkolwiek porywów. A cóż dopiero powiedzieć o kobietach literatkach, które czytając książkę o miłosnych intrygach

i zmysłowych romansach, marzą tylko o rzeczach bezwstydnych!

Z boleścią pisze o jakimś modnym panu w Rzymie, którego nazwiska nie chce wymienić. Ów młodzieniec urządzał właśnie pałac i żądał od swego ajenta, Portugalczyka, aby mu sprowadził piękne koty indyjskie, tudzież różnorodne gatunki papug, a nadto wystarał się o literata, ale o takiego, któryby mógł mu służyć za rozrywkę.

Ta chwilowa zapewne pogarda literatury i nauki prowadzi Tassoniego na rozmaite manowce. Wyśmiewa już nietylko Arystofanesa, ale nawet Homera, którego nazywa «arcifanfano dei Rabini». «Co to za poeta», powiada, «który co cztery wiersze bredzi tylko o jedzeniu i piciu, który wprowadza dwóch gburów, Ajaksa i Hektora, niedoświadczonych wieśniaków, jako wielkich ludzi! Bohaterowie Homera nie umieją nic zdziałać na własną rękę, ale poza nimi stoją zawsze bogowie, którzy poruszają nimi, jak marjonetkami. A jakie to brudasy, własnoręcznie zamiatają dyle i jak rzeźnicy, wyrębują mięso!»

Wogóle Tassoni na Greków bardzo zagniewany; mówi, że ci starożytni byli mistrzami w «sofisterji» i kłamstwie; w Atenach i Sparcie mówiło się dużo o cnocie, lecz w rzeczywistości ludzi prawdziwych zacnych było bardzo mało, jak wogóle cała Grecja, skalista i uboga, wydawała się na oko lepszą i wspanialszą, aniżeli nią była w istocie. Inaczej wyglądała starożytna Italja; mniej słów, a więcej czynów, było charakterystyką Rzymian, którzy o wiele wyżej, osobliwie w czasach rzeczypospolitej, stali od tych wychwalanych Greków.

«Pensieri diversi» Tassoniego miały wielki wpływ na społeczeństwo włoskie XVII wieku. Okrywały one śmiesznością czcicieli Arystotelesa, zachwiały ich wpływem i niemało się przyczyniły do rozjaśnienia umysłów, do utorowania drogi naukowemu postępowi. Wielka postać Galileusza przyćmiła Tassoniego; gdy się jednak przypatrzymy bliżej umysłowemu ruchowi owych czasów, to i naszemu Modeńczykowi przyznamy w rozwoju nowych idei niepoślednie miejsce.

III

Ale dopiero duży poemat heroikomiczny «La secchia rapita», «Porwane wiadro», poruszyło Włochy i rozniosło sławę Tassoniego po całej literackiej Europie. Boileau mógł też powiedzieć, że Tassoni

... par le traits hardis d'un bizzare pinceau mit l'Italie en feu pour la perte d'un seau.

Czasy Arjosta i Tassa minęły, nie było już podstawy do układania poematów rycerskich; znikli rycerze, którzy z miłości dla wymarzonej kobiety narażali się na najrozmaitsze przygody i niebezpieczeństwa, biegli z jednego krańca świata na drugi, aby wsławić imię ukochanej. Brakło także owej gorącej wiary, pod której hasłem szły całe zastępy zbrojnych daleko na Wschód, aby walczyć z niewiernymi i starać się odebrać grób Zbawiciela. Feudalne zwyczaje się zacierały, społeczeństwo stawało się prozaicznem, dbającem więcej o zarobek, o wzbogacenie się, aniżeli o niedoścignione ideały. Z powiększaniem się ludności, z ulepszeniem dróg i komunikacji nikt już nie chce wierzyć w zaczarowane zamczyska i lasy, w których błądzą zaklęte postacie. Wyobraźnia przepływa teraz oceany, śledzi słynnych żeglarzy, którzy odkrywają nowe, w rzeczywistości istniejące, a nie wymarzone światy i przywożą na swych galerach złoto i inne bogactwa. Wszędzie się wciska zimne, krytyczne badanie; zamiast scholastycznej dogmatyki rozpoczyna filozofja swoje panowanie, zamiast fantastycznych opowieści piszą historję Macchiavelli i Guicciardini. Zresztą Reformacja rozprasza wiele pojęć średniowiecznych, umysły stają się coraz trzeźwiejsze.

Społeczeństwo odpycha od siebie z granitu wyciosane postacie Homera, a nawet nie rozumie już w stal zakutych rycerzy; uszy rozpieszczonych panów i uperfumowanych pań XVII wieku wymagają, aby je drażnić «dobrze posolonemi dowcipami». Do tych wymagań może aż zanadto zastosował się Marino; Tassoni zaś widział także, że się czasy zmieniły, lecz więcej samoistny, napisał poemat, który uważał za zupełnie nową formę poetycką. Poemat powstał z bolu nad poniżoną ojczyzną, z gniewu na niezgodę włoskich panujących, którzy zamiast połączyć się wobec niebezpieczeństwa hiszpańskiego ku wspólnej obronie, gonili za tytułami i odznaczeniami, ale także z uraz osobistych autora. Sarkazm więc, ironja, gorzki śmiech kierowały jego piórem, a ponieważ forma epopei zawsze jeszcze była najwyższym szczytem poezji, więc z dawnych motywów i z nowych prądów wynikł poemat epiczno-satyryczny, który wybornie oddaje walkę pomiędzy klasycznemi przyzwyczajeniami czasów Odrodzenia, a trzeźwemi poglądami filozofji XVII wieku. Tassoni miał słuszność, jeżeli pierwszeństwo co do formy podobnych poematów sobie przyznawał, nazywając swój utwór «un poema di nuova spezie». Z «Don Quixotem» Cervantesa niewiele poemat Tassoniego ma pokrewieństwa, Cervantes stara się bowiem przedstawić śmieszności spóźnionego rycerstwa w szlachetnej postaci, jaką jest Don Quixot, podczas gdy Tassoni ma osobiste cele na oku, a jego Conte di Culagna, jedna z najwybitniejszych i najzabawniejszych figur w poemacie, jest portretem hrabiego Paola Brusantiniego, do którego autor miał urazę za zjadliwą krytykę swoich utworów. Tassoni nazwał swego Culagnę synowcem Don Quixota; porównanie jednak nie było trafne, gdyż w żyłach hiszpańskiego rycerza krążyła inna, szlachetniejsza krew, aniżeli w sercu tchórzliwego Włocha.

Poeta sięga wprawdzie, na wzór pisarzy Odrodzenia, jeszcze po bogów na Olimp i wprowadza ich gdzieniegdzie w swoim poemacie, ale tylko w tym celu, aby drwić z licznych autorów rycerskich epopei, których się po śmierci Tassa sporo namnożyło. Wszyscy ci poeci nadużyli starożytnej mitologji i dlatego autor Secchii wyśmiewa ich niemiłosiernie, a z bogów robi karykatury.

Treść poematu następująca. Bolończycy, niespokojni sąsiedzi, żądni podbojów, napadli na Modenę, aby się łupami wzbogacić. Mieszkańcy Modeny, zaskoczeni w nocy, zaczęli bić w dzwony. Jeden wziął czemprędzej pantofel, drugi trzewik, inny koszulę żony, zamiast swojej własnej, jeszcze inny wsadził rondel na głowę, niby hełm miedziany, i tak wyszli na spotkanie nieprzyjaciela. Jeden tylko podesta czyli potta, jak go przez skrócenie nazywano, zdołał w pośpiechu ubrać

się w czerwone pończochy i pantofle, i rozwinąwszy sztandar miasta, stanął na czele tego nocnego, pospolitego ruszenia. Co więcej, sto młodych dziewcząt włożyło pancerze i wyruszyło zgnieść nieprzyjaciela. Bolończycy też uciekli i nie oparli się, aż w murach ojczystego miasta, a dzielni mieszkańcy Modeny, napiwszy się wody ze studni bolońskiej, zabrali nowe wiadro. To była wielka zniewaga, dowód, że zwycięska Modena weszła aż w mury Bolonji. Posłali więc Bolończycy dwóch najzacniejszych obywateli do Modeny, aby prosili o zwrot całego wiadra, a w razie potrzeby wykupili je, ofiarując nieprzyjacielowi kawałek bolońskiej ziemi. Lecz dumna ze zwycięstwa Modena wiadra oddać nie chciała; poselstwo wróciło do Bolonji z niczem, zawrzała więc pomiędzy dwoma miastami zawzięta wojna o wiadro, o cebrzyk. Wojna ta cały Olimp porusza, Apollo i Minerwa stają po stronie Bolończyków, Modenę wspierają Mars, Wenus i Bachus, co więcej, syn cesarza Fryderyka II, Enzo (bo rzecz się dzieje za panowania Hohenstaufów), przychodzi im w pomoc.

Zaczynają się olbrzymie zapasy, ale zmienne szczęście wojenne raz sprzyja Modenie, a innym razem Bolonji. Przychodzi do walnej bitwy, w której Modeńczycy na głowę pobici, ratują się ucieczką, pomimo, że Bachus, pod postacią olbrzyma, walczy w ich szeregach. Hrabia di Culagna pędzi co koń wyskoczy do Modeny, aby zanieść tragiczną wiadomość i zarazem oznajmić ludowi, że Enzo wzięty do niewoli. Popłoch w całem mieście i tylko Ranoppia, dzielna kobieta, nie upada na duchu, zbiera szereg modeńskich amazonek, wyrusza przeciw nieprzyjacielowi i zmusza go do sromotnej ucieczki.

Następuje dziesięciodniowe zawieszeni broni i układy; ale podczas gdy Modeńczycy czekają na postanowienia bolońskiej starszyzny, ukazuje się na rzece, nad którą obozują obydwa wojska, barka, a z niej wychodzi dwóch heroldów, którzy wyzywają do walki rycerzy imieniem «kawalera», chcącego dać dowód swojej odwagi, celem pozyskania serca bogdanki. Wyzwanie przyjęło kilkunastu walecznych, lecz przeciwnik okazał się silniejszym i zręczniejszym od nich i wszystkich, prócz jednego, wysadził z siodła. Ten ostatni zwycięża, powaliwszy na ziemię nieznanego rycerza. Zwycięzcą jest hrabia Culagna; szczęśliwy, gdyż w nagrodę swej waleczności dostaje miecz drogocenny i obietnicę ręki pięknej Ranoppii. Ale Culagna żonaty, aby posiąść Ranoppię, musi zamordować albo otruć żonę. Z tym zamiarem zwierza się Rzymianinowi Ticie, nie wiedząc, że Titta ma stosunek z hrabiną, że Culagnie «rogi przyprawia». Rzymianin ostrzega hrabinę, która się ma na baczności, a spostrzegłszy raz, że mąż wsypał jakiś biały proszek do jej minestry, szybko zmienia talerze i zatrutą zupę stawia przed mężem. Culagna dostaje boleści, zdaje mu się, że dla niego wybiła ostatnia godzina, wyznaje przed żoną swój zbrodniczy zamiar, lecz nazajutrz zdrów wstaje z łóżka, gdyż trucizna była za słaba. Hrabina spostrzegłszy, że mąż nie umiera, przebrana i umalowana na twarzy, ucieka do namiotu Titty. Culagna szuka niewiernej, ale jej nie poznaje, pomimo, że ją spotkał u Titty; przyjaciele jednak zmuszają go, aby pomścił swą niesławę i wyzwał Rzymianina na pojedynek. Przeciwnicy stają na polu walki, Titta, blagier żądny sławy, z jednym tylko giermkiem, Culagna w otoczeniu pięćdziesięciu rycerzy, na pysznie przystrojonym rumaku. Towarzyszy mu także Ranoppia na białym irlandzkim koniu, w lśniącym hełmie, a wreszcie służący hrabiego, «nieustraszony Zanino» na ośle, wioząc parasol i naczynie, które się stawia pod łóżkiem. Przy pierwszem starciu zdaje się, że Culagna śmiertelnie ranny, Titta ogłasza, że zabił przeciwnika; wkrótce jednak okazuje się, że Culagna upadł ze strachu, a mniemana krew, tryskająca z jego rany, jest czerwoną wstążką. Gdy później Titta dowiaduje się, że przeciwnikowi nic się nie stało i że w Rzymie będą drwić z jego przechwałek, idzie pod okno mieszkania Culagni, zaczyna go wyzywać ostatniemi słowy, chcąc tchórza zmusić, aby wyszedł na ulicę i jeszcze raz się z nim zmierzył. Wreszcie Culagna ukazuje się w bramie, udaje odważnego, lecz przyjaciele rozdzielają dwóch wojowników, z których każdy powraca do swego łoża.

Po dniach dziesięciu, po upływie zawieszenia broni, staczają obydwa nieprzyjacielskie obozy jeszcze jedną walną bitwę, w której Bolończycy zostają na głowę pobici. Legat papieski pośredniczy jednak w bratobójczej walce, nieprzyja-

cielskie miasta się godzą, wiadro zatrzymują Modeńczycy na własność, a natomiast Bolonja uprowadza królewicza Enza, jako więźnia.

Tassoni osnuł swój poemat po części na faktach historycznych, które się wydarzyły w różnych czasach, częścią wplótł w opowiadanie zdarzenia współczesne i przedstawił ludzi jeszcze żyjących. Porwanie wiadra było rzeczywiście powodem zatargu pomiędzy Bolonją i Modeną w r. 1325, a wielką bitwę pod Fossaltą, którą poeta opisuje, stoczyły te dwa miasta o wiek pierwej. Anachronizmy stanowią jedną ze stron komicznych poematu, a śmieszność opowiadania powiększają jeszcze częste zestawiania zajść i osobistości bardzo poważnych z drobnostkowemi faktami i błazeńskiemi postaciami. Mitologję, której nadużywali poeci XVI i XVII wieku, wprowadzając bogów starożytnych przy każdej sposobności, ośmieszył Tassoni gruntownie. Apollo, książę na Delos, przybywa na radę bogów wózkiem, zaprzężonym w sześć iberyjskich, kasztanowatych dzianetów, zawinięty w czerwony płaszcz, z hiszpańskim orderem złotego runa na szyi. Pallada jedzie na angielskiej klaczy, w ubraniu napół greckiem, napół hiszpańskiem. Przyzwyczajona do wygód Wenera, zabrała ze sobą kucharza, mistrza «Szynkę», nauczyciela swego syna, i sporo domowników, których wiezie w osobnej karocy, a biedny Saturn, stary, brzydki, ma nos czerwony od kataru. Diana nie mogła przybyć na radę, gdyż udała się co świt prać bieliznę na granicę Toskanji i powróci do domu dopiero wieczorem. Jej matka przyszła na Olimp, robiąc pończochę, aby usprawiedliwić nieobecność córki. Junona się także nie stawiła, gdyż tego dnia myła sobie głowę, a Parki piekły chleb i miały dużo domowego zajęcia. Jowisz uważa sobie za zaszczyt głowę ozłocić księżycami, które właśnie co odkrył Galileusz, i kroczy wprawdzie z wielką powagą, ale idący przed nim kapitan gwardji taki pijany, jakgdyby należał do kompanji watykańskich Szwajcarów.

Za Jowiszem Merkury niesie kapelusz i okulary swego pana, a nadto worek, w którym po drodze zbiera podania i supliki śmiertelników. Te podania kładzie później obok «stolca» Jowisza, aby na nich bóg mógł położyć swój pod-

pis, albo wrzucić je w otchłań zapomnienia, na zabawę szczurów.

Autorzy librettów do operetek Offenbacha musieli czytać poemat Tassoniego, zanadto mu bowiem są pokrewni w wyszydzaniu Olimpu. Wyszydzanie to zresztą było modne w XVII wieku, epoka baroku mściła się na Olimpie za tylowieczne panowanie. Najbardziej greckim bogom dokuczał poemat Franciszka Bracciolíniego z Pistoi (1566—1645) pod tytułem «Scherno degli Dei», mający za temat miłość Wenery ku Marsowi i ku młodemu pasterzowi, Anchizesowi. W tej epopei kończy się bogów panowanie; spadają biedacy na ziemię, gdzie ludzie, pod dowództwem Taccona, mlecznego brata Bachusa, łotra nad łotrami, urządzają przeciw nim wojenną wyprawę. Taccone, chcąc zwyciężyć, każe swojemu wojsku przygotować tysiąc dużych mis makaronu; rzecz się więc kończy prawdziwie po włosku.

«Porwane wiadro» miało nadzwyczajne powodzenie. Tassoni skończył poemat w r. 1615, a zanim go mógł wydrukować, krążyło jego dzieło w odpisach po całych Włoszech. W latach 1617 i 1618 dodał poeta do napisanych dziesięciu jeszcze dwie pieśni, poświęcone głównie Culagni, a uszczypliwe docinki, zawarte w poemacie o innych osobistościach, bynajmniej nie oburzały, owszem, uważano sobie za zaszczyt znaleźć w «Secchii» wzmiankę o swej rodzinie. Jakiś Paduańczyk tak się obraził, że jego nazwisko nie było wymienione, iż napisał donos do inkwizytora, aby nie pozwolono książki drukować, gdyż «cała rzecz ma na celu wyśmianie papieża i Kościoła». Inkwizytor w Padwie wydał też zakaz ogłoszenia «Secchii», uwięziono nawet wydawcę, który już druk rozpoczął, a Tassoni musiał szukać gdzie indziej łagodniejszego prałata. Nie udało mu się wszakże ani w Vicenzy, ani w Modenie dojść do celu i dopiero w Rzymie, gdy po Grzegorzu XV nastąpił Urban VIII, można było wydać poemat. Rzymska inkwizycja poleciła wszakże porobić niektóre zmiany w tekście, z czego Tassoni skorzystał, aby wymienić nazwiska rodzin, które były obrażone, że autor o nich zapomniał. W ten sposób «Porwane wiadro» wydobyło się na wierzch z toni zapomnienia i w prze-

ciągu lat kilkudziesięciu doczekało się przeszło dwudziestu wydań we Włoszech i tłumaczeń na język francuski i angielski. Później natchnął poemat Tassoniego cudzoziemskich poetów do naśladownictwa, a bezsprzecznie «Lutrin» Boileau'a i «Rape of the lock» Pope'a powstały pod wpływem naszego Włocha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

LA BELL'ADRIANA

I

W r. 1639 wysłał kardynał Richelieu swego ulubionego skrzypka, Andrzeja Maugars, do Rzymu, aby tam wyszukał śpiewaków i śpiewaczki, któreby można sprowadzić do Paryża.

Maugars opisywał kardynałowi swe wrażenia artystyczne z Rzymu, a przedewszystkiem odwiedziny w domu Baronich, u pierwszej gwiazdy teatralnej Włoch. Adrjana Baroni przyjęła go rodzinnym koncertem. Sama śpiewała i grała na lirze, siostra jej na arfie, a córka, sławna już wówczas Leonora, na teorbanie. Ten koncert, na który się składały trzy piękne głosy kobiece i trzy różne instrumenty muzyczne, tak zachwycił paryskiego skrzypka, że zapomniał o «swej śmiertelnej kondycji i zdawało mu się, że się znalazł pomiędzy aniołami».

Z tego tercetu jeszcze Leonora najwięcej podobna była do aniołów, ale sama Adrjana, pomimo, że ją dotąd nazywano «la bella», miała już lat około pięćdziesięciu, sześcioro czy siedmioro dzieci, z tych syna żonatego i w żaden sposób za piękną uchodzić nie mogła. Wogóle nie bardzo rozumiemy, w jaki sposób dostał się jej ten przydomek, gdyż jedyny portret Adrjany, jaki się zachował, ryty na drzewie przez Mikołaja Perretę, nie może świadczyć o jej wdziękach; razi na nim okrągła, może nawet trochę niemiła twarz i czoło za wysokie. Musimy jednak wierzyć współczesnym, którzy opisywali

jej urok, że brzydką nie była. A nie wiem, czy istniała kiedykolwiek śpiewaczka na kuli ziemskiej, którąby zarzucono tyloma sonetami, madrygałami, listami, pisanemi wierszem i prozą, co Adrjanę. Kardynałowie, panujący książęta, hiszpańscy gubernatorowie, opaci benedyktyńscy, poeci z zawodu i rymotworzy okolicznościowi silili się, aby o jej głosie, o jej oczach, o jej białych rękach, o jej cnocie, uprzejmości i ruchach powiedzieć coś nowego. Nie było we Włoszech znakomitej osobistości, którąby Adrjaną nie była zajęta; panowała ona przez długie lata niepodzielnie nad sercami półwyspu, a nawet berło jej sięgało dalej na północ, gdyż, jak zobaczymy, i nasz Władysław IV uległ jej urokowi. Losy jej warto opowiedzieć, tem bardziej, że Adrjana była typową postacią tych «virtuose», które w XVII wieku wielką odgrywały rolę.

Adrjana Basili urodziła się w r. 1586 w jednym z domów na Posilipie w Neapolu i tam się wychowała, mając świadkami swego dzieciństwa Wezuwjusza i Ischję; nazywano ją też za młodu Syreną z Posilipu. Czem był jej ojciec Daniele Basili, mniej nas obchodzi; dość, że z małżonką swą Kornelją miał dziesięcioro dzieci, z których trzy córki, Adrjana, Vittoria i Margherita zostały śpiewaczkami. Rodzina Basilich zasłynęła nietylko w świecie muzykalnym; jeden z jej członków, literat, piszący po największej części w dialekcie miejscowym, zasłużył sobie na przydomek «Gran» Basili, co oczywiście trzeba trochę położyć na karb neapolitańskiej przesady. Gdy Adrjana zaczęła zbierać hołdy całych Włoch, wymyślono jej aż zanadto arystokratyczne pochodzenie, powiedziano, że «przodkowie Syreny z Posilipu byli królami na Krecie, a później zajmowali najwyższe godności w Moskwie i w Sarmacji».

Adrjana poszła wcześnie zamąż za Muzia Baroniego, który także nie mógł pochodzić od pierwszego lepszego śpiewaka lub komedjanta, więc sięgnął swym rodowodem aż do baronów króla Aragony. Mimo małżeństwa Syrena śpiewała dalej, a donośny głos obijał się o uszy wszystkich neapolitańskich magnatów, książąt di Sant'Elia, di Cerce, d'Aragona, Laurenzana i aż trzech Carafów, głaskał serce młodego neapolitańskiego poety Marina i wywoływał wierszy bez liku. Fra



Matteo Roselli

Una dama al clavicembalo. Obraz w posiadaniu Markiza Ginori Lisci we Florencji. (Roselli ur. 1578, † 10 sierpnia 1651).

Do str. 255





Książę Wilhelm Gonzaga z synem Wincentym, Eleonorą d'Austria i Eleonorą de'Medici
Według obrazu Rubensa w Accademia Virgiliana w Mantui

Do str. 257

Tommaso Stigliani nazwał wtedy Adrjanę słońcem, w które się nie można patrzyć, tak olśniewa swym blaskiem. Inny poeta powiada, że dawniej były oczy bramą, przez którą się Amor dostawał do serca; od czasu ukazania się Adrjany bóg miłości wchodzi już uszami. Jeszcze inny wreszcie nazywa wiek ten szczęśliwym, który może podziwiać, słuchać jedną z boskich syren.

> Felice il secol nostro a cui conviene
> Mirare, udire et riverire in terra
> Una de le celesti alma sirene.

Nawet słynny swego czasu w Neapolu golarz księcia d'Avellino, Bergazzano, napisał do niej sonet i wcale niezły madrygał.

Mimo tych wierszy, mimo tych wezwań Amora, Muzio Baroni nie potrzebował być zazdrosnym, na to się wszyscy zgadzają, po największej części z wyrazem głębokiego żalu. Ktoś ją nazwał «cudem uczciwości», «Miracol d'onestate, Chi la mira l'ammira». Zdaje się jednak, że Syrena z Posilipu oprócz wierszy, opiewających jej głos, piękność i cnotę, potrzebowała marnego złota na utrzymanie rodziny.

Zdarzała się dobra sposobność, aby te pragnienia zaspokoić. Książę Wincenty Gonzaga w Mantui był najgłośniejszym wówczas we Włoszech miłośnikiem muzyki i teatru i szukał właśnie śpiewaczki. Vincenzo, urodzony w r. 1562, miał wtedy lat czterdzieści sześć, kiedy zapragnął słyszeć głos Syreny z Posilipu. Był to duży, silny blondyn, o bujnych włosach i rumianej twarzy, piękny mężczyzna. Prócz muzyki i śpiewaczek lubił jeszcze polowanie, a gdy kilka dni bawił w r. 1584 we Florencji, czekając na swój ślub z Eleonorą, córką Franciszka I de'Medici i Bianki Capello, z nudów strzelał z arkebuzy do marmurowych gzemsów na wieżach. W muzyce lubił łączyć piękne z nadobnem, a często urocze śpiewaczki więcej go obchodziły, aniżeli melodramat Monteverdego. Powszechnie też mówiono o jego haremie muzykalnym; była to jednak instytucja, która mimo wszelkich niemoralności książęcych, bardzo się przyczyniła do rozwoju muzyki we Włoszech. Głośną była w Rzymie sprawa «zaangażowania» Caterinuccii

Martinelli, trzynastoletniej śpiewaczki, do artystycznego «personalu» księcia Wincentego. Gonzaga słyszał o pięknym głosie Caterinuccii i o jej wdziękach, chodziło mu jednak więcej o te ostatnie, aniżeli o muzykalne wykształcenie artystki. Kazał więc swojemu ajentowi w Rzymie zrobić kontrakt z rodzicami Caterinuccii, pod warunkiem, że lekarz i doświadczona kobieta sprawdzą dziewiczy stan śpiewaczki. W tej mierze tyle listów napisano pomiędzy Mantuą a Rzymem i w takie szczegóły się w nich wdawano, jakgdyby chodziło przynajmniej o nabycie jakiego posągu Michała Anioła. Wyznaczona komisja przekonała się, że Caterinuccia zupełnie odpowiada podanym przez Gonzagę warunkom; młoda artystka pojechała więc do Mantuy i zyskała sobie najzupełniejsze łaski księcia. Caterinuccia, obok wszelkich innych zalet, miała tę może największą, że była także wyborną śpiewaczką, osobliwie podobało się dzieło muzykalne Giuseppa Cenci, pod tytułem «Ave maris stella», które wykonywała z szczególnem przejęciem.

W karnawale r. 1607—8 miała wystąpić w melodramacie Rinucciniego «Arianna» z recytatywami Peri'ego i arjami, które skomponował sam Monteverdi. Książę cieszył się, tusząc sobie napewno, że przedstawienie w zupełności się uda, gdyż Caterinuccia wybornie swą partyturę śpiewała. Alić w sam dzień przedstawienia rozeszła się po Mantui wiadomość, że młoda artystka nagle umarła. Śmierć była zagadkowa i niema prawie wątpliwości, że piękną Rzymiankę otruła jedna z mantuańskich współzawodniczek. Podejrzenie padało na mantuańską śpiewaczkę, madamę Europę, która zazdrościła powodzenia obcej współzawodniczce; lecz nic pewnego w tej mierze się nie dowiedziano. Książę zapewne nie pozwolił zbyt ściśle dochodzić powodów śmierci Caterinuccii, obawiał się bowiem, że mogłyby wyjść najaw rozmaite niezbyt przyjemne dla niego okoliczności.

Gonzaga kazał wystawić zmarłej mauzoleum w kościele karmelitów z napisem, uświetniejącym jej pamięć, i ufundował za duszę swej ulubionej msze, które zakonnicy mieli odprawiać w każdą niedzielę i święto. W XVIII wieku zniesiono i kościół, i mauzoleum, i modły za śpiewaczkę ustały.

Vincenzo wkrótce się pocieszył; teatr, mogący pomieścić sześć tysięcy osób, nie mógł stać pustką, potrzebował primadonny. Sława Syreny z Posilipu doszła już do Mantuy, a może i o jej wdziękach księciu mówiono; Gonzaga zresztą, wielbiciel wszelakich piękności, jakie tylko gdziekolwiek istniały, w Rzymie, w Wenecji, czy w Neapolu, założył w swoim zamku tajemną galerję kobiet głośnych z urody. Zdaje się, że panie, przynajmniej neapolitańskie, nic nie miały przeciwko temu, aby się dać portretować dla księcia Mantuy; wątpić się tylko godzi, czy te wizerunki miały artystyczną wartość, bo ajent księcia, który się zajmował dostarczaniem obrazów, usprawiedliwiał się raz, że nie może znaleźć «lepszego» malarza. Przypuszczać trzeba, że pomiędzy temi znakomitościami urody znajdował się i portret Adrjany Baroni, gdyż prawie równocześnie z owemi zamówieniami polecił Vincenzo Pawłowi Facone, śpiewakowi papieskiej orkiestry, nawiązać rokowania z Adrjaną, czyby nie zechciała przyjechać do Mantuy. Lecz z Syreną z Posilipu nie była taka łatwa sprawa, jak z Caterinuccią; wierna mężowi Adrjana nie myślała wcale należeć do haremu duki Vincenza. Z drugiej jednak strony potrzebowała stałych dochodów i bardzo się jej uśmiechała podróż do Mantuy. Po długich targach stanęło na tem, że jeżeli księżna napisze, że sobie życzy jej przyjazdu, to rzecz będzie załatwiona. Pośrednikami w tych moralnych układach, na których, jak się zdaje, więcej zależało samemu Baroniemu, aniżeli jego małżonce, było aż dwóch zakonników: jeden padre Carbonelli, krewny Baronich, drugi Ottavio Gentili, jezuita. Księżna zgodziła się na przyjazd śpiewaczki, zazdrosny małżonek się uspokoił; Adrjana także była pewna, że się jej w Mantui nic złego nie stanie, więc na Posilipie postanowiono jechać do Gonzagów. Były jeszcze jakieś trudności, wicekról nie chciał wypuścić śpiewaczki, która uświetniała jego rządy, arystokracja neapolitańska protestowała przeciw wyjazdowi Syreny; lecz i te przeszkody zostały szczęśliwie usunięte.

Cała «Basileria» wyjechała z Neapolu 23 maja 1610, a więc Baroni z żoną, bracia jej Lelio, Francesco i siostra Adrjany, Margherita. Pierwszy odpoczynek był w Rzymie, gdzie syn Wincentego Gonzagi, Ferdynand, z otwartemi rę-

kami ich przyjmował. Ferdynand został kardynałem w dwudziestym roku życia (1607), a pełen młodzieńczej fantazji, pisał poezje, komponował muzykę do madrygałów i znany był w Rzymie z rozmaitych żartów. Hiszpanów tak nienawidził, że nieraz, wychodząc w nocy na miasto w przebraniu, gdzie tylko spotkał jakiego hidalga, kijem go zaczął okładać i znikał, zanim się jeszcze cudzoziemiec opamiętał. Adrjana miała zamiar przez trzy dni tylko zatrzymać się w Rzymie; ale kardynałowi tak się podobało neapolitańskie towarzystwo, że ani myślał wypuścić tak prędko «Basilerji». Pisał też zaraz do ojca, zachwycony śpiewem Adrjany i jej grą na arfie i hiszpańskiej gitarze, dodawał wszakże, że artystka trochę zmęczona podróżą, gdyż po raz pierwszy dopiero wyjechała z Neapolu.

Pod pozorem tego zmęczenia zatrzymywał młody kardynał Adrjanę w Rzymie, jak mógł najdłużej, a gdy już musiała wyruszyć w dalszą drogę, żegnał ją madrygałem pełnym uwielbienia i zachwytu. Ojcu donosił, że Neapolitanka zyskała w Rzymie nieśmiertelną sławę i że jest «pierwszą kobietą w świecie, tak co do śpiewu, jak i co do skromności i uczciwości». Czy Vincenzo Gonzaga był bardzo zadowolony z tych dwóch ostatnich pochwał Adrjany, wątpimy.

Gdziekolwiek się Adrjana po wyjeździe z Rzymu zatrzymała, wszędzie święciła triumfy. Pierwsza stacja była w Bracciano, w zamku Virginia Orsiniego, który także zaliczał się do poetów. Lecz Adrjana o niczem nie myślała w Bracciano, tylko o kardynale Ferdynandzie. Ponieważ kardynał bywał tam często, więc się zapytała, gdzie sypiał, w której komnacie, i wyraziła życzenie, aby mieć to samo łóżko, w którem spoczywał Gonzaga, «chciałaby bowiem nabyć choć trochę tych zalet, któremi się kardynał odznacza».

Druga stacja w drodze ku Mantui Florencja. Miasto Medyceuszów rozciekawiało Neapolitankę, gdyż słynęło z zamiłowania do muzyki i ze śpiewaczek, pomiędzy któremi najgłośniejszemi były Vittoria Archilei, spokojna i wykształcona kobieta, tudzież Francesca Caccini, dumna i zarozumiała, pisała bowiem poezje nietylko po włosku, ale i po łacinie, a nadto układała muzykę do baletów, pomiędzy któremi był najsławniejszy pod tytułem «La Liberazione di Ruggiero dall'isola



Elektor Palatynatu tańczy z Anną de'Medici
Obraz Jana Franciszka Douven (1690) na wystawie portretów we Florencji w r. 1911

Do str. 260



d'Alcina». Gdy Władysław IV, wówczas jeszcze królewicz, wracał w lutym r. 1625 z Rzymu, przedstawiono wtedy na uczczenie jego przyjazdu ów balet. Reprezentacja odbyła się w Poggio Imperiale, willi należącej do wielkiej księżnej toskańskiej, z domu arcyksiężniczki austrjackiej. Libretto napisał Ferdinando Saracinelli z Volterry [1]).

Gdy Adrjana bawiła we Florencji, Caccini zupełnie się usunęła; nie chciała ani widzieć, ani słyszeć rywalki i tem bardziej się gniewała, że Neapolitankę znowu obsypano wierszami, a gdy odjeżdżała, conte Fontanella napisał epigram, w którym ją nazywa dziesiątą pomiędzy Muzami, czwartą wśród Gracyj, pierwszą z kobiet, cudem natury, ozdobą sztuki, podstawą honoru, siedliskiem wszelkich cnót i nareszcie boginią piękności. Z tego ostatniego dodatku musiała się roześmiać Caccini, która wiedziała, że piękniejsze Wenery chodzą po Florencji.

II

Po tylu triumfach przybyła Adrjana z całem swem towarzystwem 23 czerwca 1610 do Mantuy, a chcąc zaznaczyć odrazu swą cnotę, nie wypoczęła nawet z drogi, ale zaraz pojechała do księżny, bawiącej wówczas na wsi, w Porto. Tam zastała Monteverdego i jak się zdaje, najsłynniejsza śpiewaczka po raz pierwszy zetknęła się tam z największym muzykiem XVII wieku.

Tak w czasie podróży, jak i zaraz po przyjeździe do Mantuy, opisywała Adrjana kardynałowi Gonzadze w Rzymie swe wrażenia, a nawzajem Ferdinando czule odpowiadał i przysłał jej konfitury. Pierwszy więc list z nowej swej siedziby wysłała do kardynała, a nie chcąc mu powiedzieć niegrzeczności o jego rodzinnem miejscu, wyraziła się, że kraj się jej podoba, lecz przecież Neapol ładniejszy. Chyba nikt przedtem nie pochlebił do tego stopnia Mantui, aby przypuszczać, że może być porównaną z Neapolem. Lecz Adrjana nie mogła

---

[1]) Wydane w drukarni Pietra Cecconcellego w r. 1625 we Florencji.

pisać przykrości kardynałowi, bo właśnie otrzymała od niego szkatułkę z jakiemiś kosztownościami i arję do śpiewu «Care pupille amate», która się jej bardzo podobała. Od drugiego kardynała, Borghesa, który mniejsze na niej zrobił wrażenie w Rzymie, aniżeli Ferdinando, nie spodziewała się drogich kamieni, więc prosiła go o kawałek drzewa z Krzyża św., który jak się zdaje, przy pożegnaniu jej obiecał.

W jednym liście wszystko: biżuterje, arje miłosne i relikwje.

Co piątek był koncert u dworu; rzecz prosta, że Adrjana największe zbierała oklaski, śpiewając z zapałem madrygały kardynała Gonzagi, obok kanconet poety Chiabrery. W lipcu jednak księżna Eleonora zachorowała ciężko, a śpiewaczka także już była w stanie, w którym nie można ubierać się w obcisłe suknie; więc ruch artystyczny ustał na jakiś czas w Mantui. Kardynał namawiał Adrjanę w listach, z Rzymu pisanych, aby pojechała na gorący sierpień do Neapolu, gdzie i onby się znalazł; okoliczności nie pozwalały jednak na tak daleką podróż, więc cała Basilerja pojechała do bliższego Medjolanu.

Tam trochę mniej sonetów, stosownie do stanu gwiazdy z Posilipu; ale mimo to tak się jej w Medjolanie podobało, że Gonzaga musiał jej przypominać powrót do Mantuy. Powróciwszy na dwór Gonzagów, już Adrjana księżnej przy życiu nie zastała. Eleonora de'Medici umarła ósmego września 1611.

Duca Vincenzo nie bardzo się martwił; w miesiąc po śmierci księżnej myślał już o przedstawieniach teatralnych i o nowem małżeństwie, pomimo, że ulubioną jego wówczas faworytą była markiza di Grana. Można sobie jednak wystawić, że harem śpiewaczek, teatr i markiza wymagały większych dochodów, aniżeli małe księstwo mantuańskie przynosić mogło. Vincenzo z większym, niż kiedykolwiek zapałem rzucił się do alchemji, do robienia złota. Deficyt z powodu nadmiernych wydatków dworskich musiał być czemś pokryty.

Założył w palazzo del Thé, w tych salach, ozdabianych freskami Giulia Romana, oficynę alchemiczną, która zamiast spodziewnych dochodów sprowadziła mnóstwo wydatków i powiększała tylko długi Vincenza.

Adrjana przeczuwała może, że książę w najbliższej przyszłości nie będzie w stanie opłacać artystów i że trzeba będzie wracać do Neapolu; korzystała więc, jak mogła, z łask Gonzagi i wyrobiła u księcia dla siebie i dla męża tytuły barona i baronowej di Piancerreto. Co więcej, za wstawieniem się Vincenza mianował książę sabaudzki małego synka Baronich kawalerem zakonu św. Maurycego i Łazarza.

W październiku roku 1611 rodzina Baronich znowu się powiększyła, Adrjana powiła córkę Leonorę, która później prawie równie sławną była śpiewaczką, jak matka. Niebawem jednak pogodne dotąd niebo Baronich nieco się zachmurzyło: wielki protektor duka Vincenzo umarł 18 lutego 1612, po dwudziestu pięciu latach panowania, w czasie którego, jak liczono, roztrwonił dwadzieścia miljonów skudów. Nastąpił po nim najstarszy syn Francesco, ożeniony z Margheritą sabaudzką; ale i ten umarł niespełna w rok po wstąpieniu na tron, z końcem roku 1612, we dwadzieścia dni po swym młodszym bracie Ludwiku. Ojciec i synowie ulegli strasznej zarazie, którą nazywano francuską chorobą.

Przyszła kolej na Ferdynanda; kardynał musiał objąć panowanie w Mantui. Adrjana triumfowała, rzymski «flirt» nie został jeszcze zapomniany. Kardynał przybył z Rzymu, ale niezdrów, musiał się szanować i mieszkał w swej willi «Favorita». Stamtąd pisał do Adrjany, aby go odwiedziła. Pomimo, że list był datowany z łóżka, «nel letto ducale», i kardynał podpisał się «l'infermo Cardinale», przecież te odwiedziny nie zdawały się Adrjanie, a może jeszcze więcej Baroniemu dość bezpieczne, więc artystka wymówiła się pod pozorem, że musi jechać do Werony.

Ferdynand się pocieszył, przypomniał sobie, że Adrjana ma młodszą siostrę, Margheritę, piękniejszą od niej, w Neapolu. Postanowił więc sprowadzić do Mantuy ową drugą Syrenę Posilipu. Śpieszyło się widać kardynałowi, bo pisał list za listem do rodziców i do braci śpiewaczki. Margherita też wkrótce przyjechała i tak potrafiła ująć sobie kardynała, że po dwóch miesiącach pobytu w Mantui wydał ją zamąż za Gaetana Cattanea, artystę grającego na wioli. Ferdynand hojnie wyposażył Margheritę «za cenne zasługi», których wszakże

bliżej nie określił i w swem piśmie do Cattanea wyraźnie polecił, aby ślub odbył się «wkrótce». To się działo w czerwcu r. 1615. W pierwszych dniach października stawał Ferdynand Gonzaga do ślubu z Camillą Faa de Bruno, córką hr. Ardizzina Faa, piękną wprawdzie, «ale niezbyt czarującą» córką posła mantuańskiego w Medjolanie. Ferdynand nie opowiedziawszy się nawet papieżowi, odstąpił godność kardynalską i wszystkie beneficja swemu bratu Wincentemu, a sam zrzucił suknie kardynalskie, ubrał się po świecku i poszedł do ołtarza. Z powodu tych zaślubin odbyły się wielkie uroczystości w Mantui i przedstawienia teatralne. Paweł V Borghese dowiedziawszy się o tym skandalu, takim zawrzał gniewem, że rozporządził, aby ród Gonzagów przez sto lat był wykluczony od kardynalskiej godności. Ażeby jednak zgorszenie nie było zbyt wielkie, ogłoszono później w Rzymie, że owa Faa czarami zmusiła kardynała do małżeństwa. Giacinto Gigli zapewnia w swoim Diarjuszu, że biedną «czarownicę» odstawiono później do Rzymu i osadzono w Castello. Zdaje się jednak, że Gigli się myli; Camillę osadzono w jakimś klasztorze w Ferrarze. Gonzagowie mogli więc znowu być obdarzeni kardynalskim kapeluszem.

Tymczasem usunięto pomiędzy Mantuą a Rzymem wszelkie nieporozumienia i Ferdinando mógł zostać świeckim panującym i odpowiednio do swego stanowiska pojąć nową małżonkę. Zaślubiny z Camillą Faa uznano za nieważne, zresztą «czarownica» znikła w klasztorze, a syn Jacinto, którego powiła w r. 1616, był uważany za nieślubne dziecko panującego księcia. Wincentego Gonzagę mianował Paweł V na miejsce brata kardynałem. Ferdinando zwrócił się do Florencji z prośbą o rękę Katarzyny de'Medici, siostry Cosima II, wielkiego księcia Toskanji. Katarzyna została księżną Mantui, a festyny ślubne odbyły się w lutym r. 1617 we Florencji. Małżeństwo nie było szczęśliwe, jak się tego spodziewać można było, tem bardziej, że księżna nie miała syna, ale tylko córkę, która wyszła zamąż za Karola I Gonzagę, księcia na Solferino.

Aby się już rozstać z Gonzagami, trzeba jeszcze dodać, że papież i z drugim kardynałem mantuańskim, Wincentym, niemało miał kłopotu. Kardynał, który przedtem był wojskowym, nie mógł się pogodzić z duchownym stanem; po dwu latach kardynalskiego życia poprosił papieża o zwolnienie go z duchownych ślubów i ożenił się z księżniczką Izabellą Gonzaga-Novellara, a nie mając z nią potomstwa, rozwiódł się i pojął drugą żonę, obawiając się wygaśnięcia mantuańskiej linji Gonzagów. Gdy jednak i to drugie małżeństwo nie uratowało sukcesji, tron księstwa mantuańskiego przeszedł na Karola I z Gonzagów-Cleves, księcia de Nevers.

III

Adrjana nie była zapewne zadowolona z nowej księżnej mantuańskiej, gdyż jeszcze przed ślubem Ferdynanda z Katarzyną, albo wkrótce potem, wyjechała do Rzymu, gdzie ją przyjęto otwartemi rękami.

Było tam znowu kilku bardzo muzykalnych kardynałów, jak Borghese, nepot panującego papieża, Montalto i Pietro Aldobrandini, a każdy pragnął, aby śpiewaczka dała koncert w jego willi. Nadto akademja «Humorystów», wtenczas właśnie w rozkwicie, pragnęła również swe posiedzenia uświetnić śpiewem słynnej Neapolitanki. Jeden z tych «Humorystów», Gianfrancesco Maja Materdona nazwał ją czarującą Syreną o wzroku bazyliszka; miał to być dowcip, odnoszący się do rodzinnego nazwiska śpiewaczki, do Basilich. Stosowniej się już znalazł Don Camillo Colonna, utrzymując w jakimś wierszu, na cześć Adrjany napisanym, że podziwiać ją jest już zasługą. Wszyscy ci entuzjaści wybrali sobie do swych wierszy niestosowną chwilę, gdyż Syrena z Posilipu znowu spodziewała się potomka, i to w najbliższym czasie.

Trzeba było uciekać przed wielbicielami. Cała Bazylerja pojechała więc do Neapolu. Na rodzinnej ziemi wypoczęła Adrjana, a doczekawszy się wkrótce pory, w której mogła znowu występować publicznie, wywoływała burze oklasków. Neapolitańczycy witali w niej już nietylko rodzinną gwiazdę, ale i kobietę, która ich okryła sławą w Rzymie, we Florencji i w Mantui. Na czele wielbicieli stał tym razem Giambattista

Manso, marchese di Villa, ów sympatyczny mecenas, który dużo dobrego świadczył poecie «Jerozolimy wyzwolonej» i był protektorem Giambattisty Marina. Zbyteczna dodawać, że Manso pisał także wiersze. Adrjana mogła się w Neapolu wszakże poszczycić, że poważny opat z Monte Cassino uczcił ją sonetem i nazwał cudem sztuki i przyrody.

W Mantui jednak tęskniono za Adrjaną, a zapewne i Muzio Baroni rad był powrócić nad jeziora Mincia, gdyż tam może mniej pisano wierszy do jego żony, lecz natomiast więcej sypano złota, aniżeli w ojczystym Neapolu. Znowu więc podróż na północ; z końcem czerwca r. 1620 Adrjana była w Mantui.

Gonzadze chodziło bardzo o przyjazd Adrjany, ponieważ przygotowywał szereg uroczystości. Chciał przedewszystkiem uczcić wybór Grzegorza XV (1621) na stolicę Apostolską a Filipa IV na tron hiszpański, a nadto uświetnić zaślubiny księżniczki Eleonory z cesarzem Ferdynandem II. Mantua jeszcze raz zasłynęła z przedstawień teatralnych, z muzyki samego Monteverdego, z głosu Syreny z Posilipu i z baletów, urządzanych z wielkim przepychem.

Na wiosnę r. 1623 dwór mantuański wybrał się do Wenecji, a księstwo, chcąc o ile możności jak najwięcej blasku roztoczyć w stolicy dożów, zabrali ze sobą i Adrjanę. Zdaje się, że śpiewaczka bardziej była zadowolona z tej podróży, aniżeli księstwo, którzy wracali do Mantuy, nie przeprowadziwszy swych politycznych projektów. Po wyjeździe Gonzagów pozostała jeszcze Adrjana jakiś czas w Wenecji, zamieszkała w pałacu Mocenigów, a zbiór poezyj, na jej cześć pisanych, znacznie się tam powiększył. Były to ostatnie chwile jej wielkich triumfów, równie jak i przyjaznych stosunków z domem Gonzagów. Z Wenecji pojechała Adrjana wprost do Neapolu, gdzie gorące serca południowców nie spostrzegły jeszcze zmarszczków na czole Syreny i pewnych chropowatości w jej głosie.

W ojczystem mieście spotkała się Adrjana ze swym dawnym wielbicielem, poetą Marinim, który przybył tam w maju r. 1624. Neapol był uszczęśliwiony, że obydwie wielkie gwiazdy Posilipu znów przebywają na ojczystej ziemi, a jakiś poeta

stał się tłumaczem tej radości, w wierszu wystosowanym do sławnej pary, który się zaczyna:

Adriana e Marin, luci primiere
Ch'a l'Italico ciel ciare splendete,
Siete i duo poli, che l'immense spere
De la vera armonia tra noi reggete.

Być może, że echo triumfów Adrjany w Neapolu ozwało się w Mantui, gdyż księstwo znowu zapragnęli jej powrotu. Lecz teraz Baroni wymówiła się grzecznie, a były po temu dwa powody: pierwszy, który się u niej bardzo często powtarzał, spodziewała się jeszcze jednego potomka, drugi, nadzieja wyjazdu do Polski.

Królewicz Władysław Zygmunt poznał Adrjanę i jej rodzinę podczas swego pobytu w Neapolu, z początkiem roku 1625, a śpiewaczki z Posilipu tak go zachwyciły, że pragnął je sprowadzić na dwór polski. Widocznie już w Neapolu powstał ten projekt, ale królewicz zapewne musiał się w tej mierze jeszcze z ojcem porozumieć, gdyż stanowczą odpowiedź miał dać dopiero po przybyciu do kraju na ręce niejakiego Antonia Tarrone w Neapolu. Królewicz mógł jednak już z Wiednia napisać, 18 kwietnia 1625 do samego Baroniego, że trudności, jakie istniały, najzupełniej zostały usunięte i że signora Andreana wraz ze swemi dwoma córkami może przybyć na dwór warszawski «in nostro servigio», jak się królewicz wyraża. Władysławowi było śpieszno zobaczyć włoskie śpiewaczki, bo przykazywał Baroniemu, aby dotrzymały słowa i jak najprędzej przybywały do Polski. Za dwa miesiące jednak rzeczy się zmieniły; królewicz napisał list do Adrjany, datowany z Gelosji 29 czerwca 1625 [1]), w którym donosi, że nie mógł po nią przysłać, tak jak to było umówione w Neapolu, ponieważ zaraza panuje w wielu miejscowościach królestwa i nie chce ją narażać na niebezpieczeństwo; gdy jednak ta plaga ustanie, spodziewa się, że Adrjana słowa dotrzyma i do Polski przyjedzie. Zdaje się jednak, że królewicz

[1]) Królewicz musiał bawić wtedy w miejscowości, nazywającej się «Zazdrość», a takich wsi jest w Polsce kilkanaście.

już więcej nie nalegał, aby mieć w Warszawie familję Baronich, gdyż Adrjana starała się niebawem napowrót dostać do Mantuy, ale tym razem już bezskutecznie.

W czasie podróży włoskiej musiała Władysława niemało zajmować muzyka, gdyż i u Monteverdego zamówił jakieś muzykalne dzieło. Monteverdi układał równocześnie muzykę dla kościoła św. Marka (w marcu r. 1625), a ponieważ zawsze znajdował się w kłopotach pieniężnych, więc także poświęcał się alchemji, chcąc z merkurjusza robić złoto.

IV

Gwiazda Adrjany zaczynała zachodzić; nie chciano jej już na dworze w Mantui, a projekty wyjazdu do Polski także nie doszły do skutku. Tymczasem jednak wybijała się w opinij muzykalnej włoskiej młodsza siostra Adrjany, Margherita, i córka Leonora. Dla Margherity napisał Giulio Strozzi libretto do opery «La finta pazza», do której później, jak zobaczymy, ułożył muzykę Sacrati. Leonora, w szesnastym roku życia, w r. 1627 uznaną była w Neapolu za wielką śpiewaczkę i już, jak dawniej do matki, pisano do niej sonety. Arcangelo d'Aragona nazwał ją osóbką, która samego Jowisza mogłaby w sobie rozkochać, «sogietto da innamorar Giove».

Pięćdziesięcioletnie piękności, jak Adrjana, musiały się pocieszać owemi zbiorami wierszy, układanych na ich cześć, które oddawna we Włoszech były w modzie. Dla Syreny z Posilipu wydano w Wenecji, a następnie w r. 1628 w Neapolu takie «Teatro delle glorie della signora Adrianna Basile», w którym oprócz wierszy włoskich były próby poetyczne greckie, łacińskie, hiszpańskie, a pomiędzy ich autorami błyszczały nazwiska Don Juana D'Avila, Don Iniga de Mendoza, rozmaitych książąt, weneckich patrycjuszów, biskupów i akademików. Biedni poeci zadają sobie w tych rymach niemało trudu, aby z imion Basili i Adrjana ułożyć akrostychy i anagramy.

Nie skończyło się na samych poezjach; rodzinę Baronich czekało jeszcze inne, więcej rzeczywiste szczęście.

Kardynał Antoni Barberini, protektor sztuki, światowiec czuły na wdzięk artystek, zapragnął całą Basilerję mieć w Rzymie. Zapewne chodziło mu więcej o Lenorę lub Margheritę, aniżeli o Adrjanę, lecz neapolitańska rodzina rzadko się rozłączała. Basilerja sprowadziła się zatem na początku r. 1633 za najświetniejszych czasów Urbana VIII do Rzymu i jak utrzymywały «Avvisi di Roma», kardynał Antonio głównie się przyczyniał do utrzymania śpiewackiej rodziny. Bywał on często w domu Basilich, rozkoszował się tercetem Neapolitanek i ich towarzystwem. Adrjana, chcąc się przypodobać potężnemu protektorowi, wydała i poświęciła mu będący do owego czasu w rękopisie poemat epiczny «Teagene» Giovana Batisty Basilego, jej szwagra, który umarł niedawno, w roku 1632. Poemat niewiele był wart, ale dowodził, że rodzina Basilich ma nietylko muzykalne, ale i literackie zasługi. Rzecz prosta, że poemat zaczynał się od przedmowy, schlebiającej kardynałowi.

Protekcja wszechpotężnego kardynała, wdzięki Eleonory Baroni i głos jej, któremu w Rzymie nie było równego, obudziły zazdrość wszystkich śpiewaków i śpiewaczek stolicy. Osobliwie czuł się dotkniętym Marc'Antonio Malagigi, który tam dzierżył dotąd berło muzyki, tudzież dwie śpiewaczki, siostry Lolli, które cieszyły się wielkiem uznaniem u rzymskiej arystokracji. Księżna Rossano, małżonka Pawła Borghese, prawie najznakomitsza wówczas przedstawicielka wysokiego świata kobiecego, także zaczęła wynosić pod niebiosa Leonorę, a poniżać dwie Lolli. Siostry śpiewaczki połączyły się z Malagigim i postanowiły urządzić psotę Neapolitankom, a przez to zmusić je do opuszczenia Rzymu. W nocy więc z 23 na 24 września 1639 poprzylepiano na murach domu Baronich jakieś malowidła, bardzo uwłaczające dobrej sławie Leonory, a ponieważ przechodząca publiczność spostrzegła zaraz z rana owe paszkwile, więc rzecz rozgłosiła się po całym Rzymie, a nawet i «Avvisi» o tem pisały.

Adrjana tak się zmartwiła, że głośno oświadczyła, iż chce wracać do Neapolu; lecz liczny zastęp przyjaciół domu zapowiedział srogą wendettę sprawcom owej psoty, a kardynał

Antonio Barberini złotemi łańcuchami jeszcze mocniej przykuł śpiewaczki do rzymskich murów.

Właśnie w czasie owej tragikomedji w rodzinie Baronich odwiedzał nasze śpiewaczki ów Francuz Maugars, skrzypek paryki. Jest to ostatnia wiadomość, jaką mamy o Adrjanie; córka Leonora, o której mówić nam przyjdzie, przyćmiła jeszcze sławę matki. Starą śpiewaczką już się nikt nie zajmował. Umarła ona w Rzymie w r. 1640, a więc niebawem po wizycie Francuza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

INNOCENTY X

I

Kto raz był w galerji Doriów, w Rzymie, temu nie wyjdzie z pamięci portret Innocentego X, pędzla Velasqueza. Jest to jedno z arcydzieł mistrza i przedstawia starca pospolitej, powiedziałbym, gminnej twarzy, ale o spojrzeniu przenikliwem, rozumnem. Velasquez rozkoszował się tam karmazynową barwą; wszystko na obrazie, prócz białej komży, czerwone: aksamitne krzesło, fałdzista portjera, która tło stanowi, płaszczyk, opinający ramiona papieża, i czapeczka, zwana camauro. A ta płomienista barwa oblała nawet twarz Innocentego, która wskutek tego nabiera takiej surowości, jakgdybyśmy widzieli przed sobą nie papieża, lecz starego sknerę, pieniacza.

W rzeczywistości Innocenty X należał do najbrzydszych ludzi; szpeciły go blade oczy, wypukłe czoło, ogromne usta, długie, żółte zęby, rzadki porost na brodzie i ciemna, prawie oliwkowa cera. To też, gdy jeszcze jako kardynał Pamfili, skarcił lenistwo Guida Reniego, artysta, mszcząc się, wymalował go w postaci szatana, na swym obrazie w kościele kapucynów, przedstawiającym archanioła Michała.

Innocenty miał lat siedmdziesiąt sześć, kiedy go Velasquez malował; artysta wykonał portret z nadzwyczajnym po-

śpiechem i takie obudził podziwienie w Rzymie swym genjalnym pędzlem, że artyści tamtejsi cudem nazwali dzieło hiszpańskiego mistrza. Papież darował Velasquezowi łańcuch na szyję ze swoim portretem w medaljonie i chciał go jeszcze pieniędzmi wynagrodzić, ale Hiszpan nie przyjął podarunku, tłumacząc się, że jego król i pan dostateczne mu daje utrzymanie.

Rodzina Pamfilich, do której Innocenty X należał, urosła w wojnach, a nie w pokoju, pomimo, że miała w herbie gołębia z różdżką oliwną w dzióbie i trzy złote lilje. Była osiadła w Umbrji, w Gubbio; pochlebcy papieża wywodzili ją wszakże od Numy Pompiljusza, który miał się według nich nazywać Pamphilius, a nie Pompilius. Matka papieża pochodziła z markizów dal Buffalo, z czego Innocenty był bardzo dumny i kilku członków tej rodziny umieścił w watykańskiej służbie. Giambattista, bo tak było na imię papieżowi, miał sporo rodzeństwa; jego brat najstarszy, imieniem Pamfilio, ożenił się z Olimpją Maidalchini, która za rządów Innocentego ważną odegrała rolę i stała się właściwie założycielką zamożnego rodu Pamfilich, istniejącego dotychczas. Olimpja urodziła się w Viterbo 26 maja 1594, wychowała w klasztorze, poszła zamąż za Paola Nini, także z Viterbo, który ją wcześnie odumarł, pozostawiwszy duży majątek. Wyszła następnie za Pamfilja, człowieka o wiele od niej starszego, ale ze znakomitszej, niż ona, rodziny. Z drugim mężem miała syna i dwie córki, z których jedna, Marja, wyszła za księcia Andrzeja Giustinianiego, a druga, Costanza Camilla, za księcia Mikołaja Ludovisego.

Olimpja stała się w nowej rodzinie główną osobistością, gdyż przewyższała Pamfilich rozumem i siłą woli, a nadto wniosła w dom duży majątek. Nie ładna, ale o bardzo wyrazistych rysach twarzy, śmiała, wytrwała, niesłychanie ambitna, skąpa, chciwa na grosz, żądna władzy, opanowała nietylko męża, ale i szwagra Giambattistę, wówczas już wysokiego dygnitarza kościelnego. Zdawałoby się prawie, że śmiała kobieta wytknęła sobie za cel życia dopomóc bratu swego drugiego męża do zajęcia Stolicy Apostolskiej. Giambattista nie miał za młodu bynajmniej powołania do stanu duchownego; dzielnie władał bronią, pojedynkował się, szukał zaczepek po



Innocenty X
Według portretu Velasqueza w galerji Doria w Rzymie

Do str. 272

Fot. Anderson



Olimpja Pamfili za młodu

Według portretu szkoły włoskiej z XVII w., będącego własnością p. Giuseppe La Barbera w Palermo

Do str. 272

nocach, tańczył, bawił się, przepędzał czas na miłostkach, na «passatempi amorevoli», jak się wyraża wenecki ambasador Alvise Contarini, i dopiero kardynał Hieronim Pamfilio, stryj jego, wraz z przyjacielem, kardynałem Cusano, skłonili młodzieńca do przywdziania sukni duchownej i dopomogli w początkach karjery. Pamfili miał jeszcze najwięcej zdolności do prawniczych studjów; więc Klemens VIII mianował go adwokatem konsystorjalnym i audytorem Roty, a Grzegorz XV (Ludovisi), posłał jako nuncjusza do Neapolu, aby mu dać sposobność wzbogacenia się, gdyż ta posada znaczne przynosiła dochody. Następnie został Giambattista nuncjuszem w Madrycie, legatem papieskim we Francji, w Niemczech i kardynałem 6 lipca 1630 roku. Gdy wrócił do Rzymu, spadało na niego tyle urzędów, że szybko doszedł do znacznego majątku, zwłaszcza, że był bardzo oszczędny, podobnie jak jego bratowa. W krótkim przeciągu czasu mianował go papież prefektem dwóch kongregacyj i sekretarzem «di Sant'Uffizio», a nasz Zygmunt III zaszczycił go tytułem protektora Polski.

Powszechnie utrzymywano, że Olimpja nadzwyczaj mu pomagała do tych promocyj, co zupełnie jest możliwem, gdyż rozumna kobieta umiała, zwłaszcza po śmierci siedemdziesięciopięcioletniego męża, wyrobić sobie bardzo wpływowe stanowisko w Rzymie. Była jeszcze wtedy młoda i przystojna; łatwo zawiązywała towarzyskie stosunki, zaprzyjaźniała się z kardynałami, a cel swój, wyniesienia rodziny Pamfilich, tak jasno miała przed sobą wytknięty, że niczem się od niego nie dała odwrócić. Nie obchodziły ją bale, festyny, a zamiast wydawać dochody na próżne zabawy, gromadziła około siebie dyplomatów, prałatów, nawet uczonych i rzec można, że umiała stworzyć wówczas najpierwszy salon ludzi poważnych i poważanych w Rzymie. Z kobietami mówiła bardzo mało, podczas gdy wobec mężczyzn nadzwyczaj łatwo i logicznie się wysławiała. Nie posiadając wyższego wykształcenia, umiała mimo to wlot chwytać mądre zdania, uczone poglądy swych gości i wybornie je przy sposobności zastosowywać. Przytem nadzwyczaj biegła w interesach majątkowych, gromadziła coraz to większą fortunę. Giambattista ślepo wierzył w rozum bratowej i poddawał się w wielu sprawach jej kierunkowi.

W późniejszym wieku był spokojnego usposobienia, raczej skłonny do melancholji, aniżeli do wesołości; literatura go niewiele obchodziła, zamiłowanie okazywał jedynie do spraw ekonomicznych. Rzeczy nieprzyjemnych słuchać nie lubił i gdy miał powziąć jakie ważne postanowienie, zawsze je na później odkładał. Zresztą, zgryźliwy, niedowierzający i nieprzyjemny w obejściu, nie miał przyjaciół.

W czasach, gdy urzędował w Datarji, zwano go z powodu nieuczynności «Monsignor non si può», gdyż na wszelkie prośby odpowiadał stale: «Nie można». Złośliwi dworzanie utrzymywali, że Innocenty z trzech powodów został wybrany papieżem: ponieważ mało mówił, był chytrym i nic nie robił. Natomiast podnoszono jego zalety, a przedewszystkiem uczucie sprawiedliwości, zamiłowanie spokoju i ładu w zarządzie dworu. Z «Monsignora non si può» tyle mu pozostało, że petentowi odmawiał zawsze przy pierwszem posłuchaniu, przy drugiej audjencji skłaniał się, aby rzecz rozważyć, a przy trzeciej pozwalał na to, o co go proszono.

Podczas conclave po Urbanie VIII miał przeciw sobie stronnictwo francuskie, za sobą Hiszpanję, gdzie był przez dłuższy czas papieskim legatem, a przedewszystkiem polecał go wyborcom późny wiek, skończonych lat siedemdziesiąt dwa, które napawały kardynałów nadzieją, że Giambattista długo nie pożyje i że wkrótce będą mieli nowy wybór. Szesnastego września więc r. 1644 został Pamfili wybrany i przyjął imię Innocentego X. Pamfili posiadali mały pałac przy Piazza Navona, który dawniej należał do Aldobrandinich. Wystawił go Pietro Aldobrandini, nepot Klemensa VIII, a ponieważ nienawidził rodziny Torres di Malaga, która miała kamienicę na miejscu dzisiejszego ministerstwa spraw wewnętrznych, więc z umysłu tak swój dom zbudował, że zasłonił Hiszpanom widok z okien. Kardynał Giambattista mieszkał w tym pałacu wraz z bratową; to też, gdy się wieść rozeszła, że został wybrany papieżem, lud rzymski, dawnym zwyczajem pobiegł na Piazza Navona rabować pałac Pamfilich; ale Olimpja sama bramę otworzyła i z uśmiechem przyjęła rabusiów, gdyż poprzednio usunęła z mieszkania wszystkie kosztowności.

Pasquino zrozumiał zaraz położenie i powiedział, że do-



Olimpja Maidalchini z Olimpuccią

Według portretu znajdującego się w pałacu księcia Doria-Pamfili w Rzymie

Do str. 275

tąd Olimpja była Pia, a teraz będzie Impia, że Innocenty posłucha raczej Olimpji, aniżeli Olimpu. Pasquino miał słuszność. Olimpja umiała dawniej ukrywać swą żądzę panowania; teraz występowała z taką stanowczością i energją i tak się mieszała we wszystkie sprawy watykańskie, że bardzo prędko potrafiła steroryzować całe otoczenie. Sam papież był wobec bratowej bezwładny; tak się w ciągu długich lat przyzwyczaił zasięgać jej rady w najmniejszej sprawie, tak wierzył w jej rozum, że teraz, jako starzec, nie mógł się bez niej obejść. Cały Rzym spostrzegł bardzo szybko, że w sprawach świeckich rządzić będzie donna Olimpja, a nie Innocenty; nie dziw więc, że ambasadorowie, szlachta rzymska, że panie najznakomitszych rodzin zaczęły ją odwiedzać i starać się o jej względy.

Ażeby ani na chwilę nie stracić swej władzy nad papieżem, chciała się donna Olimpja zaraz sprowadzić do Watykanu; ale kardynał Pancirolo, który oddawna żył w przyjaźni z Innocentym, przedstawił mu niestosowność tego zamiaru i narazie Maidalchini mieszkała wprawdzie na Piazza Navona, ale cały dzień prawie przesiadywała w Watykanie.

Swą szczególną miłość dla rodziny okazał Innocenty zaraz podczas pochodu do Lateranu, podczas tak zwanego «Possesso», t. j. kiedy w widoczny dla Rzymian sposób obejmował panowanie. Gdy kawalkata poruszała się przez plac Navona, spostrzegł papież malutką swoją nepotkę, Olimpuccię Giustiniani, z nianką w oknie rodzinnego pałacu; widok ten tak go ucieszył, że kazał się zatrzymać ludziom, niosącym lektykę, a podnosząc wzrok i ręce ku dziecinie, kilkakrotnie ją pobłogosławił. Publiczność przyjęła ten czyn Innocentego za zapowiedź wielkiego nepotyzmu, a duchowieństwo za wykroczenie przeciw ceremonjałowi, który ściśle określał niemal wszystkie ruchy papieża podczas wielkich uroczystości.

Papież nie mógł się przyzwyczaić do Watykanu; przy każdej sposobności wracał na piazza Navona, jadał obiady w otoczeniu rodziny, albo w towarzystwie donny Olimpji, jeździł do jej willi i do jej ogrodów. Bratowa zajęła miejsce głównych nepotów, którzy rządzili za ostatnich papieży, nic się bez jej wiedzy nie działo. Zręczna i przewidująca, obawiała

się jednak, aby przeciw tym kobiecym rządom nie powstała opozycja pomiędzy kardynałami; postanowiła więc skłonić papieża do zamianowania dygnitarza, któryby ją zasłaniał wobec świata, a mimo to spełniał jej wolę.

Dotychczas kardynał nepot, tak zwany «cardinal padrone», skupiał w swym ręku najwyższą władzę w sprawach religijnych, administracyjnych i politycznych; do niego zawsze i we wszystkiem musiano się odnosić. Wyręczał go wprawdzie, zwłaszcza w sprawach politycznych, sekretarz stanu, ale był to urzędnik, podlegający nepotowi, i nigdy dotąd nie piastował kardynalskiej godności. Kardynał «padrone» miewał olbrzymie dochody; oddawano mu prawie zawsze legację Avignonu, którą zarządzał za pośrednictwem wicelegata, i bywał księciem na Fermo. Innocenty X rozdzielił władzę padrona, i rzec można, że tem samem bardzo zachwiał instytucją kardynała nepota. Na sekretarza stanu wybrał swego przyjaciela, kardynała Pancirola, człowieka niskiego pochodzenia, który był prałatem Pamfilego w Neapolu i w Hiszpanji i wiele mu zawdzięczał. Pancirolo żywego umysłu, bardzo układny, grzeczny, należał do czcicieli poety Marina i wychował się pod wpływem jego górnolotnych, a ckliwych poezyj, umiał sobie pozyskać łaski Barberinich i Urbanowi VIII niemało zawdzięczał. Olimpja była mu dość przychylną, ale nie dowierzała, w obawie, że nie znajdzie w nim zupełnie oddanego sobie człowieka. Postanowiła więc przeciwstawić mu w Watykanie nepota albo krewnego, któryby mniej więcej miał tę samą władzę, co Pancirolo, a przecie od niej zależał. Niestety, miała tylko jednego syna, Kamilla, młodego jeszcze chłopaka, a poświęcając go karjerze duchownej, tem samem zrzekała się dalszego rozrostu rodu Pamfilich. Temu jednak można było zaradzić, nadając nazwisko Pamfilich albo wnukowi Olimpji, Giustinianiemu, albo jej synowcowi, Maidalchiniemu, żeniąc go z córką Giustinianich, ulubienicą całej rodziny, Olimpuccią. Zresztą i to się mogło zdarzyć, że Camillo, doszedłszy do dużego majątku na kardynalskim urzędzie, będzie mógł zrzucić z siebie purpurę i wstąpić w związki małżeńskie.

Camillo urodził się w Neapolu w r. 1622; chłopak nie zapowiadał wielkich zdolności i papież niezbyt wysokie miał



Camillo Pamfili

Według ryciny w dziele «Villa Pamphilia». (Roma edit. Rossi 1660?)

Do str. 277

Fot. Danesi



o nim wyobrażenie. Nie był jednak pozbawiony wielu zalet; umiał sobie zyskiwać ludzkie sympatje, lubił poezję i sztuki piękne, zajmowało go bardzo ogrodnictwo i mechanika, tak dalece, że pierwszy podał projekt budowania galer w Civitavecchia i jakąś pompę wynalazł, która jednak w praktycznem zastosowaniu nie przydała się na nic. Zaraz po wstąpieniu na tron Innocentego został Camillo jenerałem wojsk kościoła, a teraz musiał zamienić mundur wojskowy na purpurę, pomimo, że do duchownego zawodu nie miał najmniejszej ochoty, ani powołania. Czternastego listopada 1644 mianował papież dwóch kardynałów, jednym był Giovan Carlo de'Medici, drugim syn Olimpji. Motywując tę ostatnią nominację na konsystorzu, papież tak się zmieszał, że wypowiedział cichym głosem tylko jakieś niewyraźne słowa, których nikt z obecnych nie zrozumiał, a chcąc się usprawiedliwić, zaraz oświadczył, że Pamfili nie będzie się nazywał kardynałem patronem, ale tylko kardynałem nepotem. Młody dygnitarz nie wyszedł wszakże źle na tej nominacji. Został gubernatorem państwa kościelnego z wysoką płacą, otrzymał dochody legacji Avignońskiej i opactwo Kapuy, Hiszpanja ofiarowała mu archidiakonat arcybiskupstwa w Toledo, a Francja opactwo w Corbji. Rachunkowa rzeczpospolita wenecka nie obdarzyła go wprawdzie złotem, ale nadała jemu i «jego następcom» weneckie szlachectwo.

Kardynał nepot, dwudziestodwuletni młodzian, nie miał ochoty zamęczać się publicznemi sprawami; wolał wesołe towarzystwo, albo spokój, graniczący z próżniactwem. Papież był z niego niezadowolony, albowiem prócz ociężałości i wstrętu do pracy miał inną wielką wadę na tak wysokiem stanowisku, brak pamięci. Starzec Innocenty świeższy miał umysł, aniżeli synowiec, i nieraz go za to karcił i niecierpliwił się z powodu jego nieudolności. Wtedy kardynał czuł się obrażonym, zamykał w swoich pokojach i udawał chorobę. Taki stosunek nie mógł trwać długo i niespełna we dwa lata po wyniesieniu swem na godność kardynała, oświadczył Camillo stryjowi, że chce zrzucić purpurę i zostać napowrót świeckim człowiekiem. Ponieważ składanie godności kardynalskiej należało zawsze do wypadków nader rzadkich i rzecz wielkiego

mogła nabrać rozgłosu, przeto Camillo, zapewne w porozumieniu z rodziną, podał za powód tak niezwykłego kroku, że nie jest w stanie żyć w czystości, do którejby go obowiązywała duchowna szata, i że wolałby raczej umrzeć, aniżeli popełniać ciągle grzech śmiertelny. W rzeczywistości jednak nie miał tak dalece drażliwego sumienia, a powód był zupełnie inny; Camillo kochał się w młodej wdowie, księżnie Rossano, którą przyroda obdarzyła niezwykłą pięknością, a rodzina wielką fortuną.

Olimpja z Aldobrandinich księżna Rossano była synowicą ostatniego rzymskiego potomka tego rodu, kardynała Hipolita, który umarł 19 lipca 1638 roku. Kardynał, posiadając bardzo wielki majątek, ustanowił fideikomis, który miał przejść na drugiego syna donny Olimpji. Ów dziedzic miał także przyjąć nazwisko Aldobrandinich. Donna Olimpja wyszła zamąż za Pawła Borghese, żyła z nim jednak bardzo krótko, książę umarł bowiem 24 czerwca 1646, pozostawiając jednego tylko syna, księcia na Solmonie. Fideikomis więc Aldobrandinich należał do Olimpji aż do urodzenia drugiego syna.

Księżna należała więc do najświetniejszych «partyj», oprócz bowiem własnego dużego majątku, przynosiła przyszłemu synowi fideikomis Aldobrandinich, a nadto była piękną, miłą, znaną z rozumu, uprzejmości i niezwykłych zalet towarzyskich. Ale ten rozum i ta piękność niepokoiły Olimpję Maidalchini, która się obawiała, że młoda synowa w domu może zachwiać jej panowaniem, uzyskawszy wpływ na papieża. W zasadzie nie była ona przeciwna ożenieniu Camilla, gdyż marzeniem jej było utworzenie wielkiego rodu nepotów, lecz celom jej odpowiadała inna synowa, a mianowicie donna Lukrecja Barberini. Olimpja uważała bowiem za konieczne połączyć się ściśle z potężnym rodem Barberinich, gdyż ród ten zgodnie z Pamfilimi mógł w razie śmierci starego Innocentego mieć wielki wpływ na wybór przychylnego jej papieża. Nadto Lukrecja Barberini, jako przez nią wyszukana synowa, byłaby powolniejszą, aniżeli nieprzyjazna jej księżna Rossano.

Camillo jednak trwał w swoim zamiarze i 21 stycznia 1647 przez swego pełnomocnika, monsignora Anguisciolę, protonotarjusza Apostolskiego, zrzekł się purpury. Papież bardzo



Z Aldobrandinich księżna Rossano
Według portretu znajdującego się w pałacu księcia Doria-Pamfili w Rzymie

Do str. 278

się rozrzewnił, życzenie zabezpieczenia przyszłości rodzinie walczyło w nim z obowiązkiem strzeżenia godności kardynalskiej. Zdaje się jednak, że to rozrzewnienie było powierzchowne, gdyż, jak zapewnia kronikarz Deone, w całej sprawie małżeństwa pomiędzy Camillem a Olimpją Rossano pośredniczył jenerał dominikanów, fra Niccolò Ridolfi, a przypuścić trudno, aby na takie pośrednictwo nie zezwolił sam Innocenty. Ażeby jednak wobec świata zaznaczyć, że Stolica Apostolska nie zgadza się z postępowaniem Camilla, ani papież, ani donna Olimpja nie brali udziału w uroczystości ślubnej państwa młodych. Szesnastego lutego 1647, w niedzielę o świcie, wyjechała księżna Rossano z pałacu księcia di Solmona, ubrana w żałobę, zapłakana, w towarzystwie najbliższych krewnych, do Giardino di Monte Magnanapoli. Tam wdziała ślubną suknię i całe towarzystwo udało się karocami do Torre Nuova, gdzie się miała odbyć uroczystość. Niedaleko pałacu czekał na nią don Camillo, wysiadł z powozu i, jak opowiada kronikarz, tak się zaląkł, że nawet nie pocałował księżny i dopiero zachęcony przez jej krewnych, złożył bardzo niewinny pocałunek na policzku swej narzeczonej. Jakiś Monsignor z papieskiej kancelarji odprawił mszę w kaplicy i imieniem Jego Świątobliwości połączył ich węzłem małżeńskim. Prawie zaraz po ślubie odjechali Pamfilowie na całe lato do Caprarolі, czemu się Rzym bardzo dziwił, zwłaszcza, że nie byli nawet u papieża. Różnie sobie tłumaczono tę ucieczkę państwa młodych, zdaje się jednak, że donna Olimpja, wysyłając ich na wieś, chciała okazać zły humor z tego powodu, że Camillo nie ożenił się z Lukrecją Barberini. Może zresztą i przyzwoitość nakazywała Innocentemu postarać się o pozory wobec świata, że ukarał Camilla za jego zrzeczenie się purpury.

II

Barberini, należąc do francuskiego stronnictwa, byli przeciwni wyborowi Innocentego X, musieli się też zaraz po wstąpieniu na tron nowego papieża schronić przed jego zemstą. Jedyny kardynał Antonio młodszy, pomimo, że był w świę-

tem Kolegjum protektorem Francji, głosował przy końcu conclave za Pamfilim, wskutek czego popadł wprawdzie w niełaskę u króla, ale w Watykanie mógł swobodnie pozostać. Przewidywania innych Barberinich były słuszne; Innocenty zarządził zaraz po objęciu panowania dochodzenie, czy sumy, wydane na wojnę w Castro, nie zostały użyte na prywatne cele, kazał zająć pałace Barberinich i zasekwestrować ich Luoghi di Monte. Ludność rzymska przyjęła z zadowoleniem te zarządzenia, jako słuszny akt sprawiedliwości. Najbardziej zagrożonym czuł się kardynał Antonio starszy, więc jak najprędzej uciekł. Miał zresztą niemało na sumieniu. Jako administrator dóbr papieskich za poprzedniego panowania, wiedział o wielu nadużyciach, z których teraz nie tak łatwo mógłby się wytłumaczyć; zarzucano mu nadto, że zasłonił przed ciężką karą znajomych, którzy wykradli dwie zakonnice z klasztoru w Bolonji, a wreszcie, że kazał zamordować za niewielkie przekroczenie młodego Gualtierego, bliskiego krewnego Pamfilich, który był w jego służbie.

Kardynał Antonio rozgłosił więc po mieście, że wyjeżdża tylko do Monte Rotondo, dokąd posłał swych dworzan; w rzeczywistości jednak, przebrany, udał się do Sta Marinella, nadbrzeżnej miejscowości koło Civitavecchia, gdzie najął barkę i z jednym służącym chciał popłynąć do Genuy. W drodze jednak powstała wielka burza, barka musiała dobić do portu w Livorno i z wielką tylko biedą mógł kardynał w przebraniu majtka okrętowego dostać się do Francji. Tam znalazł wielkiego protektora w kardynale Mazarinim, który czuł urazę do Innocentego za to, że nie zamianował kardynałem jego brata Michała, dominikanina i arcybiskupa w Aix. Król także polubił bardzo Barberiniego, mianował go wielkim jałmużnikiem i kawalerem orderu św. Ducha.

Po ucieczce kardynała kazał Innocenty rozdać wszystkie urzędy, które Barberini piastował, pomiędzy innych książąt Kościoła i ogłosić edykt, że jeżeli Antonio nie wróci w przeciągu sześciu miesięcy i nie stawi się przed papieżem, utraci kapelusz kardynalski, za każdy zaś dzień zwłoki będzie musiał zapłacić tysiąc skudów grzywny. Inni członkowie rodu Barberinich, a mianowicie kardynał Francesco i Taddeo,

książę na Palestrinie, wyjechali także do Francji, zwłaszcza, że opinja publiczna zwróciła się przeciwko nim, jako przeciw ludziom, którzy się wzbogacili pieniądzmi Kościoła. Zresztą i Hiszpanie pragnęli zemścić się na Barberinich, ponieważ ci pod rządami Urbana VIII stale popierali Francuzów. Zaledwie też Barberini opuścili Rzym, Innocenty kazał im skonfiskować majątki, a Palestrina, którą tylu papieży pustoszyło, znalazła się znowu w rękach odwiecznych nieprzyjaciół. Taddeo już jej nie zobaczył, umarł bowiem w Paryżu w roku 1647, i tylko ciało księcia później tam przywieziono. Z upadkiem Palestriny znikła też świetność tego rodu, gdyż już nigdy potem nie podnieśli się Barberini po ciosach, zadanych im przez Innocentego X. Gdy się też wejdzie w opustoszałej mieścinie do kościoła św. Rozalji i widzi skromne trumny późniejszych członków tego rodu, wierzyć się prawie nie chce, że tam leżą potomkowie nepotów Urbana VIII.

Zamieszkawszy we Francji, bronili się Barberini w ten sposób przed Innocentym X, iż oświadczyli, że są poddanymi francuskimi i że papież nie ma prawa dóbr ich skonfiskować. Na znak obcego poddaństwa kazali na wszystkich swych pałacach poprzybijać herby Francji. Narazie niewiele im to pomogło, ale wkrótce polityczne powody skłoniły papieża do zupełnie innego wobec nich postępowania. Francuskie państwo coraz bardziej rosło w siłę, podczas gdy hiszpańska potęga chyliła się ku upadkowi. Z Francją ściśle był połączony książę Tomasz sabaudzki, który wówczas zajął hiszpańskie fortece na sieneńskiej maremmie, będące niejako przedmurzem Neapolu, a chcąc i papieżowi okazać swą niechęć, obsadził Piombino, należące do nepota Ludovisego. Całą tą grą polityczną, wymierzoną przeciw Hiszpanom, kierował kardynał Mazarin, który także chciał upokorzyć Innocentego X za jego hiszpańskie sympatje. W tym samym czasie, kiedy tak Francja, jak i książę sabaudzki odnoszą korzyści w środkowych Włoszech, wybuchła rewolucja przeciw Hiszpanom w Neapolu; Masaniello zagrażał ich rządom. Zastraszony papież, widząc, że szala szczęścia przechyla się na stronę francuską, najzupełniej zmienił swoje postępowanie wobec Barberinich; kazał umorzyć procesy, mające ich zniszczyć, i na-

powrót oddać im odebrane niedawno urzędy. To zbliżenie się do Francji dużo kosztowało Innocentego, który stał z przekonania po stronie Hiszpanji i raz się nawet wyraził, że wszystko, co Francja zyskuje, traci Kościół rzymski.

Z drugą najpotężniejszą rodziną we Włoszech, z Farnezymi były stosunki Innocentego X zrazu jak najlepsze, zwłaszcza, że książę Parmy, Odoardo, uczcił wyniesienie Pamfilego na Stolicę Apostolską rozmaitemi uroczystościami, a papież odwzajemnił się za okazanie przyjacielskich uczuć mianowaniem brata książęcego, Franciszka Marji, kardynałem. Gdy jednak Odoardo umarł, a po nim nastąpił Ranuccio II, rzeczy przybrały inną postać. Farnesi mieli w Rzymie jeden z tych banków hipotecznych, zwanych «Monti», którego listy zastawne były oparte na dochodach z Castro i Ronciglione. Bank ten nazywał się «Monti Farnesi», a rodzina Sirich, dzierżawiąca powyższe dochody, przestała jeszcze za Urbana VIII płacić odsetki od obligów, przedstawiających kapitał miljona siedmiukroć stu tysięcy talarów. Wierzyciele upominali się o odsetki od swych kapitałów u Kurji rzymskiej, która powinna była zmusić księcia Parmy do uiszczenia się z należytości, skoro mu dawniej dała pozwolenie na założenie banku w Rzymie. Usposobienie więc dla Ranuccia stało się w Watykanie bardzo nieprzyjazne, tem więcej, że donna Olimpja nienawidziła Farnezych, ponieważ jej synowa szczyciła się pokrewieństwem z tym panującym domem i miała zawsze w Parmie oparcie. Olimpja straszyła zawsze papieża, że Castro, tak bliskie Rzymu, zagrażało swemi obronnemi murami bezpieczeństwu papieża.

Naprężenie pomiędzy Innocentym X a księciem Parmy przybrało jeszcze z powodu gwałtowności Ranuccia bardzo groźne rozmiary. Papież mianował, zdaje się, przeciw woli księcia, monsignora Cristofora biskupem w Castro. Zaraz po nominacji otrzymał Cristoforo ostrzeżenie, aby nie ważył się obejmować swego biskupstwa, jeżeli chce uniknąć wielkiego nieszczęścia. Papież jednak nalegał, a posłuszny biskup udał się do Castro. Niedaleko miasteczka zbliżył się do niego jakiś nieznajomy i ostrzegał, aby nawrócił, gdyż droga bardzo zła i biskup mógłby mieć jaki smutny wypadek. Cristoforo nie

usłuchał, jechał dalej i padł ugodzony kulą z zasadzki. Papież kazał natychmiast zarządzić dochodzenie, a gdy wszelkie poszukiwania mordercy nie odniosły żadnego skutku, rzucił wielką klątwę na niewiadomego zbrodniarza i na jego pomocników, tudzież wyznaczył 5000 skudów nagrody dla tego, kto wymieni nazwisko winnego.

Odrazu podejrzenie padło na Samsona Asinellego, Szwajcara w służbie księcia Ranuccia, któremu kazał spełnić zbrodnię markiz Godefroi, francuski awanturnik, nauczyciel w Wenecji i w Bolonji, a wreszcie sekretarz i kapitan wojska książąt Odoarda i Ranuccia. Zdaje się, że Godefroi urządził ów zbrodniczy napad w porozumieniu ze swym panem; ale Ranuccio wyparł się jakiegokolwiek wpływu na kapitana, a na dowód swej niewinności kazał ściąć biednego Francuza na murach Parmy, ubrawszy go stosownie do markizowskiej godności w czerwony płaszcz, złotem wyszywany, i dodawszy mu dwóch jezuitów, aby mu osłodzili pożegnanie się z doczesnym żywotem.

Papież się jednak tem nie zadowolnił, postanowił odnowić wojnę o Castro i zburzyć to gniazdo farnezyjskich niepokojów. Zaczęto więc w Rzymie robić przygotowania, jakby do wielkiej wyprawy; wysyłano wojsko, armaty, amunicję, książę Ranuccio natomiast nie był w stanie dać swemu miastu odsieczy, gdyż nie miał ani wojska, ani pieniędzy. Starał się zaciągnąć pożyczkę w Piacenzy, otrzymał jednak odpowiedź, że dostarczonoby mu środków na spłacenie rent z banków farnezyjskich, ale nie na wojnę.

W Rzymie chełpiono się wyprawą przeciw miasteczku, które miało kilkaset ludzi załogi, a gazetka «Avvisi di Roma» ogłasza wiadomości, jakby chodziło o zburzenie Kartaginy. Trzydziestego pierwszego sierpnia r. 1649 poddało się wreszcie Castro papieskiej armji oblężniczej, a komendanci Ranuccia, baron Widman i conte Gabrielli, wyszli z murów w 370 ludzi, z rozwiniętemi sztandarami.

Jak tylko zwycięzcy wkroczyli do miasta, zaczęli burzyć mury, domy i kościoły, aby z tego gniazda, opierającego się papiestwu, kamień na kamieniu nie pozostał. Stolica biskupia została przeniesiona do Acquapendente, a mieszkańcy roz-

prószyli się po okolicy, żebrząc o kawałek chleba. Na gruzach mieściny postawiono słup marmurowy z napisem godnym wielkich zwycięzców: «Qui fu Castro», «Tu było Castro». Ażeby jednak oddać hołd Stwórcy, że zburzono jego świątynię, postawiono na miejscach, gdzie były kościoły, po jednym, ubogim krzyżu.

Malarze Borgognone i Carlo Maratta uwiecznili ową katastrofę w obrazie małej wartości, który się znajduje w galerji Doria, w Rzymie. Zdawałoby się, że to rycerze Tassa idą zdobywać Jerozolimę. U dołu jeźdzcy, od stóp do głów uzbrojeni, w lśniących kirysach i czerwonych spodniach, u góry unosi się postać, mająca przedstawiać «Religję» z morderczą szpadą w ręku, a wokoło niej aniołowie dmą w trąby, jakby na sądzie ostatecznym. Wojnę malował Borgognone, a «Religję» i anioły Maratta.

Łup z wyprawy na Castro, dzwony tamtejsze, dzisiaj jeszcze wzywają pobożnych Rzymian do modlitwy w kościele Pamfilich, w Sant'Agnese.

III

W miarę wzmagania się zamożności Pamfilich kamienica na placu Navona zdawała się i papieżowi i donnie Olimpji za skromną, aby stanowić siedzibę rodziny. Innocenty zakupił więc cały szereg sąsiednich domów aż po kościół św. Agnieszki i postanowił wznieść na tem miejscu wspaniały pałac. Budowę powierzył architekcie Girolamowi Rainaldemu (1570—1655), uczniowi Fontany, który się już wsławił kilkoma pięknemi gmachami. Papież znał Rainaldego jeszcze ze swych czasów kardynalskich i sprowadził go teraz z Parmy, gdzie artysta był zajęty. Gmach powstał szybko, gdyż papież ze względu na swój wiek kazał się śpieszyć budowniczemu, a gdy mury stanęły, zwołał cały szereg malarzy, aby freskami ozdobili pokoje. Pracowali tam Francesco Romanelli, który z Barberinimi dzielił wygnanie we Francji, Ciro Ferri, tudzież Geminiani di Pistoia. Był pomiędzy nimi i Gaspare Dughet (1613—1675), Rzymianin, który ożeniwszy się z siostrą słynnego malarza Kaspara Poussin, przybrał jego imię, aby tym

sposobem jeszcze bardziej się zbliżyć do mistrza i otoczyć promieniem jego sławy.

Donnie Olimpji chodziło, jak zwykle, o to, aby artyści jak najmniej kosztowali, a gdy się dowiedziała, że w więzieniu rzymskiem odsiaduje karę malarz Andrea Comassei da Bevagno, uczeń Domenichina, postarała się o jego uwolnienie, pod warunkiem, że jej wymaluje bezpłatnie jakieś freski w nowym pałacu. Artysta przystał na targ i ozdobił jeden z salonów cyklem fresk, biorąc temat z ulubionych wówczas metamorfoz Owidjusza. Palmę pierwszeństwa jednak pomiędzy owymi artystami odniósł Pietro Berrettino da Cortona, którego za młodu nazywano oślą głową, «Testa d'asino», a później koroną malarzy «Corona de'pittori». Freski jego przedstawiały sceny z «Eneidy» Wergiljusza.

Po ukończeniu pałacu chciał papież uwiecznić swoje imię, stawiając piękną świątynię, niejako rodzinny kościół Pamfilich. Ponieważ zaś Innocenty miał osobliwe nabożeństwo do św. Agnieszki, więc kazał zburzyć kościół, przytykający do pałacu, i wznieść na jego miejsce gmach wspaniały.

Kamień węgielny pod kościół położono w roku 1652, w sposób jak najbardziej uroczysty. Sam papież poświęcił ziemię pod budowę, a trzymając za rękę małego syna don Camilla, Giambattistę Pamfilego, kazał mu rzucić pierwszy kamień na fundamenty.

Wieczorem urządzono wielki festyn z powodu tej uroczystości. Cały plac Navona został okolony perystylem, spoczywającym na słupach, ozdobionych zielonym liściem, i oświetlony dwoma tysiącami lamp. Wpobliżu obelisku, który przed rokiem ustawiono, zbudowano naprędce zamczysko o czterech wieżach, na których ugrupowały się chóry śpiewaków, a po obydwu kończynach placu wzniesiono kolumny, ziejące wulkanami sztucznych ogni. Również z wież Collegio Romano i kościoła Anima tryskały całe snopy świateł, które widać było z placu Navona. Tam zaś, gdzie dzisiaj znajdują się dwie pomniejsze fontanny, postawiono dwa łuki triumfalne, któremi Kastylijczycy i Aragończycy chcieli uczcić Innocentego. Łuki nosiły na sobie, jako ornament, kopuły w kształcie hiszpańskiej, królewskiej korony. W jednej był umieszczony posąg

Chrystusa zmartwychwstającego, a w drugiej posąg Marji. Z okien pałacu Pamfilich przypatrywały się panie wielkiego świata, strojne, barwne, błyszczące od klejnotów, w których łamało się światło lamp i pochodni.

Budowę kościoła powierzył papież synowi artysty, który stawiał pałac, Karolowi Rainaldi (1611—1691). Był to znakomity budowniczy, po którym pozostały dwa siostrzane kościoły na piazza del Popolo, fasada kościoła Sant'Andrea della Valle, zewnętrzna część Santa Maria Maggiore, od strony obelisku, i sporo innych gmachów. Młodszy więc Rainaldi zrobił plan kościoła św. Agnieszki i doprowadził budowę aż do wysokości murów, sklepienie zaś, kopułę i fasadę wykonał Borromini, gdyż papież pogniewał się na Rainaldego, że się zanadto powodował uwagami don Kamilla. Do ozdobienia wnętrza gmachu przyczynił się najwięcej Alessandro Algardi, uczeń Caraccich, ulubieniec Pamfilich. Powiadają, że papież w głos się rozpłakał, dowiedziawszy się o śmierci tego artysty.

O słynnych fontannach na placu Navona i o stosunku Innocentego X do Berniniego pomówimy na innem miejscu; tu tylko wspomnieć musimy, że papież, jak w zarządzie watykańskim lubił wielki porządek, tak i nadzwyczajnie dbał o to, aby kościół św. Piotra w wielkiej był utrzymany czystości. Ponieważ zaś w owych czasach modne było zażywanie tabaki, a pobożni rozsypywali ją po posadzce bazyliki, więc papież groził klątwą za każde tego rodzaju wykroczenie przeciw porządkowi. Pasquino był niezadowolony z rozporządzenia i o tyle miał złośliwiec słuszność, że klątwa za używanie tabaki była przecież trochę za wysoką karą.

Za poprzednika Innocentego nie zostały jeszcze ukończone gmachy na Kapitolu tak, jak je chciał mieć Michał Anioł, a mianowicie, z dwóch bocznych pałaców stał tylko pałac konserwatorów, w całości wybudowany za Klemensa VIII, pod drugi zaś gmach położone były tylko fundamenty. Otóż Innocenty X kazał wystawić ten pałac według planów Michała Anioła, za co mu Rzymianie postawili posąg na Kapitolu, wykonany w roku 1652 ręką Alessandra Algardego.

Jedną z większych zasług Innocentego było wybudowanie gmachu więziennego, odpowiadającego humanitarnym pojęciom. Naczelnicy rodu Savellich mieli rozmaite, wiekami uświęcone prawa, a pomiędzy innemi nietylko przywilej strzeżenia kardynałów podczas conclave, ale i czuwania nad więzieniem, Corte Savella, tudzież sądownictwo w przestępstwach, nie podlegających karze śmierci. Więzienie to, zwane powszechnie Cloaca di Corte Savella, było wąskie, wilgotne, nie czyszczone od wieków, a więźniowie, oddani na łaskę i niełaskę niesumiennych stróżów, przechodzili w tych piwnicach piekielne męczarnie. Innocenty kazał więc wybudować nowe więzienie przy via Giulia, obszerne i tak dobrze urządzone, że stało się wzorem późniejszych gmachów karnych o osobnych celach.

Marzeniem papieża i donny Olimpji było od dawna pozostawić rodzinie jakąś wielką majętność poza Rzymem. Olimpja posiadała wprawdzie winnice i małą willę za bramą św. Pankracego, a w Kampanji sporo ziemi, ale zamkiem, równającym się kastellom Orsinich lub Colonnów poszczycić się dotąd nie mogła. Zakupiła więc napół zburzony zamek San Martino ze znacznym obszarem ziemi od kapituły św. Piotra i postanowiła wznieść tam nowy gmach, któryby jej służył za główną siedzibę. Aby powiększyć tę posiadłość, nabyła jeszcze castello di Vitorhiano, również z winnicami i gruntami od rzymskiej gminy, a zaokrągliwszy w ten sposób swe dobra, wyrobiła dla nich u papieża nazwę księstwa, a dla siebie tytuł księżny di San Martino. Ponieważ świeżo nabyta miejscowość składała się zaledwie z kilkunastu nędznych domów, więc Olimpja zachęcała w rozmaity sposób okoliczną ludność, aby się tam osiedlała. I tak wyznaczyła posagi dla dziewcząt, któreby wychodząc zamąż, zobowiązały się zamieszkać z rodziną w San Martino, i namawiała rozmaitych prałatów, aby tam stawiali sobie domy. Na jej prośbę założył papież w San Martino opactwo, niezależne od żadnego biskupstwa. Donna Olimpja wspaniale przyozdobiła wiejską swą rezydencję; podziwiano tam schody, po których można było wyjechać karocą na pierwsze piętro.

Wszystkie te budowy nie zaspakajały pychy Olimpji; chciała mieć jeszcze w Rzymie pałac, któryby swoją wielkością przewyższył siedziby znakomitych rodzin rzymskich.

W roku też 1650 polecił Innocenty Berniniemu, aby wybudował olbrzymi gmach dla Pamfilich na ruinach, znajdujących się na Montecitorio. Mistrz przybrał sobie do pomocy ulubionego ucznia, Mateusza de Rossi, i przedłożył papieżowi projekt pałacu o pięciu frontach. Innocentemu plan się podobał i pracę rozpoczęto; ale obszar, zajęty budową, był tak wielki i koszta tak znaczne, że roboty pomału postępowały, a gdy papież umierał, mury zostały doprowadzone zaledwie po pierwsze piętro. Rodzina musiała dalszej budowy zaprzestać i mury stały przez lat czterdzieści niedokończone. Dopiero Innocenty XII, Pignatelli, odkupił zaczęty pałac od spadkobierców donny Olimpji, powierzył budowę Karolowi Fontanie, przeznaczając gmach na pomieszczenie rzymskich sądów. Stosownie też do nowych celów pozmieniał Fontana plany Berniniego, według których gmach został ukończony. W pałacu tym, zwanym dawniej Curia Innocentiana, mieści się, od czasów zjednoczenia Włoch, Izba deputowanych.

Po zwycięstwie nad Farnezami i wcieleniu Castro nie rozszerzało się więcej państwo papieskie; nastąpił pokój z sąsiadami. Innocenty X widział, że o dalszych podbojach myśleć nie można, więc zwrócił się do uporządkowania stosunków wewnętrznych w Rzymie i podlegających Watykanowi prowincjach. Zwycięstwo Kościoła, częściowe pokonanie protestantyzmu kosztowało dużo. Ażeby wspierać wojny religijne poza włoskim półwyspem, pozaciągali papieże znaczne długi, chwytając się zwykłych wówczas operacyj finansowych i zakładając «Monti», których listy zastawne oparte były na dochodach papiestwa. I tak Pius IV, chcąc pomóc Karolowi IX, ufundował «Monte Pio», Paweł V wspierał cesarza w trzydziestoletniej wojnie, czerpiąc fundusze z «Monte della Religione», Pius V założył «Monte della Lega», z której dochody poszły na wojnę z Turkami, a Klemens VIII dał w tym samym celu znaczne sumy królestwu węgierskiemu. Wreszcie Grzegorz XV i Urban VIII podsycali pieniędzmi, z podobnych źródeł pochodzącemi, wojny wewnętrzne we Francji.

Ciężary więc państwa papieskiego były wielkie, zwłaszcza, że Urban VIII, mimo zaprowadzenia bardzo uciążliwych ceł, pozostawił długów ośm miljonów skudów. Gdy zaś państwo

przynosiło zaledwie dwa miljony, z czego miljon trzykroćstotysięcy trzeba było wydawać na opłacanie procentów od zaciągniętych pożyczek, więc pozostawało tylko 700.000 na opędzenie wszystkich wydatków państwa. Aby zapobiec ruinie finansowej, ustanowił Innocenty X kongregację fiskalną, a tej instytucji, jako też oszczędności papieża w wydatkach publicznych, zawdzięczać należało, że skarb w zamku św. Anioła, ufundowany przez Sykstusa V, nie został naruszony i że pozostało jeszcze 700.000 skudów na koszta wyboru przyszłego papieża. Oszczędność była największą zasługą Innocentego około finansów państwa, zresztą bowiem nie przyczyniał się papież do podniesienia stanu ekonomicznego ludności, a administrację zcentralizował i uczynił najzupełniej zależną od duchowieństwa, mianując na świeckie urzędy po największej części samych księży. Poznosił też przywileje, jakie miały municypja, szlachta lub mieszczanie. Senat rzymski został pozbawiony wszelkiej władzy i istniał już tylko jako «dekoracja» miasta. «Konserwatorzy» jednak mogli siedzieć na trzecim stopniu pod tronem papieskim, a senator miał prawo dodać koronę do swoich herbów i przypinać czarne pióropusze koniom, ciągnącym jego karocę. Osobliwie te czarne pióra uchodziły wtedy za ważną koncesję, daną ludowi rzymskiemu, gdyż ten przywilej mieli dotąd tylko baronowie. Od dawnych czasów był senator najwyższym dygnitarzem w magistraturze miasta Rzymu, mianował go papież, wybierając poważną osobistość, pochodzącą z jednego z najznakomitszych rodów. Innocenty X zaczął powierzać tę godność ludziom nic nie znaczącym i odtąd o krzesło senatorskie nikt poważniejszy się nie ubiegał.

Im mniej władzy miał magistrat rzymski, tem jaskrawiej starał się ją okazywać. Kiedy niekiedy schodzili się konserwatorzy w swym pięknym pałacu na Kapitolu, aby dawać posłuchania. Trębacze z rozwiniętemi sztandarami zapowiadali ową ważną czynność, która się kończyła wspaniałą ucztą. Pachołki magistrackie obsługiwały biesiadników, a rachunki za wino i potrawy płacono z dochodów trzech folwarków, które jeszcze konserwatorom z dawnej świetności pozostały.

Senator, obejmując swe urzędowanie, starał się także pokryć zewnętrznym blaskiem brak władzy. Ostatnim, który pia-

stował tę godność za czasów Innocentego, był Giovanni Inghirami z Prato pod Florencją, ulubieniec donny Olimpji. Wjeżdżał on na Kapitol z przepychem, jakby poseł obcego mocarstwa. Kawalkata zbierała się na Kwirynale; na czele kroczyli żołnierze miejskiej milicji, uzbrojeni w szpady, muszkiety i piki, z któremi nie wiedzieli, co począć; karmazynowe sztandary, bębny i trąby znaczyły ich pochód. Za milicją postępowało dwadzieścia ośm mułów w czerwonych rzędach i oponach, kilkanaście mułów bez przyborów, dalej prowadzono szereg koni z papieskich stajen; za zwierzętami szli ludzie: gwardja watykańska, urzędnicy magistratu, szlachta, baronowie rzymscy.

Przed samym senatorem dwunastu paziów na koniach trzymało herbowe tarcze dygnitarza, a jeden, pysznie ubrany, wiózł jego szpadę i kapelusz. Senator wreszcie jechał w złocistych brokatach na pięknym rumaku, w otoczeniu swoich dwóch synów, za nim karoce ciągnione końmi, które potrząsały czarnemi pióropuszami, stanowiącemi właściwą dumę dygnitarza.

Innocenty, podobnie jak Sykstus V, starał się o zmniejszenie nadużyć wielkich i małych baronów i chciał przeprowadzić poszanowanie praw nawet u klas uprzywilejowanych. Ponieważ zajmowały go głównie stosunki pieniężne, więc zmuszał do płacenia długów rzymskich panów, którzy dotąd mieli zwyczaj nieoddawania zaciągniętych pożyczek, jeżeli nie potrzebowali dalszego kredytu. Wogóle staraniem Innocentego było zaprowadzić sprawiedliwe rządy. I tak niektóre bractwa w Rzymie miały w pewnych razach prawo uwalniania skazanych na śmierć zbrodniarzy, co uniemożliwiało wykonanie sprawiedliwości, gdyż bandyci bardzo często udawali się pod skrzydła religijnych stowarzyszeń, albo nawet byli ich członkami i w ten sposób unikali kary. Papież zniósł te szkodliwe przywileje, a nadto wydał zakaz utrzymywania na magnackich dworach bandytów, gdyż zwyczaj ten, mimo surowości Sykstusa V, zawsze jeszcze istniał. Sam kardynał Francesco Barberini miał trzech sławnych brawów, którym płacił miesięcznie po trzydzieści dublonów. Trzeba było wyraźnego rozkazu gubernatora miasta, aby ich z Rzymu wydalił. Kardynał jednak opiekował się nimi i ukrył ich w swych zamkach, dokąd władza rzymskiego gubernatora już nie sięgała.

IV

Po złożeniu przez nepota Kamilla Pamfili kardynalskiej godności trzeba było wynaleźć innego, któryby zasłaniał Olimpję Maidalchini, właściwą nepotkę. Na takiego niewinnego kardynała wybrała Olimpja swego synowca, siedemnastoletniego Francesca Maidalchiniego, chłopaka rzadkiej brzydoty i niezgrabności w ruchach. Pomimo bardzo miernych zdolności Francesca, obawiała się przebiegła kobieta, aby papież go nie polubił i za często z nim nie przestawał; nie pozwoliła mu zatem mieszkać w Watykanie, ale zabrała do swego pałacu, aby go z oka nie spuszczać.

Nominacja takiego kardynała nepota wywołała powszechne zgorszenie; ambasadorowie nie chcieli z nim mówić o sprawach publicznych, bo siedemnastoletni młodzieniec nie miał o niczem wyobrażenia, a zresztą ubliżało ich godności traktować z głupkowatym młokosem. Papież się spostrzegł, że z tego rodzaju ministrem rządzić nie można i zupełnie go od spraw urzędowych odsunął. Była to wielka klęska donny Olimpji, powszechnie bowiem wiedziano, że od niej wyszedł pomysł mianowania niefortunnego purpurata. Skorzystała z tego księżna di Rossano, aby się zbliżyć do papieża wraz ze swym mężem i zmniejszyć nieszczęsny wpływ Maidalchini. Użyto do tej intrygi zakonnicy w klasztorze Tor de'Specchi, rodzonej siostry papieża, Agaty, tudzież wpływów kardynała Michała Mazzarina. Przedstawiono papieżowi, że górski klimat Capraroli szkodzi zdrowiu księżny Rossano, że zresztą księżna spodziewa się potomka i chciałaby w Rzymie przy świadkach odbyć połóg, gdyż inaczej mogliby krewni, interesowani w spuściźnie Aldobrandinich, zaprzeczać prawdziwości urodzin.

Nie czekając wyraźnego zezwolenia papieża, sprowadzili się młodzi Pamfili do Rzymu i zamieszkali w pałacu Farnese pod opieką krewnego Aldobrandinich, księcia Parmy. Rossano prosiła o posłuchanie u papieża, ale go nie otrzymała; gdy

jednak 24 czerwca 1648 powiła syna, rzeczy się obróciły na jej korzyść. W rodzinie Farnezych w Parmie i u Medyceuszów we Florencji wielka z tego powodu była radość; illuminowano pałac księcia Parmy pochodniami z białego wosku, wysłano kurjerów do Florencji, aby oznajmić Medyceuszom wesołą wiadomość. Papież coraz bardziej sprzyjał księżnie Rossano, ale tylko potajemnie, obawiał się bowiem obrazić donnę Olimpję, która nie ukrywała bynajmniej swej nienawiści do synowej. Księżna oddawała teściowej pięknem za nadobne, układając na nią złośliwe wiersze, które wzbudzały radość w kole nieprzyjaciół donny Maidalchini; porównywała ją do muła, ubranego w papieskie szaty, i z lekka rzucała cień na jej cnotę. Publiczność rzymska bardzo się zajmowała tym pojedynkiem dwóch kobiet, będących wówczas na widowni, i zapisywała w pamięci najmniejszy fakt, charakteryzujący ich stosunek. I tak zauważono w karnawale roku 1649, że gdy Olimpja przejeżdżała przez Corso, koło pałacu Pamfilich, tak syn, jak i księżna Rossano, szybko odeszli od okna. Innym razem spotkał się powóz donny Olimpji z karocą, w której wieziono małego jej wnuka, a ponieważ było w zwyczaju, że stangreci, spostrzegłszy powóz pokrewnej rodziny, zatrzymywali konie, więc i tym razem ściągnęli lejce, sądząc, że donna Olimpja zechce malca zobaczyć. Lecz Maidalchini zapytała tylko z gniewem, dlaczego staje, i pojechała dalej. W roku 1648 zaczęła donna Olimpja dawać przedstawienia teatralne w swoim pałacu, w których nie brakło ukrytych, a przecie aż nadto przejrzystych alluzji do obojga synowstwa. Jedna z komedji, pod tytułem «Pasquale», była satyrą na don Kamilla; miał występować w niej młodzieniec głupi, nieposłuszny matce, który się żeni przeciw jej woli. Papież jednak dowiedziawszy się o treści sztuki, zakazał jej przedstawienia. Wogóle komedje, które grano w pałacu Maidalchini, nie miały dobrej sławy, raziły zazwyczaj swą nieprzyzwoitością. Aktorami bywali najczęściej amatorzy, markizy i duki, którym, jak mówi jeden ze współczesnych, «sprawiało to przyjemność, udawać histrjonów».

Donna Olimpja tak się czuła potężną, że nietylko księżnie Rossano, ale nawet siostrze papieża, zakonnicy Agacie Pamfili, największe wyrządzała niegrzeczności. W roku 1649

zapragnęła dostać relikwję jakiejś sławnej świętej do ulubionego kościoła w San Martino i wybrała sobie w tym celu ciało świętej Franciszki Rzymianki, założycielki klasztoru Tor de'Specchi. Ale zakonnice miały przywilej, że nikomu nie wolno było rozdzielać tej relikwji. Otóż Maidalchini uzyskała u papieża pozwolenie wyjęcia stamtąd części św. ciała; obawiając się jednak, aby zakonnice nie sprzeciwiały się jej zamiarowi, kazała wykraść relikwję w nocy, kiedy siostra Agata ze swemi towarzyszkami była poza klasztorem z powodu jakiejś procesji. W porozumieniu z duchownymi watykańskimi kazała wpaść do klasztornego kościoła, otworzyć trumnę Franceski i porwać kość z ramienia. Gdy zakonnice wróciły do domu i dowiedziały się o rabunku, poruszyły cały Rzym, narzekając, że prawa ich zostały pogwałcone, udały się nawet do papieża; ale Innocenty X sprawiedliwości im nie wymierzył, zdobycz donny Olimpji była już w zamku San Martino.

Donna Olimpja zaczęła prawie publicznie sprzedawać swe wpływy u Innocentego. Nic się bez niej nie działo, swemi intrygami doprowadziła nawet do tego, że ważniejsze posiedzenia kongregacji odbywały się w pokojach papieskich, aby mogła, ukryta za drzwiami, przysłuchiwać się obradom. Gdy raz kardynał Sforza zaczął, właśnie na takiem posiedzeniu, ostro krytykować postępowanie donny Olimpji i gdy któryś z towarzyszy szepnął mu, aby mówił ciszej, ze względu na sąsiedztwo za drzwiami, Sforza ostro odpowiedział, że mówi umyślnie tak głośno, aby go dobrze słyszano. Wyższe duchowieństwo na całym półwyspie wiedziało o tem, że bez opłacania się donnie Olimpji nic w Watykanie uzyskać nie można; staranie o jakiekolwiek beneficjum rozpoczynało się od złożenia odpowiedniej sumy w pałacu na piazza Navona. Raz przybito na murze któregoś z pobliskich domów obraz, malowany na płótnie, przedstawiający bramę pałacu donny Olimpji. W bramie stoi kamerdyner Maidalchinich i jedną ręką odpycha księdza, który chce wejść z pustą sakwą, podczas gdy drugą ręką uprzejmie zaprasza do pałacu innego, dźwigającego ciężki worek. Pod pierwszym gościem było podpisane: «Ite maledicti in ignem aeternum», «Idźcie, przeklęci, w ogień wieczny», podczas gdy pod drugim czytać było można słowa:

«Venite, benedicti patris mei», «Wchodźcie, błogosławieni Ojca mojego». Uliczny artysta wymalował donnę Olimpję siedzącą w oknie i mówiącą: «Za darmo się tutaj nie przyjmuje».

Dowcipniej znalazł się Pasquino. Pytał on Marforja, gdzie się znajduje brama donny Olimpji; na co mu towarzysz odpowiedział: «Chi porta, vede la porta; chi non porta, non vede la porta» [1]).

Jakiś opat neapolitański bramę wprawdzie zobaczył, ale nie przydało mu się to na nic. Powiedziano mu, że zostanie biskupem w jednej z większych djecezyj, jeżeli przyniesie donnie Olimpji dwadzieścia tysięcy talarów. Opat się u rodziny zapożyczył, otrzymał biskupstwo, zanim jednak zasiadł na swej stolicy, umarł.

Swą chciwością umiała zawsze donna Olimpja, przynajmniej częściowo, unieważniać rozporządzenia Innocentego X. I tak istniały zakazy z czasów Sykstusa V, nie pozwalające kurtyzanom ukazywać się po ulicach Rzymu w pysznych karocach, w otoczeniu służby, podobnie jak jeździły wielkie panie. Za Barberinich nie zważano na ten przepis, a kurtyzany miały najpiękniejsze zaprzęgi i zwracały wszędzie uwagę niewidzianym zbytkiem. Innocenty rozporządzenie Sykstusa V odnowił, ale niektóre zamożniejsze «panie duszki» umiały znaleźć drogę do donny Olimpji i znowu rozsiadały się w karocach, jak dawniej. Osobliwie otoczyła Olimpja swą opieką niektóre z tych, które zwano «Corte», pozwoliła im na domach, w których mieszkały, przybić herb Maidalchinich, aby je osłonić przed prześladowaniami policji, i wyjeżdżać w powozach, jak gdyby należały do najdostojniejszego towarzystwa, a publiczną było tajemnicą, że się te panie opłacały donnie Olimpji.

Podczas jubileuszu w roku 1650 odgrywała Maidalchini wielką rolę. Wieść o jej wpływie na papieża rozeszła się niemal po całej Europie; znakomitsi pielgrzymi starali się ją poznać, jużto z ciekawości, jużto ze względu na interesa, jakie mieli w kurji rzymskiej. Pałac na piazza Navona był jednem z miejsc, gdzie się schodziły wszystkie wybitne osobistości,

[1]) Dowcip polega na grze słów: *porta* — brama i *porta* — niesie. Dosłowne tłumaczenie: «Kto dar niesie, ten bramę spostrzeże, kto nie niesie, bramy nie zobaczy».

a Maidalchini odgrywała rolę pierwszej matrony w Rzymie. Umiała zresztą otoczyć się urokiem dobroczynności, była bowiem opiekunką szpitala «della Trinità dei Pellegrini», gdzie umieszczano mnóstwo pielgrzymów. Do kosztów utrzymania pobożnych tłumów wprawdzie osobiście niczem się nie przyczyniała, lecz znaną była z talentu zbierania na ten cel funduszów; wybrała czterdzieści dwie pań, które przez cały rok chodziły po domach prywatnych po kweście i zebrały 16.582 skudów, wystarczających, aby przez trzy dni wyżywić i pomieścić 226.711 mężczyzn i 81.822 kobiet, tudzież 25.902 rekonwalescentów. Cyfry te pokazują, jak olbrzymi był napływ pielgrzymów, jeżeli jeden tylko zakład dobroczynny, wprawdzie największy ze wszystkich, tyle osób mógł ugościć.

We dwa lata po jubileuszu rozpoczął Innocenty X wielce potrzebną reformę małych klasztorów, których się w Rzymie i wogóle w całych Włoszech namnożyło bez liku, na utrapienie i zgorszenie publiczności. Niektóre klasztory nie miały żadnych stałych środków utrzymania, a ludność nie mogła wyżywić niezliczonych tłumów ubogich mnichów. Zresztą wiele klasztorów, osobliwie takich, które były oddalone od większych miast, stało się przytułkiem bandytów i siedliskiem wszelkiej zbrodni. Mnisi mordowali się, truli nawzajem i było rzeczą konieczną temu zgorszeniu położyć koniec. Papież wyłuszczywszy powody w konstytucji z 15 października 1652, postanowił znieść wszystkie te klasztory, które za mało liczyły zakonników, aby w nich można było utrzymać należytą karność. Do klasztorów, które miały być zniesione, należało sporo osad bazyljanów ormiańskich i księży «del Buon Gesù». Rozporządzenie papieskie powitane było z wielką radością, lecz radość zawiodła, gdyż większość klasztorów, przeznaczonych na zamknięcie, znalazła sposoby, aby uniknąć tej ostateczności. Dokładnemu przeprowadzeniu woli papieskiej stanęła znowu w poprzek chciwość donny Olimpji, która cichaczem rozpuszczała wieść, że za opłatą pewnych kwot, zazwyczaj trzystu dublonów, wyrobi pozwolenie, aby klasztor dalej istniał. Pierwszym, który zrozumiał ten interes, był podobno bogaty karmelita z Neapolitańskiego. Przyniósł on donnie Olimpie sto dublonów, cokolwiek więcej, aniżeli dzisiejszych

dwa tysiące franków i uratował swój klasztor. Za karmelitą poszli inni, a współcześni wyliczyli, że Maidalchini zarobiła na owem «zniesieniu klasztorów» około pięćdziesięciu tysięcy hiszpańskich dublonów. Niektóre tylko zakłady w Rzymie, które czy nie mogły, czy nie chciały zapłacić nałożonej przez donnę Olimpję kontrybucji, przestały istnieć, jak «Crociferi», «Silvestrini», «Gesuati» i «Eremiti di San Girolamo».

Wpływowi bratowej papieża przypisać zapewne należy, że w sądownictwie weszło w zwyczaj zamieniać najcięższe kary na grzywny, co ambasador wenecki, Giustiniani, uważa za wielkie społeczne nieszczęście. Sądzi on, że w ten sposób wzbogacił się skarb papieski o dwa miljony dukatów.

Zgorszenie z powodu pobocznych rządów donny Olimpji coraz bardziej rosło, a jej nadużycia służyły protestantom za dowód, że w Rzymie «niczego się nie nauczono i niczego nie zapomniano». Nawet taki oględny pisarz, jak kardynał Sforza Pallavicini, nazywa jej rządy «mostruoso potere d'una femmina in Vaticano». Mówiono powszechnie, że w Londynie, w obecności Kromwella została odegrana komedja «The marriage of the pope», «Małżeństwo papieża», w której występował papież z donną Olimpją na scenie. Zdaje się, że Innocenty X posłyszał coś o tej komedji i przecież cokolwiek się ocknął i przejrzał mimo swego zaślepienia, zwłaszcza że prawie równocześnie kardynał Fabio Chigi pisał z Münster, gdzie podówczas bawił, alarmujące listy do innych kardynałów, zwracając uwagę na «plotki», uwłaczające religji katolickiej, które pastorowie protestanccy ze swych ambon opowiadają, o sprzedawaniu kapeluszy kardynalskich w Rzymie, o donnie Olimpji i najbezecniejsze tej treści każą drukować karykatury.

Nietylko wszakże protestanci zaczęli się gorszyć rządami Olimpji, ale nawet nuncjusz apostolski w Wiedniu, Melzi, doniósł do Rzymu nader przykrą wiadomość. Melzi robił mianowicie uwagi cesarzowi Ferdynandowi III, że zawarł pokój ze Szwedami, nie wymawiając sobie żadnych korzyści dla religji katolickiej, na co cesarz w słowach umiarkowanych co do formy, ale bardzo ostrych co do rzeczy, wytknął nuncjuszowi przeważny wpływ kobiety w radzie papieża.

Zdaje się, że ten list nuncjusza przekonał Innocentego, iż tak dalej rzeczy iść nie mogą. A do wyrobienia tego przekonania przyczynił się sekretarz stanu, kardynał Panciroli, i kardynał Vincenzo Maculano, człowiek wielkiej prawości i cnoty, znakomity teolog, «Commissario del Sant'Uffizio».

Papież skłonił się wreszcie do stanowczego kroku; oddalił donnę Olimpję ze swego dworu, chociaż utrzymywano, że ów zły duch zjawia się mimo to czasami potajemnie w Watykanie, aby pilnować swoich interesów. Pozbawiony jednak bezustannej opieki i rady bratowej, nie mógł się starzec obejść bez kogoś, ktoby stał bliżej niego, aniżeli zwykli kardynałowie, potrzebował koniecznie nepota. Wyszukał sobie niespełna trzydziestoletniego młodzieńca, dalekiego krewnego donny Olimpji, pochodzącego z rzymskiej szlacheckiej rodziny, nazwiskiem Kamillo Astalli, sądząc zapewne, że obsypawszy go łaskami, będzie miał przywiązanego człowieka. Młody Astalli był zapisany dotąd pomiędzy adwokatów konsystorjalnych i miał nadzór nad więzieniami; jego twarz tak się spodobała papieżowi, że niespodziewanie, ku powszechnemu zdziwienu, zamianował go 19 września 1650 roku kardynałem nepotem, nadał mu własne nazwisko i własny herb, powierzył rządy miasta Fermo i legację Avignonu, a co więcej, oddał pałac Pamfilich na piazza Navona i willę za bramą Świętego Pankracego do jego użytku. Wreszcie kazał mu Innocenty wypłacać trzydzieści tysięcy skudów rocznie i na pierwsze potrzeby dał dziesięć tysięcy.

Całą tę intrygę urządził kardynał Panciroli, aby zupełnie odsunąć donnę Olimpję, a sobie zapewnić wpływ na papieża przez młodzieńca, który mu wszystko będzie miał do zawdzięczenia. Maidalchini nie posiadała się z gniewu, a domyślając się, że sprawą kierował Panciroli, poprzysięgła mu zemstę. Wiedziała jednak, że ma niebezpiecznych przed sobą nieprzyjaciół, gdyż Astalli był bardzo zręcznym człowiekiem, który mógł sobie pozyskać sympatje całego Watykanu. Gniew Olimpji okazał się już w chwili, kiedy nowy nepot objął rządy. Było w zwyczaju, że takiemu kardynałowi przedstawiała się w dniu «di ricevimento» cała rodzina papieska i dygnitarze. Olimpja nie pozwoliła nikomu z bliskich pojechać do intruza i wszyscy Pamfili kazali oświadczyć w Watykanie, że

nagle zachorowali. Grzeczny Astalli wsiadł nazajutrz do karocy i odwiedział «chorych», zapewniając ich przy tej sposobności, o najlepszych chęciach dla Pamfilich. Oświadczenia te zostały bardzo zimno przyjęte; jedna tylko księżna Rossano miała powiedzieć swemu mężowi, że «lepiej mieć u boku papieża przyjaznego kardynała, aniżeli matkę nieprzyjaciółkę».

Donna Olimpja skierowała teraz swe intrygi głównie przeciw kardynałowi Panciroli, którego uważała za największego swego wroga; głośno nazywała go zdrajcą i grupowała koło siebie całe stronnictwo, już to nieprzyjaciół Pancirolego, już to niezadowolonych z powodu niesłychanego wyniesienia Astallego. Do stronników donny Olimpji należał pomiędzy innymi monsignor Azzolino, którego niebawem bliżej poznamy.

Maidalchini miała szczęście; podczas gdy się jeszcze skwapliwie zbroiła, aby zmiażdżyć Pancirolego, kardynał niespodziewanie umarł trzeciego września 1651. Ucieszona kobieta, nie mogąc ukryć swojej radości, powiedziała krewnemu, który jej przyniósł tę wiadomość, «Umarł: a ja żyję!» Duch w nią wstąpił, teraz się spodziewała, że i wpływ tego młodzika, Astallego, potrafi usunąć i że znowu wszystkie drzwi, prowadzące do papieża i do władz kościelnych, będą dla niej otwarte. Niespodziewanie wszakże jeden człowiek, i do tego bardzo poważny, stanął jej w drodze, kardynał Fabio Chigi, sekretarz stanu, pochodzący z sieneńskiej rodziny, późniejszy papież Aleksander VII, który właśnie z Niemiec powrócił i zamieszkał w Watykanie. Chigi udawał dotąd przyjaciela rodziny Pamfilich i starał się z donną Olimpją jak najlepsze utrzymywać stosunki; ale teraz, widząc, że jej rządy wkrótce skończyć się muszą, i doszedłszy już do takiego stanowiska, że mógł się spodziewać tiary, i to w najbliższej przyszłości, zupełnie zmienił swe postępowanie. Przedewszystkiem otoczył się pewną aureolą świętości, wśród gwarnego życia Watykanu został anachoretą. Wybrał sobie jeden tylko mały pokoik na mieszkanie, nie przypuszczał ani krewnych, ani kobiet, spał, jak mówiono, na gołych deskach, a chcąc zawsze mieć obraz śmierci przed oczyma, jadał na srebrnym talerzu z wyrzeźbioną we środku trupią główką. Natomiast był jednym z najczynniejszych członków świętego Kollegjum, pracował w Sant' Uffizio, w Propagandzie i oddawał znakomite usługi Kościołowi. Innocenty miał w Chigim niewygodnego świadka swych stosunków rodzinnych; ze względu na kardynała wystrzegał się wszelkich stosunków z donną Olimpją i starał się nie dopuścić do częstych jej odwiedzin w Watykanie. Z wiekiem zresztą stawał się coraz bardziej podejrzliwym, wszędzie widział podstęp i zdradę, nikomu nie ufał, nawet ulubionemu przez czas krótki Astallemu; wierzył jedynie bratowej i sprawiało mu prawdziwe cierpienie, że nie ma jej u boku, że nie może się w każdej sprawie swobodnie z nią rozmówić i zasięgnąć jej rady. Cała rodzina wiedziała o tem: więc Pamfili, Ludovisi i Giustiniani starali się wszelkiemi sposobami pozyskać napowrót łaski Jego Świątobliwości. Gdy Astalli w poufnej rozmowie pytał raz papieża, którego ze swych trzech nepotów najbardziej lubi, Innocenty mu odpowiedział, «że kocha Giustinianiego ze względu na jego żonę, księcia Ludovisi, ponieważ jest dobrym człowiekiem, a Pamfilego, gdyż ta sama krew, co w nim, w jego żyłach płynie».

Wśród takiego usposobienia zaszedł wypadek, który jeszcze bardziej utwierdził Innocentego w podejrzliwości i jeszcze bardziej przekonał, że się bez bratowej obejść nie potrafi.

Istniał od dawien dawna przy Kurji rzymskiej urząd skarbowy, zwany Datarją, która odbierała na korzyść papieża dochody z opróżnionych beneficjów, tudzież wszelkie opłaty, pochodzące z indultów, dyspens i rozmaitych innych źródeł. Urząd naczelnika Datarji czyli Datarza, jak mówiono u nas w XVII wieku, powierzali papieże ludziom nadzwyczaj pewnym i zaufanym; Innocenty mianował nim kardynała Dominika Cecchiniego, który podczas conclave niemałe usługi oddał papieżowi. Ale donna Olimpja nie lubiła kardynała, zapewne z tego powodu, że nie pozwalał, aby na swoją korzyść zupełnie wypróżniała papieską kasę, utrzymywała, że Cecchini nadużywa zaufania Innocentego i że mnóstwo pieniędzy posyła swej krewnej, niejakiej Klemencji. Maidalchini tak długo pracowała nad upadkiem kardynała, dopóki papież, nie chcąc mu wprost odebrać urzędu, nie oddał potajemnie kontroli nad Cecchinim niższemu urzędnikowi Datarji, Mascambruniemu, kanonikowi di Santa Maria Maggiore. Mascambruni oddawna

starał się przypodobać donnie Olimpji i całej rodzinie, a chciwy i ambitny, używał wszelkich sposobów, aby iść w górę w hierarchji kościelnej i wzbogacić się. Stosownie do prądów, jakie panowały w Watykanie, raz pochlebiał don Kamillowi i księżnej Rossano, innym razem znowu donnie Olimpji. Mascambruni pojął odrazu swoje stanowisko i tak wkrótce potrafił oczernić przełożonego kardynała, że papież nie chciał już nawet przyjmować Cecchiniego, i Mascambruni był wszechwładnym w Datarji. Nie czując nad sobą kontroli, zaczął fałszować bulle, które mu korzyść przynosiły i podsuwał je staremu papieżowi do podpisu. W ten sposób mając rocznej płacy siedemset skudów, potrafił w przeciągu dwóch lat dojść do stu ośmdziesięciu tysięcy skudów majątku i do ośmiu tysięcy rocznej renty, którą mu przynosiły nieprawnie nabyte beneficja. Podpisy na sfałszowane bulle otrzymał Mascambruni w czasie niełaski donny Olimpji, kiedy papież bardzo cierpiał na podagrę, a bratowa nie miała przystępu do Watykanu.

Im łatwiej się fałszerstwa udawały, tem śmielszym był Mascambruni, aż wreszcie zdradziła go sprawa z jakimś Portugalczykiem. Conte di Villafranca, z powodu nadzwyczaj brzydkiego występku przeciw moralności, miał być sądzony przez portugalską inkwizycję; obawiając się jednak strasznego trybunału, obiecał Mascambruniemu dwanaście tysięcy dukatów, jeżeli otrzyma od papieża bullę, która jego sprawę odda sądom świeckim. Mascambruni podsunął akt papieżowi, który go podpisał; gdy jednak inkwizycja się o tem dowiedziała, narobiono wielkiego hałasu, a jezuita Brandano pobiegł czemprędzej do kardynała Chigiego, aby się zapytać, czy taka bulla, uwłaczająca prawowitej portugalskiej inkwizycji, została rzeczywiście wydana. Rzecz oparła się o papieża, który stanowczo oświadczył, że czegoś podobnego nie mógł podpisać, i kazał zarządzić najściślejsze dochodzenie, kto akt sfałszował. Okazało się, że winnym był Mascambruni, którego uwięziono zaraz w Tordinona. W jego pomieszkaniu znaleziono mnóstwo sreber, kosztownych kamieni, całych zwojów aksamitu i czternaście tysięcy skudów w złocie, nagrody za rozmaite fałszerstwa. Na zapytania, skąd te rzeczy pochodzą, odpowiadał Mascambruni stale, że wyjaśnień mogą udzielić donna Olimpja

i don Camillo Pamfili. Dotknięta do żywego Maidalchini poruszyła wszystkie sprężyny, aby Mascambruniego jak najsrożej ukarać; to też mimo braku pewności, czy on jedynie był winnym, skazał go sąd na straszną karę. Najprzód miano go pokazywać ludowi, prowadząc po ulicach Rzymu, następnie odciąć mu prawą rękę przed pałacem Datarji, a wreszcie powiesić go na «Campo de Fiori» za jedną nogę. Ciało miało być spalone, a popiół wrzucony do Tybru.

Camillo Pamfili i kanonicy od świętego Piotra prosili papieża, aby nie popełniano takiego okrucieństwa; więc Innocenty kazał skazańcowi tylko głowę uciąć w więzieniu i wystawić ją na moście świętego Anioła na widok publiczny. Współwinny Brandano Alessandro, kanonik z Panteonu, rzucił się z okna na ulicę, widząc, że zbiry idą go uwięzić.

V

Papież przekonał się, że go okradają, że otoczony jest fałszerzami, więc postanowił przypuścić znowu donnę Olimpję do łask, jako swego anioła stróża. Kardynał Chigi starał się przekonać Innocentego, że powrót Maidalchini do Watykanu najgorsze w całym chrześcijańskim świecie zrobi wrażenie, ale stary papież nie miał już ani siły, ani odwagi, aby żyć bez swojej przyjaciółki. Wszystkie bramy i furtki Watykanu zostały więc ponownie otwarte dla donny Olimpji, a na znak pojednania przybył papież na wielki obiad w pałacu Pamfilich, dany 25 marca 1653. We dwa miesiące później błogosławił w kaplicy watykańskiej swojej ulubionej wnuczce, dwunastoletniej Olimpuccji Giustiniani, która szła zamąż za Maffea Barberiniego, księcia na Palestrinie.

Olimpuccja, mając cztery lata, zobaczyła gołębia, lecącego nad łóżkiem Giambattisty, co wówczas uważano za przepowiednię, że kardynał zostanie papieżem. Odtąd lubił ją Innocenty X najbardziej z całej rodziny. Donna Olimpja dała wnuczce siedemdziesiąt tysięcy skudów posagu, a ojciec Giustiniani dla zaokrąglenia sumy, trzydzieści tysięcy. Cały Rzym,

jak mówi kronikarz, cieszył się z tego małżeństwa, które usuwało spory pomiędzy dwiema potężnemi rodzinami.

Jakeśmy wspomnieli, kardynał Antonio Barberini schronił się w początkach panowania Innocentego X do Francji, poczem rząd papieski wzywał go do powrotu, nakładając nań po tysiąc skudów grzywny dziennie, dopókiby do Rzymu nie przybył. Grzywna ta urosła w olbrzymią sumę, którą teraz papież, zawarłszy przymierze z Barberinimi, z ksiąg kazał wykreślić. Równocześnie przybył z Francji don Carlo Barberini, brat męża Olimpuccji, dwudziestodwuletni młodzieniaszek, a papież nazajutrz po powrocie do ojczyzny mianował go kardynałem i obydwu braciom dał stanowisko nepotów.

Ten pokój rodzinny obchodzono najrozmaitszemi uroczystościami; kardynał Pamfili i connetable Colonna dawali wielkie przyjęcia, najświetniejszy wszakże festyn urządzili Barberini w swoim pałacu. Teatr ich, przez lat szesnaście zamknięty, znowu w drugiej połowie czerwca 1653 został otwarty i znowu uświetnił go melodramat Rospigliosego: «Dal male il bene», z muzyką Antoniego Marji Abbatiniego. Melodramat już nie ściśle religijny, ale o świeckiej treści, składał się z rozmaitych miłosnych przygód, które miały przekonać widzów, że niema złego, coby na dobre nie wyszło.

Kardynał Astalli także zgromadził weselnych gości na wspaniały bankiet, lecz spotkał tam już złowrogie, triumfujące spojrzenia donny Olimpji. Odniosła ona rzeczywiście najzupełniejszy triumf. Ośmdziesięcioletni papież, schorowany, nie zdolny do dźwigania tiary, niedowierzający, bojaźliwy, obawiający się, aby go Hiszpanie nie otruli, których sobie zraził, oddał się zupełnie w ręce bratowej. Maidalchini prawie mieszkała w Watykanie, sama przyrządzała pożywienie starcowi, najczęściej bywała przytomną konferencjom, które Innocenty musiał odbywać z posłami i kardynałami, aby im wytłumaczyć ciche, astmatycznym kaszlem przerywane słowa papieża. Chciwość jej nie miała granic; nie mając już żadnych skrupułów, zabierała z Datarji, co mogła, sprzedawała, co się sprzedać dało. W Rzymie oburzano się na te rządy; jednej nocy nieznajomi ludzie powyskrobywali na niektórych gmachach publicznych imię Innocentego i tam, gdzie był napis: «Innocentius X Pontifex Maximus», można było czytać: «Olimpia primus, Pontifex maximus». Słowa te umieszczono nawet na Lateranie.

Widząc niedołężnego papieża, rodzina chciała skorzystać z ostatnich chwil jego życia, aby prócz pieniędzy otrzymać jeszcze jakie ziemie, jakie księstwa. Krewnym Innocentego żal było, że nie postępowali tak, jak nepoci Sykstusa IV, Aleksandra VI, Klemensa VII i Pawła III. Nie mogli odżałować, że Urbino, które papież po ostatnim z Roverów przyłączył do państwa papieskiego, nie dostało się któremu z nepotów; nosili się więc teraz z zamiarem skorzystania z rewolucji Masaniella w Neapolu, aby wpaść w neapolitańskie ziemie i zabrać Hiszpanom część ich posiadłości. Barberini, najbogatsi, najpotężniejsi, obowiązywali się uzbroić 12.000 ludzi na swój koszt, jeżeli im się dostanie Salerno, jako odrębne państewko. Rzecz prosta, że i Pamfili i donna Olimpja nie byliby wyszli z próżnemi rękami, gdyby ta myśl przyszła do skutku.

Kardynał Astalli udaremnił piękne zamiary. Osięgnąwszy tak niespodziewanie i tak szybko jedną z najwyższych posad w Kościele, czując się bogatym i potężnym, chciał się wznieść jeszcze wyżej i po śmierci Innocentego, z pomocą Hiszpanów, zasiąść na Stolicy Apostolskiej, a przynajmniej, jeżeli ten wielki zamiar się nie uda, zemścić się na donnie Olimpji, która go swoją nienawiścią prześladowała. Ale zręczna Maidalchini spostrzegła, że Astalli coś knuje, i miała się na baczności, zwłaszcza że niedawno Hiszpanie powierzyli mu protektorat Sycylji.

Ulubieńcem donny Olimpji i papieża był od niejakiegoś czasu sekretarz brewów, człowiek zręczny i tak znakomity stylista, że papież tylko jemu powierzał układanie pism do monarchów i wysokich dostojników. Nazywał się Decio Azzolino i pochodził z szlacheckiej rodziny w Fermo. Swej giętkości i temu, że jego bliski krewny tego samego nazwiska był kardynałem za Sykstusa V, zawdzięczał początki duchownej karjery. Ukończywszy nauki w Fermo, przybył do Rzymu z listem polecającym do kardynała Franciszka Barberiniego. Kardynał zajął się młodzieńcem, przydzielił go do służby Pancirolego, z którym Azzolino pojechał w legacji do Hiszpanji. Panciroli polubił sekretarza, wysoko cenił jego zdolności, tak,

że po śmierci Urbana VIII przyjął go jako swego konklawistę, a następnie, za rządów Innocentego X, umieścił w sekretarjacie stanu. Na tem stanowisku umiał się Azzolino przybodobać i papieżowi i donnie Olimpji, po śmierci Pancirolego zastępował sekretarza stanu. Oprócz układania «bull» zasłynął Azzolino ze swych miłosnych stosunków, które jak później zobaczymy, niemało się przyczyniły do jego rozgłosu.

Azzolinowi polecił papież śledzić Astallego, a osobliwie uważać, czy kardynał nepot nie ma jakich stosunków z Hiszpanją. Azzolino nie spuszczał odtąd z oka swego przełożonego i wkrótce zauważył, że Astalli wykradał się, przebrany, po północy, bocznemi schodami z pałacu na Montecavallo, gdzie i papież wówczas mieszkał, szedł w boczną uliczkę i wsiadał do najętej karocy, która go wiozła do ambasadora hiszpańskiego. Tam bawił ze dwie do trzech godzin i w ten sam sposób, jak wyszedł, wracał do papieskiego pałacu. Gdy doniesienia Azzolina, że kardynał w nocy z pałacu wychodzi, okazały się prawdziwemi, papież, do najwyższego stopnia rozgniewany, kazał natychmiast, trzeciego lutego 1654, wyprowadzić się Astallemu z pałacu, wyjechać do zamku Sambuci, będącego własnością kardynała, i zabronił mu odtąd używać nazwiska Pamfili. Kardynałowie Barberini i Chigi wstawiali się za Astallim, utrzymywali, że jego nocne wycieczki były tylko wynikiem młodzieńczej swawoli; ale papież, za którym stała mściwa donna Olimpja, nie dał się ubłagać. Astalli równie szybko upadł, jak szybko wyszedł w górę, Azzolino natomiast pozyskał kapelusz kardynalski. Dziwne losy ulubieńców fortuny.

Powiadają, że umierający Innocenty kazał przesłać Astallemu breve z przebaczeniem; lecz kardynał pisma tego nie przyjął, oświadczając, że mu się należy nietylko przebaczenie, ale i zwrot wszystkich dochodów, jakie poprzednio pobierał.

Zaraz po śmierci papieża udał się Astalli do Rzymu, gdzie na dowód, że niesprawiedliwie został ukarany, odwiedzili go ambasador toskański i książę Ludovisi, a kardynał Maidalchini, chcąc dokuczyć swojej ciotce, donnie Olimpji, ofiarował mu roczną pensję tysiąca pięćciuset skudów ze swo-

ich własnych dochodów. Na pogrzeb Innocentego przywdział Astalli haftowane, nie żałobne rocchetto, i nie wziął udziału w nabożeństwie przy ciele papieża. Później Filip IV hiszpański obsypywał go rozmaitemi zaszczytami, a papież zamianował protektorem królestwa Neapolu i Sycylji, tudzież biskupem Katanji, gdzie Astalli umarł 21 grudnia 1662.

VI

Ośmdziesięcioletni Innocenty coraz bardziej zbliżał się do kresu swego życia. Olimpja nie odstępowała go w obawie, aby ktokolwiek inny nie uzyskał wpływu, aby niedołężny starzec nie poczynił jakich rozporządzeń, dla niej niekorzystnych; chciała zabrać wszystko. Na najbliższych krewnych wygadywała, drażniła papieża, mówiła, że cała rodzina czyha tylko na jego śmierć. Raz zapytał Innocenty siedmioletniego Giambattistę, syna don Kamilla, czy widział, jak daleko postąpiła budowa kościoła świętej Agnieszki. Na co chłopak odpowiedział, że widział; ale jeżeli robót nie przyśpieszą, to papież nie dożyje ich ukończenia. «Kto ci to powiedział?» wtrącił rozgniewany starzec. Chłopak się zmieszał i zamilkł. Wtedy Innocenty zaprowadził go do drugiego pokoju, zaczął głaskać i obiecywać, że mu da ładne zabawki, jeżeli wymieni owego winowajcę. Gdy jednak Giambattista trwał w swem milczeniu, zniecierpliwiony starzec uderzył go w twarz i przez trzy miesiące nie chciał widzieć chłopaka, ojcu zaś, don Kamillowi, odebrał najwyższe dowództwo armji papieskiej i wydał rozkaz, aby go nie wpuszczano do pałacu. Księcia Ludovisi także odsunął od generalatu galer papieskich, posądzając go o niewdzięczność. Jedyna suor Agata była w łaskach u brata i za jej wstawieniem się papież przywrócił tak Kamillowi, jak i księciu Ludovisi, ich urzędy.

Największy był czas, aby niedołężny starzec umarł dla dobra Kościoła i rzymskiej ludności. To też gdy we wrześniu r. 1654 rozeszła się wieść po mieście, że papież ma już tylko kilka godzin życia, radość zapanowała w całem mieście; tłum uliczny, wyjąc, złorzecząc, rzucił się na pałac Pamfilich w za-

miarze rabunku; ale donna Olimpja rozdała pomiędzy oblegających czemprędzej kilkaset skudów i niebezpieczeństwo zostało narazie zażegnane, zwłaszcza, że wkrótce przekonano się, iż Innocenty żyje. Widziano lektykę, w której go niesiono z Watykanu do pałacu Pamfilich. Co więcej, papież okazał się jeszcze bardzo hojny, ale tylko dla donny Olimpji; gdy jej bowiem skradziono jakieś kosztowności, kazał ukochanej bratowej wypłacić trzydzieści tysięcy skudów na pokrycie straty.

Czternastego grudnia 1654 zaniesiono papieża po raz ostatni w lektyce do ogrodu donny Olimpji na Trastevere, gdyż odtąd już nie opuszczał pałacu. Tracił pamięć, Maidalchini nie pozwalała się nikomu zbliżać do chorego; książę Kamillo przeniósł się do Watykanu i w zastępstwie papieża przyjmował ambasadorów, a wszystkie panie z bliskiej rodziny: Giustiniani, Ludovisi, księżna Rossano, gospodarowały po watykańskich salonach tak, że Pasquino drwił z tych kobiecych narad i sejmów. Maidalchini, czując, że się kończy jej panowanie, wynosiła z Watykanu, co mogła; późno wieczór, gdy papież zasnął, zamykała go na klucz w sypialni, aby ktoś obcy nie zabrał reszty pieniędzy, leżących w kasach pod łóżkiem, i wracała w lektyce do domu. Służba, nosząca lektykę, zauważyła, że księżna codziennie jest cięższą; tak się obładowywała złotem i kosztownościami. W ostatnich chwilach swych rządów sprzedawała beneficja, mianowała prałatów na tak wielkie rozmiary, iż obliczono, że w dziesięciu dniach zarobiła pół miljona skudów.

Wreszcie było kardynałom za dużo tych nadużyć, więc Chigi i Azzolino oświadczyli donnie Olimpji, że koniecznie trzeba papieżowi dać do zrozumienia, że życie jego zbliża się do kresu; jenerał zaś jezuitów, ojciec Oliva, zdobył się na odwagę i zakazał Maidalchini wstępu do pokoju umierającego papieża. Innocenty był przytomny prawie do ostatniej chwili, wyspowiadał się u ojca Olivy, zapisał mu trzy tysiące skudów, dał jakieś wynagrodzenie doktorowi, który go leczył proszkiem z koralów, a co najważniejsze, chciał jeszcze na łożu śmierci zamianować małego Giambattistę, może w nagrodę za policzek, kardynałem. Temu się jednak sprzeciwili

otaczający go dygnitarze, przedstawiając umierającemu, że nie było przykładu, aby godność tę nadano siedmioletniemu dzieciakowi.

Papież umarł 7 stycznia 1655 w Kwirynale, przeżywszy lat przeszło ośmdziesiąt. Słynny jezuita, Sforza Pallavicini, sprawiedliwie ocenia Innocentego X w swym «Żywocie Aleksandra VII»; pisze, że się tego papieża dość obawiano, ale że nie miał miłości ludzkiej, nie można mu zaprzeczyć pewnej sławy ze względu na powodzenie, jakiem się cieszył w sprawach zagranicznych Kościoła, natomiast był osławiony i nieszczęśliwy (inglorioso e miserabile) wskutek ciągłych tragedyj i komedyj domowych.

Co się działo po śmierci Innocentego X, wstręt opowiadać; nawet z ciałem Aleksandra VI Borgji lepiej się obchodzono, aniżeli ze zwłokami Pamfilego.

Donna Olimpja czekała tylko na ostatnie tchnienie papieża, aby wpaść do sypialnego pokoju, wyciągnąć z pod łóżka dwie skrzynki, pełne złota, i z pomocą swej służby wynieść je z Kwirynału, zanim się ktokolwiek spostrzeże. Gdy przysłano do niej, aby się przyczyniła do kosztów pogrzebu, odpowiedziała, że uboga wdowa nie może przecież sprawiać żałobnej uroczystości wielkiemu papieżowi. Z rodziny nikt nie przyszedł, może z nienawiści ku zmarłemu, może z obawy, aby nie potrzeba płacić za trumnę. Ciało leżało przykryte jakąś grubą kołdrą, a przy nim postawiono stary, cynowy świecznik, gdyż innego nie było. Donna Olimpja wcześnie postarała się o to, aby srebrne kandelabry znalazły się w jej pałacu. Wyniosła wszystko, naczynie stołowe, szafy, krzesła, nawet bieliznę, zostawiając starcowi tylko jedną koszulę i kołdrę.

Wieczorem, w dzień śmierci kazał gubernator Rzymu, monsignor Ariberti, przenieść ciało do św. Piotra. Na czele smutnego pochodu jechała gwardja konna i artylerja z dwiema armatami, następnie szła służba z zapalonemi świecami w ręku, a za nią niesiono papieża, przykrytego tak krótką

kołdrą, że nogi z pod niej wystawały. Penitencjarze od św. Piotra otaczali mary, odmawiając półgłosem modlitwy, a kondukt zamykał oddział konnicy i trzy armaty. Podczas pochodu zerwała się burza z grzmotami i błyskawicami, lał deszcz gwałtowny, ale biograf papieża, cavalier Antonio Bagatta, zapewnia, że na ciało zmarłego, w cudowny sposób, ani jedna kropla deszczu nie spadła.

Przez trzy dni było ciało wystawione w kościele św. Piotra, lecz nikt nie myślał o zamówieniu trumny i o pochowaniu zmarłego. Rodzina znikła, nie troszczyła się o pogrzeb, obawiając się kosztów, kardynałowie także nic nie rozporządzali. Trzeciego dnia trzeba było ciało usunąć z kościoła, a ponieważ kanonicy u św. Piotra nie odstąpili na pomieszczenie go swojej kaplicy, więc służba zaniosła zwłoki do izdebki, gdzie murarze składali swoje narzędzia, cegły i wapno. Jeden z robotników zapalił świeczkę przy głowie zmarłego, inny z własnej woli pilnował ciała w nocy, aby go szczury nie nadgryzły. Wreszcie jakiś monsignor zlitował się i kazał zrobić trumnę ze zwykłego drzewa, w jakiej się chowało ubogich ludzi, a inny duchowny, Segni, kanonik u św. Piotra, dał pięć skudów, aby pogrzebać papieża. Ten monsignor najmniej miał obowiązku do wdzięczności wobec zmarłego, gdyż Innocenty odebrał mu urząd maggiordoma i wypędził z pałacu, jakgdyby był sprzeniewiercą.

To wstrętne, nieludzkie postępowanie rodziny zmarłego wywołało w całej ludności Rzymu nadzwyczajne oburzenie; opowiadano sobie trochę przesadne wieści, że donna Olimpja pożyczyła ze skarbu kościelnego ośm miljonów skudów, oprócz sześciu kroć stu tysięcy, które w tajemnicy zabrała z kas papieskich. Ażeby ułagodzić cokolwiek te szemrania, postanowił Kamillo Pamfili wystawić pomnik Innocentemu w Sant'Agnese i polecił Giambattiście Mainiemu zrobić plan odpowiedni. Rzecz się jednak przeciągała i dopiero syn Kamilla, Giambattista, ten sam, który jako mały chłopak dostał policzek od Innocentego, zajął się naprawdę grobowcem. Rzeźbiarz lombardzki, Ercole Ferrata, zrobił model wielkiego posągu, przedstawiającego papieża, lecz do wykonania statuy nie

przyszło, gdyż byłaby za dużo kosztowała. Skończyło się na bardzo skromnym pomniku, przyczepionym u bramy przy wejściu bogatej świątyni.

VII

Po śmierci Innocentego zaczęła donna Olimpja z całą właściwą sobie energją i zręcznością czynić starania, aby z conclave wyszedł papież, sprzyjający Pamfilim. Wspólne interesa łączyły z nią trzech kardynałów Barberinich, Azzoliniego, Cherubiniego i Gualtierego. W porozumieniu z najzdolniejszym z tych przyjaciół, kardynałem Azzolinim, założyła rodzaj spółki kardynalskiej z zamiarem niedopuszczenia żadnego kandydata na stolicę Apostolską, któryby był nieprzychylny Pamfilim. To przyjacielskie stowarzyszenie, zwane «squadrone volante», nie przeprowadziło wprawdzie tym razem swego kandydata, ale odgrywało ważną rolę nawet w późniejszych wyborach papieży. Donna Olimpja poniosła w czasie conclave strategiczną klęskę. Konklawista kardynała Gualtierego, Francesco Ravizza, posyłał jej tajemniczą drogą listy, w których ją uwiadamiał o przebiegu intryg. Niedozwolona korespondencja została odkryta i przyjaciela donny Olimpji osadzono w zamku św. Anioła.

Po trzech miesiącach jednogłośnie został wybrany papieżem kardynał Fabio Chigi, który z wielką zręcznością ukrywał swą nieprzyjaźń do Pamfilich. Chigi przyjął imię Aleksandra VII, a cały Rzym, gnębiony przez tyle lat niesprawiedliwością rządów Innocentego i chciwością donny Olimpji, przyjął ten wybór oznakami wielkiej radości.

Don Camillo Pamfili poszedł złożyć papieżowi życzenia całej rodziny. Aleksander przyjął go z pozorną uprzejmością; gdy jednak donna Olimpja wysłała kardynała Azzolina, aby się zręcznie dowiedzieć o zamiarach papieża wobec niej i całej rodziny Pamfilich, Aleksander bardzo był w sobie zamknięty i kardynał nie mógł przynieść Maidalchini żadnej pocieszającej wiadomości. Donna Olimpja mogła jednak wkrótce spostrzec nieprzyjazne dla niej usposobienie, panujące u góry,

gdyż papież pozwolił przekupniom, których Maidalchini kazała dawniej usunąć z piazza Navona, znowu się tam rozgościć. Donnę Olimpję gniewało to, że ma targ przed swym pałacem.

Tymczasem kazał papież pocichu badać rachunki Datarji i wogóle zbierał dokumenty, któreby dowodziły nadużyć donny Olimpji i wykazywały źródła, z których olbrzymio powiększyła swój majątek. Zaniepokojona donna milczeniem Aleksandra, wyszukała pomiędzy swą grabieżą dwie wspaniałe wazy i posłała je papieżowi z prośbą, aby pozwolił nogi sobie ucałować. Papież podarunku nie przyjął i kazał krótko odpowiedzieć, że Watykan nie jest miejscem odpowiedniem dla kobiet, a co gorsza, przysłał urzędnika Kurji z rozkazem, aby Olimpja w przeciągu tygodnia Rzym opuściła i udała się do Orvieto, skąd nie wolno się jej będzie oddalać bez osobnego pozwolenia. Maidalchini posłała natychmiast kardynała Barberiniego, aby błagał papieża o łaskawsze obchodzenie się z nią; ale wszelkie przedstawienia były daremne, papież odpowiedział, że z pewnością będzie miał więcej względów dla donny Olimpji, aniżeli ona ich miała wobec domu Barberinich. «Myśmy jej już dawno przebaczyli», odrzekł kardynał. «Na waszą korzyść», dodał papież, «dla nas przyniosłoby to przebaczenie za wiele szkody».

Nie było rady; Maidalchini zamieszkała w Orvieto, następnie w Viterbo, skąd uciekła w r. 1657 z powodu morowej zarazy do swego zamku w San Martino. Zdaje się, że przyjechała już chora, gdyż tam wkrótce umarła 26 września 1657, w sześćdziesiątym trzecim roku życia. Umarła, podobnie jak Innocenty X, samotna, opuszczona przez wszystkich, służba bała się do niej zbliżyć, z obawy przed morowem powietrzem. W testamencie mianowała syna, don Kamilla, głównym dziedzicem, ufundowała dwa tysiące mszy na zbawienie swej duszy i wyznaczyła kilka legatów. Za życia jeszcze donny Olimpji kazał Aleksander VII wytoczyć jej proces o sprzedawanie beneficjów kościelnych i sprzeniewierzenie znacznych sum na szkodę skarbu papieskiego. Zaczęto przesłuchiwać świadków, spisywać protokoły, lecz straszny pomór w Rzymie przerwał wszystkie urzędowe czynności, a gdy trwoga minęła, papież

się rozmyślił i proces umorzono. Złośliwy Leti utrzymuje, że rodzina Pamfilich ofiarowała za zaniechanie sprawy miljon skudów, które Aleksander VII przyjął; ale Leti puścił niejedną bajkę, więc i tę wiadomość trzeba zapewne między plotki policzyć.

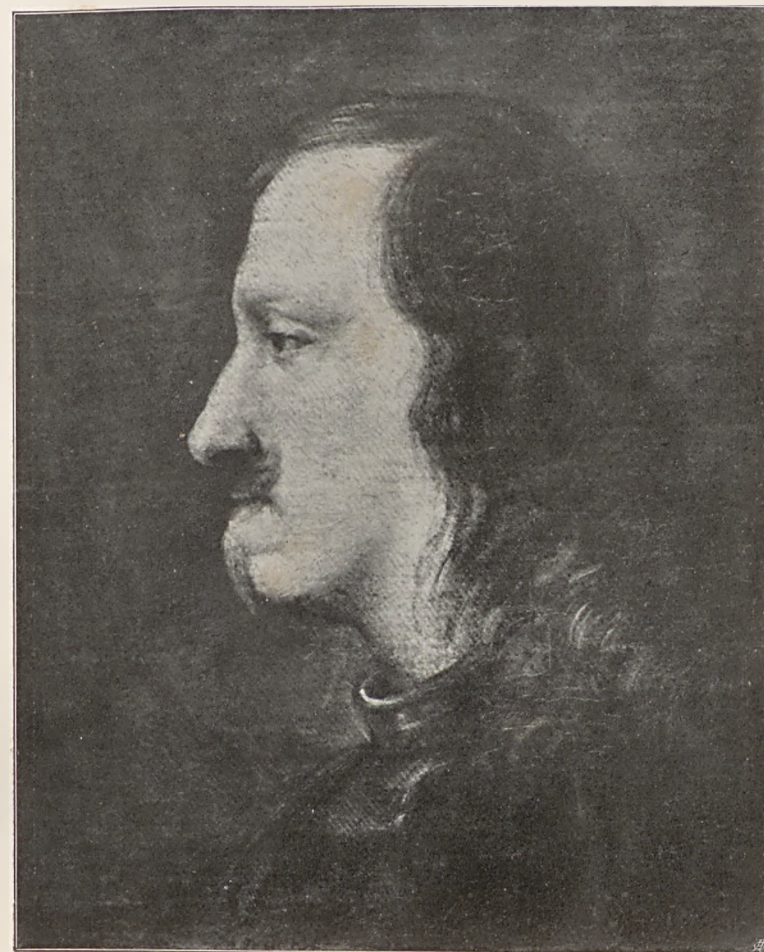
Według wszelkiego podobieństwa do prawdy Aleksander VII przyszedł do przekonania, że gdyby po śmierci każdego papieża chciano odbierać majątki nepotom, toby połowę Rzymu trzeba sprzedać na korzyść skarbu papieskiego. Zresztą Aleksander nie był już kardynałem Chigim, który wpatrywał się w trupią główkę na srebrnym półmisku; papieżowi tak samo, jak poprzednikom, chodziło o wyniesienie swojej rodziny, a za jego panowania nepotyzm kwitnął, podobnie jak za dawnych czasów. Ulubiony nepot Aleksandra gorszył cały Rzym swym zbytkiem, ród Chigich, który w pierwszej połowie XVII wieku należał do uboższych, doszedł za panowania swego papieża do olbrzymich bogactw.

Co pozostało po Pamfilich? — to, co zbudowali, co włożyli w dzieła sztuki ze swoich skarbów. Do dziś dnia jeszcze park za bramą św. Pankracego, z willą wspaniałą w głębi stanowi jedną z osobliwości rzymskich. Słusznie nazywano pyszną zieleń, owe czarujące skupiny dębów, planatów, wawrzynów »Bel respiro»; tam zachowało się wszystko, co w duszach Innocentego X i jego nepotów było najpiękniejszego, tam złożyła donna Olimpja swoje ideały, boć i w tej twardej, chciwej kobiecie zadrgało w pewnych chwilach uczucie piękna. Rysunek do ogrodów i wodotrysków willi Pamfilich dał słynny Francuz Le Nôtre, ogrodnik Ludwika XIV, plan pałacu jest dziełem Algardego; przypuszczają wszakże, że architekt naśladował jakiś plan Palladia i że użył także rysunków, pozostałych po Rafaelu i Giuliu Romanie. Za czasów świetności Pamfilich był pałac ozdobiony mnóstwem obrazów, marmurów; tam stało popiersie Innocentego X z porfiru i bronzu, tudzież popiersie Pamfila i donny Olimpji, które widział jeszcze francuski podróżnik La Lande w latach 1765

i 1766. Później większą część tych skarbów przeniesiono do pałacu Doriów, na Corso, gdy Pamfili połączyli się z genueńską rodziną. W galerji tej, tuż przy wejściu, stoi do dziś dnia popiersie Olimpji, z białego marmuru, mistrzowskiego dłuta, przedstawiające tę straszną w swoim czasie kobietę w malowniczym czepcu franciszkańskiej tercjarki. Skrzydła tego czepca, dużym kręgiem okalające silną, prawie męską głowę, wyborne stanowią tło dla twarzy, pełnej energji i stanowczości. Utrzymuje się tradycja, że to mnisze okrycie wymyśliła sama donna Olimpja, coby świadczyło o jej artystycznym smaku. Algardi był ulubionym mistrzem Pamfilich; w willi znajdowały się biusty Kamilla i księżny Rossano jego dłuta. Bardziej nieprzyjemny wyraz twarzy, aniżeli na popiersiu Algardego, ale może więcej zbliżony do prawdy, ma donna Olimpja na portrecie, znajdującym się dotąd w prywatnych salonach księcia Doria-Pamfili w Rzymie, gdzie jest przedstawiona z anielskiej piękności swoją wnuczką, Olimpuccią.

Ogrody Pamfilich, chociaż dopiero półtrzecia wieku istnieją, owiane są pewną mgłą mityczną. Ponad drzewami Le Notra ukazał się w nocy przed śmiercią Innocentego ognisty jeździec, który z szaloną szybkością pędził ku Kampanji. Syn ogrodnika tak się przestraszył tego zjawiska, że ciężko zachorował. Wogóle Innocenty X nie pozostawił łagodnych wspomnień w wyobraźni rzymskiego ludu. Bardziej tkliwi członkowie rodziny musieli mieć także pewne wyrzuty z powodu pochodzena swej fortuny. Syn Kamilla, Giambattista, chciał za młodu wstąpić do zakonu jezuitów, był bardzo religijny, a w rodzinnej willi raziły go tak dalece nagie, marmurowe postacie, że kazał wstydliwe części niewinnych kamieni pozalepiać gipsem. Nawet marmurowe dzieciaki musiały się poddać wymaganiom tej gipsowej moralności, tylko jakiś mały Bachus przypadkowo zachował swe naturalne kształty. Natomiast Giambattista zemścił się na Wenerze Caraccia, jednym z najcelniejszych obrazów mistrza, i odział ją w malowaną koszulę, która od stóp do głów zakrywała jej wdzięki.

Okolica miasta Viterbo zachowała jeszcze różne pamiątki po Innocentym X i donnie Olimpji, a osobliwie willa Bagnaia, gdzie kardynał Ottavio Acquaviva umieścił słowa, godne XVII



Królewicz polski Jan Kazimierz
Według portretu w akademji San Luca w Rzymie

Do str. 313 Fot. Danesi



wieku, na uczczenie pobytu papieża. Kardynał, odnosząc napis do swego nazwiska, powiada, że woda (acqua) wre miłością ku takiemu gościowi, jak Innocenty X, tryska, szumi, szemrze, pełna pokory, chcąc obmyć święte jego stopy.

W San Martino krąży Maidalchini, jak utrzymują okoliczni wieśniacy, po nocach wokoło ruin swego ulubionego zamczyska.

VIII

Jeszcze w rok przed śmiercią Urbana VIII (1643), przybył drugiego października do Rzymu królewicz polski Jan Kazimierz, z zamiarem wstąpienia do zakonu jezuitów. Po drodze, w Loreto, przywdział suknię Towarzystwa Jezusowego, a w Rzymie zamierzał odprawić dwuletni nowicjat. Królewicz miał już trzydzieści cztery lat; obyty w świecie, dużo podróżował, następnie bawił w kraju, ale zamknięty w sobie, dumny, przytem chorowity, często apatyczny i melancholijny, więcej cudzoziemiec, niż Polak, nie miał przyjaciół. Wyglądał raczej na austrjackiego arcyksięcia, aniżeli na polskiego królewicza; wdał się zupełnie w matkę, a portret jego, znajdujący się w akademji San Lucca, w Rzymie, przez długi czas był uważany za podobiznę jednego z członków rodu Habsburgów, zwłaszcza, że duża, obwisła warga charakteryzowała długą, bladą twarz. Teodor Amayden zapisał nawet w swoim pamiętniku, że królewicz bardzo podobny do zmarłego arcyksięcia Albrechta, tylko że ma znaki ospy na twarzy.

Władysław IV nie życzył sobie, aby Jan Kazimierz wstępował do jezuitów, nie wierzył w jego powołanie do stanu duchownego i pisał nawet do kardynała Mazariniego, że brat nie ma do tego «ne inclinazione, ne il genio» i uważał cały projekt za chwilowy kaprys. Wprawdzie Jan Kazimierz mówił i pisał narazie, że jest szczęśliwym w zakonnej sukni, «że żywot, jaki sobie wybrał, chyba z jednym rajem da się porównać», ale przyszłość okazała, że król polski miał słuszność.

Władysław IV obawiał się nadto, że w razie, gdyby nie

miał legalnego potomka, a Jan Kazimierz był zakonnikiem, następstwo na tron polski byłoby narażone na niepewne losy. Król używał też wszelkich możliwych wpływów u stojącego nad grobem Urbana VIII, aby nie dopuszczono początkującego jezuity do święceń kapłańskich, zwłaszcza, że powstał zamiar ożenienia go z Krystyną szwedzką.

Po dwóch latach, już za rządów Innocentego X, sprawa stała się dla króla tem niebezpieczniejsza, że Jan Kazimierz przebył już nowicjat i miał otrzymać święcenia, a jezuici całemi siłami starali się o to, aby mieć w swoim zakonie tak znakomitą osobistość. Władysław IV nie zasypiał też sprawy, pisał do Rzymu, aby papież nie dopuścił do tej ostateczności, «gdyż złożenie tych ślubów sprzeciwia się królewskiej woli i interesom dynastji». Dyplomaci watykańscy byli narazie w kłopocie, jak pogodzić sprzeczne życzenia króla polskiego i potężnego zakonu, ale wreszcie znaleźli sposób, chwilowego przynajmniej wyjścia z trudności. Postanowili, aby papież nadał Janowi Kazimierzowi godność kardynała diakona, nie wymagającą kapłańskich święceń, wskutek czego królewicz należałby do hierarchji kościelnej, ale mimo to mógłby każdej chwili złożyć kardynalską godność i zostać królem polskim, a nawet pojąć małżonkę. Jezuici mogli mieć nadzieję, że Jan Kazimierz przecież zostanie zczasem członkiem ich zgromadzenia, a król spodziewał się, że będzie miał następcę.

Na tajnym więc konsystorzu, 28 maja 1646 mianował Innocenty X Jana Kazimierza kardynałem równocześnie z Maidalchinim, który później został protektorem Polski.

Opuściwszy zakon, przeniósł się królewicz kardynał do Frascati, gdzie już poprzednio przepędzał letnie miesiące. Wynajął mieszkanie w pałacu Boncompagni, w tak zwanej willi Sora, oczekując załatwienia formalności, połączonych z nadaniem kardynalskiej godności. Tymczasem powstał jednak spór pomiędzy Janem Kazimierzem a innymi kardynałami, jak zwykle w XVII wieku, o tytuł. Kardynałowie, nie pochodzący z królewskich lub wogóle panujących rodzin, używali tytułu «eminencji», Jan Kazimierz utrzymywał wszakże, że jemu, jako «Wazie», należy się tytuł «królewskiej Wysokości», «altezza reale», w czem go popierał Władysław IV. Konflikt ten

załagodzono narazie w dość zabawny sposób; Innocenty X dał wprawdzie czerwony beret królewiczowi, lecz na zupełnie prywatnem posłuchaniu, bez zwykłego ceremonjału, połączonego z aktem mianowania kardynała. Jan Kazimierz nie spotkał przy tej sposobności żadnego z purpuratów, aby nie potrzeba było wymówić tego «niebezpiecznego» tytułu «altezza reale».

Po audjencji miał królewicz pojechać do donny Olimpji; odwiedzinom tym nic nie przeszkadzało, gdyż bratowa papieska mogła go tytułować, jak jej się podobało, Jan Kazimierz, urażony jednak sposobem, w jaki mu udzielono kardynalskiej godności, nie zatrzymywał się więcej w mieście, lecz wrócił do Frascati i postanowił opuścić Włochy. Poprosił więc o pożegnalne posłuchanie u papieża, nie chciał się wszakże widzieć z żadnym kardynałem, oświadczając, «że w gębę da każdemu, ktoby go inaczej tytułował jak altezzą, choćby nawet było w papieskiej antykamerze». Nikt też z dostojników Kościoła nie wyszedł do niego w Watykanie; po audjencji wsiadł królewicz do lektyki, zasunął firanki i powrócił do Frascati, skąd wyjechał do Polski.

W Warszawie przybrał Jan Kazimierz strój świecki, w katedrze św. Jana ukazał się ze szpadą u boku, chciał nawet odesłać beret kardynalski do Rzymu i zaledwie go król powstrzymał od tego kroku. Zapomniał zupełnie o powołaniu zakonnem, nosił się z myślą wstąpienia do wojska Ludwika XIV i miał zamiar pojęcia małżonki. Rozmaite projekty w tej mierze nie doprowadziły wszakże do celu, królewicz był ciągle tytularnym kardynałem i dopiero po śmierci jedynego legalnego syna Władysława IV, ośmioletniego Zygmunta Kazimierza, odesłał papieżowi ów beret, który mu tak zawadzał, gdyż otwierały się dlań widoki następstwa tronu.

Jak wiadomo, Jan Kazimierz poprowadził po śmierci Władysława IV królewską wdowę, Marję Ludwikę do ołtarza, otrzymawszy poprzednio, w r. 1649, potrzebne pozwolenie od papieża.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

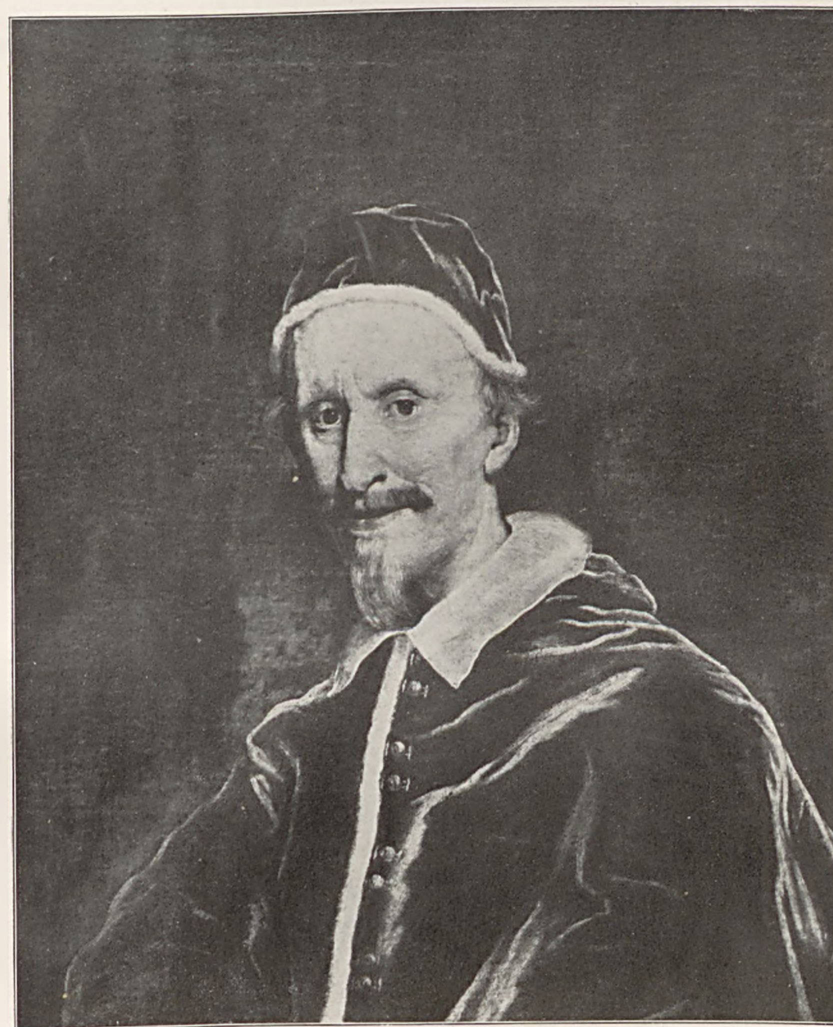
RZYM ZA KLEMENSA IX

I

«Aliis, non sibi Clemens». «Dla innych, ale nie dla siebie pobłażliwy». Taką dewizę przybrał papież Klemens IX Giulio Rospigliosi i rzec można, że odpowiadała ona najzupełniej usposobieniu tego, sercem i rozumem, znakomitego człowieka. Był on jedną z najszlachetniejszych osobistości, jakie w XVII wieku zasiadały na Stolicy Apostolskiej i szkoda tylko, że panowanie Klemensa trwało krótko, tylko dwa lata, od r. 1667 do r. 1669.

Gdziekolwiek Rospigliosi bywał, czy w Hiszpanji jako legat papieski, czy we Francji, wszędzie pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienie. Temu też w części zawdzięczał papieską tiarę, chociaż bowiem był kandydatem «di escadrone volante», potężnej grupy kardynałów i miał za sobą Francuzów, przecież i Hiszpanie nie sprzeciwiali się jego wyborowi, znając sprawiedliwość i prawy umysł Rospigliosego. Aleksander VII mianował go kardynałem i szczerze polubił, że zaś sam miał literackie skłonności, więc prawie codziennie wieczorem zapraszał Giulia do siebie, aby z nim rozprawiać nietylko o sprawach Kościoła, ale i o poezji.

Gdy Giulio został papieżem, cieszył się nawet złośliwy Pasquino i napisał oktawę, jaką chyba poprzednio nie witał



Klemens IX
Według portretu w akademji San Luca w Rzymie

Do str. 317 Fot. Danesi



żadnego panującego. Wychwalał prawość Rospigliosego i przepowiadał, że jego panowanie będzie złotym wiekiem dla chrześcijańskich ludów.

Havra il mondo di pace ancor tesoro,
Godra il popol di Christo un secol d'oro.

Niestety, Giulio, wstąpiwszy na tron papieski, niedomagał już na zdrowiu i nie miał sił do energicznej pracy, choć reformy były bardzo potrzebne. Finanse Kurji znajdowały się w najgorszym stanie, a sprzedawanie urzędów napełniło cały Watykan ludźmi miernych zdolności.

Jeżeli jednak Klemens nie potrafił usunąć tych błędów dotychczasowej administracji, to z drugiej strony największe przyniósł papiestwu moralne i materjalne korzyści, wykluczając nepotów od rządów i nie wzbogacając ich na koszt państwa i Kościoła. Klemens IX zadał taki cios całej «instytucji» nepotyzmu, że od jego czasów nepotyzm nie zdołał się już podnieść do tej potęgi, jaką cieszył się dotąd. To była wielka, niespożyta zasługa, tem większa, że jego poprzednik Aleksander nie miał siły, aby się oprzeć zakorzenionym w tej mierze zwyczajom, i obsypywał swą rodzinę bogactwami.

Klemens IX stanowi epokę w dziejach rzymskiej hierarchji, i rzec można, że od krótkich jego rządów rozpoczyna się odrodzenie papiestwa. Nepotyzm Aleksandra VII dał się tak we znaki całemu Rzymowi i kardynałom św. Kollegjum, że powszechna opinja pragnęła radykalnej w tej mierze zmiany. Klemens nie zawiódł tych oczekiwań, zachował wielką miarę w swem postępowaniu wobec krewnych; bardzo do rodziny przywiązany, nie usunął jej ze swego otoczenia, ale też i nie wzbogacał na niekorzyść Kościoła. Ród Rospigliosich podniósł się wtedy majątkowo, lecz nie z pomocą papieża, tylko wskutek ożenienia się jednego z synowców Klemensa z bardzo bogatą dziedziczką Pallavicinich z Genui. Papież zamianował wprawdzie innego synowca, Jakóba, kardynałem w r. 1667, ale Jacopo był już wtedy bardzo zasłużonym dygnitarzem i także pod innym papieżem nie byłaby go ominęła ta godność.

W Pistoi jednak, w rodzinnem mieście papieża, i w całej Toskanji nastąpiło pewne rozczarowanie. Niektóre rody,

spokrewnione z Rospigliosimi, zaczęły prowadzić życie bardzo wystawne, licząc na zyski, które im przyniesie papiestwo; gdy nadzieje nie dopisały, porównywali zawiedzeni w swoich rachubach nepoci Klemensa z pięknem drzewem, co wprawdzie okrywa się liściem i kwieciem, ale nie rodzi owoców. Tak samo kardynałowie, należący do grupy, z której Rospigliosi wyszedł, tak zwani «squadroniści», przyczyniwszy się w znacznej części do jego wyboru, doznali bardzo przykrego zawodu, spodziewali się bowiem rządzić papieżem i odnosić wielkie materjalne korzyści. Gdy jednak papież nie dał im się opanować i swym spokojem i miarą w postępowaniu trzymał ich na wodzy, utworzyli przeciw niemu formalną opozycję. Watykan podzielił się na dwa bardzo nieprzyjazne sobie stronnictwa; z jednej strony stali Skwadroniści, do których należeli kardynałowie Azzolino, Borromeo, Omadei, Ottobono i Imperiali, z drugiej związali się ze sobą Chigi, Barberini i Rospigliosi, którzy przewidując, że Klemens długo nie pożyje, najprzód już przygotowali wybór kardynała Altierego na przyszłego papieża. Przeciwieństwo znać było także i w towarzyskich stosunkach, a królowa szwedzka Krystyna, o której niebawem mówić będziemy, związana ścisłą przyjaźnią z Azzolinem i całem stronnictwem Skwadronistów, niemało się przyczyniła swemi intrygami do zaostrzenia wzajemnych niechęci pomiędzy kardynałami.

Dwa lata panowania Klemensa były niesłychanie ważną chwilą w polityce zagranicznej papiestwa. Wenecja wysilała się, aby swe ostatnie wielkie oparcie na Wschodzie, wyspę Kretę, obronić przed tureckiem mocarstwem; papież pracował też energicznie nad skłonieniem Francji do posłania Wenecjanom posiłkowej floty. Starania te odniosły skutek pożądany, francuskie okręty, w połączeniu z małą papieską flotą, popłynęły ku Krecie, lecz niezgoda królewskich dowódców z weneckimi sprowadziła klęskę sił chrześcijańskich.

Począwszy od pierwszego kwietnia 1669, dzwony wszystkich kościołów Rzymu biły z rozkazu papieża, aby głos ich szedł pod niebiosy i wyjednał zwycięstwo połączonym flotom. Dwudziestego dziewiątego października dzwony umilkły,



Scena uliczna w Rzymie
Według rysunku Stefana della Belli w Albertynie w Wiedniu

Do str. 319

bo kurjer, przybyły z Otrantu, przywiózł przerażającą wieść o klęsce. Wyspa była już w posiadaniu Turków.

Wiadomości ze Wschodu powaliły papieża; słabego zdrowia, nie miał dość siły odpornej, aby przeżyć ten cios, zadany chrześcijańskiemu światu. Dostał ataku apoplektycznego, chorował jeszcze dwa miesiące i dziewiętnastego grudnia 1669 umarł. Na kilka dni przed śmiercią pożegnał się z przyjaciółmi, a pomiędzy innymi i Krystynę szwedzką kazał sobie zaprosić i tak ją serdecznie pobłogosławił, że królowa się rozpłakała.

W Rzymie powszechnie przypisywano śmierć papieża klęsce pod Kretą, a świadczy o tem dystych, który sobie podawano z ust do ust:

Qui tumulum cernis, discas, quod iacet in urna
Clemens; pro Creta vertitur in cinerem [1]).

II

Za Aleksandra VII i Klemensa IX ukształtował się ostatecznie, co do zewnętrznej formy, ów barokowy Rzym, który prawie aż po wiek dziewiętnasty nosił swe charakterystyczne, niezmienione piętno.

Począwszy od Sykstusa V, prawie wszyscy bardziej wybitni papieże byli namiętnymi budownikami, postawili mnóstwo kościołów, pałaców, potworzyli nowe ulice, i niestety, poburzyli wiele cennych zabytków przeszłości. Sykstus V, oprócz swych obelisków wzniósł kopułę bazyliki św. Piotra i kaplicę w Santa Maria Maggiore, sprowadził wodę z Bracciano, wybudował most swego imienia. Paweł V chciał prześcignąć swego poprzednika, prostował ulice, gdyż jego autokratycznemu usposobieniu sprzeciwiały się wszelkie linje krzywe i zaułki, znosił pagórki, które stały w drodze, ukończył «fabrykę» św. Piotra, burzył termy Konstantyna, które tyle wieków uszanowało, natomiast budował pałace i zakładał ogrody,

[1]) Gościu, co patrzysz na urnę, wiedz, że w niej Klemens spoczywa;
Grom co na Kretę spadł, wtrącił papieża też w grób.

które dotąd głoszą jego nazwisko. Urban VIII otaczał Watykan warowniami, umocnił zamek św. Anioła, kazał stawiać mury, ciągnące się aż poza ogród Belvedere, i wznosił olbrzymie pałace, natomiast obdzierał Panteon i o mało nie zburzył grobowca Cecylji Metelli, aby mieć materjał do upiększenia fontanny Trevi. Innocenty X przeinaczył cały plac Navona, Aleksander VII zburzył pałac Salviatich, chcąc uzyskać miejsce na Collegio Romano, porozwalał domy na placu Colonna, aby tam postawić rodzinny pałac Chigich. Za panowania Aleksandra VII powstały kolumnady na placu św. Piotra, o których jeszcze mówić będziemy.

Bogaci kardynałowie i nepoci papiescy tworzyli zbiory sztuki i bibljoteki, odznaczali się w tej mierze Borghese i Barberini. Aldobrandini po zajęciu Ferrary na rzecz państwa papieskiego przewieźli do Rzymu mnóstwo arcydzieł malarstwa i rzeźby, pozostałych po Estach. Klasztory, idąc za przykładem papieży i kardynałów, zaczęły zbierać rękopisy i cenne drukowane księgi, a w ten sposób powstawały napół publiczne bibljoteki augustjanów, jezuitów i dominikanów. Jezuita Atanazy Kirchner, profesor matematyki w Collegio Romano, zebrał mnóstwo dawnych zabytków: rzeźb i naczyń glinianych etruskich i rzymskich i dał początek muzeum przedhistorycznemu w gmachu jezuickim.

Nowych pałaców, nowych kościołów była taka ilość, że powszechnie zaczynano nazywać Rzym barokowy «Roma nuova», «Roma moderna» i wydawano całe zbiory rycin, przedstawiających te cuda ówczesnej architektury. Wydawcy chcieli się przypodobać panującym papieżom, osobliwie Aleksandrowi VII i Klemensowi IX, poświęcając im te księgi i łącząc ich nazwiska z powstaniem «nowego» Rzymu.

W nowych gmachach mieszkały rody, które się w ostatnich latach wzbogaciły, za Klemensa IX błyszczały już wszystkie głośniejsze: Borghese i Barberini, Massimi i Strozzi, Mattei i Ludovisi, Pamfili i Chigi, i wiele innych, które ożywiały towarzystwo, urządzały teatry, wydawały bale, olśniewały pospólstwo swojemi złocistemi karocami i pióropuszami na łbach końskich i na głowach służby. Do tych rodów przybywali teraz Rospigliosi, ludzie spokojni, ale zamiłowani w przedstawieniach teatralnych, bo przecież sam papież był dramatycznym poetą. O bracie papieża, Don Camillu, powiedział poseł wenecki, że gdyby to było w zwyczaju, powinnoby go się kanonizować za życia. Ten «święty» miał pięciu synów, pomiędzy którymi zdolnościami i męską pięknością odznaczał się Gianbattista, «giovane di bellissimo aspetto e d'un cervello acuto e penetrante». Gianbattista, ożeniwszy się z Genuenką, Pallavicini, prowadził wielki dom i mieszkał w pałacu Ludovisich, na Corso. Otwarcie salonów nastąpiło w sześć miesięcy po wyborze Klemensa IX, a na uczczenie stryja grano tam, w karnawale r. 1668, jego melodramat «La comica del cielo, ovvero la Baltesara», do którego muzykę dorobił Antonio Maria Abbotini, a sam Bernini urządził scenę.

Giulio Rospigliosi, pomimo że został papieżem, zachował jeszcze w zakątku swego serca ideały dramatycznego poety i bardzo mu o to chodziło, aby przedstawienie świetnie wypadło. Mógł też być zadowolonym, bo melodramat powtórzono w owym karnawale aż siedem razy. Rospigliosi starali się, aby urządzenie przedstawienia było artystycznie doskonałe, do tego stopnia, że nawet bilety zaproszenia kazali zrobić z pięknej majoliki i wydali na ten cel trzysta skudów. Podziwiano jednak powszechnie papieża i jego rodzinę, że do kosztów przedstawienia niczem się nie przyczyniły fundusze kościelne, że wszystkie wydatki pokryli Rospigliosi z własnej kieszeni. Wydawało się to dość dziwnem, gdyż za Borghesów i Barberinich nie robiono sobie skrupułów pod tym względem i pokrywano tego rodzaju koszta z papieskiej kasy.

Przedstawienie kosztowało kilka tysięcy skudów. Po każdym akcie roznoszono «rinfreschi» i mnóstwo ciast i konfitur dla pań, kardynałów i ambasadorów. Jeden wieczór był poświęcony cudzoziemskim gościom. «Avvisi di Roma» zauważyły wszakże, że treść melodramatu nie bardzo im się podobała, «nawrócenie komedjantki» zanadto było moralne. Oltramontanie woleliby byli śliskie sceny i dowcipy, z którychby się śmiać można. Zresztą, co do treści, mieli cudzoziemcy słuszność, gdyż fabuła była nadzwyczaj marna i jako jedyną nowość podziwiano teatr w teatrze, rzecz także naśladowaną, gdyż już B. Andreini napisał w r. 1623 sztukę pod tytułem:

«Due commedie in commedia», tudzież wystawność scenicznego urządzenia, które wymyślił Bernini.

Na Rzymianki sztuka Rospigliosego większe zrobiła wrażenie, aniżeli na cudzoziemców. Jedna z nich, donna Caterina, chcąc naśladować świętą Baldasarę, uciekła z domu w męskiem przebraniu, aby zostać w górach pustelniczką i rodzice znaleźli ją dopiero gdzieś w okolicach Castelnuovo.

Byli i tacy, którzy brali za złe papieżowi, że na swem najwyższem w chrześcijaństwie stanowisku nie zapomniał o muzyce, która ostatecznie nie jest niczem innem, «jak rozkoszą dla ucha». — Nagana tem mniej zrozumiała, że równocześnie wynoszono pod niebiosa Leona X, za to, że lubił muzykę i protegował śpiewaków. Zresztą nieprzyjaciele teatrów nie mogli darować Klemensowi IX, że właściwie wskutek jego wpływu pozwolił Aleksander VII w r. 1661 na wybudowanie i otwarcie stałego teatru w Rzymie na miejscu dawnego więzienia Tor-di-Nona, nad Tybrem. Scena w tym teatrze tak była urządzona, że w razie potrzeby można było otworzyć widok na rzekę i w ten sposób powiększyć horyzont.

Wszystkie libretta do swych melodramatów napisał Rospigliosi, zanim jeszcze został papieżem, a było ich sporo. Po «Sant Alesio», o którym mówiliśmy, wystawił dramaty z muzyką: «Santa Teodora», «San Bonifazio», «Chi soffre, speri», «San Eustachio», «Il trionfo della pieta». Były to, jak już tytuły wskazują, po większej części naśladowania hiszpańskich, tak zwanych «Comedias de Santos» i widowisk teatralnych o tle religijnem, zabarwionem świeckiemi celami, w których wielką rolę grali aniołowie, szatani i rozmaite postacie alegoryczne. Wogóle Rospigliosi, będąc nuncjuszem w Madrycie, zapoznał się dokładnie z teatrem hiszpańskim, który wtedy obok angielskiego stał najwyżej w Europie, i bardzo się nim przejął. Mówiono, że Lopez de Vega dawał mu rady, i nie ulega wątpliwości, że w niejednej ze swych sztuk naśladował Calderona. W późniejszych bowiem swoich utworach porzucił Rospigliosi tematy ściśle religijne i brał znowu wzory z hiszpańskich komedyj, w których zwycięża uczucie szlachetne, wiara lub miłość w walce z niedowiarstwem lub występkiem. Włoch przejął się do tego stopnia dramatycznym duchem Hiszpanji, że nawet miejsce, gdzie się odgrywa jeden z najgłośniejszych jego dramatów «Dal male al bene», przeniósł do Madrytu.

III

Wystawne uroczystości religijne, głośne festyny, piękne pałace, ogrody, teatry, muzyka, świetne życie towarzyskie zaczęło w wieku XVII pociągać cudzoziemców do Rzymu, a opisy wiecznego miasta i pamiętniki z podróży po Włoszech coraz bardziej się mnożą. Francuzi, Niemcy, Anglicy, Polacy opisują swe wrażenia, począwszy od dziennika zgryźliwego Michała de Montaigne z lat 1580 i 1581. Do barwniejszych pamiętników należą księgi Addisona, Burneta, Lassalsa i Whelera, a przedewszystkiem Francuza de Brosses, które chociaż pisane już w początkach XVIII wieku, zawsze jeszcze i dla kultury włoskiej Seicenta wielkie mają znaczenie [1]).

Wszystkie te zapiski, nie powiem, aby dawały zupełnie wierny i dokładny obraz ówczesnego Rzymu, ale bądź co bądź bardzo się przyczyniają do uzupełnienia wyobrażeń o stolicy baroku i o barokowej publiczności rzymskiej.

Podróż do Rzymu z północy na Genuę, Parmę, Toskanję i Sjenę była wówczas dużo wygodniejsza, aniżeli wschodnią stroną półwyspu, przez Apeniny. Ubożsi podróżni jechali pocztą, co wprawdzie nie należało do wielkich przyjemności, ale ostatecznie prowadziło do celu. Taką pocztową vetturę nazywali Francuzi «une voiture létargique», a jeden z nich dowcipnie ją opisuje:

Et par deux manants houspillés
Huit vieux cheveaux estropiés
A figure mélancolique,
Qui pour squelettes employés,

[1]) Prof. Alessandro d'Ancona, w swem wydaniu dziennika Montaigna z podróży do Włoch (Citta di Castello S. Lapi, 1895) daje może najdokładniejszą bibljografję podróży cudzoziemców do Włoch, jaka dotąd istnieje. Brak tam wspomnień naszego Paca, Reszki i «Ksiąg peregrynackich» Macieja Rywockiego, które niedawno wydał prof. J. Czubek.

Au cabinet anatomique
Devraient plûtot être envoyés,
Tirent à pas multipliés
Cette voiture léthargique.

Natomiast ludzie zamożni wybierali się do Włoch własną karetą, a konie do przeprzęgania «cavalli di cambiatura» można było dostać po drodze. Karczmy jednak, «albergi», pozostawiały podróżnym straszne wspomnienia; na złe jedzenie, nieczyste pokoje i materace, pamiętające czasy Juljusza II, utyskują niemal wszyscy. Mnóstwo zajazdów należało do Niemców, ale i niemieckie osterje nie były lepsze od włoskich. Wogóle już wówczas dużo Niemców dążyło do Rzymu, nie tyle turystów, ile ludzi szukających fortuny. Ponieważ Włosi, jak wspomnieliśmy, byli w XVII wieku bardzo tkliwi na tytuły, więc większa część Niemców, chcąc być dobrze przyjętymi, przybierała tytuł baronów. Ten i ów kupczyk z Norymbergi lub z Hamburga, opowiada jeden z podróżnych, chcąc we Włoszech «robić wrażenie», «si baronizza».

Na niebezpieczeństwo na drogach w wielkiem księstwie toskańskiem nie można się było uskarżać, ale w państwie papieskiem ostrożność nie zawadziła. Potworzyły się więc bandy ludzi dobrze uzbrojonych, którzy się wynajmowali, aby podróżnych przeprowadzać przez okolice, w których się obawiano napadów bryguntów. Pomiędzy tymi stróżami bezpieczeństwa publicznego znajdowało się wielu zawodowych rozbójników, którzy uważali za korzystniejsze zajęcie opiekowanie się cudzoziemcami, aniżeli rabunek. Zdarzały się jednak wypadki, że owi opiekunowie, zmiarkowawszy, że podróżny ma znaczniejszą kwotę przy sobie, sami go ograbiali.

Podróżni, jadący do Rzymu, brali ze sobą zazwyczaj listy kredytowe do tamtejszych banków, a jak najmniej gotówki, którą zresztą zaszywali w najskrytsze części ubrania. Wydawaniem listów kredytowych trudniły się po większej części banki holenderskie, a ruch pieniężny w Rzymie był w drugiej połowie XVII wieku tak wielki, że stolica papieska należała wówczas do najpierwszych ognisk pieniężnych interesów.

Skołatany długą drogą cudzoziemiec zastawał już w Rzymie «fiakry», karety do wynajęcia. Zwyczaj utrzymywania

takich powozów przyszedł w połowie XVII wieku z Paryża, gdzie pierwszy przedsiębiorca dorożek miał swoje remizy przy rue Saint-Martin pod godłem «Saint-Fiacre». Rzymskie dorożki były zazwyczaj pozasłaniane od słońca płóciennemi firankami na sposób hiszpański.

Wszyscy podróżnicy XVII wieku na to się zgadzają, że nie było nigdzie bardziej próżniaczej ludności, jak w Rzymie. Większość niczem się nie zajmuje, mówi de Coulange; prawowity Rzymianin wstaje wprawdzie wcześnie z rana, ale idzie na przechadzkę, dopóki nie bardzo gorąco, potem odbywa drzemkę, a po obiedzie kładzie się do łóżka. Po zachodzie słońca ponownie wychodzi na spacer, wraca do domu na kolację, a w nocy, z latarką w ręku, szuka zabawy.

Główną przyjemnością Rzymian było chodzić bez celu. Osobliwie ulice zamieszkałe przez kurtyzany były zawsze pełne przechodniów. Mężczyźni przypatrują się kobietom w oknach, powiada inny podróżny, a szczególnie kurtyzanom, które tak zręcznie umieją się pokazywać za żaluzjami, że zwracają na siebie uwagę i wydają się piękniejszemi, aniżeli są w istocie. Już za Pawła III kardynałowie, którzy mieli za zadanie przeprowadzić reformy moralności, skarżyli się, że kurtyzany zajmują najpiękniejsze mieszkania, jeżdżą na bogato przybranych mułach i że im niektórzy członkowie rodzin kardynalskich towarzyszą po ulicach. Pius V wraz z kardynałem Savellim, dwaj pobożni starcy, którzy już zapomnieli o namiętnościach ludzkich, wydali w r. 1568 rozkaz, aby w przeciągu sześciu dni wszystkie kurtyzany Rzym opuściły, a w przeciągu dni dwunastu całe państwo papieskie. Na takie radykalne rozporządzenie powstała w mieście formalna rewolucja. Właściciele kamienic obawiali się stracić najlepsze lokatorki, bankierzy pieniądze, które tym paniom pożyczyli, kupcy swe kljentki, tak, że konserwatorzy na Kapitolu udali się do papieża, przedstawiając niesłychane szkody, jakie surowy rozkaz może przynieść miastu, a gdy ich uwagi na nic się nie przydały, zwołali wielką radę, która wysłała czterdziestu najzacniejszych obywateli do papieża z prośbą, aby rozporządzenie złagodził i kazał wyznaczyć kurtyzanom pewne części Rzymu, w którychby mieszkać mogły. Pius V tak się z po-

wodu tej oporności pogniewał, iż oświadczył deputacji, że jeżeli obywatele chcą, aby kurtyzany w mieście zostały, to niech zostaną, ale w takim razie Stolica Apostolska przeniesie się do innego miasta, nie tak grzesznego, jak Rzym. Gdy jednak powoli ułagodzono papieża i przedstawiono mu, że zupełne wygnanie kurtyzan pociągnie za sobą wyjazd z miasta mnóstwa innych osób, tak, że ludność z pewnością zmniejszy się o najmniej 25.000 mieszkańców, to jest, o czwartą część całej ludności i że dochody rządowe wykażą ubytek przynajmniej 20.000 dukatów, Pius V się zastanowił. Powiedziano nadto papieżowi, że bandyci tylko czyhają na te kobiety, aby je obrabować, sądzą bowiem, że kurtyzany wywożą znaczne kosztowności, ba nawet, że kilka z tych, które rozkazu posłuchały, już zamordowali po drodze albo wrzucili do Tybru.

Papież więc dał się ułagodzić i skończyło się na tem, że kurtyzanom wyznaczono tylko pewne ulice na mieszkanie. Kontrolę zaś nad niemi do tego stopnia rozciągnięto, że starsze kobiety, utrzymujące domy pod godłem Wenery, musiały czuwać nad tem, ażeby ich wychowanki, na chwile «urzędowe» zdejmowały ze siebie szkaplerze i wszelkie inne świętości.

Zazdrość w miłości i wynikające stąd wendetty daleko mniejszą w Rzymie odgrywały rolę, aniżeli w innych miastach włoskich. Mężowie byli «plus traitables», powiada jeden z francuskich podróżnych. Mimo to żółta namiętność doprowadzała czasem do strasznych wendet. Małżonka jednego z ambasadorów hiszpańskich w Rzymie, zrażona do świata, żyła w klasztorze, spodziewając się, że i ambasador, przynajmniej w części, podzieli jej pobożne zasady. Dowiedziawszy się jednak, że grand każe się w jej nieobecności obsługiwać trzem bardzo pięknym Maurytankom, najęła brawa, aby jednej z nich uciął głowę i przyniósł jej do celi. Krwawą zdobycz włożyła wtedy do kosza, przykryła ciastkami i słodyczami, jakie robiono w klasztorze, i kazała doręczyć ambasadorowi. W podobny sposób zemściła się duchessa Salviati. Głowę rywalki, Katarzyny Canacci, posłała mężowi, przykrytą liśćmi winogron, a sama, chociaż jeszcze młoda, zamknęła się na całe życie w klasztorze.

Kobiety wyższych warstw towarzyskich miały wprawdzie tylko w Wielki piątek zupełną wolność wychodzenia z domu piechotą, nawet w nocy, ale w lektyce albo na mulicy można było także odbywać miłosne wycieczki. Rzymskie panie, zauważył pewien Francuz, rzadko są zupełnie piękne, ale też nie ma tam tak brzydkich, jak czasem w Paryżu. Strój głowy Rzymianek zazwyczaj bardzo staranny, suknie z bogatych materyj i mnóstwo klejnotów. Pasek, upinający kibić, tak nisko spuszczają, że każda z tych pań wydaje się, jak gdyby była w poważnym stanie, a wrażenie to jeszcze się zwiększa, gdy się widzi, jak chodząc, wyginają naprzód kolana. W półtora wieku później spostrzegł i Chateaubriand ten dziwaczny chód Rzymianek, a oczytany w pismach Ojców Kościoła, przypomniał sobie, że jeden z nich tę samą już zrobił uwagę, mówiąc o kobietach rzymskich, że uginają kolana «solutis genibus fractus incessus». W przeciwieństwie do kobiet, ubierali się mężczyźni bardzo skromnie, najczęściej czarno, chyba że występowali w uroczystych obchodach, albo z jakiegoś szczególnego powodu «chcieli się pokazać».

Kto się szanował, nie wychodził pieszo z domu, lecz jeździł konno, na mulicy albo w karocy. Konie były bardzo ładne, barbareski albo neapolitańskie, strojnie przybrane, a przed powozem biegł zazwyczaj stajenny, trzymając przed sobą horyzontalnie laskę w dwóch rękach, aby się ludzie ustępowali. Konie kardynałów i dygnitarzy Kurji miały duże pióropusze, «fiocchi» na łbach, w różnorodnych kolorach. Gdy kardynalska kareta się zbliżała, ludzie przyklękali, chyba że konie nie miały pióropuszów, co znaczyło, że dygnitarz chce przejeżdżać niepoznany, incognito. Około kardynalskiej karety jechało konno albo szło pieszo mnóstwo kljentów purpurata, gdyż próżność nakazywała, aby mieć jak największe otoczenie. Gdy kardynał Antonio Barberini udawał się do Watykanu, zwoływano wszystkich Francuzów, aby go odprowadzali, ponieważ był protektorem Francji.

Papieże nie wyjeżdżali zazwyczaj inaczej na miasto, jak w otoczeniu licznej kawalkaty. Przodem kroczył konno i piechotą dwór papieski, poczem ukazywał się papież w otwartej lektyce, dźwiganej przez dwa konie albo muły, wspaniale

przybrane. W dni świąteczne wyjeżdżał pontifex w sześciokonnej, złocistej karecie, z całym dworem duchownym i świeckimi dygnitarzami.

Ani w karetach ani w lektykach nie było zwykle szklanych szyb, do zasłonięcia okien służyły firanki z jedwabnej materji. Kobiety najchętniej używały lektyk, osobliwie jeżeli nie chciały na siebie zwracać uwagi.

Wogóle lektyki przyczyniały się bardzo do barwności ulic. Ludzie stawali, aby się przypatrzyć tym «wehikułom», urządzonym z najwykwintniejszym zbytkiem. «Lettighę» niosły zazwyczaj dwa białe muły albo małe sycylijskie konie, upstrzone, ubrane w pióra, kutasy, złocone uprzęże. Lettigha spoczywała na dwóch długich drągach; jeden muł szedł pomiędzy drągami z przodu, a drugi w tyle. Każdemu zwierzęciu towarzyszył wygalonowany służący, pomimo że tak muły, jak i konie były tak wyuczone, że choć przedzielone lektyką, szły równym, jednostajnym krokiem. Sama lettigha wyglądała, jak artystyczne bawidełko, najczęściej wybita aksamitem, na którym błyszczały złotem, srebrem i różnokolorowemi jedwabiami haftowane herby lub godła. Wierzch karetki ozdobiony był orłami, smokami lub innemi fantastycznemi zwierzętami z pozłacanego bronzu. A cóż dopiero za zbytek we środku! Cała lektyka wybita adamaszkiem o bladych, nie rażących kolorach, gdzieniegdzie wyhaftowane dewizy właścicielki.

W drugiej połowie XVII wieku wchodziło w zwyczaj, aby modna pani miała swego «Cavaliera servente». Otóż czasem można już było widywać siedzącego w «lettidze», naprzeciw swej «ubóstwianej» takiego przyjaciela domu, wystrojonego, wyperukowanego, wyperfumowanego i wykoronkowanego, jak patrzył jej w oczy, aby każdą nawet przelotną myśl madonny zgadywać i we wszystkiem jej dogodzić. Mężowie zazwyczaj, przynajmniej w mieście, nie towarzyszyli swym żonom na tego rodzaju przejażdżkach, nie było to w modzie.

Młodsze kobiety wolały kazać się nosić w portantynie, w zwykłej lektyce, bez mułów lub koni. Łatwiej było wysiąść z portantiny, łatwiej po drodze rozmawiać z przyjacielem, który może już czekał na umówionem miejscu; mniej pompy a więcej przyjemności.

Portantiny nie zawsze służyły do wesołych celów. Trwożliwie wyglądał z niej czasem skazaniec, którego głowa miała za chwilę paść pod toporem kata. Nieśli wtedy lektykę oprawcy, a postępował za nią kat w towarzystwie «kapitanów» sprawiedliwości.

Także i nieżywym służyła portantina. Ciała zmarłych papieży niesiono zazwyczaj z Kwirynału do kościoła św. Piotra w solennej procesji. Tylko dla Innocentego X, jak mówiliśmy, zabrakło lektyki, gdyż ją Maidalchini zabrała.

Najbarwniejsze życie uliczne panowało w części miasta bliskiej Watykanu, gdzie się znajdowały hotele i domy bankierskie. Jak na owe czasy, hotele były wcale dobre, a do najcelniejszych należała dawna osterja «al Orso d'oro», tudzież inna «al Vaso d'oro» i trzecia niemiecka «Testa d'oro». Widocznie złoto było najlepszem poleceniem. Także pomieszkań umeblowanych nie brakowało, a pomiędzy niemi były tak paradnie urządzone, że jednego z nich nie chciał Montaigne wynająć, bojąc się popsuć meble nadzwyczaj cenne, pokryte jedwabiami i brokatami. Każde łóżko w tem pomieszkaniu warte było pięćset talarów. Znakomity Francuz wynajął więc inne, o trzech pięknych pokojach, sali, kuchni, spiżarni i stajni, za dwadzieścia talarów miesięczne, przyczem gospodarz był zobowiązany dostarczyć bieliznę do łóżek, kucharza i drzewa do kuchni. Ładniejsze pokoje tapetowano wyzłacaną skórą. Mieszkania wynajmowano i urządzano z pomocą żydów faktorów, a jeżeli cudzoziemiec chciał mieć jakieś znaczenie, to musiał kupić karetę, konie, przyjąć kilku służących w liberji i kucharza. Nawet nasz Reszka, który bardzo miał mało do wydania i ciągle zadłużał się u swego przyjaciela, biskupa przemyskiego, trzymał zapewne z dziesięciu służących w Rzymie, jeżeli wyjeżdżając na lato do Frascati, odprawił aż pięciu.

W hotelach razili swem głośnem i niegrzecznem zachowaniem się Hiszpanie i Francuzi, którzy tak z tego powodu gniewali Montaigna, że znakomity pisarz wyraził się, iż nie na to podróżuje, aby szukać «des Gascons en Sicile». Dla przyjemności przejeżdżano się nad Tybrem, gdyż po obu brzegach rosły cieniste drzewa; tylko w nocy tam chodzić nie było rzeczą bezpieczną, gdyż wogóle w Rzymie trzeba się było

strzec złodziei i rozbójników. Cudzoziemcy też, którzy przyjeżdżali z większą kwotą w sakwie, składali pieniądze u bankierów.

Dopiero za Piusa VI, z końcem XVIII wieku zaprowadzono oświetlenie ulic; pierwej zapalano lampy jedynie przed obrazami świętemi i Madonnami, najczęściej na rogach ulic albo we framugach, nad drzwiami. Wieczór zgromadzały się grupy kobiet i mężczyzn, odmawiając litanje albo śpiewając pieśń na cześć Madonny

Evviva di Roma
La gran protettrice,
La madre felice
Che tanto ci amo.

Po każdej strofie następowała zwrotka:

Evviva Maria
Maria evviva,
Evviva Maria
Che Roma salvò.

Osobliwie w wigilję Wniebowzięcia wszystkie obrazy Madonny wieńczono kwiatami, oświetlano i ubierano draperjami z jedwabnych materyj.

Ognie sztuczne należały do najulubieńszych przyjemności Rzymian, przy każdej więc sposobności jaśniały rakiety i sypały się deszcze ogniste.

Do Rzymu spływały wiadomości z całej Europy. Każdy z cudzoziemców otrzymywał listy z różnemi nowinami, najczęściej nieprawdziwemi, któremi się chciał pochwalić, aby wiedziano, że ma rozliczne stosunki. Dworzanie zaś watykańscy z tego samego mniej więcej powodu, albo chcąc się przypodobać zamożnym forestierom, tysiączne o papieżu i o kardynałach opowiadali nowinki, zwłaszcza, gdy ich kto zaprosił już nie na wino, ale na hiszpańską czekoladę, która była wówczas nowym, najmodniejszym «trunkiem», równie jak zimne napoje. Dopiero bowiem w XVII wieku zaczęto oziębiać wino, spuszczając naczynia do studzien, albo nawet sprowadzając lód z Abruzzów. Gdy lodu nie było, zwożono śnieg z gór i przechowywano w głębokich dołach. Po ulicach były już zresztą, jak dzisiaj, budy, w których sprzedawano wodę ze spirytusem albo z sokiem cedrowym, cytrynowym, jaśminowym i cynamonowym. Były także budy z czekoladą na gorąco lub na zimno. Wogóle czekolada wielką odgrywała rolę. W niektórych kościołach, a mianowicie u jezuitów i u karmelitów hiszpańskich, urządzano wielkoświatowe nieszpory, podczas których roznoszono czekoladę i lody, a paniom, kardynałom i innym znakomitościom rozdawano bukiety. Takie modne nabożeństwa odbywały się zazwyczaj w poście; kościoły były ubrane dywanami albo karmazynowym adamaszkiem, lamowanym złotem, a jezuici starali się o jak najlepszą muzykę. Przed bramami kościołów bębny i trąby ogłaszały, że w świątyni nadzwyczajny festyn. Przy takich okazjach takie mnóstwo karet stało przed Gesù, że zaledwie przejść było można sąsiedniemi ulicami. Kupcy, chcąc zwrócić na siebie uwagę, wystawiali w takie uroczyste dnie obrazy świętych, otoczone towarem, który mieli na sprzedaż; w oknie jakiegoś masarza podziwiano figurę św. Antoniego z Padwy w niszy zrobionej z kiełbas, szynek i salcesonów.

Głośnemi uroczystościami obchodzili jezuici w kościele Gesù i w Collegio Romano, dnie jedenastu świętych, którzy wyszli z ich zakonu, tudzież wszystkie święta Matki Boskiej. Także w ostatnie trzy dni karnawału wystawiano w Gesù P. Sakrament w perspektywie, a kościół miał bardzo pięknie wyglądać. W poście jednak najwięcej było religijnych obchodów, a cała ludność brała w nich udział. Po ulicach odbywały się rozmaite przedstawienia na temat religijny, dzieci grały komedje, muzykanci dawali bezpłatne koncerty, a przedsiębiorcy marjonetek bawili tłum scenami z życia rozmaitych świętych.

Z największem wszakże zaciekawieniem oczekiwali cudzoziemcy dnia św. Piotra, kiedy całą bazylikę oświetlano rzędami lamp papierowych, a na zamku św. Anioła palono tak zwaną «girandolę», deszcze ogni sztucznych, tak pięknych, że wszystkim widzom za krótko trwały. Girandola, jak się wyraża pani Guebriant, zapełniała na chwilę niebo ognistą łuną.

IV

Mówiąc o Adjanie Baroni, pozostawiliśmy jej córkę Leonorę w Rzymie, jako najznakomitszą ówczesną śpiewaczkę. Już wtedy koło jej wielbicieli było tak wielkie, że w latach 1639 i 1640 wydano aż dwa zbiory poezyj, napisanych na jej cześć. W jednej z tych antologji, noszącej tytuł: Applausi poetici alle glorie della signora Leonora Baroni (Bracciano, 1639), pięćdziesięciu sześciu poetów opiewa jej piękność w różnych językach i zachwyca się jej śpiewem. Pomiędzy tymi entuzjastami są ludzie głośnych nazwisk, a na czele stoi kardynał Giulio Rospigliosi, późniejszy Klemens IX. Giulio napisał sonet, nie o wiele lepszy od innych, unoszący się i nad jej głosem i nad jej wdziękami.

Otóż smutno powiedzieć, ale tym kilkudziesięciu świadkom nie można zbyt wierzyć na słowo, jeżeli chodzi o piękność Leonory. Jeden tylko pozostał portret, Garibottego, drzeworyt, przedstawiający ubóstwianą śpiewaczkę, a niestety podobizna ta aż nadto dowodzi, że wszyscy ci poeci pisali nieprawdę. Leonora nie była zupełnie brzydką, ale o jej piękności mówić nie można; miała tylko oczy duże, ładne, była szczuplejszą od matki i mogła ujmować swym uśmiechem. To też jedyny, który o niej szczerze napisał, był ów skrzypek, francuski, Andrzej Maugars, o którym mówiliśmy. Maugars donosił o niej do Paryża: «Elle ne se pique pas d'etre belle, mais elle n'est pas desagreable».

Oto rzetelna prawda; że jednak musiała mieć mimo prawie brzydkiej twarzy, dużo wdzięku, na to mamy bardzo znakomitego świadka, nie mniej nie więcej, tylko autora «Raju utraconego», Anglika Miltona. Milton bawił w Rzymie w r. 1638 na 1639, właśnie wtedy, kiedy i Giulio Rospigliosi unosił się nad Leonorą. Ale Milton posuwał się dalej w swych zachwytach, Anglik oddał śpiewaczce swoje serce w darze. Pisał i po włosku i po łacinie na jej chwałę, w tym starożytnym języku aż trzy epigramy. Najbardziej jednak musiało przemawiać do uczucia Leonory tych kilka włoskich wierszy:

Per certo i bei vostr'occhi, Donna mia
Esser non può che non sian lo mio sole.
. . . .
Giovane piano e semplicetto amante,
Poichè fuggir me stesso in dubbio sono,
Madonna, a voi del mio cor l'umil dono
Farò divoto...

Milton musiał wyjechać do Anglji i tylko kilkadziesiąt wierszy wielkiego poety pozostawiło ślad krótkiego romansu. Leonora także opuściła wkrótce ojczyznę; kardynał Mazzarin, który ją znał w Rzymie, pragnął, aby swym śpiewem uświetniła jego panowanie, w Paryżu. Kardynał przysłał tysiąc dublonów na koszta podróży, a w marcu r. 1644 Leonora znalazła się w stolicy Francji.

Odrazu potrafiła sobie zdobyć łaski Anny austrjaczki, rejentki Francji i swym śpiewem bawiła dwór w Ruel, zamku księżnej d'Aiguillon, gdzie królowa bawiła na willegjaturze z małym synem, Ludwikiem XIV. Był tam i poeta Voiture, a gdy raz rejentka z damami dworu i z Leonorą przechadzając się po parku, spotkała go bardzo zamyślonego i zapytała, nad czem tak duma, Voiture zaimprowizował zaraz wiersz:

Je pensois que la destinée,
Après tant d'injustes malheurs,
Vous a justement couronée
De gloire, d'éclat et d'honneurs;
Mais que vous êtiez plus heureuse
Lorsque vous êtiez autrefois,
Je ne veux pas dire amoureuse
La rime le veut toutefois.

Poeta mówił jeszcze dalej gładkiemi wierszami, lecz te aluzje do nieszczęśliwej miłości królowej trochę ją dotknęły.

Zręczna Włoszka spostrzegła to niezadowolenie, a chcąc rozchmurzyć czoło królowej, natychmiast zastosowała jakąś arję do pierwszych słów Voitura i śpiewać ją zaczęła. Przytomność i delikatność uczuć Leonory tak ujęły rejentkę, że odtąd Włoszka stała się jej ulubienicą. Królowa nadała jej prawa «d'une femme de chambre», wolno jej było wchodzić o każdej godzinie do komnat rejentki, a co dla Rzymianki

było cenniejszem, Anna podarowała jej dziesięć tysięcy liwrów, aby się ubierała na sposób francuski, zawiesiła jej na szyi sznurek pereł kosztownych i piękne kolczyki. Książę orleański i królowa Henryka Marja angielska, która tam bawiła w czasie wojny domowej w Anglji, obsypali śpiewaczkę również kosztownościami, tak, że Włoszka, wyjeżdżając po roku pobytu we Francji do ojczyzny, wiozła ze sobą czterdzieści tysięcy skudów i mnóstwo kosztowności.

W Paryżu klimat jej nie służył, krew się jej puszczała z ust, ale doktorzy zapewniali ją, że krew nie pochodzi z płuc, tylko z głowy.

Leonora wróciła do Włoch i zamieszkała w Rzymie, gdzie się starała grać wielką panią i żyć w najbardziej arystokratycznem towarzystwie. Za Innocentego X, a osobliwie za rządów Chigiego, była w łaskach w Watykanie, a kardynałowie z domu jej nie wychodzili. Leonora jeszcze przed podróżą do Francji poszła zamąż za jakiegoś Włocha, którego nazwiska nawet nie znamy. Ów małżonek jeździł z nią jednak do Francji i przychodził na dwór królowej, aby ją do domu odprowadzać. Podzielał on zwykły los mężów wielkich aktorek i śpiewaczek, zapomnienie.

Gdy Aleksander VII chorował i już zbliżał się do kresu swego życia, spodziewano się w Rzymie, że Rospigliosi zostanie papieżem. Rzecz prosta, że wszyscy przyjaciele kardynała, a było ich dużo, rozwinęli swą gorliwą czynność, aby z urny wyszedł Rospigliosi. I kobiety brały udział w tych zabiegach, a pomiędzy niemi Leonora, której podobno Ludwik XIV i Louvois używali do politycznych intryg. To też żona nepota Don Maria Chigi, spotkawszy się w tych czasach z artystką, zapytała ją uszczypliwie «Signora Lionora, il Papa mio (Alessandro VII) sta benissimo; il vostro come sta?» Co Leonora odpowiedziała, nie wiadomo, zapewne jednak kart swych nie odkryła.

Po wyborze Giulia Rospigliosiego (20 czerwca 1667) mogła nasza śpiewaczka triumfować; była w łaskach u papieża i u całej rodziny Rospigliosich. Gdy duca di Bracciano ofiarował raz papieżowi jakąś dużą rybę ze swego jeziora, która się nazywała «regina», Klemens IX posłał ją Leonorze, jako

królowej artystek «regina delle virtuose». Papież wogóle był nadzwyczaj uprzejmym dla pań rzymskich i powszechnie go też lubiano. Umiał jednak zachować granice w tych grzecznościach. Gdy raz Leonora przyszedłszy z krewną papieża, donną Cateriną Banchieri na audjencję, ażeby ucałować stopy Jego Świątobliwości, zaczęła zanadto być wesołą i mówić rzeczy, których opowiadać nie wypadało, papież się zachmurzył i pożegnał artystkę, która wyszła bardzo niezadowolona z posłuchania.

Ale Klemens był zanadto dobrym człowiekiem, aby pamiętać artystce jej brak taktu. Chcąc niejako wynagrodzić zrobioną jej przykrość, obdarzał ją prawie co tydzień jakiemiś niespodziankami, czasem nawet dość kosztownemi. Z kuchni Rospigliosich posyłano artystce co chwilę ciasta, wino lub owoce. Leonora tak była dumną z tych łask, iż jej się zdawało, że już należy do papieskiej rodziny. Ciągle miała na ustach księżniczki, kardynałów i ambasadorów, którzy u niej bywali. Naraziła sobie też wkrótce Rospigliosich, a osobliwie Caterinę Banchieri, która jej odtąd znosić nie mogła. Raz wyraziła się o niej do kardynała Ottobona, że «la Signora Lionora e una, una, una,...» a nie mogąc niby to znaleźć wyrazu, splunęła.

Stara jednak artystka, pewna łask papieskich, szła przebojem w towarzystwie rzymskiem, w marcu r. 1669, urządziła wielkie przedstawienie muzykalne w swoim domu, na którem był cały wielki świat rzymski, a na balu u księcia Savelli, w Albano, tańczyła z ambasadorem hiszpańskim, księciem d'Astorga, tym samym, któremu małżonka przysłała głowę pięknej Maurytanki w koszyku.

Leonora umarła w cztery miesiące po Klemensie IX, 6 kwietnia r. 1670 i została pochowana w kościele di S. Maria della Scala.

Bądź co bądź, nie żyła na darmo; pamięć o niej łączy się z takimi ludźmi jak Klemens IX i Milton.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

KRÓLOWA KRYSTYNA W RZYMIE

I

Do zamku w Bracciano wjeżdżał w drugiej połowie grudnia r. 1655 orszak szwedzkiej królowej Krystyny, która zrzekłszy się tronu, szła na południe, aby się rozkoszować słońcem i włoską kulturą.

W Insbruku, przy grobie Maksymiljana, którego pilnują wspaniałe postacie bronzowych królów i rycerzy, złożyła uroczyste przyrzeczenie należenia do rzymskiego Kościoła stosownie do przepisów soboru w Trydencie i stamtąd jechała do Rzymu na Mantuę, Ferrarę, Bolonję, na Pesaro, Foligno, Assisi, Caprarolę do Bracciano, gdzie miał ją przyjąć pan zamku, Paolo Giordano II Orsini.

Całe Włochy cieszyły się z przejścia córki Gustawa Adolfa na wiarę katolicką, a papież Aleksander VII Chigi dokładał wszelkich starań, aby ta królewska córka nawrócona stała się niejako symbolem ponownego rozrostu rzymskiego Kościoła. Królowa mówiła później, że nigdy nie wierzyła w zasady luteralizmu, w których ją wychowano, i że ją śmiertelnie nudziły kazania pastorów i chłodne ich nauki. Do jej «nawrócenia» przyczynili się głównie jezuici, a przed innymi Antoni Macedo, który już w r. 1650 przebywał w Stokholmie, na



Królowa Krystyna Szwedzka

Do str. 337



dworze ambasadora Portugalji i z powodu koronacji Krystyny napisał wynoszący ją pod niebiosy panegiryk. Później jenerał Towarzystwa Jezusowego wysłał do szwedzkiej stolicy dwóch innych księży: Franciszka Malines i Pawła Cassati, ludzi uczonych, aby dokonali dzieła, które Macedo rozpoczął. Aby nie zwracać uwagi protestantów, jezuici przybyli w sukniach świeckich i tylko w największej tajemnicy pod różnemi pozorami widywali się z królową. Oprócz jezuitów, filozof Kartezjusz niemało ją utwierdził w nowej wierze. Z przekonania gorący katolik, wpajał w młodą królową nietylko zasady filozofji, ale i religji katolickiej i życiem przepłacił to nauczycielstwo. Królowa, przyzwyczajona do bardzo rannego wstawania, kazała już o piątej przychodzić wątłego zdrowia uczonemu do swej bibljoteki na filozoficzne rozprawy. Kartezjusz, nieprzyzwyczajony do tamtejszego klimatu, zaziębił się na tych lekcjach, dostał zapalenia płuc i w przeciągu trzech dni umarł w szwedzkiej stolicy. Był on, rzec można, apostołem katolicyzmu u głów koronowanych; oprócz na Krystynę wpłynął bowiem także na księżnę Palatynatu, Elżbietę, i na księcia Filipa angielskiego, że przeszli z protestantyzmu na katolicką wiarę.

Papież Aleksander VII był niesłychanie dumny z nawrócenia królowej, przypisywał je własnej mądrej polityce i dał wyraz temu przekonaniu na jednym z konsystorzów, na którym był także obecnym kardynał de Retz, bawiący wówczas w Rzymie. Rozumny Francuz wiedział jednak, że papież zupełnie się do tego nie przyczynił, i podnosił w swych pismach próżność Aleksandra. Jezuici rozgłaszali wierszem i prozą swój triumf, nie brakło wszakże i krytyków, którzy nie widzieli w tym «heroicznym czynie» królowej wielkich korzyści dla Kościoła, zwłaszcza, że z wielkiej uciechy, jaką sprawiło nawrócenie Krystyny, zapomniano w Rzymie pomagać katolickiej Polsce, którą pustoszył wówczas Karol Gustaw. Jakiś poeta słusznie podnosił, że papież pozyskuje wprawdzie jedną owieczkę, ale traci całą trzodę w Polsce.

Wiara zresztą Krystyny była bardzo chwiejną, a królowa całem swem usposobieniem skłaniała się raczej do sceptycyzmu, aniżeli do dogmatycznej religji.

Elle connut tout et crut rien,

powiedział o niej jeden z poetów XVIII wieku i miał słuszność, zwłaszcza, że królowa była umysłu bardzo wrażliwego, podlegała rozmaitym wpływom, złym lub dobrym, stosownie do okoliczności. Gdy jezuita Fazzio w Rzymie zanadto jej prawił morałów, kazała mu powiedzieć, aby nie tracił czasu i nie myślał, że z niej zrobi świętą, «nie uważa się bowiem za dość cnotliwą, aby nią zostać, a nie jest dość obłudną, aby się lepszą wydawać, aniżeli jest».

Zrzeczenie się tronu, zmiana religji, opuszczenie rodzinnego kraju było u niej raczej wypływem fantastycznego usposobienia, aniżeli wynikiem głębokich zasad religijnych. Tron, ministrowie, trudy panowania, życie pod ciągłą kontrolą otoczenia męczyło ją, nie zaspakajało jej pragnień; zerwała więc te pęta, zapewniając sobie, o ile się dało, materjalne korzyści ustępującej królowej i wywożąc ze stolicy wszystkie skarby sztuki, jakie się wywieźć dało.

Królowa kończyła wtedy lat dwadzieścia dziewięć, była niskiego wzrostu, miała oko żywe, nos duży, cerę twarzy ogorzałą, nosiła krótko ostrzyżone włosy, a w swem ubraniu amazonki, w którym odbywała podróż do Włoch, wyglądała prawie na mężczyznę. Harda, odważna, wyrażała się łatwo i logicznie, a gdziekolwiek się ukazała, zwracała na siebie uwagę. W swej zarozumiałości sądziła, że wszystko umie i wszystko jest jej dostępnem. Nawet armją chciała dowodzić; gdy jej wszakże, przy jakiejś sposobności, Wrangel urządził przyjęcie wojskowe, zaczęła wydawać tak bałamutne rozkazy, że zakłopotany jenerał musiał czemprędzej tłumaczyć żołnierzom, co mają robić, aby nie było zamieszania.

Wszędzie, gdzie się królowa we Włoszech zatrzymywała, urządzano na jej cześć bale, turnieje, maskarady, koncerty, aby tylko uprzyjemnić znakomitej cudzoziemce podróż do Rzymu. Papież wysłał czterech nuncjuszów, aby ją przyjęli na granicy państwa kościelnego, w Macerata, w Camerino i w Foligno, nawet panie witały ją uroczystemi przemowami. Krystyna jechała pod opieką króla katolickiego, z hiszpańskim dworem łączyły ją bowiem najściślejsze stosunki, a zresztą Hiszpanja obiecywała sobie, że przez ulubioną teraz córkę

Kościoła będzie miała jeszcze większy wpływ na papieża. Cały plan przejścia na katolicyzm i podróży do Włoch ułożyła Krystyna z posłem hiszpańskim, panem de Pimentel, którego tak lubiła, iż posądzano ją, że ma z nim bliższe stosunki. Don Pimentel towarzyszył jej też jako nadzwyczajny poseł króla katolickiego do Włoch. Po drodze ze Sztokholmu, w Brukseli, złożyła sobie dwór po większej części z Hiszpanów. Za poradą Pimentela przyjęła jako wielkiego koniuszego jenerała hiszpańskiej kawalerji, Don Antonia Della Cueva Silva, a żona jego miała pełnić obowiązki ochmistrzyni dworu. Zresztą pomiędzy dworzanami i służbą znajdowali się Portugalczycy, Holendrzy, Francuzi, Włosi i dwóch Szwedów, zbieranina ludzi, którzy na koszt królowej chcieli pojechać do Włoch, albo nie mając zajęcia, spodziewali się chwilowo przynajmniej znaleźć utrzymanie. Cały orszak składał się z przeszło dwustu ludzi, ale po drodze jeszcze się powiększał, gdyż Krystyna, nieprzyzwyczajona do liczenia się z wydatkami, przyjmowała na dworzan jeszcze Włochów ze znakomitych rodzin, aby tylko wystąpić w nowej ojczyźnie prawdziwie po królewsku.

Do Pesaro przybyła Krystyna dwunastego grudnia 1655; miasto przyjęło ją wspaniałym festynem i balem, na którym zwrócili uwagę królowej hrabiowie Francesca Maria i Ludovico Santinelli, gdyż nadzwyczaj zręcznie tańczyli «una gagliarda», a następnie «un canario». Po skończonym tańcu wręczył królowej kardynał legat drukowaną książkę, zawierającą poezje Franceska Santinellego, ułożone na cześć północnej Pallady, gdyż Krystyna chętnie się tak nazywać kazała. Podczas obiadu grał jakiś Sieneńczyk, Ciacchi, tak pięknie na lutni, a następnie Ludovico Santinelli tak wybornie przedstawiał w żywych obrazach prace Herkulesa, że królowa, zachwycona tymi Włochami, wszystkich przyjęła na swój dwór, a nadto zabrała ze sobą Gian Rinalda Monaldescha, awanturnika, który się jej bardzo podobał.

Tak powiększony orszak królowej stanął przed bramami zamku w Bracciano, gdzie ją witał właściciel księstwa, Paolo Giordano II duca di Bracciano, syn Virginia, a wnuk owego małżonka pięknej Accaramboni, któregośmy poznali. Krystyna stała się oddawna zawiązywać stosunki przyjacielskie we

Włoszech, marząc o przeniesieniu się na Południe, a osobliwie zajmowali ją ludzie, których otaczała aureola sztuki i literatury. Po szczęśliwych wojnach szwedzkich, po triumfach, jakie odniosła wskutek zawarcia traktatu westfalskiego, żyła tylko zajęta literaturą i sztuką. Wiedział o tem młody dyplomata szwedzki, Mateusz Palbicki, którego Krystyna wysłała jeszcze w roku 1649 do Włoch, do Rzeczypospolitej weneckiej, do Florencji, do Rzymu, a chcąc się przypodobać swej pani, starał się zbliżyć do Orsiniego, który wprawdzie najgorzej zarządzał swemi dobrami, ale był poetą, malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem i opiekował się artystami. Orsini napisał dwa tomy lirycznych rymów i satyr, tudzież łzy wyciskającą tragedję, którą drukował we własnej drukarni. W swych poezjach opiewał piękność Rzymianek i wieśniaczek, mądrych i głupich, cnotliwych i bezwstydnych, zezowatych i ciemnych, unosił się nad przyjemnościami polowania i rybołowstwa, poniżał wartość wina, a chwalił wodę cedrową, zastanawiał się nad światem, nad dniem i nocą, nad filozofją i prawdą, a nawet nad nieszczęsnem «mal francese». Co więcej; Paolo Giordano wynalazł nowy instrument muzyczny, który nazwał «rosidrą», i w całem tego słowa znaczeniu był jak na owe czasy umysłem wyższym, poetycznym. Wreszcie był on jednym z nielicznych Włochów, którzy widzieli za młodych lat Skandynawję i opiewali śniegi i długie, jasne noce. Pochlebcy literaci opowiadali nawet, że lud w Norwegji ofiarował koronę młodemu Włochowi, chciał go mieć swoim królem i że tylko ojciec podróżnika, Virginio Orsini, nie pozwolił synowi narażać się na niepewne losy.

Palbicki widząc, że Orsini jest duchem pokrewnym królowej, namówił go, aby zawiązał z nią korespondencję. Paolo Giordano niedługo się zastanawiał, wypisał wkrótce list do «Sacra Real Maestà», w którym prosi ją, aby go obdarzyła swą łaską i raczyła przyjąć jego usługi. Królowa bardzo była zadowolona, że może mieć z pomocą Orsiniego wiadomości literackie i artystyczne z Włoch, a natomiast Orsiniemu schlebiało, że będzie przyjacielem królowej. Podpisywał się też wkrótce jej «niewolnikiem, przykutym żelaznym łańcuchem», posłał jej sonet i sekretarzyk, wykładany kamieniami, włoskiej

roboty, natomiast królowa nazywała go w listach «Monsieur mon cousin», podpisywała się «affectionée cousine et amie Christine» i posłała mu swoją minjaturę, tłumacząc się, że nie byłaby się odważyła obdarzać go kopją brzydkiego oryginału, gdyby o portret sam nie był prosił. Dodawała, że brzydota twarzy da mu poznać brzydotę jej umysłu i że minjatura rozwieje w nim owo korzystne wyobrażenie, jakie mógł mieć o niej. Ale mimo to była Krystyna pewna dobrego przyjęcia we Włoszech, gdyż zakończyła list uwagą, że będzie zazdrościła minjaturze, iż nie może znaleźć się na jej miejscu. Orsini miał wtedy przeszło lat pięćdziesiąt; ale namiętność pisania poezyj jeszcze go nie opuszczała, na list królowej odpowiedział sonetem. Praca ta wszakże dużo go kosztowała, bo w przechowanym dotąd oryginale wiersza mnóstwo się znajduje poprawek; autor usprawiedliwiał się też królowej, że przez dłuższy czas poezji nie uprawiał i dopiero prześliczny jej portret obudził w nim Muzę, która przez długi czas spała snem spokojnych. Do sonetu dołączył znowu cenny podarunek, stół mozaikowy, który królową tak ucieszył, iż nawet o tym marnym poetyckim utworze wyrażała się, że nie znać w nim bynajmniej zasypiającej Muzy. Zachęcony ową pochwałą, posłał Orsini Krystynie w r. 1652 swoje poezje «Il Canzoniere e le Satire», bardzo ładnie wydane, i kopję przysłanej minjatury, ale wykonaną w emalji. Paolo Giordano pisał, że imię królowej będzie wprawdzie trwało tak długo, jak długo świat stoi, ale portret malowany przetrwa tylko kilka wieków; dlatego zrobił go w emalji, wynalezionej we Francji, gdyż metaliczne barwy nigdy się nie zmienią. Królowa wdzięcznie podziękowała za taką uprzejmość rzymskiego magnata, lecz zauważyła, że na emalji wygląda za młodo, przynajmniej o trzy lata.

Korespondencja pomiędzy Orsinim a królową trwała kilka lat, ale dużo listów zaginęło, poczty były niepewne, a list z Rzymu do Sztokholmu dochodził w najlepszym razie dopiero po trzydziestu trzech dniach; te jednak, które się dochowały, świadczą o gorącem pragnieniu królowej dostania się na Południe, brania udziału w literackiem i artystycznem życiu Włoch. Prosi Orsiniego, aby jej doniósł, którzy malarze

w Rzymie należą do najznakomitszych, czy Bernini ukończył swoją fontannę na Piazza Navona, czy myśli o nowych rzeźbiarskich pracach; pyta, czy powstał jaki nowy kompozytor muzyczny, któryby przewyższał Carrissima, co mówią o Guarinim i o poemacie Grazianiego «Conquista di Granada». Orsini daje królowej na te pytania ciekawe odpowiedzi; utrzymuje, że ani w Rzymie, ani w Neapolu, ani nawet we Florencji niema w obecnej chwili żadnego znakomitszego poety, ale natomiast mnóstwo ludzi, zajmujących się literaturą, «bell' ingegni», że «Pastor fido» Guariniego bardzo się podoba tym, którzy o poezji nie mają wyobrażenia, ale natrafia na krytykę ludzi o dobrym smaku. Niektóre ustępy i zwroty godne podziwu, ale cały pomysł komedji i budowa «detestabilissime»; można porównać dzieło Guariniego z posągiem, który niewiele wart i tylko ma ładne ornamenty. O Berninim donosi, że właśnie skończył kaplicę kardynała Cornaro w Santa Maria delle Vittoria, że mówią, iż to bardzo piękne dzieło, ale sam go jeszcze nie widział, więc nie może mieć o niem własnego zdania.

Dwoje tych ludzi, królowa i Orsini, acz się nigdy w życiu nie widzieli, spotkali się w Bracciano jakby dobrzy znajomi, a Paolo Giordano dokładał wszelkich starań, aby się Krystynie przypodobać, i ofiarował jej nawet swój pałac w Rzymie na Monte Giordano na mieszkanie. Królowa jednak wybrała na rezydencję pałac Farnezych, zapewne z tego powodu, że zamek Orsinich był położony w najbardziej zamieszkanej części Rzymu i brak mu było powietrza. Paolo Giordano umarł w rok po przybyciu Krystyny do Włoch.

Podczas gdy królowa zbliżała się do Rzymu, Congregatione de'Riti przez kilka tygodni odbywała nad tem obrady, jak ją przyjąć, jaki ustanowić ceremonjał wizyty u papieża, jaką sumę poświęcić na urządzenie uroczystości powitalnych, jaki udział ma brać towarzystwo rzymskie w festynach i jak panie rzymskiej arystokracji mają być ubrane. Rozprawy nad temi, naówczas ważnemi sprawami tak były ożywione, że kardynałowie zaledwie zgodzić się mogli na ostateczną redakcję ceremonjału wjazdu Krystyny. Nareszcie wysłano dwóch legatów, kardynała Jana Karola de'Medici, brata wielkiego księcia toskańskiego, i Fryderyka, margrabiego heskiego, na dziesięć mil poza Rzym do miejscowości Olgiata, którzy powitawszy tam królową imieniem papieża, zaprosili ją do papieskiej karety. Krystyna zajęła miejsce honorowe w głębi powozu, kardynałowie usiedli naprzeciw niej i w ten sposób po raz pierwszy zbliżała się królowa do Rzymu, w którym tak mieszkać pragnęła. Wjazd miał się odbyć pierwszego dnia «incognito», ale takie tłumy zaległy ulice, że królowa żartowała, iż «incognito» w Rzymie miało zupełnie inne znaczenie, aniżeli gdzieindziej. Publiczność była ciekawa zobaczyć ową królowę, o której mówiono, że jest hermafrodytą i najrozmaitsze o niej rozsiewano wieści. Karety wjechały po siódmej wieczorem wśród gorejących pochodni jedną z bocznych bram, a wbrew wszelkim zwyczajom, wzbraniającym kobietom mieszkania w pałacach papieskich, umieszczono królowę tymczasem w Belwederze, dopóki nie będzie miała własnego pałacu. Papież przyjął ją tego samego dnia, posadził koło siebie na królewskiem krześle, a obopólne wrażenie, jakie odniósł papież i królowa, miało być jak najlepsze.

Ceremonjał jednak, ułożony przez Kongregację obrządków, wymagał publicznego wspaniałego wjazdu. Po dwóch przeto dniach rozmów z papieżem i po dworskich koncertach, danych dla zabawienia gościa, udała się Krystyna do willi papieża Juljusza III za bramę del Popolo i stamtąd jakby triumfatorka wjeżdżała do Rzymu, ubrana za amazonkę, siedząc po męsku na białym koniu, otoczona gwardją szwajcarską. Panie rzymskie nie mogły wyjść z podziwienia i gorszyły się takim strojem; uspokojono je wszakże opowieściami, że Krystyna prowadziła wojny z królem duńskim i że tak wielkiej bohaterce nie przystoi występować publicznie inaczej, jak po męsku. Porównywano ją z królową Sabą. Z polecenia papieża Bernini ozdobił bramę «del Popolo» papieskim herbem: sześcioma pogórkami, z gwiazdą na wierzchu, i wplótł w nie snopki, znaki królowej. Wnętrze bramy było ubrane pysznemi kobiercami i emblematami, odnoszącemi się do imienia, do czynów i do herbów królowej, a na placu oczekiwało Krystynę duchowieństwo, arystokracja i tłumy ludu. Dla pań rzymskich uchylono na ten dzień surowe prawa, zakazujące zbytku

w strojach; to też Colonny, Orsini błyszczały od drogich kamieni i rzadkich pereł. Echo przeszło dwustu strzałów armatnich odbiło się o pagórki, zanim królowa stanęła w Watykanie i uklękła przed ołtarzem w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie jej papież udzielił sakramentu Bierzmowania, dodając do imienia Krystyny jeszcze imię Aleksandry, którego jednak królowa później nie używała. Następnego dnia zaprosił papież królową na obiad, a ponieważ papieże jadają według odwiecznego zwyczaju osobno, więc ustawiono dwa stoliki z małym przedziałem obok siebie tak, aby papież mógł rozmawiać z królową. Stół jednak papieski był cokolwiek wyższy, a tron pokryty czerwonym aksamitem. Krystyna siedziała na krześle, umyślnie dla niej zrobionem, również pod baldachimem, ale niższym od baldachimu papieskiego. Podczas obiadu jezuita Oliva miał kazanie, które dało sposobność królowej do popisania się swą znajomością biblji; po skończonej bowiem oracji robiła Krystyna uwagi nad jakiemś zdaniem, które kaznodzieja przytoczył ze św. Pawła.

Na tym obiedzie zakończyły się uroczystości przyjęcia słynnej «nawróconej», tak, że następnego dnia mogła Krystyna wyprowadzić się do pałacu, który jej książę parmeński, Ranuccio II, ofiarował na mieszkanie. Dwór parmeński sądził, że królowa będzie miała wielki wpływ na papieża i spodziewał się, że ujmując ją sobie, potrafi pozyskać i Aleksandra VII. Chodziło zaś Farnezym o odebranie ziem, które Stolica Apostolska skonfiskowała ich rodzinie. Zresztą Krystyna zajmowała wówczas wszystkie umysły Europy, a Ranuccio spodziewał się, że uprzejmość jego i hojność wobec królowej «rozniesie sławę Farnezych nietylko do najdalszych krajów, ale nawet na krańce całego świata».

Papież na samym wstępie Krystyny do Rzymu obdarował ją cennemi obrazami, wazami z onyksu i agatu i krucyfiksem, zrobionym według podania z drzewa krzyża, do którego Chrystus był przybity, a powiadają nawet, że posłał jej asygnatę do banku na 90.000 hiszpańskich koron. Tego podarunku królowa narazie nie przyjęła, chociaż później niejednokrotnie korzystała z papieskiej hojności. Panowie rzymscy poszli za przykładem Aleksandra VII i ofiarowali znakomitej cudzoziemce konie i powozy.

Było w zwyczaju w Watykanie, że papież co roku kazał bić medal na pamiątkę jakiegoś doniosłego zdarzenia w chrześcijańskim świecie i medal ten rozdawał 29 czerwca, w dzień św. Piotra i Pawła, pomiędzy znakomitości rzymskie. Otóż w roku 1656 uważano przybycie Krystyny za najważniejszy fakt w Kościele i papież kazał wybić Gasparowi Morone i Wojciechowi Hameraniemu dwa medale, na których z jednej strony była przedstawiona głowa Aleksandra VII, a na drugiej wjazd Krystyny do Rzymu przed bramą «del Popolo». Medal Hameraniego piękniejszy, ale rysunek Morona musiał się wówczas bardziej podobać, gdyż papież kazał według niego wybić 214 złotych medali i obdarzył jednym także królowę.

II

Wzajemna radość Aleksandra VII i Krystyny nie trwała długo; prędzej, aniżeli się spodziewać było można, nastąpiło rozczarowanie. W Kwirynale miano dużo do zarzucenia północnej królowej, a i Krystyna nie znalazła w Rzymie tego szczęścia, które się znaleźć spodziewała.

Przedewszystkiem spostrzegł papież, że królowa, pomimo, że złożyła w Insbruku przyrzeczenie należenia do katolickiego Kościoła, jakoś dziwnie pojmowała swoją religijność. Nie była pokutnicą, jak ją sobie Aleksander VII przedstawiał, ale kobietą bardzo światową, wolnomyślną, wyrażającą się nieraz dość krytycznie o obrządkach kościelnych i wogóle skłonną do sarkazmu. Raz podczas mszy papieskiej królowa ciągle rozmawiała z kardynałami i głośno śmiała się, tak, że zgorszony Aleksander VII podarował jej różaniec, upominając, aby się nim posługiwała w kościele. Krystyna, trochę obrażona tą uwagą, odpowiedziała śmiało, że nie myśli być różańcową katoliczką «Non miga voglio essere catholica da bachettone». Nie znosiła hipokryzji. Na zmartwienie Aleksandra VII zakochał się w królowej kardynał Colonna i w sposób tak niewła-

ściwy okazywał jej swoje uczucia, że papież kazał mu wyjechać z Rzymu na czas dłuższy.

Pałac Farnezych stał się najgłośniejszem ogniskiem zabaw, koncertów; śpiew i muzyka prawie tam nie ustawały, a co gorsza, dworzanie królowej rzucili cień na jej sławę. Ci ludzie, pozganiani ze wszystkich krańców Europy, założyli w swych mieszkaniach formalny dom gry i ściągali tam swych znajomych, aby im wypróżniać kieszenie. Hr. Francesco Maria Santinelli i markiz Monaldesco zabierali z pałacu i sprzedawali, co mogli; fabrykantom, którzy dostarczali królowej sreber i powozów, dawali się przekupywać. Służba odrywała galony od nakryć stołowych, aby je sprzedawać, paliła drzwi, aby się ogrzać, a nawet wpadła na pomysł, aby zastąpić duży, srebrny kandelaber podobnym świecznikiem z posrebrzanej miedzi. Raz gdy powóz Pimentela stał przed pałacem, a poseł był u królowej, lokaje pokradli portjery i firanki karety. Usprawiedliwiali się tem, że nie otrzymują regularnie płacy; wkrótce bowiem po przyjeździe Krystyny do Rzymu dochody jej bardzo zeszczuplały, rząd szwedzki nie przysyłał umówionych funduszów i królowa musiała się zapożyczać u bankiera w Hamburgu. Na czele dworu stał wprawdzie Antonio della Cueva, człowiek jeszcze najuczciwszy z całego otoczenia królowej, ale mimo szczerej chęci nie mógł sobie poradzić z tą zgrają rozmaitych awanturników, którymi był otoczony. Rezydent księcia Parmy, Giandemaria, widząc, jak dworzanie niszczą i rabują pałac Farnezych, skarżył się przed papieżem; ale i Watykan niewiele tu mógł pomóc.

Zachowanie się samej królowej, jej swobodne przestawanie z mężczyznami, gorszyło nietylko Aleksandra VII, ale i Rzym cały. Za ostatnich papieży stanowisko kobiety, która w czasach Odrodzenia stała prawie narówni z mężczyzną, zupełnie się zmieniło, zniżono ją, rzec można, do poziomu kobiety na Wschodzie. Bardzo często wydawano przepisy co do przyzwoitości ubioru, a w życiu prywatnem robiono z niej niemal niewolnicę męża. Fałszywa wstydliwość stała się prawem; monsignor governatore kazał w pałacu Farnese poprzykrywać płóciennemi draperjami dolne części renesansowych posągów, zdobiących ogród i pokoje, aby się królowa nie gorszyła! Krystyna drwiła z monsignora, pozdejmowała owe firanki przyzwoitości i zaczęła, jakby naprzekór zbyt wstydliwemu gubernatorowi, skupywać najnieprzyzwoitsze obrazy.

Arystokracja rzymska, chcąc się przypodobać papieżowi, przyjęła królową jak najprzychylniej i nie szczędziła kosztów, aby ją zabawiać. Urządzano dla niej festyny i przedstawienia teatralne. Były kardynał Pamfili, ożeniony z księżniczką Rossano, kazał wybudować przed swym pałacem amfiteatr, aby królowa i arystokracja rzymska mogły się wygodnie przypatrywać maskaradom i wyścigom, a koszta obiadów i bankietów, które książę dawał głównie dla Krystyny, miały wynosić przeszło 40.000 talarów. Barberini nie pozwolili się w tej mierze prześcignąć i na przedstawienia oper i komedyj kazali urządzić teatr, mieszczący 6000 osób. Grano w nim opery pod tytułem: «Il trionfo della pietá o sia la vita umana» melodramat monsignora Giulia Rospigliosi, o którym jużeśmy wspominali. Przez scenę przejeżdżali aktorzy na żywych koniach, przeprowadzano słonie, bawoły, a wodotryski odświeżały powietrze. Barberini wystawili na cześć królowej jeszcze dwa inne melodramaty «Le armi e gli amori» i «Dal male il bene», obydwa według pomysłu monsignora Giulia. Karnawał w roku 1656 nazwano w Rzymie karnawałem królowej. Mimo tych przyjęć i uprzejmości Krystyna zdawała się lekceważyć towarzystwo rzymskie i najznakomitszym rodzinom wyrządzała niegrzeczności. Doszło do tego, że księżna Colonna głośno się odgrażała, iż podczas karnawału znajdą się ludzie maskowani, którzy potrafią królowej dokuczyć w sposób bardzo dotkliwy.

Więcej jeszcze kłopotów, aniżeli towarzyskie zachowanie się królowej, sprawiała Watykanowi jej zmienna polityka. Krystyna przybyła do Rzymu pod protekcją hiszpańskiego dworu, ambasador hiszpański wyjechał naprzeciwko niej, Hiszpanja uważała ją za przyjaciółkę i liczyła na jej wpływ w Szwecji w duchu przyjaznym królowi katolickiemu. W Rzymie, a właściwie w całych Włoszech, istniały wówczas dwa rywalizujące ze sobą i nieprzejednane stronnictwa: hiszpańskie i francuskie, a nawet Święte Kolegjum dzieliło się na dwa wrogie sobie odłamy. Kardynałowie o sympatjach hisz-

pańskich grupowali się około kardynała de'Medici, podczas gdy widomemi głowami przyjaciół Francji byli kardynałowie d'Este i Antonio Barberini. Najrozumniejsi jednak członkowie Świętego Kolegjum, mianowani jeszcze przez Innocentego X, nie chcieli należeć stale do żadnego z tych stronnictw, lecz, trzymali się polityki utylitarnej, mającej na widoku tylko interesa Kurji, i głosowali stosownie do swego przekonania raz z kardynałami hiszpańskimi, to znowu z kardynałami, zostającymi pod wpływem Francji. Niewielka ta grupa nazywała się, jakeśmy mówili, «squadrone volante»; należeli do niej wówczas kardynał de Retz, Ottoboni, Acquaviva, Lomellino, Imperiali, Homodei, a przedewszystkiem kardynał Decio Azzolino, który był duszą stronnictwa i niemałą odegrał rolę w życiu królowej Krystyny. Gdy go Krystyna poznała, był cokolwiek od niej starszy, miał lat trzydzieści dwa i odrazu się jej bardzo podobał. Azzolina opisują jako mężczyznę wysokiego wzrostu, o nadzwyczaj żywem oku, wesołej twarzy; szpecił go tylko brzydki, nieforemny nos, chociaż na portrecie, znajdującym się w galerji berlińskiej, nie znać tej niekształtności; być może, że malarz upiększył kardynała. Daleko świetniej wygląda Azzolino na medalach, które Krystyna kazała zrobić M. Soldaniemu. Twarz otwarta, ujmująca, chociaż znać na niej pochlebstwo artysty. Na odwrotnej stronie kazała Krystyna wybić orła zapatrzonego w słońce, z napisem wziętym z Horacego «expertus fidelem», «wypróbowanej wierności». W biurach papieskich nazywano Azzolina za Innocentego X orłem i ptak Jowisza został na zawsze znakiem kardynała. W dojrzalszych latach był Azzolino skłonnym do otyłości, ale w czasie, kiedy się do Krystyny zbliżył, postać jego tuszą nie raziła. Nadzwyczaj przyjemny w rozmowie, wykształcony, rozumny, został od pierwszego poznania najmilszym gościem królowej, która się wybornie z nim bawiła i po kilka godzin u siebie zatrzymywała. Znalazły się zawsze jakieś interesa, które dawały Krystynie powód, aby pisać do swego ulubieńca, tak dalece, że ta szybkim krokiem postępująca przyjaźń zwróciła uwagę papieża i kardynał uważał za potrzebne prosić Ojca Sforzę, powiernika papieskiego, aby



Kardynał Decio Azzolino
Według portretu w galerji berlińskiej

Do str. 348 Fot. Hanfstängl, Monachium



zapewnił Aleksandra VII, że stosunek jego z królową jest najzupełniej niewinny.

Gorzej, aniżeli w Kwirynale, zapatrywano się na tę przyjaźń w ambasadzie hiszpańskiej, gdzie Azzolina pomimo mniemanej neutralności politycznej uważano za niebezpiecznego nieprzyjaciela, zwłaszcza, że kardynał odegrał już w sprawie kardynała Astalli rolę wrogą Hiszpanji. Ambasador hiszpański, duca di Terranova, zwracał kilkakrotnie uwagę królowej na jej nieprzychylne zachowanie się wobec Madrytu i doszło nawet do tego, że hiszpańscy dworzanie Krystyny, Pimentel i della Cueva, nie towarzyszyli swej pani na przedstawienia «Heracliusa» Corneilla u pana de Lionne, ambasadora francuskiego w Rzymie. Stosunki pomiędzy posłami Hiszpanji i Francji tak się wówczas zaostrzyły, że duca di Terranova uważał niemal za akt nieprzyjacielski, jeżeli ktoś ze sprzymierzeńców hiszpańskich bywał we francuskiej ambasadzie. Z powodu częstych wizyt Azzolina u królowej przyszło nawet pomiędzy nią a jej wielkim koniuszym do bardzo nieprzyjemnych starć tak dalece, że della Cueva prosił Krystynę o uwolnienie go ze służby i wrócił do Flandrji, zabierając ze sobą część Hiszpanów, stanowiących gwardję królowej. Krystyna starała się swego dygnitarza zrazu ułagodzić, ofiarowała mu aż siedm koni w podarunku; gdy jednak Don Antonio obstawał przy swojej dymisji, uwolniła go ze służby, a na miejsce Hiszpanów przyjęła żołnierzy z Perugji i ubrała ich w czerwone i czarne spodnie, podobnie jak później umundurowano papieską gwardję szwajcarską. Pimentel także się zupełnie od królowej odsunął i więcej u niej nie bywał. Hiszpanie, mieszkający w Rzymie, taką nienawiścią zapłonęli ku królowej i papieżowi, że podburzeni przez Adriana Velli, kamerdynera ambasady hiszpańskiej, uknuli spisek, aby na dany znak podpalić wszystkie składy siana, zrabować Rzym i uwzięzić Aleksandra VII wraz z królową szwedzką. Policja papieska jednak dość wcześnie się o tych zamiarach dowiedziała, aby je unicestwić.

Ta niechęć Krystyny do Hiszpanji miała także i polityczną podstawę. Karol Gustaw zajął wtedy znaczną część Polski, a królowa zabór ten uważała za tak stały, że nawet starała się o to, aby Szwecja darowała jej wielkie dobra w Polsce

wzamian za dochody, które ze swych posiadłości szwedzkich bardzo nieregularnie otrzymywała. W ostatnich czasach jednak Hiszpanja zaczęła okazywać coraz więcej przyjaźni Polsce, gdyż uważała rozszerzenie się posiadłości szwedzkich w środkowej Europie za niebezpieczne dla domu Habsburgów. Te polskie sympatje gniewały królowę, one mogły bowiem zniszczyć jej nadzieje otrzymania w Polsce ziemskich posiadłości.

Wskutek zajść z della Cuevą i Pimentelem napisała królowa rodzaj pamfletu, który szumnie nazwała «Manifesto della Regina di Svezia» i rozesłała najznakomitszym osobistościom. W piśmie tem zaznaczyła przedewszystkiem, że już w drodze z Ferrary do Rzymu poznała kilku kardynałów, «dello squadrone volante», z którymi, jako z niepospolitymi ludźmi, prowadziła przyjemne rozmowy. Otoczenie jej hiszpańskie zaczęło być z tego powodu zazdrosne, ale królowa nie była obowiązana ślepo iść za radami Hiszpanów i stosować się do ich intencyj, mogła zawierać przyjaźnie, z kim się jej podoba. Hiszpanom nie podobało się później, że kardynałowie Barberini, Imperiali, Borromeo i Azzolino często ją odwiedzają; uważali więc za stosowne donieść o tem papieżowi, a gdy ich skargi nie sprawiły na Jego Świątobliwości tego wrażenia, jakiego się spodziewali, zaczęli spiskować przeciw królowej w domu kardynała de'Medici, lub ambasadora, księcia de Terranova. Do tych schadzek należeli oprócz niektórych kardynałów, Don Antonio Pimentel, D. Antonio della Cueva i kilka innych osobistości ze stronnictwa hiszpańskiego. Królowa opisała w dalszym ciągu manifestu, w jaki sposób oddaliła z powodu wymierzonych przeciw niej intryg swego koniuszego i że byłaby go kijem obiła, gdyby nie był jenerałem króla Hiszpanji. Wreszcie dodała, że prosiła kardynała de'Medici, protektora Hiszpanji, aby o tych zajściach doniósł do Madrytu.

Wskutek dziwacznego manifestu poróżniła się Krystyna także zupełnie z hiszpańskim dworem i ze stronnictwem hiszpańskiem w Rzymie, a na kardynała Medicego tak się zawzięła, że później, robiąc próby swoich armat, kazała mierzyć do willi Medici. Ponieważ działa królowej niedaleko niosły, szkoda, wyrządzona murom kardynalskim, nie była wielka, ale jeden z późniejszych podróżników opowiada, że widział ślad owych zbrojnych ćwiczeń na murach willi Medici.

Te wszystkie oznaki porywczości królowej musiały zaniepokoić jej przyjaciół, a przedewszystkiem Azzolina, który chciał zwrócić jej zbyt żywy umysł na inne pole, godniejsze stanowiska, jakie zajmowała.

Zdaje się, że kardynał poddał jej myśl, aby w Rzymie popierała teatr i literaturę i aby w tym celu założyła akademję «delle Scienze morali». Ponieważ Krystyna prawie zawsze szła za radą przyjaciela, więc tak szybko urzeczywistniła jego projekt, że już dwudziestego stycznia 1656 odbyło się pierwsze zgromadzenie literatów w pałacu Farnese. Do składu akademji zaprosiła królowa najuczeńszych ludzi w Rzymie, a chcąc im uprzyjemnić mądre rozprawy, urządzała po każdem posiedzeniu koncerty. Narazie jednak do wielu obrad nie przyszło, królowa była jakiś czas chora, a z wiosną morowa zaraza strasznie się szerzyła w Neapolu i obawiano się, aby nie wybuchła w Rzymie. Krystyna postanowiła więc wyjechać na Północ, tem bardziej, że fundusze jej coraz bardziej zaczęły się wyczerpywać. Chciała uregulować swoje szwedzkie dochody, a nadto miała nadzieję, że potrafi uzyskać we Francji wypłacenie jej sum, do których, jako była królowa Szwecji, rościła sobie prawo po ostatnich wojnach. Tymczasem jednak, chcąc zapełnić kasę, zastawiła za pośrednictwem Monaldeska u markizy Palombary cztery diamenty za sumę 2.200 i pięć innych w Monte di Pietá za 6.500 talarów. Nadto kardynał Antonio Barberini pożyczył jej 3.000 na zastaw diamentu, który miał mieć sześć razy większą wartość, a wreszcie Aleksander VII dał jej na drogę 10.000 talarów i pozwolił, aby cztery papieskie galery odwiozły ją do Marsylji. W Kwirynale zapanowała radość, gdy niewygodna królowa wyjechała dnia 19 czerwca 1656, zwłaszcza, że się obawiano, że Szwecja nie będzie jej przesyłać przyobiecanych dochodów i że zajdzie potrzeba utrzymywania Krystyny ze skarbu papieskiego. Byłaby to zanadto kosztowna konwertytka.

Krystyna wyjeżdżała jednak bardzo smutna, tak, że mimo hartu swego charakteru zalewała się łzami, a otoczenie jej zauważyło, że wyciągała ciągle z kieszeni jakąś minjaturę

i wpatrywała się w nią uporczywie. Nie wątpiono, że był to portret Azzolina.

Do Cività Vecchia jechała konno wraz z całem swem otoczeniem, które się teraz składało z samych Włochów; następnie chciała wylądować w Genui, ale rzeczpospolita obawiając się zawleczenia zarazy, nie pozwoliła jej wysiąść na ląd, a chcąc osłodzić tę odmowę, przysłała królowej konfitur w wartości pięciuset koron. Popłynęła Krystyna więc wprost do Marsylji, gdzie zastała księcia de Guise, który ją powitał imieniem króla. Przyjmowano Krystynę wszędzie bardzo świetnie; czwartego września stanęła w Fontainebleau, a 8 tego miesiąca odbyła wjazd publiczny do Paryża. Wjazd ten powszechną zwrócił uwagę, cały wielki świat paryski bowiem był ciekaw zobaczyć królowę, o której powszechnie mówiono. Pani de Montpensier, córka Gastona d'Orleans, brata Ludwika XIII, pierwsza z kobiet wielkiego świata paryskiego, powitała ją koło Fontainebleau. Królowa zrobiła na nią wrażenie małego, ładnego chłopaka, przebranego za kobietę. Miała na sobie jasno szaraczkową suknię, obszytą złotemi i srebrnemi koronkami, na szyi chustkę koronkową «point de Gênes», związaną pąsową wstążką, a na głowie jasną perukę i kapelusz z czarnemi piórami. Zachowanie się Krystyny raziło Francuzkę; królowa rozkładała się w karle, nogi jej były ciągle w ruchu, przybierała pozycje bardzo nieprzyzwoite i głośno rozprawiała. Aby ją uczcić, przedstawiano balet i grano komedję, podczas której Krystyna najdziwaczniej się zachowywała, a gdy się jej jakie zdanie w komedji podobało, klęła się na Boga; chwilami wzdychała, albo budziła się, jak ze snu, wogóle robiła wrażenie dziwaczki. Gdy po skończeniu przedstawienia towarzystwo poszło oglądać ognie sztuczne, zwierzyła się królowa pani de Montpensier, że najgorętszem jej życzeniem byłoby brać udział w bitwie i zazdrości księciu Kondeuszowi, że mógł tak często być w ogniu. W czasie tych przyjęć i festynów dziwiło ją, że panie, które się jej przedstawiały, chciały ją całować. «Cóż za namiętność całowania mają te panie!» mówiła, «czyżby z tego powodu, że podobną jestem do mężczyzny?»

Do Paryża wjeżdżała Krystyna, podobnie jak do Rzymu, na białym koniu, siedząc na nim po męsku, z pistoletami u siodła. Oddział tysiąca konnicy towarzyszył jej, a 15.000 uzbrojonego mieszczaństwa wyszło na jej spotkanie. Królowa udała się najprzód do kościoła, do Notre-Dame, a następnie do przygotowanego dla niej mieszkania w Louvrze. Po kilkudniowym pobycie w Paryżu pojechała do Compiègne, gdzie przebywał król i królowa matka, i tam jeszcze gorsze, aniżeli w stolicy, zrobiła wrażenie. Niedbale zazwyczaj ubrana, w rozczochranej peruce, wywoływała złośliwe uwagi, a jedna z dowcipnych pań nazywała ją z tego powodu «une Egyptienne dévergondèe»; krytykowano jej koszule, zrobione na sposób koszul męskich, nie podobało się jej obuwie, także podobne do męskich butów. Zresztą postępowanie królowej niezawsze było dość oględne. I tak, widząc, że król zajęty panną Mancini, ciągle starała się siadać pomiędzy kochającą się parą, a nawet dawała królowi rady, że powinien pojąć za małżonkę tylko tę kobietę, którą kocha. Wogóle zarzucano Krystynie brak taktu, a być może, że tu i ówdzie podrażniła swoją oryginalnością towarzyską wrażliwość Francuzów. Z listu wszakże, jaki napisała do Azzolina, widzimy, że szybko zorjentowała się w obcym kraju i wybornie poznała cały ustrój państwowy i towarzyski Francji.

Donosiła przyjacielowi, że król bardzo zakochany w Mancini, ale postępuje wobec niej z tak cnotliwą bojaźnią, że zapewne przez trzy lata od czasu, jak trwa ten stosunek, nawet końca jej palca nie dotknął; ona zaś umie być cnotliwą i okrutną, rozkoszuje się, widząc u swych stóp jednego z największych monarchów świata. Krystyna ma jednak przekonanie, że nie pozwoliłaby mu umrzeć z cierpienia. Ma zresztą słuszność, «non merita pietà, chi non la chiede». Francją nie rządzi król, lecz kardynał Mazarin, którego łaska królowej tak wysoko wyniosła. Stosunek jednak pomiędzy nim a królową jest li tylko przyjacielski, gdyż królowa jest najcnotliwszą kobietą w świecie, która nigdy nie zboczy z drogi honoru. Cały dwór składa się z przyjaciół i protegowanych kardynała, ktokolwiek zaś poważyłby się rzucić cień na jego wielkość, opłaca swą śmiałość utratą stanowiska albo wygnaniem.

Krystyna chciała wyzyskać ten wpływ kardynała. Tę-

skniła już za władzą i żałowała w duchu, że się tak lekko pozbyła korony. Pragnęła teraz zamiast swego utraconego królestwa północnego zapanować nad pełnym słońca południowym krajem. Nie zważając na tak niedawną jeszcze przyjaźń z Filipem IV hiszpańskim, powzięła myśl z pomocą Francji wyrzucić Hiszpanów z Neapolu, osiąść tam na tronie i zapewnić następstwo po sobie jednemu z książąt francuskich. Do osiągnięcia tego celu miała jej dopomóc armja królewska i owe 900.000 talarów, które winien był jej skarb francuski tytułem kosztów wojny trzydziestoletniej. Mazarin nie zniechęcał Krystyny do tego awanturniczego planu, gdyż sądził, że wyprawa królowej na Neapol mogłaby być postrachem wobec Hiszpanów, ale też i niczego nie przyobiecywał, radząc tylko, aby się królowa starała pozyskać papieża dla swojej myśli. Krystyna widziała się już panią Neapolu i wybrała się śpiesznie napowrót do Włoch, zwłaszcza, że podróży do Szwecji musiała teraz zaniechać, gdyż król był na wojnie w Polsce i nie można z nim było mówić o pieniężnych sprawach. W przewidywaniu napadu na Neapol wyrobiła królowa u Mazarina nominację swego Monaldeska na «maréchal de camp« wojska francuskiego, które wtedy stało we Włoszech pod dowództwem księcia Franciszka I modeńskiego.

W Rzymie panowała jeszcze morowa zaraza; więc królowa postanowiła przebyć zimę w Pesaro, gdzie jej Aleksander VII pozwolił zamieszkać w dawnym książęcym, teraz papieskim pałacu. Monaldesco stał się pierwszą osobistością dworu, miał tytuł wielkiego koniuszego i był wtajemniczony we wszystkie polityczne plany swej pani. Niespokojna o losy swej wyprawy na Południe, wysłała go królowa z Pesaro napowrót, aby prosił Mazarina o szczegółowe rozkazy, a przedewszystkiem przywoził choćby mały zadatek na rachunek owych 900.000 talarów, których zwrotu królowa tak bardzo wyglądała.

Tymczasem gospodarstwo Krystyny znajdowało się w rozpaczliwym stanie. Obok Monaldeska głównym zarządcą dworu był Franciszek Santinelli, wielki Szambelan, a jeszcze większy rabuś. Ci dwaj dygnitarze gospodarowali pieniędzmi swej pani na korzyść własnej kieszeni, królowa zaś, nie zważając na coraz to szczuplejsze dochody, przyjmowała nowych dworzan, i tworzyła sobie w nadziei opanowania Neapolu «gwardję szwajcarską» z awanturniczej młodzieży włoskiej pod dowództwem jakiegoś nieznanego kondotjera, Tenderiniego. Nadto przyjęła na dwór swój hr. Rangoniego z żoną Barbarą i małżeństwo Vicino Orsini, ale nie ze słynnego rodu książęcego Orsinich. Czem te dwa małżeństwa miały być zajęte, nikt nie wiedział; nie służyły nawet do ozdoby otoczenia, gdyż donna Barbara miała już blisko lat pięćdziesiąt i «oko martwe, pozbawione blasku», tudzież jeden ząb czarny pomiędzy białemi, a pani Orsini była jeszcze starszą i tak się malowała na biało i czerwono, że wyglądała «jak sztandar landgrafa heskiego, ówczesnego kardynała». «Ta nie miała zupełnie zębów, ale natomiast spowiadała się i przyjmowała komunję kilka razy na tydzień».

Baron Bildt przytacza w swem dziele «Christine de Suède et cardinal Azzolino» ustęp z listu Monsignora Gaspara Laskarisa, wicelegata papieskiego w Pesaro, do Azzolina, w którym dowcipny prałat opisuje swoją wizytę u królowej i mówi, że ją zastał piękniejszą, aniżeli zwykle; miała na sobie suknię z czarnego aksamitu, ubraną niebieskiemi wstążkami, z bardzo ładnym kołnierzem męskim (zapewne koronkowym). Wyglądała tak ładnie, że można było oszaleć, osobliwie, gdy wzięła do ręki jakąś komedję francuską i zaczęła czytać przy blasku woskowej świecy. Czytała rolę Diany, zakochanej w Endymionie, i tak czule deklamowała, że «chociaż się nazywam Lasca, mówi prałat, byłem raczej podobnym do cefalo» [1]).

Pomimo pustek w kasie królowa bawiła się wybornie w Pesaro, dawała bale, urządzała wycieczki w okolice, zwiedzała klasztory, a gdy coraz mniej było pieniędzy, wysłała Santinellego do Paryża, aby zachęcał Monaldeska do jak najrychlejszego załatwienia sprawy z Mazarinem. W istocie też obydwaj posłowie powrócili w lutym i przywieźli ze sobą piętnaście tysięcy talarów w złocie, zamiast trzech kroć stu tysięcy, które królowa spodziewała się otrzymać. Z tych 15.000 dała zaraz Franciszkowi Marji Santinellemu odpowiednią

[1]) Nieprzyzwoita gra słów: Lasca i cefalo są nazwami ryb, ale ostatni wyraz oznacza także męską siłę.

kwotę, aby pojechał do Rzymu, wykupił diamenty, zastawione u markiza Palombary, złożył je w depozyt u kardynała Azzolina, a resztę pieniędzy użył na uporządkowanie pałacu Farnese, spodziewała się bowiem wrócić do Rzymu w jesieni. Santinelli wykupił wprawdzie diamenty, ale zastawił je zaraz u jakiegoś żyda, a nadto pieniądze, przeznaczone na urządzenia pałacu, obrócił na własne wydatki, zabrał srebro królowej, kazał zamiast herbów szwedzkich wyryć na nich własne, posprzedawał półmiski, talerze i kandelabry, popalił kosztowne harfy, aby z nich wydobyć złoto i srebro.

Tymczasem królowa pojechała na Ferrarę i Modenę do Francji, gdzie się zatrzymała w Fontainebleau, albowiem Mazarin zwlekał pod różnemi pozorami zaproszenie jej na dwór królewski, obawiając się niewygodnego gościa, który mógł rządowi narobić niepotrzebnych kłopotów z Hiszpanją. Królowa jednak nie dorozumiewała się dwuznacznej gry wszechmocnego ministra, i gotowała się do wyprawy na Neapol, jakgdyby już Francja na nią się zgodziła. Zaczęła od sprawiania sukien, od zamówienia sześciu kaftanów w różnych kolorach, z osobną do każdego szpadą, dwóch par rękawiczek i pary butów do konia, kazała zrobić czterdzieści mundurów z fioletowego sukna, wyszywanych czerwonemi i białemi sznurami, dla gwardji szwajcarskiej, sto dwa mundury dla zwykłej gwardji, dwa dla trębaczów, dwanaście ubrań dla paziów pokojowych, dwadzieścia cztery dla lokai, trzy dla furmanów, dwadzieścia cztery dla posługaczy i t. d. We wszystkich tych mundurach przeważał kolor fioletowy i tylko ukochany kamerdyner Clairet Poissonnet otrzymał szarą liberję, wyszywaną złotem i czarnym aksamitem.

W czasie tych krawieckich zajęć stał się mały dwór królowej widownią wielkiej tragedji.

Jakiś przyjaciel Monaldeska w Rzymie, nazwiskiem Peruzzi, donosił mu o kradzieżach i sprzeniewierzeniach, jakich się Francesco Santinelli na szkodę królowej dopuszczał. Wielki koniuszy wszakże nie ostrzegł o tem swej pani, obawiając się zapewnie, aby wielki podkomorzy nie wyjawił podobnych przekroczeń, które on sam miał na sumieniu. Ci dwaj dworzanie byli już od dłuższego czasu, zdaje się, od pobytu

w Pesaro, wrogo względem siebie usposobieni, a królowa zaczęła od pewnego czasu podejrzywać Monaldeska, że ją zdradza, że mianowicie polityczne jej plany co do Neapolu wyjawia Hiszpanom. Monaldesco widocznie spostrzegł nieufność swej pani, a chcąc siebie ratować przez skierowanie podejrzenia na Santinellego, który bawił w Rzymie i bronić się nie mógł, postanowił użyć podstępu. Mając pismo podobne do pisma Santinellego, ułożył kilka listów, jakoby od niego, do różnych osobistości pisanych, i postarał się o to, aby je królowa przeczytała. Krystyna przekonana, że ma zupełne prawo otwierać pisma dworzan, które jej się zdawały podejrzane, przeczytała owe listy, które miały posłużyć za dowód, że Santinelli okrada swą panią, że przed obcymi wyjawia jej stosunek z Azzolinem, a co najważniejsza, zdradza Hiszpanom układy z Mazarinem. Krystyna odrazu miała podejrzenie, że listy te pisał Monaldesco, a nie Santinelli; zaczęła śledzić jego postępowanie i przyszła wkrótce do przekonania, że Santinelli nie ma stosunków z Hiszpanami, ale że zdrajcą jest Monaldesco. Wywarła więc straszną zemstę. Obawiając się, aby Monaldesco nie uciekł, kazała go pod jakimś pozorem zawołać 20 listopada do «Galerie de Cerfs», gdzie kapitan gwardji już drzwi swoimi ludźmi poobsadzał.

Królowa weszła tam niebawem, opierając się na czarnej hebanowej lasce, a w jej towarzystwie był przeor miejscowy, który trzymał paczkę listów, udawadniających zdradę Monaldesca. Krystyna zaczęła winnemu wyrzucać podłe postępowanie; Monaldesco się tłumaczył, ale królowa, nie zważając na usprawiedliwienia, zwróciła się szybko do przeora, mówiąc: «Ojcze, pozostawiam Wam tego człowieka; przygotujcie go na śmierć, miejcie staranie o jego duszę». Przeor i Monaldesco rzucili się do nóg królowej, błagali o łaskę; ale królowa się odwróciła, wyszła z galerji, a trzech ludzi z gołemi mieczami w ręku otoczyło winnego. Monaldesco blady, drżący na całem ciele, jeszcze raz zwrócił się do przeora i zaklinał go, aby poszedł do królowej i skruszył jej serce. Zakonnik zastał Krystynę spokojną, ale nieugiętą; wrócił więc, zaczął spowiadać markiza, który prawie odchodził od przytomności i w różnych językach, to po łacinie, to po włosku i francusku grzechy swe

wyjawiał. Po skończonej spowiedzi, odmówił przeor nad straceńcem modlitwę, a jeden ze zbrojnych, brat Franciszka, Ludwik Santinelli, pierwszy przeciął mu gardło. Cięcie jednak nie było śmiertelnem, tak, że Monaldesco jeszcze z kwadrans oddychał i dopiero inni towarzysze sztyletami biedaka dobili.

Wiadomość o zamordowaniu Monaldesca jak najgorsze w Paryżu sprawiła wrażenie, skazanie go na śmierć w granicach Francji ubliżało władzy monarszej króla francuskiego; to też Marazin natychmiast wysłał dwóch zaufanych do Fontainebleau, aby przedstawili rzecz królowej i prosili ją o rozgłoszenie, jakoby śmierć Monaldesca nastąpiła wskutek krwawej bójki pomiędzy dworzanami. Ale Krystyna dumnie odpowiedziała, że nigdy nie zapiera się swych czynów «i nie zna nikogo tak potężnego na świecie, ktoby ją mógł skłonić do podobnego kłamstwa». Tak dalece nawet nie zrozumiała obelgi, jaką uczyniła Francji, że w miesiąc po zamordowaniu Monaldesca prosiła Mazarina o jakie księstwo dla Franciszka Santinellego, brata mordercy. Rzecz prosta, że kardynał nie spełnił tego żądania; ale chcąc używać królowej jeszcze za postrach wobec Hiszpanów, pożyczył jej 50.000 talarów, aby miała zaco wrócić do Rzymu. Ponieważ zaś Farnese nie chciał dalej wynajmować swego pałacu królowej na mieszkanie, więc kardynał Mazarin, żeby jej się tem pewniej pozbyć z Francji, ofiarował Krystynie swój własny pałac w Rzymie na Monte Cavallo.

III

Wróciwszy 15 maja 1658 do Rzymu, doznała tam Krystyna na dworze papieskim chłodnego przyjęcia. Aleksander VII nie odpisał nawet na list, którym zapowiadała swój przyjazd, nie chciał jej przyjąć w Castel Gandolfo, gdzie wówczas mieszkał, i tylko posłał na powitanie królowej bardzo obfite «rinfresco», składające się z tylu koszów z owocami, konfiturami, dziczyzną i winem, że potrzeba było dwudziestu czterech ludzi, aby je zaniosło.

Pałac Mazarina leżał tylko o kilkadziesiąt kroków od Kwirynału, a to bliskie sąsiedztwo z Krystyną nie było papieżowi wcale na rękę; używał więc wszelkich sposobów, aby

królowa obrała inną część miasta za mieszkanie. Co więcej, miał coraz to większe obawy, że «niespokojna konwertytka» stanie się dlań wielkim ciężarem. W braku funduszów królowa zaczęła zastawiać w bankach, co tylko mogła, nawet jej płaszcz królewski, haftowany w złote korony i podszyty gronostajami, dostał się do Monte di Pietà, a co najgorsza, powierzyła znowu swoje interesa Santinellemu. Wielki szambelan dawał jej do podpisu kwity, których nie czytała, kupował imieniem królowej ubrania, bieliznę, broń i sprzedawał zaraz te przedmioty lub posyłał je do Pesaro. Nie na tem koniec; Santinelli rozpoczął romans, który mógł królową poróżnić z papieżem. Zapoznał się z młodą wdową po księciu de Ceri, Anną Marją Aldobrandini, podobał się jej i pomimo oporu rodziny pięknej kobiety, ufał, że ją zaprowadzi do ołtarza. Santinelli miał już w Rzymie jak najgorszą sławę, a nawet mówiono o nim, że otruł księcia Ceri. Otóż prosił on królowę o popieranie swoich zamiarów, a Krystyna, zostająca jeszcze pod wpływem zręcznego dworzanina, chętnie obiecała swą pomoc, pisała nawet do księcia Parmy, krewnego Cerich, aby go dobrze dla zakochanych usposobić. Papież, będący wręcz przeciwny połączeniu się księżnej z Santinellim, bardzo to za złe wziął Krystynie, a nadto, znając jej awanturniczy umysł, obawiał się, aby w neapolitańskiej sprawie nie zrobiła jakiego nierozsądnego kroku, któryby go poróżnił z hiszpańskim dworem. Aleksander VII, podejrzywając Krystynę, że zacznie cichaczem zaciągać awanturników na przyszłą swą wyprawę, kazał ustawić oddział gwardji naprzeciwko jej mieszkania i czuwać, aby tam broni nie wnoszono, a nawet rozporządził, aby w nocy miano baczność, co się dzieje w pałacu. Krystyna dość humorystycznie przyjęła te środki ostrożności, mówiąc, że z papieża zły wojownik, bo pierwej zaopatrzył twierdzę w żywność, a dopiero potem ją oblega. Aleksander VII stracił jednak cierpliwość i kazał powiedzieć królowej, że możeby lepiej było dla niej wyjechać z Rzymu na mieszkanie do innego miasta, gdyż miałaby tam więcej swobody, aniżeli pod opieką Stolicy Apostolskiej. Przed posłem weneckim skarżył się, «że ta dumna nad miarę kobieta urodziła się w barba-

rzyńskim kraju, została po barbarzyńsku wychowana i żyje dalej w swych barbarzyńskich zwyczajach».

Obawy jednak papieża co do przygotowań na wyprawę neapolitańską były płonne; Santinelli postarał się o to, że mundury przeznaczone dla «wojsk» królowej powędrowały do żydów w Ghetto, a sama zresztą Krystyna powoli ostygła w swych zapałach do zdobycia tronu neapolitańskiego, gdyż nowy projekt polityczny ją zajmował: ułożyła sobie doprowadzić do skutku wielką unję chrześcijańskich panujących przeciw Turkom i zachęcała posła weneckiego w Rzymie, Angela Correr, aby jej dopomagał w tych zamiarach. Chciała nawet uzbroić pułk ochotników, któryby pod rozkazami Wenecji walczył przeciw niewiernym. Na czele tej siły zbrojnej miała zamiar postawić Ludwika Santinellego, mordercę Monaldesca, i zdaje się, że w całym tym planie chodziło jej głównie o wyniesienie swego ulubieńca. Na pierwsze potrzeby nowej wojny krzyżowej dała nawet Correrowi 3.100 talarów, które Wenecjanin przyjął, jako dobry kupiec, ale równocześnie pisał do swojej Signorji, «że królowa zrobiła wielkie poświęcenie, dając te pieniądze, widział bowiem szkatułkę królowej, ale było w niej dość pusto».

Szczęściem, że obok tej kobiety, snującej ciągle fantastyczne projekty i dającej się okradać swym zaufanym dworzanom, stanął człowiek rozsądny, który rzeczywistą powziął ku niej sympatję i zczasem potrafił nad nią zupełnie zapanować. Był to kardynał Azzolino.

Zręczny kardynał potrafił z pomocą jezuity, Ojca Sforzy Pallavicini, tudzież weneckiego ambasadora ułagodzić papieża i skłonić królowę, aby oświadczyła, że nie będzie popierała małżeństwa Santinellego z księżną de Ceri, dowiedziawszy się, że Jego Świątobliwość nie życzy sobie tego związku. Papież kazał osadzić księżnę w klasztorze św. Sylwestra; ale gdy się dowiedział, że kochankowie mimo klauzury pisywali do siebie, znalazł dla niej twarde więzienie, w którem już tyle kobiet wzdychało do wolności. W nocy 31 grudnia 1658 przewieziono księżnę niespodziewanie do zamku św. Anioła, a Azzolino, wskutek nalegań Aleksandra VII nakłonił królową, aby wydaliła z Rzymu Santinellego. Był to dla Krystyny ciężki warunek, ale umiała swemu ulubieńcowi osłodzić wygnanie. W ostatnich czasach powstał w jej wyobraźni nowy polityczny projekt, który pomimo, że wymierzony był przeciw własnej ojczyźnie, przeciw Szwecji, bardzo ją zajmował, gdyż miał powiększyć jej dochody. Królowa chciała namówić cesarza, aby odebrał Szwedom Pomorze, które chwilowo zajmowali, i wysłał w tym celu dwudziestotysięczną armję pod wodzą Montecucculego. Królowa pobierałaby dochody z księstwa jako dożywocie, a po jej śmierci Pomorze wróciłoby do cesarstwa. Krystyna więc wysłała Santinellego do Wiednia z tym dziwacznym planem i w ten sposób stało się zadość woli papieża. Ale ulubieniec królowej grał w Wiedniu rolę ambasadora, wydawał dużo pieniędzy i przedłużał swój pobyt w cesarskiej stolicy. Wskutek tego królowa surowo go w liście skarciła, a gdy pierwsze napomnienie nie skutkowało, wysłała drugie pismo, w którem mu wypowiedziała służbę, «gdyż jego głupstwa już jej obrzydły».

Azzolino zwyciężył, a zwycięstwo było zupełne, gdy się królowa dała namówić na wyprowadzenie się z pałacu Mazarina. Najęła pałac Riario na Lungarze, dzisiejszy pałac Corsinich, i dogodziła papieżowi; przegradzał ją Tyber od Monte Cavallo. Kardynał także wolał, aby w Kwirynale niezbyt zbliska śledzono jego stosunki z królową, które stały się tak ścisłemi, że wymagały osłony.

Kronikę dziejów serca Krystyny aż po wystąpienie Azzolina bardzo trudno spisać. Ulubieńców, faworytów, dopóki zasiadała na tronie, miała wielu, jak każda młoda królowa. Wymieniano doktora Bourdelet, sympatycznego Francuza, koniuszego Steinberga, dyplomatę Dohna i sporo innych; ale pomiędzy tymi innymi odznaczał się swą rycerskością, swą świetnością młody magnat szwedzki, pochodzący z francuskiej rodziny, Magnus Gabriel de la Gardie. Krystyna miała lat 20, gdy się zajęła dwudziestopięcioletnim wówczas młodzieńcem, i zaczęła go obsypywać łaskami i podarunkami. W przeciągu lat kilku mianowała Magnusa, z oficera niższego stopnia, pułkownikiem, generałem, ambasadorem, senatorem i wielkim marszałkiem dworu, dała mu mieszkanie w swym pałacu, tak, że go powszechnie uważano za kochanka kró-

wej i gorszono się jego nadzwyczaj szybkiem wyniesieniem do wysokich godności. Ale po kilku latach wielki marszałek naraził się swej pani, dworzanie zaczęli przeciw niemu intrygować; królowa nazwała go kłamcą, pijakiem i ożeniła z pokrewną sobie księżniczką, Marją Eufrozyną. De la Gardie jednak nie zasłużył na obelżywe nazwy; był to człowiek niepospolity i lubiany w wojsku.

Później, jak się zdaje, Krystyna dość po męsku obchodziła się z sercowemi sprawami i małych grzeszków nie zapisywała na wielki rachunek. W pierwszej swej podróży z Włoch do Paryża miała za towarzysza, jakeśmy wspomnieli, księcia de Guise. Książę był równie zręcznym na wojnie i w robieniu bronią, jak w stosunkach z kobietami; nie należał do młodzieży i przeszedł różne koleje, ale pomimo, że go Hiszpanie jakiś czas więzili w Segovji, namiętności w nim bynajmniej nie ostygły. Królowa miała wprawdzie jeszcze ciągle minjaturę z portretem Azzolina w kieszeni, ale kardynał był daleko, a duc de Guise blisko. Otoczenie królowej spostrzegło, że stosunek pomiędzy Krystyną a księciem zawiązał się szybko, i że w Paryżu trwał dalej. W stolicy Francji mówiono jeszcze o innych miłostkach królowej, ale były to zapewne wymysły ludzkiej złośliwości.

Rzymianie nie ustępowali w obmowie Paryżanom; opowiadano tam głośno o stosunku królowej do kardynała, który zresztą stał się opatrznością Krystyny, zmienił służbę w pałacu Riario, przekonał swą przyjaciółkę, że Santinelli ją okradał i wyzyskiwał. Królowa kazała wskutek tego wytoczyć proces swemu niedawnemu ulubieńcowi, ale ostrożny conte uciekł z Rzymu, a szczęśliwy, jak zawsze, ożenił się wkrótce z uwolnioną z zamku św. Anioła księżną Ceri i jak wieść niesie, był bardzo dobrym małżonkiem. Dwór Krystyny składał się odtąd z samych osobistości oddanych Azzolinowi; sekretarzem jej został ksiądz Matteo Santini, człowiek prawy i pracowity, który prowadził korespondencję w czterech językach: po łacinie, po włosku, hiszpańsku i francusku, i miał tylko jedną wadę, że szukał często pociechy w kieliszku. Lekarzem mianowała królowa Cezara Macchiati z Fermo, z ojczyzny Azzolina, a Lorenza Adami, także z Fermo, krewnego kardynała, dowódcą gwardji szwajcarskiej.

Azzolino mógł do pewnego stopnia zaprowadzić oszczędności w wydatkach królowej, ale kasy jej nie zdołał napełnić, gdyż należał do uboższych kardynałów. Tymczasem dochody ze Szwecji, która od czterech lat prowadziła kosztowne wojny, coraz były szczuplejsze i coraz mniej na nie liczyć było można. Do tej niepewności przyczyniła się jeszcze śmierć króla Szwecji, Karola Gustawa, gdyż następca jego, Karol XI, był małoletnim, a po rejencji królowa nie mogła się dużo dobrego spodziewać. Krystyna tak mało okazała troski o losy swej ojczyzny, tak bezwzględnie wyzyskiwała ludność na swoją korzyść, że nie pozostawiła w kraju przyjaciół, którzyby szczerze nad jej interesami czuwać chcieli. Zdawało się wszakże królowej, że jako córka Gustawa Adolfa, otoczona jest pewną aureolą i że gdy się osobiście ukaże na Północy, potrafi jeszcze dużo dla siebie uzyskać. Gdy też wiadomość o śmierci Karola Gustawa nadeszła do Rzymu, w pierwszych dniach kwietnia roku 1660, postanowiła Krystyna bezwłocznie pojechać do Sztokholmu. Ale funduszów na drogę nie było i dopiero papież kazał skłonić zarząd banku Monte di Pietà, aby jej pożyczono 20.000 talarów. Pożyczkę udzielono jednak na zastaw kosztowności, chociaż na niski procent, na cztery od sta.

Przybywszy do Szwecji, musiała się Krystyna przekonać, że jej aureola zgasła; rejencja przyjęła ją jak najgorzej i starała się jak najprędzej wyprawić niewygodnego gościa z powrotem do Rzymu. Po krótkim też pobycie w rodzinnym kraju udała się królowa do Hamburga, aby tam ułożyć się co do zarządu swemi interesami z domem bankowym Texeirów, żydów portugalskich, którzy mieli także swego rezydenta, Daniela Abendsura, w Polsce.

IV

Po dwóch latach pobytu na Północy wracała Krystyna w czerwcu r. 1662 do Rzymu. Azzolino wyjechał naprzeciw przyjaciółki do Terni, a że wówczas nie można było tak do-

kładnie obliczyć dnia przyjazdu, jak w naszych czasach, więc kardynał musiał dwa tygodnie czekać na nią w małej mieścinie z powodu różnych przeszkód, które podróż opóźniły. W Kwirynale znalazła Krystyna przyjaźniejsze dla siebie usposobienie, aniżeli przed dwoma laty; papież nie obawiał się już, aby królowa urządziła wyprawę na Neapol i aby potrzeba było utrzymywać ją z funduszów Kościoła. Krystyna przybyła w najwyższym stopniu zaniedbana, zapylona, nieumyta, nieuczesana i w dziwacznem ubraniu. Miała na sobie kaftanik męski, włosy jej były popodpinane różnokolorowemi wstążkami, a przez lekką spódnicę przeglądały pończochy. Porządek i czystość nie były zaletami Krystyny; jako młoda dziewczyna robiła nieraz dalekie konne wycieczki, podobniejsza raczej do wiedźmy, aniżeli do królewskiej córki, a czasem po dwa tygodnie nie chciała się dać uczesać.

W Rzymie udała się królowa najprzód do papieża, który ją przyjął bardzo życzliwie, a następnie dopiero pojechała do pałacu Riario, gdzie jednak z powodu nieukończonych robót odrazu zamieszkać nie mogła. Rozgospodarowała się więc w należącym do pałacu pawilonie, który stał mniej więcej na tem miejscu na Janikulu, gdzie się wznosi obecnie pomnik Garibaldego, i zaraz zaczęła snuć nowe polityczne plany. Jej ruchliwy umysł nie spoczywał nigdy. Tym razem powróciła do projektu wyprawy przeciw Turkom, ale już nie zamierzała gromadzić licznego wojska, jak przed kilkoma laty; chciała tylko zbierać fundusze na wyprawę dla Wenecjan i obiecywała sobie, że na jej wezwanie wszyscy książęta i mocarze Europy pośpieszą z przesyłaniem całych sakiew złota. Poczciwy sekretarz Santini musiał napisać aż 98 not do rozmaitych osobistości na wschodzie i zachodzie Europy; ale wezwania Krystyny nie znalazły dobrego przyjęcia, odpowiedzi albo nie nadeszy, albo nadeszły bez spodziewanych florenów. Krystyna, jak zwykle, zniechęciła się i w połowie drogi cel swój z oczu straciła, lecz wkrótce znalazła inną sposobność, aby się wmieszać w europejskie sprawy. Nowy ambasador francuski w Rzymie, duc de Créqui, nie chciał pierwszy złożyć wizyty królowej, ponieważ zamierzała go posadzić tylko na taburecie, a nie na fotelu, utrzymując, że honor siedzenia u niej na fotelu należy się tylko kardynałom. Ambasador się obraził, królowa napisała bardzo zręczny list do Ludwika XIV, który przyznał słuszność Krystynie i duc de Créqui musiał się zadowolić taburetem. Inne zajście pogorszyło jeszcze jej stosunek z ambasadorem. Dwudziestego sierpnia wieczorem powstała bójka pomiędzy żołnierzami korsykańskiej gwardji papieskiej a francuską służbą księcia de Créqui. Korsykanie zwyciężyli i zaczęli oblegać pałac Farnese, gdzie ambasador mieszkał, strzelali do okien, a nawet zatrzymali karetę wracającej do domu księżny i zabili jej pazia. Stąd groźna sprawa dyplomatyczna, do której się i królowa wmieszała; zaczęła pośredniczyć pomiędzy papieżem a Ludwikiem XIV i wkrótce udało się jej spór załagodzić, bo król francuski okazał się bardziej umiarkowanym, aniżeli po jego dumie spodziewać się było można. Miał zresztą dobre ku temu powody. Aleksander VII ciężko chorował, wybór nowego papieża mógł wkrótce nastąpić; więc Ludwik XIV chciał być w zgodzie z królową i Azzolinem, aby mieć poparcie jego stronnictwa w świętem Kolegjum i przeprowadzić wybór według swej woli. Pałac królowej stał się odtąd niejako stolicą stronnictwa «squadrone volante», a Krystyna mieszała się do wszystkich intryg politycznych kurji rzymskiej. Później odgrywała nawet ważną rolę w czasie wyboru Innocentego XI, tak, że obce rządy się z nią liczyły. Rzecz prosta, że przyjaźń z Azzolinem główną była podstawą tego jej stanowiska. Wówczas zresztą urok królewskości był jeszcze tak wielki, że nawet królowa bez tronu i bez ziemi otoczona była pewną aureolą władzy.

Do wpływu, jak Krystyna zaczęła wywierać w Rzymie, przyczyniały się bezsprzecznie jej przyjęcia, teatry, koncerty, które ciągle urządzała, i przepych jej dworu. Królowa sprowadziła do Rzymu swe zbiory artystyczne, które dotąd leżały na składzie w Hamburgu i we Flandrji, a były tam i rzeczy wielkiej wartości. Wywiozła ze Sztokholmu obrazy, które Szwedzi zrabowali w roku 1648 przy zajęciu Pragi w zamku Rudolfa, zabrała dziesięć seryj gobelinów, a dokupiwszy jeszcze znaczną ilość arazzów we Flandrji i Francji, miała ich aż sto trzydzieści. Niesłychanie cenną była jej bibljoteka, także ze Sztokholmu pochodząca, i zbiór medali, jeden z naj-

liczniejszych, jakie w Europie istniały. Dwór Krystyny był napozór bardzo arystokratyczny, ale składał się z ludzi po większej części podejrzanej wartości. Na czele jednak stał, jako majordomo, człowiek przyzwoity, duca di Poli, brat kardynała Conti, należący do najpierwszych rodzin rzymskich. Duka odznaczał się spokojem usposobienia, wytrwałością i utrzymywał, że cierpliwością wszystko osiągnąć można. Mieszkał ze swoją rodziną w osobnym pałacu, wynajętym za pieniądze królowej, i otrzymywał rocznej płacy 4000 talarów. Nadto dawała Krystyna do jego rozporządzenia trzy powozy i kilku służących w liberji. Księżna Poli nazywała się pierwszą damą honorową królowej, ale nie miała nic do czynienia i nie bywała prawie w pałacu Riario, gdyż Krystyna kobiet nie lubiła.

W skład domu wchodziło nadto dwudziestu szlachty, a pomiędzy nimi markizowie Palombara i Pallavicini, tudzież Anglik, książę Northumberland, który dla złych obyczajów musiał opuścić ojczyznę.

Więcej jednak od wszystkich dworzan, a nawet od księcia Poli znaczył u królowej kamerdyner Clairet Poissonet, który się stał niejako jej zaufanym ministrem. Poissonet był synem jakiegoś szynkarza we Francji, a jego karjera od tego się rozpoczęła, że markiz de Valançay, ambasador królewski, zabrał go ze sobą, jako lokaja do Rzymu. Sprytny Poissonet nauczył się tam poznawać ludzi i smażyć konfitury. Od markiza przeszedł do służby jakiegoś pana polskiego, który go ze sobą zabrał do Warszawy, i tam tak zasłynął ze swej układności, że królewicz Jan Kazimierz przyjął go na swój dwór. Wkrótce jednak pojechał z posłem szwedzkim do Sztokholmu i tam z pomocą wszechwładnego wówczas doktora Bourdeleta dostał się w otoczenie królowej Krystyny. Zrazu zadaniem Claireta było zarządzać bielizną i smażyć konfitury, wkrótce jednak odkryła w nim królowa rozmaite inne zdolności. Raz zobaczyła go w przebraniu kobiety i wtedy to jego zachowanie się i ułożenie tak się jej spodobało, że odtąd powierzała mu rozmaite ważne sprawy i zczasem zrobiła z niego swego kamerdynera. Clairet nie umiał ani czytać, ani pisać, a do tego nie mówił dobrze żadnym językiem, bo w czasie służby we Włoszech, w Polsce i w Szwecji tak mu się pomieszały wszystkie języki, że już właściwie żadnym z nich nie władał. W głowie mu się jednak nie pomieszało, owszem, panowała w niej wszechwładnie niesłychana przebiegłość. Gdy królowa po raz pierwszy miała się udać do Francji, wysłała najprzód Claireta, aby zamówił sto mundurów i sto rzędów dla konnej gwardji, która jej miała towarzyszyć przy wjeździe do Paryża, zarazem poleciła mu, aby w kasie rządowej odebrał 3000 franków, które jej król zaliczył na koszta podróży. Clairet poszedł też do dworskiego kasjera, pana de la Baziniere, gdzie mu pieniądze wręczono i proszono o pokwitowanie. Ale kamerdyner pisać nie umiał; nie tracąc jednak przytomności, odpowiedział, że jako szlachcic nie podpisuje swego nazwiska na tego rodzaju mało ważnych dokumentach i każe jednemu ze swych służących kwit podpisać. Gdy mu jednak zwrócono uwagę, że to nie uchodzi, zaczął się tłumaczyć, że w pojedynku został ranny w prawą rękę i że od tego czasu pióra utrzymać nie może. Kasjer się domyślił, że ten szlachcic-pojedynkowicz pisać nie umie i zadowolił się nakreśleniem znaku krzyża świętego, na co Clairet się zdobył. Królowa używała go nawet do dyplomatycznych misyj. Posłała go raz pocztą z Hamburga do nowowybranego papieża Klemensa IX, aby Ojcu Świętemu powinszował w jej imieniu wyniesienia na Stolicę Apostolską i prosił o pozwolenie wrócenia do Rzymu. Clairet tak się dobrze wywiązał ze swego zadania, że papież dał mu złoty medal wartości dziesięciu pistolów. Ale Francuz na tem nie poprzestał, a chcąc okazać mieszkańcom swej rodzinnej wioski, jak znakomitym został człowiekiem, prosił papieża, który go znał oddawna, o religijne łaski dla tamtejszego kościoła. Klemens IX kazał mu też dać jakieś relikwje dla owej parafji, a jemu samemu drukowaną modlitwę, która miała go ochronić od złego, jeżeli ją codziennie z rana odmówi. Clairet się zasmucił, bo nie umiał czytać; zapytał więc papieża, czy skutek modlitwy będzie ten sam, jeżeli ją każe sobie odczytać. Klemens IX się roześmiał i powiedział mu, aby papier nosił na piersiach, a wiara w słowa modlitwy zastąpi mu czytanie.

Clairet, jako prawdziwy dworski sługa, był niesłychanie ciekawy i wszystko wiedział, wszystkich znał i stał się szpie-

giem królowej. Chodził z wiedzą swej pani co rano na plac hiszpański, gdzie wówczas najlepsze były osterje, dowiadywał się, kto ze znakomitości przyjechał, poznawał się ze służbą cudzoziemca i częstował ją w najbliższej winiarni. Gdy już ten lub ów obcy kamerdyner się podochocił, wtedy Clairet wydobywał z niego wszystko, co królowę obchodzić mogło, szedł do swej pani i znosił plotki. Czasami obcy ludzie chcieli się od niego dowiadywać o życiu i stosunkach królowej; ale starania ich były płonne, bo Francuz stawał się ostrożniejszym po pijanemu, aniżeli na trzeźwo, i nigdy się z niczem nie wygadał.

Ambasador francuski de Chanut znał go dobrze z tej strony i dlatego zakazał swej służbie widywać się z tym szczwanym lisem.

Przedstawicielkami płci pięknej na dworze królowej były tylko pani Landini i dwie kameriery, siostry Passaglia. Landini stała się powiernicą Krystyny i ważną odgrywała rolę. Królowa przyjęła ją w Paryżu, gdzie Landini nazywała się jeszcze Fanchoni i była praczką. Za Landiniego, jednego z owych brawów, którzy zamordowali Monaldeska, wyszła dopiero w Rzymie, ale wierną mu nie była. Podróżując z królową, powiła w Hamburgu córkę, pomimo, że z mężem, który został we Włoszech, przeszło rok się nie widziała. Królowa jej wszakże tej drobnostki za złe nie wzięła i czemu powszechnie się dziwiono, pozwoliła dziecko wychowywać na swym dworze, a nawet zażegnała zły humor zdradzonego. O siostrach Passaglia będziemy mieli jeszcze sposobność wspomnieć.

W stajniach królowej stało czterdzieści pięć koni i ośm mułów; niektóre rumaki miały imiona bohaterów Arjosta, innym zaś ponadawała Krystyna nazwy, jak Malatesta lub jezuita, które mogły obrazić poważny ród i poważny zakon.

Na salonach pałacu Riario widziało się prawie wyłącznie mężczyzn, gdyż kobiety wielkiego świata bardzo królowę nudziły. Aby się pozbyć ich odwiedzin, obrażała Krystyna największe panie rzymskiej arystokracji, przyjmując je stojąco i nie prosząc, aby usiadły. Rzecz prosta, że małżonki Colonnów lub Orsinich nie korzystały z jej zaprosin. Była zresztą w tym względzie niekonsekwentna, bo gniewało ją,

gdy na salonach innych pań rzymskich zbierał się piękny świat kobiecy.

Jedną z największych przyjemności królowej, przechodzących nawet w namiętność, było zajmowanie się alchemją, w czem jej zresztą i Azzolino najzupełniej dogadzał, gdyż pomimo wyraźnego zakazu Kościoła, zabraniającego szukać kamienia filozoficznego, ciągle się temi badaniami zajmował. Królowa zresztą miała powody oglądania się za sposobami robienia złota, gdyż jej finanse były ciągle w opłakanym stanie; dochody z dóbr szwedzkich nie wystarczały, a długi, zaciągane u hamburskiego bankiera, rosły w sposób zastraszający. Texeira, który jej wypłacał 8000 talarów miesięcznie, oświadczył, że nie może już więcej posyłać, jak tylko 5000. Nadzieję więc zasilenia swej kasy pokładała Krystyna w laboratorjum, które założyła w pałacu, i tam z Azzolinem całe godziny przepędzała. «Destylarja» jednak zawiodła, a co gorsza, nadchodziły wiadomości ze Szwecji, że «zarząd», który ustanowiła w swych dobrach, niezupełnie uczciwie uiszcza się z dochodów. Za poradą Azzolina wysłała Lorenza Adamiego, krewnego kardynała, do Szwecji, aby rachunki zbadał i wogóle porządek i ład w gospodarstwie zaprowadził. Adami był zacnym, sumiennym człowiekiem, znał się na interesach, jeździł już z królową do Szwecji i Azzolino wszelką miał nadzieję, że jego powiernik usunie wszelkie nadużycia.

Adami pojechał na Północ, ale listy jego były niepokojące, gdyż Szwecji groziła wojna z Danją, a posiadłości królowej, położone nad Bałtykiem, mogły być zagrożone. Na wypadek wojny chciała więc Krystyna uzyskać dla swych dóbr przywilej neutralności; ale w tym celu trzeba było się udać samej do Szwecji. Królowa postanowiła więc Rzym opuścić, co i Azzolino uważał za potrzebne, i jak zwykle, tak i teraz zaczęła przygotowania do podróży od zaciągnięcia pożyczki, o którą się Azzolino postarał. Suma nie była zbyt wielka, 6000 talarów, ale królowa spodziewała się, że jej Texeira przyśle jeszcze 2000 talarów do Norymbergi.

Pożegnanie z Rzymem było tym razem dla królowej jeszcze boleśniejsze, aniżeli przy poprzednich wyjazdach; całem sercem przywiązała się do Azzolina, podróż miała przed

sobą długą, w najlepszym razie nie spodziewała się wrócić, jak za dwa lata. Wyjeżdżała w nocy, dwudziestego drugiego maja. Papież rozkazał swojemu dworowi pożegnać się z królową; powozami zapełniła się też prawie cała Lungara. Około drugiej w nocy królowa wraz ze swym dworem, tym razem składającym się tylko z szesnastu osób, ruszyła w drogę. Towarzystwo rzymskie odprowadziło ją za mury miasta, a Azzolino aż do Castelnuovo, szesnaście kilometrów od miasta. Dworzanie opowiadali, że królowa całą noc płakała, i dopiero w pewnem oddaleniu od Rzymu, który tak ukochała, wstąpiła w nią energja. Szybko też dążyła ku Północy, ciesząc się może nadzieją, że im prędzej zajedzie do Sztokholmu, tem prędzej będzie mogła powrócić.

V

Z czasów tej podróży i długiego pobytu królowej w Hamburgu, zachowały się w rodzinie Azzolinów, w willi Rinuccini, w Empoli Vecchio listy jej do kardynała, które poseł szwedzki w Rzymie, baron de Bildt, niedawno ogłosił [1]. Listy to nadzwyczaj zajmujące, maluje się w nich wybornie charakter Krystyny i jej miłość do Azzolina. Pisała do niego najregularniej każdą pocztą, która odchodziła na Południe, raz na tydzień. Wielka szkoda, że kardynał kazał spalić przed śmiercią własną korespondencję; mielibyśmy bowiem zupełny obraz stosunku pomiędzy temi dwiema, bardzo niepospolitemi osobistościami. Z listów jednak królowej, które w znacznej części są odpowiedziami na listy kardynała, można się wielu rzeczy domyśleć, a przedewszystkiem wybornie śledzić skalę uczuć kardynała, które u niego coraz bardziej stygły, podczas gdy u Krystyny jeszcze się pogłębiały. Królowa pisze Azzolinowi o wszystkiem, o przygodach podróżnych, o interesach, o ludziach, pisze barwnie, uwagi jej bardzo charakterystyczne i świadczą o bystrym zmyśle spostrzegawczym. Koło Brunszwiku musiała królowa nocować na słomie, żołnierze niemieccy ukradli kilka kufrów; ale te straty i niewygody wynagrodziło jej spotkanie markiza Maksymiljana Raggi, z którym mogła trochę rozmawiać o Włoszech. Po trzydziestu i jednym dniu podróży i przebyciu «pustych, śmierdzących i barbarzyńskich Niemiec» stanęła w Hamburgu, gdzie się dłuższy czas musiała zatrzymać. Zamieszkała więc w prywatnym domu, należącym do jakiegoś przyjaciela bankiera Texeiry. Nienawidziła Niemców, «tych pijaków», jak się wyraża, i z przyjemnością podnosi, że landgraf Wilhelm Krzysztof z Homburga przysłał dworzanina, aby się wytłumaczyć, że nie może ją osobiście powitać, gdyż leży w łóżku z powodu przepicia się. Innym razem zapewnia Azzolina, że lepiej być heretykiem, aniżeli Niemcem, bo heretyk może zostać katolikiem, ale «bydlę» nie zostanie nigdy rozumnem stworzeniem; przeklęty niech będzie ten kraj i głupie stworzenia, które wydaje. W jednym tylko z późniejszych listów z Hamburga pisze, że przecież jest wdzięczną Niemcom, gdyż u nich schudła; a Krystyna wówczas bardzo się skłaniała do otyłości, co ją niezmiernie martwiło.

[1]) Christine de Suede et le cardinal Azzolino. Paris, E. Plon, 1899 r.

Przed conclave po śmierci Aleksandra VII przypomina Azzolinowi, aby zrobiono w Rzymie wielkie zapasy wina, gdyż przyjedzie trzech niemieckich kardynałów, a ci będą potrzebowali w jednym dniu więcej wina, aniżeli całe św. Kolegjum. Przestrzega go zresztą, aby tym książętom Kościoła nie bardzo wierzono, gdyż słowo, które dają po pijanemu, cofają, gdy są trzeźwi, a to, co przyrzekają po trzeźwemu, uważają za niebyłe, gdy się upiją. Przy tej sposobności nie może się powstrzymać, aby nie opowiedzieć, że ksiądz biskup salzburski tylko w ten sposób zyskał wielką popularność, że pije dziennie baryłkę wina, nie upijając się, i że każdy człowiek, który mało pije, jest uważany w Niemczech za głupca. Według Krystyny ze wszystkich krwiożerczych zwierząt świata niema ani jednego, któreby mniej było podobnem do człowieka, aniżeli Niemiec. Polakom nie szczędzi także niekiedy dość nieprzyjemnych wyrazów.

W kilka tygodni po wyjeździe z Włoch otrzymała królowa list od Azzolina, który wzbudził w niej pewną wątpli-

wość, czy kardynał życzy sobie jeszcze jej powrotu do Rzymu. W najwyższym stopniu zaniepokojona tym mniemanym brakiem uczucia, prosiła przyjaciela o wytłumaczenie się i zapewniała go, że wolałaby o chlebie i wodzie żyć w Rzymie i mieć tylko jedną kobietę do usługi, aniżeli mieszkać gdzie indziej, choćby posiadając wszystkie królestwa i skarby świata. Czulsze zwroty w listach pisywali tak Krystyna, jak i kardynał, w szyfrach, nie spodziewając się, że kiedyś, po blisko trzech wiekach, znajdzie się szwedzki dyplomata, który szyfry odczyta. Nie przewidując tej zdrady, zapewnia Krystyna Azzolina w jednym z listów, że gorące uczucia stanowią jej pociechę wśród rozmaitych zgryzot i przysięga mu, że zasługuje na jego przyjaźń, «par la plus tendre passion du monde». Nie wie zresztą, czy jeszcze kiedykolwiek będzie szczęśliwa, ale o tem jest przekonana, że go kochać będzie do śmierci.

Stosunki szwedzkie były tego rodzaju, że królowa musiała się przygotować na dłuższy pobyt w Hamburgu; zaczęła więc znowu żyć na wielką skalę, kupiła sześciokonną karetę, zamówiła żółtą liberję z czarnemi wyszywaniami dla służby, dawała obiady i urządzała koncerty. Mimo to pisała do Azzolina, że się nudzi i że już nigdzie żyć nie potrafi, tylko w Rzymie. Radość więc była wielka, gdy Azzolino kiedy niekiedy przysłał jakiś swój sonet, na jej cześć ułożony, lub wogóle dał jakiś dowód, że o niej pamięta. I tak w liście z dnia 14 lipca 1666 dziękuje mu królowa za sonet «Hore un tempo si breve» i pisze, że utwór ten piękniejszy od sonetów Petrarki i że przewyższa wszystkie poezje, jakie kiedykolwiek w życiu czytała. Jeżeli Azzolino będzie nadal szedł tą drogą, to stanie się tak sławnym na Parnasie, jak sławnym jest na ziemi. Prosi też kardynała, aby do tego wiersza kazał Ciccolinowi, jej nadwornemu śpiewakowi, dorobić muzykę, a «efekt będzie niezrównany».

Gdy się raz zdarzyło, że list od Azzolina zaginął, Krystyna w największą wpadła rozpacz i pisała mu, że oczekuje poczty, aby wiedzieć, czy jej przyniesie śmierć czy życie, a zarazem zapewnia go, że przyjaźń dla niego będzie miała jedyny kres w ostatniem jej tchnieniu. Innym razem skarży

się, że całe nocy przepędza, płacząc nad temi nieszczęściami, które tylko jemu i jej są wiadome.

Ale w listach Krystyny do Azzolina, obok miłosnych zwierzeń, bywała mowa także o ważnych politycznych sprawach. Francja, w przewidywaniu bliskiego conclave, starała się pozyskać grupę kardynałów «Squadrone volante» i przeprowadzić takiego kandydata, któryby wykorzenił nepotyzm, co było także pragnieniem Azzolina i towarzyszy. Kardynałem Francji był Juljusz Rospigliosi, Hiszpanja zaś chciała wynieść na tron papieski kardynała Franciszka Barberiniego, dziekana św. Kolegjum. Otóż Krystyna, równie jak i Azzolino, popierała wybór Rospigliosego, a królowa pisała do swego przyjaciela, aby koniecznie znaleziono sposób wykorzenienia nadużyć nepotyzmu, gdyż «ta choroba pociągnie zczasem za sobą śmierć Kościoła». «Czyż na nią niema lekarstwa?» pyta się znowu królowa w innym liście i sądzi, że jedyny sposób wykorzenienia tej plagi to wybór papieża, który miałby dość siły wykonać to, co papież Aleksander VII zrazu rozpoczął, a potem z powodu słabości charakteru przeprowadzić zaniechał. «Czyż to nie hańba — pisze dalej — że tyle miljonów ze skarbu papieskiego idzie na zaspokojenie rozrzutności i niemoralnych zachcianek ludzi wyniesionych z nicości, którzy się zjawiają poto, ażeby urość krwią i potem ubogich, wypróżniają skarb papieski, aby żywić psy, konie, stręczycieli i innych jeszcze łotrów... Gdyby te pieniądze były użyte na wydatki państwa, na obronę religji od herezji, możnaby Wschód pokonać i zyskać sobie szacunek Europy. Gdyby papieże z tą samą gorliwością pracowali nad ruiną dynastji ottomańskiej, z jaką starają się o fundowanie własnych rodów, to potęga turecka byłaby już dawno złamana. Więcej jednak dbając o własne gniazdo, aniżeli o wielkie sprawy religji, zrujnowali na to Kościół i Państwo, aby wywyższyć ludzi, których jedyna umiejętność polega na tem, aby zręcznie powozić na Corso i uchodzić za doskonałych woźniców, jak kardynał Chigi». Królowa namawia Azzolina, aby się starał o wydanie prawa przeciw nepotyzmowi i prosi, aby tę myśl rozszerzał pomiędzy swymi przyjaciółmi.

Tymczasem traktowała Krystyna z rejencją w Sztok-

holmie o pozwolenie przyjazdu do stolicy, sądziła bowiem, że jej obecność przyczyni się niemało do korzystniejszego uregulowania interesów. Ale rejencja najrozmaitszych używała sposobów, aby do tego nie dopuścić, a przedewszystkiem zakazała królowej przywozić ze sobą katolickiego księdza i otwarcie wykonywać obrządki rzymskiego kościoła. Pobyt więc w Hamburgu się przedłużył, a Krystyna przepędzała czas na rozmowie z agentami o interesach, na grze w szachy, w staffetę (lancknechta), w pikietę ze swymi markizami, ale nie o pieniądze. «Jestem zanadto uboga, aby tracić w karty moje dochody — mówiła — a mam za mało szczęścia, aby drugich ogrywać». Cała mądrość, którą zyskała w Hamburgu, polegała na tem, że się nauczyła grać w «staffettę», w «trento uno» i w «bassettę» (grę podobną do «faraona»).

Wkrótce jednak nawet gra w szachy już ją nie cieszyła; z listów Azzolina wiał pewien chłód; być może, że oddalenie się do tego przyczyniło, być może zresztą, że stosunek z królową stał się zanadto głośnym i że ciężył kardynałowi, który zapewne w głębi swej duszy marzył o pozyskaniu tiary. Ta niepewność trapiła królową, sen jej odbierała; z goryczą wyraża się też w jednym z listów, że «zmiany w sercu kardynała nie zmienią jej uczuć i że ona zachowa mu do śmierci niezachwianą wierność». Azzolino, chcąc ułagodzić królową, musiał pisać, że w Rzymie oczekują z upragnieniem jej powrotu, na co ona z ironją odpowiada, że Rzym za wiele jej czyni zaszczytu, gdyż nie jest godna, aby ją oczekiwano, i ma przekonanie, że Rzym równie łatwo się pogodzi z jej nieobecnością, jak kardynał zniesie wiadomość, że jej już nie zobaczy nigdy. Mimo to w wielu późniejszych listach powtarza, że oziębłość kardynała nie przeszkodzi jej uwielbiać go aż do śmierci.

Mimo wewnętrznych smutków korzystała Krystyna z każdej sposobności, aby się zabawić i świetne dawać przyjęcia. Taka sposobność nadarzyła się, gdy książę Jerzy z Hessen-Homburga zaślubiał wdowę po hr. Fryderyku d'Ahlenfeld. Królowa urządziła dla młodej pary świetny obiad, podczas którego podano 48 półmisków i ośm piramid z cukrami. Pozostałe z obiadu «confetti» rozdano częścią pomiędzy muzykantów, częścią rozsypywano na posadzkę, aby uraczyć widzów, którzy zapełniali salę, albo wreszcie wyrzucono przez okna na ulicę, dla gawiedzi.

Krystyna nie mogła podzielać wesołości swych gości, gdyż zęby ją bolały, a nadto cierpiała jeszcze od niejakiego czasu na reumatyzm. Lekarz radził jej oddawna, aby pozwoliła sobie krew puścić; ale królowa obawiała się tej operacji i ile razy cyrulik przyszedł z lancetem, zawsze go wyrzuciła za drzwi. Lekarz zakazywał jej także pić tamtejsze wody, ale królowa nie słuchała rad eskulapa i piła «wodę ze zgniłemi cytrynami, bo to jedyny przysmak, który można dostać w tym barbarzyńskim kraju». Lekarz, nie mogąc w żaden sposób królowej namówić, aby krew puściła, radził jej, zapewne w celu przyśpieszenia obiegu krwi, grę w wolanta. Takie ćwiczenie podobało się Krystynie i odtąd po kilka godzin dziennie oddawała się temu zajęciu z jednym ze swych dworzan. Lekarz miał najzupełniejszą słuszność, bo Krystyna prowadziła życie nadzwyczaj niezdrowe. Prawie cały dzień czytała albo pisała w pokoju nieopalonym, tak, że goście nie mogli wytrzymać w tem zimnie i coprędzej uciekali, wieczór zaś kazała zapalić ogień na kominie i dalej pisała przy świetle palącego się łuczywa, przybliżając się jak najbardziej do płomienia. Do pieców nie mogła się Krystyna przyzwyczaić i w największe mrozy sypiała w nieopalonym pokoju, a na ulicy nie nosiła futra. Ale narzekając na zimno, pisała Azzolinowi, «że wszystko w tym kraju zamarzło, prócz mojego serca, które jest gorętszem, aniżeli kiedykolwiek», a w jednym z następnych listów zapewniała, że nie chce wprawdzie dawać mu powodów do obrażania Boga, ale nie przestanie go kochać do śmierci. Ponieważ zaś «pobożność uwalnia kardynała od obowiązków kochanka, więc i ona nie chce go mieć swym sługą, ale sama pragnie żyć i umierać jego niewolnicą». W listach Krystyny coraz więcej goryczy z powodu, że kardynał staje się tak «pobożnym» i że obawia się jej powrotu. «Zdaje się», powiada królowa gdzie indziej, «że się niczego tak nie lękacie, jak mego powrotu. Ale nie mówmy o tem: na długi czas niema tego niebezpieczeństwa!»

Podobne przyrzeczenia nie przeszkadzają wszakże Kry-

stynie niebawem pisać, że «jak powróci do Rzymu», odpowie mu na niektóre pytania w sprawie kamienia filozoficznego i objawi prawdy, które napozór zdają się być wierutnem kłamstwem. «Trzeba widzieć te doświadczenia», pisze Krystyna, «aby w nie uwierzyć». Królowa rozpoczęła wtedy korespondencję ze słynnym chemikiem Rudolfem Glauberem i od niego zapewne dowiedziała się o jakichś alchemicznych sekretach, któremi chciała zadziwić Azzolina.

Niktby nie przypuszczał, że po tych smutnych listach do przyjaciela przyszło jej na myśl urządzić w ostatni wtorek r. 1669 wspaniały festyn, bal maskowy, mający przedstawiać zaczarowany pałac Armidy z osobistościami, wziętemi z epopei Tassa. Ponieważ nie było odpowiedniej sali, więc królowa wynajęła w sąsiedztwie jakąś szopę, którą dworzanie z największemi trudnościami przemienili w amfiteatr, gdyż z temi «bydlętami», t. j. z rzemieślnikami w Hamburgu, rady sobie dać nie mogła. Co gorsza, gdy się ludność dowiedziała, że wielki connétable Wrangel ma przybyć na ten wieczór karnawałowy, sądziła, że królowa z pomocą Wrangla chce opanować Hamburg i że festyn jest tylko na to wymyślony, aby odwrócić uwagę mieszczaństwa od przygotowań wojennych królowej. Starszyzna miasta kazała więc poprzeciągać łańcuchy przez ulice celem obrony i na wałach fortecznych skierować armaty ku mieszkaniu królowej. To wszystko jednak nie przeszkadzało Krystynie ukończyć przygotowania do balu, porozsyłać zaproszenia, tak, że w oznaczony dzień goście zastali ponakrywane stoły do wspaniałej wieczerzy. Ponieważ się okazały pewne trudności w wyznaczeniu znakomitym osobistościom miejsc przy stołach w ten sposób, aby niczyjej godności nie uchybić, przeto urządzono rodzaj loterji; każdy z mężczyzn wyciągał z urny nazwisko damy, którą miał prowadzić, i miejsce, które miał obok niej zająć.

We wtorek, o szóstej wieczorem, przekonali się mieszczanie, że królowa rzeczywiście urządza tylko przedstawienie teatralne, a nie myśli o zamachu na ich wolność. Wspaniały pochód znakomitych gości rozwijał się przed amfiteatrem; Wrangel w zbroi miał przedstawiać Godfryda de Bouillon, księżniczka Karolina z Sachsen-Lauenburga Armidę, inni

panowie i panie rycerzy, nimfy, niewolnice, a sama Krystyna, w przepysznej sukni, ale bez brylantów i pereł, szła na czele bogato przybranych niewolników, z rękami związanemi łańcuchem. Towarzystwo zasiadło zaraz do stołów, zaczęto podawać półmiski, a wieczerza trwała aż cztery godziny. Po bankiecie, z którego i Gargantua byłby zadowolony, rozpoczęła się fantowa loterja. Królowa nabyła dwa przepyszne zwierciadła za cztery tysiące talarów i chciała je rozlosować pamiędzy zaproszonych. Przypadek chciał jednak, że sama wygrała te kosztowne przedmioty, więc darowała je hrabinie Wrangel. Po loterji bal, który trwał znowu pięć godzin. Królowa tańczyła bardzo ochoczo i wyglądała, «jak bogini, która z niebios zstąpiła». Liczna, zaproszona publiczność przypatrywała się wieczerzy i tańcom, siedząc na ławkach amfiteatru, i nie zmęczyła się bynajmniej tą dziewięciogodzinną uciechą, gdyż jeden z widzów powiada, że noc przeszła jakby mała chwila. Inaczej rzecz się miała z królową; widocznie tańce bardzo jej zaszkodziły, gdyż mimo wrodzonego wstrętu do cyrulików, kazała sobie nazajutrz puścić pół litra krwi.

W czasie, kiedy Krystyna urządzała swój festyn, kardynał Azzolino przypatrywał się komedji, przedstawianej u ambasadora francuskiego w Rzymie, i musiał wspomnieć w liście, że jakieś dwie panny tak dobrze wygłaszały swe role, że cały Rzym się niemi zachwycał. Tego było Krystynie za wiele; zazdrość nią miotała; jakto, kardynałowi zaczynają się już aktorki podobać? Posłała mu też zjadliwą odpowiedź, dworując sobie z eminencji, że poszedł za przykładem Chrystusa i chciał nawrócić dwie grzesznice, gdyż człowiek tak drażliwej cnoty, jak on, nie byłby obrażał swych oczu w innym, jak tylko w tak szlachetnym celu; królowa przypuszczała dalej, że owe grzesznice z jego objęć dostaną się w ramiona kardynała Barberiniego, który je zaciągnie w szereg nowonawróconych.

Azzolino widocznie wziął sobie do serca gniew królowej, gdyż usprawiedliwiał się w szyfrowanym liście; ale Krystyna się zawzięła, nie odpowiedziała mu na te szyfry, albowiem ani on nie potrafi zmienić swoich uczuć, ani ona tego dokonać nie zdoła. «Nie skarżę się na Was — kończy — pro-

szę i mnie nie robić wyrzutów». — I rzeczywiście w sercu Krystyny tak głęboko była wryta miłość i tak niezachwiane miała przywiązanie do Azzolina, że właśnie w czasie owych utarczek listowych zrobiła testament, w którym cały majątek jemu zapisała.

Wśród tych trosk sercowych nie zapomniała jednak o rzeczach więcej realnych. Z całą naiwnością kobiety XVII wieku donosiła Azzolinowi, że jakiś wieśniak w Holandji wynalazł ów cudowny «lapis», sposób robienia złota. W obecności ośmiu deputowanych Stanów jeneralnych Holandji zamienił on swoim proszkiem pięćset funtów ołowiu na tyleż funtów dwudziestoczterokaratowego złota. Krystyna dodała, że wiadomość ta jest bardzo podobna do prawdy i że pomiędzy innymi mówił o niej poseł szwedzki Wranglowi. Ale i Azzolino nie tracił nadziei wynalezienia kamienia filozoficznego i widocznie pisał o tem do Hamburga, gdyż królowa mu odpowiedziała, że we wszystko, co on pisze, wierzy jak w ewangelję, i niech się tylko dowie, że kardynał stał się posiadaczem wielkiej tajemnicy, a umrze ze szczęścia.

Wreszcie układy z rejencją szwedzką posunęły się tak daleko, że Krystyna mogła opuścić Hamburg i wyjechać w drogę do Sztokholmu, a zarazem odgrażać się Azzolinowi «na jego pociechę», że już więcej do Rzymu nie wróci. «A ponieważ postanowiłam już Was nigdy nie zobaczyć», pisała, więc już mnie nic z życiem nie wiąże». Szesnastego maja 1667 stanęła na szwedzkiej ziemi; przysłano po nią do Danji galerę wprawdzie złoconą, ale taką małą, iż dziękowała Bogu, że morze było spokojne. Witał ją na ziemi rodzinnej gubernator prowincji i hr. Pontus de la Gardie na czele konnego i pieszego wojska.

Pomimo uroczystego przyjęcia na granicy robiła rejencja jeszcze trudności religijne. Nie pozwalała, aby ksiądz katolicki, kapelan Santini, towarzyszył królowej, a nawet kazała jej oświadczyć, że nie będzie mogła publicznie udawać się do ambasady francuskiej na mszę, ale tylko potajemnie pod pozorem odwiedzin posła francuskiego. Poseł już o tem został uwiadomiony i objawił na to swą zgodę. Ale i potajemne nawet bywanie na mszy mogłoby być cierpiane tylko przez

kilka tygodni, gdyż sejm szwedzki zakazał w r. 1664 wykonywania obrzędów religji katolickiej w kraju. Widocznie rejencja obawiała się intryg Krystyny i dlatego dłuższy pobył byłej królowej w Sztokholmie nie był jej na rękę.

Wiadomości te doszły królową już w drodze do stolicy, w Jönköping, doprowadzając ją do takiego gniewu, że zaczęła wymyślać na rejencję, na posła francuskiego i wołała w rozdrażnieniu, że obiłaby kijem takiego przedstawiciela Francji, któryby ją śmiał prosić, aby go odwiedziła. Niedługo się namyślając, kazała konie zaprzęgać i wracać do Hamburga, a przy śniadaniu piła ironicznie zdrowie młodego króla, królowej matki i rejencji.

Piętnastego czerwca r. 1667 była Krystyna już w Hamburgu z powrotem i zastała tam listy od Azzolina, od Świętego Kolegjum i od rodziny Chigich, uwiadamiające ją o śmierci Aleksandra VII. Azzolino musiał także pisać, że będzie się starał przeprowadzić wybór takiego papieża, któryby wykorzenił nepotyzm, gdyż mu Krystyna, odpowiadając na ten list, życzyła, aby mu się te piękne zamiary powiodły. Doszło także wówczas do jej wiadomości, że w Sztokholmie obawiają się, aby nie wyszła zamąż za króla polskiego Jana Kazimierza, który owdowiał po śmierci Ludwiki Marji Gonzagi. Krystyna oburzyła się na takie plotki, dodając, że gdyby wstąpiła na tron polski, to po królu, ale nie po królowej. Jest to pierwszy ślad zamiarów Krystyny starania się o tron polski, a jak się z różnych oznak okazuje, zamiar ten musiał jej Azzolino podsunąć, któremu stały pobyt Krystyny w Rzymie nie bardzo dogadzał. Następstwo Krystyny po Janie Kazimierzu byłoby go uwolniło od wielu kłopotów, jakie miał z nią w Rzymie, a byłby to dlań i zaszczyt nielada, a nawet korzyść, gdyby starzejąca się już przyjaciółka zasiadła na dalekim tronie polskim.

Na wybór nowego papieża królowa nie czekała długo; dwudziestego czerwca 1667 wyszedł z urny kardynał Rospigliosi i przyjął imię Klemensa IX. Była to dla Krystyny niesłychanie radosna wiadomość, bo Azzolino pracował nad wyborem Rospigliosego i spodziewał się, że mu to zwycięstwo przyniesie wielkie korzyści. I nie omylił się, gdyż nowy papież

zamianował zaraz Azzolina sekretarzem stanu i powierzył mu kierownictwo spraw zagranicznych, o czem osobnem pismem zawiadomił Krystynę. Królowa obchodziła wybór przyjaznego sobie papieża w najbardziej uroczysty sposób. Przedewszystkiem rozporządziła, aby dworzanie zrzucili żałobę po zmarłej królowej polskiej, a jednocześnie postanowiła urządzić trzydniowy festyn. Ludność hamburska jak najgorzej przyjęła wiadomość o uroczystych obchodach na cześć papieża, a magistrat błagał królowę, aby odstąpiła od tego zamiaru, gdyż się obawiał rozruchów, przeciw niej skierowanych. Krystyna nie słuchała jednak żadnych przedstawień; 25-go lipca kazała w wielkiej sali odprawić mszę uroczystą, a podczas «Te Deum» strzelać ze wszystkich armat. Wiedząc zaś, że te salwy do najwyższego stopnia oburzą ludność, gotowała się na oblężenie i na obronę i w tym celu kazała zakupić sporo broni i amunicji. Po nabożeństwie wydała wystawny obiad, na który zaprosiła najznakomitsze rodziny z Hamburga i okolicy, a wieczór kazała urządzić ognie sztuczne. Zapalono olbrzymie rusztowanie z sześciuset lampami, tworzącemi tiarę papieską, klucze i podpis: «Clemens IX Pont. Max. Vivat!» Tego było ludowi za wiele — iluminacja w mieście protestanckiem na cześć papieża! Ale królowa myślała, że fontanna bijąca winem, którą kazała przed domem ustawić, ułagodzi religijne oburzenie. Wino, jak zwykle, wywołało przeciwny skutek; lud pił, dopóki fontanna tryskała, a następnie, po trzech godzinach, kiedy goście się porozjeżdżali i królowa udała się na spoczynek, zaczął kamieniami bombardować okna i przypuszczał szturm do bramy pałacu, chcąc ją wywalić. Szczęściem książę Leiningen, który mieszkał naprzeciwko, pobiegł do magistratu, aby posłano oddział zbrojnej straży do rozpędzenia tłumów. Zanim jednak żołnierze nadbiegli, królowa kazała strzelać i kilka trupów padło pomiędzy oblegającymi, co ich otrzeźwiło. Napoleon po bitwie pod Lipskiem nie byłby napisał takiego manifestu, jak królowa po tem zwycięstwie, które ją dużo kosztowało. Szczęście, że ów manifest nie był skierowany do ludów Europy, lecz tylko do przyjaciela Azzolina; Krystyna, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, podnosi swoją odwagę, energję i niczem niezamącony spokój

w wydawaniu rozkazów i tłumieniu ulicznego buntu; chwali się, że z tuzinem wiernych oparła się napadowi przeszło ośmiotysięcznego tłumu i «że na nieszczęście musiała przelewać krew, kiedy już nie było wina do rozlania».

Uspokoiwszy się po przebytej walce z hamburską ulicą, zaczęła Krystyna zaprowadzać lepsze rządy w swych dobrach, usuwając jeneralnego rządcę Appelmana na Pomorzu. W czasie jednak tych układów z ajentami i bankierami przyjechał do Hamburga lekarz i alchemik Józef Franciszek Borri, osobistość znana już wówczas Świętej Inkwizycji w Rzymie. Borri był Włochem, wychował się w Rzymie, w kolegjum jezuickiem, poświęcił się medycynie i chemji; ale gwałtownik i człowiek złych obyczajów, naraził się policji, a chcąc się uchronić przed więzieniem, zaczął udawać wielkiego pobożnisia. Trudniąc się magją i alchemją, opowiadał szalbierz, że archanioł Michał się nim opiekuje, że mu objawia rozmaite tajemnice i że wskutek tych stosunków z wyższemi istotami wie dokładnie o wszystkich intrygach, które prowadzono w czasie conclave po śmierci Aleksandra VII. Inkwizycja dowiedziała się wszakże o sprawkach Borrego i miała go już uwięzić, kiedy zręczny alchemik, zwietrzywszy niebezpieczeństwo, ratował się ucieczką do Medjolanu. Tam występując jako reformator religijny, otrzymujący wskazówki od Michała archanioła, zebrał około siebie, w tajemnicy przed władzą, dość liczną sektę wiernych, kazał się nazywać Wice-Chrystusem, opowiadał najrozmaitsze baśnie mitologiczno-fantastyczne, a przedewszystkiem wyzyskiwał członków sekty na swoją korzyść. Kilka lat «interes» szedł nieźle, wreszcie jednak doniesiono o jego robotach Inkwizycji, która go oskarżyła o herezję i zawezwała przed trybunał w Rzymie. Alchemik uciekł wtedy do protestanckich krajów, a Inkwizytorowie mieli tylko tyle pociechy, że jego portret i pisma kazali spalić na «Campo de Fiori» drugiego października roku 1660. Po rozmaitych podróżach na północy Europy oparł się Borri o Drezno, gdzie elektor saski Jan Jerzy I bardzo się zajął jego teorjami; stamtąd udał się do Holandji i do Brunszwiku, a wreszcie do Hamburga. Dał się poznać jako lekarz Krystynie, a spostrzegłszy u niej skłonności do alchemji, z łatwo-

ścią ją namówił do szukania kamienia filozoficznego. Tym razem chodziło o wytworzenie jakiegoś płynu pod nazwą «alchest», jeszcze potężniejszego środka do robienia złota, aniżeli kamień filozoficzny. Tajemnicę destylowania tego likworu posiadał sławny alchemik Glauber; Krystyna i Borri chcieli mu ją wydrzeć. Podczas owych badań nadszedł jednak list Azzolina z zawiadomieniem, że Borri jest wyklętym przez Inkwizycję; królowa musiała się więc z nim rozłączyć. Alchemik znalazł gdzie indziej łatwowiernych; udał się do Danji, do króla Fryderyka III, gdzie o wyroki Inkwizycji się nie troszczono.

Nietylko Krystyna i Azzolino zajmowali się szukaniem kamienia filozoficznego, cały wielki świat rzymski marzył o robieniu z ołowiu złota. Do niedawnego czasu istniał na bramie ogrodowej willi Palombara na Esquilinie, (dzisiaj już nieistniejącej) napis, który ma ciekawą historję.

Razu pewnego, w czasie pobytu Krystyny w Rzymie, prosił młody cudzoziemiec o pozwolenie pracowania w laboratorjum pałacu Riario, ponieważ chciałby królowej powierzyć ważne odkrycie. Otrzymawszy tę łaskę, robił jakieś tajemnicze próby, a po niejakim czasie oddalił się, mówiąc, że musi wyjechać, aby szukać ziela, z pomocą którego zamieni w złoto płyn, który w dwóch garnkach w laboratorjum pozostawia; prosił jednak, aby przez czas jego nieobecności naczyń tych nie odkrywano. Gdy młodzieniec przez jakiś czas nie powracał, kazała królowa zdjąć z tych garnków pokrywy i ku wielkiemu zdumieniu znalazła w jednym szczyptę złota, a w drugim trochę srebra. Rozciekawiona, opowiadała o tem zdarzeniu kilku znajomym, a pomiędzy innymi markizowi Palombara, który także zajmował się alchemją i miał swoje własne laboratorjum. Markiz wyśmiewał się z królowej, że takiego ciekawego ptaszka wypuściła z klatki. Ale śmiał się niedługo. W kilka tygodni bowiem po tem zdarzeniu przyprowadziła służba jakiegoś człowieka do willi Palombary, który koło bramy ogrodowej się przechodził i trzymał w ręku jakieś zioła. Na zapytanie, czego sobie życzy, odpowiedział nieznajomy, że znalazł w ogrodzie markiza bardzo rzadką roślinę, zapomocą której można robić złoto. Markiz

zaprowadził go zaraz do laboratorjum, gdzie ów cudzoziemiec spalił najprzód ziele, a popiół stąd powstały zagotował w tyglu z płynem, który przyniósł ze sobą. Następnie ostrożnie wlał gąszcz do garnka i prosił markiza, aby zamknął na noc laboratorjum, a nazajutrz rano znajdzie tam złoto. Markiz, nauczony doświadczeniem, które zrobiła Krystyna, zatrzymał owego alchemika na noc w swej willi, aby mu nie uciekł, i był pewny, że nazajutrz stanie się posiadaczem tajemnicy robienia złota. Ale cudzoziemiec wstał raniej, aniżeli markiz, i niespostrzeżenie wysunął się z willi i z ogrodu. Markiz, dowiedziawszy się o jego ucieczce, pobiegł czemprędzej do laboratorjum, zaglądnął do owego garnka i znalazł tam rzeczywiście trochę sproszkowanego złota. Koło naczynia leżała kartka, na której skreślone były jakieś magiczne znaki i napisy. Palombara zamilczał o tem zajściu, ale kazał wyryć na bramie w marmurze napis, który można było jeszcze czytać przed kilkudziesięciu laty: «Tria sunt mirabilia: Deus et homo, mater et virgo, Trinus et unus». — «Trzy są cudy na świecie: Bóg i człowiek, matka i dziewica, trójca i jedność», tudzież inny napis: «Qui scit comburere aqua et lavare igne, facit de terra coelum et de coelo terram pretiosam». «Kto potrafi wodą palić, a myć ogniem, zrobi niebo z ziemi, a z nieba kosztowną ziemię».

Królowa nie wynalazła wprawdzie recepty na robienie złota, ale zaprowadziła ład w zarządzie swych dóbr i mogła się spodziewać mniej więcej regularnie wpływających dochodów. We wszystkich układach z rządcami uderza u niej zupełny brak troski o ludność, z której ściąga podatki, owszem, wszędzie przebija najstraszniejszy egoizm. W jej pojęciu świat dla niej tylko istnieje, a może jeszcze i dla Azzolina, zresztą nic ją nie obchodzi i dla swojego dobra, a nawet dla swego upodobania jest gotową zawsze i wszędzie poświęcić każdego, kto jej w drodze stanie.

Ażeby sobie uprzyjemnić konieczny jeszcze pobyt w Hamburgu, sprowadziła Krystyna kompanję aktorów z Luneburga i kazała dawać przedstawienia co wieczór. Komedjanci bawili ją przez trzy tygodnie i otrzymali za to tysiąc talarów i nowe ubiory.

Ciesząc się nadzieją dochodów, zapomniała Krystyna o swych pogróżkach, że nie miała widzieć nigdy Rzymu, i zaczęła przygotowywać Azzolina na swój powrót. Pisała mu, że nie może wprawdzie wymagać, aby naprzeciw niej wyjechał, ale spodziewa się przynajmniej, że przed nią nie ucieknie. Czasami jednak trapiła ją obawa, że zachoruje; była niezdrowa i sądziła, że przy usposobieniu gorącem mogłaby ulec w przeciągu dwudziestu czterech godzin atakowi febry i nie miałyby nawet czasu wyspowiadać się przed śmiercią. Do tych obaw przyczyniła się niekorzystna dla niej podówczas konstelacja Marsa. Zdaje się, że Azzolino pisał, aby się poradziła niemieckich lekarzy; ale Krystyna oburzyła się na taką myśl i odpowiedziała przyjacielowi, że raczej zasięgłaby rady u swoich koni karecianych, aniżeli u Niemców doktorów, którzy pozwalają ludziom umierać, zachowując flegmę i powagę gorszą od samej śmierci. Wierzy tylko w swego lekarza Włocha, Macchiatego, i oboje zawyrokowali wspólnie, że jej cierpienia pochodzą «z hypochondrji i humorów, które rozgrzewają głowę, wywołują katary, przenoszą się na lewy bok i sprawiają straszne bóle, na które cierpi od dwóch miesięcy».

Aby przyjaciółkę rozweselić, przysłał Azzolino sceny z komedji, którą właśnie rozpoczął pisać. Rzecz była bardzo ładna, więc Krystyna dodała z przekąsem w liście do kardynała, «że komedja jest jakby antidotum na jego listy», tchnące obojętnością i chłodem.

Azzolino pragnął rzeczywiście oddalić królowę od Rzymu, bał się jej powrotu. A zdarzała się teraz doskonała po temu sposobność. Król polski, Jan Kazimierz, złożywszy koronę 16 września r. 1668, miał się przenieść na mieszkanie do Francji, gdzie Ludwik XIV ofiarował mu opactwo, przynoszące 50.000 talarów rocznego dochodu.

W Rzymie postanowienie Jana Kazimierza złe sprawiło wrażenie i papież obawiał się, aby Polacy nie wybrali królem schyzmatyka, jednego z w. książąt moskiewskich, a nawet samego cara Aleksego, który miał część szlachty za sobą. Zresztą w chwili, kiedy starano się zespolić siły chrześcijańskich państw, aby przyjść w pomoc Krecie, zagrożonej przez Turków, bezkrólewie w Polsce przypadło bardzo nie w porę. Monsignor Marescotti, arcybiskup Koryntu, nuncjusz papieski w Warszawie, otrzymał rozkaz skłonienia króla, aby odstąpił od swego zamiaru; ale Jan Kazimierz obawiał się, że jeżeli nie ustąpi z tronu w umówionym terminie, to król francuski gotów także ze swej strony cofnąć daną obietnicę. Marescotti pisał nawet do kardynała Rospigliosego, wyrażając się z pewną pogardą o królu, że Jan Kazimierz oświadczył, iż z dochodów, które mu Francja przyrzekła, będzie się mógł bardzo przyzwoicie utrzymać.

Królowa Krystyna była daleką krewną Jana Kazimierza, ostatniego męskiego potomka domu Wazów, więc sądziła, że ma pewne prawa do tronu polskiego. Poprzednio już, w roku 1661, prosił Azzolino nuncjusza w Warszawie, aby się starał dowiedzieć o treści królewskiego testamentu, gdyż chodziło Krystynie o spuściznę po Janie Kazimierzu, a przedewszystkiem o tak zwane sumy neapolitańskie, które dostały się w spadku królowi w zamian za odziedziczone przez Bonę księstwa Bari i Rossano, tudzież za 43.000 dukatów neapolitańskich, pożyczonych na dziesięć od sta również przez Bonę Filipowi II. Azzolino gorąco zajął się tą sprawą, wiedząc, że jest spadkobiercą Krystyny i że miałby po niej owe dochody dziedziczyć. Kardynał skłonił nawet później papieża do wydania «pisma», polecającego Krystynę wyborcom polskim; ale breve to miało być dopiero wtedy ogłoszone, gdyby nuncjusz osądził, że kandydatura królowej jest możliwą do przeprowadzenia. Tej możliwości wszakże nie było, więc i pismo papieskie zostało w aktach nuncjatury. Kardynał chciał także przekonać nuncjusza, że Krystyna mogłaby mieć potomstwo, jeżeliby tę sprawę w Polsce poruszono. Utrzymywał w liście do Marescottego, że dawniej, dopóki królowa była młodsza, z powodu swego gorącego temperamentu nie mogła się spodziewać potomstwa — obecnie jednak, kiedy z latami nastąpiło pewne ostudzenie, mogłaby, wyszedłszy zamąż, z pewnością obdarzyć Polaków synem.

Na ajenta, który miał działać w Polsce na jej korzyść, wybrała królowa opata cystersów w Oliwie, Antoniego Hackiego, który przez jakiś czas był kapelanem królowej w Ham-

burgu, a teraz we własnych sprawach miał jechać do Polski. Hacki udał się w początkach sierpnia 1668 r. do Warszawy i zgłosił się do nuncjusza papieskiego z listem, w którym Krystyna przypomina, że jest ostatnią z domu królewskiego szwedzkiego w Polsce, że zrzekła się korony szwedzkiej tylko dla religji katolickiej, że Rzeczpospolita polska wybierając ją, nie mogłaby mieć żadnych obaw co do swych swobód, gdyż królowa nie ma zamiaru wyjść zamąż, a przeto nie może mieć potomstwa i po jej śmierci Polacy mogliby wybierać sobie znów króla, jakiegoby się im podobało.

Zdaniem Azzolina byłoby korzystnem dla narodu polskiego, gdyby Krystyna miała potomka; według zdania królowej byłoby jeszcze lepiej, gdyby go wcale nie miała. Marecotti mógł wybierać pomiędzy temi dwiema obietnicami, stosownie do życzenia wyborców, a Azzolino chciał i jego pozyskać, obiecując mu, że jeżeli Krystyna zostanie królową polską, to mu się wystara o kapelusz kardynalski, gdyż każdy wstępujący na tron polski monarcha, ma prawo przedstawić jednego kandydata na godność kardynała. Poczciwy Azzolino, jakie tylko mógł, wyszukiwał argumenta, aby się pozbyć królowej z Rzymu; pomiędzy innemi, zapewniał Marescottego, że gdyby były jakie trudności z tego powodu, że Krystyna jest kobietą, to przecież wiadomo, że cały świat uważa ją nie tylko za mężczyznę, ale za osobistość wyższą od wszystkich mężczyzn. Azzolino chciał nawet wyzyskać te resztki popularności, którą Jan Kazimierz mógł jeszcze mieć w Polsce, i chcąc go pozyskać, zaprosił na stały pobyt do papieskiego państwa, a nawet ofiarował mu swój dom w Fermo na mieszkanie; dom ma wszystkie warunki, których Jan Kazimierz wymaga, znajduje się w dobrym stanie, położony bardzo blisko klasztoru jezuitów i niedaleko dominikanów, a przedewszystkiem w okolicy słynnej z wybornych polowań. Król jednak życzył sobie, także mimo szat duchownych, które przywdział, mieć wszelką wolność obcowania z kobietami, co i nuncjusza i kardynała trochę raziło. Starania Azzolina były więc daremne; Jan Kazimierz postanowił udać się do Francji i kwestja wolności przyjmowania kobiet w Fermo tem samem upadła. Marescotti widział od początku, że kandydatura królowej Krystyny nie miałaby najmniejszego powodzenia; ale chcąc papieżowi i Azzolinowi okazać swą dobrą wolę, zwierzył się już przy końcu bezkrólewia z tym projektem pod tajemnicą spowiedzi biskupowi poznańskiemu. Biskup przeżegnał się na taką kandydaturę i błagał nuncjusza, aby o tem nikomu nie mówił, żeby nie wywołać złośliwych żartów i śmiechu.

VI

Tymczasem sprawy majątkowe Krystyny dzięki Włochowi Adamiemu, który zaprowadził pewien porządek w administracji dóbr, zostały jako tako uregulowane; królowa mogła liczyć na to, że będzie miała pewien stały dochód, ale zarazem musiała znieść upokorzenie, że rejencja zakazała jej wracać do Szwecji. Pomimo więc zaklęć, że do Rzymu nie powróci nigdy, kazała w październiku roku 1668 czem prędzej pakować kufry w Hamburgu i zabierała się do podróży na Południe. Dwudziestego października roku 1668 pisała do Azzolina, że czuje się tak szczęśliwą, jak dusze, które z czyścia wychodzą; czy kardynał podzielał to szczęście, wątpić się godzi. Krystyna miała lat 42, a jeżeli pierwej zdobił ją pewien wdzięk młodości, to teraz wystąpiły już wyraźnie wszystkie niedostatki małej postaci. Utyła, duży nos zgrubiał i zanadto panował nad twarzą, a przytem w oczach przebijała się twardość jej usposobienia.

Azzolino nie mógł jednak zaprzeczyć obowiązkom, które nakładała przeszłość; przygotował więc radosne przyjęcie dla królowej, tem więcej, że Klemens IX Rospigliosi bardzo był jej wdzięczny za oznaki przyjaźni, jakiemi jego wybór powitała, za ową uroczystość w Hamburgu, podczas której życie za papieża narażała, za gorące wreszcie zajmowanie się sprawą katolicyzmu na protestanckiej Północy. Znowu więc Azzolino wyjechał naprzeciw Krystyny aż do Narni, znów dwudziestu czterech kardynałów, ambasador hiszpański i nepoci papiescy uroczyście ją witali, a królowa uszczęśliwiona, po przeszło dwuletniem oddaleniu, wracała do swego pałacu na Lungarze, aby już więcej z Rzymu nie wyjechać.

Papież nie poprzestał jednak na uroczystem powitaniu królowej; chciał jeszcze wyraźniej zaznaczyć swą wdzięczność i kazał urządzić dla niej w Kwirynale wystawny obiad w niedzielę 9 grudnia 1668. Według ceremonjału rzymskiego żadna kobieta, czy to cesarzowa, królowa, czy nawet krewna papieża, nie mogła z nim razem siadać do stołu. W średnich wiekach w czasach Odrodzenia papieże nie trzymali się tak ściśle tego przepisu, lecz w XVII wieku, epoce ceremonjałów, rzadkie były w tej mierze wyjątki. Mimo to, jakeśmy wspomnieli, już Aleksander VII zaprosił Krystynę na obiad, a obecnie, po latach trzynastu, dostąpiła królowa po raz wtóry, za Klemensa IX tego samego zaszczytu. Papież wysłał swego nepota Don Gianbattistę Rospigliosego, generała Kościoła, z kapitanami gwardji szwajcarskiej i liczną konną eskortą do pałacu na Lungarze, aby przywiózł królowę. Klemens IX chciał publicznie, wobec całego Rzymu, okazać jej wielką swą łaskę. Gdy kawalkata zajechała przed Kwirynał, wprowadzono Krystynę do pokoi, graniczących z salą na festyny, dzisiejszą salą balową. Tam odbył się uroczysty obiad na dwa nakrycia. Pod ścianą urządzono dużą estradę, na której znajdował się stół dla papieża, a w niewielkiem oddaleniu drugi, niższy, poza baldachimem, dla królowej. Stoły były przykryte białemi obrusami, z pod których wyglądały czerwone kapy, obszyte złotemi pasami, aksamitna u papieża, atłasowa u królowej. Ceremonjał przestrzegany do najdrobniejszych szczegółów.

Estradę przedzielały balaski od reszty sali, przeznaczonej dla zaproszonych gości, którzy pragnęli przyglądać się ciekawej uczcie. Szwajcarska gwardja z halabardami stała po bokach, a w pewnem oddaleniu ukryło się dwóch śpiewaków, przy małych organach; muzyka i śpiew miały uprzyjemniać bankiet. Ściany sali były pokryte karmazynowym adamaszkiem, ozdobionym taśmami ze złocistego brokatu, a z poza tych opon wyglądały tu i ówdzie główki pań rzymskiej arystokracji.

Na dany znak przez mistrza ceremonji, weszła królowa jednemi drzwiami, a po chwilce ukazał się papież w drugich drzwiach. Nastąpiło przywitanie, poczem monsignor maggiordomo miał podać Ojcu świętemu serwetę; ale królowa wzięła ją do rąk i sama chciała wręczyć papieżowi. Stąd z jednej i z drugiej strony wymiana grzeczności, którą papież tem zakończył, że prosił Krystynę, aby usiadła; lecz ona znowu czekała, dopóki papież nie spocznie na tronie. Zaczął się nareszcie objad; za papieżem stanął nepot don Vincenzo Rospigliosi, komendant galer papieskich, przybliżył się monsignor maggiordomo i dwóch tajnych kamerjerów, tudzież monsignor Giambattista Spinola, późniejszy kardynał, jako podczaszy. Urząd jego był wszakże za Klemensa IX ściśle honorowy, bo papież zupełnie wina nie pijał, a sam podczaszy także tylko wodą się raczył. Ceremonjał jednak wymagał, aby papież pił wino, więc Spinola podawał mu lemonjadę, zabarwioną na kolor czerwonego wina syropem z poziomek i z wiśni. Za krzesłem królowej stało dwóch innych nepotów, don Tommaso Rospigliosi, kasztelan zamku Św. Anioła, i don Giambattista, jenerał wojsk kościelnych, jako honorowa asysta. Potrawy i napoje podawali bowiem właśni jej dworzanie, a ten, który wino nalewał, zawsze przyklękał, napełniając puhar, tak jakby służył do mszy.

Ponieważ papież i królowa siedzieli dość od siebie oddaleni i bezpośrednia rozmowa była utrudniona, przeto stał pomiędzy nimi monsignor Febei, ażeby ułatwić wymianę grzeczności. Podczas obiadu papież powstał, pił zdrowie królowej, przyłożywszy usta do swego soku poziomkowego, a wszyscy obecni uklękli, jakby podczas mszy, poczem zaraz królowa piła zdrowie Klemensa IX. Te życzenia powtarzały się częściej, a chociaż papież prosił Krystynę, aby się nie podnosiła, to przecież królowa za każdym razem wstawała ze swego krzesła.

Półmiski przynosili tajni kamerjerzy w bogatych mundurach fjoletowych; jedni usługiwali papieżowi, a drudzy królowej. Wszystkie mięsiwa ustawiono naraz, a gdy najdostojniejsi biesiadnicy się pożywili, zdjęto białe obrusy i na jedwabnych kapach ustawiono srebrne koszyki i rozmaite naczynia z owocami, tudzież piramidy z cukrów, tak zwane «trionfi». Po ceremonji jedzenia przystawiono drugie krzesło do stołu papieskiego i królowa usiadła obok papieża, aby z nim roz-

mawiać już bez pośrednictwa monsignora Febei. Rozmowa jednak długo nie trwała; Klemens IX podniósł się pierwszy, przeszedł do swoich pokoi, królowa innemi drzwami udała się do apartamentów, dla niej przeznaczonych, skąd dopiero złożyła krótką pożegnalną wizytę Ojcu świętemu i pojechała do domu w tem samem otoczeniu, w jakiem przybyła do Kwirynału.

W muzeum i w bibljotece królewskiej w Stockholmie zachowały się dwie akwarele, z których jedna przedstawia ów obiad, a druga stół, ubrany w «trionfi», z herbem Klemensa IX. Malował je ośmnastoletni wówczas artysta, Piotr Sévin, Francuz, który później zasłynął jako malarz miniatur.

Krystyna była w szczególnych łaskach u papieża, tak, że ją za panowania Klemensa IX zwano «Padrona di Roma». Korzystała też z tych łask, aby towarzystwo ożywić, a że szczególnie lubiła przedstawienia teatralne, więc marzeniem jej było przyczynić się do urządzenia wielkiego teatru, w którymby można dawać melodramaty i komedje. Rzym miał dotąd tylko teatry prywatne i małe teatrzyki, nie odpowiadające artystycznym wymogom. Za Aleksandra VII wybudowany został wprawdzie na miejscu dawnego więzienia duży teatr, Tor-di-Nona, ale zdaje się, że brakowało funduszów, aby go wykończyć i dostatecznie rozwinąć.

Pomiędzy swoimi dworzanami miała królowa przedsiębiorczego Francuza, który się wybornie nadawał na dyrektora teatru. Był nim hrabia d'Alibert.

D'Alibert przybył z Paryża do Rzymu, jako młody chłopak, w roku 1656 albo 1657. Był on synem intendenta domu Gastona d'Orleans, stryja Ludwika XIII; właśnie stracił ojca, a ponieważ zwyczajem było wówczas młodych Francuzów po skończeniu nauk jechać do Rzymu, aby się w świecie rozpatrzyć, więc i d'Alibert postanowił puścić się w podróż. Przed wyjazdem jednak chciał się jeszcze pożegnać z Paryżankami i poszedł do tak zwanych «Dames du Marais», gdzie opowiadał, że się wybiera do Rzymu i że Jego Królewska Wysokość dał mu list do kardynała de Retz z rozmaitemi ważnemi zleceniami. Któraś z tych przyjaciółek młodzieńca wygadała się z tem, co słyszała przed jakimś dworzaninem,

i rzecz doszła do kardynała Mazarina. Kardynał zapytał się księcia d'Orleans, czy to prawda, co d'Alibert opowiada, a gdy Gaston zaprzeczył, aby miał jakiekolwiek stosunki z Retzem, kazał przyszłego «Rzymianina» uwięzić. Ale kara za lekkomyślną plotkę nie trwała długo; d'Alibert spieniężył fortunę po ojcu i mając pięćdziesiąt tysięcy liwrów gotówki, znalazł się w papieskiej stolicy. Kupił zaraz konie, wspaniałą karetę, przyjął czterech lokai i kamerdynera, zawiązał stosunki z pierwszemi domami, bywał u konnetabla Colonny, zaprzyjaźnił się z księciem Brunświku i z wieloma paniami, które obdarzał drogiemi podarunkami. W karnawał miał jeden z najpiękniejszych wozów, przedstawiający Parnas z Apollinem i dziewięciu Muzami, które grały i śpiewały bardzo piękną symfonję. Na czele tego Olimpu sam przejechał popod okna Krystyny, której się tak spodobał, że życzyła sobie go poznać. Wreszcie, mając około trzydziestu lat, wstąpił do służby królowej i stał się niebawem jej «factotum».

D'Alibert był typem ówczesnego francuskiego «blagera», mówił dużo, gładko, zbierał wszelkie możliwe plotki, aby je donosić swej pani, przytem zawiązywał intrygi, starał się być potrzebnym i użytecznym. Robił wrażenie aktora, zwłaszcza że jego ciało było ciągle w ruchu, każde bowiem powiedzenie uwydatniał jeszcze wyraźniejszemi i żywemi gestami. Królowa używała go jako sekretarza do pisania listów, które nieraz były bardzo udatne, gdyż d'Alibert wplatał zręcznie zwroty, a nawet całe okresy francuskich pisarzy, zwłaszcza Balzaka i Voitura.

Pozbierał on raz portrety najpiękniejszych kobiet w Rzymie i podarował królowej, aby sobie nimi ozdobiła sekretarzyk, a nadto chcąc zrobić przyjemność księciu Karolowi Emanuelowi II sabaudzkiemu, którego bardzo obchodziły romantyczne plotki rzymskie, posłał mu także podobne portrety, dopisując pod niemi nazwisko każdej z wymalowanych piękności i dodając rozmaite o nich uwagi. Pomysł d'Aliberta tak się podobał, że kardynał Chigi, a za nim wielu innych panów w Rzymie zakładało sobie również galerje piękności.

Otóż ten Francuz miał odrodzić rzymską scenę. Gdy

jednak z królową układał plany, jakby to uskutecznić, umarł Klemens IX.

Po conclave, trwającem pięć miesięcy, został 29 kwietnia 1670 r. wybrany kardynał Emilio Altieri papieżem. Pierwszą wiadomość o wyborze przyniósł Krystynie d'Alibert, a machając, jak zwykle, rękami, ledwie mógł wyrzec te słowa zadyszany: «Pani, kardynał Altieri papieżem!» «Oh bene bestia», zgryźliwie odpowiedziała Krystyna, «s'attachi la carrozza», każ zaprzęgać!

Zły jej humor był usprawiedliwiony, gdyż w ciągu całego conclave pracowała wraz z Azzolinem nad tem, aby Altieri nie otrzymał większości głosów. Bitwa więc była przegrana, a Krystyna, chcąc zakryć doznaną klęskę, chciała pierwsza złożyć papieżowi powinny hołd. Pojechała więc natychmiast do Watykanu, ale wyszła od papieża tak zła i smutna, że widocznie nie była zadowolona z przyjęcia. Pocieszyła się jednak niebawem, równie jak wielu kardynałów, myślą, że papież bardzo stary i długo nie pożyje. Miłą nadzieję zamącał tylko fakt, że ojciec Klemensa X doczekał się stu pięciu lat i że papież wyglądał zdrowo i żył bardzo skromnie. Obawy na szczęście się sprawdziły, bo Klemens X panował tylko lat sześć i umarł 22 lipca 1676 r.

Dla Krystyny rządy Klemensa X nie były zresztą nieprzyjazne; władzę w ręku miał kardynał Altieri, adoptowany nepot papieski, który wskutek niedołęstwa starego Klemensa był prawie papieżem.

Wtedy to Marforio pytał Pasquina: «Jaki papież właściwie teraz panuje?» na co ten złośliwie odpowiedział: «Sumus sub pontificatu Alterius», — «Żyjemy pod pontyfikatem tego drugiego». Pasquino zresztą słusznie utrzymywał, że Klemens X nic nie robi, jak tylko «benedicere et sanctificare», podczas gdy rzeczą jest kardynała Alteriego «regere et gubernare». Altieri lubił zabawy i więcej się troszczył o zebranie wielkiego majątku, aniżeli o sprawy Kościoła. Były to czasy festynów, wspaniałych wjazdów ambasadorów i wielkich przyjęć u rzymskiej arystokracji.

Korzystając z usposobienia kardynała-nepota, pojechała królowa niebawem po swej pierwszej, nieudanej wizycie, po raz wtóry do papieża z prośbą, aby pozwolił grywać komedje w teatrze Tor-di-Nona, w chłodniejszych porach codziennie, tak jak w karnawale. Papież wręcz odmówił temu żądaniu, ale nie mógł znieść przywileju, który królowa otrzymała od Klemensa IX, aby płatne przedstawienia bywały dawane tylko w tym teatrze.

Królowa więc rozpoczęła podjazdową wojnę przeciw papieżowi, w której miała potężnych sprzymierzeńców. Oprócz kardynała nepota wspierał ją w światowych zamysłach drugi nepot, książę Gaspard z żoną, który, pomimo że nie miał układności Rospigliosich, chciał im dorównywać prowadzeniem gościnnego i otwartego domu. Zresztą i większość kardynałów nie podzielała ascetycznych dążeń papieża i surowych rygorów.

Najbardziej chodziło królowej i nepotom o teatr; nie zważając więc na niechęci Klemensa X, postanowiła Krystyna z d'Alibertem odrestaurować Tor-di-Nona i dawać w nim przedstawienia, choćby tylko w zimie. Na czele przedsiębiorstwa stanął d'Alibert, znaczny fundusz na ten cel dała mu królowa, a do spisku przystąpił don Gaspard. D'Alibert wydzierżawił więc Tor-di-Nona na wieczne czasy od Archikonfraternji św. Hieronima, do której grunt należał, i niebawem stanął tam świetnie urządzony teatr. Dla królowej była przeznaczona loża na piętnaście osób, wyzłocona, wybita adamaszkiem, obszytym złotemi frendzlami i koronkami, a gdy się przedstawienia rozpoczęły, zawsze było można w niej widzieć oprócz Krystyny przynajmniej dziesięciu kardynałów, pomiędzy którymi prawie nigdy nie brakowało Benedykta Odescalchiego, późniejszego papieża Innocentego XI.

D'Alibert przedstawiał w Tor-di-Nona melodramaty i włoskie, francuskie, tudzież hiszpańskie komedje, a widocznie nie dość przyzwoite, gdyż gubernator miasta, monsignor Pompeo Varesi, wydał już w roku 1671 piśmienny rozkaz, aby aktorzy w wyrażeniach i ruchach nie dawali powodu do zgorszenia, a to pod grzywną pieniężną lub cielesną karą. Gubernator zabronił wstępu do teatru kurtyzanom, a publiczności, nawet osobom duchownym zakazał noszenia broni w teatrze, z wyjątkiem szpady.

Mimo tych zakazów przedstawienia były bardzo uczęszczane i d'Alibert byłby był robił wyborne interesa, gdyby nie to, że grał w karty. Ale gra go niszczyła, gdyż nigdy nie miał szczęścia, a zapalał się do tego stopnia, że byłby przegrał ostatnie swe ubranie. Po jakiejś karcianej katastrofie królowa tak go ostro wyłajała, że hrabia przez jakiś czas przestał grać w karty, a natomiast, aby się pieniężnie ratować, urządził u siebie w mieszkaniu teatr marjonetek, a w jednym z domów na Hiszpańskim placu rodzaj «maison garni» dla cudzoziemców. Marjonetki wszakże nie dużo przynosiły dochodu; więc pomysłowy Francuz wrócił do kart, ale już sam nie grał, tylko założył bank u siebie, aby drugim wyciągać pieniądze z kieszeni. Ponieważ w Rzymie tego rodzaju zakłady były zakazane, więc ów bank istniał w kamienicy, należącej do królowej, tam, gdzie d'Alibert mieszkał, i oczywiście Krystyna o tem wiedziała. Ażeby zaś przyciągać gości, urządzał d'Alibert często koncerty, które miały być bardzo dobre, bo gospodarz znał się na muzyce. Oprócz tego zaprowadził «jeu de paume» w pobliżu placu Hiszpańskiego, która także przynosiła pewne dochody. Zarabiał więc, jak mógł i jak umiał, zwłaszcza że się ożenił, a posag okazał się mniejszy, aniżeli się spodziewał. Żona jego była siostrzenicą pułkownika Orano, komendanta korsykańskiej gwardji, liczącej zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Posag miał istnieć na Korsyce, w dobrach ziemskich, ale hipoteki korsykańskie równały się wówczas majętnościom na księżycu, więc je spieniężyć było bardzo trudno.

W czasie karnawału brała Krystyna żywy udział w powszechnych zabawach. Wynajmowała wtedy mały pałacyk na placu św. Marka z oszkloną galerją, aby się móc przypatrywać wyścigom i ludowym igrzyskom. Naprzeciw tej galerji miała lożę księżna Mancini Colonna, w której się gromadziła znaczniejsza część najwyższego towarzystwa. Gniewało to Krystynę, zwłaszcza że księżna słynęła ze swej piękności; królowa skarżyła się więc przed papieżem, że panowie w loży Colonny nie zachowują się wobec niej z należnem uszanowaniem. Powstało z tego powodu wielkie wzburzenie pomiędzy arystokracją; connetable Colonna, mąż Marji Mancini, groził,

że każe wyścigi przenieść gdzie indziej, ponieważ zabawy ludowe bywają urządzane dla Rzymian, a nie dla cudzoziemców. Zakłopotany papież nie chciał obrazić panów rzymskich, a radby był dogodzić humorom Krystyny; postanowił więc, aby mężczyźni w lożach stali z odkrytemi głowami ze względu na sąsiedztwo królowej. Krystyna, zadowolona tym rozkazem, tak się tego karnawału rozbawiła, że gotowa się była sprzeniewierzyć swemu Azzolinowi. Spostrzegła raz obok swojej loży dwudziestotrzechletniego młodzieńca, którego autor «Intryg miłosnych królowej» nazwał Don Benignem, i zaczęła mu dawać do poznania, że się jej podoba. Powiadają, że Krystyna, pomimo lat czterdziestu dwóch dobrze jeszcze wyglądała i że Don Benigno nie byłby sobie uchybił, gdyby się był do niej zbliżył. Kamerdyner Clairet, spostrzegłszy płomienne spojrzenia swej pani, starał się rzecz ułatwić i polecił jej do strzyżenia włosów «barbiera», który służył u Don Benigna, aby przez niego mogła się znosić z jego panem. Królowa ucieszyła się z domyślności swego ulubieńca, a poznawszy się z Figarem, prosiła go nawet, aby jej przyniósł perukę Don Benigna, radaby bowiem taką samą «blonde cendrée» kazać zrobić dla siebie.

Czasy się zmieniły. Jeszcze w XV wieku używano sokoła do przenoszenia listów miłosnych; we dwa wieki później za pośrednika w okazywaniu gorących uczuć musiała służyć peruka. Ale tym razem i peruka na nic się nie przydała, gdyż Don Benigno, którego zwano Narcyzem, przyglądał się wprawdzie swojej urodzie, ale z niej skorzystać nie umiał. Królowa mogła się tylko pocieszać, że inna piękna i młoda kobieta z rzymskiej arystokracji doznała podobnego zawodu, gdyż dała mu «rendez-vous» koło św. Sabiny na Awentynie, ale z gniewem spostrzegła, że Benigno przyszedł z przyjacielem. Narcyz przywdział później duchowną szatę.

VII

Największą współzawodniczką królowej w towarzystwie rzymskiem była Marja Mancini, która przybyła w roku 1661 do Rzymu, jako księżna Colonna.

Ludwik XIV kochał się wielką, młodzieńczą miłością w tej uroczej córce Mazarina, «La meilleure et la plus folle des Mazarines», jak mówi Saint-Simon; ale królowa Marja Teresa była niezmiernie o nią zazdrosną i w porozumieniu z królową matką i nuncjuszem papieskim, monsignorem Piccolominim w Paryżu, potrafiła tego dokonać, że wydano pannę Mancini za Don Lorenza Colonnę, księcia na Sermonecie, ówczesną głowę «de la casa Colonna». Najstarszy z linji neapolitańskiej Colonnów był zawsze «konnetablem» Neapolu, a tytuł ten utrzymał się w ich rodzie w ciągu szesnastu pokoleń.

Mancini była bardzo piękną, a dwa jej portrety, jeden Piotra Mignarda, a drugi Netschera, w galerji Colonnów w Rzymie świadczą o jej niepospolitych wdziękach. Była zresztą pełna dowcipu, zręczna, miła i tak zakochana w królu francuskim, że z przymusu tylko wyszła zamąż za Colonnę, którego, jadąc do niego, do Włoch, nawet jeszcze nie znała.

Młoda para spotkała się w Medjolanie; don Lorenzo podobał się Francusce, zwłaszcza że wszelkich dołożył starań, aby na swej małżonce dobre sprawić wrażenie; ale Mancini była w takiem usposobieniu, że ją nic nie cieszyło. Zmęczona z drogi, z głębokim żalem w sercu, że musiała opuścić krewnych i Francję, pragnęła tylko odpoczynku i spokoju. Colonna był wszakże natarczywy, dopominał się o swoje prawa, chciał, jak pisze Mancini w swym pamiętniku, już w dzień przyjazdu do Medjolanu spełnić małżeństwo i tylko wdaniu się ochmistrzyni, pani de Venel, która odprowadzała Marję, udało się przekonać porywczego Włocha, żeby się powstrzymał ze swemi zamiarami do jutra po nabożeństwie.

Colonnowie bawili dziesięć dni w Medjolanie, gdzie ich przyjmowano przeróżnemi festynami; ale Mancini ciągle była słaba, a w dalszej drodze ku Rzymowi ciężko się rozchorowała, tak, że młode małżeństwo musiało się zatrzymać w Loreto. Dwunastu lekarzy zjechało się z okolic i już nie wiele miano nadziei, aby Francuzkę utrzymać przy życiu, lecz szczęściem jakiś lekarz trzynasty, którego zrozpaczony Colonna powołał z Rzymu, przywrócił jej zdrowie.



Marja Mancini Colonna
Według portretu Netschera w galerji Colonna w Rzymie

Do str. 396 Fot. Anderson



Colonna nadzwyczaj pragnął mieć następcę; gdy też Mancini powiła pierwszego syna, prawie cały Rzym obchodził to radosne zdarzenie wielkiemi uroczystościami. Franczkę obsypano kosztownemi podarunkami, a w kilka tygodni później wydali Colonnowie świetny festyn, w którym wzięli udział prawie wszyscy kardynałowie i cały wielki świat rzymski. Mancini przyjmowała gości, siedząc na tem samem łożu, które jej służyło przy powiciu syna. Była to wielka muszla, zrobiona z pozłacanego drzewa, oparta na podstawie, wybornie naśladującej fale morskie. Muszlę podtrzymywały cztery wodne potwory i cztery syreny. Dwunastu kupidynów rozpinało kotary z ciężkiego brokatu nad tem iście barokowem łożem.

W początkach małżeństwa ani rok nie minął, aby nie przyszedł na świat syn Colonnom, aż nareszcie po trzech latach i trzech synach było tego szczęścia za wiele. W r. 1665 Mancini ciężko zachorowała w Medjolanie, więc kochający się małżonkowie postanowili żyć już tylko po przyjacielsku aż do śmierci. Niebawem jednak ta bierna rola małżeńska nie podobała się connetablowi, który się starał gdzie indziej wynagradzać za swą wstrzemięźliwość. Z boleścią też dowiedziała się księżna, że Colonna nocami znika z sypialni i po drabinie, zrobionej z powrozów, dostaje się na balkon markizy Muti, dawnej przyjaciółki kardynała Barberiniego, co więcej, że niewierny małżonek znalazł w swym pałacu na Piazza SS. Apostoli jakąś tajemną furtkę, którą się skradał do sąsiadki, markizy Rusca. Księżna szukała pociechy w podróżach, jeździła do Wenecji, do Medjolanu, ale wszystkie te rozrywki nie wynagradzały jej domowego szczęścia, które zdawało się znikać bezpowrotnie. Robak zazdrości toczył serce Mancini, zwłaszcza że Colonna coraz się stawał dla niej obojętniejszym i w coraz to nowe wikłał się stosunki miłosne. Wtedy i kochająca dotąd małżonka zaczęła wstępować w jego ślady. Kardynał Flavio Chigi, synowiec Aleksandra VII, od dawna starał się o jej łaski. Flavio był, mówiąc po dzisiejszemu, najpierwszym «sportsmanem» w Rzymie, sławnie powoził sześcioma końmi, urządzał głośne polowania w lasach swych w Abruzzach, gdzie padały setki dzików

i danieli. Kardynał należał zresztą do ludzi, którzy się bardzo podobali, młody jeszcze, silny mężczyzna, o kruczych, kędzierzawych włosach, okrągłej twarzy, pełen wesołości i humoru. Szpeciła go tylko oliwkowata cera i oczy zanadto duże i wypukłe. Na owe polowania w Abruzzy jeździł i Colonna z księżną, a były to bardzo poetyczne wycieczki, sypiano i jadano w namiotach wśród dziewiczych lasów. Kardynał stał się przyjacielem domu Colonnów, a wkrótce nie widywano prawie Mancini, jak tylko w towarzystwie Flavia. Connetable często wyjeżdżał do swoich zamków, ale to nie przeszkadzało, że kardynał całe dnie spędzał u księżnej. Colonna nie zdawał się zresztą być zazdrosnym, zapewne z tego powodu, że zakochał się w księżnie Chigi, bratowej kardynała, i był zadowolony, że Mancini przymróża oczy na jego niewierności.

Bawiono się wybornie. Raz Mancini przebrała się w suknie kardynała i przyszła do niego zrana, kiedy jeszcze leżał w łóżku, aby mu udzielić posłuchania. Role się zamieniły.

Księstwo prowadzili wielki dom, który wzbudzał zazdrość Krystyny. Na salonach Colonny bywał cały świat kobiecy, w pałacu królowej spotykało się tylko mężczyzn, oprócz na wielkich koncertach. Nadto u Colonny gromadziło się całe towarzystwo cudzoziemców, a zręczna Francuzka zaprowadziła przyjęcia z tańcami na sposób paryski, podczas gdy w domach rzymskich nie było to w zwyczaju. Teatr stał się prawie jedyną większą rozrywką pań rzymskich.

Co wieczór przyjeżdżała do księżny jej siostra, cudownie piękna Hortenzja, księżna Mazarin, która przybyła do Włoch w sierpniu 1668 i w tej podróży tak się zajęła koniuszym księcia de Rohan, że skutki tego romansu szybko się okazały. Rodzina była z tego powodu w rozpaczy, zwłaszcza że niebawem obiegał wierszyk złośliwy, zwrócony do Hortenzji:

Du chevalier
Aimable duchesse
Du chevaliere
Prendre l'écuyer,
Ce n'est pas d'une beauté fière
Si votre coeur va toujours en arrière,
Helas! Helas!
A quoi bon tant d'appas.

O nieprzyjemnem zajściu dowiedział się książę Mazarin, dowiedział się i papież; Hortenzja musiała się ukryć w klasztorze na Campo Marzo, gdzie jej ciotka była przełożoną. Pełna życia kobieta nie mogła wszakże wytrzymać wśród murów klasztornych, więc księżna Colonna, litując się nad siostrą, chciała ją oddać pod opiekę Krystyny, która mając pawilony w swym ogrodzie, mogła Hortenzję wybornie pomieścić i ukryć przed widokiem ciekawych. Zrazu zdawało się Colonnie, że królowa gotowa spełnić jej życzenie; ale w ostatniej chwili, kiedy Hortenzja już była przygotowana do przeniesienia się do pałacu Riario, Krystyna dość szorstko odpowiedziała, że nie może chorej ani przyjąć do siebie, ani jej otoczyć opieką.

Stosunki więc pomiędzy Colonnami a królową nie były dobre, a najważniejszą tego przyczyną stał się kardynał Chigi, będący współzawodnikiem Azzolina w świętem Kollegjum. Połączenie się Chigich z Colonnami było królowej bardzo niemiłe; nie dziw też, że nie chciała Hortenzji osłaniać swoją powagą.

Zamiast więc udać się do Krystyny, uciekła Hortenzja z klasztoru do pałacu Mancinich i dopóki tylko jej stan pozwalał, bawiła się i tańczyła na wieczorach u siostry. W pałacu Colonnów grano zwykle bardzo wysoko w karty, a raz książę brunszwicki, biskup z Osnabrück, chcąc się zapewne connetablom wywdzięczyć za ich przyjęcia, przegrał do pani domu trzydzieści tysięcy talarów.

Współzawodnictwo królowej Krystyny z Marją Mancini rozciągało się nawet na deski teatralne, na zamiłowanie do sceny. Jeżeli królowa szczególnie protegowała reżysera teatru Tor-di-Nona, to Colonna miała swego, niemal nadwornego poetę, Filipa Acciajoli, który układał libretta do melodramatów i wesołe komedje, prawie zawsze jej poświęcane. Ów Acciajoli szczycił się wielką przyjaźnią konnetabla i należał do najbardziej zajmujących postaci w Rzymie. Dumny ze swego rodu, utrzymywał, że jego przodkowie panowali przez jakiś czas w Atenach i w znacznej części Peloponezu. Po ojcu odziedziczył znaczny majątek, mógł więc dogadzać wrodzonej namiętności podróżniczej i zwiedził całe Włochy, jeździł do

Niemiec, Czech i Węgier, bawił w Holandji, Francji, Anglji i Hiszpanji, a nawet poznał zamorskie części świata, Afrykę, Azję i Amerykę. Umiał też bardzo zajmująco opowiadać o swoich podróżach i był wogóle człowiekiem wykształconym, o umyśle żywym i lotnej wyobraźni. Zdaje się, że w roku 1670 wystawił po raz pierwszy wyborny swój dramat muzykalny «drama musicale burlesco» pod tytułem «Girello», który grano na wszystkich scenach włoskich. Muzykę dorobił Jacopo Melani, a później po raz wtóry i sam autor libretta, pod pseudonimem Francesca Antonia Pistocchima; muzykę do prologu ułożył Alessandro Stradella, który otrzymał zaszczytną nazwę «Il primo Apollo della musica».

Filippo Acciajoli nietylko pisał komiczne melodramaty, ale wynalazł także udoskonalony teatr marjonetek, który do dziś dnia jest jedną z ulubionych zabaw włoskiej publiczności. Jego «Consiglio delle streghe», «Sejm czarownic», komedja marjonetek, którą przedstawił w domowym teatrze konetabla, wzbudzała podziw wybornym mechanizmem i prawdziwą komicznością ruchów małych postaci. Najsławniejszy taki teatrzyk marjonetek «Teatro di burattini» ze stu dwudziestoma figurami i dwudziestuczterema zmianami dekoracyj darował Acciajoli wielkiemu księciu Ferdynandowi toskańskiemu. Na pierwszych przedstawieniach tego teatru we Florencji sam Acciajoli udawał głosy marjonetek, a wielki książę tak się zakochał w swoich burattinach, że sprowadzał z Rzymu artystów, którzy mieli poruszać figurkami i mówić za nie, ukryci za parawanem. Enrico de Noris, który widział ową grę marjonetek, donosił jednemu z profesorów w Pizie, że niema nic praktyczniejszego, jak taki teatr, bo marjonetek nie trzeba ani żywić, ani ubierać, a na mieszkanie wystarcza im szkatułka, w której z Rzymu przyjechały. Acciajoli skomponował nawet muzykę do kilku swoich komedyj marjonetek i wymyślił melodramat, w którym drewniane figurki otwierały tylko usta, a ukryci aktorzy wyręczali je w śpiewie.

«Gran burattinajo» miał widocznie chwile melancholji, albowiem w jakiemś ukrytem miejscu, w górach, koło Spoleto, wybudował sobie pustelnię, do której pod pozorem ascetycznych ćwiczeń udawał się dwa razy do roku, nie mówiąc w Rzymie nikomu, dokąd wyjeżdża. Znajomi nie wierzyli jednak w jego askezę. Być może, że Acciajoli chciał niekiedy w górach wypocząć po zbyt głośnem towarzyskiem życiu. Umarł z początkiem roku 1700 na przełomie wieków, a wyznanie jego zasad teatralnych zostało charakterystycznem dla epoki, w której żył. Mawiał bowiem, napół żartem, że nad tragedję przenosi komedję, nad komedję farsę, nad farsę pantominę, a marjonetki nad wszystko inne.

Wróćmy jednak do księżnej Colonny. Mancini nauczyła się zczasem niestałości od męża. Flavio Chigi znudził się jej, znalazł się inny. Przyjechał do Rzymu «chevalier de Lorraine», syn Henryka Lotaryńskiego i Małgorzaty Cambout, «piękny, jak anioł», jak się wyrażają ówczesne pamiętniki. Ludwik XIV skazał go na wygnanie z Francji, ponieważ ów Antinous miał jakąś odrazę do swej czarującej małżonki, Henryki angielskiej, i nie chciał zadawalniać jej słusznych pragnień. Piękny Francuz starał się w Rzymie najprzód o łaski księżnej de Mazarin; gdy tam jednak chłodne znalazł przyjęcie, gdyż piękna księżna zajęta była wówczas panem de Courbeville, swym dworzaninem, zwrócił się do siostry, do Colonny. Podarował jej nadzwyczaj oryginalny powóz do polowań wraz z końmi, ubranemi w kolorowe wstążki, a uprząż ta miała kosztować aż tysiąc pistolów. Zwycięstwo nie było trudne, gdyż Lorraine przewyższał Chigiego pod każdym względem, a niebawem cały Rzym o niczem nie mówił, jak tylko o stosunku Mancini z cudzoziemcem. Connetable zaczął być zazdrosnym i miał w tej mierze towarzysza w kardynale, którego przyjaźń dla księżnej zamieniła się w gwałtowną niechęć. Colonna chciał najprzód wpływać na swoją małżonkę rozsądnemi radami i wysłał zaufanego mnicha, aby ją nakłonił do zerwania uchybiającego jej związku; księżna jednak, zamiast odpowiedzi, chwyciła mnicha za barki i wyrzuciła za drzwi, ponieważ śmiał ją posądzać o postępowanie, nie licujące z jej stanowiskiem.

Mancini nie zważała na zazdrości męża i kardynała, a Lorraine stał się, jak poprzednio Chigi, nierozłącznym jej towarzyszem. Zdarzył się jednak fakt, który obraził Colonnę w najwyższym stopniu. Księżna lubiła się kąpać w Tybrze

i za bramą del Popolo kazała sobie zbudować małą łazienkę. Wyjeżdżała tam zwykle w towarzystwie Lorraina i razu pewnego pozwoliła mu się malować w ubraniu kąpielowem, czy nawet bez tej osłony. Księżna utrzymywała wprawdzie, że w tem nic nie było zdrożnego; Lorraine pragnął, aby mu posłużyła za model, gdyż tak pięknej postaci, jak jej, nigdy jeszcze nie widział, ale księżna nie posunęła się do ostateczności, lecz tylko ukazała mu się w koszuli z gazy, długiej aż po kostki.

Bądź co bądź, connetable zaczął odtąd śledzić każdy krok księżny. Wynajął w tym celu jakiegoś starego żyda z Ghetto, który się zwykle włóczył po ulicach; ale Mancini wkrótce spostrzegła, że żyd krok w krok za nią chodzi i jak tylko go zobaczyła, kazała zaciąć konie i znikała mu z oczu. Colonna użył innego szpiega. Gdy księżna szła raz na przechadzkę z Lorrainem za bramę Ripa Grande, spostrzegła naprzeciw kościoła św. Pawła oficjalistę swego męża, widocznie umyślnie tam wysłanego. Niedługo się namyślając, wsiadła ze swym towarzyszem do czółna rybackiego i kazała się przewieźć na drugą stronę rzeki. Ciekawy sługa mógł tylko spoglądać, jak zakochana para odpłynęła.

Gdy wreszcie chevalier de Lorraine wyjechał w r. 1672 do Paryża, connetable odetchnął. Małżonka Lorraine, owa czarująca Henryka, którą się Ludwik XIV tak opiekował, umarła i król pozwolił Antinousowi wrócić do ojczyzny. Powszechnie mówiono, że Lorraine kazał ją otruć swemu zaufanemu słudze Morellemu.

Ale pomimo wyjazdu przyjaciela stosunki pomiędzy Colonną a księżną były już tak naprężone, że o wzajemnem dobrem pożyciu mowy być nie mogło. Connetable postanowił więc, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, pozbyć się małżonki — trucizną.

Jeszcze w czasie pobytu Lorraina w Rzymie, na wiosnę r. 1671 zachorowała księżna bardzo ciężko. Obawiając się, że może ją otruto, zażyła natychmiast środek przeciw truciźnie i to jej życie uratowało. Miała ona nadzwyczaj do siebie przywiązaną służącę mulatkę, zwaną Morena; otóż ta dziewczyna przejęła list, pisany do connetabla, który był prawie pewnym dowodem zamachu, przygotowanego na księżnę. Wobec grożącego niebezpieczeństwa postanowiła Mancini ratować się ucieczką do Francji. Siostra Hortenzja popierała ten zamiar i obydwie kobiety czekały tylko na sposobną chwilę, aby potajemnie do Francji powrócić. Zdarzyło się, że Colonna udał się w maju r. 1672 do swoich dóbr w Abruzzach, więc siostry przystąpiły do wykonania dawno obmyślanego planu. Dwudziestego dziewiątego maja wyjechały z Rzymu, mówiąc, że chcą zażyć świeżego powietrza we Frascati. Towarzyszyła im wierna Morena, a służący Hortenzji, bardzo jej oddany, oczekiwał swe panie w jakiejś miejscowości nad morzem z wynajętą barką, która je miała przewieźć do Marsylji. Księżna, nie chcąc zwracać uwagi, że wyjeżdża w dalszą podróż, nie zabrała ze sobą prawie żadnych rzeczy, wzięła tylko siedmset pistolów, perły i małą szkatułkę z kosztownościami. Ucieczka była pełna dramatycznych przygód. Tak Marja, jak i Hortenzja przebrały się w męskie suknie, nim wsiadły do barki, aby je nie poznano; właściciel jednak małego okrętu, jakiś bardzo podejrzany Neapolitańczyk, spostrzegł zaraz, z kim ma do czynienia, i zapytał je żartobliwie, dlaczego się tak śpieszą, «czy przypadkiem papieża nie zamordowały?» Korzystał więc z tego, aby sobie kazać sowicie zapłacić, ale przynajmniej umiał zręcznie wyminąć czternastu kurjerów, których Colonna wysłał w pogoń za księżną i potrafił ukryć swoją barkę, płynąc blisko wybrzeży, przed całą flotą toskańską, która szukała zbiegów po pełnem morzu.

Po dziesięciu dniach strasznej niepewności i fizycznych cierpień wylądowała wreszcie Mancini we Francji, sądząc, że w Ludwiku XIV znajdzie oddanego sobie opiekuna; lecz nadzieje ją zawiodły. Król bardzo wobec niej oziąbł, niechętnie ją widział we Francji; księżna musiała się zatem tułać przez długie lata i szukać schronienia to w Sabaudji, to w Brukseli i Antwerpji, żyć w ciągłej obawie, aby ją nie wydano mężowi, aż wreszcie w klasztorze dominikanek w Madrycie znalazła przytułek. Dopiero po śmierci męża (1689) odzyskała zupełny spokój i mogła nawet na jakiś czas powrócić do Rzymu. Umarła w r. 1706 w Pizie, gdzie została pochowana

w kościele San-Sepolcro. Jeden z jej synów był już wówczas kardynałem.

Księżna, równie jak królowa Krystyna, w ciągłych z astrologami zostawała stosunkach, a osobliwie często miewała narady z fizykiem Tertim. W latach 1670—1672 wydała nawet trzy tomy przepisów, anagramów i obliczeń, opartych na wpływie gwiazd. Astrolog nie przepowiedział jej wszakże ciężkich losów, jakie ją jeszcze czekały.

Pobyt Marji Mancini w Rzymie pozostawił w tamtejszem życiu wyższego towarzystwa niezatarte ślady. Ona pierwsza bowiem wprowadziła tam francuskie obyczaje, a przedewszystkiem zerwała, przynajmniej poczęści pęta, któremi skrępowano rzymską kobietę, spychając ją prawie do roli niewolnicy męża. Początek nie był wprawdzie zbyt moralny, ale jeżeli mamy wierność małżeńską na względzie, i to i rzymskie panie przed wystąpieniem Mancini nie odznaczały się zbyt ścisłemi w tej mierze zasadami.

VIII

Oprócz Marji Mancini miała królowa jeszcze inną współzawodniczkę, którą nienawidziła, księżnę Rossano, ową piękną Olimpję Aldobrandini, która jeszcze wtedy jaśniała urodą. Księżna spiskowała z kardynałami, których stryj jej męża, Innocenty X, mianował, i rada była wydrzeć królowej panowanie w «Squadrone volante», a miała potemu pewne prawa, gdyż, jak mówiono, była pierwszą miłością Azzolina. Kardynał pisywał do niej piękne sonety, królowę zaś poznał wtedy, kiedy jego poetyckiej Muzie zabrakło już weny. Chcąc sobie wynagrodzić towarzyskie niepowodzenia, zaczęła Krystyna tem goręcej zajmować się alchemją. W swem laboratorjum przesiadywała godzinami z nowym chemikiem, Bandierą, którego jej Azzolino polecił. Bandiera był synem aptekarza z jakiegoś małego miasteczka w Romanji i wkrótce pochlebstwami przypodobał się królowej. To jednak nie przeszkadzało, że ilekroć mu się próby alchemiczne nie udawały,

rzucała mu Krystyna na głowę, co miała w ręku, albo nawet okładała go kijem. Alchemik nigdy się nie obrażał, umiał udaną pokorą zawsze ułagodzić swą panią i tak się wkradł w jej łaski, że czasami zwyciężał Azzolina; królowa szła raczej za radami alchemika, aniżeli za zdaniem przyjaciela.

Pojawił się jednak w Rzymie inny alchemik, jakiś Anglik, który na chwilę potrafił usunąć Bandiera. Ów Anglik utrzymywał, że ma środek do przedłużenia życia, i królowa kupiła od niego ową tajemnicę za bardzo wysoką sumę, mówiono, że za dziesięć tysięcy talarów. Przez jakiś czas chwaliła się, że będzie żyła przeszło sto lat; ale angielskie pigułki tak jej zaszkodziły, że wpadła w dość ciężką chorobę. Mimo to wierzyła w tajemnicę Anglika i gdy raz kardynał Ricci zrobił jej uwagę, że za prędko jada, że połyka tylko potrawy i że to może skrócić jej życie, bardzo się na niego pogniewała. Zdarzyło się, że Ricci wkrótce potem umarł; Krystyna więc triumfowała i rozgłaszała, «że ten stary głupiec umarł, pomimo, że jadał pomału, a ja będę żyła, chociaż potrawy połykam». Azzolino, widząc, że Anglik wyzyskuje królową, dał mu jakąś znaczniejszą kwotę, aby z Rzymu wyjechał.

Nie do pojęcia, jak dalece wiara w jakieś nadzwyczajne środki lecznicze była wkorzenioną; dość powiedzieć, że taki rozumny człowiek, jak Azzolino, zapłacił w czasie jakiejś choroby dwa tysiące talarów za cudowną pigułkę, która mu miała przywrócić zdrowie.

Przy końcu panowania Klemensa X, w roku 1674, bardzo się Krystyna zajmowała ową akademją, którą dawniej założyła. Należało do niej kilku wybitnych uczonych, jak Angelo de la Noce, arcybiskup z Rossano, i Niccolo Pallavicini, jezuita. Angelo della Noce nie miał dostatecznych dochodów, aby żyć w mieście odpowiednio do swego stanowiska, więc mu królowa płaciła pensję i dawała karetę do użytku. Pallavicini napisał rozprawę o bardzo długim tytule, podnoszącą korzyści, jakie religja katolicka odniosła, przyjmując Krystynę na swoje łono; ale rozprawa nie mogła być wydrukowaną, ponieważ Inkwizycja znalazła w niej aż pięćdziesiąt cztery herezyj. Innemu jezuicie, Antoniemu Vieyra, Portugalczykowi, który należał także do akademji królowej, musiał Klemens X

dać breve polecające do inkwizytorów w Lizbonie, aby go ustrzec przed prześladowaniem.

Cenne zbiory, częścią przywiezione przez królowę ze Sztokholmu, częścią już w Rzymie powiększone, były zawsze przedmiotem jej starań i troskliwej opieki. Najważniejszym był gabinet medali, a po nim bibljoteka. Kustoszem gabinetu zamianowała Krystyna Franceska Camellego, także członka założonej przez nią akademji, który wydał katalog tych skarbów, bardzo ceniony przez numizmatyków. Celem poszukiwania starożytnych monet kazała rozkopywać ziemię w okolicach Rzymu, a podjęte w tym kierunku prace wydały obfity plon. We wszystkich sprawach antykwarnych i artystycznych zasięgała głównie rady Giovana Pietra Bellorego, autora słynnego dzieła «Libro dei pittori». Trzeba jej przyznać, że dla nauki robiła dużo, szczodrze wspomagała uczonych, poetów i młodych artystów i na te cele, ze zgorszeniem Azzolina, spore wydawała sumy.

Członkowie akademji mieli według zwyczaju przybrane imiona, królową zwali «Basilissa», a po jej śmierci przemienili swe stowarzyszenie w akademję, zwaną «Arcadia», która później należała do najznakomitszych związków ludzi uczonych we Włoszech i miała swe «kolonje» we wszystkich ważniejszych miastach półwyspu. Do «Arkadji» należała później także królowa polska, Marja Kazimiera, i nosiła tam nazwę «Amirisia Telea». Ponieważ od kobiet, które chciały wstąpić do akademji, wymagano, aby były poetkami, więc i Marja Kazimiera musiała próbować swoich sił w układaniu sonetów. Arkadja uważała Basilissę aż do późniejszych czasów za swoją założycielkę i tak się rozrosła, że w roku 1711 liczyła już 1.197 zmarłych akademików.

Pomiędzy uczonymi wyróżniała królowa matematyków i astronomów, co się tłumaczy jej zamiłowaniem do alchemji. W służbie swej miała dwóch astronomów, Cassiniego i Giordaniego, a z pierwszym z nich badała całemi nocami ruch gwiazd i jakaż była jej radość, gdy w roku 1664 uczony w jej obecności odkrył nową kometę z obserwatorjum w pałacu Chigich! Kazała zaraz wybić medal na uwiecznienie tej chwili, który przedstawiał z jednej strony jej popiersie,

z drugiej zaś słońce z promieniami i napis: «Non sit tamen inde minor». Miało to znaczyć, że słońce, chociaż bardzo oddalone od ziemi, nie traci na swej wielkości, podobnie jak królowa, acz zdala od ojczyzny, nie ponosi uszczerbku na sławie i tak stoi wysoko, iż już wyżej wznieść się nie może.

IX

Podczas panowania Klemensa X przeżyła Krystyna swe najspokojniejsze lata w Rzymie. Papież i całe jego otoczenie miało dużo względów dla królowej, patrzono nawet pobłażliwie na niejedną jej despotyczną zachciankę. Pod następcą Klemensa rzeczy się trochę zmieniły. Królowa w połączeniu z Azzolinem pracowała nad tem, aby z conclave wyszedł kardynał Conti, należący do jednego z pierwszych rodów rzymskich. Brat kardynała, Carlo Conti, książę Poli, był magiordomem królowej, a jego siostra, księżna Muti, pierwszą damą honorową.

Azzolino, zamknięty w swej celi podczas conclave, często pisywał karteczki do Krystyny, a nawet, jak się z tych listów okazuje, zaczynał tęsknić za przyjaciółką. Osobliwie, gdy raz zasłabł na mocny katar i przez kilka dni z celi nie wychodził, zamieścił na początku listu do królowej dwie litery S. M., które miały pomiędzy nimi jakieś miłosne znaczenie. Narazie zdawałoby się, że chciał napisać «Sa Majesté», ale cel tych dwóch liter był zupełnie inny; przypominały one chwile gorącej, dawnej miłości, królowa bowiem tak się temi znakami ucieszyła, że w następnym bilecie do kardynała nie mogła utaić swej wielkiej radości, dziękując przyjacielowi, że jej «przypomina szczęście, które już minęło» i «że te dwie litery są dla niej droższe, aniżeli królestwo całego świata». Mimo wszelkie pozory była Krystyna przecież nawskróś kobietą. Wspomnienia młodych czasów i szczęścia, które przeżyła z Azzolinem, ceniła wyżej nad berła i korony. Radość królowej widocznie pochlebiła Azzolinowi, gdyż później rzadko kiedy brakuje tych dwóch liter na jego listach do Krystyny, symbol trzydziestoletniego stosunku.

Intrygi królowej i Azzolina podczas conclave nie na wiele się przydały, gdyż papieżem został obrany 21 września 1676 kardynał Benedykt Odescalchi, którego popierała Francja; przyjął on imię Innocentego XI.

Papież pochodził z rodziny bankierskiej w Como; mając lat dwadzieścia pięć przyszedł do Rzymu ze szpadą u boku i pistoletem za pasem, aby szukać szczęścia. W szeregach wojskowych go nie znalazł; więc idąc za radą znajomych, zaciągnął się do armji duchownej i jak widzimy, doprowadził wysoko.

Nowy papież na niczem się tak dobrze nie rozumiał, jak na sprawach pieniężnych, a takiego papieża właśnie było potrzeba, gdyż budżet Stolicy Apostolskiej znajdował się w opłakanym stanie: roczny niedobór wynosił 170.000 skudów i skarbowi groziło bankructwo. Innocenty XI, niesłychanie oszczędny, nie pozwolił na swoje utrzymanie wydawać dziennie więcej jak pół talara, a nadto zwinął wszystkie niepotrzebne urzędy, które pod ostatnimi papieżami zajmowali nepoci. Swego synowca bardzo kochał, ale ze skarbu papieskiego nic mu nie dawał. Wogóle, gdy mu się krewni naprzykrzali z rozmaitemi prośbami i żądaniami, unosił się gniewem i odpowiadał w narzeczu medjolańskiem: «Minga», «nie dam, nie pozwalam», co też było powodem, że go od tego wyrazu «Mingonem» nazywano.

Teologja i rzeczy kościelne były słabą stroną Innocentego, tak dalece, że zostawszy kardynałem, musiał przyjąć jakiegoś księdza, który go uczył, jak się ma zachowywać przy obrzędach kościelnych; natomiast podniesienie moralności w rzymskiem społeczeństwie było jego ideałem. Zdawało mu się, że przemieni Rzym w stolicę cnoty i że potrafi tam wszelkie zbrodnie wykorzenić. Stąd wypływały często rozkazy, z których Pasquino bardzo był zadowolony. Za poprzedniego papieża wznowiły panie rzymskie zwyczaj chodzenia z odsłoniętą szyją i ramionami, utrzymując, że to moda paryska. Innocentego tak dalece gniewała ta «nieprzyzwoitość», że chcąc położyć jej tamę, wydał rozkaz, aby policja skonfiskowała u praczek wszystkie wycięte koszule kobiece. Jednego dnia większość pań rzymskich znalazła się bez koszul.

Krystyna wyśmiewała się z Ojca świętego, że na starość stał się takim skromnisiem, iż go razi nawet odsłonięta szyja kobieca; idąc też raz na audjencję, poleciła swojej Landini, aby jej dobrze zasłoniła łono, gdyż inaczej «Mingon mógłby znaczną szkodę odnieść na duszy». Innym razem, jadąc do Kwirynału, poleciła towarzyszącym jej donzelom, aby się ubrały w długie, czarne habity, wlokące się po ziemi, zapięte pod brodą, z rękawami, okrywającemi prawie całą rękę; za jedyną ozdobę pozwoliła im zawiesić sznurek pereł na szyi. Suknie te, wymyślone przez Krystynę, nazwano żartem «Innocentianea», a panie rzymskie obawiały się, że papież każe im się odtąd tak stale ubierać; lecz królowa uspakajała je, utrzymując, że kobiety, choćby w ubiorze Beguinek, znajdą sposoby, aby się mężczyznom przypodobać.

Papieża przezwano Attylą rzymskich teatrów; wydał on bowiem wojnę przedsiębiorstwom teatralnym, uważając scenę za największe zgorszenie, pomimo, że dawniej należał do kardynałów najbardziej lubiących zabawy, i jakeśmy wspomnieli, zawsze bywał w loży Krystyny. Za poprzedniego papieża występowały w Tor-di-Nona w roku 1673 i 74 aktorki, wskutek czego dawny zakaz Sykstusa V został przełamany. Teatr się nadzwyczaj ożywił, a królowa Krystyna i Mancini Colonna, które się najwięcej przyczyniły do obalenia sykstyńskich przepisów, triumfowały głośno. Cieszył się zresztą i Pasquino, gdyż zawsze szydził z tego wykluczenia kobiet ze sceny i mówił złośliwie «Laudate pueri Dominum».

D'Alibert starał się o pozyskanie jak najpiękniejszych śpiewaczek, «qui charmoient les oreilles par la ducieur de leurs voix et les yeux par les agrémens de leurs personnes, et par la magnificence de leur habit», jak się wyraża jeden ze współczesnych.

Naraz wobec tego rozkwitu teatru zabronił Innocenty XI znowu kobietom występować na scenie, nawet na prywatnej, co więcej, zakazał dawania przedstawień za płatnemi biletami, a rygor ten był głównie skierowany przeciw Tor-di-Nona. Wogóle Innocenty chciał zniszczyć teatry, a w tym celu obłożył klątwą teatralnych śpiewaków, jeżeliby się poważyli występować w kościołach. Można sobie wystawić, jakie oburze-

nie wywołały te rozporządzeina w rzymskiem towarzystwie. Gorszono się, że papież chce miasto w klasztor zamienić, że nikt z cudzoziemców do Rzymu nie przyjedzie, a biedny d'Alibert był w obawie, że straci cały swój majątek, uwięziony w teatralnem przedsiębiorstwie. Królowa Krystyna zawrzała gniewem przeciw papieżowi.

Głównym doradcą papieża w sprawach teatralnych był jego spowiednik. Ten święty człowiek doniósł raz Innocentemu, że loże w jednym z teatrów są połączone drzwiczkami pomiędzy sobą i że te połączenia bywają powodem rozmaitych zgorszeń. Co się tam działo, niewiadomo; dość, że papież kazał ukryte drzwiczki pozabijać, a gdy polecenie nie zostało odrazu wykonane, wysłał dwóch księży z notarjuszem, aby pod grozą klątwy na przedsiębiorców i publiczność rozkaz został wykonany. Wkońcu przecie wytłumaczono papieżowi, że połączenie lóż nie jest znowu takim występkiem, jak się spowiednikowi wydawało, i rzeczy zostały po dawnemu.

Wogóle drakońskie przepisy papieża i jego spowiednika omijano w Rzymie, gdy tylko było można. W karnawale roku 1678 dowiedział się Innocenty, że w stu trzydziestu domach prywatnych amatorzy przedstawiają komedje, a co gorsza, że nawet w pałacu connetabla Colonny grają kobiety na scenie. Gdy jednak gubernator zdał sprawę, że sama małżonka connetabla bierze udział w przedstawieniach i że nepoci bardzo się niemi zajmują, papież znowu musiał pofolgować. W tych teatrach i teatrzykach musiało się dziać rzeczywiście niedobrze, gdyż nawet «Avvisi di Roma» apostrofują raz papieża temi słowami: «Santo Pontefice Innocenzo XI, tanto zelante dell'onor di Dio, a nemico de'scandali, e dove sei?» «Święty papieżu Innocenty XI, tak dbały o cześć Pana Boga i nieprzyjacielu skandalów, gdzież jesteś?»

X

Innocenty XI nie lubił jezuitów, a przeciwnie zawsze bardzo podnosił jansenistów, nie żeby hołdował ich zasadom, nad któremi niezbyt głęboko się zastanawiał, lecz ze względu

na politykę, na Ludwika XIV, który zrazu jansenistów bardzo popierał. Mówiono nawet, że jezuici wpłynęli na Inkwizycję, aby wysłała kilku swych członków do Kwirynału celem wyegzaminowania papieża z jego zasad religijnych, nie jako głowę Kościoła, ale jako Benedykta Odescalchiego, a dopókiby sprawa przekonań Innocentego nie była wyjaśnioną, miałby konsystorz wybrać zarządcę Kościoła, jeneralnego wikarjusza. Temu zamiarowi sprzeciwiała się większość kardynałów, do której i Azzolino należał, a Krystyna także była oburzoną takiem postępowaniem jezuitów i Inkwizycji i używała wszelkich swych wpływów, aby burzę w łonie świętego Kolegjum zażegnać. W ten sposób narobiła sobie wielu nieprzyjaciół pomiędzy jezuitami i w kole inkwizytorów, a nieprzyjaźń ta wkrótce dość groźną przybrała postać. Spowiednikiem Krystyny, jako też większej części rzymskiej arystokracji był Michał Molinos, świecki ksiądz hiszpański, który już od dwudziestu lat mieszkał w Rzymie i stał się ulubieńcem wyższej warstwy społeczeństwa. Molinos przychodził zawsze do królowej w poniedziałek, ze trzy godziny z nią rozprawiał i umiał pozyskać jej łaski. Nieprzyjaciele mówili, że jest ukrytym żydem, że chciał zniszczyć wiarę w św. Trójcę, że wyznawał zasady ikonoklastów i chciał popalić religijne obrazy, jako wprowadzające bałwochwalstwo, a nadto rozgłaszali, że jest człowiekiem najgorszych obyczajów. W tych oszczerstwach tyle było prawdy, że Molinos uczył, iż człowiek powinien dążyć do jak największej równowagi umysłowej, do zupełnego spokoju, w czem zresztą nic zdrożnego nie było, a nawet uczniów jego nazwano kwietystami. Jego zwolennicy utrzymywali też, że największą zbrodnią Molinosa, której mu jezuici nie mogą darować, jest to, że będąc spowiednikiem bardzo znakomitych osobistości, potrafił im odebrać wpływ na znaczną część społeczeństwa.

Jednego dnia r. 1679 rozeszła się po Rzymie wieść, że Inkwizycja uwięziła Molinosa; porwano go bez wiedzy Azzolina, obawiając się, aby kardynał nie ułatwił mu ucieczki. Papież był przeciwny temu uwięzieniu, ale Inkwizycja, poparta przez kilku kardynałów, zwyciężyła. Krystyna nie posiadała się od gniewu, mówiła głośno, że Inkwizytorowie dali

się w błąd wprowadzić jezuitom i posyłała swemu niedawnemu spowiednikowi obiady do więzienia. Ludzie odważniejsi, widząc, że papież przychylny więźniowi, także dość ostro występowali w tej sprawie, a Pasquino wołał: «Se parliamo, in galere; se scrivemo, impiccato; se stiamo in quiete, all' sant Officio, e che bisogno fare?» — «Jeżeli mówimy, posyłają nas na galery; jeżeli piszemy, czeka nas szubienica, a jeżeli chcemy żyć w spokoju, więzi nas Sant' Officio. Cóż więc mamy czynić?» Wzmianka o spokoju odnosiła się do kwietyzmu, do którego Molinos nawoływał.

Krystyna pisała w sprawie Molinosa także do arcybiskupa w Palermo, który go bardzo lubił, aby się wstawił za biedakiem w Rzymie i nazwała go świętym człowiekiem. Poprawiła jednak to wyrażenie w «Post scriptum» dodając, że «nie wierzy w świętych, którzy żyją i jedzą».

Ale ani Krystyna, ani Pasquino nie zdołali uratować kwietysty.

Z dworzanami swymi miała Krystyna wówczas także niemało kłopotu. Dowódcą jej gwardji była ciekawa, chociaż zbrodnicza osobistość, Horace de Bourbon, markiz Delmonte. Pochodził on z bocznej linji Burbonów, osiadłych od dawna we Włoszech, którzy się gnieździli na granicach księstwa Urbinu, Toskanji i Romanji. Karol V nadał im w lenno za jakieś zasługi wojskowe markizat Delmonte. Ale markizat nadzwyczaj mało przynosił, ród zaś Burbonów dziwnie szybko się rozradzał, więc markizowie łączyli się z okolicznymi bandytami, dawali im u siebie schronienie, a za to brali udział w łupach. Powiadano, że ojciec Horacego i jego stryjowie pomordowali więcej ludzi, aniżeli najsławniejsi bandyci neapolitańscy. Horacego poznała Krystyna przed drugą podróżą do Hamburga i spodobał się jej odrazu z powodu marsowej postaci. Był wysoki, silny, o kościstej twarzy, zagłębionych oczach i miał gęste włosy, trochę siwizną przyprószone. Szpeciły go nogi pałąkowato wygięte z powodu, że pół życia spędził na koniu. W łaski kobiet umiał się wkradać swą stanowczością, to też zczasem tak opanował królowę, że co tylko chciał, mógł u niej przeprowadzić. A na te łaski bynajmniej nie zasługiwał: religji nie miał żadnej, ale mimo to,

aby się Krystynie przypodobać, chodził do spowiedzi i komunikował się, jak inni; namiętny gracz w karty, oszukiwał na wszystkie możliwe sposoby; dla kobiet, które chciał zdobyć, nadzwyczaj był hojny, ale ze szkodą kupców, u których nabywał podarunki, gdyż nigdy za nie nie płacił. Wyrafinowany smakosz, wyszukiwał tylko takie pokarmy, które pobudzają siłę, jadł w niezmiernej ilości trufle, grzyby, selery, karczochy, a po wieczerzy jeszcze trzy smażone orzechy, które miały strawność ułatwiać; pił greckie wino, najmocniejsze, jakie w Rzymie dostać było można.

Markiz miał niewyczerpaną studnię dochodów, z powodu eksterytorjalności królowej. Od dawna było w zwyczaju, że posłowie większych mocarstw mieli tak zwaną «wolność pałaców», sięgającą tak daleko, że rząd papieski nie mógł więzić żadnego zbrodniarza, który się schronił na poselskie terytorjum, a ambasador wziął go pod opiekę. Policja papieska miała z tego powodu jak największe trudności w schwytaniu złoczyńców i sądy bardzo często wyroków wykonywać nie mogły. Krystyna miała takie prawo «franchigii», a markiz Delmonte jako dowódca jej «siły zbrojnej», stał na straży tego przywileju. Otóż umiał on ze swego stanowiska w ten sposób korzystać, że rozmaitych złoczyńców lub kobiety złego życia za dobrą zapłatę przyjmował pod swoje skrzydła. Jego zadaniem było choćby na krótki czas ukryć na terytorjum królowej przestępcę, którego tropiła policja, a następnie ułatwić mu z Rzymu ucieczkę.

Papieże oddawna starali się znieść owe przywileje; ale posłowie obcych monarchów upierali się przy swych prawach i dopiero Innocenty XI rozpoczął z nimi dyplomatyczną wojnę, w której częściowe przynajmniej odniósł zwycięstwo. Ta walka jednak trwała długo, a Krystyna brała w niej bardzo energiczny udział. Związała się z ambasadorem francuskim i co mogła, robiła papieżowi naprzekór. Ponieważ Innocenty XI, dbały o moralność Rzymu, zakazał wszelkich nocnych zabaw i śpiewów, więc Krystyna na złość papieżowi, urządziła w swoim ogrodzie w nocy wspaniałą serenadę. Kazała wybudować amfiteatr w «jaśminowym» ogrodzie, tuż koło domu markiza Delmonte i zaprosiła mnóstwo

gości, a dwie śpiewaczki nadworne, Angelika i córka paryskiej Landini, śpiewały wesołe piosenki przy wtórze muzyki. Osobliwie podobała się piosnka Angeliki, kończąca się okrzykiem «flon! flon!», który cała publiczność wesoło powtarzała. Gdy piękna śpiewaczka rozpoczęła pierwszą strofę:

La zelante Angelica
Col suo cimbalon
Per la sua regina
Vuol cantar la canzon, flon! flon!

okrzyki nie miały końca.

Delmonte kierował zabawą, ale musiał jeść i pić za dużo, gdyż nazajutrz znaleziono go nieżywego w łóżku. Zaraz też obiegała pomiędzy ludem wieść, że go djabli zadusili za to, że nie był posłuszny rozkazom papieża.

Nowo przybywającym do Rzymu ambasadorom nie pozwalał już Innocenty XI na owe eksterytorjalne wolności i tak, nie uznał ani polskiego posła księcia Radziwiłła w 1680 roku, ani angielskiego ambasadora w r. 1686 hr. de Castelmaine za przedstawicieli swych królów, dopóki się nie zrzekli franchigii. Wkońcu i królowa Krystyna złożyła broń i jeden tylko poseł francuski upierał się przy swoich prawach. Nim jednak przyszło do zrzeczenia się tych wolności, wojownicza Krystyna była gotowa zbrojnie opierać się papieżowi. Przyjęła na służbę brawa, nazwiskiem Merulę, który już był skazany na śmierć przez sąd papieski za zamordowanie głównego zbira rzymskiej policji. Papież tak się rozgniewał, że chciał rzucić klątwę na Krystynę, ale go narazie wstrzymali kardynałowie od tego kroku; kazał więc tylko urządzić wyprawę zbirów na terytorjum królowej, aby przemocą porwać Merulę. Krystyna nie na żarty sposobiła się do walki, uzbroiła cały dwór, a nadto kazała zaciągnąć do swojej «armji» mnóstwo próżniaków, nie mających nic do roboty, tak, że w kilka dni miała pięćset uzbrojonych ludzi. W Kwirynale się zastanowiono; nie chciano do tego dopuścić, aby do niedawna najdroższa córka Kościoła prowadziła w Rzymie wojnę z papieżem. Wdał się w to kardynał Albani i powoli ułagodził

i Innocentego i zawziętą królowę; zawarto pokój na warunkach, nie ubliżających żadnej ze stron wojujących.

Po nagłej śmierci Delmonta zamianowała Krystyna kapitanem swej dzielnicy dotychczasowego kapitana swej gwardji szwajcarskiej, hrabiego Wasenau, nieślubnego syna króla Władysława IV, którego miał z Jadwiszką Łuszczkowską, «Wenerą z Mereczu», jak ją nazwał Wacław Potocki w swych «Jovialitates». Jadwiszkę, córkę mieszczanina, poznał Władysław w r. 1634 podczas swego czterotygodniowego pobytu we Lwowie, a tak mu się podobała, że ją zabrał ze sobą do Warszawy i umieścił na drugiem piętrze w zamku warszawskim, aby ją mieć blisko siebie. Otoczenie królewskie bardzo się tem gorszyło, a nawet nuncjusz papieski Visconti skarżył się w swej relacji do Rzymu, że król, niecierpiąc w niczem przymusu, zanadto wielkie ma zamiłowanie do tych «przyjemności, które zmysłowemi zowią, a dla których niegdyś sam Jowisz zstępował z wysokości Olimpu na padół ziemski pod postaciami, mniej godnemi ojca bogów i ludzi».

Podstarzały i otyły już król bardzo się przywiązał do Jadwiszki, była to bowiem ostatnia jego miłość, a gdy mu lwowska mieszczka syna powiła, nie mógł się nim nacieszyć i dał mu swoje nazwisko rodowe, jak dziecku ślubnemu. Władysław Konstanty Waza wychowywał się w zamku warszawskim, co jeszcze powiększyło publiczne zgorszenie, a prymas i cały senat Rzeczypospolitej parli, aby król pojął małżonkę, godną tronu Polski, i aby ta «publiczna rozpusta» się skończyła. Folgując powszechnej opinji, król poprowadził wreszcie do ołtarza arcyksiężniczkę Cecylję Renatę, a Jadwiszkę przeniósł do swego pałacu w Ujazdowie. Królowa jednakże dowiedziała się o tym stosunku, powstały spory małżeńskie, więc Władysław IV, chcąc i przed Renatą i przed opinją publiczną rzecz osłonić, wydał Jadwiszkę za Jana Wypyskiego, herbu Grabie, chorążego ziemi nurskiej, i mianował go starostą mereckim, w lasach litewskich, pomiędzy Grodnem a Trokami. Nowa starościna zamieszkała więc daleko od Warszawy, w Mereczu, ale mimo to król odwiedzał ją często, pod pozorem polowań i bawił tam po kilka miesięcy. Złośliwi

nazywali odtąd owe starostwo już nie «capitaneatus merecensis», ale «meretricensis».

Nawet po śmierci Renaty, gdy król po raz drugi się ożenił z Marją Ludwiką, nie zapomniał o swej lwowiance i jak przypuszczają, umarł na jej rękach w Mereczu w roku 1647. Mąż Jadwiszki już wtedy nie żył, a po śmierci króla została starościna merecka osamotniona z dwunasto lub trzynastoletnim synem. Starostwo przeszło zaraz na Zygmunta Pogorzelskiego, a o dalszych losach Jadwiszki nic już niewiadomo. Posądzano ją zawsze, że króla «oczarowała», że ze złemi duchami była w zmowie, więc też po śmierci Władysława IV stała się celem nienawiści.

Przypuszczać należy, że młodym synem królewskim zajął się ktoś z rodziny, może Jan Kazimierz, wyprawił go w świat, aby szukał szczęścia. Młodzieniec, nie chcąc zapewne nosić nazwiska Wazów, któreby mu w życiu było tylko ciężarem, przezwał się hrabią Wasenauem i począł się sam o własnej sile przez świat przebijać.

Pojechał do Anglji, gdzie umiał pozyskać łaski króla Karola II, ale wskutek jakiegoś krwawego zajścia zmuszony był uciekać do Holandji. I tam szczęścia nie znalazł, więc udał się do Hiszpanji. Wasenau był brzydki na twarzy, ale silny mężczyzna, odważny, prawy i wielkiej uprzejmości w obejściu. Dobre ułożenie i rycerskie przymioty więcej ceniono w Madrycie, aniżeli na Północy; polubiono go też w najwyższych towarzystwach hiszpańskich, a nawet pozyskał łaski don Juana d'Austria i miał przed sobą świetną wojskową przyszłość. Ale miłość pokrzyżowała jego losy. Zakochał się w pięknej małżonce swego pułkownika, księcia de Chalais, i pozyskał jej zupełną wzajemność. Romans jednak wyszedł najaw. Wasenau musiał uciekać, a księżnę odesłał mąż do klasztoru panien św. Marji na Lungarze w Rzymie. Syn Władysława IV schronił się do Francji, do króla Jana Kazimierza, który go przyjął na swój dwór i tak polubił, że chciał, aby parlament francuski uznał go za jego synowca. W czasie tych rokowań umarł jednak Jan Kazimierz w swem opactwie w Saint Germain-des-Prés, Wasenau musiał szukać innego oparcia, w czem doznał niejakiego ułatwienia ze strony

księcia Kondeusza, który mu wydzielił jakąś małą cząstkę ze spuścizny zmarłego króla. Mając środki na podróż, pojechał nasz «królewicz» do Rzymu, aby się zbliżyć do księżnej de Chalais, i tam przedewszystkiem zgłosił się do Krystyny, jako córki domu Wazów. Królowa uznała go za krewnego i mianowała go kapitanem swej gwardji. Zamieszkawszy w Rzymie, znalazł awanturniczy rycerz sposoby, aby dać księżnie znać, że się znajduje w jej bliskości. Błąkał się często nocami pod murami klasztoru i na głos pewnej arji, którą zaczynał nucić, księżna zapalała świeczkę w oknie od strony ogrodu i dawała mu znaki. Ale zakochanych przedzielały kratki, a taka miłość nie wystarczała żołnierzowi.

Wasenau bywał często w domu księcia de Poli, który go bardzo lubił, i zawarł nawet z nim niejako przyjacielski związek, aby się nawzajem wspierać u królowej przeciw Azzolinowi, który był im niechętny. Duca di Poli miał córkę zamężną za księciem d'Acqua-Sparta, która uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Rzymie. Dwudziestoletnia księżna była średniego wzrostu, miała prześliczną płeć, od której odbijały czarne oczy i lśniące włosy koloru świeżego kasztana. Obok urody posiadała wiele innych zalet: śpiewała, grała na rozmaitych instrumentach; nie dziw więc, że Wasenau bardzo się nią zajął, ale nie śmiał jej zrazu wyznać swej miłości. Więc według ówczesnego zwyczaju zwierzył się z tajemnicą serca krawcowi księżnej, aby ją wybadał, czy mógłby się spodziewać wzajemności. Krawiec był człowiekiem bardzo zręcznym i roztropnym, wybornie się więc wywiązał ze swego zadania; księżna dawała nadzieję, ale zarazem kazała ostrzec Wasenaua, że mąż jej nadzwyczaj zazdrosny i że na każdym kroku ją pilnuje. O sposobność do schadzki było trudno i w tej mierze zręczniejszym od Wasenaua był ambasador francuski, duc d'Estrées, który się także kochał w księżnie. Umiał on tak rzeczy urządzić, że trzymał z nią do chrztu dziecko francuskiego księgarza w Rzymie, i w czasie tego obrzędu mógł wyznać księżnie swą miłość. Ale i wyznanie na wiele się nie przydało; nad młodą żoną czuwał nietylko mąż, ale i krewni, a mianowicie księżna de Carboniano i co gorsza, kardynał Boromeusz. Kardynał musiał zwrócić uwagę księcia d'Acqua-

Sparta, aby lepiej uważał na swoją małżonkę, gdyż księżna niespodziewanie miała opuścić Rzym i przenieść się na wieś. Tymczasem królowa Krystyna wysłała Wasenaua w r. 1676 w interesach do Szwecji, gdzie go bardzo dobrze przyjęto i poznano jako zacnego człowieka. Królowa napisała wtedy do niego piękny list, w którym go namawia, aby wstąpił do klasztoru. Jaki był bezpośredni powód tego listu, nie wiemy; Krystyna przedstawia mu jednak, że na dworach niema dla niego przyszłości, gdyż jest zanadto ubogim, aby mógł utrzymywać się odpowiednio do swego urodzenia, a ją nie stać na tyle, ażeby mu zapewnić szczęście. «Według wyobrażeń świata» — pisała — «jestem jeszcze biedniejszą od ciebie, albowiem stoję wyżej, a nie jestem dość szczęśliwą, aby móc powziąć podobne postanowienie. Gdziekolwiek się zwrócisz, w pokoju czy na wojnie, nie podołasz wydatkom, a bez pieniędzy nie dasz sobie rady. Jedynie służbie Bożej można się poświęcić bez żadnych materjalnych środków, bez obawy, że się uwłacza honorowi».

Wasenau jednak nie miał ochoty zamykać się w murach klasztornych i powrócił do Rzymu, na dwór królowej.

Zastał jednak tak Krystynę na siebie rozgniewaną, że przy powitaniu zaczęła go obrzucać obelgami, a nawet trzy czy cztery razy uderzyła go trzciną po głowie. Wasenau nie wziął tej zniewagi tak bardzo do serca, wiedział bowiem, że królowa już niejednego ze swych dworzan w ten sposób przywitała, a pomiędzy innymi i jeden z przyjaciół kardynałów dostał od niej laską po plecach. Powodem tej chwilowej niechęci były jakieś intrygi dworzan, których gniewało, że królowa wielkie ma do Wasenaua zaufanie i przy każdej sposobności go wyróżnia. Nieporozumienia się jednak wyjaśniły i Krystyna niebawem pogodziła się z «królewiczem» i od tego czasu Wasenau jeszcze w większych u niej był łaskach. Dała mu powóz na rozkazy, pomnożyła służbę i liczbę koni.

Królowa miała pannę służącą, signorinę Ottavię Passaglia, córkę golarza z Santa Agata, wioski położonej koło Pesaro. Dziewczyna umiała się tak przypodobać, że Krystyna, chcąc uszlachetnić jej rodzinę, nazwała ją Giustiniani. Oktawja była ładna, więc Wasenau szybko z nią nawiązał stosunek.

Ten romans zaniepokoił Azzolina, obawiał się bowiem, że «królewicz» będzie miał przez Oktawję jeszcze większy, aniżeli dotąd, wpływ na Krystynę. Postanowił więc temu zaradzić, a przybrawszy sobie do pomocy donnę Marję Candidę, zakonnicę z klasztoru św. Cecylji, wielką ulubienicę królowej, i monsignora de Cabannes, dworzanina kardynała Altierego, wydał Oktawję zamąż, za markiza Caponiego, ubogiego szlachcica. Ponieważ markiz był krewnym kardynała Altierego, więc Azzolino dał mu 10.000 talarów na posag dla Oktawji, aby się wydawało, że Altieri ją wyposaża, a nie Azzolino. W ten sposób hr. Wasenau utracił przyjaciółkę w najbliższem otoczeniu królowej, a Azzolino czuwał bardzo, aby kapitan gwardji nie zyskał wyłącznego wpływu i nie stał się wszechwładnym na dworze Krystyny. Widocznie kardynał nie dowierzał Krystynie, obawiając się, czy nie zechce majątku zapisać Wasenauowi, jako swemu krewnemu.

W roku 1680 przybył do Rzymu ambasador polski, ks. Michał Radziwiłł, książę na Ołyce i Nieświeżu, podkanclerzy i hetman polny litewski, z małżonką Katarzyną Sobieską, siostrą króla Jana III, wdową po Dominiku księciu Zasławskim. Księstwo odwiedzili królową, która ich bardzo uprzejmie przyjęła, a osobliwie wyróżniała księżnę, jako pokrewną króla polskiego. Hr. Wasenau służył za tłumacza, a Radziwiłł bardzo go królowej polecił i chciał dla niego uzyskać część dochodów z tak zwanych sum neapolitańskich po królowej Bonie. Krystyna przyobiecała napisać w tej sprawie do księcia de Medina-Celi, pierwszego ministra króla katolickiego, tudzież do markiza de los Velez, wicekróla neapolitańskiego, ale jak na dworze mówiono, nie zajęła się tą sprawą zbyt gorąco, zapewne wskutek intryg Azzolina.

Po stracie Oktawji zaczął się hr. Wasenau pocieszać towarzystwem księżny Salviati, siostry don Federiga Cesarini Sforzy, rozciągał opiekę nad jej młodym synem, a w Rzymie zaczęto zwracać uwagę, że gdy księżna wyjeżdżała, przy drzwiczkach jej karety szedł z jednej strony syn, a z drugiej hr. Wasenau. Ale księżna była pod srogą opieką swej matki, siostry kardynała Cybò, kobiety wielce surowej. Jako młoda mężatka kazała była Cybò uciąć głowę ładnej dziew-

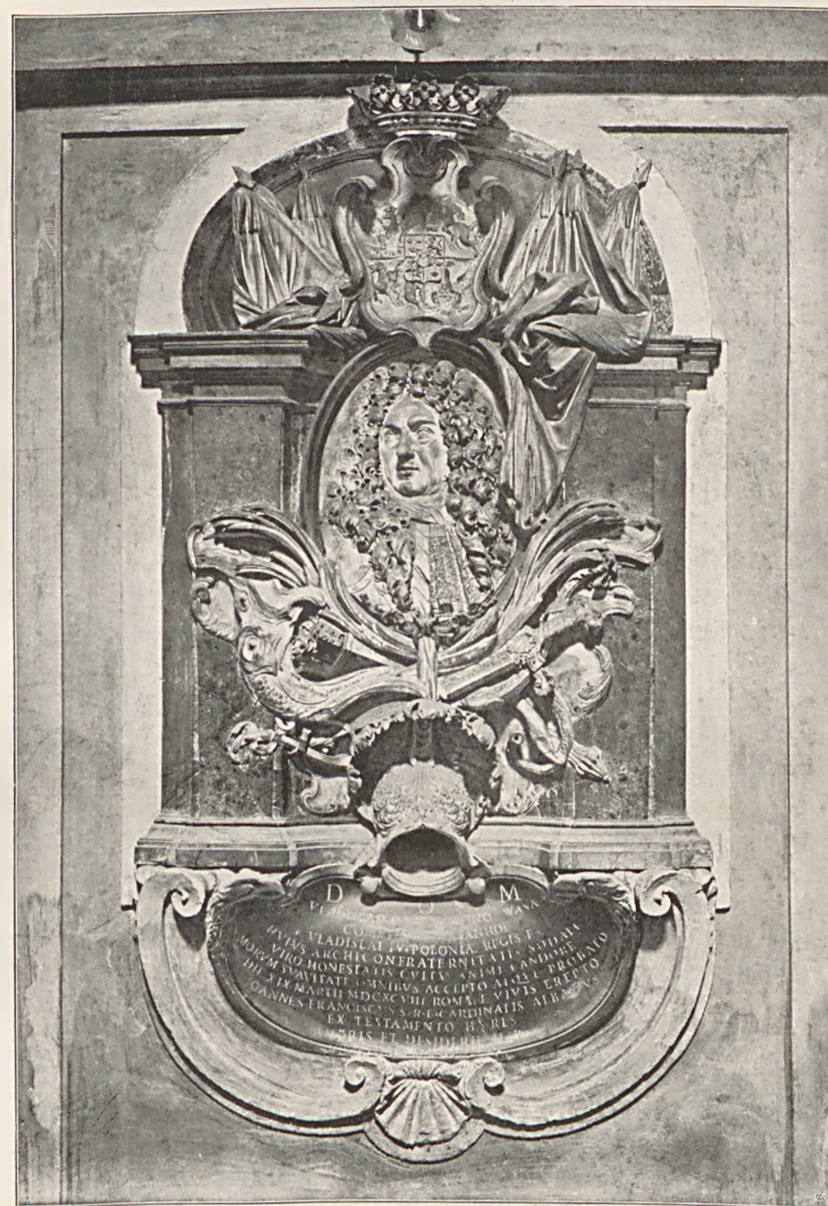
czynie, którą mąż utrzymywał, i przynieść mu ją na półmisku. Po tej tragedji wstąpiła do klasztoru we Florencji, a po śmierci męża zamieszkała w Rzymie. Otóż ta druga Herodjada dała do zrozumienia hrabiemu Wasenau, że nie może cierpieć jego poufnych stosunków z księżną Salviati, i zapewne zagroziła mu wdaniem się w to papieża, gdyż «królewicz» stał się odtąd ostrożniejszym i już przy karecie księżnej nie chodził.

Po dość burzliwej młodości był Wasenau na starość bardzo pobożnym i należał do dworu Krystyny aż do jej śmierci. Królowa zapisała mu pięćset talarów dożywotniej pensji, którą spadkobiercy Azzolina wypłacali, Papież Aleksander VIII zamianował go szambelanem, a następca jego, Innocenty XII urząd ten potwierdził.

Wasenau umarł 19 marca 1698, zamianowawszy swoim spadkobiercą kardynała Jana Franciszka Albaniego, późniejszego papieża Klemensa XI, do którego się zbliżył na dworze Krystyny. Kardynał kazał mu wystawić piękny grobowiec w kościele S. Francesco delle Stimmate, w Rzymie, wmurowany w ścianę przy drzwiach, prowadzących do zakrystji. Grobowiec, wyrzeźbiony z różnokolorowych marmurów, mieści w środku popiersie zmarłego, a pod spodem napis, który poniżej podajemy [1]). Nie trzeba zresztą się dziwić, że zamiast nazwiska Wasenau podpisano na grobowcu «Wasenhof», gdyż obce nazwiska bywają nieraz przekręcane i mylnie podane na wielu rzymskich pomnikach.

---

[1]) D. O. M.
Vladislao Constantino Wasa
comiti de Wasenhoff
Vladislai IV. Poloniae Regis F.
Huius archiconfraternitatis sodali
Viro honestatis cultu animi candore
Morum svavitate omnibus accepto atque probato
Die XIX Martii MDCX CVIII Romae e vivis erepto
Joannes Franciscus S. R. E. Cardinalis Albanus
ex testamento haeres
Amoris et desiderii M. P.



Pomnik W. Wasenaua,
w kościele «San Francesco delle stimmate» w Rzymie

Do str. 420 Fot. Danesi



XI

W ostatnich latach stosunek królowej z Azzolinem musiał się pogorszyć. Krystyna może podejrzywała kardynała, że jego przyjaźń polega przedewszystkiem na nadziei dziedziczenia po niej, powzięła bowiem myśl opuszczenia Rzymu i przeniesienia się do znienawidzonych Niemiec. Zawiązała potajemnie rokowania z elektorem brandenburskim, obiecując go naznaczyć swym jeneralnym spadkobiercą pod warunkiem, że jej zapewni dochody z prowincji magdeburskiej i halberstadzkiej. Wśród tych rokowań Krystyna zachorowała dość poważnie, w lutym roku 1689, ale w marcu się jeszcze podniosła.

W czasie tej choroby stał się pałac królowej miejscem głośnego w całym Rzymie zajścia. W pięknej Angelice, o której mówiliśmy, kochał się oddawna monsignor Vannini, a korzystając z choroby pani domu, chciał dziewczynę wykraść w porozumieniu z jej matką, której sowicie za córkę zapłacił. Wyprawa monsignora jednak się nie udała; jeden z domowników królowej, a przyjaciel Angeliki, chwycił napastnika za gardło, o mało go nie udusił i wyrzucił na ulicę, matka zaś dziewczyny uciekła. Krystyna słyszała ze swej sypialni jakiś hałas, pytała więc, co się stało; ale służba, nie chcąc jej niepokoić, powiedziała, że to koty, tocząc ze sobą bójkę, poprzewracały kilka krzeseł. Gdy jednak Krystyna po wyzdrowieniu dowiedziała się o wypadku, zawołała oficera swej gwardji, Merulę, i kazała mu przynieść głowę Vanniniego, obiecując świetną nagrodę. Ale monsignor przeczuł niebezpieczeństwo i w powozie kardynała Barberiniego uciekł do klasztoru św. Benedykta w Subiaco, a stamtąd w neapolitańskie Abruzzy. Podejrzywano Merulę, że się dał przekupić kardynałom, protektorom Vanniniego i pozwolił mu uciec. Chciano uniknąć nieprzyjemnego rozgłosu, jakiby mógł powstać wskutek zemsty królowej. Gdy Merula przyszedł powiedzieć, że Vannini uciekł, wpadła królowa w taki gniew, że zaczęła go pięścią okładać, wymyślając przytem, jak tylko umiała; ale po tym wybuchu namiętności zachorowała na

nowo i dostała febry. Tym razem atak był tak gwałtowny, że go przetrzymać nie mogła i po kilku dniach, 19 kwietnia 1689 już nie żyła. Czując się bliską śmierci, wezwała do siebie sekretarza papieskiego, kardynała Albaniego, późniejszego Klemensa XI, i błagała go, aby prosił papieża o przebaczenie, jeżeli swą żywością i niestosownemi wyrazami go obraziła, a zarazem oddawała swych dworzan pod opiekę Jego Świątobliwości. Papież łaskawie przyjął skruchę królowej, przysłał jej ostatnie namaszczenie i kazał powiedzieć, że gdyby nie brak sił, byłby sam przyjechał udzielić jej błogosławieństwa. Na śmierć przygotował królową słynny Ojciec Slavata, Czech, jenerał karmelitów bosych, porozumiewając się z nią to po łacinie, to po niemiecku i francusku.

Krystyna przewidywała swój zgon i przed sześcioma miesiącami kazała zrobić strój, w którym chciała być pochowaną, suknię z białego brokatu w haftowane kwiaty, wyszywaną złotemi koronkami. Krój tej sukni sama wymyśliła; było to połączenie habitu z płaszczem, a próbując ją w wigilję Bożego Narodzenia, nie mówiła nikomu, jakie jest jej przeznaczenie.

W czasie choroby zawołała Krystyna rzeźbiarza Franciszka Marję Ancenitana i kazała mu zrobić dla siebie nagrobek. «Ile wspaniałe mauzoleum będzie kosztowało?» zapytała artystę, a gdy jej odpowiedział, że sto tysięcy talarów, żachnęła się i powiedziała, że nagrobek musi wspaniałością przewyższać wszystko, co się widzi, i może kosztować miljon talarów. Do wykonania tego fantastycznego życzenia nie przyszło.

Azzolino, jako uniwersalny spadkobierca Krystyny, zajął się pogrzebem; ciało królowej wystawiono na wspaniałym katafalku w «chiesa nuova» świętego Filipa de Neri, włożono zmarłej koronę na głowę i dano berło do ręki, a trzysta świec z białego wosku gorzało wokoło. Stamtąd przeprowadzono zwłoki do św. Piotra; hr. Warwich, hr. Wasenau i dwóch innych panów niosło cztery rogi całunu. Pochowano królową w grobach watykańskich, niedaleko od grobów papieży Adrjana IV i Pawła II.

Papież Innocenty XII kazał Krystynie postawić wspaniały grobowiec w kościele św. Piotra i przeznaczył nań miejsce na jednym z pierwszych filarów bocznej nawy, na prawo od wejścia, tak, aby pamięć królowej łączyła się z zasługami margrabiny Matyldy około Kościoła; grobowiec bowiem wielkiej margrabiny sąsiaduje z grobowcem Krystyny. Carlo Fontana zrobił plan pomnika, który zresztą dopiero za panowania Klemensa XI w r. 1702 został ukończony. Klemens kazał także wybić medal na cześć królowej.

Śmierć Krystyny przepowiedziała kobieta zwana Sybillą, którą Azzolino sprowadził na dwór wtedy, gdy chciał oddalić Bandierę z otoczenia królowej. Sybilla znała wszystkie tajemnice alchemji, mówiła po łacinie, ale jej nieszczęściem było, że i papieżowi nie wróżyła długiego życia. Papież, dowiedziawszy się o tem, kazał ją zamknąć w zamku świętego Anioła, skąd ją dopiero po jego śmierci wypuszczono.

Angelikę, która mimowoli była powodem śmierci królowej, kazał Innocenty XI oddać do klasztoru, aby swą pięknością nie sprawiała niepokojów w Rzymie; ale dziewczyna dowiedziała się wcześnie o tym zamiarze i czemprędzej uciekła do ambasady hiszpańskiej, oddając się pod opiekę księcia de Medina Celi. Tam umiała się tak przypodobać, że ambasadorowa przyjęła ją na swój dwór. Zwróciła ona oddawna uwagę księcia mantuańskiego, Gonzagi, który, bawiąc w Rzymie jeszcze za życia Krystyny, chciał ją wykraść, ale zamiaru tego dokonać nie mógł, gdyż Krystyna pilnie strzegła wychowanki. Po śmierci królowej przyjechał książę zaraz do Rzymu, aby uprowadzić Angelikę, lecz zastał ją już w ambasadzie hiszpańskiej i musiał wracać z niczem.

Angelica Georgina odegrała później polityczną rolę. Potrafiła tak dalece usidlić księcia de Medina-Celi, że gdy książę został zamianowany wicekrólem Neapolu, zabrał ją tam ze sobą, jako pannę honorową swej małżonki. Georgina nie zadawalała się wszakże tak skromnem stanowiskiem, lecz zapanowawszy najzupełniej nad wicekrólem, postanowiła wzbogacić się i zostać równą paniom neapolitańskiej arystokracji. Powoli zaczęła mieszać się do spraw publicznych, a jak pisze markiz de Saint-Philippe w swoich pamiętnikach, udział jej w rządach był tak wielki, że tylko za jej pośrednictwem można

było otrzymywać urzędy i rozmaite łaski, a nawet posady w sądownictwie. Książę był wobec niej bezwładnym, pozwalał na rozmaite niesprawiedliwości, aby tylko zadosyć uczynić życzeniom kapryśnicy, i obsypywał ją pieniądzmi z królewskiego skarbu. Sprowadziła ona na dwór wicekróla także swoją siostrę Barbarę, a te dwie kobiety wywołały takie oburzenie w całem społeczeństwie, że stały się jednym z głównych powodów rewolucji w roku 1701. Część szlachty pod przewództwem Gaetana Gambacorty, księcia na Macchii, Carla di Sangro i jednego z Carafów, postanowiła zamordować wicekróla w dniu 21 września 1701 r. Sprzysiężenie zostało wprawdzie odkryte, ale mimo to spiskowi wywołali rewolucję, którą Hiszpanie dopiero po strasznych okrucieństwach potrafili stłumić. Filip V zamianował nowego wicekróla, a księciu Medina-Celi dał posadę prezydenta Rady indyjskiej w Madrycie. Czy książę zabrał ze sobą Georginę do Hiszpanji i jakie jej były dalsze losy, nie wiemy.

Krystyna musiała w czasie, kiedy się zraziła do Azzolina, zniszczyć dawny testament, zrobiony w Hamburgu, a zapisujący kardynałowi całe mienie, gdyż czując się bliską śmierci, zrobiła w Rzymie dnia 1 marca 1689 roku drugi testament, w którym ponownie mianuje Dezia Azzolina swym uniwersalnym spadkobiercą «z powodu jego nieporównanych zalet, zasług i usług, które jej wyświadczał w ciągu długich lat». Papieżowi zapisała królowa na pamiątkę statuę Berniniego, przedstawiającą Chrystusa, a o swem szczęściu pozagrobowem pamiętała w sposób, odpowiadający jej fantastycznym pomysłom. Kazała bowiem za spokój swej duszy odprawić dwadzieścia tysięcy mszy, a nadto ustanowić przy kościele św. Piotra trzech kapelanów, którzyby każdego dnia w roku odprawiali nabożeństwo za jej duszę. Zdaje się, że liczba 20.000 mszy była wówczas najwyższem pośmiertnem marzeniem wielkich grzesznic rzymskich, gdyż Olimpja Maidalchini doprowadziła tylko do dwóch tysięcy.

Kardynał Azzolino zupełnie nie użył spuścizny, o którą się tak starał przez większą część życia, znosząc humory Krystyny; umarł bowiem we dwa miesiące po królowej, zanim jeszcze sprawy spadkowe zostały uporządkowane. Kardynał zapisał cały swój majątek synowcowi Pompejuszowi Azzolinowi, ale i ten niewiele miał pożytku z królewskiej spuścizny. Gotówka bowiem, którą można było ze spadku wydobyć, zaledwie wystarczyła na opłacenie długów po Krystynie, a resztę majątku, składającego się po największej części z kosztownych mebli, pokupowali na kredyt rzymscy panowie i trzeba ich było przez długie lata procesować, aby cośkolwiek przynajmniej z ceny kupna zapłacili. Niesłychanie cenną bibljotekę, bogatą w rękopisy, kupił papież Aleksander VIII Ottoboni za ośm tysięcy talarów, to znaczy, za bezcen. Tysiąc dziewięćset rękopisów kazał wcielić do bibljoteki watykańskiej, a resztę podarował swemu nepotowi. Część bibljoteki watykańskiej, pochodząca ze zbioru Krystyny, nosi dotąd nazwę «Bibljoteki Aleksandryjskiej» — stosownie do rozporządzenia papieża, który ją darował.

Cały gabinet medali królowej, w którym było także sporo rzeźb, obrazów i innych dzieł sztuki, zakupił don Livio Odelscalchi, nepot Innocentego XI, za 150.000 talarów. Cenę tę uważano także za niesłychanie niską. Sto pięćdziesiąt obrazów z galerji przechodziło rozmaite koleje i dostało się wreszcie w ręce rodziny Orleanów. Książę rejent zakupił je za 90.000 talarów i przewiózł w r. 1722 do Paryża, gdzie zostały umieszczone w Palais-Royal.

XII

Królowa Krystyna należała w XVII wieku do tych osobistości, o których najwięcej mówiono, któremi się najwięcej zajmowano. Jej charakter, jej dziwactwa, jej losy, wszystko to się składało, aby z niej stworzyć postać niezwyczajną, iście barokową. Na starość królowa bardzo się pochyliła, tak, iż myślano, że jest ułomna, oko tylko zachowało dawny swój blask i zęby swą białość. Żywość usposobienia jej nie opuszczała, zawsze była gwałtowna i porywcza, a laskę podnieść nawet na kardynała nie należało u niej do nadzwyczajności. W Rzymie znano dobrze tę słabość królowej i dlatego dużo

jej przebaczano, a północna despotka mogła sobie więcej pozwalać, aniżeli nawet ambasador Ludwika XIV.

Biskup Bournet[1]) odwiedzał ją, gdy miała lat 60; powiada, że była niska, oblana tłuszczem, otyła, cera twarzy i głos zupełnie jak u mężczyzny, wielki nos, wielkie, niebieskie oczy, jasne powieki, podwójny podbródek, z którego tu i owdzie sterczały dziko rosnące włosy, a dolna warga trochę wystająca. Włosy miała jeszcze brunatne, krótkie, upudrowane, ale rozczochrane. Uśmiechała się i była dla gościa bardzo uprzejma. Ubranie jej prawie męskie, składało się z czarnego atłasowego kaftana, spadającego poniżej kolan, i zapiętego na guziki aż do dołu. Bardzo krótka czarna spódnica, z pod której wyglądały męskie buty, uzupełniała jej strój. Zamiast koronki na szyi miała duży węzeł z czarnej wstążki, a kaftan był ujęty paskiem tak nisko spadającym, że uwydatniał grubą tuszę, jakby u opasłego zakonnika.

Niesłychana duma i bezdenny egoizm należały do głównych cech jej charakteru. Nie zapominała na chwilę, że jest córką Gustawa Adolfa, i posiadała w wysokim stopniu umiejętność noszenia swej królewskości, okazywania jej na zewnątrz. Że była także córką Szwecji, o tem nie myślała: w jej postępowaniu nie widać nigdy błysku patrjotyzmu; Szwecja w jej wyobraźni istniała tylko na to, aby hołdować dynastji, losy ludności ją nie obchodziły wcale; w prowincjach, z których płynęły jej dochody, nie troszczyła się o nic więcej, jak tylko o swoją osobistą korzyść. Były to zresztą wyobrażenia większej części dynastów, osobliwie niemieckich, ale te pojęcia doszły u niej do najwyższej potęgi. Uważała się za zupełnie inną, odrębną istotę, aniżeli ludzie pospolici; zniżać się jej było wolno, jeżeli miała humor po temu, ale broń Boże, aby jaki śmiałek, choćby tylko pozornie, chciał stanąć z nią narówni; wtedy podnosiła groźnie swą pięść. Z dworzanami, jako ze sługami, była nieraz bardzo poufała, ale wobec pań rzymskiej arystokracji nadymała się, jak grzechotnik, i gotowa była wyrządzić nawet takiej Mancini Colonnie

[1]) Bournet: Mission, voïage T. II., p. 141.



Królowa Krystyna w podeszłym wieku
Według współczesnej ryciny

Do str. 426

największą niegrzeczność. Do niektórych wojskowych ze swej gwardji miała taką słabość, tak po koleżeńsku się z nimi obchodziła, że sługi gorszyły się tem postępowaniem królowej i przypuszczały nieraz, że pani przecież musi być mężczyzną. Te posądzenia jednak bardzo ją gniewały, zwłaszcza nie mogła tego darować ludowi rzymskiemu, że ją uważał za hermafrodytę. Razu jednego powożąc po pałacowym ogrodzie, wyskoczyła z niskiej karety i upadła na trawnik w ten sposób, że niechcący odsłoniła części ciała, których się na widok publiczny nie wystawia. Wołała o pomoc, a gdy słudzy nadbiegli, aby ją podnieść, nie zakrywała się bynajmniej, ale mówiła: «Nie wstydźcie się; chodźcie, chodźcie, przypatrzcie się i przekonajcie, że nie jestem hermafrodytą».

Od młodości nienawidziła małżeństwa; ten wstręt do kobiecej niewoli dochodził do tego stopnia, że w początkach swego pobytu w Rzymie niecierpiała ludzi żonatych w swej służbie. Gdy Landini spodziewała się potomka, nie chciała Krystyna jej widywać, kobietom zamężnym dawała rozmaite przezwiska, których tutaj powtarzać nie możemy. To też chciała zawsze uchodzić za pannę, a służba, wiedząc o tem, tak się wobec niej zachowywała, jakgdyby królowa zamiast korony nosił mirtowy wianek na głowie.

W jedzeniu była niewstrzemięźliwa i to było źródłem wielu jej chorób, osobliwie nie mogła zapanować nad obżarstwem, gdy miała przed sobą kapustę i gotowane kasztany. Gdy lekarz zaczął jej raz robić jakieś w tej mierze uwagi, nazwała go pijakiem i bydlęciem. Pijakami zwała wszystkich, którzy wino lubili, sama bowiem tylko wodą gasiła pragnienie. Wogóle nie cierpiała uwag co do swego zachowania się. Gdy raz krawiec, przy próbowaniu sukni prosił ją, by się nie męczyła, podnosząc zbyt wysoko rękę, z której niedawno krew puszczała, uderzyła go w twarz na dowód, że ręka zdrowa i silna.

W ostatnich latach życia nadzwyczajnie pilnie przestrzegała przepisów religijnych, bała się śmierci. Nie przestawała jednak dowcipkować z papieża i kardynałów. Biskupowi Bournetowi powiedziała raz, że Duch święty przecież musi rządzić Kościołem, gdyż ona pamięta czterech papieży, a może

zaręczyć, że żaden z nich nie mógł się poszczycić zdrowym rozsądkiem. Gotowa była poświadczyć, że byli oni dosłownie pierwszymi i ostatnimi z ludzi[1]). Powiedzenie zanadto złośliwe, aby się zbliżało do prawdy. Juścić taki Aleksander VII i Klemens IX nie byli pospolitymi ludźmi.

Krystyna pisała w Rzymie swoje pamiętniki, których jednak nie doprowadziła nawet do zrzeczenia się tronu. Ta historja życia jest jednym z najciekawszych dowodów zarozumiałości autorki i pychy, przechodzącej prawie w obłęd. Dzieło swe, któremu dała tytuł: «Histoire de la Reine Christine, dédiée à Dieu», poświęca samemu Bogu, bo na ziemi niema istoty, któraby godna była tego zaszczytu; rozmawia wprost ze Stwórcą, jak w modlitwie. Zaraz na początku zapewnia jednak Boga, że z Jego łaski jest z całego stworzenia najlepiej uposażoną istotą, i dosłownie powiada: «Je suis par Votre grace, celle de toutes vos Créatures, que Vous avez le plus favorisée», a dalej zwierza się Bogu, iż stworzył ją tak wielką, że gdyby jej dał panowanie nad całym światem, toby jeszcze nie czuła się szczęśliwą. To też nikt prócz Boga zadowolić jej nie potrafi i wszystkie ziemskie istoty uważa za niższe od siebie. Tę samą myśl wypowiada w jednym ze swych listów do uczonego Filicai we Florencji, gdzie także pisze, że ze wszystkich śmiertelnych stanęła najwyżej.

Królowa zna swe błędy; w swej spowiedzi przed Bogiem wyznaje, że ambicja i duma nie pozwalają jej poddać się nikomu, a pycha, pogardzająca wszystkiem, chroni ją od upadku. Byłam gniewną i porywczą, pisze, pyszną i niecierpliwą, pogardzałam ludźmi i szydziłam z nich, a z wiekiem te wady jeszcze bardziej się powiększały. Zapewnia jednak, że pomimo porywczego i gorącego usposobienia, pomimo, że była nieraz bliską przepaści, nie upadła i że nieprawdziwe są wszystkie obelgi, któremi chcą oczerniać jej żywot. Obchodziła się bez uciech, nawet najbardziej dozwolonych, i szła za wrodzonym wstrętem do małżeństwa.

Niestety, tym zwierzeniom ufać nie można; były one przeznaczone dla publiczności i były pisane właśnie w chwili, kiedy cały Rzym zajmował się jej stosunkiem z Azzolinem. Chciała bronić siebie i ukochanego kardynała, ale niestety, nie przypuszczała, że jakiś p. de Bildt, szwedzki poseł w Rzymie, po upływie przeszło dwóch wieków ogłosi jej listy, spoczywające w archiwum rodzinnem Azzolinów, a co gorsza, znajdzie klucz, zapomocą którego można odczytać ustępy szyfrowane. Przezorniejszym był Azzolino, gdyż swe listy spalił; nie miał wszakże dość sumienności wobec swej przyjaciółki, aby i jej listy wrzucić w płonący ogień kominka. Krystyna zresztą zawsze zaprzeczała pogłoskom o swych miłosnych stosunkach, raz nawet pisała do Bourdelota, że «me calomnier, c'est attaquer le soleil!»

[1]) Bournet. Histoire de son temps ad ann. 1687.

Pan de Bildt przypuszcza, że u Krystyny mogły się burzyć namiętności w głowie i sercu, ale że fizycznie była bardzo mało wrażliwą. Wogóle szwedzki poseł wychodzi z założenia, że Krystyna była od młodości histeryczką. Sprawa zawikłana, zwłaszcza, że wyznania królowej, spisane w jej pamiętniku, jak też czynione przy różnych innych sposobnościach, nie są pozbawione pewnej wiarogodności. Z drugiej jednak strony własne jej listy, pisane do Azzolina, świadectwo samego kardynała i dworzan Krystyny, tudzież opinja publiczna w Szwecji i w Rzymie zdają się zadawać kłam owym zwierzeniom. Winna czy niewinna, dziś już rozstrzygnąć się nie da; bądź co bądź jednak Krystyna, hołdująca miłości według wszelkich praw przyrody, byłaby nam o wiele sympatyczniejszą, aniżeli owa królowa bez tronu, która używa wprawdzie najnamiętniejszych wyrazów do okazania swych uczuć i stoi ciągle nad brzegiem przepaści, ale nie mając odwagi lub siły w nią skoczyć, czy też nie chcąc uchybić monarszej godności, pozbywa się nadmiaru namiętności w ten sposób, że okłada kijem służbę lub przyjaciół i zapamiętale tańczy w podeszłych już latach.

Oprócz owych pamiętników, poświęconych Bogu, pisała jeszcze Krystyna rozprawy o Cyrusie, Aleksandrze Wielkim i Cezarze, o samych osobistościach historycznych, dla których warto było umaczać pióro w królewskim atramencie. Te rozprawy mają dzisiaj chyba tyle wartości, że przyczyniają się cokolwiek do wyjaśnienia charakteru królowej, która dawała

chętnie w nich do poznania, że pomiędzy nią a tymi bohaterami starożytności istnieje bliskie powinowactwo duchowe, a raz wyraziła się nawet, że ściślejsze węzły łączą ją z Cyrusem, Aleksandrem i Scypionami, aniżeli z własnym ojcem. Aleksandra uważała za największego człowieka, jaki kiedykolwiek istniał. Najważniejszą jej i najbardziej dla nas zajmującą literacko-filozoficzną pracą są zasady i zdania, które spisała pod tytułem «Pensées». Ludzie siedmnastego i ośmnastego wieku szczególnie lubili się popisywać mądrością i spostrzeżeniami z życia, ujętemi w formę aforyzmów, myśli, sentencyj, «maksym», a szczególnie Francuzi rozwinęli ten rodzaj literatury, sięgający zresztą aż do króla Salomona. Pascal, La Rochefoucauld i Vauvenargues zasłynęli ze swych «sentencyj», a osobliwie pierwszy z nich był do niedawna skarbnicą dla ludzi, którzy w łatwy sposób chcieli się chwalić doświadczeniem, zaczerpniętem z życia. Pascal pisywał do Krystyny; raz nawet przysłał jej swój «najmądrzejszy» wynalazek «machine de la roulette». Jeszcze więcej może, jak Pascala, ceniła królowa La Rochefoucaulda i kazała sobie nawet zrobić dwa odpisy jego «Reflexions Morales», aby na nich dodawać swoje własne uwagi. Przykład francuskich moralistów zachęcił ją, aby pójść ich śladem, co było tem łatwiejszem, że w «Akademia Reale», którą królowa założyła w r. 1674, omawiano najrozmaitsze tematy «moralne». Do takich rozpraw należało np. twierdzenie, że nie można być złym, nie będąc głupim, że prawdziwa miłość łączy dwa serca do końca życia, że doskonałość człowieka polega na tem, aby dobrze myślał, dobrze mówił i dobrze czynił itp. Wiele «myśli» więc zapożyczyła Krystyna z tych posiedzeń akademji, a dodawszy zapewnie i wiele własnych «sentencyj», spisała zczasem duży zbiór zdań i uwag, podzielony na dwie części. Pierwszy, któremu dała tytuł «L'ouvrage du Loisir», zawiera, że tak powiem, mądrość powszednią, przydatną w życiu codziennem, ujętą w 1.139 zdań; drugi, noszący tytuł «Sentiments», jest jakby przewodnikiem filozoficznym dla ludzi, zajmujących wybitne stanowiska w społeczeństwach, a przedewszystkiem dla książąt. W tych «Sentencjach» maluje się usposobienie Krystyny, dają one do pewnego stopnia obraz jej duszy. Religję katolicką uważa za najdoskonalszą pomiędzy religjami, pogardza małżeństwem i wyraża przekonanie, że w życiu raz tylko można kochać potężną miłością. Wogóle zwierzenia Krystyny tak wyglądają, jakgdyby były czynione dla jedynego człowieka, dla Azzolina. Jeszcze nawet w starości jest wierną, a chwilowy zamiar przeniesienia się z Rzymu do Niemiec znajdzie może wytłumaczenie w jednem jej zdaniu, «że zmiana jest lekarstwem na wiele boleści». Powodem tej boleści było oczywiście oziębienie się uczuć Azzolina. Papieżami życzyła sobie Krystyna mieć ludzi w sile wieku i utyskiwała nad tem, «że na stolicę św. Piotra wybierają niedołężnych starców», «qui ne sont plus bons à rien».

W «Sentiments» spotykamy nieraz zdania, którychby się najmniej spodziewało usłyszeć z ust Krystyny. I tak np. powiada królowa, «że szlachetne i wielkie urodzenie jest bardzo małym kapitałem, jeżeli się nic więcej ze sobą na świat nie przynosi». Wszystkim tym uwagom i morałom zupełny brak oryginalności; są to jakby echa rozmaitych zdań i zasad, które pod inną może formą nieraz już zostały wypowiedziane, ale temu dziwić się nie można. Podobnie jak kodeks karny ma pewną ograniczoną ilość kar i przestępstw, znanych od wieków ludzkości, których dowolnie powiększać nie można, tak i ów kodeks ludzkiej moralności i dobrego obyczaju zawiera zasady oddawna znane, którym można więcej lub mniej przystępną lub dowcipną nadać formę, ale które w istocie rzeczy pozostają zawsze te same. Mądrość ludzka zawiera w sobie zawsze równą ilość duchowej treści, podobnie jak ocean obejmuje zawsze równą ilość materji. Różnica zależy tylko na przypływie i odpływie, i jak ocean wydaje się nam raz większym, to znowu mniejszym, tak i na ludzkość przychodzą czasy, gdzie rozum zdaje się zanikać, a głupota wypływa na wierzch. Wiek XVII odznaczał się, pomimo morałów Pascala i królowej Krystyny, olbrzymim przypływem głupoty, tak dalece, że chwilami z pod tej fali nie widać było rozumu.

Do najniewinniejszych cech ówczesnego braku rozsądku należała może próżność, a jedną z jej oznak była namiętność uwieczniania czynów, nie mających żadnego historycznego znaczenia, medalami, bitemi ze złota, srebra lub bronzu. Kry-

styna podzielała tę namiętność i starała się w medalach odbić niejako historję swego życia. Przychodził jej w tej mierze w pomoc wielki rozwój sztuki medaljerskiej w Rzymie; zatrudniała więc najznakomitszych artystów tamtejszych, jak Alberto Hamerani i jego syn Giovanni, tudzież G. F. Travani. Królowa, równie jak papieże i inni współcześni, wysilała się na to, aby na medalach wypisywać dewizy, które miały oddawać chwilowe jej usposobienia, albo wyrażać jakieś tajniki jej duszy. Używała przy każdej sposobności, jako ulubionego znaku, Feniksa, który patrzy w słońce. Owidjusz wtedy był w modzie, więc z nim i bajka o Feniksie stała się powszechnie znaną i ulubioną. Wkrótce po pierwszym przyjeździe do Rzymu i założeniu swej akademji poleciła Krystyna Albertowi Hameraniemu, a w kilka lat później G. F. Travaniemu, wybić medal, przedstawiający z jednej strony jej głowę, jako północnej Minerwy, a z drugiej Feniksa. Nad mitycznym ptakiem był wyryty greckiemi literami napis: «Makelös». Rzymscy uczeni łamali sobie głowy, coby mogło znaczyć to słowo, którego grecki język nie posiadał, a przedewszystkiem słynny archeolog Atanazy Kircher nie chciał przyznać, że tego słowa nie rozumie i najróżnorodniejsze dawał mu znaczenia. Wreszcie królowa, mając już dość tej zabawy, odkryła właściwą zagadkę. Słowo «Makelös» napisane było wprawdzie greckiemi literami, ale w rzeczywistości znaczyło po szwedzku «Bez porównania».

Krystyna musiała także swą długoletnią miłość do Azzolina uczcić medalem. Kardynałowi pochlebił napis na tym bronzie, na jednej stronie bowiem była przedstawiona kula ziemska z dewizą «non sufficit», «nie wystarcza», z drugiej niebiosa z herbowemi gwiazdami Azzolina, okolone jedynym wyrazem «sufficit», «wystarcza». Królowa zamierzała także wybić całą serję medali, które miał uwiecznić najważniejsze wypadki i chwile jej życia. Ale do wykonania tej historji nie przyszło. Mniejsza zresztą o metalową kronikę; medal wybity dla Azzolina przekazuje może najpiękniejszą stronę charakteru tej dziwacznej kobiety: stałą, wielką miłość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

BERNINI

I

W czasie, kiedy Paweł V stawiał swą wspaniałą kaplicę w Santa Maria Maggiore, słynął w południowych i środkowych Włoszech rzeźbiarz neapolitański, Pietro Bernini. Borghese, szanując pamięć swego poprzednika i protektora, Klemensa VIII Aldobrandiniego, postanowił wznieść mu w kaplicy Borghesów grobowiec, godny potężnego papieża. Napisał więc do wicekróla neapolitańskiego hrabiego de Lemos, aby pozwolił Berniniemu wykonać niektóre rzeźbiarskie prace. Wicekról uczynił zadość życzeniu papieża, Pietro Bernini z żoną i synem Lorenzem przybył do Rzymu, a ponieważ mu nigdy nie brakło zamówień, pozostał tam już do końca życia.

Pietro był właściwie Florentyńczykiem, zamieszkał jednak wcześnie w Neapolu, a jako człowiek obrotny i przedsiębiorczy, zdolny do każdej artystycznej pracy, stał się niejako nadwornym artystą wicekróla. W neapolitańskich kościołach wymieniają mnóstwo rzeźb, nagrobków, uchodzących za dzieła Pietra, ale tych podań sprawdzić nie można, zwłaszcza że ów wszechstronny artysta nie był znów tak charakterystycznym talentem, aby jego rzeźby nosiły wybitną cechę.

Z polecenia Pawła V zabrał się Pietro do wykonania płaskorzeźby, przedstawiającej koronację Klemensa VIII,

która zdobi grobowiec tego papieża, a następnie wykonał «Assuntę» w zakrystji bazyliki. O ile pierwsza płaskorzeźba dość mdło wypadła, o tyle drugie dzieło okazuje artystę pełnego życia, dziwnie łatwo władającego dłutem. Pietro miał taką wprawę w obrabianiu kamienia, że jeden ze współczesnych pisarzy widział go, jak na bloku marmuru nakreślił tylko kilka znaków węglem i natychmiast wykuł trzy postacie, które miały stanowić ozdobę jakiejś fontanny. Zasłynął on w Rzymie nietylko jako artysta, ale i jako człowiek tak dalece, że członkowie akademji San Luca wybrali go w r. 1605 swoim prezydentem. W salach tej poważnej swym wiekiem instytucji istnieje dotąd jego portret, jedyny, jaki się dochował.

Pietro miał w Neapolu stosunek miłosny z niejaką Angeliką Goranti, która mu powiła 7 grudnia roku 1598 syna, Gian Lorenza. Późniejszy wielki Bernini był zatem dzieckiem miłości, i to miłości gorącej, neapolitańskiej. Pietro ożenił się wszakże z Angeliką w rok po urodzeniu się Gian Lorenza i miał z nią jeszcze więcej potomstwa.

Gdy Pietro przybył do Rzymu, miał Gian Lorenzo zaledwie sześć lat; więc krew, usposobienie wyniósł wprawdzie z pod Wezuwjusza, lecz świat zewnętrzny zaczął nań działać dopiero w papieskiej stolicy. Wprawy zaś w swojem rzemiośle, nadzwyczajnej łatwości w obrabianiu marmuru nabył wcześnie, w botedze ojca i doprowadził w tej mierze już w dzieciństwie prawie do mistrzostwa.

Więcej od samego Pietra nie mógł się nauczyć, lecz w Rzymie pracował wówczas największy współczesny artysta włoski, Annibale Carracci, mężczyzna w sile wieku, niespełna lat pięćdziesięciu, który przybył z Bolonji, aby malować freski w galerji pałacu Farnese. Annibale odwiedzał Pietra Berniniego i zdziwiony zręcznością Gian Lorenza, mówił, że ten chłopak, zaledwie odrosły od ziemi, doszedł już do takiego stopnia artyzmu, do jakiego niejeden stary rzeźbiarz doprowadzić nigdy nie zdoła. Annibale był w swych freskach w pałacu Farnese do połowy prawie rzeźbiarzem, a przynajmniej malarzem, naśladującym rzeźbiarza. Jego przepyszne pilastry w «chiaroscuro», medaljony jakby z bronzu i podobizny płaskorzeźb pod sufitem zdawały się odstawać od ściany i być

dziełem dłuta. Annibale wierzył w Rafaela, przejął się jego freskami w Farnesinie, mieszkał tam nawet w sąsiedztwie willi Riarów na Lungarze i śnił tylko o tem, aby wskrzesić upadające malarstwo, aby je uczynić godnem mistrza z Urbinu. Doprowadził też daleko, był odblyskiem wielkiej epoki renesansowej, ale już tylko odblyskiem. Czasy były inne, smutniejsze, tego wesela, jakie przebijało w Farnesinie, w powiewnym romansie Psychy, już Annibale oddać nie zdołał. Carracci umarł w roku 1609 w Rzymie, kiedy jeszcze Gian Lorenzo pełnemi piersiami przejmował wrażenia. Ciało artysty złożono w Panteonie i u główi postawiono jeden z jego obrazów, podobnie jak uczniowie Rafaela ozdobili «Transfiguracją» katafalk swego mistrza. Annibale leży obok Rafaela, gdyż był ostatniem westchnieniem umierającej wielkiej epoki artystycznej.

Młody Bernini próbował iść tą samą drogą i zapatrując się na pomniki dawnej sztuki, czerpać swą siłę w ubiegłych epokach; ale świat już był inny, niepodobny do tego, który istniał jeszcze przed pięćdziesięciu laty, a młody artysta musiał odczuć nowe prądy ducha. Społeczeństwo straciło równowagę; z jednej strony widziało przed sobą ludzi, odrywających się od świata, rozpływających się w mistycyźmie, z drugiej sybarytów, grzęznących w zbytku i sobkostwie. Uderza też, że jednym z młodzieńczych artystycznych pomysłów Berniniego były dwa idealne popiersia, mające przedstawiać duszę błogosławioną, l'anima beata, i duszę potępioną, l'anima dannata. Pierwsza, banalna twarz młodej dziewczyny, z otwartemi ustami, z kwiatem we włosach, wpatrzonej w niebo, druga popiersie mężczyzny, natchnione maskaronami Michała Anioła, zdradzające u Berniniego zmysł do karykatury, który się później w nim rozwinął. Żadnemu z artystów Odrodzenia nie byłoby przyszło na myśl rzeźbić «duszę».

Zresztą Lorenzo rozpoczynał swą rzeźbiarską działalność od nagrobków i popiersi, które zwróciły na niego powszechną uwagę; zaznaczył się odrazu jako artysta studjujący przedewszystkiem naturę. Paweł V zasłyszał o młodym rzeźbiarzu i kazał mu zrobić swój biust. Praca udała się nadspodziewanie, było to popiersie, znajdujące się obecnie w galerji

Borghese, o którem jużeśmy wspominali. Później wykonał artysta ten sam biust w większych rozmiarach, który przechowywano długo w rodzinie papieża, ale zapewne podczas finansowej klęski Borghesów sprzedano do Ameryki.

Popiersie papieża było początkiem powodzenia Lorenza. Kardynał nepot, Scipio Borghese, ozdabiał właśnie swoje «Cassino» za porta Pinciana i otaczający je ogród. Pozyskał też zaraz Berniniego, który odtąd prawie wyłącznie miał dla niego pracować. Kardynał poskupywał mnóstwo starożytnych posągów, które po większej części były bardzo uszkodzone. Pierwszem zadaniem Lorenza było owe rzeźby odrestaurować, podorabiać odtłuczone części. Była to wyborna sposobność dla artysty, aby się zapoznać z duchem i techniką starożytnych rzeźbiarzy i w tej mierze jeszcze uzupełnić swą biegłość i zręczność. Gdy prace wypadły po myśli właściciela, polecił kardynał Berniniemu wykonać duże marmurowe grupy, które miały być ustawione w dębowych i wawrzynowych gajach zieleniejącego się już parku. Wybór przedmiotów pozostawił Borghese artyście, który jako pierwszy temat wybrał scenę z Eneidy Wergiljusza, przedstawiającą Eneasza i Anchizesa, jak uciekają z palącej się Troi, zabrawszy tylko posążki rodzinnych penatów. Światła, które rzucała starożytność na umysły ludzkie, były jeszcze tak silne, że zapewne ani artyście ani kardynałowi na myśl nie przyszło czerpać przedmiotu z innych źródeł, aniżeli z dawnych poematów, albo z biblji. Pierwsza grupa tak się podobała kardynałowi, że po niej musiał artysta zrobić inne, jak porwanie Prozerpiny, Apollina i Dafne, wreszcie biblijnego Dawida.

Z czterech grup marmurowych, wykonanych dla kardynała Scypiona, dwom należy się bezwzględne pierwszeństwo: Dawidowi i grupie Apollina z Dafną. Są to dzieła, należące do najpiękniejszych, jakie wydała nowożytna rzeźba. Co za zawziętość w tym Dawidzie, jakie wytężenie muszkułów, aby tylko zręcznym rzutem obalić przeciwnika! Każdy nerw gra w tem ciele, siła woli przebija w zaciśniętych ustach, w przymrużonych oczach, w pomarszczonem czole. Dawid Donatella to rycerskie pacholę, pełne dumy w całej postawie, Dawid Michała Anioła, brutalny siłacz, mógłby był swą pięścią po-



Dawid Berniniego
Galerja Borghese w Rzymie

Do str. 436 Fot. Anderson

gruchotać kości Goljatowi, Dawid zaś Berniniego, to zawzięty bravo, który w duszy długo gniew tłumił i pragnie wywrzeć wendetę.

Jakież odmienne uczucia wyraża owa grupa Apollina i Dafny, pełna nieuchwytnego wdzięku! Temat starożytny, ale ludzie nowi, pomimo że Bernini starał się nadać Apollinowi klasyczne rysy twarzy. Jest jakaś wiotkość, jakaś lekkość w obydwu postaciach, której nie znała starożytna sztuka, ani nie umiało oddać Odrodzenie. W muzeum Jakobsena w Kopenhadze znajduje się także Dafne greckiego dłuta, przemieniająca się w krzew wawrzynu; nie ma ona ani głowy, ani rąk, ale cała postać okazuje taki spokój, nawet odrętwienie, jakgdyby ciało młodej dziewczyny w drzewo się już zamieniło. Dafne ta znajdowała się ongi w galerji kardynała Scypiona Borghese i wszelkie jest podobieństwo do prawdy, że wobec tego greckiego marmuru powziął Bernini myśl wykonania swej grupy. Całe tysiące lat ludzkiej kultury przedzielają te dwie rzeźby; Bernini bezsprzecznie zwyciężył, bo wlał w marmur takie życie, jakiego starożytna sztuka oddać nie umiała. Rzym unosił się nad tą rzeźbą Lorenza, a kardynał Matteo Barberini, późniejszy Urban VIII, pocieszał Apollina i wogóle każdego, kto złudną piękność chce uchwycić, dwuwierszem:

Quisquis amans sequitur fugitivae gaudia formae,
Fronde manus implet, baccas seu carpit amaras [1]).

Bernini miał lat dziewiętnaście, gdy wyrzeźbił tę czarującą grupę, a gdy po latach dwudziestu oglądał ją w towarzystwie kardynała Antonia Barberiniego, zauważył ze smutkiem, że od czasu swej młodości nic już nie postąpił, niczego się nie nauczył.

Może nie postąpił, ale się zmienił, coraz bardziej ulegał wpływowi otoczenia i epoki. Bądźcobądź jednak przejmował z niej to, co miała najpiękniejszego, jakieś uczucie religijnej zmysłowości, która może nie była rzetelnie religijną,

[1]) Kto się za kształtów zewnętrznych znikomem pięknem ugania,
Gałąź w dłoni poczuje lub gorzkie zdobędzie oliwki.

ale miała chwile nieuchwytnego piękna, jakieś przenoszenie się w wymarzone światy, odrywanie się od ziemi. Ludzie chorowali na jasnowidzenie, na religijne zdenerwowanie, a ponieważ ta choroba miała źródło szlachetne, więc nawet w swych fizycznych objawach coś pięknego wyrażać musiała.

Stosunki Berniniego parły do tego, aby właśnie te uczucia plastycznie wyrażał. Rzym był wówczas owem ogniskiem, w którem się ważyły dobre i złe objawy życia; mógł swe wrażenia zbierać na każdym kroku.

II

Z wyborem na tron papieski kardynała Mattea Barberiniego (6 sierpnia 1623), który, jak wiemy, przybrał imię Urbana VIII, rozpoczyna się najświetniejsza epoka w życiu Berniniego. Papież znał już i bardzo lubił Lorenza, a gdy rzeźbiarz przyszedł mu rękę ucałować, Urban przywitał go słowami: «Wielkie szczęście dla artysty, że Barberini został papieżem, ale jeszcze więcej musi się cieszyć Barberini, że Lorenzo żyje za jego pontyfikatu». Nie były to słowa próżne, bo papież zaczął obsypywać Berniniego łaskami, zamianował go naczelnikiem odlewarni w Castel Sant'Angelo, z miesięczną płacą dziesięciu skudów, a przedewszystkiem zaliczył go w poczet najbliższych i najzaufańszych domowników. Bernini stał się w codziennem życiu prawie nierozłącznym towarzyszem papieża, a jak syn Lorenza, Domenico, w swym «Żywocie» ojca opowiada, musiał nawet odprowadzać papieża wieczór do sypialni, zamykać żaluzje w oknach i dopiero ułożywszy starca do snu, mógł się oddalić.

Artysta musiał mieć wiele towarzyskich zalet, jeżeli go papież tak polubił. Portretów Berniniego mamy dużo; jeden z nich, z czasów Urbana VIII i młodości artysty, znajduje się w Galerji Narodowej w Rzymie. Bernini sam się kredką narysował. Silna budowa głowy i twarzy, długie, rozwiane włosy, które były prawie kruczej czarności, skąpy wąs podkręcony; zdawałoby się, że to jakiś cieśla lub wieśniak, i tylko oko, dziwnie przenikliwe, zdradza człowieka wielkiej inteligencji, a skłonnego do smutnej zadumy. Bernini był średniego wzrostu i płeć miał smagławą, ogorzałą. Na wszystkich portretach uderza jego oko czarne, prawdziwie południowe. Południowcem też był z usposobienia, żywym, namiętnym, często gwałtownym, unoszącym się jak prosty robotnik. Lubił zabawę, towarzystwo kobiet, hulankę; ale gdy smutna myśl zaczęła w nim nurtować, wtedy się zamykał, do nikogo nie mówił i dziwaczał. To dziwaczenie wszakże trwało niedługo, bo go żywość ponosiła i znowu go wszystko zajmowało. Wzrok miał krytyczny i niemało w usposobieniu sarkazmu, a nawet złośliwości. Bystry, wiedział nietylko to, co się działo w jego otoczeniu, ale znał cały Rzym wybornie, był skarbnicą nowinek, co może tłumaczy, że Urban VIII nie mógł zasnąć bez jego opowiadań.

Hulanki z kobietami głębszy ślad pozostawiły w jego życiu; zakochał się w żonie najcelniejszego swego ucznia, Mattea z Lukki, Constanzy Buonarelli, hożej, młodej, lecz dość pospolitej piękności. Stosunek trwał lat kilka; artysta wymalował jeden portret olejny swej kochanki, a drugi obraz, na którym siebie i ją przedstawił, następnie wykonał jej popiersie z marmuru, które dzisiaj znajduje się w Museo Nazionale we Florencji. Ale Constanza wierną mu nie była, co tak rozgniewało Lorenza, że kazał swemu służącemu wyrządzić jej jakąś publiczną, dotkliwą obelgę, a obraz przekroił nożyczkami na dwa kawałki, aby jego wizerunek nie istniał obok niej na płótnie. Wywarłszy swą zemstę na obrazie, widocznie ochłonął, gdyż popiersie z marmuru pozostało nietknięte w pracowni i dopiero, gdy się miał w r. 1634 ożenić, darował je monsignorowi Bentivoglio, który je odstąpił księciu Modeny.

Obelga, jaką wyrządził Constanzy, musiała być bardzo głośną w Rzymie, gdyż nawet papież się o niej dowiedział. Nie ukarał jednakże ulubieńca i tylko owego służącego, który był wykonawcą woli swego pana, kazał z Rzymu wydalić.

Popiersie Constanzy jest realistycznie traktowane i przedstawia młodą kobietę, bardzo zmysłową, z ustami trochę rozwartemi, jakby do pocałunku, w koszuli, rozpiętej na piersiach.

To popiersie było niejako artystycznem zboczeniem, które artysta naprawił, wykonawszy wskutek polecenia Urbana VIII w r. 1625 posąg św. Bibianny w kościele, noszącym

jej imię. Powodem do uczczenia świętej męczennicy wspaniałym posągiem było znalezienie jej relikwji w miejscu, zwanem «ad Ursum pileatum». Jest to mały, odwieczny kościółek w pobliżu porta S. Lorenzo, przebudowywany po kilka razy w ciągu wieków. Dzisiejszy kształt nadał mu Bernini, a była to pierwsza jego architektoniczna praca. Posąg św. Bibianny należy bezsprzecznie do najpiękniejszych dzieł mistrza; święta stoi, prawem ramieniem oparta o skromny słup marmurowy, w lewej ręce trzyma palmę męczeńską, a twarz, wyrażającą niesłychany wdzięk, słodycz i spokój, ku niebu podnosi. Szczegóły przepiękne: ręce i stopa, wystające z pod długiej, miękko fałdującej się szaty, u nóg porzucona gałązka wawrzynu. W św. Bibiannie jeszcze nie znać tej religijnej ekstazy, jaką spostrzeżemy w kilku późniejszych jego kobiecych posągach.

W bazylice św. Piotra, nad grobem apostoła, istniał od najdawniejszych czasów ołtarz, nad którym Paweł V kazał zrobić skromny baldachim, podtrzymywany przez pięciu aniołów. Baldachim miał u góry rodzaj lambrekinów, festonów, naśladujących jakąś tkaninę; zdawał się jednak następnym papieżom zanadto skromny, więc w r. 1624 polecono Berniniemu, aby wystawił inny, odpowiadający świętości miejsca i wspaniałości bazyliki. Artysta szybko wywiązał się ze swego zadania, Urban VIII bardzo był zadowolony z projektu, ale w kołach kardynałów powstała wielka wątpliwość, czy wogóle będzie można kopać fundamenty na miejscu, gdzie miały stanąć słupy pod baldachim. Obawiano się bowiem, że kopiąc głęboko, mogłoby się naruszyć grób apostoła, a co gorsza, nawet nabrać przekonania, że tam zupełnie niema zwłok św. Piotra, coby zachwiało odwieczną tradycją chrześcijaństwa i nadzwyczaj szkodliwie działało na religijne usposobienie ludności. Papież jednak chciał koniecznie plan swój przeprowadzić; kazał więc Berniniemu rozszerzyć rozmiary baldachimu tak, aby fundamenty pod słupy były kopane w odległości dziesięciu palm od miejsca, gdzie według podania ma się znajdować grób św. Piotra. W ten sposób nie dotkniętoby się relikwji i wogóle nie podniosłoby się wątpliwości, czy te szczątki się tam znajdują czy nie. Bernini więc zastosował się do tych wymagań i plan swój baldachimu o wiele po-

większył. Koszta jednak budowy miały wskutek tego dojść do bardzo wysokiej sumy. Urban VIII zaś nie miał funduszów, a nadto polityczne stosunki europejskie były tak naprężone, że i państwo papieskie musiało się zbroić. Papież chciał zachować neutralność, ale w tym celu trzeba było powiększyć armję, a co gorsza, umocnić fortece poza Rzymem, które były w wielkiem zaniedbaniu i uzbroić Castel Sant'Angelo. Pieniędzy w skarbie nie było. Urban kazał nałożyć znaczne podatki na ludność, wskutek czego powstało w państwie papieskiem wielkie niezadowolenie i Urbana nazwano «Papa Gabello», papieżem celnikiem, a Pasquino wyśmiewał się, że pomimo jubileuszu, który znaczne przynosi dochody, papież jeszcze nakłada ciężary. «Papa Urbano dalla barba bella, Dopo il Giubbileo mette la gabella».

Ale te podatki nie wystarczały, zwłaszcza, że papież nie chciał odstąpić od swego zamiaru wystawienia baldachimu i uwiecznienia swego nazwiska w największej świątyni chrześcijaństwa, a nadto zamierzał rozszerzyć i upiększyć pałac na Monte Cavallo. Na baldachim wszakże i na armaty trzeba było nieskończonej ilości bronzu. Architekci, chcący się Urbanowi przypodobać, wynaleźli w kopule św. Piotra siedem słupów z bronzu, które można było zastąpić tańszym metalem i zyskać z nich 103.229 funtów bronzu. Szlachetny metal istotnie zabrano, a wstawiono słupy ołowiane, a gdy i tego było za mało, postanowiono zrobić zamach na najpiękniejszą, najpoważniejszą starożytną budowlę i obedrzeć z pysznych bronzowych ozdób Panteon Agrippy, jedyny gmach z czasów rzymskich, który najazdy barbarzyńców oszczędziły. Pasquino wypowiedział wtedy ową krótką, pamiętną krytykę, która do dziś dnia rzuca zasłużoną plamę na papieża z rodu Barberinich: «Quod non fecerunt barbari, fecerunt Barberini».

Papież wyjechał do Castel Gandolfo, aby nie słyszeć szemrań ludu rzymskiego, który nie mógł poskromić swego oburzenia, że niszczą Panteon, ów widomy znak wielkości starożytnego Rzymu. Barbarzyńską pracę rozpoczęto w październiku r. 1625 i wywieziono stamtąd olbrzymią ilość najszlachetniejszego bronzu, zmieszanego ze złotem i srebrem, z którego ulano ośmdziesiąt armat, a resztę, 8.372 funtów

oddano na kolumny baldachimu Berniniego. Praca nad owem dziełem trwała lat dziewięć; same koszta ulania pierwszych dwóch kolumn wynosiły 6.000 skudów, a cała konstrukcja bronzowa baldachimu, który dzisiaj widzimy nad grobem św. Piotra, ważyła 186.392 funtów i kosztowała 200.000 skudów. Nareszcie 29 czerwca 1633, w dzień św. Piotra i Pawła, odsłonięto olbrzymie dzieło, a tłumy, zgromadzone w świątyni, wydawały okrzyki podziwienia i radości. Poeci wynosili sławę Urbana VIII pod niebiosy, jakiś monsignor Lelio Guidiccione nazwał ów baldachim «mieszkaniem godnem apostołów, skarbem niebieskim, budową, która przetrwa wieki, przybytkiem nabożeństwa», wydano cały tomik wierszy na cześć tego «nadzwyczajnego dzieła». Kollegjum kardynałów, w uznaniu wielkiej zasługi Berniniego kazało mu wypłacić 10.000 skudów, oprócz należytości, przewidzianych w kilku kontraktach. Obdarowanie artysty tą sumą nie było jednak wszystkim kardynałom po myśli, a gdy papież na konsystorzu poruszył pytanie, jak wynagrodzić artystę za tak wspaniałe dzieło, postawił jeden z kardynałów wniosek, aby mu dać łańcuch złoty wartości 500 skudów, na co papież odpowiedział, że artyście należy dać złoto, a łańcuch temu, co podobne wnioski stawia. Na całej pracy miał Bernini zarobić 34.000 skudów, a nadto otrzymał dla brata swego Wincentego kanonję u św. Jana Laterańskiego, dla drugiego zaś z braci, Dominika, beneficjum u św. Piotra. Cały Rzym brzmiał sławą Berniniego.

Czy następne wieki potwierdziły te zachwyty? Nie zupełnie, a ostatnie osobliwie czasy bardzo surową o tym baldachimie wydały krytykę. I słusznie; jest to wyskok barokowej wyobraźni, rzecz zrobiona pod wpływem niespokojnego mistycyzmu, jakby wymyślona w gorączkowym śnie. Ponieważ jednak ten, co śnił w ten sposób, był człowiekiem wielkiego talentu, więc nawet w jego pracach, w malignie poczętych, znać piętno niepospolitego umysłu. Sprzeczność w samej koncepcji pociąga za sobą różnorodność sądów. Jedni widzą w tem dziele architekty i rzeźbiarza li tylko powiew talentu, a zapominają prawie o barokowych szczegółach, drudzy zwracają uwagę tylko na dziwactwa, w które baldachim obfituje, a nie przyznają, że i w tych niedorzecznościach jest coś, co świadczy o wielkości Berniniego. Rzecz szczególna, że ten człowiek o niepospolitej wytrawności artystycznej wziął ze starożytności motyw, może najmniej piękny, słupy spowite w gałązki wawrzynu, a od swego poprzednika, od artysty, który wymyślił baldachim Pawła V, tylko to, co w tym baldachimie było najbrzydszego, a mianowicie owe lambrekiny, które z natury rzeczy, jeżeli je już dopuścimy, powinny być z giętkiej, jedwabnej czy wełnianej materji, a nie z twardego bronzu. W tym baldachimie Bernini wyprzedził sam siebie, stworzył bowiem rzecz niespokojną, zawikłaną, nie zostającą w najmniejszym związku z całą budową kościoła św. Piotra, wymyślił coś, do czego tylko jego następcy, rozwichrzeni artyści baroku, przyznaćby się mogli.

Ale jakeśmy widzieli, zyskał artysta powszechny poklask, gdyż przemówił z duszy ówczesnego społeczeństwa, w której tak mało się mieściło rozsądku i prostoty. Kilka kościołów w Rzymie, a wiele poza stolicą papiestwa naśladowało «arcydzieło» Berniniego w mniejszych rozmiarach, a nawet bazylikę Santa Maria Maggiore przybrano podobnym baldachimem.

Ten entuzjazm, który wywołało tabernacolo Berniniego, musiał obudzić, zwłaszcza u innych artystów, niewidzianą zawiść. Zrazu nie umieli oni odkryć słabej strony, z którejby go zaczepić mogli, ale w r. 1636 spostrzeżono jakieś rysy w kopule św. Piotra, od strony kościoła św. Marty i uderzono na alarm, że kopuła została osłabioną przy nieostrożnem kopaniu fundamentów pod bronzowe słupy baldachimu, że z winy Berniniego wielkie dzieło Michała Anioła się zawali. Kilkunastu architektów wystosowało nawet pismo do papieża, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo, jakie grozi kopule, która wkrótce może runąć, zburzyć świątynię św. Piotra i nawet naruszyć pałac papieski. Nadto posypało się mnóstwo satyr i złośliwych wierszydeł, chcących poniżyć Berniniego w oczach papieża, a osobliwie jakiś Ferrante Carli, osobisty nieprzyjaciel artysty, jątrzył przeciw niemu umysły, «aby go zmiażdżyć». Rozsądni ludzie, w otoczeniu Urbana VIII, widzieli odrazu, że te obawy o kopułę kościoła św. Piotra są

zupełnie nieuzasadnione i że Bernini nic nie winien owym rysom, które nie mają większego znaczenia i łatwo się naprawić dadzą. Sam Bernini zaś nie uląkł się swych nieprzyjaciół i ich satyry, miał w sobie dość złośliwości, aby tą samą bronią odpierać napaści, jaką na niego nacierano.

Bernini dobrze pisał i umiał piórem się odcinać. Lubił przedstawienia sceniczne, próbował nawet układać komedje; korzystał więc z karnawału r. 1637, aby przedstawić jakąś farsę, w której zjadliwie wyśmiał swoich przeciwników. Obraził także bardzo dotkliwie, nie wiemy już, z jakiego powodu, szkolarzy di Capranica, tak, że swojemi dowcipami narobił sobie nieprzyjaciół. Szkolarze też czekali następnego karnawału, aby się rzeźbiarzowi wywdzięczyć. Ułożyli komedję, skierowaną przeciw Berniniemu, wywlekającą różne sprawy z jego prywatnego życia, a na scenie miała być przedstawiona kopuła Michała Anioła, chora, obandażowana. Artysta, dowiedziawszy się o tem, bardzo się przestraszył; udał się do szkolarzy przez kogoś znajomego z prośbą, aby komedji nie przedstawiali, a gdy to pośrednictwo na nic się nie przydało, zwrócił się do swego protektora, kardynała Barberiniego, aby przedstawienia zakazał. Kardynał uczynił zadość żądaniu artysty, studentom pod najsurowszemi karami zabroniono grać ową komedję i na tem się rzecz skończyła.

Gdy sprawa kopuły cokolwiek poszła w zapomnienie, zabrano się w kościele św. Piotra do ozdobienia owych olbrzymich pilastrów, na których spoczywa kopuła. Kongregacja kardynałów, zajmująca się «fabryką» św. Piotra, postanowiła umieścić w pilastrach najcelniejsze relikwje, jakie bazylika posiada, a mianowicie chustkę św. Weroniki, kawałek krzyża, lancę, którą Chrystus miał być przebity, i głowę św. Andrzeja. Bernini zrobił plan, który się bardzo podobał, w każdej niszy, na dole, miały stanąć wielkich rozmiarów posągi św. Weroniki, św. Heleny, św. Andrzeja i św. Longina, na wysokości pierwszego piętra wnęki z balkonami, w których się miały mieścić relikwje. Rzecz szczególna, że Bernini w architekturze nisz zupełnie odstąpił od wszelkich barokowych pomysłów, zapewne, aby nie stanąć w sprzeczności z renesansową architekturą bazyliki. W posągu tylko Longina, który jemu przypadł do wykonania, puścił zupełnie wodze swej furji barokowej i wyrzeźbił postać od włosów aż do fałdzistej szaty taką rozwianą, a do tego rozwianą po aktorsku, że nisza zdaje się za małą dla tych zamaszystych ruchów. Ale i Francesco Duquesnoy, który wykonał posąg św. Andrzeja, i Francesco Mocchi, rzeźbiarz św. Weroniki, a nawet Andrea Bolgi, który w czwartej niszy ustawił posąg św. Heleny, w ten sam błąd popadli; nie przewyższyli wprawdzie mistrza w rozbudzeniu marmurów do jakichś żywiołowych ruchów, ale stanęli już na najwyższym szczycie barokowych namiętności.

Wśród tych prac około upiększania świątyni św. Piotra musiał Urban VIII przecież czynić sobie wyrzuty, że obdarł Panteon z cennych starożytnych bronzów; więc chcąc cokolwiek naprawić wyrządzoną krzywdę starożytnemu gmachowi, polecił Berniniemu, aby go czemś upiększył, czemś, coby niezbyt dużo kosztowało. Bernini wymyślił dwie niskie kwadratowe wieżyczki nad portykiem, które sam Urban VIII nazwał oślemi uszami. Pomimo, że owe «ozdoby» najzupełniej nie odpowiadały starożytnej budowie, istniały one przez kilka wieków i dopiero minister oświaty połączonego państwa włoskiego, Guido Bacelli, kazał je zdjąć w r. 1882.

Prąd czasu porywał Berniniego coraz dalej; wyobraźnia artysty, karmiona kazaniami o znikomości życia, o mękach piekielnych, rozbudzona płonącemi stosami inkwizycji, wracała do średnich wieków, kiedy to przedstawiano tańczące kościotrupy. Artysta wymyślił dla jakiegoś Alessandra Valbriniego, «huomo di corte», zmarłego w r. 1639, nagrobek na ścianie w kościele San Lorenzo in Damaso, który brakiem wszelkiego dobrego smaku przewyższa wszystko, co do owych czasów barocco wydało. Wstrętny ten nagrobek przedstawia «skrzydlatego» kościotrupa, unoszącego się w powietrze i trzymającego portret zmarłego, oprawiony w owalne ramy. Za tło białemu kościotrupowi służy kotara z ciemnego marmuru. Pomysł tego nagrobka widocznie tak się podobał, że Bernini jeszcze dwa podobne wykonał i znalazł w późniejszych czasach setki naśladowców, tak we Włoszech, jak i w innych krajach.

Chwilami przecież dobry smak u artysty zwyciężał.

W kościele Santa Maria Aracoeli istnieje pochodzący także z owej epoki jego działania nagrobek, również w ścianę wmurowany, tak piękny, jak gdyby nie wyszedł z pod tego samego dłuta, co ów kamień pamiątkowy Valbriniego. Jest to nagrobek brata papieskiego, Karola Barberiniego, i przedstawia dwie alegoryczne rycerskie postacie, siedzące na krawędziach tablicy pamiątkowej, ukoronowanej u góry wielkim herbem zmarłego. Są to postacie pokrewne «nocy» i «dniowi» z pomników Medyceuszów, ale przecież inne, noszące nowsze piętno. U spodu tablicy nie brak także ozdoby z trupiej główki, ale tutaj przynajmniej to «upiększenie», ukryte w roślinnym ornamencie, nie narzuca się tak nieprzyjemnie widzowi, jak na nagrobku Valbriniego.

Na Kapitolu stoi także duży posąg Karola Barberiniego, który zazwyczaj przypisują Berniniemu. Na ten posąg wszakże składało się dwóch artystów; postać ubraną w rzymski pancerz wyrzeźbił Algardi, po Berninim pierwszy podówczas rzeźbiarz w Rzymie, głowę zaś, wskutek polecenia papieża, dorobił Bernini, trochę za małą do wielkości korpusu, ale wcale charakterystyczną.

Pomimo, że Urbanowi VIII brakowało funduszów na armaty i na baldachim na grobie św. Piotra, przecież miał dość złota, aby stawiać pałace dla swych nepotów. W czasie też, kiedy szukano bronzu na kopule kościoła św. Piotra i w Panteonie, kazał papież wyrysować Karolowi Madernie plan wielkiego pałacu dla Barberinich na pagórku kwirynalskim. Według planu Maderny zaczął Borromini budować ów gmach, ale widocznie roboty nie podobały się papieżowi, gdyż polecił Berniniemu wykonać fasadę pałacu i prowadzić dalsze prace. Pyszny pałac, który dotąd jest jedną z większych ozdób Rzymu, zaczęto stawiać około roku 1627, a skończono go już w r. 1630; tak się papieżowi śpieszyło. Fasada się wybornie udała; panuje w niej nadzwyczajna harmonja, która dowodzi, jak giętkim był talent Berniniego, skoro pomimo dziwactw nowego kierunku umiał tworzyć dzieła, pełne zdrowej piękności.

Obok nepotów najwięcej dbał Urban VIII o kościół św. Piotra; ściany były mu tam za puste, rad był powoli je

ozdobić artystycznemi pomnikami. Najprzód miał stanąć grobowiec hrabiny Matyldy. Papież postanowił, jakeśmy wspomnieli, uczcić jej pamięć, a Bernini miał dzieło wykonać. Ale Bernini, nie wiemy już, z jakich powodów, dał tylko rysunek monumentu i wyrzeźbił własnoręcznie głowę wojowniczej hrabiny, resztę pomnika wykonali inni artyści. Matylda, opiekunka Kościoła, stoi tam, trzymając w prawicy berło, a w lewej klucze i tiarę, znaki papiestwa. Głowa jakaś zanadto rzymska i zanadto pospolita, bez wyrazu, a cała postać ciąży na niższej części postumentu. Mały to tylko liść w wieńcu wawrzynowym wielkiego artysty.

III

Po smutnych doświadczeniach miłosnych z Contanzą Buonarelli, po różnych innych przelotnych stosunkach, postanowił czterdziestoletni już Lorenzo w r. 1639 ożenić się. Mówiono nawet, że papież go nakłaniał do porzucenia zbyt wolnego życia, zwłaszcza że dobra sposobność do ożenienia się zdarzała, gdyż Lorenzo miał jakąś znajomą, którąby odpowiednią była dla niego małżonką. Ale artysta się zapewne za długo namyślał i owa wybrana poszła zamąż, za jego brata Ludwika, człowieka poważnego, także rzeźbiarza, a nadto znakomitego mechanika, który nawet przeróżne w swym zakresie porobił wynalazki. Lorenzo tak się wtedy obraził na ród niewieści, iż powiedział, że na przekór swej bratowej musi poprowadzić do ołtarza najpiękniejszą dziewczynę w całym Rzymie. Tą najurodziwszą miała być dwudziestodwuletnia córka Paola Tizio, prokuratora rzymskiego, Caterina; o jej rękę też Bernini się starał. Tym razem był szczęśliwszy; Caterina wyszła za niego i tak miała być przy swej piękności dobra, miła, gospodarna, że «snadnie można było powiedzieć, iż niebo zachowało ją dla jakiegoś wielkiego człowieka». Ponieważ Caterina nie miała posagu, więc Barberini przed ślubem zapewnił jej posag dwóch tysięcy skudów «in forma segretissima».

Małżeństwo było najszczęśliwsze. Lorenzo żył z Kata-

rzyną Tizio pięćdziesiąt sześć lat i miał z nią jedenaścioro dzieci. Ostatni z rodzeństwa, Stefano Domenico, został jezuitą, lecz znudzony spokojnem życiem, wystąpił z zakonu, ożenił się i miał dwie córki i syna, którego potomkowie żyli jeszcze w połowie XVIII wieku. Domenico napisał kilka dzieł, a najwięcej przysłużył się potomności biografią swego ojca, «Vita di Gianlorenzo Bernini».

W czasie, kiedy się Bernini ożenił, był już sławnym na całą Europę artystą; dzieła jego reprodukowano w niezliczonych rycinach, a niemal każdy z monarchów chciał mieć swoje popiersie, wykonane ręką włoskiego mistrza. Król Karol II angielski zamówił u niego swój portret w marmurze, który mistrz miał wykonać według obrazu Van Dycka. Jakiś Anglik, lord Coning, zobaczywszy królewskie popiersie, pojechał umyślnie do Rzymu, aby Bernini wykuł jego postać. W r. 1638 kardynał Richelieu poszedł za przykładem angielskiego monarchy, a praca Berniniego tak mu się podobała, że go obdarzył pysznym złotym klejnotem z trzydziestu trzema djamentami. Co więcej, Ludwik XIII chciał koniecznie sprowadzić artystę do Francji; ale Berniniemu dobrze było w Rzymie, nie rad się był narażać na niepewne losy, zresztą zebrał dość duży majątek, tak, że żeniąc się, miał już sto tysięcy skudów.

Nie dziw zresztą, że mistrz nie chciał jechać do Francji, gdyż w Rzymie miał niezmiernie dużo do czynienia; był nietylko architektem i rzeźbiarzem papieża, nietylko ministrem sztuk pięknych papieskiego dworu, ale także artystą całej rodziny Barberinich. Urban VIII tak go cenił, że raz, gdy mistrz zachorował, papież odwiedził go w domu. Nepoci stawiali mnóstwo budowli, kardynał Francesco zbierał przedmioty sztuki i zasięgał przy każdem kupnie rady Gianlorenza.

Rodowa próżność w wysokim stopniu cechowała Urbana VIII; co chwilę zamawiał swoje popiersia u Berniniego, wszędzie kazał umieszczać swoje herby: na kościołach, na posągach, na pałacach, na chorągwiach bractw, kazał je malować na freskach, na barwnych oknach kaplic, haftować złotem i drogiemi kamieniami na ubiorach swych domowników. Jakiś złośliwy statystyk obliczył, że papież zdołał umieścić w Rzymie 10.000 swych herbowych pszczół, pomimo, że w jednym herbie jest ich tylko trzy. Malarz Tempesta, chcąc się papieżowi przypodobać, wymalował na atłasie twierdzę, której pszczoły bronią przed nieprzyjacielem. Dzisiaj jeszcze uderza w Rzymie bezmierna ilość pszczół Barberinich i gołębi Pamfilich, trzymających w dzióbie różdżkę oliwną.

Senat miasta Rzymu, chcąc się przypodobać papieżowi, polecił Berniniemu wykonać wspaniałą jego statuę, którąby można umieścić na Kapitolu. Dawały się słyszeć głosy, że według dawnych postanowień nie wolno stawiać pomników żyjącemu papieżowi, na co Urban VIII odpowiedział, że nie mogą się te zakazy odnosić do takiego, jak on, papieża. Urban był już wtedy tak znienawidzonym u ludności, że wspaniałe dzieło, które Bernini wykonał, musiano przenosić w nocy 24 czerwca 1640 z jego pracowni na Kapitol, aby nie zostało uszkodzone przez uliczne tłumy. Wspaniały pomnik do dziś dnia istnieje na Kapitolu i przedstawia papieża w dużej tiarze, podnoszącego prawicę do błogosławieństwa. Jest to statua oficjalna, a przecież niezwykła; twarz papieża bardzo charakterystyczna, poważna. Ocalała ona tylko szczęśliwym przypadkiem, gdyż lud rzymski w chwili, kiedy papież umarł, biegł już na Kapitol, aby znienawidzonego Urbana VIII potłuc w kawałki. Na czele ulicznej tłuszczy kroczył ksiądz, monsignor Cesarini, wymyślając na zmarłego i zachęcając, aby posąg zniszczono i zatarto wszelki ślad po tyranie. Kardynał Colonna wszakże, przewidując napad na dzieło artystyczne wielkiej wartości, posłał w chwili konania papieża zastęp swoich zbrojnych ludzi, aby bronili tłumom przystępu. Cesarini, widząc, że na Kapitol się nie dostanie, wezwał lud, aby szedł do Collegio Romano, gdzie na podwórzu stał Urban VIII z gipsu. Jezuici, widząc rozbestwione tłumy uliczne, nawet się nie opierali napaści i kruchy gips w jednej chwili został potłuczony. Z jaką szybkością Rzymianie swą zemstę wywarli, dość powiedzieć, że papież umarł o kwadrans na dwunastą w południe, a o dwunastej już owa statua nie istniała.

Wspaniałe mauzoleum, które dzisiaj w kościele św. Piotra podziwiamy, zamówił Urban VIII jeszcze za życia, a kiedy

umierał, dzieło było już prawie ukończone. Odsłonięto je wszakże dopiero w lutym r. 1647, za panowania Innocentego X. Jest to jedna z najbardziej monumentalnych prac Berniniego, wielce pompatyczna, ale wybornie cechująca epokę triumfującego baroku. Postać papieża z bronzu, siedząca na podwyższeniu, podobna do statuy kapitolińskiej; o podstawę tronu opierają się postacie alegoryczne: sprawiedliwość i miłosierdzie, najmniej stosowne w mauzoleum Urbana VIII. Sprawiedliwość zanadto pozująca, natomiast kobieta, przedstawiająca miłosierdzie, ma wiele wdzięku i może najpiękniejsza z całego pomnika. Artysta nie zapomniał o wstrętnym kościotrupie, piszącym imię papieża, a jako zręczny dworzanin, pomieszczał tu i ówdzie na marmurze łażące pszczoły z bronzu. Jakiś dowcipniś powiedział później Berniniemu, że w tych błędnych owadach chciał zapewne przedstawiać rozproszenie się rodu Barberinich po śmierci papieża. Pasquino inaczej tę rzecz zrozumiał, mówiąc:

«Pauca haec Urbani sint verba incisa sepulcro:
Quam bene pavit apes, tam male pavit oves» [1]).

Gorzej, jak za Urbana VIII, działo się Berniniemu za jego następcy, Innocentego X. Pamfili nienawidził swego poprzednika, a niechęć swą przeniósł także na Berniniego, jako ulubieńca Urbana VIII. Aby zaś tem bardziej dotknąć mistrza, powierzył zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską rozpoczętą przez niego restaurację bazyliki św. Jana Laterańskiego, tudzież budowę kościoła św. Agnieszki na placu Navona, Franciszkowi Borrominiemu, uczniowi Berniniego, a od pewnego czasu największemu jego wrogowi. Co więcej, papież odebrał Berniniemu olbrzymią budowę pałacu «di Propaganda Fide» i oddał ją także Borrominiemu, około którego zaczęli się teraz grupować nieprzyjaciele mistrza i obrzucać go złośliwemi wierszami.

Berniniego czekały jeszcze większe przykrości. W ostatnich latach panowania Urbana VIII postanowiono zbudować

[1]) Tych słów kilka na grobie wystarczy wyryć Urbana: «Dobry hodowca pszczół, owce najgorzej on pasł».



Grobowiec Urbana VIII w kościele św. Piotra w Rzymie

Do str. 450 Fot. Anderson



dwie dzwonnice na kościele św. Piotra i polecono mu zrobić odpowiednie modele. Mistrz wykonał model dzwonnic nie wysokich, ale lekkich, przejrzystych, które, o ile sądzić można z pozostałych rysunków, byłyby bądź co bądź piękniejsze, aniżeli dzwonnice dzisiejsze. Model musiał się podobać, rozpoczęto bowiem budowę jednej campanili; ale nieprzyjaciele Berniniego znowu podnieśli dawny okrzyk, że kopuła Michała Anioła teraz się z pewnością zawali, i dokonali tego, że przestraszona kongregacja kardynałów budowę wstrzymała. Papież kazał zwołać zgromadzenie znawców; «capimastri muratori» oświadczyli, że budowa dzwonnic najzupełniej nie zagraża kopule, mimo to kongregacja kardynałów kazała zburzyć rozpoczętą przez Berniniego budowę, a nadto zastanawiała się nad tem, czy nie należałoby skazać go na zapłacenie kosztów zburzenia dzwonnicy, wynoszących 10.000 skudów, i kosztów budowy, które doszły do wysokiej sumy 150.000 skudów.

Ale Bernini znał ludzi, a przedewszystkiem wiedział, kim jest Olimpja Maidalchini i jaki ma wpływ na Innocentego X. Znalazł więc nietrudne zresztą drogi, aby bratowej papieża dać w podarunku 1000 guldenów w złocie, a chcąc jeszcze lepiej usposobić dla siebie rodzinę Pamfilich, ofiarował kardynałowi Pamfilemu diament, wartości sześciu tysięcy skudów, który dostał od królowej angielskiej. Niestety, podarunki na nic się nie przydały; kardynał nawet okazał się przeciwnikiem Berniniego w powyższej sprawie, a donna Olimpja nie zdawała się także bardzo popierać artysty. Kamera Apostolska zasekwestrowała dochody Gianlorenza, a marmury z jego campanilli zostały użyte na rozmaite inne kościelne budowle. Zdaje się wszakże, że Bernini całej sumy nie zapłacił, gdy bowiem później, jak zobaczymy, stał się prawie ulubieńcem donny Olimpji, darowano mu zaległe jeszcze raty.

W chwili, kiedy niesprawiedliwy wyrok zapadł, był Bernini w najwyższym stopniu rozgoryczony na świat cały i wtedy przyszła mu myśl stworzenia dużej grupy marmurowej, której dał nazwę «Czas odkrywa prawdę», «Verità scoperta dal Tempo». Skrzydlata postać mężczyzny z kosą, unoszącego się w powietrzu, miała odsłaniać kotarę, pod którą się ukazała

obnażona kobieta, trzymająca w prawej ręce obraz słońca. Całości wszakże mistrz nie wykonał, wyrzeźbił tylko ową kobietę, ową «prawdę», postać anatomicznie bardzo piękną, ale o wyrazie twarzy trochę słodkawym, banalnym. Jest to piękność, powiedziałbym, rubensowska. Postać ta, przypominająca artyście ciężkie przejścia w życiu, tak mu była drogą, że w testamencie zapisał ją swemu pierworodnemu synowi, z poleceniem, aby ją na zawsze zachowywano w rodzinie i pamiętano o tem, że najpiękniejszą cnotą w świecie jest prawda i że trzeba się jej w życiu trzymać, gdyż czas ją zawsze odkryje. Ponieważ spadkobiercy rodziny Berniniego jeszcze istnieją, więc według postanowień testamentu nie wolno im sprzedać tej rzeźby, pomimo, że im już znaczną sumę za nią ofiarowano. Stoi ona dotąd w sieni jednego z domów przy Corso Umberto, zaprószona, otoczona balustradą, a z cudzoziemców mało kto wie o jej istnieniu.

IV

W roku 1644 polecił kardynał Federico Cornaro, Wenecjanin, Berniniemu, aby ozdobił jedną z kaplic w kościele S. Maria della Vittoria. Niewielki, ale piękny ten kościół wybudował kardynał Scipio Borghese na pamiątkę zwycięstwa wojsk katolickich w nieszczęsnej dla narodu czeskiego bitwie na Białej Górze. Nad ołtarzem chciał mieć fundator posąg św. Teresy, która wówczas zajmowała wszystkie pobożne umysły, i rzec można, równała się popularnością z Ignacym Loyolą. Gdy w r. 1622 kanonizowano pięć zasłużonych osobistości Kościoła: św. Izydora, Ignacego Loyolę, Franciszka Ksawerego, Teresę i Filipa z Neri, powstał spór co do porządku, w jakim miały być ogłoszone imiona świętych, spór bardzo zresztą charakterystyczny w wieku, w którym sprawy «pierwszeństwa» tak ważną odgrywały rolę. Część kardynałów była zdania, że świętą Teresę wymienić należy przed Ignacym Loyolą; jezuici wszakże zwyciężyli w tym sporze na chwałę swego założyciela.

Św. Teresa była rzeczywiście niepospolitą postacią, wy-



Grupa św. Teresy w S. Maria della vittoria w Rzymie

Do str. 453

Fot. Anderson



różniającą się od tych niezliczonych zastępów ówczesnych mniszek, które w umartwieniu ciała i bezustannej modlitwie widziały jedyną zasługę wobec wieczności. Takie zakonnice, jak np. feuillantines, tak się umęczały, porwane duchem ascetyzmu, że w jednym tygodniu podobno czternaście z nich umarło z wycieńczenia i papież musiał wydać rozkaz, aby złagodziły regułę. Św. Teresa, reformatorka zakonu karmelitanek w Hiszpanji, wprowadziła żywioł ożywczy do swych klasztorów, pracę. Sądziła, że człowiek bezczynny nie jest w stanie zbliżyć się do Stwórcy. Kazała więc zajmować się zakonnicom to domowem gospodarstwem, to ręcznemi robotami. Reformy jej wywołały prawdziwy entuzjazm w całym katolickim świecie i z Francji wysłano do Hiszpanji księdza Piotra Berulle, aby zbadać nowe zakony karmelitanek, a postać św. Teresy stała się ideałem kobiet, żyjących w Bogu.

Bernini musiał czytać autobiografję św. Teresy i zapewne na naradach z fundatorem posągu i z innymi czcicielami znakomitej Hiszpanki wybrał za temat grupy, którą miał wykonać, wizję, którą święta w ten sposób opisuje: «Zobaczyłam tuż przy sobie, po lewej stronie anioła, zupełnie cielesną postać, jaka zwykle w mych widzeniach się nie ukazywała... Anioł nie był wysoki, owszem, mały, bardzo piękny, a jego oblicze takim jaśniało blaskiem, że musiał należeć do tych aniołów, którzy są całkiem rozpromienieni żarem miłości Boskiej, że musiał być jednym z tych, których zowią serafinami... Widziałam w ręku anioła długi, złoty grot i zdawało mi się, jakoby go utopił po razy kilka w mojem sercu, tak, że czułam, jak żelazo przeszywało mi wnętrzności. A gdy je wyciągnął, zabrał serce moje i pozostawił mnie całkiem płomieniejącą miłością do Boga. Ból był tak wielki, że wydałam okrzyk, ale zarazem uczułam słodycz tak nieskończoną, że nie chciałabym, aby ten ból ustał... Nie był to ból cielesny, lecz duchowy, pomimo, że do pewnego stopnia i na ciało działał. Była to najsłodsza pieszczota, jaką sobie między duszą a Bogiem wystawić można» [1]).

[1]) Oto dosłowny tekst tej wizji, jak ją św. Teresa opisuje: Las Obras de la S. Madre Teresa de Jesus, Anveres Emprenta Platiniana.

Dzieło, które Bernini stworzył, odpowiada zupełnie tej wizji. Św. Teresa, w długich, fałdzistych szatach zakonnych, prawie omdlała z przerażenia, upada całą swą postacią jakby na obłok, a cielesna jej niemoc tak wielka, że lewa ręka i lewa stopa bezsilnie się zwieszają. Młodzieńczy, skrzydlaty seraf przybliża się do niej, wychodząc z głębi, ujmuje lewą ręką krawędź habitu świętej, a trzymając w prawej ręce grot, mierzy w jej serce. Twarz św. Teresy piękna, ale wynędzniała, wyraża boleść i rozkosz zarazem, a nawpół otwarte usta i przymrużone powieki wrażenie to w wysokim stopniu potęgują. Seraf, postać artystycznie o wiele niższa od świętej, młodzian o bujnych kędziorach, na którego twarzy walczy uczucie radości i politowania, ożywia grupę; uczucie radości, że zbliża do nieba ziemską istotę, uczucie litości, że do tego szczęścia dochodzi się tylko cierpieniem. Promienie, rzesiście z nieba spadające, olśniewają obydwie postacie, w niczem jednak nie przeszkadzają akcji, stanowią bowiem tylko tło wielkiej rzeźby.

Bernini uważał ową grupę za najdoskonalszą pracę swego artystycznego zawodu i rzeczywiście stworzył dzieło, stanowiące epokę w dziejach plastyki. Nikt przed nim nie zdołał

1630. Tom I. Cap. 29, str. 288. «Via un Angel cabe mi hazia el lado yzquierdo en forma corporal, lo que no suelo ver; sino por malauilla, aunque muchas vezes se me representan Angelles, es sin verlos, sino como la visio passada, que dixe primo. En esta vision quiso el Sennor le viesse ansi: no era grande, sino pequenno, hermoso mucho, el rostro tan encendido, que parecia de los Angelos muy subidos, que parecen todos se abrasan. Deuen ser los que llaman Seraphines, que los nombres no me los dizen, mas bien veo, que en cielo ay tanta differencia de unos Angelos à otros y de otros à otros, que no lo sabria dezir. Viale en las manos un dardo de oro largo, y el fin del hierro me parecia meter por el cora con algunas vezes, y que me llegaua à las entrannas, al sacar me, parecia las lleuaua coosigo, y me dexaua toda abrasada en amor de Dio: Era tan grande el dolor que me hazia dar aquellos quexidos, y ten excessiua la suavidad que me pone este grandissimo dolor, que no ay desscar que se quite, ni se contenta el alma con menos que Dios. No es dolor, corporal, sino espiritual, aunque no dexa de participar al cuerpo algo, y aun harto. Es un requiebro tan suaue que passa entra el alma y Dios, que suplico yo à su bondad lo dè à gustar, à quien pensare que miento».



Szczegół z grupy św. Teresy

Do str. 454 Fot. Anderson



wykonać posągów, przedstawiających tak skombinowane, gwałtowne i delikatne uczucie ludzkie. Tą grupą wkroczył on niejako w dziedzinę malarstwa, a dłuto jego prawie pendzlem się stało, umiał bowiem, jak malarz, wywołać nieporównaną grę światła i cieni w marmurze. Zasługa Berniniego tem większa w oddaniu subtelnych uczuć ludzkich, że z powodu przepisów Kościoła nie mógł ciał swych posągów obnażać. Nagość była zawsze wielką pomocą dla rzeźbiarzy, mogli bowiem w niej muszkułami i ruchem ciała domówić to, czego w twarzy wyrazić nie zdołali. Bernini musiał, jak malarz, wlać całą duszę człowieka w twarz i głowę posągu. Z powodu zakazu obnażania ciała przykładał też większą wagę, aniżeli rzeźbiarze Odrodzenia, do draperji, która i w grupie św. Teresy ważną odgrywa rolę. Za nim poszli inni rzeźbiarze, a draperja stała się jednym z celnych czynników w rzeźbie XVII wieku. Coprawda, nadużyto tego czynnika tak, że kto nie umiał w twarzy posągu oddać namiętności, wywoływał ją rozburzonemi fałdami sukien.

Grupa św. Teresy jest nietylko jedną z najznakomitszych rzeźb w nowszych czasach, lecz także i z tego względu dziełem nadzwyczaj zajmującem, że zawiera psychiczne tajemnice, jakie wogóle mało który marmur w sobie mieści. O żadnem też z nowszych dzieł rzeźbiarskich nie było tyle sprzecznych zdań, ile o grupie św. Teresy, począwszy od Stendhala, który się unosił nad «tą boską sztuką» i uważa dzieło Berniniego za naturalny wyraz ekstazy boskiej miłości, a skończywszy na Burckhardzie, który je potępia jako «degradację rzeczy nadprzyrodzonych».

To pewna, że każdy, kto się raz tej grupie przypatrzył, wracał będzie do niej zawsze i zawsze dozna wobec tego dzieła jakiegoś czaru, którego narazie zrozumieć nie może.

Nasz Krasiński w ślicznym wierszu w «Ułamku naśladowanym z glosy św. Teresy» potrafił się przejąć stanem słynnej zakonnicy, powtarzając jej modlitwę do Boga:

Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie,
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Rzeczywiście, stojąc przed tą grupą, ma się wrażenie, jakoby św. Teresa była w jakimś stanie błogości, a zarazem i bólu, trzeba być jednak mistykiem jak Krasiński, aby w tej błogości i w tym bólu, który Bernini wlał w swój marmur, wyczytać tylko nadziemskie uczucia; człowiek, patrzący się na to dzieło rzeźbiarskie trzeźwem okiem, znajdzie tam tyle tonów ziemskiej zmysłowości, iż się zadziwi, że ta grupa znalazła się w przybytku Bożym, a nie w świeckiem muzeum.

Z Berninim zstępuje rzeźba ze spokojnego, pięknego Olimpu i zaczyna z lubością zajmować się ludzką nędzą, ludzkiemi cierpieniami umysłu i ciała. Przed rzeźbiarzami otwierają się nowe horyzonty, ale już nie owe jasne, wesołe światy, które w starożytnej Grecji miały swoje początki, lecz ziemskie padoły, zaludnione postaciami o chorobliwej nerwowości, o niezdrowej wyobraźni.

W podobny sposób, jak w grubie św. Teresy, wyraził później Bernini uczucia religijnej ekstazy w przepięknej swej rzeźbie, przedstawiającej błogosławioną Albertonę w kościele San Francesco a Ripa w Rzymie. Albertona, w leżącej postawie, okryta fałdzistym habitem, chwyta się konwulsyjnym ruchem za pierś, jakgdyby tam straszne były zamknięte bole, i podnosi kolana w kurczowem zgięciu. Usta znów otwarte, oczy zmrużone i cała twarz wyraża cierpienie nawpół moralne, a nawpół fizyczne, pewnego rodzaju moralną agonję.

V

Fontanny należą do charakterystyki, do poezji Rzymu, w żadnem mieście nie mają one tego znaczenia, nigdzie nie są taką rozkoszą dla oka i nigdzie tak, jak tam, nie uderzają nas swą fantastycznością. Każdy niemal cudzoziemiec zaczyna i kończy swój pobyt w wiecznem mieście rozkoszowaniem się fontanną Trevi, każdy biegnie na Piazza Navona, aby podziwiać prawdziwie południową wyobraźnię twórcy monumentalnych wodotrysków. A mistrzem, który okrasił Rzym temi fontannami, który z promyków wody stworzył dzieła artystyczne, był znowu Bernini. Forma fontanny szczególnie

odpowiadała jego usposobieniu, gdyż tutaj nie potrzebował się krępować żadnemi względami na przeszłość i teraźniejszość artystycznych prądów, mógł tworzyć swobodnie, nie oglądając się na nikogo.

A prawda, Bernini, rysując swą pierwszą fontannę z rozkazu Urbana VIII na placu hiszpańskim, musiał się oglądać — na wodę. Promień z wodociągu był tam tak słaby, że w żaden sposób nie chciał tryskać do góry. Więc artysta powiedział, że trzeba raczej fontannę zastosować do wody, aniżeli wodę do fontanny i wymyślił płytką barkę, uzbrojoną w małe armaty, jako że wówczas było tyle mowy o armatach papieża. Z otworów armat wypłynęła woda i «La Barcaccia» stała się jedną z najpopularniejszych artystycznych zabawek rzymskiego ludu.

Urbanowi VIII tak się pomysł rzeźbiarza podobał, że uczcił otwarcie Barcacci dystychem:

> Bellica pontificum non fundit machina flammas,
> Sed dulcem belli, qua perit ignis, aquam[1]).

Na co jakiś złośliwiec odpowiedział:

> Carminibus fontem, non fonti carmina fecit
> Urbanus vates; sic sibi quisque placet[2]).

Po tak szczęśliwym początku chciał Urban VIII mieć jakąś fontannę Berniniego w Watykanie. Artysta zastosował się do danego mu miejsca i zrobił małą studzienkę, opartą o mur, w której z pośród roślinnych ornamentów wyłażą pszczoły i wypuszczają ze swych pyszczków cienkie promyki wody. Nad fontanną postawił artysta tablicę, przeznaczoną na napis, ułożony przez papieża-poetę:

> Quid miraris apem, quae mel de floribus haurit,
> Si tibi mellitam gutture fundit aquam?[3])

---

[1]) Patrz, wodą słodką miast ognia zioną armaty papieskie!
Nie dziw, bo zdrojem wód Marsa potłumia się żar.

[2]) Patrzcież, wierszom fontanna, nie wiersze służą fontannie,
Wieszcza Urbana twór; któżby się sam nie miał zacz?

[3]) Słodkie, jak miodek, poniki pszczółki puszczają z gardziołków.
Dziwisz się? Próżny to dziw: miodu dostarcza im kwiat.

Niedość było pszczół w Watykanie, trzeba je było jeszcze umieścić wpobliżu pałacu papieskiej rodziny. Na piazza Barberini, na rogu via Sistina, wystawił więc Bernini fontannę w kształcie wielkiej muszli, po której rozbiegały się pszczoły i ożywiają ją promykami wody. Fontanna ta stała do roku 1870 na placu Barberinich; rozebrano ją jednak w celu uregulowania ulicy Sistiny i od tego czasu nie ustawiono jej nigdzie, pomimo, że ten zamiar istnieje.

Fontanny Berniniego tak się podobały, że każdy właściciel pałacu lub pięknego ogrodu chciał mieć takie artystycznie obramowane źródło. Niestety, wiele z tych fontan już nie istnieje, jak np. fontanna willi Mattei sul Celio, która miała być bardzo fantastyczna, z olbrzymim orłem na wierzchu, jak bardzo już źle utrzymana fontanna w podwórzu pałacu Antamoro.

Ale najświetniejsza, najoryginalniejsza z tych fontan jest ustawiona w r. 1640 «Fontana del Tritone» na placu Barberinich, dzieło dziwaczne, choć piękne w rysunku. Na ogonach trzech delfinów, wyrzucających wodę w obszerny basen, opiera się duża koncha, na niej siedzi przepyszny Tryton, a trzymając przy ustach skręconą muszlę, dmie w ten właściwy sobie instrument muzyczny jakąś pieśń barbarzyńską. Artysta i tutaj nie zapomniał o pszczołach Barberinich, które się wspinają po tarczy, umieszczonej pomiędzy delfinami, dzisiaj już bardzo zatarte. Cały utwór w wysokim stopniu dziwaczny, «barocco», fantastyczny, a przecież tak kształtny, że sylwetka tej studni każdemu się wbija w pamięć, kto ją raz tylko widział.

Fontanny pogodziły Innocentego X z Berninim; papież, mimowoli rozjaśnił wkońcu swoje oblicze wobec znakomitego artysty, pomimo, że mistrz służył dawniej Barberinim. Pomost pomiędzy zgryźliwym starcem a rzeźbiarzem zbudowała donna Olimpia, która nie zapomniała o tysiącu złotych guldenów Berniniego.

Donna Olimpia miała, jak wiemy, pałac na placu Navona, a naprzeciw okien bardzo zwykłą fontannę, wystawioną jeszcze za Grzegorza XIII. To jej nie wystarczało, chciała mieć fontannę wspaniałą. Nietrudno było namówić Innocentego, aby uświetnił swoje panowanie przyozdobieniem części

miasta, która była wówczas ogniskiem ulicznego ruchu. Papież polecił kilku artystom, a pomiędzy nimi i Borrominiemu, aby podali projekty do ustawienia tam monumentalnej fontanny i egipskiego obelisku, który, przywieziony jeszcze w czasach Antonina Karakalli do Rzymu, został tam właśnie odkopany w naumachji Klaudjusza. Innocenty X chciał potrosze naśladować Sykstusa V. Artyści przedłożyli rysunki, ale żaden z pomysłów nie zadawalniał papieża i jego rodziny. Wtedy donna Olimpia miała cichaczem wysłać Niccola Ludovisi, księcia Piombino, do Berniniego, aby nikomu nic nie mówiąc, zrobił model fontanny po myśli papieża. Bernini się szybko z polecenia wywiązał, a donna Olimpia umieściła model z drzewa i gipsu w salonie swego pałacu w dzień ślubu byłego kardynała Kamila Pamfili z wdową, księżną Rossano, i zwróciła nań uwagę papieża. Rzecz tak się Innocentemu podobała, że natychmiast kazał model wykonać w srebrze i zawrzeć umowę z Berninim co do budowy monumentu.

Bernini rozpoczął zaraz pracę około fontanny czterech rzek (1647), przyjął cały legjon artystów i ukończył dzieło w roku 1651. Zadanie jego ograniczało się tylko do zrobienia modelów i zarządzaniu robotami, prace rzeźbiarskie wykonywali młodsi artyści. Środek tej monumentalnej studni stanowi ów egipski obelisk, stojący na sztucznych skałach, na których opierają się cztery olbrzymie postacie, przedstawiające cztery wielkie rzeki: Nil, Ganges, Dunaj i Rio della Plata. Z pod tych olbrzymów wypływają cztery strumienie wody, wpadające w wielki basen. Około każdej z tych postaci gromadzi się cała flora i fauna dalekich krajów, rosną palmy, kaktusy, wiją się olbrzymie węże, wyzierają potworne zwierzęta. Coś podobnego jeszcze w sztuce nie istniało, śmiałość wyobraźni bezgraniczna, porzucenie wszelkich wzorów, ruch, życie, które podnosi jeszcze umiejętne zastosowanie działania wody. A gdy promienie słoneczne padną na te skały, tworzące jaskinie i malownicze złomy, to zdaje się, że wszystkie umieszczone tam potwory ruszają się, czatują, aby się rzucić na każdego, kto się do nich przybliży.

Ósmego czerwca r. 1651 papież brał udział w procesji Bożego Ciała w S. Pietro a Monte Cavallo, a wracając, chciał

zobaczyć, jak wygląda prawie ukończone już dzieło Berniniego. Innocenty oglądał rzeźbę dokładnie, był nadzwyczaj ze wszystkiego zadowolony; ale wiedząc, że Bernini miał wielkie trudności w sprowadzeniu wody, zwrócił się do niego z ironiczną uwagą: «Wszystko to bardzo ładne, ale myśmy przybyli oglądać fontannę, a wody nie widzimy». Artysta się tłumaczył, że praca jeszcze nie została ukończona; gdy jednak papież zabierał się do odjazdu, Bernini dotknął kluczem miejsca, w którem się wodotrysk otwierał, a w tej chwili zaczęła woda szumieć i tryskać ze wszystkich stron ku wielkiemu zdumieniu papieża i jego otoczenia.

Innocenty pogodził się z Berninim, kazał wybić medal na pamiątkę zbudowania tej fontanny, ale na medalu było widać popiersie papieża, a nie wielkiego artysty. Berniniemu kazał Innocenty wypłacić pięć tysięcy skudów, a nadto nadał kanonję najstarszemu jego synowi.

Zdarzyło się, że wkrótce po ukończeniu fontanny wielki orkan Rzym nawiedził, z czego korzystali nieprzyjaciele artysty, aby rozsiewać pogłoski, że obelisk się wali. Lud się gromadził na placu Navona, oczekując chwili, kiedy nastąpi katastrofa i obelisk spadając, pogruchocze berninowskie dzieło. Dowiedziawszy się o tem, pojechał mistrz zaraz na plac Navona, zabrał ze sobą kilku robotników, a widząc pomiędzy publicznością rozsiewaczy złośliwych pogłosek, kazał cienkiemi sznurkami przywiązać egipski monument do najbliższych domów. Publiczność narazie nie wiedziała, co właściwie Bernini uczynić zamierza; zobaczywszy jednak, że artysta zadrwił ze swych przeciwników, wybuchła śmiechem i zaczęła artystę sympatycznemi witać okrzykami. Bernini był pewny, że dobrze rzecz wykonał, gdyż obelisk stoi po dziś dzień, pomimo, że drugiego lutego 1703 było w Rzymie dość silne trzęsienie ziemi, które się dało uczuć także i na placu Navona.

Na odsłonięcie fontanny, które się odbyło z wielką uroczystością, wyjechał Bernini w pysznej karocy, ozdobionej dziwacznemi maskaronami z pozłacanego bronzu; od czasów Rafaela nie było w Rzymie artysty, któryby otaczał się takim przepychem i zbytkiem, jak wielki mistrz baroku. Miał on kamienicę naprzeciwko Collegio di Propaganda Fide, na której

niedawno umieszczono pamiątkową tablicę. Collegio przebudowywał za czasów Urbana VIII Bernini. Innocenty X powierzył dalsze prace Borrominiemu, który, chcąc zohydzić swego poprzednika, wyrzeźbił w kaplicy tamtejszej ośle uszy na pamiątkę Berniniego. Nasz artysta odwdzięczył się zaraz pięknem za nadobne, umieszczając Priapa na balkonie swego domu, leżącego tuż naprzeciwko kaplicy Borrominiego, która mogła uchodzić za szczyt złego smaku.

Francesco Borromini był wprawdzie Komaskiem, kamieniarzem z okolic jezior włoskich, lecz gwałtownością charakteru i namiętnością usposobienia prześcignął Neapolitańczyków. Przybył do Rzymu, aby się kształcić na rzeźbiarza pod kierunkiem swego krewnego, Karola Maderny, a po śmierci tego artysty przeszedł do pracowni Berniniego i nauczył się nietylko rzeźbić, ale został znakomitym budowniczym. Gianlorenzo go bardzo polubił, wyrobił mu u Barberinich zajęcie około nowego ich pałacu, ale dwaj artyści długo ze sobą nie mogli żyć w zgodzie. Pokłócili się o jakąś sprawę pieniężną; Borromini opuścił Berniniego i trudnił się budownictwem na własną rękę. Bardzo zdolny, o wyobraźni pełnej pomysłów, znalazł pracy niemało, a nawet w Watykanie zaczęto go wysoko cenić. Budował kilka kościołów, jak San Carlo alle Quattro Fontane z nadzwyczaj udatnym «chiostro», jak Chiesa nuova i St. Agnese, przy piazza Navona, kościół rodzinny Pamfilich. Innocenty X szczególnie go cenił i nawet w r. 1652 mianował kawalerem zakonu Chrystusa. Borromini starał się w swoich dekoracyjnych ozdobach architektonicznych prześcignąć jeszcze Berniniego, chciał być we wszystkiem oryginalnym tak dalece, że ubierał się nawet inaczej, aniżeli wszyscy inni artyści, w płaszcz hiszpański i w dziwacznie przystrojone pończochy.

Gwałtowność swą posuwał do ostateczności. Zdarzyło się, że w czasie, kiedy był zajęty robotami około restauracji bazyliki Laterańskiej, wszedł niepostrzeżenie do wnętrza kościoła kleryk, Marco Antonio Bossoni, podmówiony widocznie przez jakiegoś współzawodnika Borrominiego, i pootłukiwał mu i popsuł marmury, gotowe już do wmurowania. Borromini, dowiedziawszy się, kto był tym złośliwym psotnikiem, chwy-

cił go raz w kościele i tak dotkliwie kazał obić, że Bossoni umarł pod razami. Borrominiego uwięziono, ale Innocenty X, który wówczas, naprzekór Berniniemu, otaczał Komaska nadzwyczajną opieką, skazał go za to morderstwo tylko na kilka miesięcy na wygnanie do Orvieto.

W późniejszym nawet wieku nie opuszczały Borrominiego wybuchy gniewu, a zarazem nurtowała w nim zawiść, mająca swe źródło w powodzeniu Berniniego. Zdawało mu się, że za czasów Innocentego X przygniótł już swego współzawodnika i że posiadł najzupełniej łaskę papieża. Gdy jednak Gianlorenzo skończył fontannę na Piazza Navona, a Innocenty znów zwrócił się ku Berniniemu, Borromini nie mógł przenieść tego upokorzenia i życie sobie odebrał. Spisał spokojnie testament, powiedział, że chory, położył się do łóżka, spał całą noc, a z rana zdjął z gwoździa szpadę, która wisiała pomiędzy poświęconemi świecami, i wbił sobie ją tak silnie w bok, że żelazo głęboko weszło w ciało. Na to przybiegł jego pomocnik Francesco, przywołał innych towarzyszy, wyciągnięto mu szpadę, ale rana była śmiertelna i Borromini zakończył życie.

Na pamiątkę odsłonięcia fontanny na placu Navona i na cześć Berniniego posypał się istny grad «poezyj», przesadnych w swych pochwałach, dziwacznych w porównaniach i pomysłach, a nawet niejaki Emilio Meli ułożył komedję pod tytułem «La fontana Pamfilia», która była grana w karnawale r. 1652 i jest wyskokiem pochlebstw dla księcia Gio. Battisty Pamfilego i stekiem rozmaitych innych niedorzeczności.

Donnie Olimpii niedość było fontanny, stojącej na środku placu; chciała ona jeszcze mieć tuż pod swemi oknami wodotrysk pomysłu Berniniego. Naprzeciw pałacu Pamfilich istniała wprawdzie fontanna, wystawiona jeszcze za czasów Grzegorza XIV, ale tworzyła ją tylko wielka koncha, wykonana pod kierunkiem Berniniego, z której skromny wytryskał promień wody. Donna Olimpia życzyła sobie coś wspanialszego, więc papież darował jej dotychczasową konchę, znajdującą się do dziś dnia w ogrodzie willi Pamfilich, za bramą San Pancrazio, a natomiast polecił Berniniemu wykonać na piazza Navona wodotrysk, któryby był dziełem artystycznem.



Berniniego «Fontana del Moro»

Do str. 463 Fot. Anderson

Bernini zrobił model, a kilku innych rzeźbiarzy rzecz wykonało. Na wielkiej muszli postawił olbrzymiego siłacza, który w swych rękach trzyma za ogon delfina, wyrzucającego strumień wody w duży basen. Ponieważ twarz olbrzyma ma trochę podobieństwa do murzyna, więc postać tę przezwano il Moro. Wykonał ją pod kierunkiem mistrza Giovan Antonio Mari, Rzymianin, uczeń Berniniego. W basenie pławi się czterech Trytonów, którzy dmą z całej siły w trąby, wyrzucając z nich wodę. Ponieważ w ciągu wieków Trytony bardzo znacznie podniszczyła woda, więc w nowszych czasach zrobił rzeźbiarz Amici nowe, według dawnych modeli. Prócz Trytonów zdobi basen mnóstwo bardzo zajmujących i pięknych szczegółów i ornamentów, które fantazja Berniniego tworzyła z dziwną łatwością. Rzecz szczególna, że wszyscy artyści Odrodzenia razem wzięci nie stworzyli tyle ornamentów, tyle fantastycznych szczegółów w zakresie rzeźby i architektury, ile ich narysował Bernini. Głównym powodem tego ubóstwa dekoracyjnego było, jak mi się zdaje, głęboko wkorzenione przyzwyczajenie naśladowania starożytnych, co wyrobiło u nich pewnego rodzaju lenistwo wyobraźni.

Jest jeszcze jedna fontanna, najwspanialsza, najpopularniejsza tak u Rzymian, jak i u cudzoziemców, fontanna Trevi, wystawiona w XVIII wieku, o której się mówi, że jest dziełem Mikołaja Salvi, dość podrzędnego rzeźbiarza z czasów Benedykta XIII i Klemensa XII. Jeden z włoskich znawców sztuki, pisząc przed kilkudziesięciu laty o tej fontannie, powiedział, że nosi ona cechę XVII, a nie XVIII wieku i że pomimo, iż ją wykonano o wiek później, trzeba początki jej odnieść do dawniejszych czasów. I tak jest rzeczywiście. Najnowszy biograf Berniniego, Fraschetti, znalazł pomiędzy dawnemi rysunkami i akwarelami u księcia Dorii projekt Berniniego do przepysznej grupy Neptuna, mającego stanowić środek fontanny Trevi, a z różnych innych źródeł się przekonał, że papież Urban VIII polecił Berniniemu zrobić projekt monumentalnej fontanny na miejsce skromnej, którą wystawiono w XVI wieku, za Piusa IV, aby zamykała ujście wodociągu, zwanego acqua Vergine. Ponieważ tę dawną fontannę stanowił duży basen, do którego spływały trzy promienie

wody, więc zwano ją «Trivio», z czego później powstała nazwa «Trevi» i ta nazwa do dziś dnia się utrzymała. Ani Urban VIII, ani późniejsi papieże XVII wieku nie mieli zapewne dość funduszów, aby dzieło Berniniego wykonać i dopiero Benedykt XIII w r. 1728 polecił jakiemuś Pawłowi Banagli, aby pracę około fontanny rozpoczął. Tak Banaglia, jak i jego następca Sanvitelli, nie uważali projektu Berniniego za dość piękny i własne w nim chcieli zaprowadzić zmiany. Klemens XII nie zatwierdził jednak rysunków Sanvitellego i polecił rzeźbiarzowi Mikołajowi Salvi wykonać ostateczny projekt. Ale w kasie papieskiej nie było pieniędzy na fontannę Trevi i niebawem na marmurach, które miały służyć do jej budowy, czytano napis: «Elemosina per la fabrica»; sądzono, że liczne składki dopomogą do dalszego prowadzenia budowy. Wskutek tego braku funduszów Salvi nie dożył ukończenia fontanny i dopiero jakiś młody jego następca mógł w r. 1762 to pyszne dzieło odsłonić. Fraschetti przychodzi do przekonania, że Salvi, zatrzymując w głównych zarysach projekt Berniniego, dużo pięknych szczegółów usunął, a zastąpił je banalnemi rzeźbami, największą zaś szkodą, jaką wyrządził projektowi mistrza, było niewykonanie tego wspaniałego Neptuna, którego widzimy na akwareli u księcia Doria. Pozujący, teatralny Neptun Mikołaja Salviego osłabił wrażenie wodotrysku.

Po pracach na placu Navona Bernini pozyskał najzupełniej łaski papieża, który mu w r. 1647 powierzył dekorację pilastrów w kościele św. Piotra i portretów papieży, mających zdobić niektóre kaplice. Bernini puścił wodze swemu zamiłowaniu ku barwnym marmurom, cieszył się, rzucając na ściany dobrze wyżywione aniołki, tłuste gołębie z różdżką oliwną w dzióbie, i całą swą wesołą duszę wlał w te ornamenty. Nawet poważne wiekiem, pochylone postacie papieży umiał oprawiać w medaljony, podtrzymywane tak rozkosznemi aniołkami, że promień tego młodzieńczego wesela pada na zgryźliwe twarze.

Owe aniołki Berniniego przeszły zczasem do wszystkich jezuickich kościołów, a naśladujący je rzeźbiarze po większej części taki im nadawali kształt, jakby były wypchane z ba-



Popiersie Franciszka I d'Este dłóta Berniniego
Galleria Estense w Modenie

Do str. 465 Fot. Alinari



wełny. Słusznie też powiedział Carducci, że «le chiese dei Gesuiti col grosso angel paffuto,

Che nelle chiese del Gesù stuccate
Su le nubi s'adagia,
Su le nubi dorate e inargentate,
Che paion di bambagia» [1]).

Zadowolony z prac Berniniego Innocenty X kazał mu robić swoje popiersia, zwłaszcza, że artysta trochę pochlebiał nowemu protektorowi i rzeźbił twarz papieża nie tak odpychającą, jaką była w istocie. Jeden z tych biustów, marmurowy, znajduje się w galerji Doria, obok portretu Velasqueza, dwa inne z bronzu przechowują się w salach tego pałacu.

W r. 1650 zapragnął książę modeński Francesco I d'Este mieć swoje popiersie dłuta rzymskiego mistrza i polecił swemu bratu, kardynałowi Rinaldowi w Rzymie, aby się ułożył z artystą. Ponieważ o sprowadzeniu Berniniego do Florencji z powodu jego zajęć mowy być nie mogło, więc Francesco I posłał artyście swój portret pędzla Sustermansa, który właśnie wtedy bawił na dworze esteńskim i portretował prawie całą książęcą rodzinę. Popiersie udało się wybornie, ale artysta miał się wyrazić, że nigdyby się już nie podjął robienia rzeźby według malowanego portretu; tyle z tego powodu miał trudności. Popiersie, które ważyło tysiąc funtów, wyjechało w listopadzie r. 1651 na wozie, zaprzężonym czterema końmi, mającym kształt małej lektyki, wyłożonej materacami, do Florencji, a towarzyszył mu jeden ze służących artysty.

Książę nadzwyczaj był zadowolony z dzieła Berniniego i rzeczywiście trudno przypuścić, aby jaki artysta mógł oddać lepiej jego charakter. Francesco I należał do ludzi, których pycha rozsadzała, nadymał się jak paw, kazał się nazywać Altezza, pomimo, że podług ówczesnych reguł należał mu się tylko tytuł Eccelenza, szukał towarzystwa pomiędzy silniejszymi od siebie «mocarzami» i na niższych spoglądał z po-

[1]) Kościoły Jezuitów z tłustym, wypasionym aniołkiem, który wśród gipsowych stjuków wygodnie się na obłokach rozlega, na obłokach pozłacanych i posrebrzanych, jakby z waty zrobionych.

gardą. To nadzwyczaj charakterystyczne popiersie Francesca I jest dotąd ozdobą galerji w Modenie i rzec można, że uzmysławia nam ideał barokowego księcia. Duża peruka, a mały rozum, na ustach pogarda dla pospolitego świata, typ «panującego», który przez kilka dni gotów był o tem rozprawiać ze swymi ministrami, czy posadzić jakiegoś gościa na fotelu, czy tylko na taborecie. Bernini ubrał Franceska w pancerz, wówczas niepotrzebny, ale na pancerzu powiesił płaszcz, który się fantastycznie fałduje na ramionach księcia i pyszną stwarza harmonję z lokami peruki. Borhoni, jeden z krytyków XVII wieku, dowcipnie powiada, że duca Francesco, jakby nowoczesny Narcyz, przypatruje się swej urodzie w odblaskach berninowskiego marmuru i zakochany w swej postaci, rozmawia z nią, jakby drugi Pigmaljon.

Współcześni poznali się na wielkiej artystycznej wartości portretu Franceska I i uważali go za arcydzieło mistrza, a Estowie modeńscy zamawiali u niego rysunki wodotrysków i ornamentów pałacu, chcieli go nawet koniecznie sprowadzić do Modeny; ale mistrz zanadto był zajęty, aby mógł Rzym choćby na krótki czas opuścić.

VI

Za czasów cesarskich zaspakajano lud rzymski chlebem i zabawami; w XVII wieku skąpiono mu chleba, ale natomiast mógł się plebs patrzeć na festyny, na religijne i świeckie pochody, wjazdy ambasadorów, teatry, których urządzano bez liku. Zdaje się, że wszystkie pragnienia klas zamożnych zespoliły się w żądzy okazania blasku i przepychu. Kościół chciał olśnić społeczeństwo barwnemi procesjami, wystawnemi nabożeństwami, za przykładem Kościoła szli papiescy nepoci, zagraniczni ambasadorowie i rzymscy magnaci. Szli częścią ślepo, z chęci naśladowania cudzych świetności, częścią z zasady arystokratycznej utrzymywania swego wyłącznego stanowiska przepychem i blaskiem. W Watykanie myślano nad tem, jak działać na wyobraźnię ludu; oprócz dni, w których się papież pokazywał w całej glorji namiestnika

Chrystusowego, korzystano już to ze wstąpienia na tron nowego papieża, już to z nominacji kardynałów, lub ich pogrzebów, z jubileuszów, z wjazdów posłów zagranicznych, z kanonizacji świętych, aby urządzać najwspanialsze festyny i okazywać światu, jak wielkim, jak wspaniałym jest ten zwycięski Rzym nowy.

Ludowi mniej więcej było obojętnem, jaki powód był tych festynów, czy «possesso» papieskie, czy beatyfikacja jakiejś zasłużonej osobistości, czy wjazd królowej szwedzkiej, czy maskarada; on bawił się złocistemi strojami, liczył ilość karet i pysznych koni, a przedewszystkiem z upragnieniem oczekiwał chwili, kiedy fontanny zaczną bić winem, kiedy chleb będą rozdawać za darmo lub rzucać srebrne monety.

Bernini był najpierwszym, najznakomitszym reżyserem tych rzymskich zabaw XVII wieku, a niewyczerpany w pomysłach, miał pod tym względem ogromny wpływ na kierunek smaku w późniejszych czasach. Czy budowano wspaniały katafalk dla zmarłego kardynała, czy ozdabiano kościół na uroczystość kanonizacji jakiego świętego, czy miano grać komedję w salonach Colonnów, wszędzie wzywano pomocy Gianlorenza. I tak w lutym r. 1625 wystawił on «teatro» w bazylice św. Piotra, aby kanonizację portugalskiej królowej Elżbiety uświetnić, innym razem był reżyserem procesji «della natione della Marca», którą kardynał Pallotta chciał uczcić swoich ziomków z okolicy Ankony. A było to widowisko niezrównane, urządzono je w nocy dla większego wrażenia; przeszło sześćset pochodni oblewało ulice czerwonym blaskiem, w oknach jarzyło się tysiące świec. Wśród procesji niesiono dużego Chrystusa na krzyżu, a na końcu pochodu niezliczona ilość fakinów posuwała na kółkach kaplicę, zbudowaną z drzewa na wzór Santa Casa di Loreto, którą aniołowie nieśli przez morze, tak doskonale naśladowane, że zdawało się ludziom, iż widzą przed sobą prawdziwe fale. Nad kaplicą muzykanci śpiewali hymny na cześć Matki Boskiej. W r. 1659 za panowania Aleksandra VIII spalił Bernini w dzień św. Piotra ognie sztuczne na kopule bazyliki; ale zabawa tak niefortunnie wypadła, że z powodu wielkiego gorąca stopiło się dużo ołowiu, pokrywającego kopułę, a szkoda wyrządzona wynio-

sła 4—5.000 skudów. Papież bardzo się wtedy gniewał na Berniniego, zwłaszcza, że powszechnie uważano ten wypadek za złą przepowiednię.

Jeden z najpyszniejszych katafalków, jakie Rzym widział, wystawił Bernini w r. 1669 w kościele Santa Maria d'Aracoeli w celu uświetnienia nabożeństwa żałobnego za księcia de Beaufort, admirała francuskiego, który poległ w walce z Turkami na wodach Krety. Ludwik XIV wysłał swą flotę na prośby Klemensa IX, papież chciał więc przynajmniej wspaniałą uroczystością za poległego bohatera odwdzięczyć się królowi francuskiemu. Katafalk urządzony był w kształcie piramidy z dział, sztandarów i innych oznak wojennych, którą podtrzymywały wstrętne skrzydlate kościotrupy; na szczycie stała alegoryczna postać, pod nią dwa anioły, dmące w trąby i rozgłaszające sławę Beauforta. Piramida była ozdobna tak, jak kolumny rzymskie, scenami wojennemi i kosztowała w tych ciężkich czasach, kiedy złoto było potrzebne na wojny tureckie, dziesięć tysięcy skudów.

Bernini stawiał wprawdzie katafalki, lecz równocześnie bywał też i reżyserem wesołych maskarad i przedstawień teatralnych. Wspaniały pochód masek urządził wskutek polecenia księcia Agostina Chigi w karnawale r. 1658, pomimo, że głód panował w mieście i smutek po przebytej zarazie, która mnóstwo porwała ofiar. Główną ozdobą maskarady był wóz, zaprzężony w cztery pyszne rumaki, na którym siedziały cztery postacie, przedstawiające sztuki wyzwolone, a nad niemi «la Virtù» i sam Don Agostina, ozdobiony gwiazdą na głowie, trzymający w ręku gałązkę dębową. Sztuki wyzwolone reprezentowali przyjaciele Chigiego: markiz Patrizi, hr. Gado d'Elci, Paulo Francesco Falconieri i Filippo Acciaioli. Przed wozem kroczyła «Sława», otoczona maskami, bębniącemi i grającemi na trąbach i fletach, a cały pochód prowadził «Czas» w wspaniałych szatach. Po maskaradzie grano komedję i bawiono się wesoło, tylko jakaś kurtyzana wyniosła przykre wspomnienie z tego wieczoru, bo policja kazała ją obić rózgami za to, że na ulicy śmiała się pokazać w męskiem ubraniu.

Przedstawienia teatralne były namiętnością owych czasów, grano komedje w prywatnych pałacach i na publicznych scenach, pomimo, że treść ich niewiele była warta. Wszystkie większe rody miały własne sceny, na których przedstawiano nietylko komedje, ale i melodramaty, a nawet tragedje. Większość komedyj, zazwyczaj bardzo nieprzyzwoitej treści, pociągała płaskiemi dowcipami i żartami, zwróconemi do osobistości, znanych w całym Rzymie. Urban VIII sam bardzo lubił wesołe komedje; aktorami byli zazwyczaj amatorzy, którzy doprowadzali swą sztukę do wielkiej doskonałości, tak, że mnóstwo osób zjeżdżało się na karnawał do Rzymu, aby się przypatrzyć tym przedstawieniom. Nawet cudzoziemcy dali się porwać tą teatralną namiętnością; Francuzi w r. 1644 urządzili scenę na piazza Navona i grali jakąś farsę wobec publiczności. Komedje grywano i po klasztorach, a gdy jakiś zbyt surowy spowiednik zakazywał zakonnicom w klasztorze S. Silvestro na Campo Marzio urządzania przedstawień teatralnych, powstała pomiędzy mniszkami krwawa rewolucja. Zakonnice bowiem podzieliły się na dwa obozy: jedne wzywały do posłuszeństwa rozkazom spowiednika, inne namiętnie broniły zwyczajowego prawa urządzania przedstawień. Doszło do tego, opowiada Gigli w swem Diario, że mniszki porwały za noże, jedną siostrę zakłuły i wrzuciły do studni, inną tak poraniły, że biedaczka w kilka dni umarła. Wskutek tych i tym podobnych zajść Innocenty X zakazał w Rzymie przedstawień scenicznych, lubownicy teatru jednak zakaz obejść umieli i grali komedje we Frascati.

Bernini sam pisał komedje, ale przedewszystkiem malował dekoracje teatralne i wymyślał najrozmaitsze efekty sceniczne, z pomocą maszyn. Nazywano też jego komedje «komedjami z maszynami» i wyśmienicie się na nich bawiono. Treść przedstawień berninowskich nie była pospolita; bardzo często wprowadzał on na scenę osobistości, znane w mieście, albo dowcipami ośmieszał dworzan papieskich. W karnawale r. 1633 wystawił komedję swego utworu tak obelżywą dla kilku ludzi, przytomnych na widowni, że słuchacze osłupieli, nie mogąc pojąć tej śmiałości i byli przekonani, że autor napisał rzecz całą za wiedzą papieża Barberiniego.

W karnawale r. 1634 przedstawił Bernini burlę własnego

utworu, ośmieszającą kardynała Borgię, którego papież nienawidził i nazywał bykiem w zbroi «un bue nell'armi». Na scenie ukazał się też byk, herbowe zwierzę Borgiów, którego okładano kijami ku wielkiej uciesze publiczności, poczem rzymski facchino kijem uderzył jakiegoś Hiszpana. Borgia, dowiedziawszy się o komedji, wielce obrażony, odgrażał się, że nie daruje tej zniewagi, zwłaszcza, że farsą został obrażony król i naród hiszpański.

Najsławniejsza jednak komedja Berniniego ukazała się na scenie w karnawale r. 1637 i nosiła tytuł «Due teatri l'uno a specchio dell'altro», «Dwa teatry, jeden przyglądający się drugiemu w zwierciadle». Treść jej opisał Maksymiljan Montecucoli w liście do księcia Modeny. Gdy odsłonięto kurtynę, widać było na scenie zgromadzenie ludzi, częścią żywych, częścią malowanych, zupełnie podobnych do tych, którzy zapełniali salę. Pomiędzy nimi stało dwóch Coviellów, blagierów, którzy, trzymając kawałek papieru i kredkę, udawali, że rysują, jeden prawdziwą publiczność, a drugi ową malowaną. Po chwili pierwszy z nich przerwał milczenie, a po kilku wymienionych słowach, które zdradzały, że się dawno znają, zwrócił uwagę towarzysza, że stojąc tak, jak stoi, nie okazuje zbyt dobrego wychowania. «Dlaczego?» pytał drugi Coviello. «Albowiem plecami zwracasz się do publiczności» odpowiedział pierwszy. «Wszak i ty obrażasz słuchaczy» odciął się drugi, obracając swego towarzysza do malowanych słuchaczy. Nastąpiło między nimi wielkie zakłopotanie, nie wiedzieli, jak się ustawić, aby ani jednej, ani drugiej publiczności nie ubliżyć; wreszcie po dłuższej rozprawie zgodzili się na to, aby przeciągnąć płótno wzdłuż sceny i aby każdy grał przed swoimi widzami. Tak się też stało, każdy zosobna deklamował jakiś monolog, a po chwili znaleźli się obydwaj znowu przed sceną i opowiadali sobie wrażenia, jakie ich gra sprawiła na publiczności. «Więc pokaż mi, czem bawiłeś swych słuchaczy?» zapytał pierwszy Coviello. Na to drugi dał znak reżyserji i przed prawdziwą publicznością otworzył się przepyszny widok. Naprzód noc, księżyc na niebie, zasianem gwiazdami, przesuwające się obłoki, następnie poranek, prześliczna okolica, pełna wiosennej zieloności, ogrody, domy i pałace. Na scenę weszły wiejskie dziewczęta, wesoło tańcząc i śpiewając, następnie ukazywali się panowie na koniach, panie w karetach, zaprzężonych w parę i sześć koni, w lektykach, a publiczność mogła w przejeżdżających poznawać mnóstwo osób, ucharakteryzowanych na podobieństwo tych, które siedziały w krzesłach i lożach. Ponieważ jednak wówczas nic się nie mogło obejść bez dziwaczności, więc na koniec przedstawienia wszedł korowód paziów, ubranych w żałobę i niosących czarne, zapalone pochodnie. Za nimi wjechała śmierć na chudej szkapie, z kosą w prawej ręce i trzy razy okrążyła scenę. Przerażony tym widokiem jeden z blagierów zwraca się do publiczności z przemową tej treści, że śmierć przecina nić wszystkich komedyj i odbiera chęć do wszelkich światowych przyjemności. Na tej apostrofie skończyło się przedstawienie, któremu się przypatrywało czternastu kardynałów i nieskończona ilość prałatów i rzymskich znakomitości.

Prawdziwe barokol

Pomysł zresztą teatru w teatrze nie był nowy; coś podobnego istniało już w tak zwanych «sacre rappresentazioni», w teatrach angielskich, a po Shakespearze przejęło go wielu dramatycznych poetów.

W następnym karnawale roku 1638 przedstawił Bernini w pałacu Barberinich drugą słynną swoją komedję «Inondazione del Tevere», zastosowaną do okoliczności, gdyż rok przedtem wielki wylew Tybru nawiedził Rzym. Znów się zaczęła reprezentacja od wspaniałych dekoracyjnych efektów. Po odsłonięciu kurtyny widać było wdali kościół św. Piotra, zamek św. Anioła i inne gmachy za rzeką, a na pierwszym planie szumiał Tyber, którego fale coraz bardziej się piętrzyły. Dla powiększenia złudzenia Bernini tak rzekę urządził, że w części łożyska, najbardziej zbliżonej do publiczności, przepływała prawdziwa woda, a żywi ludzie krążyli w łodziach, z jednego brzegu na drugi, urzędnicy i słudzy miejscy pracowali nad utwierdzeniem wałów, obawiając się, że rzeka wystąpi z brzegów. Ale nieszczęścia odwrócić nie mogli, wał pękł i fala przez wyrwę płynęła ku widzom tak, że publiczność bliżej sceny siedząca zaczęła uciekać. Popłoch jednak szybko

przeminął, przekonano się bowiem, że Bernini wszystko dobrze przewidział i że woda tuż przed publicznością się zatrzymała.

Niedość było autorowi tych dekoracyjnych wspaniałości; w ciągu komedji przedstawiała scena ulicę pełną karet, koni, ludzi, którzy się zatrzymali, aby słuchać muzyki; wreszcie słońce zaszło i ciemna noc, rozjaśniona tylko światłem gwiazd i księżyca, zaległa cały teatr.

Komedja miała cel moralny, dość naciągnięty; Bernini chciał okazać, że udana dobroć, udane miłosierdzie, hipokryzja jest grzechem, który pociąga za sobą karę Bożą. Dwaj Covielli potrafili ludzi oszukać, ale Bóg widział ich złe postępki i strasznie ukarał tych fałszerzy sumienia ludzkiego. Nad ich głowami zawalił się dom i przysypał obu gruzami. «Było na co patrzeć, powiada Montecucoli: na scenę spadały wśród kurzu belki, kamienie, wapno, wynoszono trupy ludzi zabitych, sceny, godne podziwu całego świata». Każda niemal akcja odnosiła się wszakże do jakichś rzeczywistych zdarzeń, była gryzącą satyrą na żyjące osobistości, zawierała mnóstwo dowcipów, dwuznaczników i złośliwości, które, pomimo, że kryły się w ogólnikach, zadawały bolesne cięgi tym, do których się odnosiły. W jednej scenie była mowa o furtce, prowadzącej do pałacu św. Piotra, do Watykanu, o jakiejś furtce tajemniczej; gdyby ludzie wiedzieli, kto nią nocami wchodzi i kto z niej wychodzi, toby z podziwu oniemieli. Jak się zdaje, kardynał Antonio Barberini mógł był rozwiązać tę zagadkę, nie musiał być zatem bardzo zbudowany temi tajemnicami watykańskiej furtki, zwłaszcza, że sam był obecnym na przedstawieniu.

Na zakończenie wieczoru przebrał się sam Bernini za starą mieszczkę florentyńską, a chociaż dowodził, że Florencja jeszcze większa i świetniejsza niż Rzym, to przecież nie szczędził Florentyńczykom docinków.

Bernini założył własny teatrzyk na Corso i tam czasami grywał ze swymi towarzyszami. Hałasu narobiła jego komedja «a trucs», pod tytułem «La Fiera», którą tam przedstawił. Na scenę wjechał pyszny wóz karnawałowy, otoczony zamaskowanymi ludźmi, z gorejącemi pochodniami w ręku. Od jednej pochodni zajęły się kulisy; kobiety, prałaci zaczęli uciekać, ale na dany znak zagasły płomienie, scena zmieniła się w ogród, gdzie się pasł najspokojniej potulny osieł. Widocznie wówczas nie było ludzi nerwowych, skoro reżyser miał przekonanie, że tego rodzaju niespodziankami zdoła przyjemnie zabawić publiczność.

Niewidziane dotąd urządzenia sceniczne Berniniego tak zasłynęły w Europie, że Ludwik XIII za pośrednictwem kardynała Richelieu prosił artystę, aby mu przysłał przyrządy sceniczne do swej komedji «La marine», w której był przepyszny wschód słońca. Bernini posłał modele, ale wątpił, czy w Paryżu potrafią rzecz dobrze zrobić. Przedstawienie — mówił — udałoby się, gdyby mógł posłać królowi swoje ręce i swoją głowę.

Donna Olimpia, chcąc zrównać się z Colonnami i Barberinimi, urządzała w swym pałacu także przedstawienia teatralne. Kilka razy dawał tam Bernini jakąś komedję, przez siebie napisaną, treści wprawdzie moralnej, ale tak przepełnioną nieprzyzwoitemi dwuznacznikami i brzydkiemi ustępami, że niektórzy z gości mocno się gorszyli, a przedewszystkiem kardynał Caraffa nie mógł pojąć, jak można w domu krewnej papieża takie komedje przedstawiać. Rzecz zresztą miała na celu wyśmianie kilku osobistości; sam Bernini grał rolę doktora Graziana i w sposób żartobliwy naśladował w niej markiza Marję Frangipaniego, doradcę papieża Innocentego X, jego brat zaś Luigi, w roli Coviella, przebrał się za kardynała Franceska Barberiniego, udającego cnotę i pobożność, co rzucało cień na charakter artysty, że poniżał «pszczoły» wobec «gołębia». Na Berniniego działało widocznie dworactwo szkodliwie, szedł z wiatrem, jaki wiał od Watykanu, a ponieważ Pamfili był u steru, więc pozwalał sobie żartować z Barberinich. Powszechnie brano mu to za złe, zwłaszcza, że ród ten tyle mu dobrego wyświadczył. Bernini widocznie dla dowcipu, dla poklasku niejedno byłby poświęcił, gdyż przedstawiając po raz wtóry ową komedję, ugryzł także samą panią domu, donnę Olimpię, wyśmiewając jej chciwość. Francesco Mantovani, który donosił o tem przedstawieniu swemu księciu, wyraził swe zdziwienie, że za te złośliwości nie posłano jeszcze Berniniego na galery.

Innocenty XI, jako przeciwnik przedstawień scenicznych, pozwolił tylko na teatr marjonetek i jedynemu Berniniemu dawał niekiedy upoważnienie do odgrywania komedyj we własnym jego teatrze. Córki i synowie mistrza dorastali, prowadził on wtedy wielki dom, a przedstawienia teatralne na własnej scenie miały młodzieży ułatwiać zawieranie znajomości i torować drogę hymenowi. Bernini spoglądał już wysoko, dla syna Paola kupił majątek feudalny, aby się mógł ożenić z córką markiza del Monte, a córkę Marję Magdalenę wydał za markiza Locatellego z Bolonji. Drugi syn Berniniego, monsignor Pietro Filippo, dawał własnym kosztem w r. 1676 przedstawienie w ojcowskim teatrze, na które zaprosił cały wielki świat rzymski. Na komedję przybyła wtedy nawet królowa szwedzka w otoczeniu.

VII

Nowa epoka działalności Berniniego rozpoczęła się z wstąpieniem na tron papieski Aleksandra VII, Chigiego, który imię swe chciał otoczyć aureolą sztuki, a nepotów wynieść do wysokości rodów Barberinich i Pamfilich.

Jedną z największych uroczystości za rządów Aleksandra był wjazd królowej szwedzkiej Krystyny do Rzymu, o którym już była mowa.

Berniniemu polecił papież upiększyć bramę del Popolo, którą pierwotnie zbudował Michał Anioł, gdyż w czasach zewnętrznego splendoru harmonijne linje Odrodzenia zanadto skromnemi się zdawały. Bernini więc dodał owe herbowe góry i ową dużą gwiazdę nad bramą, które swą ciężką masą niewiele ozdobiły triumfalny łuk papieskiego Rzymu.

W przyległym do bramy kościele, w Santa Maria del Popolo, zdawała się Aleksandrowi VII także za skromna kaplica, którą przodek papieża, Agostino Chigi, kazał zbudować; Bernini więc wstawił tam dwie grupy marmurowe, przedstawiające Daniela w lwiej jamie i proroka Habakuka z aniołem, grupy aż nazbyt barokowe, przesadne, zapowiadające niemal upadek wielkiego artysty. Także dwie piramidy na

grobach Agostina i Zygmunta Chigich ozdobił Bernini i umieścił na nich medaljony z rzekomemi portretami zmarłych. Autentycznego portretu Zygmunta Chigiego nie znamy; ale Agostino na grobowcu zgoła niepodobny do tego, jakiego nam przekazał wybity na jego cześć medal. Wogóle niewiadomo, czy sam Bernini te medaljony wykonał, czy który z jego uczniów.

Aleksander VII, pochodzący z sieneńskiego rodu, chciał także pozostawić artystyczne pamiątki w kaplicy Chigich w sieneńskiej katedrze. Berniniemu więc polecił ozdobić kaplicę i wykonać cztery statuy świętych, z których tylko dwie, a mianowicie San Girolamo i Marja Magdalena są dłuta samego mistrza. Są to jedne z gorszych prac mistrza Berniniego, noszące te same cechy ckliwej sentymentalności, co Daniel w Santa Maria del Popolo. Gianlorenzo wykonał także kilka popiersi Aleksandra VII, papieża o wąsach i bródce wallensteinowskiej, ale i te popiersia noszą pewną cechę znudzenia i braku siły w wykonaniu. Sądząc zaś po innych portretach, Aleksander VII nie wyglądał bynajmniej tak bezbarwnie, niemal apatycznie, jak go Bernini przedstawił. Jeden tylko biust papieża z bronzu, także dłuta Gianlorenza, znajdujący się w bibljotece książąt Chigich, stanowi wyjątek od innych, gdyż tam papież odznacza się wyrazistością rysów i zdradza siłę woli.

W pałacu Chigich znajdują się jeszcze dwie prace Berniniego, powiedziałbym, dwa barokowe kaprysy, charakteryzujące usposobienie mistrza. Na jednej marmurowej, ale miękko zrobionej poduszce rozkłada się przepyszny dzieciak, dobrze wykarmiony, na drugiej przebrzydła trupia główka: życie i śmierć. Kościotrup i trupia główka stały się już zwykłemi tematami barokowej rzeźby.

Im bardziej Bernini posuwał się w lata, tem bardziej rozwijały się jego zdolności architektoniczne na niekorzyść talentu rzeźbiarskiego. Z małym wyjątkiem są późniejsze jego dzieła rzeźbiarskie ckliwe, zanadto przesadne w ruchach i sentymentalnych pozach, albo też pełne reminiscencyj dzieł dawniejszych, które artysta wykonał w młodych latach. Tymczasem najpotężniejsze jego dzieła architektoniczne pochodzą

właśnie z późniejszych czasów. Już dla Aleksandra VII zbudował pałac o linjach bardzo harmonijnych, na piazza SS. Apostoli pałac, należący dzisiaj do Odescalchich, w posiadłości zaś Chigich, w Ariccii, wystawił kościół o dużej kopule, rodzaj św. Piotra w minjaturze, który wszakże nie jest pozbawiony oryginalności. Także letni pałac papieski w Castel Gandolfo, zbudowany jeszcze za Urbana VIII, zdawał się Aleksandrowi VII za mało wspaniały i za mało obszerny, więc kazał go Berniniemu rozszerzyć i upiększyć. Artysta dodał tam dużą fasadę i galerję, tak później zeszpecone, że dzisiaj nie można w nich poznać pięknego rysunku Berniniego. Kaplica jednak w Castel Gandolfo zachowała zupełnie charakter ornamentacji mistrza. Podobnego losu, jak pałac w Castel Gandolfo, doznały prace mistrza około pałacu na Kwirynale; znikły one niemal zupełnie wskutek zmian wewnętrznych i dobudowań, wykonanych za Klemensa XII, Klemensa XIII i Piusa VII.

Około roku 1665 odkryto w ogródku kościoła dominikanów della Minerva mały egipski obelisk, który papież polecił Berniniemu ustawić na placu przed świątynią. W bibljotece Chigich znajduje się aż ośm szkiców, w których artysta swoją bujną wyobraźnią rzucał na papier rozmaite projekty, w jaki sposób ustawić obelisk. Jeden z tych szkiców, najbardziej może charakteryzujący talent Berniniego, przedstawia jakiegoś olbrzyma, stojącego na grupie skał, wystających z basenu, napełnionego wodą, i lekkim wysiłkiem swych ramion obejmującego obelisk, jakgdyby go chciał wrzucić gdzieś w głębiny morza. Był to bezsprzecznie pomysł najśmielszy i wielka szkoda, że nie został wykonany. Wykonaniu tego projektu nasuwały się zapewne wielkie techniczne przeszkody, więc Bernini go zarzucił i wziął, jak się zdaje, pomysł ze sławnej księgi dominikanina Franceska Colonny «Hypnerotomachia Poliphili», gdzie się znajduje rysunek słonia, podtrzymującego obelisk, aby w podobny sposób ustawić igłę na piazza Minerva. Rzecz podobała się papieżowi, artysta zrobił model z terrakoty, przechowany do dziś dnia w pałacu Barberinich i wykonanie budowy zostało postanowione. Bernini oddał pracę swemu uczniowi Herkulesowi Ferrata, który

jednak w słoniu, dźwigającym obelisk, nie potrafi oddać tej miękkości, jaka cechuje dłuto wielkiego mistrza.

Wiekopomnem, olbrzymiem dziełem Berniniego, rozpoczętem także za Aleksandra VII, była kolumnada na placu św. Piotra. Dwie tylko budowy powstały na ziemi włoskiej w nowszych czasach, które się mogą śmiało mierzyć z dziełami starożytnej architektury: Michała Anioła kopuła św. Piotra i kolumnada Berniniego.

Aleksander VII chciał wspaniałemi gmachami zapisać swoje imię w stolicy papiestwa. Za powodem też papieża przedłożono w początkach r. 1656 w kongregacji fabryki kościoła św. Piotra wniosek, aby plac przed świątynią, zacieśniony różnemi, po większej części prywatnemi domami, ozdobiony jedynie iglicą Sykstusa V, rozszerzyć i nadać mu monumentalny charakter, odpowiedni wspaniałości pierwszej świątyni chrześcijaństwa. Wniosek dość słabe narazie znalazł poparcie, a nawet kardynał Pallotta stanowczo mu się sprzeciwił, uważając, że w czasach powszechnej biedy, jaka wtedy w Rzymie panowała, nie byłoby rzeczą właściwą wznosić budowle, które mają za jedyny cel pompę i ozdobę, że takie przedsiębiorstwo najgorsze zrobiłoby wrażenie na cudzoziemcach. Nadto podnosił kardynał, że ilekroć w Rzymie stawiano większe gmachy i poruszano ziemię pod fundamenty, tyle razy powstawała zaraza i wielka śmiertelność, wreszcie, że trzeba będzie zrzucić kilka gmachów, należących do Kościoła, które najzupełniej odpowiadają swemu przeznaczeniu. Mimo to jednak kongregacja, pod wpływem papieża, uchwaliła w lipcu r. 1656 rozpocząć roboty celem rozszerzenia placu św. Piotra i polecić Berniniemu, aby wykonał odpowiedni projekt.

Artysta nadzwyczaj energicznie wziął się do dzieła tak, że 28 sierpnia tego samego roku 1656 papież mógł poświęcić kamień węgielny. Pozostałe szkice wykazują całą genezę wspaniałego placu. Ludzka postać stanowiła punkt wyjścia pomysłów mistrza, kościół św. Piotra miał być niejako głową, od której idą ramiona kolumnady, obejmujące całą chrześcijańską ludzkość. Patrząc się na te szkice, zdawałoby się, że rysował je umysł dociekający, badawczy Leonarda da Vinci.

Na pierwszym projekcie widzimy jednopiętrową kolumnadę, łączącą się prawie z kościołem św. Piotra, którego fasada zupełnie odpowiada całości. Ażeby zaś pałac papieski, sterczący po prawej stronie zanadto wysoko, nie raził swym brakiem harmonji z całym planem gmachów, chciał artysta postawić po drugiej stronie świątyni, poza kolumnadą, pałac równie wysoki i podobny do pierwszego, któryby dopełniał harmonijnej całości. Projekt dwupiętrowych podcieni, z natury rzeczy trochę osłabiający potęgę słupów, wkrótce został zarzucony, a natomiast wyrysował Bernini kolumnadę taką, jaką ją dzisiaj widzimy, o słupach doryckich, ozdobioną dziewięćdziesięcioma sześcioma posągami. Ów potężny krużganek, opierający się na 284 kolumnach i 88 wielkich pilastrach, nie został wszakże zupełnie wykończony, gdyż Bernini chciał go u dołu od wejścia na plac św. Piotra zamknąć jeszcze trzecią częścią kolumnady, stojącą naprzeciwko kościoła świętego Piotra tak, aby całość stanowiła olbrzymi krąg. Koło to miało być tylko w dwóch miejscach przerwane rodzajem bram, stanowiących wejście na olbrzymi plac. Artysta porzucił jednak myśl zbudowania trzeciego ogniwa w przepysznem kole, gdyż ten portyk byłby zacieśniał widok na ulicę Borga, natomiast żądał, aby na miejscu nędznych kamienic, stykających się niemal bezpośrednio z kolumnadą, wybudować gmachy, któreby swoją wielkością i architekturą odpowiadały wspaniałości placu. Te ideały artysty nie zostały wszakże spełnione z powodu olbrzymich kosztów, jakieby były za sobą pociągnęły, ale to, co pod ręką mistrza powstało, jest już dostateczne, aby jego imię po wiek wieków było wpisane w poczet największych architektów świata.

Równocześnie z budową kolumnad polecił Aleksander Berniniemu rozszerzyć i nacechować monumentalnością schody, zwane «Scala Regia», prowadzące do wnętrza gmachów watykańskich, przy których stoi dzisiaj gwardja szwajcarska. Dawniejsze schody były wąskie, nieozdobne, nie odpowiadające papieskiej rezydencji. Trudności budownicze były niesłychane, gdyż Sala Regia i Capella Paolina spoczywały w części na murach dawnych schodów, a stawiając nowe, trzeba było w czasie budowy cały ciężar tych dwóch budowli

opierać na chwilowych podporach. Bernini jednak wszystkie te techniczne przeszkody przezwyciężył i wybudował owo pyszne wejście do Watykanu, owe wspaniałe schody, których perspektywa prawie się gubi woddali, a sklepienie opiera się na całym rzędzie słupów.

Papież chciał także uświetnić w Watykanie pamięć Konstantyna Wielkiego, którego rzekome zapisy, podobnie, jak późniejsze zapisy hrabiny Matyldy, stały się podstawą świeckiej potęgi papieży. Bernini wyszukał olbrzymi blok marmuru i wyciosał z niego prawdziwie barokową postać cesarza na koniu, postać niespokojną, jakby rozwianą strasznym huraganem. Cesarz, z barbarzyńską koroną na głowie, o dzikiej twarzy, spogląda w niebo i siedzi jakby przerażony na wspinającym się jakimś apokaliptycznym rumaku, którego ogon i grzywa spadają w kędziorach, jakgdyby wzorowanych na ówczesnych perukach. Pomnik ten ustawiono w głębi Scala Regia w r. 1670, dopiero za panowania Klemensa X, a zaraz burza krytyki się nad nim zerwała. Mówiono, że cesarz z rogami swej korony podobny raczej do satyra, aniżeli do wielkiego monarchy, że nigdy włosów nie czesał, że nogi jeźdźca za krótkie, a tułów konia za długi. Wreszcie dowcipkowano, że ten rumak, nie mając nic prawdziwego, nadaje się na Pegaza dla niektórych duchownych i wogóle cieszono się, że raz przecież można się Berniniemu wywdzięczyć za wszystkie te złośliwości, których innym artystom nie szczędził.

Aleksandrowi VII niedość było kolumnad, królewskich schodów i posągu Konstantyna Wielkiego, chciał mieć jeszcze pysznie przyozdobioną salę królewską, salę regia. Rzecz jednak niebardzo się udała; gipsowe kotary takie ciężkie, że podtrzymujące je małe aniołki rady sobie z niemi dać nie mogą. Zdawało się, że genjusz Berniniego wyczerpał się na wielkie dzieła i że mu już nie pozostawało siły na wykonanie prac dekoracyjnych. Wkrótce okazał, że miał jeszcze dość wyobraźni, ale wyobraźni człowieka prawie szalonego.

Jako jedna z najcenniejszych pamiątek z początków chrześcijaństwa istnieje w kościele św. Piotra tron wielkiego Apostoła, który nazywają «Cattedra sacra di san Pietro». Według podania jest to krzesło kurulskie, które senator Puden-

tius podarował św. Piotrowi wówczas, kiedy apostoł był gościem w jego domu. Słynny archeolog Rossi, który badał dokładnie ten dawny zabytek, przypuszcza, że krzesło pochodzi z późniejszych czasów, a mianowicie z epoki Karola Wielkiego, i że w żaden sposób nie może być starożytnym sprzętem.

Z początkiem XVII wieku przechowywano ową relikwję w jednej z kaplic bazyliki, później zrobiono na nią rodzaj futerału z aksamitu i zamknięto w wielkiej skrzyni bronzowej. W r. 1656 postanowił jednak papież Aleksander VII ustawić tak cenną pamiątkę w głębi głównej nawy bazyliki i dać jej jak najwspanialszą oprawę. W tej sprawie znów się zwrócono do Berniniego, który się zdobył na dzieło, będące ideałem rozhukanego baroku, najwyższym wykwitem stylu, który nazwano stylem jezuickim. Maszyna to olbrzymia, na którą wyszło 191.383 funtów bronzu i dużo złota, gdyż lśni się zdaleka blaskiem szlachetnego metalu. Silne bawoły przywiozły ten monument z pracowni artysty przed św. Piotra, a do ustawienia go wymyślił Luigi Bernini osobne żelazne przyrządy.

Na podstawie, wykutej z sycylijskiego drogiego kamienia, stoi czterech świętych z bronzu, wysokich po pięć metrów, są to: św. Ambroży, Atanazy, Augustyn i Jan Chryzostom, straszne, niespokojne postacie o długich brodach, których płaszcze zdają się być rozdęte wichrem morskim, istne widziadła chorobliwej wyobraźni, synowie jakiegoś olbrzyma, który ich spłodził w gorączce. Postacie te podtrzymują futerał w kształcie dużego fotelu, pełen złota, brzydkich płaskorzeźb, w którym zamkniętą jest owa sacra cattedra. Ale rzecz szczególna, że o to niesmaczne pudło opierają się dwa prześliczne aniołki i stoją niejako na straży relikwji; dzieciaki tak piękne, jakby wyszły z pod dłuta jakiego renesansowego mistrza. Bernini, modelując je, zapomniał na chwilę, że jest nadwornym rzeźbiarzem Watykanu. Powyżej tronu widzimy przed sobą tylko jakiś chaos ułożony w piramidy, składający się z obłoków, z niezliczonej liczby aniołów, z aureol, z promieni, tryskających do góry, z czegoś, czego oko ludzkie naprędce rozpoznać nie może i gotowe sądzić, że to, jak w baśni, przepala się złoto. Wśród chaosu błyszczy mistyczny

gołąb, około którego odbywa się szalony taniec aniołów i w bronz zamienionych żywiołów. Szczęście, że odwróciwszy się od tego barokowego szaleństwa, można wypocząć na renesansowym pomniku Pawła III i na tej przecudnej postaci, która się w zadumie ułożyła pod postacią starca.

Ludwik XIV, jeszcze młody, zapragnął wspaniałej rezydencji w Paryżu, któraby uświetniła jego panowanie. Budowniczy dworski, Claude Perrault, przedłożył królowi swój plan przebudowania skromnego wówczas Luwru; starali się i inni francuscy architekci uczynić zadość wybujałym zamysłom monarchy; ale te wszystkie projekty nie zaspakajały pragnień człowieka, który śnił o czemś nadzwyczajnem, jeszcze niebywałem. Wtedy Colbert, widząc, że Francja nie zdobędzie się na plan takiego gmachu, zwrócił się do włoskich architektów i kazał przesłać francuskie projekty Borrominiemu, Landianiemu, Piotrowi z Kortony i Rainaldemu, aby na podstawie tych prac wymyślili jeszcze coś wspanialszego. Ale i włoskie plany nie podobały się w Paryżu; mówiono tam, że wszystkie były «fort bizares et n'avoient aucun gout de la belle et sage architecture».

Colbert widocznie niewiele wiedział o istnieniu i sławie Berniniego i dopiero opat Elpidio Benedetti, dawny marszałek dworu kardynała Mazarina, poradził mu, aby się udał do artysty papieskiego dworu. Zkolei więc Gianlorenzo posłał swój projekt przebudowania Luwru do Paryża, ale i te plany się nie podobały. Dano więc Berniniemu nowe wskazówki, zwrócono jego uwagę na pewne życzenia króla co do zamierzonej budowy i proszono, aby stosownie do tego zrobił nowe rysunki. Bernini się zastosował do paryskich życzeń i wysłał projekt drugi, który wprawdzie wywołał u francuskich artystów żywą opozycję, ale Ludwika XIV dość zadowolnił. Monarcha, widząc zapewne, że w tych krytykach niemałą rolę gra zazdrość, kazał napisać list do Berniniego, aby przyjechał do Paryża, i sam prosił papieża o uwolnienie mistrza na jakiś czas.

Gdy list królewski przywieziono do Rzymu, ambasador francuski urządził wspaniałą kawalkatę, która to pismo artyście doręczyła. Le roi soleil wyrażał w niem życzenie «de

connoitre une personne aussi illustre», jak papieski architekt. Wiadomość o możliwym wyjeździe mistrza wielkie w mieście wywołała niezadowolenie. Rzym był zazdrosny o swego Berniniego. Papież jednak zgodził się na jego wyjazd, na trzy miesiące do Paryża, a Gianlorenzo także przyjął tak zaszczytną propozycję, zwłaszcza że mu ambasador francuski doręczył imieniem króla dziesięć tysięcy skudów na drogę.

Bernini wyjechał więc 29 kwietnia 1655 r. z ośmnastoletnim synem Paolem, z uczniami Mateuszem De' Rossi i Juljuszem Cartari, a zabrał także ze sobą marszałka domu, Cosima Scarlatti i trzech służących. Podróż była dla Gianlorenza prawdziwym triumfem; wielki książę toskański Ferdynand wysłał naprzeciw niemu do Sjeny dworskie karety z marszałkiem dworu, markizem di Rivalta, który artystę umieścił we Florencji w swym własnym pałacu przy via Valfonda. Gdy Bernini ruszał w dalszą drogę, dał mu wielki książę lektykę, aby wygodniej mógł podróż odbywać tak, że zadowolony mistrz mówił do swoich towarzyszy: «che viaggiava l'elefante», przez co rozumiał, że tak wspaniale jedzie, jakby na słoniu. Piemoncki Carlo Emanuelo także bardzo honorował artystę, zatrzymał go u siebie dwa dni, a od granicy francuskiej jechał Bernini już nie jak indyjski nabab, ale jak europejski panujący. W pierwszem zaraz miasteczku na ziemi francuskiej, w Pont-de-Beauvoisin, wyszła naprzeciw niemu starszyzna gminy, ofiarując mu podarunki, które Bernini, niby monarcha, kazał rozdać miejscowym ubogim. Ale świetniejsze jeszcze powitanie czekało go w Ljonie; tam przyjmowały go całe procesie cechów miejskich, a starszyzna wystąpiła z kwiecistemi przemowami. Na czterdzieści zaś mil przed Paryżem czekał na niego królewski ochmistrz, któremu Ludwik XIV polecił, aby mistrzowi towarzyszył aż do stolicy. Ów ochmistrz znał Berniniego z Rzymu i umiał dobrze po włosku, więc wstęp w mury Paryża był dlań wcale przyjemnym. Dano mu mieszkanie wpobliżu Luwru, urządzone meblami z królewskiego pałacu. Następnego dnia, 4 czerwca 1665, przedstawił się Bernini królowi, zrobił wrażenie «d'une honnete hardiesse» i bardzo się podobał monarsze.

Nie mając czasu do stracenia, rozpatrzył się zaraz w położeniu Luwru i przedłożył królowi memorjał, w którym wyraził pochlebne dla monarchy zapatrywanie, że Ludwikowi XIV, najpotężniejszemu władcy, górującemu swym rozumem i siłą, należy się wybudować gmach jak największy i najwspanialszy, choćby w tym celu miało się zrównać z ziemią znaczną część Paryża. Wyniosłemu Ludwikowi trafiły te wyrazy do przekonania, dał architekcie wolność burzenia starego pałacu i okolicznych domów, o ile to będzie potrzebnem do wzniesienia nowego gmachu.

Bernini zabrał się natychmiast energicznie do pracy, robił swe plany w największej tajemnicy i nie przyjmował u siebie nikogo z obcych, prócz Colberta i kilku jeszcze francuskich znakomitości. Tajemnica jednak jego rysunków zdradzoną została. Brat królewskiego architekty, którego plany monarcha odrzucił, Charles Perrault, przekupił francuskiego służącego, zajętego u mistrza, i z jego pomocą wszedł do pracowni Berniniego w chwili, kiedy nikogo z Włochów tam nie było; oglądnąwszy rozpoczęte prace, zdał o nich sprawę Colbertowi. Perrault krytykował plany Berniniego, mówiąc, że Włoch wpadł w te same błędy, które wyrzucano francuskim architektom. Zazdrośni Francuzi zaczęli na tej podstawie usposabiać opinję dworu i króla przeciw Berniniemu, osobliwie trzej paryscy artyści: Lebrun, Le Vau i Monsart podali sobie ręce, aby zwalczać intruza wspólnemi siłami, a zarazem wypracowali plan nowego Luwru i przedłożyli go Colbertowi. Co więcej, przedstawiali Berniniego, z pomocą wpływowych osobistości, a przedewszystkiem marszałka Grammont, w jak najgorszem świetle przed Ludwikiem XIV, mówili, że niedość okazuje uszanowania dla monarchy, że jest nad miarę pysznym, zarozumiałym i na Francuzów spogląda z pogardą.

Mimo wszelkich intryg i stawianych trudności wykończył mistrz w czerwcu r. 1665 plan Luwru i przedłożył go zaraz królowi. Plan ten, znany z dużego medalu Jana Varin, przedstawia dość ciężką budowę, w fasadzie trochę podobną do pałacu Odescalchich, na placu de' Santi Apostoli, ozdobioną na wierzchu statuami, wogóle nie wprowadzającą żadnych nowych motywów ponad te, których mistrz już w Rzymie używał. Mimo to, że projekt Berniniego nikogo nie za-

chwycał, król kazał kopać fundamenta pod pałac włoskiego architekty i sam był przytomnym, jak kładziono kamień węgielny. Robotnikom, zajętym kopaniem fundamentów, rzucił Ludwik XIV garść monet, wskutek czego taka bójka powstała pomiędzy nimi, że musiano zawezwać żołnierzy, aby zaprowadzili porządek.

Równocześnie z pracami około planów Luwru rzeźbił Bernini popiersie króla. Nie miał wszakże dobrych bloków marmuru, każdy miał jakąś skazę tak, że dopiero trzecie popiersie mógł zupełnie wykończyć. Jest to, co do charakteru całego dzieła i układu prawie powtórzenie popiersia Francesca I d'Este, oczywiście ze zmienioną twarzą i dodaniem pod szyją koronek, których u Roi soleil brakować nie mogło. Ludwik XIV pozował mu do popiersia, a w czasie tych posiedzeń król i artysta starali się przewyższać w pięknych i dowcipnych wyrażeniach. Gdy loki peruki zanadto królowi spadały na oczy, Bernini prosił o pozwolenie zrobienia przedziału we włosach, mówiąc, że Jego Królewska Mość jest takim królem, który może całemu światu pokazać swe czoło. Czesanie z takim przedziałem stało się modą i nazywało się fryzurą «alla Bernina». Według pierwotnego pomysłu artysty miało popiersie stać na piedestale, wyobrażającym kulę ziemską, zrobioną ze złoconej miedzi, ozdobionej niebieską emalją, «un globe de cuivre émaillé de bleu». Było to najwyższe pochlebstwo, na jakie się mógł zdobyć wobec króla, ale nie wiadomo z jakich powodów do wykonania tego projektu nie przyszło. Mimo to pomysł Berniniego poruszył umysły dworaków, a dwóch monsignorów starało się zwrócić na siebie uwagę króla zastosowanymi do okoliczności madrygałami. Opat Butti napisał następujący czterowiersz:

Entro el Bernin' in un pensier profondo
Per far'al Regio Busto un bel sostegno,
E disse, non trovandone alcun degno,
Piccola base a un tal Monarca è il Mondo.

Na co mu opat Bourzé odpowiedział:

Mai mi sovvenne quel pensier profondo
Per far di Ré si grande appaggio degno:

Van sarebbe il pensier, che di sostegno
Non hà bisogno, gli sostiene il Mondo.

Prawdziwie barokowe grzeczności!

Popiersie nadzwyczaj się podobało, podziwiano podobieństwo, lekkość rozrzuconych włosów peruki, kołnierz «en point de Venise», który zdawał się wyjść wczoraj z pod ręki zręcznej koronczarki, a przedewszystkiem ową pychę Ludwika XIV, która wywoływała pokorę i uwielbienie u ówczesnych ludzi. Mimo to popiersie Francesca d'Este stoi jako dzieło artystyczne wyżej, gdyż było pierwszym pomysłem Berniniego odtworzenia tego rodzaju postaci. Biust Ludwika XIV będzie zawsze tylko powtórzeniem, naśladownictwem modeńskiego marmuru. Znajduje się dzisiaj w sali Djany w Wersalu, na podstawie, ozdobionej bronzowemi trofeami; dwa skrzydlate putti unoszą się nad popiersiem i składają na głowę królewską złotą koronę.

Jedyne to dzieło, które pozostało z pobytu mistrza w Paryżu. Perrault i inni architekci francuscy tak mu dokuczali, tyle mu robili przykrości i tyle coraz nowych błędów starali się odkrywać w jego projekcie Luwru, że Bernini, gwałtowny z usposobienia i nie przyzwyczajony do podobnego obchodzenia się z nim, poszedł do Colberta i oświadczył, że zrobił w Paryżu, co mógł, a teraz chce powrócić do Rzymu. Minister, poza którym w sprawie budowy Luwru stał Perrault, bynajmniej nie sprzeciwiał się temu wyjazdowi, król także się nań zgodził i ze zwykłą sobie hojnością wynagrodził Berniniego i jego towarzyszy. Przed wyjazdem przyobiecał mistrz zrobić w Rzymie wielką statuę króla na koniu, czego sobie Ludwik XIV bardzo życzył.

Po wyjeździe mistrza francuscy architekci dołożyli wszelkich starań, aby zatrzeć ślady po znienawidzonym Włochu i rzeczywiście doprowadzili do tego, że król pozwolił we dwa lata później zburzyć fundamenta, które Bernini pod nowy pałac budować rozpoczął. Plany włoskiego mistrza poszły w zapomnienie.

Powracającego Berniniego przyjęto w ojczyźnie jakby jakiego triumfatora, obawiano się bowiem, aby w Paryżu na

zawsze nie pozostał. Artysta zaś, chcąc się wywiązać z przyrzeczenia, danego Ludwikowi XIV, rozpoczął zaraz pracę około wspaniałej statuy konnej arcychrześcijańskiego króla. Artysta miał wprawdzie już lat siedemdziesiąt, ale taki jeszcze czuł w sobie zasób energji, że się bynajmniej nie uląkł dzieła, które miało kosztować ośm lat pracy. Przedstawił króla na nieokiełznanym koniu, wspinającym się na pagórek sławy. Odwiedzającemu go raz Francuzowi tłumaczył, że nie chciał oddać Ludwika XIV w chwili, jak wojskami dowodzi, gdyż tak można przedstawić mniej więcej każdego monarchę, wyobraził sobie więc wielkiego króla, który tyle zwycięstw odniósł nad nieprzyjaciółmi, jak wjeżdża na szczyt idealnej góry, na którą on tylko mógł się dostać. Utwór ten przypomina na pierwszy rzut oka posąg Konstantyna Wielkiego. Jest to dzieło w najwyższym stopniu dziwaczne, ale nacechowane jeszcze ostatnią zaletą, jaka mistrzowi została, nadzwyczajną miękkością marmuru. Gdy Berniniemu w tej mierze robiono pochlebną uwagę, podnosząc cienkość grzywy rumaka, Gianlorenzo odpowiedział, że mu się w życiu udało przezwyciężyć twardość marmuru i że poczytuje sobie za zasługę, że w pewnej mierze połączył rzeźbiarstwo z malarstwem. Publiczność była już wtedy tak dalece przejęta barokizmem, że się unoszono nad posągiem Ludwika XIV, mającym niby przewyższać podobne dzieła starożytności.

Artyści francuscy bali się widocznie korzystnego wrażenia, jakieby posąg Berniniego mógł sprawić w Paryżu, więc pod rozmaitemi pozorami ściągali odebranie olbrzymiego marmuru i dopiero po śmierci Berniniego postanowiono na królewskim dworze sprowadzić to dzieło do Francji. Trudności przewozu były wielkie, tak, że posąg naładowany na Tybrze na statek holenderski, płynął na Gibraltar aż do Hawru, aby stamtąd Sekwaną dostać się do Paryża. Ludwik XIV, zobaczywszy rzeźbę, kazał odpiłować jej głowę, która mu się nie podobała, i polecił francuskiemu rzeźbiarzowi Franciszkowi Girardon zrobić nową. Francuz tylko w części wykonał rozkaz królewski, poprzestając jedynie na dodaniu hełmu, a natomiast na owym pagórku, na który się koń wspinał, wyrzeźbił marmurowe płomienie, mające oznaczać, że Ludwik

XIV, niby nowy Kurcjusz, poświęcił się dla swej ojczyzny. W ten sposób zeszpecony posąg znajduje się dzisiaj w Wersalu, a deszcze i zimna, na które jest wystawiony, jeszcze dziwaczniejszy nadały mu wygląd.

VIII

Bernini miał szczęście do papieży; z wyjątkiem jednego, który krótko panował, każdy z nich starał się o przyozdobienie Rzymu, o zapisanie swego imienia w dziejach miasta, a do tych prac, które miały przetrwać wieki, używał naszego mistrza.

Po Aleksandrze VII, który umarł w maju r. 1667, nastąpił Giulio Rospigliosi i przybrał, jak wiemy, imię Klemensa IX. Nowy papież, chociaż już sześćdziesięciosiedmioletni starzec, miał jeszcze dość energji, aby z pomocą Berniniego, którego znał i cenił, snuć nowe plany upiększenia stolicy chrześcijaństwa. Chodziło mu przedewszystkiem o most św. Anioła, który już dwóch papieży starało się przyozdobić, ale zamiary ich spełzły na niczem. Jeszcze za Klemensa VII postawiono na tym monumentalnym moście dwa posągi marmurowe, św. Piotra i Pawła, a Paweł III, przyjmując Karola V, kazał naprędce ozdobić go czternastoma figurami z gipsu, które ku powszechnemu zadowoleniu wykonał Raffaelo da Montelupo. Figury te zapewne zniszczały, gdyż później o nich głucho, i pozostały tylko dwa marmurowe posągi, także bardzo uszkodzone, gdyż przylepiano na nich epigramy, podobnie jak na posągu Pasquina.

Bernini przedłożył papieżowi projekt ozdobienia mostu balustradą, na której miał stać cały szereg aniołów, trzymających narzędzia męki Pańskiej; dwa renesansowe posągi Apostołów pozostawały na dawnem miejscu. Papież na projekt się zgodził, mistrz wykonał modele olbrzymich postaci, a nawet dwie z nich własną ręką wyrzeźbił, a mianowicie jednego z aniołów, który trzyma krzyż w ręku, i drugiego, z cierniową koroną. Gdy papież zobaczył te dwie rzeźby, tak mu się podobały, że zdaniem jego szkodaby było stawiać je na mo-

ście, gdzie będą narażone na zmiany atmosferyczne, i lepiej umieścić je w jakim kościele. Przez dłuższy czas pozostały one w pracowni mistrza i dopiero Prospero Bernini, synowiec mistrza, darował je kościołowi di Sant'Andrea delle Frate, gdzie się dotąd znajdują. Kopje zaś tych dwóch posągów ustawiono na moście.

Przez te olbrzymie marmurowe postacie cały most Adrjana nabrał innego charakteru; od aniołów w fałdzistych szatach z sentymentalnym wyrazem twarzy wieje z daleka duch baroku i odbija jaskrawie od dwóch poważnych renesansowych Apostołów.

Mistrz wykonał jeszcze dla papieża plany willi di Spicchio w Lamporecchio koło Pistoi i kaplicy Rospigliosich w kościele Gesù w Pistoi; ale największem jego dziełem z owych czasów, przynoszącem mu zaszczyt, jest trybuna w Santa Maria Maggiore, która tylko w części została tak wykonaną, jak ją sobie Bernini wyobrażał. Jego zamiarem bowiem było powiększyć bazylikę w ten sposób, aby sięgała prawie po obelisk, stojący na placu przed świątynią. Nową, dobudowaną część miały pokrywać trzy wspaniałe kopuły. W r. 1669 rozpoczęto robotę około trybuny, pomimo że krewni papieża wszelkich dokładali starań, aby rzecz poszła w odwłokę, obawiali się bowiem, że po śmierci papieża spadnie na nich ciężar dokończenia kosztownej budowy, która zapewne za życia Klemensa nie doczekałaby ukończenia.

Według projektu Berniniego, znajdującego się w archiwum kapituły di Santa Maria Maggiore, trybuna mogła wyglądać wspaniale; artysta chciał ją oprzeć na półkolu słupów stojących na podwyższeniu, na które prowadziły monumentalne schody. Przy kopaniu fundamentów pod ową budowę znaleziono głowę mężczyzny, która, pomimo że ze sto lat tam leżała, zachowała jeszcze włosy. Stąd dobrze sobie wróżono, gdyż przecież przy zakładaniu fundamentów pod Kapitol w starożytności znaleziono także głowę i dlatego od «caput» nazwano gmach capitolium. Dobre wróżby okazały się jednak nie prawdziwe, gdyż budowa Berniniego wywoływała wielką opozycję. Lud sarkał, że mistrz, przebudowując także i absydę bazyliki, chce przenosić cenne mozaiki Sykstusa III na inne miejsce, a i papież zaczął się wahać w swoich zamiarach, koszta bowiem robót Berniniego coraz się bardziej zwiększały. W czasie, kiedy osobna komisja pod przewodnictwem kardynała Azzolina obradowała nad pokryciem wydatków tej budowy, umarł Klemens IX z końcem r. 1669, następca zaś jego, Klemens X Altieri, był nieprzyjacielem niepotrzebnych wydatków na dzieła architektoniczne, a co więcej, nie lubiąc Berniniego, spensjonował go jako budowniczego kamery apostolskiej, a na jego miejsce zamianował Karola Fontanę, największego nieprzyjaciela naszego mistrza.

Przez jakiś czas zupełnie zaprzestano robót, które Bernini rozpoczął i dopiero później sam Klemens X polecił architekcie Rainaldemu, aby mu przedłożył plany przebudowań bazyliki, któreby mniej kosztowały, aniżeli projekt Berniniego. Według rysunków też Rainaldego rzecz doprowadzoną została do takiego stanu, w jakim się dzisiaj znajduje.

Bernini w odstawce znalazł jeszcze protektorów, którzy się chętnie z zamówieniami do niego zwracali. Poprzedni papież Klemens IX zamierzał umieścić w trybunie, którą miał mistrz wystawić, dwa wspaniałe grobowce, jeden dla siebie, drugi dla Aleksandra VII. Po śmierci Klemensa postanowił kardynał Chigi podjąć myśl zmarłego papieża, przynajmniej co do grobowca dla swego antenata i polecił Berniniemu sporządzić model grobowca Aleksandra VII. Ponieważ jednak rozszerzenie bazyliki Santa Maria Maggiore nie przyszło do skutku, przeto kardynał ustawił ów grobowiec w kościele św. Piotra.

Nasz mistrz wydobył z zasobu swych rzeźbiarskich materjałów wszystko, co tylko mauzoleum Aleksandra VII uświetnić mogło: złoto, bronz, kolorowe marmury, a nawet gipsowe ozdoby i puścił wodze wyobraźni, gromadząc w tem dziele najskrajniejsze pomysły, jakie kiedykolwiek wykonał. A więc są tam i kobiety o bardzo cielesnych wdziękach, jest obrzydliwy kościotrup, są naśladowane kotary z ciężkiego marmuru, są gwiazdy Chigich wpośród liści wawrzynu, jest, słowem, wszystko, czem barokko bogate. Jedynie postać papieża,

klęczącego nad tym barokowym rajem, odznacza się godnym spokojem i przypomina dobre czasy Berniniego.

Zresztą tylko model grobowca i głowę papieża wykonał sam mistrz, postacie kobiet alegorycznych i ornamentów rzeźbili jego pomocnicy i uczniowie. Najbardziej zwraca tam uwagę kobieta, przedstawiająca prawdę, la Verità, początkowo zupełnie obnażona, którą dopiero surowy papież Innocenty XI kazał Berniniemu ubrać w koszulę z bronzu, na biało pomalowaną, podobnie jak mniemaną Giulię Farnese na pomniku Pawła III. Model do tej «prawdy» o tak bujnem łonie, że go nawet bronzowa koszula zakryć nie potrafiła, zrobił Giuseppe Mazzoli, a wyrzeźbił Giulio Cartari. Mazzolego dziełem jest również bogata w cielesne wdzięki «dobroczynność» la carità, piastująca dzieciaka o rubensowskich kształtach. Jest to pomnik, który pomimo wielu błędów, rażących dzisiejsze wyobrażenia o piękności, przecież wre ruchem i życiem, jakie w nie wlał Bernini.

Jeszcze jednem dziełem ozdobił stary już mistrz kościół św. Piotra, wspaniałem cyborjum. Jeszcze Urban VIII polecił mu zabrać się do tej pracy; po śmierci jednak owego papieża mecenasa rzecz poszła prawie w zapomnienie i dopiero Klemens X na nowo ją poruszył i tym razem cyborjum w całej swej poważnej wspaniałości stanęło po dwóch latach pracy. Właściwy pomysł do «tabernacolo» wziął Bernini z «tempietta» Bramantego w klasztorze di San Pietro in Montorio i to go uratowało od przesady, pomimo że bogactwem materjału oddał hołd duchowi czasu. Złoto, lapislazzuli, bronz, kolorowe marmury składają się na to, aby z cyborjum zrobić rzecz barwną, lśniącą, rodzaj klejnotu o olbrzymich rozmiarach. Dwa duże, pełne ruchu anioły klęczą po obydwu stronach tempietta, z których tylko jeden, znajdujący się na lewo, jest pracą samego mistrza, podczas gdy drugi, kanciasty, niespokojny, zapewne później został dorobiony.

Jakby na pożegnanie się ze swym artystycznym zawodem stworzył Bernini w ostatnich latach życia dzieło architektoniczne bardzo oryginalne, pełne fantazji, nie zdradzające bynajmniej artysty, stojącego nad grobem. Jest to mały kościół Sant' Andrea sul Quirinale, znajdujący się w pobliżu

nowego skweru, wybudowany kosztem kardynała Kamilla Pamfilego, synowca Innocentego X. Do kościoła, uderzającego harmonijną fasadą, wchodzi się frontonem, nad którym z niesłychaną śmiałością zawieszony duży herb Pamfilich, ozdobiony pysznemi festonami. Najwyższy barok, a przecież rzecz śliczna, pozostająca na zawsze w pamięci. Również wnętrze kościoła bardzo oryginalne. W owalnej budowie, ozdobionej koryncklemi słupami, wznosi się nad wielkim ołtarzem olbrzymia postać św. Andrzeja z marmuru, panująca prawie nad całym kościołem. Święty stoi na obłoku i rękoma, zwróconemi do góry chce niejako objąć niebiosy. Dwie postacie, personifikujące sławę, dmą w trąby, zwracając uwagę na wielki kartusz koło okien, opowiadający o szczodrości kardynała fundatora; nad wielkim ołtarzem tłumy aniołków, wszędzie życie i wesoła gra wyobraźni.

Bernini uważał ten kościół za jeden z najlepszych swych dzieł architektonicznych. Raz spotkał go tam syn Domenico zamyślonego, siedzącego na uboczu, i zapytał, nad czem ojciec tak duma? Na co Bernini odpowiedział, że przyszedł tutaj odpocząć i pocieszyć się po pracy, gdyż ze wszystkich jego architektonicznych budowli ta jedna sprawia mu prawdziwą przyjemność.

IX

Nasz mistrz chciał być także malarzem i był nim rzeczywiście, ale to najsłabsza strona jego talentu. Mówią, że wymalował dwieście obrazów, a prócz tego rzucił na papier niezliczoną ilość rysunków, które lubownicy sztuki bardzo poszukiwali. Miał raz służącego, znającego się na wartości tych szkiców, który tyle ich wyniósł z pracowni, że opuściwszy dom Berniniego, przez lat dwadzieścia jeszcze siebie i całą rodzinę utrzymywał ze sprzedaży berninowskich rysunków. Dzisiaj zaledwie kilka posiadamy obrazów, które z zupełną pewnością Berniniemu przypisać możemy, szkiców natomiast, kredką robionych, jest dość dużo. Może je zawdzięczamy owemu służącemu.

W watykańskiej galerji mozaik znajduje się wielki obraz mistrza, przedstawiający jakiś epizod z życia św. Maurycego, który pierwotnie był przeznaczony do ołtarza w kaplicy del Sacramento, w kościele św. Piotra. Kompozycja dość zawikłana, a koloryt taki jaskrawy, żółtawo-czerwony, jakgdyby bengalskie ognie go oświecały. Dziwna rzecz, że ten mistrz, który osobliwie w swych architektonicznych dziełach nadzwyczaj zręcznie umiał korzystać ze światła i cieni, aby podnieść wrażenie budowy, na palecie dobierał takich przesadnych, takich jaskrawych kolorów, jakgdyby wypowiedział wojnę wszelakim zasadom harmonji barw. Może najpiękniejszy jego obraz znajduje się w galerji Doria, przedstawiający św. Brunona, spoczywającego pod wielkiem drzewem, w chwili, kiedy mu się dwie główki aniołków ukazują w obłoku. Dotąd przypisywano ten obraz Francescowi Mola, ale zdaniem Fraschettego niema wątpliwości, że to obraz Berniniego.

Już w późniejszych swych latach ilustrował mistrz księgę z kazaniami ojca Oliwy, jezuity, które tak nowoczesny mają charakter, że patrząc się na niektóre z tych obrazków, przychodzą na myśl ilustracje Dorégo do biblji.

Wybornie też rysował Bernini karykatury; kilkunastoma pociągnięciami kredki umiał oddawać tak charakterystycznie typy rzymskie, że dzisiaj stanowią one jeszcze cenne ilustracje do poznania pewnych osobistości. W galerji narodowej w Rzymie znajduje się kilkanaście tych karykatur, między innemi wyborny portret dumnego kardynała Antonia Barberiniego, prałata o olbrzymim nosie, a małem czole. Do wielce charakterystycznych należy także kilkudziesięciu linjami nakreślona postać francuskiego szlachcica, u którego przyjemny uśmiech na twarzy i piękny kołnierz koronkowy zdają się zastępować wszystkie inne zalety.

«Cavalier Bernini», jak artystę powszechnie nazywano, dochodząc lat ośmdziesięciu, utonął zupełnie w mistycyzmie i odtąd chciał cały swój talent artystyczny poświęcić jedynie religijnemu uszczęśliwieniu ludzkości. Wtedy to wyrysował dziwny obraz, wynik rozgorączkowanej wyobraźni. W krwawych falach morskich stoi wielki krzyż z Chrystusem umierającym, z którego ran spływają całe strumienie krwi. Na obłoku pod krzyżem unosi się Matka Boska z podniesionemi rękoma i w górę zwróconem obliczem, jakby ofiarowała Syna Bogu Ojcu, który się nad krzyżem ukazał. Bóg Ojciec, postać, jakgdyby huraganem gnana, z rozwianą brodą i włosami, z rozpiętemi rękami, w płaszczu, wydętym w olbrzymie fałdy, chce widocznie objąć ukrzyżowanego i zanieść do nieba. Scenie tej towarzyszą anioły, unoszące się częścią w powietrzu, częścią na obłokach. W całości wre tyle ruchu, tyle namiętności, tyle jakiejś prawie elementarnej potęgi, że prawie się wierzyć nie chce, że artysta miał lat ośmdziesiąt, kiedy stwarzał to dziwaczne dzieło. Kazał on je rozpowszechnić w licznych miedziorytach, mówiąc, że chce skończyć swą działalność gloryfikacją ofiary, którą się czyni wiekuistemu Ojcu z krwi Jego Syna, i że w tem morzu krwi chce utopić grzechy swego żywota, których inaczej odkupić nie można. Obraz ten miał nieść chwałę krwi Chrystusa «Gloria del sangue di Christo» w dalekie kraje. Wszystkie myśli starca gubiły się w przestworzu; w galerji narodowej w Rzymie zachował się także z owych czasów szkic do obrazu, przedstawiający herkuliczną, do połowy obnażoną postać św. Andrzeja, siedzącego na krzyżu, który aniołowie trzymają w powietrzu. Cała ta grupa pomimo swej wielkości tak lekko narysowana, iż się rzeczywiście ma złudzenie, że te postacie wraz z ciężkim krzyżem unoszą się ku niebu.

W r. 1680 polecił papież Innocenty XI Berniniemu przeprowadzić rozmaite zmiany w pałacu Cancellarji. Mistrz, dozorując roboty, mocno się przeziębił, nabawił się gorączki, a czując, że się rozwija choroba śmiertelna, kazał w swoim sypialnym pokoju ustawić rodzaj ołtarza i wprawić weń swój obraz «Gloria del sangue di Christo». W ciągu lat ostatnich niemało prac podejmował dla królowej szwedzkiej Krystyny i był przekonany, że królowa swem przejściem z protestantyzmu na łono kościoła katolickiego zaskarbiła sobie wielkie łaski w niebie. Poprosił więc do siebe kardynała Azzolina i błagał go, aby się wstawił za nim do królowej. Wierzył, że Krystyna protekcją swą w niebie przyczyni się do zapewnienia mu wiecznego szczęścia.

Królowa nie należała do tych osobistości, któreby miały zbyt łatwy wstęp do raju.

Krystyna kazała odpowiedzieć starcowi, że wszelkich starań użyje, aby zadość uczynić jego żądaniu, że jednak nawzajem go prosi, aby się modlił za nią i za kardynała Azzolina tak, aby kiedyś wszyscy troje znaleźli się tam, gdzie na wieki można używać niezamąconego szczęścia.

Zapewniwszy sobie takie poparcie, Bernini umierał spokojnie, a nawet i w ostatnich chwilach humor go nie opuszczał, gdy bowiem prawa ręka ubezwładniona została, powiedział żartobliwie, iż tyle się w życiu napracowała, że się jej jakiś odpoczynek słusznie przed śmiercią należy.

Niedługo było wszakże tego wypoczynku, gdyż Gianlorenzo umarł 28 listopada 1680, mając lat ośmdziesiąt dwa. Ciało jego wyniesiono o drugiej w nocy z domu do bazyliki Santa Maria Maggiore, gdzie nazajutrz było wystawione. Mnóstwo ludu cisnęło się, aby raz jeszcze zobaczyć oblicze człowieka, który cały Rzym przebudował i upiększył.

Na posadzce bazyliki widać do dziś dnia kamień z napisem:

Nobilis familia Bernini
hic
Resurrectionem exspectat.

Mistrz nie życzył sobie wspaniałych egzekwji, natomiast kazał odprawić tysiąc mszy za swoją duszę: zresztą bardzo szczegółowe porobił rozporządzenia co do majątku, wynoszącego kilka miljonów. W pracowni i w pomieszkaniu było dużo dzieł sztuki. Bernini o żadnem nie zapomniał, a pomiędzy innemi obraz Van Dycka z portretem króla angielskiego zapisał swemu bratu, Luigiemu. Z żoną, która umarła w r. 1673, sprzeczał się jeszcze w swej ostatniej woli i to o niewielki legat. Signora Bernini zapisała swej najstarszej córce Angelice 8.500 skudów więcej, aniżeli się jej z posagu należało. Starego to gniewało, uważał takie postanowienie za krzywdę innych dzieci i powyższej kwoty córce nie wypłacił. Z obawy jednak, aby Angelika w drodze sądowej po jego śmierci nie dochodziła swego prawa, zapisał jej rentę sześciu skudów miesięcznie, ale kapitału nie oddał. Nie chciał żonie przyznać słuszności.

X

Od czasu, jakeśmy widzieli Gianlorenza, spuszczającego story w sypialni Urbana VIII, artysta bardzo się zmienił. Powodzenie, majątek uczyniły go hardym, umiał się cenić i stawić czoło każdemu, ktoby chciał mu w czemkolwiek ubliżyć. Do późnej starości zachował niesłychaną żywość umysłu, pamięć go nie opuszczała, a tyle nazbierał w życiu anegdotek, sentencyj i porównań, że przy każdej sposobności umiał powiedzieć coś zabawnego, chociaż nie zawsze zbyt uprzejmego. Gdy go się raz pytały panie na dworze Ludwika XIV, czem się różnią kobiety francuskie od kobiet włoskich, odpowiedział, że jedne i drugie pełne są wdzięków, ale że w żyłach Włoszek płynie krew, a w pięknych ciałach Francuzek tylko mleko. Podobizny «starego» Berniniego, a przedewszystkiem portret, znajdujący się w galerji narodowej w Rzymie, przedstawiają płomienne, czarne oko mistrza, które każe zapomnieć, że głowa tego znakomitego człowieka pokryta już siwizną.

W młodości ideałem Berniniego w sztuce był Michał Anioł; później zachował on wprawdzie cześć dla swego wielkiego poprzednika i często powtarzał: «Siccome diceva il Michel Angelo Buonarotta», ale były to już tylko puste słowa, gdyż stary Bernini oddalił się o całą epokę od mistrza Odrodzenia.

Ciągłe obcowanie z duchownymi, a osobliwie z jezuitami, z którymi bywał w przyjaźni, sprowadziło zupełny przewrót w jego wyobrażeniach i zatarło w umyśle wszelkie pozostałości renesansowej kultury. Jakiż to przedział pomiędzy jego Dawidem w galerji Borghesów, tym człowiekiem żywym, namiętnym, a Konstantym Wielkim, postacią apokaliptyczną, wymarzoną w snach gorączkowych! Szkieletów Buonarotti nie rzeźbił, ale też nie rzeźbił i tych kobiet zmysłowych, o wzburzonych łonach, tych nowoczesnych bogiń

miłości, rozlegających się pod pomnikami, tych aniołów podrostków, w których już gra krew namiętności. Im bardziej chciano w XVII wieku gnębić zdrową zmysłowość, tem bardziej zamieniała się ona w namiętność chorobliwą, objawiającą się pod różnorodnemi formami. Zmysłowość ma swe prawa do istnienia; namiętnością ludzkość się odradza, za źle zrozumianą powściągliwość tępiono Albigensów. Im bardziej zaczęło duchowieństwo w XVII wieku przykrywać nagości posągów, tem bardziej szukali artyści sposobów, aby i w odzianych postaciach wywoływać wrażenie zmysłowej namiętności. Porównajmy skromne, piękne postacie madon Filipina Lippiego, Botticellego, Ghirlandaja, a nawet Perugina i Rafaela z madonnami baroku, albo przypatrzmy się wspaniałym posągom świętych w niszach w Or San Michele we Florencji i zestawmy je ze świętymi Andrzejami i innemi postaciami, które zdobią wnętrze bazyliki św. Piotra, a będzie się nam zdawało, że artyści barokowi rzeźbili te posągi w stanie jakiegoś nienaturalnego szału czy podniecenia. Ducha szlachetnej pobożności nie znajdziemy w XVII wieku, panują tam kościotrupy i rozpasane kobiety.

Rzecz jednak szczególna, że nigdy się tyle nie mówiło o «naturalności» w sztuce, ile w XVII wieku; «naturalezza» była hasłem artystów, stojących pod wpływem Kościoła. Jezuita Ottonelli wydał pod pseudonimem Odomenika Lelonotti w spółce z malarzem Barrettinim z Cortony w r. 1652 traktat o malarstwie i rzeźbie, w którym wyraźnie przepisuje, że religijne obrazy «Le sacre imagini» powinny, o ile możności, odpowiadać naturze. Nawoływania do «naturalności» ciągle się powtarzają i mają za cel uzmysłowienie ludowi niewidzialnego świata religijnego. Kościół starał się zresztą o osiągnięcie tego celu oddawna. Słynni kaznodzieje przedstawiali pojęcia religijne w taki sposób, aby je można objąć zmysłami. Święty Franciszek z Asyżu do wysokiego stopnia wypoetyzował i rozwinął obrazowość religijną, św. Bernardyn sieneński, w swych wyrażeniach i porównaniach często bardzo gminny, tak dosadnie opisywał niebo i piekło, jakgdyby tam bywał i widział aniołów, śpiewających chórem, a szatana, wtrącającego ludzi do smolnego kotła. Wszystkie te porównania i opisy działały, że tak powiem, materjalnie na umysły, ale nie były dość subtelne, aby przeniknąć całe masy kulturalnych społeczeństw. Dopiero jezuici podjęli się tego trudnego zadania, aby ludzką wyobraźnię systematycznie tak kształcić, iżby umiała ucieleśnić sobie najbardziej spekulatywne wyobrażenia, a rzec można, że grupa św. Teresy stała się w sztuce ideałem tego kierunku. Trzeba było wszakże takiego talentu, jak Bernini, aby nie popaść w tej mierze w przesadę. Owa «naturalezza», z nałożonym już z góry celem religijnego kształcenia, mająca być częścią religijnej pedagogji, «naturalezza» z przeróżnemi ograniczeniami co do moralności i przyzwoitości tematu i przedstawienia rzeczy nie była już naśladownictwem natury, lecz zepsuciem i wypaczeniem wszelkiego realizmu w sztuce.

Kardynał Gabrjel Paleotti wydał surowy zakaz, aby po kościołach zbadano religijne obrazy, czy są dość moralne, a w razie, gdyby nie odpowiadały nowym wymaganiom, miano je przemalować, albo wynieść z kościoła. Przepisy Paleottego rozciągały się nawet na prywatne domy i nakładały kary na artystów, którzyby nieprzyzwoite obrazy malowali. Kardynał Bellarmino, spostrzegłszy u jednego ze swych znajomych nagie postacie murmurowe, pamiętające jeszcze mniej «skromne» czasy Odrodzenia, zauważył żartem, że tym posągom musi być bardzo zimno. Właściciel zrozumiał uwagę i kazał wstydliwe części martwych kamieni pozakrywać gipsowemi opaskami. Hiszpańska inkwizycja nie zadowolniła się kontrolą przyzwoitości nad obrazami, lecz rozciągnęła ją na drobne nawet przedmioty, jak tabakierki, zwierciadła, wachlarze, i mianowała inspektorów przyzwoitości. Jednym z nich był Fr. Pacheco, nauczyciel i teść Velasqueza.

Późniejszy barok nazwano stylem jezuickim, a nazwanie to ma wiele słuszności za sobą. Podobnie jak w początkach Odrodzenia zakon franciszkański się rozradzał i stawiał kościoły, tak samo w drugiej połowie XVI i w następnym wieku rozszerzało się Towarzystwo Jezusowe i wzrastało bardzo szybko w potęgę i bogactwa. Gmachy jezuitów powstawały niemal w każdem znaczniejszem mieście, zakon

potrzebował całych legjonów budowniczych, malarzy i rzeźbiarzy. Gdy jednak dawniej zakony bardzo mało, albo zupełnie nie wpływały na artystów, a sztuka nie stawała się w ich ręku środkiem wpływania na umysły, to przeciwnie jezuici widzieli w niej tylko narzędzie do swych celów. Właściwy artyzm nie miał dla nich znaczenia, chcieli tylko olśniewać wyobraźnię efektownemi obrazami, przepychem, złotem, drogiemi kamieniami, wyzyskać dla religji instynkty tłumów do blasków, do barw, do świecideł. Portret założyciela zakonu, tego Ignacego Loyoli, który w skromnej siermiędze szedł do Rzymu, aby uprosić zatwierdzenie swego towarzystwa, zaczęto oprawiać w złote i w srebrne blachy, wysadzane drogiemi kamieniami tak, że z tych bogactw zaledwie cokolwiek było widać twarz znakomitego człowieka.

Starzejący się Bernini uległ temu wpływowi swego otoczenia i całemu kierunkowi ducha religijnego, któremu piętno nadawali jezuici. Lecz umysł potężny nie mógł poddać się niewolniczo prądowi czasu, owszem wycisnął na rzeźbie i na architekturze współczesnej piętno swego talentu i nadał artystyczną cechę owej epoce.

Do obfitości, do wspaniałości, zwłaszcza ornamentów baroku, przyczyniły się obok religijnych także tendencje arystokratyczne społeczeństwa XVII wieku. Ówczesna arystokracja nie była podobną do tej późniejszej, angielskiej, nie świecącej nazewnątrz, lecz przeciwnie starała się swemi willami i tarczami herbowemi, swemi karetami i dziwacznemi ubraniami służby zwracać na siebie uwagę, olśniewać ludność. Blichtr wszędzie: w kościele, w pałacu, na ulicy, a ten blichtr pokrywał w części nędzę i głupotę klas niższych.

Zaledwie wyjątkowo zdołali niektórzy artyści uwalniać się od gorączki blasku i iść temi drogami, któremi barok iść zaczął, zrzucając z siebie pęta klasycyzmu i szukając prawdy w naturze. Tu i ówdzie spotykamy takie dzieła, wynikłe z rzetelnego poczucia prawdy. I tak owa św. Cecylja Maderny na Trastavere, owa postać tak naturalnie pomyślana mówi nam, czem mogła być rzeźba baroku, gdyby się była trzymała prawdy, a nie rozgorączkowanej wyobraźni. Podobnie można odetchnąć po przesadach uczniów i następców

Berniniego w Santa Maria degli Angeli, przypatrując się poważnemu, pięknemu posągowi św. Brunona, dłuta Houdona. Postać św. Sebastjana w kościele pod wezwaniem tego świętego przy via Appia, pomysłu Berniniego, wykonana przez Antonia Giorgetti, należy również do spokojnych dzieł rzeźby barokowej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SALVATOR ROSA

I

Do dziwacznych ludzi należał Salvator Rosa, burzliwy Neapolitańczyk, o ponurej wyobraźni, malarz i satyryk niezwykłego talentu. Gdyby w XVII wieku była już używana nazwa «snob», określająca człowieka w towarzyskich stosunkach próżnego, poświęcającego wewnętrzny spokój drobnostkowym nieraz ambicjom, tobyśmy Rosę do takich «snobów» policzyć musieli. Próżność była główną cechą jego charakteru, a ponieważ nadto z natury był gwałtowny, więc każde zadraśnięcie tej pychy tem boleśniej go dotykało i wyradzało głęboką gorycz i odrazę do świata i ludzi. Owej goryczy zawdzięczamy satyry Salvatora, które należą do najlepszych tego rodzaju utworów w literaturze włoskiej XVII wieku.

Rosa urodził się w Neapolu w roku 1615, był synem budowniczego, który się jednak więcej trudnił pomiarami gruntów, aniżeli architekturą, dostał się z pomocą jakiejś protekcji do kolegjum kongregacji OO. somasków i tam nabrał powierzchownych wiadomości, które miały być jego skarbem naukowym na całe życie. Rodzina liczyła pomiędzy swymi członkami dwóch malarzy: wuja Salvatora, Domenica Greco, młodego jeszcze artystę, i jego szwagra, dwudziestoletniego

Franciszka Fracanzani, ożenionego z Giovanną Rosa. Po śmierci starego budowniczego nie mógł Salvator dalej się kształcić i z potrzeby pomagał w malarstwie szwagrowi. Uczył się malarstwa, jak szpak śpiewu, bez mistrza. Na odwadze mu jednak nie zbywało, gdyż nie mając jeszcze lat dwudziestu, zabrał się do malowania dwóch obrazów. «Agar na puszczy» i «Bitwa Konstantyna Wielkiego» to były jedne z pierwszych jego dzieł artystycznych, a taka w nich przebijała się śmiałość pędzla, że wkrótce znalazły nabywcę. Pejzaże, bitwy, burze, błyskawice pociągały Salvatora. Najsławniejszym wówczas malarzem bitew we Włoszech był Antonio Tempesta (1555—1630), a po nim zasłynął Aniello Falcone (1600—1665), którego nazwano z włoską przesadą «l'oracolo delle battaglie». Obrazy tych dwóch «mistrzów» dały Salvatorowi zapewne pierwszą myśl do przedstawienia scen wojennych, zwłaszcza że tego rodzaju tematy odpowiadały jego usposobieniu.

Śmiały, jak zawsze, wydobył się prędko z Neapolu na szerszą widownię artystyczną. Miał w Rzymie znajomego, Girolama Mercuri, marszałka dworu kardynała Brancacci, także Neapolitańczyka; do niego się więc udał w roku 1635 i tam się bliżej zapoznał z ówczesnemi artystycznemi prądami.

Około akademji San Luca grupowali się starzy artyści, którzy szukali natchnienia nietylko we freskach Odrodzenia, ale także w starożytnych sarkofagach. Ich mistrzem był Pietro Berettini di Cortona (1596—1669), który, jak to już wspomnieliśmy, ozdabiał pałac donny Olimpji Maidalchini, a nadto Andrea Sacchi, Rzymianin (1600—1661). Ale młody Salvator Rosa pogardzał zrazu tymi «staruchami», jego nęcili inni artyści, biorący swe tematy z natury, jak Caravaggio, Ribera i Bernardo Strozzi. Malarze ci rozpoczynali nową epokę rodzajowego malarstwa, które w oczach akademików nie było sztuką, nie było nawet artyzmem. Publiczność jednak sądziła inaczej, gdyż obrazy tych «werystów» miały wielki pokup. Naszego Neapolitańczyka bardzo zresztą zajmowały miedzioryty Callota i Hiszpana Teodora di Liango, a raczej di Llanos, który wydał właśnie w Rzymie swoje szkice woj-

skowych strojów. Tego rodzaju kartki z miedziorytami nazwano zrazu pogardliwie «Bamboccie» lub «Caprici», ale te artystyczne kaprysy zdobyły sobie z czasem wielkie powodzenie.

Kardynał Brancacci, będąc biskupem w Viterbo, musiał się w r. 1637 przenieść na jakiś czas do swojej stolicy, aby uczynić zadość wymaganiom trydenckiego koncyljum, które nakazywało biskupom pilnować swoich decyzji. Kardynał wyjechał wtedy z Rzymu z całym dworem, więc i Salvator Rosa, jako gość Girolama Mercuri, przeniósł się do Viterbo. Tam zaprzyjaźnił się z Antonim Abbati, poetą humorystycznym i satyrycznym, którego wiersze bardzo się podobały w XVII wieku. Ów Abbati był później przez trzy lata nadwornym poetą arcyksięcia Leopolda Austrjackiego, z którym jeździł do Flandrji. Za przykładem przyjaciela zaczął i Salvator pisać satyry i prześcignął pod tym względem swego mistrza.

Wróciwszy do Rzymu, zachorował artysta tak ciężko na febrę, że przez sześć miesięcy musiał leżeć w łóżku, a wydobrzawszy, pojechał do Neapolu, aby nad morzem odzyskać siły. Stamtąd posłał kilka obrazów na wystawę do Rzymu, członkowie bowiem akademji «di S. Giuseppe di terra santa», urządzali od kilkudziesięciu lat dziewiętnastego marca wystawę w atrium Panteonu. Zwyczaj ten tak się podobał, że później bywały podobne wystawy w «chiostro di San Giovanni Decollato», w dzień dwudziestego dziewiątego sierpnia, tudzież czasami w Cortile di San Bartolomeo dei Bergamaschi.

W r. 1639 widzimy znowu Salvatora w Rzymie; ponieważ jednak mało obrazów sprzedawał i kieszeń była pusta, więc chcąc się dać poznać publiczności, wystąpił z reklamą, godną dzisiejszych Amerykanów. Zaczął się przebierać za komiczną postać z «Commedia dell' arte», za tak zwanego «Pascariello Formica», i chodził po ulicach, bawiąc publiczność rozmaitemi żartami. W karnawał wynajął sobie duży wóz i jeździł z kilkoma towarzyszami po mieście, ofiarując przechodniom rozmaite lekarskie środki, a pomiędzy innemi tak rozpowszechniony wówczas środek spędzania «humorów», którym się posłużył i Molier, aby unieśmiertelnić swego doktora. W lecie postanowił Salvator grać komedje dla ludu, pod gołem niebem i w tym celu urządził scenę w willi Mignatelli za Porta del Popolo. Koledzy malarze byli aktorami.

Całemu temu towarzystwu niedoszłych jeszcze do sławy artystów był solą w oku Bernini, dyktator sztuki w Rzymie, protegowany przez papieży i zagarniający największe honorarja. Bernini urządzał już wówczas swe przedstawienia sceniczne, a w jednej z komedji, odegranej w pałacu Sforzów, chcąc wiernie przedstawić wczesny poranek w Rzymie, wprowadził na scenę roznosicieli wody i pastuchów, co krytycy uważali za występek przeciw wszelkim regułom dramatycznej sztuki, wymagającym, aby tylko te osoby występowały na scenie, które mają w komedji coś do powiedzenia. To też gdy Bernini ukazał się na drugiem przedstawieniu w willi Mignatelli i zasiadł w ławce z towarzyszami: malarzem Gianfranceskiem Romanellim, Guidobaldem Abbatinim i Ottavianem Castellim, Salvator zwrócił zaraz przeciw niemu ostrze swej satyry i szyderstwa. Wyszedł na scenę w przebraniu Formiki i w prologu zastrzegł się, że jego teatralne towarzystwo nie zamierza bynajmniej popisywać się tego rodzaju komedjami, jak «pewni ludzie», którzy wprowadzają na scenę dowcipy «wodonoszów i pastuchów». Bernini przyjął na pozór obojętnie złośliwe przytyki Salvatora Rosy, ale zanadto dobrym był Włochem, aby nie pomyśleć o wendecie. Gdy więc niebawem przedstawił komedję «Dwa teatry», kazał się przebrać jednemu z aktorów za Formikę, zupełnie podobnego do Salvatora. Do tego Formiki przybliżył się na scenie chiromant z wysoką czapką na głowie w kształcie rury, w długiej czarnej todze, pomalowanej w dziwaczne gwiazdy i smoki, kazał mu pokazać dłoń i zaczął opowiadać przeszłe jego życie i przyszłe losy. Miał to być żywot Salvatora Rosy, ale upstrzony tyloma dodatkami hańbiącemi imię artysty, że nawet publiczności, która znała go jako uczciwego człowieka, było tych oszczerstw za wiele. Może też i Bernini się spostrzegł, że impressario i aktorowie w obelgach przesadzili, gdyż ostentacyjnie wyszedł z kilkoma towarzyszami z sali,

chcąc okazać, że nie bierze odpowiedzialności za wymysły artystów.

Mimo to nie było już nigdy zgody pomiędzy Berninim a Salvatorem Rosą i obydwaj artyści, gdzie mogli, starali się nawzajem poniżyć złośliwemi żartami.

Salvator prowadził w Rzymie wesołe życie, a jako Neapolitańczyk umiał grać i śpiewać, więc układał nawet pieśni w narzeczu neapolitańskiem, gdyż dopiero w czasie późniejszego swego pobytu w Toskanji, nauczył się czysto mówić i pisać po włosku. Nie pomogły jednak ani owe poetyczno-muzyczne utwory, ani udana może czasem wesołość: artysta nie mógł się ostać w Rzymie, naraził sobie bowiem wszechpotężnego Berniniego i cały zastęp zamożnego duchowieństwa, które zamawiało obrazy.

Na szczęście niespokojnego artysty zdarzyło się, że książę Mattia de' Medici z Florencji potrzebował malarza i że tę posadę ofiarował Salvatorowi. Neapolitańczyk zgodził się z radością na wyjazd z Rzymu, a wyruszywszy w r. 1640 do Toskanji, pozostał tam lat dziesięć. Rosa nie znał jeszcze świata i ludzi. Gdy go książę Ferdynand II bardzo uprzejmie przyjął i zaasygnował znaczną płacę, zdawało się artyście, że został wielkim panem. Wynajął sobie piękne mieszkanie, urządził się po artystycznemu i zaczął żyć w towarzystwie dworskiem. Zapraszał młodzież florentyńskiej arystokracji i wydawał bankiety, które kosztowały po trzydzieści do czterdzieści skudów. Powoli się jednak spostrzegł, że ci panowie, których raczył u siebie najlepszem winem i morskiemi rybami, nie poznawali go na ulicy i wstydzili się witać z malarzem. Salvator przestał więc zapraszać patrycjuszów, ale tak sobie to przykre doświadczenie wziął do serca, że na pociechę pojechał do Rzymu, tam zebrał swoich dawnych przyjaciół artystów w trattorji «al giardino di Navicella», ugościł ich, jak umiał najlepiej, skąpał się w serdeczności, a potem czem prędzej powrócił do Florencji, aby nie wypaść z łask Medyceusza.

Z dworskimi «paniczami» już się więcej nie wdawał, ale postanowił utworzyć sobie koło znajomych, odpowiednich swemu upodobaniu i swemu stanowi. Zmysł artystyczny

i jego «natura szeroka» nie pozwalały mu zamknąć się w pracowni i nie używać dochodów, które artyzm przynosił. Zapraszał więc teraz do domu swego literatów, artystów i uczonych, a było ich wtedy sporo we Florencji. W zimie otwierały się dla gości pokoje na piętrze, ładnie urządzone, uperfumowane, z ogniem na kominku; w lecie przyjmował na parterze, gdzie z wielkim smakiem ubrał pomieszkanie zielenią i kwiatami, tak, iż się miało złudzenie ogrodu. Rzecz prosta, że w duchu czasu zebrania te przekształciły się w akademję. Akademij było już zresztą we Florencji bez liku, a do najcelniejszych należały «L'Accademia degli Umidi», «della Crusca», «del Cimento», którą założył Galileo Galilei. Rosa nazwał zbierające się u niego towarzystwo «L'Accademia de'Percossi», a na wesołe pogadanki schodzili się: sławny matematyk Evangelista Toricelli, krytyk sztuki, Carlo Dati, autor libretów do melodramatów, Gian Filippo Apollini, i wielu innych.

Rosa umiał wybornie urządzać przyjęcia i zawsze okraszać bankiet oryginalnemi pomysłami. Raz kazał na każdym stole zastawić inne potrawy; na jednym różnorodne zupy i minestry, na drugim pasztety, na trzecim pieczyste i stufady i tak dalej. Czy goście przesiadali się od jednego stołu do drugiego, aby spożyć najprzód zupę a potem pasztet, tego już nie wiemy; kronikarze zapisali tylko jako osobliwą grzeczność gospodarza, że dla jednego z gości, Franceska Marji Agli, który nie miał zębów, były zawsze przygotowane siekane polpety. Osobliwie starał się Salvator o dobroć i rozmaitość potraw, na każdy wieczór wymyślał jakieś nowe sosy. Bankiety nie obeszły się bez dowcipnych mów i deklamowania okolicznościowych wierszy. Rosa wypowiedział w dzień swoich imienin bardzo zabawny wiersz, opisujący, w jaki sposób przyszedł na świat. Było mu zresztą za mało przyjacielskich zebrań, pragnął oklasków szerszego koła publiczności i zaczął dawać przedstawienia improwizowanych fars i komedyj. Książę kardynał toskański, Gian Carlo, pozwolił, aby te przedstawienia odbywały się w jego pałacu, zwanym Casino da S. Marco. Rosa grywał, podobnie jak w Rzymie, w przebraniu Pascariella i bawił całe towarzystwo niewy-

czerpanemi dowcipami. Całemi siłami dopomagał mu ów bezzębny siedemdziesięcioletni Francesco Maria Agli, który był kupcem w Bolonji, a tak lubił występować na scenie, że na trzy miesiące zimowe porzucał swoją botegę i przyjeżdżał do Florencji, aby występować w komedjach jako doktór Graciano. Tworzył on z Salvatorem Rosą arcyzabawną parę i gdy ci dwaj aktorzy zaczęli sypać dowcipami i uzupełniać się w konceptach, publiczność całemi godzinami bawiła się wybornie. Jeden z widzów, dbały o zdrowie, obawiał się chodzić na te przedstawienia, ażeby «nie pękł» od śmiechu. Niesłychanie pociesznymi byli także Francesco Cordini, który grał przebiegłą służącą, tudzież dottor Pier Luigi Lasagnini i Giovanni Marucelli w rolach panien dworskich.

Lekkomyślny na pozór Salvator umiał być jednak dobrym przyjacielem i szczerze wylanym dla każdego, do kogo się przywiązał. Wielka zażyłość łączyła go we Florencji z Lorenzem Lippi, malarzem i humorystycznym poetą, autorem dużego poematu «Il Malmantile racquistato», który się doczekał licznych wydań. Obydwaj towarzysze wyjeżdżali w lecie do Mugnone, aby się przypatrywać «antypodom», to jest, postaciom, które do góry nogami odbijały się w wodzie. W jednym ze swych obrazów, w «Ucieczce do Egiptu» oddał Rosa ów pejzaż z Mugnone. Lippi zachęcał Rosę do pisania satyr i jego to zapewne zasługą, że artysta zaczął układać poezje «na serjo».

W swoim poemacie «Il Malmantile» poświęcił Lippi jedną oktawę przyjacielowi:

E suo amico, ed è pur seco adesso,
Salvo Rosada, un uom della suà tacca
Perocchè anch'ei s'abbevarà in Permesso:
E, Pittor, passa chiunque tele imbiacca:
Tratta d'ogni scienza, ut ex professo:
E in palco fa si ben Coviel-Patacca,
Che sempre ch'ei si muove o ch'ei favella
Fa proprio sgangherarti la mascella.
(C. IV. ott. 14).

Rzecz naturalna, że w życiu malarza-artysty musiała modelka odegrać ważną rolę. Zaraz w początkach swego pobytu we Florencji pozowała Salvatorowi do obrazów niejaka Lukrecja, córka ubogiej wdowy. Była to dziewczyna bardzo wysokiego wzrostu, brunetka, o pięknym owalu twarzy, czarnych oczach i kruczych włosach, miała małe wdzięczne usta i odznaczała się pewną zadumą w spojrzeniu, co jeszcze jej wdzięk podnosiło. Nie była klasyczną i szlachetną pięknością, ale wyraz, zdradzający wielką namiętność i żar południowej kobiety, sprawiały, że czasami miewała jakby demoniczny wyraz. Lukrecja nadzwyczaj się przywiązała do Salvatora, a gdy artysta wyjechał raz do Rzymu i nie dawał znaku życia przez szesnaście dni, napisała do niego list krótki ale tak rzewny, że Rosa natychmiast powrócił. Miał on z nią troje dzieci, ale poślubił ją dopiero z końcem życia.

Do «najznakomitszych» przyjaciół Salvatora za czasów florentyńskich należeli bracia Maffei, z rodziny szlacheckiej w Volterze. Przebywał on u nich często w willach Barbaiano i Monterufoli w Toskanji, a okolica tamtejsza służyła mu nieraz za tło do obrazów. Skały, górskie strumienie, urwiska, drzewa, otaczające Volterrę, widzi się na wielu jego obrazach ugrupowane w rodzaju romantycznego pejzażu, odpowiadającego ówczesnemu smakowi. O tej to dzikiej okolicy, osobliwie o Monte Rufoli, nieraz Salvator wspomina, nazywając ją swoją «ukochaną Tebaidą».

II

Podczas pobytu u Maffeich napisał Salvator trzy pierwsze satyry przeciw muzykom, poetom i malarzom, pomimo że sam grał, śpiewał i malował. Jeszcze w Rzymie gniewało go to, że muzycy byli ulubieńcami wyższych klas społeczeństwa, że trzeba było grać na lutni, aby posiąść łaski kardynałów, zbierać majątki i rozdzielać protekcje. Nie obchodzi on się z nimi łagodnie, narzeka, «że cały świat (oczywiście rzymski) pełen jest tej kanalji, która się stała hańbą dworów i pałaców, i że przez nią ogłupieli książęta». Śpiewaczka Liciska, wtórująca na harfie, bardziej pociąga do siebie, aniżeli dzwonek «Sapienzy». Dzisiejsi muzycy poniżają sztukę,

«są brudnem śmieciskiem rozpusty», poniewierają pojęcie «virtù», stosując je do swego śpiewu. Aby wynagrodzić ową hołotę, zapomina się o oszczędności, obciąża poddanych i wasalów, nie myśli o ludzie, który, pogrążony w nędzy, chodzi, żebrząc, półnagi po publicznych drogach. Złoto rzuca się garściami rozpustnicom-artystkom i kastratom-tenorom, a nędznego quatrina skąpi się biedakom, wycieńczonym nędzą i głodem!

Lecz nietylko muzyka psuje obyczaje; trzy rzeczy, jak morowa zaraza, zatruły wiek cały: złośliwość, głupota i poezja, niepomna celu, do którego zdążać powinna. Poeci, zamiast uczyć i bawić, pobudzają tylko brzydkie namiętności. Rosa wybornie znał charakterystyczne błędy współczesnej poezji, jej skłonność do przesady, do niedorzecznych porównań; wytykał autorom służalczość i zmysłowość, wyśmiewał się z tych pochlebnych dedykacyj, obliczonych na cudzą kieszeń lub na protekcję jakiejś możnej osobistości, drwił z rymów, układanych z powodu urodzin, chrztów, zaślubin i z kłamliwych genealogij, wplatanych w epopeje. Wprawdzie Salvator nie powiedział nic nowego, lecz wytykał te błędy z pewnem zacięciem i humorem.

Bardzo zajmująca jest trzecia satyra przeciw malarzom, ciekawa już i z tego względu, że w niej autor wyjawia swe zapatrywania na współczesne malarstwo. Nie obchodzi się po przyjacielsku z towarzyszami w sztuce. Powiada, że zaledwie czterech lub pięciu malarzy umie czytać i dlatego z powodu swego nieuctwa nie są zdolni traktować poważniejszych przedmiotów i stąd pochodzi ogólne ubóstwo w pomysłach. Mimo to obrazy zalewają świat cały, a Rzym przedewszystkiem obfituje «w malowidła, w nadzieje i w pocałowania rąk», «di quadri, di speranze e baciamani». W satyrze tej występuje autor przeciw pospolitym tematom w obrazach i dziwi się, że zamożni ludzie kupują płótna, na których nic innego nie widać prócz rzezimieszków, facchinów, uliczników i brudnych osteryj. Zapomina wszakże, że w swoich początkach malował marynarzy lub włóczęgów, i występuje teraz z całą siłą przeciw «bambocciatom», chciałby zostać akademikiem. Naśladowanie natury uważa naraz za największy błąd, wyśmiewa się z «werystów», wprowadzając do satyry małpę, która zasiada przy malarzu i daje mu nauki. Do tego stopnia pogardza rzeczami pospolitemi, że wypomina Rafaelowi, iż jego Adam trzyma w ręku łopatę.

Te wszystkie morały Salvatora to chwilowe uniesienia, których ani myślał zastosować do siebie samego. Tworzył «bambocciaty» i w późniejszych latach, trudnił się rodzajowem malarstwem, jak świadczą jego «Stregonerie» w galerji Corsinich we Florencji.

Nie dość na tem, że wytyka malarzom tematy «rodzajowe», uderza także z całą namiętnością na ich życie domowe i na poniewieranie sztuki. Oburza się na fałszerzy, na podrabiaczy dawnych obrazów, którzy kopjami mistrzów, uchodzącemi za oryginały, zapełniają galerje i sprzedają je Niemcom i Anglikom.

Affumicar le tele ed il colore.
  Empir le gallerie de'tuoi capricci
  Ficcandoli per man di grand' autore,
Smaltir per il Tizian cento impastricci,
  Imbracciar gl' Inglesi e gli Alemani
  Con il vino non già ma coi pasticci.

Salvator poucza nas, na jak wielkie rozmiary kwitło wówczas podrabianie obrazów malarzy o głośnych nazwiskach.

Czwartą swoją satyrę, pod tytułem «Wojna», pisał Salvator pod wrażeniem powstania Masaniella przeciw Hiszpanom w Neapolu. Mniemanie jednak, jakoby brał osobiście udział w tych rozruchach, jest fałszywem; artysta był wojowniczym tylko na papierze i na płótnie. Bawił on zresztą wówczas w Toskanji. W tej satyrze, najsłabszej ze wszystkich, ubolewa poeta nad losem żołnierzy, którzy walczą za obce sprawy, nie wiedząc najczęściej, dlaczego i za co umierają, a ma na myśli Włochów, służących w hiszpańskich szeregach.

Per gli interessi altrui, l'altrui chimere
Gire a morir senza saper perchè.

Wiersze Salvatora narobiły dużo hałasu i poruszyły przeciw niemu cały legjon zawistnych, którzy nawet utrzy-

mywali, że nie on je pisał, ale że położył swe nazwisko pod obcemi utworami.

We własnej więc obronie wydał Rosa piątą satyrę pod tytułem «L'Invidia», a w kilka lat później ogłosił jeszcze szóstą «La Babilonia», zwróconą głównie przeciw Rzymowi, przeciw tamtejszemu zepsuciu. Ostatnia wreszcie z satyr, siódma, w której pod imieniem Tirrena ubolewa, że jego nawoływanie do cnoty w poprzednich poezjach na nic się nie przydało, skierowana jest znowu przeciw osobistym jego nieprzyjaciołom; pełno tam przesady i uszczypliwości.

We wszystkich tych satyrach przebija zawiść, że są ludzie od niego szczęśliwsi, wieje obrażona próżność i nieszczerość, a tam, gdzie poeta rzeczywiście z serca przemawia, ulega wrażeniom chwili i nerwowemu rozdrażnieniu. Myśli w jego satyrach i zarzuty, czynione społeczeństwu, nie były zresztą nowe; znajdujemy je i u innych pisarzy, co się tłumaczy bujnym rozrostem sarkastycznych wierszy w XVII wieku. Samo społeczeństwo, mając tyle cech śmiesznych i tyle błędów, musiało wywoływać zjadliwą krytykę.

Salvatora bolało to nadzwyczajnie, że umysły mierne wyżej często dochodzą, aniżeli ludzie wielkich zdolności i prawdziwej zasługi; ale to złe nie było wyłączną właściwością XVII wieku, powtarzało się ono i powtarza po wsze czasy. Bez złych wierszy, powiada Rosa, i bez malarskich bazgranin świat zostanie pięknym; a temu zawsze najlepiej, kto ma pustki w głowie.

Credete al vostro Rosa
Che senza versi e quadri il mondo e bello:
E la più sana cosa
In questi tempi e'l non aver cervello.

III

Materjalnie wcale się dobrze powodziło Salvatorowi we Florencji. Oprócz płacy dworskiej otrzymał dziesięć tysięcy skudów za sprzedane obrazy i był już malarzem, znanym w całej Europie, pomimo że miał dopiero lat trzydzieści kilka. Ten rozgłos skłonił go zapewne do przeniesienia się do Rzymu, na szerszą widownię. Nim jednak wyjechał z Toskanji, wydał już prawie wszystkie oszczędności; z dziesięciu tysięcy zostało mu w r. 1649 tylko trzysta skudów, tak, że musiał się zapożyczyć u Giulia Maffei, aby móc przedsięwziąć podróż do papieskiej stolicy. To mu wszakże nie przeszkadzało, aby zaraz na wstępie do Rzymu pokazać, czem jest Salvator Rosa. Wynajął dom na Trinità de' Monti za ośmdziesiąt skudów, zaczął żyć na wielką skalę i wymagać bardzo wysokich cen za swoje obrazy. Wielkie nadzieje jednak zawodziły, sprzedaż obrazów szła leniwo, tak, że w jednem z listów wzdychał: «Ach! gdybym raz przecie mógł głowę podnieść do góry!» Pocieszał się jednak pisaniem wierszy i dopiero z końcem r. 1649 interesa lepiej iść zaczęły. Z pewną dumą też donosił Maffejemu, że jeżeli mu potrzeba pieniędzy, to odeszle pożyczoną kwotę, «a nawet i więcej». Chwali się, że spłacił już sto pięćdziesiąt skudów długu i nawet oszczędził coś ze setkę. Chcąc się zaś wywdzięczyć przyjacielowi, zaprasza jego całą rodzinę do swego domu na czas jubileuszu.

Sława Salvatora tak rosła, że marszałek cesarski Ottavio Piccolomini wzywał go imieniem monarchy, aby się przeniósł do Wiednia. Rosa nie przyjął zaproszenia, gdyż zaczęło mu się w Rzymie dobrze powodzić, a zapewne i nie chciał się rozłączyć z signorią Lukrecją. Tak się już cenił, że odmówił jakiejś znakomitej osobistości wystąpienia w komedji na prywatnej scenie. Z góry spoglądał nawet na Berniniego i kupił sobie za sto dukatów jakieś nadzwyczaj piękne, srebrne naczynie, które mu złużyło do najpospolitszego użytku.

To powodzenie było, jak się zdaje, tylko pozorne; gdy bowiem Lukrecja powiła mu w r. 1651 syna, a córkę we dwa lata później, Salvator odesłał oboje dzieci do domu podrzutków, tłumacząc się w liście do Maffejego, że robi to z konieczności, «per colpa di quella Fortuna che forsamente vuol cosi». Nie mało miał trudności, powiada, aby uspokoić Lukrecję, ale ostatecznie i ona musiała się na to zgodzić, nie chcąc pogarszać jego położenia. Jednego syna, najstarszego, Rosalva, wychowywał w domu i chciał, aby został malarzem.

Ludziom XVII wieku nie były znane zasady prawdziwej,

głębszej moralności. Taki Galileusz przeznacza swe małe córeczki do klasztoru, postanawiając zgóry, że mają zostać zakonnicami, a Salvator Rosa oddaje dwoje dzieci, bez ostatecznej konieczności, do domu podrzutków. A przeciez rad był uchodzić za mędrca, podobnego do starożytnych moralistów i chciał być filozofem jako człowiek, a klasykiem jako malarz.

Najwyższym szczytem w artystycznem działaniu Rosy był r. 1652. Wtedy to zamówił u niego monsignor Corsini, zamianowany nuncjuszem apostolskim w Paryżu, na podarunek dla króla francuskiego duży obraz, przedstawiający bitwę. Nuncjusz musiał szybko z Rzymu wyjeżdżać, artysta wymalował więc ową «Batalję» w czterdziestu dniach, i to w najgorętszej porze sierpniowej. Na cenę «zamknął Corsini oczy», jak się wyraża Salvator; artysta zażądał więc dwieście dublonów, które mu też wypłacono. Obraz się udał; przedstawia na pierwszym planie jeźdźców, walczących białą bronią, na prawo starożytny portyk, wgłębi równinę, opierającą się o skaliste góry, a na lewo morze i palące się okręty. Obraz ten jest ideałem ówczesnych pojęć o malarstwie klasycznem, które mimo woli artystów przejęło niemało motywów z malarstwa rodzajowego. Rosa starał się, aby tło odpowiadało wymaganiom epoki, gdyż wpływ północnych artystów, a mianowicie holenderskich, przeważał już w malarstwie i rozpowszechniał się u Włochów ów pejzaż dziki, skalisty, lesisty, romantyczny, jak go później nazwano. Po wymalowaniu tej «batalji», która do dziś dnia stanowi jedną z ozdób Luwru, nie chciał już Rosa wracać do wojowniczych tematów, «chyba że mu zapłacą tak, jak płacono Rafaelowi i Tycjanowi». Rosa czuł, że w tym rodzaju nic lepszego nie stworzy, a nadto takie obrazy wymagały niesłychanie dużo pracy.

«Bataglia Corsini» obudziła niemal szał zazdrości pomiędzy rzymskimi malarzami, już to z powodu, że dzieło rzeczywiście było udane, już to ze względu na scenę, jaką Salvator za ten obraz otrzymał. Zaczęto go więc krytykować, wyszukiwać najsłabsze strony jego talentu i wymyślać, że żyje nad stan, że się otacza zbytkiem. Co więcej, podawano

w wątpliwość, czy on jest rzeczywiście autorem satyr, które ogłaszał pod swojem nazwiskiem, gdyż jest, jak mówiono, literackim nieukiem i nie umiałby nawet «Te Deum» przetłumaczyć z łacińskiego na włoski język. Wtedy to napisał ową satyrę «l'Invidia», o której była mowa, a nadto wystawił w Rotundzie, w Panteonie obraz, przedstawiający pejzaż ze skałą, do którego napisał kilka wierszy komentarza, z tytułem «Do zawiści».

Satyra Rosy wywołała burzę pomiędzy jego nieprzyjaciółmi, a do największych wrogów artysty należał monsignor Agostino Favoriti, kanonik bazyliki S. Maria Maggiore, którego Salvator osobiście obraził. Mszcząc się, chciał kanonik donieść Inkwizycji o pożyciu Rosy z Lukrecją i dopiero jednemu z przyjaciół artysty, adwokatowi Serroniemu, udało się ułagodzić monsignora. Biedny Rosa skarżył się przed Giuliem Maffeim, że wobec tych wszystkich napaści musi udawać obojętnego, musi okazywać niewzruszoność, jakgdyby był ze skały, pomimo, że wszystko się w nim gotuje, bo przecież cały składa się z ognia i z żółci. «Wogóle, powiada, jeżeli nie zginę z rozgoryczenia, to chyba żaden już człowiek z tego powodu nie umrze».

Nadomiar tych nieprzyjemności stracił Rosa niebawem owego najlepszego przyjaciela, Giulia Maffei, a w r. 1657 umarł mu siedmnastoletni syn Rosalvo w Neapolu na morową zarazę. Zdaje się, że wtedy przyjął artysta w dom drugiego syna, Augusta, który się wychowywał w zakładzie podrzutków.

W kilka lat później, w r. 1662, przedsięwziął artysta pobożną pielgrzymkę do Loreto, a okolice górskie, osobliwie Assyżu, Terni i Ankony wywarły na nim niezatarte wrażenie i odbiły się w jego obrazach. Był tam na wiosnę, w maju, a oświetlenie gór daleko mu się lepiej podobało, aniżeli koloryt pejzażu w Toskanji. Ta podróż musiała mieć jakiś związek z coraz gorszem zdrowiem Salvatora, zapewne szukał pociechy w Santa Casa w Loreto. Skarży się bowiem w owych czasach, że coraz bardziej upada na zdrowiu, a co gorsza, że wzrok mu słabnie tak, że do obrazów wybiera sobie tematy łatwe, niewymagające dużo figur. Ruchliwy południowiec ociężał, w głowie czuje ciągle żar, a nogi zdają mu się być

z lodu. On, porywczy, gorący, całemi dniami teraz nie mówi, a myśli jego obracają się koło tego, aby siedzieć przy ciepłym kominku, mieć rękawiczki futrzane, wełniane pończochy, czapkę watowaną i inne podobne rzeczy. Całe szczęście, że materjalnie zapewnił sobie przyszłość. Przyjaciel Carlo de' Rossi, bankier, zakupił od niego wszystkie obrazy, które były w pracowni, za dożywotnią rentę dwudziestu skudów miesięcznie.

Mimo skarg na wzrok słabiejący i na ociężałość nóg, malował Rosa dużo i wystawiał to w Panteonie, to w San Giovanni Decollato, a zastęp jego wielbicieli rósł tak w liczbę, że go porównywano z Tycjanem, Veronesem, Corregiem itd. Salvator stał się tak wybitną w Rzymie osobistością, że gdy wychodził wieczorem na przechadzkę na Trinita de' Monti, gromadzili się około niego literaci, muzycy, śpiewacy, którym schlebiało znajdować się w towarzystwie takiej znakomitości.

Z powodu rozmaitych fizycznych cierpień nie rysował już nic z natury, lecz pomagał sobie wyborną pamięcią, miał bowiem jasno przed oczyma wszystko, co kiedykolwiek widział. Gdy zaś co do ruchów ciał zachodziła jaka wątpliwość, stawał przed dużem zwierciadłem i sam sobie pozował, rysując według własnej postaci. Obrazów nie sprzedawał nigdy bez ram, gdyż wielką wagę przywiązywał do oprawy swych dzieł artystycznych. Do ram dawał bardzo szczegółowe rysunki, a do najnowszych czasów przechowały się we Włoszech modele ram Salvatora Rosy.

Nadzwyczajny zaszczyt spotkał artystę w r. 1668, kiedy za panowania Klemensa IX, brat papieża, Don Camillo Rospigliosi, urządzał w dzień św. Jana pierwszą wystawę «retrospektywną» w Rzymie. Miały tam być przyjmowane tylko obrazy dawnych mistrzów, zachowane w prywatnych zbiorach. Salvatorowi nie podobało się wszakże, że jakaś «uroczystość artystyczna» może się odbyć bez jego udziału, dołożył więc wszelkich starań, aby się znaleźć pomiędzy Rafaelem a Tycjanem. Wystawa wypadła świetnie, gdyż królowa szwedzka posłała tam swe najcelniejsze płótna, a mimo to Salvator był zupełnie z siebie zadowolony, gdyż wielki poklask odniósł jego obraz «Saul i Pitonessa», zachowany do dziś dnia w Luwrze. Powszechnie uważają płótno to za najważniejsze dzieło Rosy pomiędzy obrazami, przedstawiającemi duże figury. Mimo swej dziwaczności, mimo ohydnej czarownicy, otoczonej kościotrupami, sowami i całą demoniczną maszynerją, kompozycja robi wielkie wrażenie, postać bowiem Saula, któremu Pitonessa chce pokazać cień Samuela, świetnie się udała i odrazu wiąże widza swą powagą.

Wogóle Salvator miał w sobie coś z talentu Breuglów, ale Breuglów, okraszonych włoską, akademicką pozą. Wyborne są też jego karykatury, w każdej z ośmieszonych osobistości jest dusza, jest dowcip. Jeden z mecenasów sztuki w Rzymie zamówił u Rosy całą serję portretów tamtejszych znakomitości, przedstawionych w karykaturze. Artysta nie mógł wszakże dokończyć tej ciekawej galerji, gdyż w ciągu pracy nad nią śmiertelnie zachorował. Marchese Guadagni posiadał także skarykaturowane głowy jego rysunku, które miały być nadzwyczaj charakterystyczne.

Zdrowie Salvatora bardzo się pogorszyło w zimie r. 1673; jeden z najbliższych przyjaciół domu, Francesco Baldovini, widząc zbliżający się kres życia artysty, namówił go, aby poślubił signorę Lukrecję celem legitymowania syna Augusta. Wystarano się o przyśpieszenie potrzebnych formalności i akt ślubny odbył się na jedenaście dni przed śmiercią Salvatora, która nastąpiła piętnastego marca r. 1673. Ciało pochowano w kościele S. Maria degli Angeli, gdzie mu syn wystawił pomnik, umieszczony w jednej z nisz przedsionka tej wspaniałej świątyni.

Rosa mieszkał w ostatnich latach życia przy ulicy «Gregoriana» w kamienicy, należącej do Collegio San Bonaventura, która prawie taką pozostała, jaką była w XVII wieku i odznacza się piękną bramą z barokowemi ozdobami. Pozostawił on spory majątek w gotówce, a nadto dużo pięknych sprzętów, książek, obrazów, tudzież własnych rysunków, oprawnych w dużą księgę. Syn jego nabył też w kilka lat po śmierci ojca kamienicę przy ulicy «Gregoriana», a rodzina Rosa mieszkała tam jeszcze w początkach XIX w. Na miejscu tej realności stoi od lat przeszło dwudziestu pałac księcia Strogonowa.

Rosa był prawie autodydaktą i tylko wrodzony talent wyniósł go wysoko. Niezawsze pewny swego rysunku, zastępował poprawność linji i znajomość anatomji śmiałością pendzla i bardzo zajmującym nieraz kolorytem. Dlatego też oddawanie postaci obnażonych często mu się nie udawało i pod tym względem nie mógł się mierzyć z tak zwanymi akademickimi artystami. Zaczął od malowania obrazków religijnych i ulicznych typów, następnie rozszerzył swe tematy na bitwy i pejzaże z figurami, a wreszcie chciał zostać akademikiem, gdyż to odpowiadało jego próżności. Lecz z usposobienia był zanadto wrażliwym artystą, zanadto wielkim impresjonistą, aby nawet tam, gdzie pozował na akademika, nie być do pewnego stopnia malarzem rodzajowym. Do piękności i plastyki w oddawaniu nagich postaci nigdy nie doprowadził. Najwyżej stanął w obrazach, przedstawiających bitwy; jego usposobienie, gwałtowne, wybuchowe, tak go ponosiło, gdy miał malować walkę, że wlewał w tłumy wojowników całą energję swej duszy. Spółcześni uważali go też za pierwszego w Europie «batalistę», zwłaszcza, że umiał w pejzażu i w tonie kolorytu oddać całą okropność walki.

W późniejszej epoce swego życia oddawał się Rosa często rytownictwu, a i w tej gałęzi sztuki doprowadził daleko. Jego ryciny odznaczają się śmiałością, przechodzącą jednak czasem w pobieżność. W rytownictwie, podobnie jak i w olejnem malarstwie, jest najczęściej impresjonistą, a gra światła i cieni wielką jest zaletą jego rysunków. Historyk rytownictwa Bartsch obliczył, że Rosa wykonał ośmdziesiąt sześć rycin.



Przed przedstawieniem w budzie teatralnej
Rysunek Callota w Albertynie w Wiedniu

Do str. 516

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

COMMEDIA DELL'ARTE

I

«Signori comici sono arrivati!», «Panowie komicy przyjechali!» krzyczy, jak może, najgłośniej facchino teatralnej kompanji, idzie głównemi ulicami miasta i co chwilę uderza pałką w bęben, przewieszony przez plecy. Za nim postępuje najpiękniejsza w «trupie» artystka, przebrana za mężczyznę w najdziwaczniejszym hiszpańsko-błazeńskim stroju i grzecznemi słowy zaprasza publiczność na komedję w pałacu albo w osterji, gdzie wędrowne towarzystwo wynajęło salę. Często wystarcza scena w kształcie jarmarcznej budy, z dekoracjami, narysowanemi z zamaszystym artyzmem, ale węglem. Gdy się przedstawienie ma rozpocząć, artyści w strojach arlekinów i pulcinellów, z bębnami, tamburynami, grzechotkami, piekielne wyprawiają hałasy, albo dwóch błaznów udaje rycerzy, zmierzając się na szpady i najkomiczniejsze wydając okrzyki.

W ten sposób rozpoczęła się rewolucja przeciw Plautowi i Terencjuszowi, przeciw starożytnej komedji i nudnym klasykom, głośno, krzykliwie, zabawnie. Ruch ten objawił się najprzód u dołu, u ludu i u mieszczaństwa. Klasyczne komedje, nawet w czasach Odrodzenia, nie bawiły publiczności, z wyjątkiem może uczonych widzów. Wiadomo, jak mantuań-

ska marchesana «śmiertelnie» się nudziła w r. 1502 na przedstawieniach sztuk Plauta, granych w czasie uroczystości weselnych Lukrecji Borgji w Ferrarze. Aby słuchacze nie pouciekali, urządzano «intermezza», moreski, balety, feerje, nie mające najmniejszego związku z przedstawianą komedją.

Nowi autorzy musieli się liczyć z humorami publiczności, która już Greków i Łacinników znieść nie mogła. Gdy Arjost przedstawiał swoją «Cassarję»», zapewniał w prologu, że rzecz zupełnie nowa, że nie jest zapożyczona u klasycznych autorów.

Nova commedia v'appresento, piena
Di varii giochi, che nè mai latine
Ne greche lingue recitarno in scena.

Klasyczni smakosze wymagali koniecznie, aby komedja były pisana wierszem, prozę na scenie uważali za coś poniżającego świątynię sztuki dramatycznej. Podczas pobytu Karola V we Włoszech prosił Gonzaga z Mantuy Arjosta, aby mu przysłał jakie nowe utwory, któreby można grać przed cesarzem. Arjost dał aż cztery komedje, lecz pisane prozą. Gonzaga zwrócił je poecie, życząc sobie, aby prozę przerobił na wiersze. Arjost odpowiedział, że proza zdaje mu się stosowniejsza, że zresztą zdania są różne, ale komedyj już nie posłał.

Niektórzy dramatycy przeczuwali nowe prądy, ale nie mieli dość odwagi, a może i talentu, aby wystąpić z czemś zupełnie odmiennem od starożytnych dzieł scenicznych. Nawet taki Varchi, człowiek wielkich zdolności, ostrzegał w prologu do swojej komedji «Suocera», że jest tylko w części nową i tłumaczył się, że używa wprawdzie dobrego języka florentyńskiego, ale przecież opartego na znakomitych starożytnych wzorach. Odważniejszym był inny komedjopisarz, Cecchi, który, polecając swoją sztukę «Assiulo», zapewniał prawie z ręką na sercu, «że jest nowa, zupełnie nowa, nie naśladująca Terencjusza ani Plauta, ale osnuta na wypadku, który się świeżo wydarzył w towarzystwie pewnych młodzieńców i pewnych pań w Pizie». Tak samo inny dramatyk. Florentyńczyk Gelli, chwalił się przed publicznością, że fakty, których użył do swych komedyj, codziennie się wydarzają we Florencji i że miejscem akcji «jest Florencja, wasza Florencja».

Do takich wyznań zmuszali zawodowych literatów uliczni dramatycy, którzy nie czytali ani Plauta, ani Terencjusza, lecz w swem południowem usposobieniu mieli dużo daru spostrzegawczego, dużo talentu do oddawania cudzych śmieszności i każde swe wystąpienie umieli okrasić dowcipami i komicznością ruchów.

Uczeni badacze utrzymują, że niektóre typy ulicznej komedji, komedji «all'improviso», dziedziczyły się we włoskiem, a mianowicie w południowem społeczeństwie od czasów starożytnych, że mianowicie Maccus Osków przeżył lat tysiące, dopóki się nie przemienił w neapolitańskiego Pulcinella. W r. 1727 wykopano na Esquilinie małą figurkę z bronzu, ze srebrnemi oczami, z podwójnym garbem na piersiach i na plecach, z długim, obwisłym nosem, w kaftanie, sięgającym po kolana, w której archeolodzy włoscy chcieli odkryć Macca, praojca Pulcinella. Innym zdawało się, że spostrzegli postać, podobną do neapolitańskiego błazna, we freskach pompejańskich. Mommsen mówi nawet o «farsach» u Osków, które się nie waha nazwać «Pulcinellkomödien», i wywodzi słowo «maccarone», «półgłówek», «głupiec» od starożytnego Maccusa. Idąc dalej śladem wielkiego uczonego, możnaby wnioskować, że i neapolitańskie «maccaroni» przyjęły nazwę od tej komicznej postaci i że trzebaby je uznać za najstarszą włoską potrawę. Najdalej jednak w rodowodzie Maccusa-Pulcinelli posunął się jakiś egiptolog francuski, który bujną swą wyobraźnią znalazł owego wesołego człowieczka na płaskorzeźbach starożytnego Egiptu i utrzymywał, «że lalki, przedstawiające Poliszynela, dawano dzieciom w Palestynie do zabawy, aby nie płakały».

Bliżej, aniżeli w Judei, szuka początku owej komicznej postaci neapolitańskie podanie, które zapisał dowcipny abbé Galiani. Otóż z końcem, jak się zdaje, XVI wieku dawała swe przedstawienia trupa jarmarcznych aktorów w miejscowości Acerra, w Kampanji. Pomiędzy widzami, którzy już byli w dobrych humorach, znajdował się wieśniak o długim nosie, o bladej twarzy, wyglądający bardzo komicznie. Któryś

z aktorów zaczął go naśladować ku powszechnej radości, ostrzyć sobie na nim język, lecz trafił frant na franta. Wieśniak się odcinał i tak sypał dowcipami, że biedny aktor czuł się pobitym, a publiczność, zamiast z contadina, śmiała się z komedjanta. Wieśniak zrobił takie wrażenie, że aktorzy postanowili wciągnąć go do swego towarzystwa. Contadino zgodził się na warunki i został aktorem. Nazywał się zaś Puccio d'Anielo, a wstąpiwszy na deski budy teatralnej, przezwał się Polecenellą i miał wielkie powodzenie, gdyż w ruchach pozostał zawsze wieśniakiem, a dowcipami mógł się mierzyć z najzabawniejszym Neapolitańczykiem. Stał się też tak popularną postacią, że po jego śmierci znalazł się inny samozwańczy Polecenella, który go naśladował i sprawił sobie podobne ubranie do tego, jakie nosił contadino. Był to płócienny kaftan, o dużych guzach, przepasany skórzanym pasem poniżej brzucha, szerokie spodnie, sięgające zaledwie po kostki, biały kapelusz o zagiętej do góry kryzie. Ponieważ następcy Puccia d'Aniella niezawsze mogli się poszczycić tak poważnym, jak on, nosem, więc zakrywali górną część twarzy czarną maską, na której nie brakowało i owej wspaniałej ozdoby. W ręku trzymał Polecenella tak grubą laskę, a raczej prosty kij, że mógłby nim się obronić nawet od bryngantów.

Wszystkie te wywody uczonych i tradycje co do pochodzenia Pulcinelli chce usunąć heraldyk neapolitański, Scipione Ammirato, rodzaj Paprockiego południowych Włoch. Wspomina on o rodzinie Pollicenów, od których mógł nasz komik pochodzić, a co więcej kronikarz Riccolo Ramoglia di Saponara pisze o niejakim Luciu Pulcinelli, wikarym, którego proboszcz trzymał długi czas w więzieniu w Saponarze za jakąś zbrodnię. Pulcinella mogło być zatem i rodowem nazwiskiem neapolitańskiej postaci, a następcy jego w budach teatralnych przybrali tylko nazwisko swego poprzednika.

Co do nas wszakże, wolimy iść za Mommsenem, aniżeli za neapolitańskimi heraldykami, a chociażby zbyt szczegółowe badania co do postaci komicznej Maccusa i Maccarona nie były prawdziwe, to przecież nie zdaje się ulegać wątpliwości, że ludowe przedstawienia teatralne we Włoszech dadzą się odnieść aż do czasów Etrusków i Osków, od których



Pulcinella

Według ryciny Callota w Albertynie we Wiedniu

Do str. 521



Rzymianie nauczyli się grać komedje. W dzisiejszej Aversie, dawnej Atelli, miasteczku położonem między Neapolem a Kapuą, miał być jeden z najdawniejszych teatrów ludowych, a od tej miejscowości nazwano grane tam farsy atellanami. Attellany nie były pisanemi sztukami, lecz aktorzy improwizowali je, ułożywszy poprzednio krótką treść komedji. Cały dialog polegał na talencie aktorów, podobnie jak w późniejszej komedji dell'arte. W średnich wiekach Kościół zakazał wszelkich świeckich przedstawień teatralnych, zamieniwszy je na religijne widowiska, ale widocznie tradycja atellan żyła pomiędzy ludem włoskim, skoro w czasach Odrodzenia, na głuchej prowincji, podczas karnawału grano zabawne farsy.

Ludowe komedje rozwinęły się wszakże dopiero w XVI wieku; wtedy wyrobiły się mniej więcej stałe typy sceniczne, a do najdawniejszych należał bezsprzecznie neapolitański Pulcinella. Niezawsze był co do swego charakteru jednolity; zaraz w początkach rozdzielił się niejako na dwie postacie: jeden Pulcinella działał podstępnie, milczkiem, słyszał, jak trawa rośnie; drugi odważny, awanturnik, skłonny do bójki, złodziej, jakich mało, a nawet czasami dowódca rozbójniczej bandy. Typ ten sceniczny wyrósł niejako z krwi i kości neapolitańskiego ludu, w nim się zespoliły w sposób komiczny właściwości Neapolitańczyka. Jeden ze znakomitych Francuzów, mieszkając w zeszłym wieku długo w południowych Włoszech, doszedł do przekonania, że w każdym Neapolitańczyku jest coś z Pulcinelli.

Ten Neapolitańczyk z ludowej sceny stał się też najpopularniejszym typem komedji dell'arte, przyjmował z łatwością różne barwy narodowe, we Francji zwano go później Polichinellem, w Anglji nosił nazwisko Puncha, w Niemczech został Hanswurstem, w Hiszpanji był szlachcicem don Christoval Pulchinellą, a nawet Holandja miała swego Toneelgek'a, wzorowanego na neapolitańskim błaźnie.

II

Że Pulcinella często się kochał w młodości, o tem wątpić nie można; wkońcu jednak przyszedł do przekonania,

«że człowiekowi źle samemu na świecie», zwłaszcza, jeżeli potrzebuje towarzyszki nietylko w domu, ale i na deskach teatralnej budy. Zdarzyło się, że na jednym z ludowych festynów spotkał on pokojową, Colombinę, która mu się tak podobała, że zaprosił ją do tańca. W «tarantelli» bliżej się poznali; Colombina była mała, ale pełna werwy, «piccola, ma tutta pepe», dowcipna «kokietka», często złośliwa, do wszelkich filuteryj gotowa. Pulcinella się zakochał i zaprowadził ją do ołtarza, a następnie na deski komedjantów. Miał w niej wyborną towarzyszkę; Colombina zawracała głowy i kolegom i publiczności, może czasem więcej, aniżeli sobie małżonek tego życzył. Wkrótce stała się prototypem teatralnych «subretek», «fantesca». Rzecz prosta, że Colombina, występując w niezliczonej ilości komedyj improwizowanych, niezawsze mogła być żoną Pulcinelli, a co gorsza, niezawsze mu wierną. Z kochankami zmieniała i nazwisko teatralne; nazywała się później to Argentiną, to Diamantiną, to Carmosiną, lecz zawsze miała swoje pierwotne usposobienie i zawsze zachowała pewną słabość do pierwszego kochanka, do Pulcinelli. Ta «słabość» pozwalała jej jednak na rozmaite niewierności. W jednej z komedji, w której nazywała się Carmosiną, jakiś bogaty młodzieniec chce z nią koniecznie zawiązać bliższe stosunki, nawet się ożenić. Colombina się zaklina, że nie opuści swego Pulcinellę nawęt za królewską koronę:

Non lasso niuno mio Polecenella
Pe no rre de corona. Vo so'schiava!

Zakochany młodzieniec posyła jednak do niej swojego służącego, którym jest Coviello, także typ neapolitański i nieprzyjaciel Pulcinelli, aby ją przecież do niego przekonał. Coviello maluje jej świetną przyszłość; karetę, jedwabie, modne kapelusze, słowem, wszystko, czego tylko zapragnie. Colombina niedługo się namyśla, sprzeniewierza się Pulcinelli, a ten fałszywiec chodzi potem pod jej balkonem i wzdycha nie z miłości, ale z żalu, że będzie musiał pracować, zamiast żyć kosztem żony. Rozmyślania swe zakończył praktycznie, poszedł szukać innej.

Colombina ma nadzwyczaj trafne wyobrażenia o kokieterji i sądzi, że źdźbełko zalotności nigdy nie zawadzi. Jej matka mówiła, że kokieterja podobna do octu: jeżeli go się naleje za dużo, to sos będzie niedobry, kwaśny; jeżeli za mało, to potrawa będzie mdła, niesmaczna, ale gdy się środek utrafi, wtedy warto zasiąść do stołu. Tak samo rzecz się ma z kobietą; jeżeli kokieterją swemu szczęściu szkodzi, to zalotność djabła warta; jeżeli nie ma w sobie zupełnie kokieterji, jeszcze gorzej, bo ludzie myślą, że jej cnota nie wypływa z moralności, lecz z temperamentu. Gdy jednak czuje się piękną, powabną i zalotności tylko tyle używa, ile potrzeba, aby się podobać, «to wtedy, mówi Colombina, poszłabym za nią do piekła, gdybym była mężczyzną!»

Colombina, przemieniona w Argentynę, była już innego zdania; sądziła, że na to przyszła na świat zalotną, aby tę cnotę wyzyskać w całej pełni. Była też istnym djabełkiem, a zamiast krwi żywe srebro płynęło w jej żyłach. Oszukiwała Pulcinellę, gdzie mogła, miała romans z paziem, z maestrem di casa i z samym markizem. Colombina przeszła później do Francji, zmieniła cokolwiek swój typ pierwotny, ale dopóki żyła na włoskich teatrach, zawsze była Neapolitanką.

Rzymianie, a mianowicie miaszkańcy Trastevere utworzyli sobie własnego Pulcinellę, który się nazwał Meo-Pataca, i był nierozłącznym, wiernym towarzyszem Marka Pepa. Główną cechą charakteru tego Trasteverańczyka było wysokie o sobie rozumienie, nie znosił, aby mu się ktokolwiek sprzeciwiał; gdy trafił na takiego śmiałka, zaczynał go kijem okładać, a dobrze obiwszy, dopiero starał się go przekonać o słuszności swojego zdania. Zresztą Meo-Pataca, chytry, dowcipny, nos wysoko zadzierał i kpił sobie z całego świata. Typ rzymskiego Pulcinelli tak był popularnym, że znalazł się poeta który w r. 1685 wydał o nim w miejscowem narzeczu poemat w dwunastu pieśniach, wynosząc sławę tego najdzielniejszego z rzymskich plebejuszów, przed którym drży całe Trastevere.

Poemat o Meo-Patace i nas trochę obchodzi, gdyż bohater nienawidził Turków i solennie obchodził zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. Chciał on sam ze swymi Zatybrzanami ruszyć na odsiecz Wiednia, ale niestety, miał tylko

dziesięciu towarzyszy. Chodził więc z nimi po ruinach Rzymu i zachęcał do wyprawy na niewiernych, zapewniając, że gdy znajdzie pięciuset odważnych, uwolni miasto cesarskie od najeźdźców. I znalazło się pięciuset dzielnych, uzbrojonych w rusznice i inne przyrządy do mordowania Turków, pięciuset bohaterów, którzy byli gotowi iść z nim na koniec świata. Gdy jednak Meo-Pataca zamierzał na czele swego hufca przekroczyć Tyber, zastąpiły mu drogę żony i bogdanki przyszłych wojowników i płacząc i załamując ręce, w głośne wybuchły lamenty. Meo-Pataca, mimo bólu, jaki ściskał jego wierne trasteverańskie serce, nie zawahał się i szedł naprzód. Na szczęście w ostatniej, stanowczej chwili, kiedy serca Rzymianek miały się rozedrzeć w kawały, przybiegł kurjer z Watykanu z wiadomością, że Sobieski już Turków zwyciężył, że przeto pomoc Trasteveranów zbyteczna. Wielka radość pomiędzy ludem, zdaje im się, że Meo-Pataca, a nie król polski, był tym bohaterem, przed którym Turcy z pod Wiednia uciekli. W czasie biesiady, wydanej na cześć rzymskiego wodza, ktoś zauważył, że Żydzi połączyli się pod Wiedniem z Turkami, aby stawić opór wojsku Sobieskiego. «Śmierć Żydom!» zawołali biesiadnicy i ruszyli na Ghetto, aby rabować sklepy. Na tem się kończy poemat o Meo-Patace.

III

Obok Pulcinelli najważniejsze «stanowisko» w komedji dell'arte zajął arlekin. Urodził on się w Bergamo i był murzynem, przynajmniej, zanim wszedł na scenę, malował sobie twarz węglem, sadzą, albo przywdziewał czarną maskę. Jego pochodzenie dość trudno sobie wytłumaczyć, bo jużcić Bergamaski są białymi ludźmi i w pięknem górskiem miasteczku murzyni się nie rodzą. Znowu w tej mierze przychodzi Grecja i starożytny Rzym w pomoc; w Apologji Apulejusza mamy opis jakiegoś aktora, w ubiorze zszywanym z różnokolorowych łatek, który, jak zwykle starożytne błazny, miał ogoloną głowę i twarz osmoloną sadzami, «fuligine faciem obductam». Arlekin nazywał się we Włoszech w XVI

i XVII wieku Zanni albo Sanni, a ponieważ Cicero w dwóch miejscach «De oratore» i w listach «Ad familiares» mówi o komicznym typie, zwanym «sannio», więc historyk włoskiego teatru, Riccoboni, łączy te dwie postacie ze sobą, jako pokrewne. Riccoboni przytacza jeszcze więcej dowodów na pochodzenie arlekina od starożytnego «Sanniona» i niemal napewne przekonywa, iż arlekina trzeba uważać obok Pulcinelli za najstarszą maskę w komedji dell'arte. Jakim sposobem jednak starożytny Sanni odżył właśnie w Bergamo, tego już dojść trudno.

Arlekin odznaczał się szczególną giętkością ciała, skakał, tańczył, wyprawiał najrozmaitsze błazeństwa, słowem, był niemal praojcem dzisiejszych klownów. Jego gra składała się prawie z samych niespodziewanych konceptów, połączonych z komicznemi ruchami, mającemi w sobie coś z kociej zgrabności. Pomiędzy wszystkimi aktorami komedji dell'arte był najnieprzyzwoitszym, obsypywał publiczność łatwemi do odgadnięcia dwuznacznikami, stał się postrachem młodych mężatek. Najgrubsze jednak żarty umiał ubrać w formę kobiecej prawie gracji, a wskutek tego gra jego jeszcze bardziej komiczne robiła wrażenie. Często występował w roli służącego, który jest wiernym swemu panu i tylko wtedy go zdradza, gdy widzi przed sobą półmisek z dobrze upieczonym kapłonem, albo słoik z konfiturami. Smakoszostwo i kobieciarstwo to główne jego wady, ciągle się kocha i co chwilę w innej bogdance, zazwyczaj jednak w Colombinie.

Arlekin miał sobowtóra, niejako bliźniaka, także z Bergamo, którego zwano Brighella, człowieka o gorszych skłonnościach, aniżeli Zanni. Bergamo składa się z dwóch dzielnic: wyższej i dolnej; otóż o mieszkańcach górnego miasta mówiono, że są daleko zdolniejsi do każdej pracy, a co do zręczności i żywości usposobienia przewyższają o wiele swych braci z doliny. Ich przedstawicielem stał się Brighello, podczas gdy Zanni był odbiciem trochę głupkowatych obywateli niższego Bergamo. W XVII wieku i Zanni i Brighella bardzo się zmieniają, postąpili, że tak powiem, w kulturze, zaczynają czasem filozofować i nabierają chytrości.

IV

«Syn piorunu i trzęsienia ziemi, brat śmierci i serdeczny przyjaciel Belzebuba» to trzecia postać komedji dell'arte. Pomimo tego strasznego pochodzenia i związków z mieszkańcami piekła, zwano go pospolicie kapitanem. Ale nie kapitanem, podobnym do innych; jego imiona wzbudzały już postrach, raz występował jako Spaventa, to znowu jako Bombardon, Matamores lub Fracassa, a gdy podniósł szpadę, to świat drżał w swych posadach. Gdy jednak ów bohater spostrzegł prawdziwego nieprzyjaciela, lub uczuł cudzą pięść nad sobą, ba nawet, gdy liść niespodziewanie koło ucha mu zaszeleściał, to łydki zaczęły pod nim drżeć ze strachu i szeptał jakieś niezrozumiałe słowa.

Kapitan ma wąsy, jak ryś, i straszną maskę cielistego koloru na twarzy, na głowie nosi kapelusz z długiem piórem, ostrogi ma przypięte wielkości kół młyńskich, a u boku przypasuje rapier, którymby głowy ludzkie można kosić, jak łan zboża.

Gdy z furją rzuca się na nieprzyjaciela, zamyka oczy, aby nie widzieć kawałków rąk, nóg, które pod jego ciosami padają, jak trzaski. Żadna kobieta nie zdoła mu się oprzeć, romanse liczy na tysiące. Nos jego niesłychanie czuły na zapachy kuchenne; podobnie jak słońce ku zachodowi, tak kapitan zawsze tam dąży, gdzie się pieczeń obraca na rożnie.

Uczeni, znowu uczeni, chcą go wywodzić od plautowskiego żołnierza samochwała, mówią, że Miles gloriosus, Pyrgopolinices to jego praojciec. Lecz w tej mierze trudno wierzyć archeologom; postać takiej maski scenicznej, jaką był bohater Plauta, zupełnie się w średnich wiekach zatraciła i dopiero w XVI wieku powstała nowa w czasach kapitanów di ventura i hiszpańskich najeźdźców. Głównych rysów podobieństwa pomiędzy kapitanem a żołnierzem Plauta nie można zaprzeczyć, ale tego rodzaju postać jest tak powszechnie ludzką, że ją w każdem społeczeństwie, czy starożytnem, czy nowszych czasów spotkać było można.

Pierwowzorem włoskiego kapitana byli bezsprzecznie



Kapitan

Do str. 526

Według dawnej ryciny

żołnierze «di ventura», gdyż typ ten odznacza się zrazu gwałtownością, okrucieństwem, chciwością; zawsze gotów do rabunku, później dopiero pod wpływem hiszpańskim staje się postacią, mającą trochę pokrewieństwa z Don Chixotem.

Zhiszpańszczony kapitan pojawia się we Włoszech dopiero w czasie, kiedy Karol V powracał z wyprawy do Tunisu. Włosi mieli sposobność aż zanadto dobrze poznać hiszpańskich hidalgów i tak uchwycili ich komiczne znamiona, że dawny kapitan już nie robił wrażenia i musiał potrochu udawać Hiszpana. Zmienił strój, nazywał się najczęściej z hiszpańska Matamoros, albo inaczej capitano Sangre y Fuego, Escobombardon della Papirotonda, Coccodrillo, Guerno de Cornazan, Rodomonte i t. p. Najtrudniejsze do wymówienia nazwisko dali mu Niemcy, gdy typ kapitana dostał się na Północ; niezwalczony wojownik podpisywał się wtedy z łacińska Horribilicribrifax.

W czasie panowania Hiszpanów w Neapolu i Medjolanie kapitan stał się do pewnego stopnia polityczną postacią, wypowiadał w budzie ulicznej krytyki obcych rządów, drwił z wicekrólów neapolitańskich, a wszystko mu uchodziło, gdyż hiszpańscy policjanci nie rozumieli miejscowego narzecza. Matamoros mógł mówić do ludu, co mu się podobało, i on jedyny był mścicielem swego narodu wobec najeźdźców za ich zdzierstwa i niesprawiedliwości.

Wenecja zanadto ważną rolę odgrywała pomiędzy państwami włoskiemi, aby nie miała mieć swego przedstawiciela w Commedia dell'arte. Scena potrzebowała także człowieka wytrawnego, starszego, któryby był komicznym ojcem. Stał się nim Pantalone i przeszedł do potomności jako wynalazca ważnej części męskiego ubrania. Pantalone był zawsze weneckim kupcem, mieszczaninem ze wszystkiemi śmiesznościami, właściwemi mieszkańcom handlowego i wojowniczego miasta. Typ ten nazwano zapewne według patrona Wenecji św. Pantaleona, a może i według przezwiska, które lud wenecki dawał swoim patrycjuszom. Senatorowie, gdzie mogli, podbijali ziemie i miasta, a gdziekolwiek osiedli, wmurowywali swego lwa z marmuru, nazywano ich też Pianta-leone.

Pantalone występuje w brunatnej masce o długim nosie,

ma siwą brodę i włosy, czerwone, obcisłe ubranie i czarny płaszcz, strój kupców weneckich. Gra czasem rolę ojca, oszukiwanego małżonka, lub starego kawalera, chcącego się jeszcze podobać. Pomimo, że skąpy i niedowierzający, wpada często w sidła młodych kobiet. Lecz źle wyjdzie ta subretka, którą Pantalone zaprosi na obiad; każe podać minestrę, zamiast wina wodę z najbliższej studni i jaja na twardo, z których sam zjada żółtka, a białka daje swej towarzyszce, zapewniając ją, że zbytek jadła źle wpływa na żołądek. Arlekin jest często u niego służącym, a wtedy pan chce oszukać lokaja, a lokaj padrona.

Pantalon występuje czasem w roli aptekarza, ale nie zmienia swego charakteru; swych pomocników tak źle żywi, że z głodu wyjadają mu rozmaite nieszkodliwe ingredjencje lekarskie. Jeżeli odprawia służącego, to zawsze w południe, aby nie dać obiadu. Klientów wyzyskuje, jak może, sprzedaje im włoskie orzechy zamiast muszkatołowej gałki, a wysuszony torf zamiast proszku z goździków.

Shakespeare przedstawia Pantalona jako sześćdziesięcioletniego, chudego starca, z okularami na nosie i kieszeniami po bokach kaftana. Pończochy, które sobie sprawił w młodości, tak zaszanował, że teraz są zanadto szerokie na jego chude łydki. Głos miał dawniej silny, męski; teraz świszczy mu w gardle, jak u wyrostka.

Kupiec wenecki bywa oczywiście i bogatym człowiekiem, ma wspaniałe pałace i wille i nazywa się wtedy don Pantalone. Staje się doradcą dożów, członkiem Rady dziesięliu, lecz niebardzo się przydaje do wysokich urzędów i godności, każdą sprawę umie tak zawikłać, że z tego powodu zawsze powstają różnorodne spory, a nawet zawzięte bójki.

Wenecjanin przemienia się czasem w Bolończyka, zostaje uczonym, doktorem lub prawnikiem. Bolonja jako miasto profesorów musiało także mieć swego przedstawiciela na deskach teatralnych. Pantaleon-doktór należy, jak przystoi, do najznakomitszej akademji florentyńskiej «della Crusca», jest filozofem, astronomem, retorem i oddaje się czasem kabalistyce. Przedewszystkiem wszakże staje się pedantem, utrzymuje, że wszystko wie, wszystko czytał, ale mimo to nieuk



Pantalone

Według ryciny Callota w Albertynie we Wiedniu

Do str. 528



z niego, jakich mało, cytuje wprawdzie łacińskich autorów i najfatalniej te cytacje przekręca, Parkom każe być garderobianemi Wenery, a trzy Gracje są u niego bóstwami, które rządzą losami ludzi. Jako adwokat zajmuje się zazwyczaj sprawami, które mu nie zostały powierzone, a przed trybunałem tak długo i tak nudno mówi, że sędziowie zasypiają. Łacińskie i włoskie wyrazy zupełnie mu się pomieszały; nikt go zrozumieć nie może, a zniecierpliwiony tą gadaniną Arlekin kijem zaczyna okładać czarnego profesora.

Quand le docteur parle, l'on doute
Si c'est latin ou bas-breton,
Et souvent celui qui l'écoute
L'interrompt à coups de baton.

Mimo poważnego wieku i takiegoż brzucha chce się Pantalon podobać kobietom, wskutek czego naraża się na najzabawniejsze przygody. Sługi korzystają z jego słabości, wywodzą go w pole, co im się tem łatwiej udaje, że Bolończyk potrzebuje długiego czasu do namysłu, zanim zrozumie, w jaką wpadł kabałę. Ubrany zawsze od stóp do głów czarno i tylko duża kryza płócienna rozjaśnia cokolwiek jego doktorską postać.

Cztery maski: Pulcinella, Arlekin, kapitan i Pantalon stanowiły właściwe jądro komedji dell'arte i przeżyły wszystkie inne postacie, których było bez liku. Każdy zdolniejszy aktor chciał dodać jakiś typ do komedji, każde miasto rade było zobaczyć na scenie postać dobrze sobie znaną.

Typy te, jak figury w szachach, przedstawiały wprawdzie pewną stałą postać, ale pociągnięcia ich były niewiadome i niespodziewane. Aktorzy nabrali wielkiej wprawy w prowadzeniu dialogu; zazwyczaj godzinę przed przedstawieniem wywieszała dyrekcja arkusz papieru za kulisami, na którym była spisana w krótkich słowach treść komedji, a mała chwila wystarczała, aby się komicy pomiędzy sobą porozumieli, w jaki sposób ten scenarjusz wykonają. Mieli oni w pamięci mnóstwo konceptów, sentencyj, frazesów do miłosnych oświadczeń, wykrzykników na wyrażenie bólu lub rozpaczy, któremi się posługiwali w razie potrzeby. A gdy

którego z nich zawiodła przytomność umysłu, zaraz przychodził mu w pomoc arlekin z tak zwanemi «lazzi», komicznemi czynnościami, odwracającemi na chwilę uwagę publiczności od głównej akcji. Najpoważniejszą scenę przerywał arlekin jakimś zabawnym ruchem, przewracał koziołki, zaczął łapać muchy, których nie było, wyskakiwał na stół, zjadał wiśnie z kapelusza pustego i rzucał pestki w twarz poważnego Pantalona, słowem, płatał najrozmaitsze figle, pobudzające publiczność do śmiechu. Tymczasem akcja na scenie znowu się nawiązała i komicy prowadzili dalej rozpoczętą rozmowę. Zresztą ci ludzie byli urodzonymi komedjantami, a słynny Francuz, prezydent de Brosses, zauważył w swej podróży po Włoszech (1740), że nawet u osób tamtejszego wielkiego świata spotyka się taką żywość, taką przytomność umysłu, jaka się we Francji nie zdarza. Nazywa on Włochów «une nation comédienne».

V

Z końcem XVI i z początkiem XVII wieku natworzyło się mnóstwo kompanij komedjanckich. Aktorzy Włoch północnych zjeżdżali się zazwyczaj w poście, po karnawałowym sezonie w Bolonji, gdzie tworzyli nowe towarzystwa, obowiązując się dawać razem przedstawienia aż do przyszłego postu. Zwykle robili «une tournée» z Bolonji do Medjolanu, z Medjolanu do Genui, stamtąd do Florencji, a wreszcie do Wenecji, gdzie kompanja się rozwiązywała po karnawale. Większe kompanje szły do Rzymu i Neapolu, lecz Rzym miewał własne towarzystwa, tudzież komedjantów neapolitańskich, którzy uważali stolicę papieską za swój okręg.

Równocześnie z rozwojem tych wędrownych kompanij zaczęły prawie wszystkie większe miasta stawiać teatry, niektóre nawet duże i wspaniałe. Znakomici artyści dawali im rysunki do strojów, wskutek czego pierwotna prostota masek komedji dell'arte coraz bardziej znikała i tylko cztery najdawniejsze typy mniej więcej trzymały się tradycji.

Gonzagowie w Mantui, chcąc współzawodniczyć z Estami w Ferrarze, bardzo wcześnie, bo już w pierwszej połowie XVI wieku garnęli komików do Mantui. Mieli najprzód miejscowe towarzystwo żydowskich komików, które niekiedy z powodu ważnych «okazyj» dawało przedstawienia, a w połowie XVII wieku zawiązywały się pod patronatem markizów inne kompanje.

Najwięcej się przyczynił do rozwoju teatru w Mantui kardynał Ercole Gonzaga, ulubiony syn Izabelli d'Este, człowiek uczony i poważny, który umarł w roku 1563 jako prezydent koncyljum w Trydencie. Kardynał kazał w r. 1549 architekcie Bertoniemu wystawić teatr w Mantui, a odtąd komicy nie potrzebowali się mieścić po małych salach. Francesco Gonzaga, panujący markiz, nadzwyczaj lubił teatr, do czego, jakeśmy widzieli, najwięcej przyczyniały się piękne aktorki i śpiewaczki. Federigo Gonzaga z Gazuolo kochał się w signorze Flaminji i także popierał towarzystwo sceniczne, a listy Gonzagów dowodzą, do jakiego stopnia świat markizowski zajmował się teatrem. Gdy signora Vincenza starała się wydrzeć palmę pierwszeństwa Flaminji, cała Mantua podzieliła się na dwa obozy i w towarzystwie powtarzano raz po raz niby hasła wojenne: «Io sono della parte di Flaminia, et io della Vincenza».

Niebawem jednak, a mianowicie w kołach duchowieństwa zaczęła powstawać wielka opozycja przeciw komedjantom. W Wenecji nawet, w r. 1567, zakazała Rada dziesięciu na jakiś czas teatralnych przedstawień. Jezuici donieśli rządowi, że w łożach podczas reprezentacji odbywały się wielkie nieprzyzwoitości, «si operasse molte sceleratezze con scandalo». Jeden z Rady dziesięciu, Agostino Barberigo, bardzo w tej mierze popierał jezuitów. Rygory te zapanowały i w Mantui. Biskup zakazał zakonnikom chodzić na przedstawienia teatralne, a zakaz ten bardzo zaszkodził kasie towarzystwa, zazwyczaj bowiem uczęszczało około dwudziestu pięciu franciszkanów i dominikanów do teatru.

Pomiędzy kompanjami komików, które największy wywołały zapał w Mantui i w innych miastach Włoch północnych, było towarzystwo, zwane «Gelosi», które istniało już w r. 1569. W czasie przejazdu Henryka III Walezego (1574) grali Gelosi w Wenecji i wtedy zachwycała króla Vittoria Piis-

simi, rodem z Ferarry, najznakomitsza ówczesna artystka we Włoszech. Na scenie nosiła ona imię Fioretty. Garzoni, autor rodzaju encyklopedji pod tytułem «Piazza universale» powiada, że boska Vittoria, owa czarodziejka miłości, «bella maga d'amore», przemienia się na scenie, jakgdyby była inną osobą, ożywia serca tysiąca zakochanych swojemi słowami. Ta Syrena pełna słodyczy jest szczytem artyzmu, ma harmonijne, poważne ruchy, wymowę miękką, a nawet jej westchnienia działają, jak muzyka, słowem, posiada wszystkie zalety, któremi się powinna odznaczać wielka artystka. Natomiast zakonnik O. Ottonelli wymyśla na artyzm Vittorji, zowiąc go djabelskim podszeptem, gdyż pomaga szatanowi do zwycięstwa nad tysiącami dusz cnotliwych.

Gelosi byli zrazu w wielkich łaskach u mantuańskiego dworu; większość kompanij mieszkała w osterji «al Biscione», znakomitsi artyści w prywatnych domach. Dyrektorem towarzystwa był najprzód Flaminio Scala, który grywał role kochanków pod imieniem Flavio.

Gdy Henryk III powrócił do Francji i po walkach religijnych w państwie na chwilę pokój zapanował, przypomniał sobie o Vittorji i polecił swemu posłowi w Wenecji, panu Du Terrier, aby sprowadził Gelosich do Paryża. Towarzystwo aktorskie nie mogło zaraz uczynić zadość królewskiemu życzeniu i dopiero 25 stycznia r. 1577 przybyło do Blois, gdzie wszyscy książęta krwi i cały dwór był zgromadzony. Podróż Gelosich nie obeszła się bez wielkich przykrości, w drodze bowiem napadli na nich Hugenoci, zabrali artystów do niewoli i dopiero król wykupił ich za dość wysoką sumę. Hugenoci nie musieli im wszakże zabrać ubiorów teatralnych, gdyż Gelosi mogli grać komedję w sam dzień przyjazdu, i to w sali «des Estats», w sali stanów państwa. Na wiosnę udali się do Paryża, gdzie takie mieli powodzenie, że, jak powiada naoczny świadek, «czterech najlepszych kaznodziei nie znalazłoby tylu słuchaczy na swoich kazaniach, co ci włoscy komedjanci». Członkowie parlamentu nie podzielali zamiłowania króla i publiczności do komedji, utrzymując, «że Gelosi uczą tylko zepsucia i niewierności małżeńskiej i są szkołą rozpusty dla młodzieży paryskiej obojga płci». Król jednak

był innego zdania i pozwolił Włochom grać w Hôtel de Bourbon, który przytykał do Louvru.

Po występach paryskich rozdzielili się Gelosi; część ich została we Francji, a część udała się w r. 1577, pod dyrekcją Drusiana Martinelli, do Londynu, gdzie dawała przedstawienia ku wielkiemu zadowoleniu królowej Elżbiety. Błazen królowej, Tarleton, tak się wyuczył ich sposobu grania, że później urządzał także «commedie all'improviso», podobne do włoskich. Martinelli został ze swojem towarzystwem prawie dwa lata w Anglji, a następnie udał się ze swoim bratem Tristanem, sławnym arlekinem, do Hiszpanji.

Kompanja Gelosich rozprószyła się więc narazie i dopiero książę Vincenzo Gonzaga z Mantuy skupił znowu ich towarzystwo w r. 1583, zasilając je jak najlepszymi aktorami z innych kompanij. Na czele trupy postawił książę Franceska Andreiniego i jego żonę Izabellę, najsławniejszą może artystkę włoską z końca XVI wieku.

Ów Andreini był zajmującą postacią. Urodzony w Pistoi około r. 1548, wstąpił w młodzieńczych latach do marynarki; służył na galerach toskańskich, ale podczas jakiejś wyprawy morskiej wzięli go Turcy do niewoli. Ośm lat był u «niewiernych», poczem udało mu się uciec; wróciwszy do ojczyzny został aktorem i ożenił się w r. 1578 z młodą artystką, Izabellą z Padwy. Z początku grał role kochanków, lecz później bardziej mu się podobał typ kapitana; wdział więc maskę żołnierza samochwała i nazwał się «Capitan Spavento della Val d'Inferno». Na przełomie wieku XVI na XVII został Andreini wraz ze swoją kompanją wezwany na występy do Francji, gdzie wielkie święcił triumfy. Opowiadał on niestworzone rzeczy o swoich przygodach w odległych krajach, a pomiędzy innemi o romansie z «wielką infantką Paflagonji, córką króla niższej Ingantyny, gdzie Nil, spadając z katarakt, ogłusza mieszkańców na sto mil wokoło». Ów cesarz Etjopji miał czarną i głuchą córkę, ale mimo to dwieście razy piękniejszą od najbielszej Germanki, «Ta czarująca istota zajęła się mną, powiada Andreini, kochaliśmy się milcząco tak, że mnie synem miała obdarzyć. Gdy rodzice spostrzegli, co się stało, chcieli mnie zmusić do małżeństwa, a dla zachęty

weszli do mojego pokoju ze skarbnikiem, który w dwóch workach niósł posag 60.000 cekinów. Gdym jednak spostrzegł ich zamiary, straszny mnie gniew porwał na myśl, abym miał czarną żonę prowadzić do ołtarza. Krew zaczęła mi kipieć w żyłach, całe ciało, wszystkie nerwy, nawet kości się naprężyły, twarz się zaciemniła, jak niebo na burzę, włosy, brwi stanęły, jakby lance, oczy obracały się, jak kamienie młyńskie, nos mój się najeżył, usta się zacięły, szyja się wyciągnęła, ręka stała się drapieżną, cała postać się nadęła, pieniłem się i wydawałem straszne głosy, podobne do echa piorunu, odbijającego się o ściany głębokiej otchłani. I cóż się stało? — czarni władcy uciekli z przerażenia, a biedna dziewczyna ze strachu powiła pierwej, niż wypadało, małego króla, siedzącego już na tronie, z berłem w rączce i w koronie na głowie».

Sławniejsza jeszcze od męża była Izabella, która się zapisała w historji komedji dell'arte jako najznakomitsza artystka. Posiadała wszystkie zalety pierwszorzędnej gwiazdy teatralnej: odznaczała się wielką urodą, była bardzo wykształcona, miała nadzwyczaj dobre ułożenie, a nawet była niepospolitą śpiewaczką.

Izabella występowała na scenie, począwszy od r. 1587, a w wolnych chwilach pisała poezje, jak na ówczesny smak wcale udatne, które wydała w Medjolanie w r. 1601 do tytułem «Canzoniere». Największem jej literackiem dziełem jest pasterski poemat «La Mirtilla» [1]), na którym się podpisała «comica gelosa». Akademja «Intentich» w Pawji przyjęła ją do swego grona i tam przybrała imię Accesa (zakochana). W Rzymie o mało, że ją nie uwieńczono jako wielką poetkę, portret jej został umieszczony pomiędzy portretami Petrarki i Tassa podczas bankietu, który dla niej wyprawił kardynał Aldobrandini. Zastosowano do niej słowa Arjosta, które poeta kładzie w dwudziestej dziewiątej pieśni Orlanda w usta Stwórcy: «Chcę, aby na przyszłość wszystkie kobiety, które noszą imię Izabelli, były szlachetnego umysłu, pełne urody i wdzięku i rozumu, aby były sławione na Parnasie i Helikonie i aby to imię zawsze miało piękny dźwięk: Izabella, Izabella».

[1]) La Mirtilla. Favola pastorale, Verona 1588.

Współcześni poeci, Tasso, Marino, Chiabrera opiewali jej artyzm i urodę, najgorsze języki nie mogły znaleźć powodu, aby ją oczernić; otoczono też Izabellę świetlaną aureolą najczystszej poezji. Coprawda, nie miała powodu iść w ślady innych «komedjantek», kochała bowiem męża i miała z nim aż siedmioro dzieci, pomiędzy któremi cztery córki. Jedną z nich przyjęła wielka księżna toskańska na swój dwór, druga wychowywała się u Gonzagów w Mantui, najstarszy syn został sławnym aktorem pod imieniem Lelia i napisał cały szereg komedyj, granych na scenach włoskich w XVII wieku. Andreini uwielbiał swoją żonę, mówił o niej, że jest «bella di nome, bella di corpo e bellissima d'animo» i nazwał ją «monarchessa delle donne belle e virtuose».

Największe triumfy święciła jednak Izabella wraz z całem swem towarzystwem we Francji. Henryk IV bawił po ciężkiej chorobie w Fontainebleau, trupa włoskich komików rozrywała go, a cały dwór był grą ich zachwycony. Od grudnia r. 1603 do kwietnia r. 1604 dawali Gelosi przedstawienia w Paryżu, gdzie natrafili już na mniej nieprzyjazne usposobienie, jak dawniej. Izabella stała się tak popularną, że dla większego zadowolenia dawano niektórym komedjom tytuły, ozdobione jej imieniem: «La fortunata Izabella», «Izabella astrologa», «Le burle d'Izabella», «La gelosa Izabella», «La pazzia d'Izabella» i t. p. Mnóstwo poetów przygodnych siliło się uczcić włoską artystkę swemi wierszami; pomiędzy innymi Isaak de Ryer, wynosząc ją pod niebiosy, napisał:

Je ne crois point qu'Isabelle
Soit une femme mortelle,
C'est plutôt quelqu'un des Dieux
Qui s'est déguisé en femme
Afin de nous ravir l'âme
Par l'oreille et par les yeux.

W kwietniu r. 1604 pozwolił król Gelosim powrócić do Włoch, a królowa osobnym listem gorąco poleciła Izabellę księżnie mantuańskiej. Młoda jeszcze artystka nie miała już

skorzystać z tego polecenia i cieszyć się w ojczyźnie sławą, którą we Francji pozyskała. W drodze, w Lyonie, niespodziewanie ciężko zachorowała i umarła tam 11 czerwca 1604 r. Całe miasto wzięło udział w pogrzebie, a nawet biskup pozwolił umieścić w kościele św. Krzyża kamienną tablicę, przekazującą potomności pamięć wielkiej artystki. W aktach parafjalnych zapisano, że «Elżbieta (Izabella) Andreini została tam pochowana, artystka, którą powszechnie uważano za jedną z najrzadszych kobiet na świecie, tak z powodu uczoności, jak i znajomości kilku języków». Na cześć zmarłej wybito medal, noszący jej popiersie i napis: «Aeterna fama».

Francesco Andreini tak dalece odczuł śmierć ukochanej towarzyszki, że powróciwszy do Mantuy, ustąpił ze sceny i zajmował się odtąd tylko układaniem scenarjuszy; napisał też książkę «Le bravure del capitano Spavento», która się doczekała kilku wydań. Ta książka dowodzi, że Spavento miał bardzo bujną wyobraźnię. I tak w skromności swej opowiadał, że w ciągu jednej nocy udało mu się wprowadzić przeszło dwieście panien w stan, pociągający za sobą ważne następstwa, albo chwalił się, że jego szpadę ukuł sam Wulkan i darował ją Wielkiemu Przeznaczeniu. Z rąk Wielkiego Przeznaczenia przeszła cenna broń w posiadanie Kserksesa, Cyrusa, a następnie Darjusza i wielu innych mocarzy. Wkońcu Cezar gromił nią armje nieprzyjacielskie.

W braku Andreiniego zabrał się sam książę Wilhelm mantuański do zorganizowania nowego towarzystwa aktorów, zdawało mu się bowiem, że jego honor wymaga, aby «Komedjanci księcia Mantuy» uważani byli za najlepsze towarzystwo teatralne w całej Europie.

To też gdy Henryk IV francuski i Marja de'Medici zapragnęli znów mieć włoskich komedjantów, wyprawił książę mantuański do Paryża nową, wyborną trupę, która dorównywała prawie «Gelosim». Rokowania dworu francuskiego z Gonzagami trwały prawie dwa lata, wreszcie mogli komedjanci przybyć w r. 1608 do Paryża. Nie było rzeczą tak łatwą skłonić aktorów do dalekiej podróży, gdyż niektóre artystki nie chciał się narażać na niewygody dalekiej podróży, inne

miały nadzieję pomnożenia świata aktorskiego nowemi latoroślami, a wreszcie nie można było znaleźć dobrego arlekina. Wreszcie mógł «Wincenty, z Bożej łaski książę na Mantui i na Montferracie» napisać list do Henryka IV, że «po wielkich trudnościach udało mu się złożyć towarzystwo komedjantów pod dyrekcją Frittellina i jego żony signory Flaminji, która się już odznaczyła nietylko we Włoszech, ale i na dworze cesarskim». Trupa ta nosiła nazwę «Comici uniti».

Aktorki miały słuszność, obawiając się dalekiej drogi, podróż bowiem wypadła w tak straszną zimę, jakiej nie pamiętano we Francji. W przeciągu jednego miesiąca wymarło więcej ludzi z powodu zimna, aniżeli gdyby morowa zaraza była panowała. Henryk IV kazał palić ognie po ulicach Paryża, aby ubodzy mogli się ogrzewać. Mimo to Włosi przybyli zdrowi na dwór francuski, ku wielkiemu zadowoleniu Ich Królewskich Mości i w wielkim poście dawali przedstawienia.

Frittellino nazywał się właściwie Pier-Maria Cecchini, rodem był z Ferrary i wykształcił się na scenie Wilhelma Gonzagi. Mógł też pisać do Fernanda Gonzagi, «że służył mu swym talentem jeszcze wtedy, kiedy go księżna w swem łonie nosiła i spodziewa się służyć jego dostojnej małżonce w podobnych okolicznościach». Frittellino był wybornym aktorem, a przytem człowiekiem bardzo wykształconym i miłym towarzyszem. Grając w r. 1613—1614 na dworze cesarskim, pozyskał sobie powszechną sympatję, a cesarz go tak polubił, że mu nadał szlachectwo dyplomem z 12 listopada 1614 r. Z żoną jednak żył mniej szczęśliwie jak Andreini, gdyż signora Flaminia była niespokojnego usposobienia, kapryśna, a co gorsza, chętnie zawiązywała stosunki, z których małżonek nie mógł być zadowolony. Biedak skarżył się też w jednym z listów, pisanych do Gonzagi, że z powodu żony nie ma ani jednej godziny szczęścia, «di beato». Aktorką była jednak Orsola Cecchini wyborną, gdziekolwiek się ukazała, przyjmowano ją grzmotem oklasków. Włoscy literaci wydali w r. 1608 zbiór poezyj, pisanych na cześć pięknej Cecchini.

Do trosk i niepokojów Frittellina przyczyniała się jeszcze druga artystka w jego trupie, słynna Baldina, w której się

kochał arlekin, Tristano Martinelli. Pomiędzy Orsolą a Baldiną powstawały ciągle kłótnie o role, które doprowadzały do scen tak namiętnych, że koledzy aktorzy obawiali się, aby te dwie rywalki oczu sobie nie wydrapały.

Mimo tych trosk domowych miał Frittellino jeszcze dość czasu, aby pisać książki, z pomiędzy których miały wielkie powodzenie jego «Lettere faceti e morali», oczywiście bardziej zabawne, aniżeli moralne.

Triumfom, jakie zdobywała mantuańska trupa w Paryżu, mogli się osobiście przypatrzyć książę Gonzaga i jego syn Don Vincenzo, gdyż przybyli tam w r. 1608. Do jakiego zaś stopnia komedjanci byli popularni, dość powiedzieć, że Don Vincenzo przybierał jako hasło, którem się legitymował wobec gwardji królewskiej, nazwy, jak «Fridolin», «Colo» lub «Stefanello», imiona komedjantów.

Po zamordowaniu Henryka IV sprowadziła królowa Marja de'Medici, jako rejentka, inne towarzystwa włoskich komedjantów do Francji, pomiędzy nimi Tristana Martinelli, który zyskał europejską sławę. Martinelli występował już poprzednio w Paryżu w trupie Frittellina i doprowadził w roli arlekina do takiej doskonałości, że się podpisywał «Dominus Arlechinorum». Adresował listy do królowej rejentki «A la Reine ma commere, Arlechino compadre trés-chrétien», o co Marja de'Medici wcale się nie obrażała, odpowiadając mu «A Harlequin mon compère». Później wymyślił Martinelli jeszcze śmielszy tytuł dla królowej, nazywając ją w listach «kumą kurą», «commadre Gallina», «Regina di Galli oltramontani». Komedjantom wszystko było wolno, tak jak dawniej błaznom. Również kardynał Ferdynand Gonzaga nie brał Martinellemu za złe, jeżeli komik mu adresował «Illustrissime signore compère», a Francesco Gonzaga nawet bardzo się cieszy, otrzymawszy list od artysty z napisem. «Cosinissimo cosin e compadre nostro carissimo».

Miał zresztą Martinelli słuszność, jeżeli «comperami» nazywał panujących, gdyż sławne komedjantki i komedjanci włoscy byli «pokumani» prawie ze wszystkimi panującymi rodami na półwyspie. Wielcy panowie i znakomite panie miały sobie niejako za modny zaszczyt trzymać do chrztu dzieci komedjantów i niemi się opiekować. Malherbe, który nie lubił włoskich aktorów, złośliwie zapisał w swych notatkach pod dniem 27 stycznia 1614: «Cette après dinée le Roi et Madame ont tenu l'enfant d'Harlequin». Ponieważ zaś rodziny włoskich komedjantów zazwyczaj obfitowały w liczne potomstwa, więc i tego rodzaju ich związki z panującymi bardzo się mnożyły.

Flaminio Scala, dyrektor towarzystwa Gelosich, wydał zbiór scenarjuszów, zawierających krótką treść granych sztuk i rozkład na sceny. W tej książce jest także spis przyborów, jakich potrzeba do każdej komedji, a przybory to wcale zajmujące. I tak, do jednej z komedji potrzeba kijów do bicia się, dużo latarń, żywej kotki i żywego koguta; do innej należy mieć w pogotowiu cztery psy myśliwskie i naczynie, które się stawia pod łóżkiem, napełnione białem winem; do trzeciej wreszcie trzeba sprawić dobrze zrobiony księżyc, który się wznosi na horyzoncie.

Treścią prawie wszystkich sztuk była miłosna intryga. Miłość panuje na scenie, uczucie namiętne, z którem się nikt nie ukrywa, wyraźne, o którem się mówi otwarcie, bezwzględnie. Krew południowa nie umie się w tej mierze hamować, nikt się nie wstydzi swych sercowych porywów. Przeszło wiek później opowiada Stendhal, pisząc o Rzymie, że kobiety wyższego świata każą nieraz służącemu odprawić każdego, ktoby je chciał odwiedzać, oświadczeniem, że pani nie przyjmuje, gdyż jest zakochana, «la signora e innamorata». Otóż ta otwartość uczuć do setnej potęgi podniesiona, panuje w komedji dell'arte i stwarza nieraz sceny, które powtórzyć się nie dadzą.

Aktor, znany pod nazwą Scaramuccia, o którym mówić będziemy, grywał tytułową rolę w sztuce według niego nazwanej «Scaramuccia eremita», «Scaramuccia pustelnik». Chodziło mu w tej komedji głównie o wyśmianie zakonników, którzy udają ascetów. Ma on stosunek z jakąś mężatką i w ciemną noc wchodzi do niej po drabinie na balkon i znika za drzwiami. Po chwili pojawia się na balkonie i z odpowiedniemi minami oznajmia publiczności, że «questo e per

mortificar la carne», że to tylko umartwienie ciała. Usprawiedliwszy się w ten sposób, schodzi po drabinie i gra dalej.

Większość przedstawień Gelosich składa się z fars, burl, pełnych scen nocnych, przebierań się, pomyłek co do osób, dwuznaczników, błazeństw i nieprzyzwoitości. W komedji «Cavadente» Pantalon i jego syn Orazio kochają się w Izabelli. Orazio i całe otoczenie, chcąc starego Pantalona usunąć, wmawia w niego, że ma oddech zatruty z powodu zepsutych zębów i że przecież nie może starać się o rękę Izabelli, dopóki tej brzydkiej przeszkody nie usunie. Pantalon zgadza się, aby mu zęby powyrywano. Jako dentysta, «Cavadente», występuje przebrany arlekin, wyrywa Pantalonowi aż trzy zdrowe zęby, gdy jednak zabiera się do czwartego, pacjent z bólu chwyta go za brodę. Przybrawiona broda zostaje w ręku Pantalona, który poznaje zdradę, goni za arlekinem, ale rzekomy dentysta ratuje się ucieczką. Pantalon został wyleczony z miłości do Izabelli.

Podobnie jak uczeni, jak poeci, walczył i teatr z Arystotelesem, z pedantami. Jeszcze Giordano Bruno napisał w roku 1592 komedję pod tytułem «Il Candelaio, commedia del Bruno Nolano, achademico di nulla achademia, detto il Fastidio», «Fabrykant świec, komedja Brunona z Noli, akademika żadnej akademji, przezwanego Nudą». Głównemi postaciami są w tej komedji Bonifacy, śmieszny kochanek, alchemik Bartolomeo, brudny skąpiec i Mamfurio, uczony głupiec, dla którego prócz Arystotelesa niema nikogo na świecie. Mamfurio przeplata co chwila swą niedorzeczną gadaninę jeszcze niedorzeczniejszą łaciną.

Odtąd uczony pedant nie schodzi ze sceny i nie było towarzystwa komików, któreby nie przedstawiało go pod postacią doktora. Nawet w operach występuje pedant. Ma on osobny swój język, a w melodramacie «La Ferinda», w którym śpiewają artyści aż w siedmiu zepsutych narzeczach, w złej niemczyźnie, złej francuzczyźnie, w weneckiem, neapolitańskiem, genueńskiem i ferrarskiem narzeczu, uczony popisuje się własnym, pedancko-łacińskim językiem.

Wogóle niema prawie komicznego typu, któregoby się nie spotkało w Commedia dell'arte; nawet praojcowie Don



Scaramuccia
Według ryciny H. Guerarda

Do str. 541



Quixota i Sancho Pansy przeszli przez włoskie sceny. Komiczna sprzeczność pomiędzy chimerykiem-idealistą a prostakiem, widzącym przed sobą tylko tłustą szynkę i fiasco dobrego wina, dawno przed Cervantesem wyzyskaną została przez włoskich komików. Przykładem tego komedja «Affamato», w której główną postacią jest wiecznie głodny żarłok. Woła on ciągle, że głodny, że umiera z pragnienia, pomimo, że wstał dopiero od obfitego obiadu. Opowiada tylko o wielkich festynach i ślubnych ucztach, podczas gdy «kapitan», poprzednik Don Quixota, marzy o zamorskich wyprawach, o nadzwyczajnych zdarzeniach, opisuje, jak powalił olbrzymów jednem cięciem i jakie cudowne księżniczki uwolnił od dzikich rycerzy lub niebezpiecznych czarodziejów. W jednej z komedyj, którą grywali «Gelosi», opowiada «capitano» o piecach w Lombardji, które tam robią na wzór paszczy «Affamata» i twierdzi, że żołądek jego trawi z łatwością najgrubsze kości. W Affamacie czuć już Johna Falstaffa. Zasada zostawała ta sama, typy wszakże ją przedstawiające zmieniły się stosownie do prądów czasu i do narodowości.

VI

Rzec można, że ojcem Moliera był jeden z najsławniejszych artystów komedji dell'arte, Scaramuccia; wpłynął on bowiem niemało na rozwój wielkiego francuskiego komedjopisarza.

Scaramuccia podpisywał się pod własnym portretem, że jest synem warjata i gęsi o trzydziestu jajach, a gdy go raz zapytano, jak się nazywa, odpowiedział, niedługo się namyślając: «Il mio nome è Scaramuzza Memeo Squaquera, de civitate Partenopenii, figlio di Tammero e Cotummero Cocumero Cetrulo, a de Madama Papera Trentove, e parente de messere unze, dunze, e trinze e quiraquarinze, e de nacchete Stacchette conta cadece; e de Tabuna, Tabella, Casella, Pagana, Zurfana, Minoffa, Caloffa e dece Minece...»

Oprócz tego fantastyczno-niedorzecznego rodowodu wiemy cokolwiek i o prawdziwem pochodzeniu sławnego komika.

Ojciec jego nie był warjatem, ale kapitanem konnicy w wojsku neapolitańskiem, który musiał uciekać z ojczyzny z powodu popełnionego morderstwa. Znalazłszy się na obczyźnie, bez utrzymania, z dwojgiem dzieci, udawał szarlatana i sprzedawał mitridatę. Scaramuccia był drugim jego synem, urodził się w r. 1608 i od kołyski odznaczał się niezwykłą żarłocznością. Trzymano mu dwie mamki, bo jedna nie wystarczała, aby zaspokoić głód malca, gdy zaś dorósł, wykradał z mieszkania, co mógł i sprzedawał, aby sobie kupować chleb i wino. Ojciec go też wypędził z domu, a ośmnastoletni wówczas wyrostek znalazł się w Rzymie, głodny i odziany, w grudniowe zimno, tylko krótkim, jedwabnym płaszczykiem. W modzie było wówczas zażywanie tabaki; pomysłowy chłopak stanął więc przed sklepem z tabaką i każdego, kto wychodził, prosił o szczyptę cennego proszku. Gdy mu grzecznie podano tabakierkę, nabrał, jak mógł, najwięcej we dwa palce, a pięknie podziękowawszy, schował szczyptę do trąbki z papieru. W ten sposób nazbierał dość dużo tabaki przez cały dzień i wieczorem ją tanio sprzedawał temu samemu kupcowi, przed którego sklepem wymyślił łatwy zarobek. Sztuka jednak nie trwała długo, Scaramuccia sięgnął zanadto głęboko w tabakierkę jakiegoś papieskiego Szwajcara, miał z nim krwawe zajście i musiał uciekać do Civitâ vecchia. Po różnych przygodach, po głodnych i chłodnych dniach dostał się Tiberio Fiorelli, bo tak się nazywał młody Neapolitańczyk, do Fano w Romanji, gdzie nie mając środków utrzymania, wstąpił do trupy komedjantów, i przybrał imię Scaramuccii, wznawiając typ sceniczny, znany już w Neapolu, typ przedstawiający awanturnika samochwała i pędziwiatra, człowieka lekkich obyczajów. Scaramuccia występował zupełnie czarno ubrany, co wywołało później powiedzenie Moliera w jednej z jego komedyj, że «Le ciel s'est habillé ce soir en Scaramouche».

Gdy się aktorzy w Fano spytali przybysza, w jakiej sztuce chce wystąpić, wybrał komedję, w której się jada na scenie. Oszczędny dyrektor podał mu podczas pierwszego przedstawienia tylko twarde jaja zamiast spodziewanego obiadu; gdy jednak nowy artysta zyskał sobie rzęsiste oklaski swemi komicznemi ruchami i swą niezwykłą mimiką, dostał

następnym razem smacznie upieczonego indyka. Odtąd wędrował Scaramuccia od miasta do miasta i wszędzie miał niesłychane powodzenie; w Palermo przybrał sobie towarzyszkę życia, Izabellę del Campo, młodą, przystojną dziewczynę, lecz wielką grymaśnicę, pomimo, że była córką ubogiej wdowy. Izabella występowała także na scenie pod imieniem Marinetty w rolach subretek, a że miała zgrabną i miłą postać, więc się publiczności bardzo podobała.

Scaramuccia zaszedł i do Rzymu, gdzie go tak polubiono, że po jakiemś udanem przedstawieniu bogaty principe darował mu karetę, zaprzężoną sześcioma końmi, w dowód swego zadowolenia. Tam powiła Marinetta pierwszego syna, Silvia, a kardynał Fabio Chigi, późniejszy Aleksander VII, trzymał dziecko do chrztu. Kardynał był skąpy i chrzestnika niczem nie obdarzył. Scaramuccia znalazł jednak sposób, aby zmusić Chigiego do hojności. We dwa tygodnie po chrzcie grał Fiorelli ze swojem towarzystwem u królowej Krystyny, gdzie pomiędzy gośćmi znajdował się także i kardynał. Podczas przestanku, pomiędzy aktami, wybiegł niespodziewanie Scaramuccia na scenę, a zwracając się do Chigiego, zawołał: «Miracolo, miracolo eminentissimo Signore!» «Wasz chrzestnik już przemówił!»

— Co się stało? czemu tak solennie to oznajmiasz? — zapytała zaraz królowa.

— Dziecko zaczęło się skarżyć, że Eminencja nie dał mu żadnego podarunku.

Kardynał się uśmiechnął, a nie chcąc, aby myślano, że mu przymówka Scaramuccii jest nieprzyjemną, zdjął diamentowy pierścień z palca i podając go komedjantowi, dodał, że dziecko chyba teraz się uspokoi.

Scaramuccia umiał się każdemu przypodobać swemi dowcipami i niezwykle komicznemi gestami. Śpiewał, grał na wszystkich instrumentach, przewracał koziołki, pisał udatne wiersze, a w mimice nikt mu nie dorównał. Ktoś w Rzymie powiedział o nim: «Scaramuccia non parla e dice gran cose», «Scaramuccia, ust nie otwierając, dużo mówi». U wielkiego księcia tokańskiego odrazu pozyskał łaski, gdy mu zaśpiewał przy akompanjamencie gitary piosnkę o zakocha-

nym ośle, udając po każdej strofie ryczenie szlachetnego długoucha:

L'Asinello inamorato,
Canta, è raggia a tutte l'hore.
Pare un musico affamato,
Quando narra il suo dolore,
E cantando d'amor va,
Ut re mi fa sol la.
(Ryczy).

Quando vede l'asinella
Canta, all'hor con voce acuta,
Pare un maestro di capella,
Quando batte la battuta:
E cantando d'amor va,
Ut re mi fa sol la.
(Ryczy) i t. d.

Przyjaźń wielkiego księcia wyszła mu widocznie na dobre, gdyż kupił sobie spory kawał ziemi i willę za bramą «Poggio imperiale» i osadził w niej później swoją Marinettę, gdy miała pięcioro dzieci i już się mu bardzo znudziła.

Kardynał Mazarin lubił włoski teatr i jak tylko został ministrem po śmierci Richelieugo (1642), sprowadzi zaraz do Paryża trupę komików, zwaną «Fedeli», do których należał także Tiberio Fiorelli. Tiberio zabrał ze sobą i Marinettę, wówczas jeszcze młodą, która na wstępie do Francji powiła mu syna. Trzymali go do chrztu kardynał Mazarin i królowa Anna Austrjaczka, rejentka Francji. Królowa bardzo polubiła Fiorellego-Scaramuccię, a początek tej sympatji był następujący. Dwuletni wtedy dauphin, późniejszy Ludwik XIV, był niegrzecznym dzieciakiem i tak się raz rozgrymasił, że nikt go nie mógł uspokoić; zawołano Scaramuccię, który wziął malca na ręce i takie mu stroił miny, że dziecko nietylko przestało płakać, ale się nawet rozbawiło i z uciechy podarło kaftan na Scaramuccii. Odtąd zawsze wzywano komika, ile razy nie można sobie było dać rady z niegrzecznym Ludwikiem. Scaramuccia przychodził dla większej zabawy z gitarą pod pachą, w towarzystwie psa, kota, małpy i papugi, które tak wyuczył, że mu wtórowały na jego koncercie. Śpiewał

piosnkę «L'asinello innamorato» i drugą o kocie «Il gatto castrato»; królowa i całe otoczenie wybuchało śmiechem, a mały król był w dobrym humorze.

Towarzystwo «Fedelich» zostawało pod dyrekcją Józefa Bianchi, grywającego role kapitana, pod nazwą «Spezzafera», a do kompanji należał także słynny Trivelin, Domenico Locatelli. Towarzystwo miało ze sobą trzy śpiewaczki, gdyż przedstawiało nietylko komedje i sztuki liryczne, ale i opery, jak wówczas we Włoszech było w zwyczaju. «Fedeli» jednak nie stali już na wysokości «Gelosich». Od nich rozpoczął się powoli upadek komedji «dell'arte», za wiele bowiem przywiązywali wagi do dekoracyj i do rozmaitych zabawnych dziwactw. Przedstawiali pomiędzy innemi sztukę, w której pierwszy akt był komedją, drugi sielanką, a trzeci tragedją. Sielankę grali centaury, ojciec, matka, syn i córka. Małżeństwo centaurów dąży do odzyskania korony królestwa Cypru, które dawniej należało do ich rodziny; gdy jednak po rozmaitych przygodach nie może dojść do upragnionego celu, odbiera sobie życie z rozpaczy, a mała centaurka wstępuje na tron.

Aby móc przedstawić tego rodzaju nadzwyczajności na scenie trzeba było posunąć sztukę dekoracyjną do wysokiego stopnia, mieć rozmaite maszyny i przyrządy. Włosi celowali w tej mierze od dawna; jeszcze za czasów Odrodzenia położył Petrucci podstawy pod nowoczesną maszynerję sceniczną, a rozwinęli ją uczniowie mistrza.

«Fedeli» występowali kilka lat w Paryżu i dopiero z początkiem r. 1648 wrócili do Włoch, gdyż we Francji nastały czasy niespokojne, rewolucja Frondy. W r. 1653 powrócili jednak do Paryża i dawali przedstawienia w teatrze Petit-Bourbon ku wielkiemu zadowoleniu młodego króla, królowej matki i całego dworu. Wtedy to grywał i Molière ze swoją trupą francuską w tym samym teatrze naprzemian z Włochami i miał sposobność poznać ich komedje i ich sposoby sceniczne.

Podczas swego pobytu w Paryżu jeździł Scaramuccia dwa razy do ojczyzny, jak się zdaje, z polecenia królewskiego, aby sprowadzić nowych aktorów. Za pierwszym razem odprowadził do Florencji swoją Marinettę, która już

więcej nie występowała na scenie, po kilku latach jednak stęsknił się za nią i pojechał ją odwiedzić w r. 1668. Wyjeżdżając w daleką drogę, żegnał zamożnych znajomych w Paryżu i każdego prosił, aby mu na podróż przysłał parę butów. Otrzymał też tyle obuwia, że, jak utrzymuje jego współczesny biograf Mezetin, sprzedał tyle butów, żeby mógł w nie ubrać cały oddział konnicy.

Uciecha z powodu powitania Marinetty po kilkuletniem niewidzeniu nie trwała długo; Palermitanka stawała się na starość kapryśną, przytem nie umiała się rządzić, była rozrzutną, a że Fiorelli wpadał w przeciwieństwo i kieszeń coraz bardziej ściskał, więc małżeństwo codziennie się sprzeczało, a komik czekał tylko sposobności, aby znowu uciec do Paryża, jak najdalej od swojej połowicy. Dwa lata tylko wytrzymał pod rodzinnym dachem, w r. 1670 był znów we Francji, witany wierszem i prozą. Publiczność garnęła się na włoskie przedstawienia, towarzystwo Moliera coraz mniejsze miało dochody i dopiero gdy francuski komedjopisarz wystawił w jesieni r. 1670 swego «Bourgeois gentilhomme», znowu kasa francuskiego teatru zaczęła się zapełniać, bo sztuka miała nadzwyczajne powodzenie.

Tymczasem sześćdziesięcioletni Fiorelli, wyniósłszy niezbyt dobre wspomnienia po swej Marinecie, zakochał się w Paryżu w jakiejś Annie Doffan, zawiązał stosunek z subretką i miał z nią nawet syna w r. 1673. Widocznie stary komik udawał, że włoska żona nie żyje, gdyż w metryce zapisano małego Tyberjusza Franciszka jako syna Fiorellego, Neapolitańczyka, i Anny Doffan, «jego żony». Stary komedjant był jednak w swych miłostkach niestały, gdyż, mając już lat siedmdziesiąt dwa, około r. 1680, zakochał się znowu w dwudziestodwuletniej gryzetce, Marji Duval; chcąc, jak się wyraził, «uratować sierotę od rozwiązłego życia», zabrał ją do siebie i obiecywał, że się z nią ożeni po śmierci swej Marinetty. Za tę obietnicę wywdzięczyła mu się gryzetka córeczką, której dano na chrzcie imiona Anny i Elżbiety, i poświadczono, że jest córką Tiberia Fiorelli, królewskiego oficera i szlachcica neapolitańskiego i znowu «jego żony«, panny Marji Duval. Widocznie wtedy niezbyt ściśle prowadzono kościelne metryki, skoro Fiorelli mógł w przeciągu siedmiu lat zapisać w parafji dwie żony, z których żadna nie była z nim zaślubioną, gdyż prawdziwa małżonka żyła jeszcze we Florencji.

Pannie Duval znudziło się jednak wkrótce pożycie ze starym skąpcem, uciekła więc do Anglji z jakimś młodszym kochankiem, który ją w drodze porzucił. Niebawem też wróciła do Scaramuccii «z niedającemi się zaprzeczyć oznakami swej niewierności». Mimo to przyjął ją komik w swój dom, a co więcej, wkrótce się z nią ożenił, gdyż Marinetta we Włoszech tymczasem umarła. Owa gryzetka pomściła jednak Marinettę i wszystkie inne kobiety, które Scaramuccia kiedykolwiek zdradził. Nieszczęśliwy starzec musiał co chwilę udawać się do komisarza dzielnicy Saint Eustache, aby go bronił przed straszną kobietą, która go bije, kłuje szczypcami, przeklina, na czem świat stoi, a co więcej ukradła mu 8.000 liwrów i sprzedała srebrne naczynia stołowe, będące jego własnością. Skargi biedaka na niewiele się przydały, gdyż w sierpniu r. 1693 stanął on znowu przed sądem, zarzucając swej żonie, oprócz wielu innych niegodziwości, że jest mu niewierną, że od trzech lat ma stosunek z jakimś panem Lafaye, urzędnikiem Paparela, kasjera w wydziale wojny. Niecna kobieta, narzekał stary, ma dorobione klucze do jego kufrów, wyciąga kosztowne rzeczy i sprzedaje, aby hulać ze swym Adonisem. Gdy jej raz robił wyrzuty, zaczęła wymyślać, że taki stary niedołęga zasługuje na to, aby go otruć, aby go djabli jak najprędzej porwali i że Scaramuccii przyprawi rogi tak wysokie, jak obydwie wieże katedry Notre-Dame!

Tym razem sąd zagroził gryzetce, że ją każe zamknąć do klasztoru Sainte Geneviève de Chaillot; ale tego tylko było potrzeba, aby doprowadzić miłą małżonkę do wściekłości: mściwa kobieta wzięła się znowu do kija, tak że biedny starzec raz nawet zemdlał, z czego skorzystawszy, porwała klucze i okradła go do reszty. Scaramuccia poszedł nazajutrz do komisarza okręgowego i pokazał mu widoczne jeszcze sińce, smutne znaki, pozostałe po tej nierównej walce małżeńskiej. Komisarz przyszedł do mieszkania sprawdzić fakty i zastał właśnie Marję Duval, jak wynosiła rozmaite meble i sprzęty,

utrzymując, że są jej własnością. Owe małżeńskie nieporozumienia starego komedjanta oparły się aż o króla i skończyły na tem, że kazano panią Duval zamknąć w klasztorze Sainte Geneviève, gdzie, jak pisze niebardzo wiarogodny biograf Scaramuccii, Mezetin, umarła w przeciągu trzech tygodni ze złości i zgryzoty.

Niespożyty aktor miał wtedy ośmdziesiąt sześć lat i dopiero od pięciu lat nie występował na scenie. Zajścia z Marją Duval podkopały jednak jego zdrowie, umarł 7 grudnia 1694, pozostawiwszy jednego jeszcze żyjącego syna, któremu zapisał większą część majątku. Mezetin opowiada nadzwyczajne rzeczy o jego skąpstwie, które w ostatnich chwilach życia stało się jedyną namiętnością starca. Z aptekarzem tak długo się targował o receptę, że przepisane lekarstwo przez ten czas swoją moc straciło; pokojowej w nagrodę za wierne usługi podarował zużyty bandaż, a lekarzowi dał starą gitarę, polecając mu, aby na niej przygrywał chorym menuety zamiast dwać im en.... i krew puszczać.

Umierał, mając podobnie dobry apetyt, jak za lat młodocianych. W dzień śmierci kazał sobie podać minestrę i duży półmisek makaronu z parmezanem, a gdy go lekarz przestrzegał, aby uważał na siebie, bo jedząc mało, mógłby jeszcze żyć z ośm dni, Fiorelli zapytał się:

— Jesteście tego pewni?

— Niema wątpliwości — utrzymywał lekarz.

— W takim razie — odrzekł umierający — podajcie mi półmisek makaronu; żyłem blisko dziewięćdziesiąt lat, więc na ośmiu dniach nic mi nie zależy.

Makaron zaszkodził choremu, a najsławniejszy komik włoski XVII wieku umarł jeszcze tej samej nocy i został pochowany dnia 8 grudnia 1694 r. w kościele św. Eustachego w Paryżu.

Życiorys Scaramuccii napisał zaraz po jego śmierci aktor włoski, Angelo Constantini z Werony, który występował pod nazwą Mezetina. Książeczka Mezetina zawiera dużo anegdot, które sobie o Scaramucii opowiadano w aktorskich kołach, i z tego względu jest dość zajmująca.

W czasie, kiedy Fedeli dawali przedstawienia w Paryżu,

kilkunastu paryskich młodzieńców pozazdrościło Włochom powodzenia i założyło małą scenę pod tytułem «L'illustre Théatre». Do tego towarzystwa należał także syn tapicera, Jean Baptiste Poquelin, który się przezwał Molierem. Baptysta był najzdolniejszym pomiędzy kolegami i wkrótce spostrzegł, że chcąc Włochom dorównać, trzeba się przedewszystkiem od nich bardzo wiele nauczyć. Zaprzyjaźnił się więc ze Scaramuccią i zaczął brać u niego lekcje pantominy. Wspomina o tem Boulanger de Chalussay, mierny ówczesny poeta, mówiąc o Molierze:

> Chez le grand Scaramouche il va soir et matin,
> Là, le miroir en main et ce grand homme en face,
> Il n'est contorsion, posture ni grimace
> Que ce grand ècolier du plus grand des bouffons
> Ne fasse et ne refasse en cent et cent façons.

Lecz nietylko mimiki i metody sceniczne nauczył się Molière od Włochów, ale mnóstwo pomysłów do komedyj, scen i konceptów wziął od nich, przerabiając je na francuski sposób i nadając im nieraz głębszą myśl i pełniejszą plastykę. Postać Don Juana początkowo powstała w Hiszpanji, od Hiszpanów zapożyczyli ją Włosi w sztuce «Il convitato di pietra», od Włochów przejął ją Molière, podobnie jak i typ Tartuffa zawdzięczał Aretinowi, który dawno przed nim napisał sztukę «Lo Ipocrito». Treść do komedji «L'Etourdi», «Le Dépit amoureux», «Don Garcie», przejął od Gelosich, a w późniejszych swych komedjach, jak «L'Ecole des Femmes», «L'Avare», «Fourberies de Scapin» całe pomysły i sceny brał od swoich sąsiadów na deskach teatralnych w Paryżu. Sporo komicznych postaci, stworzonych w komedji dell'arte, przyswoił Molière francuskiej scenie, zmieniając tylko końcówki włoskich nazwisk. Mascarille, Scapin, Nerine, Dorine, Lélie, Horace, Léandre, były to początkowo typy włoskie, później sfrancuziałe. W bibljotece paryskiej istnieje rycina przedstawiająca Moliera jako Sganarellę w stroju zupełnie podobnym do neapolitańskiego Zanniego, do arlekina, co dowodzi, że francuski aktor nie gardził nawet ubiorami Włochów. Théatre Français posiada obraz «Farceurs français et italiens, dépuis

soixante ans», malowany w r. 1671. Stoją tam obok siebie Scaramuccia, Arlekin, Brighella, Pantalon, obok aktorów francuskich, przedstawiających Turlepina, Jodeleta i innych. Pomiędzy nimi znajduje się i Molière, a pod portretem Scaramuccii, rylca Vermulen'a, podpisano:

Il fut le maitre de Molière,
Et la nature fut le sien.

Scaramuccia takie miał powodzenie w Paryżu, tak był lubianym, że kapelmistrz muzyki królewskiej, Jean Baptiste Lulli, ułożył dla młodego króla balet francusko-włoski, pod tytułem «Amor malato», w którym Fiorelli przedstawiony jest niejako jako najwyższa, najpoważniejsza postać komiczna. Jedną z najcelniejszych okras baletu był obraz, w którym jedenastu doktorów-osłów przyjmuje dwunastego doktora «błazeństwa» do swego grona. Kandydat na owego uczonego broni tez poświęconych Scaramuccii, z których pierwsza zawiera cały program głupoty:

Il n'est rien de plus dangéreux
Que l'etude et que la science,
Et rien ne nous rend plus heureux
Que la paresse et l'ignorence.

VII

Ostatnim wielkim artystą komedji dell'arte był Domenico Biancoletti, znany we Francji pod nazwą Dominique. Biancoletti urodził się w roku 1640 w Bolonji i pochodził z aktorskiej rodziny. Ojciec jego i matka przenosili się we Włoszech z jednej sceny na drugą, a Dominik, jak tylko podrósł, występował wraz z nimi w roli Arlekina. Podobnie jak Scaramuccia, opowiadał o swem pochodzeniu i o swych rodzicach komiczne legendy. Jego przodkiem, jeszcze za czasów cesarstwa rzymskiego, miał być Sbonfadelli, który tak się odznaczył w sztuce rzeźniczej, że Neron jadał tylko kiełbasy, zrobione w jego botedze. Potomkiem wielkiego kiełbaśnika był Fregocola, wielki wódz, ożeniony z panną Castagna, która

wbrew wszelkim prawom natury powiła syna już we dwa miesiące po ślubie, a tym synem był Dominik.

Biancoletti występował nietylko we Włoszech, ale i w Wiedniu, przed cesarzem, w trupie Tabariniego i stamtąd udał się w r. 1659 do Paryża, gdzie się dobił największego uznania i sławy. Ludwik XIV zapraszał go nawet do swego stołu, co czasami dużo kosztowało królewską kasę. Razu pewnego Dominik, pomimo, że zjadł już kuropatwę, spoglądał jeszcze ze szczególną uporczywością na półmisek. Król spostrzegł to i powiedział służącemu:

— Podaj półmisek Dominikowi.

— A czy i kuropatwę? — zapytał aktor.

— I kuropatwę — odrzekł król, który zrozumiał przymówkę Dominika. Półmisek bowiem był szczerozłoty.

Dominik dawał dobre rady na ból zębów. Gdy go się ktoś pytał, co ma począć, gdyż cierpi na zęby, komik odpowiedział, że najlepsze na to lekarstwo włożyć czwartą część jabłka do ust i trzymać głowę tak długo w piecu, dopóki się jabłko nie upiecze. Wtedy z pewnością ząb przestanie dokuczać.

«Niezrównany» ten aktor, jak go nazywano, zmienił charakter Arlekina. Dawniej typ czarnego Bergamaska odznaczał się brakiem zupełnego wykształcenia, Arlekin był przebiegłym prostakiem, a przytem wielkim nieukiem. Dominik zrobił z niego człowieka, który ma wyborne pojęcie o świecie i umie się stosować do okoliczności; gdy mu się dobrze powodzi, jest cynikiem pełnym zabawnych pomysłów, arogantem, w złych czasach staje się chytrym frantem i zdrajcą, jeżeli mu tego potrzeba. Kryje wtedy swój fałsz pod maską naiwności, którą Włosi nazywają «goffagina». Wogóle stary Arlekin znudził się już w drugiej połowie XVII wieku; we Francji zaczął wchodzić w modę Pedrolino (Pierrot), wznowiony i zmieniony typ dawnej komedji dell'arte, a w Niemczech taki wstręt powzięto do Arlekina, że go w Lipsku spalono «in effigie» na scenie, aby się już więcej nie pokazywał.

Pomimo, że Dominik bawił publiczność, gdziekolwiek wystąpił i wzbudzał wybuchy śmiechu i wesołości, był z usposobienia melancholikiem, skłonnym prawie do rozpaczy. Przy

końcu życia tak go ten smutek opanował, że nasz komik poszedł raz poradzić się nieznanego sobie lekarza, co ma robić, aby rozwiać czarną melancholję. «Uczęszczaj na błazeństwa Arlekina», powiedział lekarz. «W takim razie niema dla mnie lekarstwa», odrzekł zasmucony aktor, «gdyż ja sam jestem Arlekinem».

W roku 1688 występował Biancoletti w jakimś balecie, w obecności Ludwika XIV, a ponieważ taniec bardzo się królowi podobał, więc aktor tańczył długo i bardzo się zmęczył. Wyszedłszy na ulicę, zaziębił się i w ośm dni umarł na zapalenie płuc.

Pochowano go, podobnie jak Scaramuccię, w kościele Saint Eustache w Paryżu. Arlekin spoczywa tam wpobliżu swego towarzysza.

Po śmierci Scaramuccii i Dominika komedja włoska w Paryżu sfrancuziała; Izabella i Colombina stały się prawdziwemi Paryżankami, a teatr de l'Hôtel de Bourgogne zaczął grać sztuki o treści miejscowej, paryskiej. Co gorsza, komik Angelo Costantini, występując jako Mezetin w sztuce «La fausse prude», pozwolił sobie jakiejś złośliwej przymówki do pani de Maintenon. Wszechwładna przyjaciółka królewska obraziła się srodze i czwartego maja r. 1697 dyrektor policji opieczętował teatr włoski z rozkazu Ludwika XIV, zakazując przedstawień. Później, za czasów rejencji, powstała znowu w r. 1716 włoska scena w Paryżu, ale to już nie była prawdziwa Commedia dell'arte.

Angelo Costantini wyjechał z Paryża do Drezna, otrzymawszy wezwanie od Augusta II, króla polskiego, aby utworzył nowe włoskie towarzystwo komików i grał na jego dworze. Costantini, który i nadal występował jako Mezetin, tak się dobrze wywiązał ze swego zadania i tak się podobał, że król mianował go szambelanem, a następnie nadał mu szlachectwo. Szczęśliwy aktor zakochał się jednak w jakiejś faworycie króla, wyznał jej swą miłość, a chcąc ją przywiązać do siebie, zaczął ośmieszać wobec niej Augusta i przedstawiać go jako zabawną postać. Kochanka królewska narazie przyjmowała te oświadczenia sześćdziesięcioletniego komika, lecz uwiadomiła o nich Augusta, który podczas następnej wizyty Constantiniego u niej ukrył się za firankami i widział na własne oczy, jak go Mezetin naśladuje. Obrażony król skazał zbyt śmiałego Włocha na dwadzieścia lat więzienia w twierdzy Königstein, lecz inna kobieta, jak się zdaje, należąca do wyższego towarzystwa, która także miała bliższe stosunki z Augustem, wybawiła go z twierdzy. Namówiła Augusta, aby zwiedził więzienia polityczne; gdy król kazał sobie przyprowadzić Constantiniego i zobaczył go wynędzniałego, z długą brodą, skorzystała z chwili, aby prosić o uwolnienie lekkomyślnego komedjanta. August narazie dał odmowną odpowiedź, ale pod wpływem owej przyjaciółki Costantiniego kazał po kilku miesiącach wypuścić Włocha z więzienia pod warunkiem, że natychmiast wyjedzie z Saksonji.

Z komedją dell'arte łączył się, jakeśmy mówili, w XVII wieku melodramat. Każdy z aktorów komedji umiał śpiewać, a gdy towarzystwo komików przybrało sobie jeszcze ze trzy śpiewaczki i kilka baletniczek, mogło już przedstawiać melodramaty. O chóry we Włoszech nie było trudno; w każdem mieście znalazło się dostateczną ilość śpiewaków i śpiewaczek, aby je po niewielu próbach można użyć w przedstawieniach.

Już Gelosi grywali melodramaty we Włoszech i w Paryżu. Do najsławniejszych należały «Rosalba, opera heroica», «L'innocente Persiana» i «La fortuna di Foresta, principessa di Moscovia».

Sztuki te jeszcze śmielej wkraczały w dziedzinę bajek i nadzwyczajności, aniżeli komedje; akcje przenoszono do fantastycznych krajów, które nazywano Spartą, Marokiem, Moscovią, albo Persją, a magja, czarodziejstwo stanowiły często wątek intrygi. W «Orseidzie» np. grał zaczarowany niedźwiedź rolę kochanka, męża i ojca.

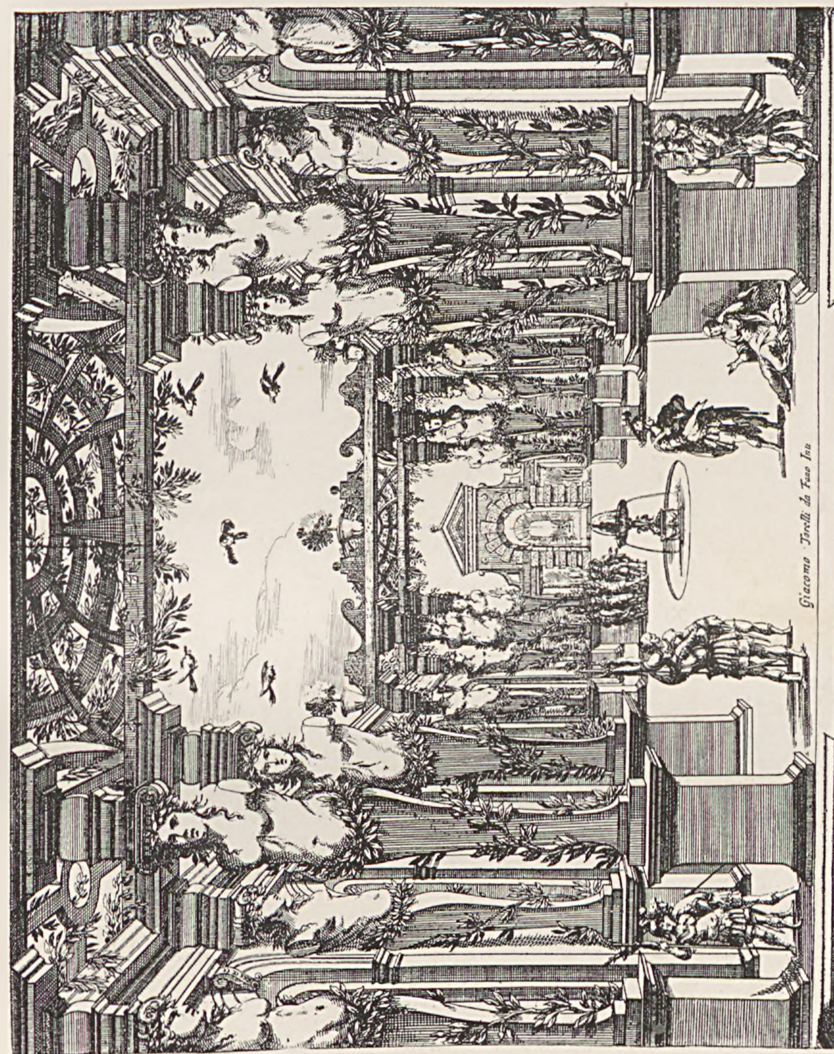
Były to już sztuki o wspaniałych dekoracjach i wielkiej wystawie. W drugim akcie melodramatu «Forsennata principessa» toczyła się walka na morzu, pomiędzy rozbójni-

kami w barce a żołdactwem na galerze. Zwycięska galera zawijała do portu, a morze było wybornie przedstawione.

Do najsławniejszych melodramatów należała «Festa teatrale della finta pazza», sztuka Giulia Strozzi, z muzyką Francesca Sacrati. Melodramat ten przedstawiano po raz pierwszy w Wenecji r. 1641, a w kilka lat później, 14 grudnia 1645, w Paryżu, gdzie niesłychane miał powodzenie. Była to komedja liryczna, częścią śpiewana, częścią deklamowana, w której dekoracje i balety wprawiały publiczność w podziw. Urządzał je najsławniejszy w XVII wieku maszynista teatralny Giacomo Torelli da Fano. Pierwszy akt kończył się baletem małp i niedźwiedzi, drugi tańcem strusi, które schylały swe długie szyje, aby pić wodę z basenu, a po trzecim akcie tańczyły cztery indyki i cały zastęp barwnych papug. Papugi latały w powietrzu w takt z tańcem baletników, a współcześni nie mają dość słów na pochwały, podnosząc piękność tego baletu. Z dekoracji podobała się osobliwie scena, przedstawiająca port w Scyros i okręty, które swobodnie jakby po morzu płynęły, nadto czarujący miał być widok ogrodów króla Lycomeda, gdzie się odbywał festyn indyjski.

Widoki scen tego melodramatu przechował nam De la Bella w kilku miedziorytach, które ofiarował królowej Annie Austrjaczce; i rzeczywiście, dzisiaj jeszcze, pomimo postępu sztuki dekoracyjnej i ulepszenia maszyn teatralnych, musimy podziwiać talent Torellego. Był to zresztą człowiek niepospolity. Matematyk, poeta, malarz, architekt i mechanik, wszystkie swe siły zespolił, aby ulepszyć mechanizmy sceniczne. W Paryżu nazwano go «le grand sorcier», a wsławił się nietylko przedstawieniami włoskich melodramatów, lecz i urządzeniem sceny do Andromedy Corneilla, które także miało zadziwiać swą wspaniałością.

Równocześnie z Torellim głośnym był w Madrycie inny mechanik, Braccio Del Bianco z Florencji. Zabobonni Hiszpanie nie mogli wierzyć, aby szybkie zmiany dekoracji mógł robić bez pomocy djabła; otruli go też, aby Włoch, posługujący się piekielnemi siłami, nie gorszył publiczności. Zapewne jakiś inny Włoch nauczył i Anglików teatralnej maszynerji. Na jednem z przedstawień na dworze królowej Elżbiety uka-



Scena z opery «La finta pazza»
Według ryciny Stefana della Belli

Do str. 554



zywały się na scenie jakieś bajeczne potwory morskie i olbrzymia muszla, w której siedziała królowa w towarzystwie lady Bedfort, lady Suffolk i lady Darby. Innym razem płynęła rzeka przez scenę, a w niej kąpały się trytony — wszystko przedstawione nadzwyczaj realistycznie.

VIII

Reformatorzy rzymskiego kościoła na jednem polu zgadzali się z Lutrem i Kalwinem, w niechęci do teatru, w prześladowaniu wszystkiego, co z «histrjonami» było w związku. Luter i Kalwin byli w tej mierze jeszcze gorliwsi, aniżeli papieże; przestrzegali publiczność przed teatrem, «tem siedliskiem djabła», tysiące kaznodziei protestanckich malowało w najczarniejszych barwach skutki teatralnego zgorszenia. Luter wstrząsał tronami, podbijał całe państwa, zwyciężał Kościół katolicki w połowie Europy, ale teatru znieść nie potrafił. Tak samo i Kościół rzymski zmiażdżył Hugenotów, stłumił Reformację w wielu krajach, ale histrjonów zgnieść nie zdołał.

Pomimo zawziętości Purytanów ku scenie wybudowano w Londynie pomiędzy rokiem 1570 a 1599 jedenaście teatrów, a kilkunastu lordów utrzymywało w swych zamkach towarzystwa komików. Nad fasadą teatru «Globe» ustawiono postać Herkulesa, trzymającego w rękach kulę ziemską z napisem: «Totus mundus agit histrionem», «Cały świat gra komedję». A cóż dopiero we Włoszech! Teatry powstawały w każdem mieście, a kardynał Karol Borromeusz napróżno toczył zawziętą walkę z teatrem. Był on najzaciętszym wrogiem histrjonów i jako arcybiskup medjolański wszelkich używał sposobów, aby przeszkodzić występom komików. W pierwszym zaraz roku swego kardynalstwa, w r. 1565, zwołał koncyljum prowincjonalne, w którem duchownym zakazał uczęszczać na maskarady, bale, giostry, komedje i wszelkiego rodzaju widowiska. Gdyby który z księży zakaz ten przekroczył, miał być wprost z teatru publicznie odprowadzony do więzienia. Rozporządzenia kardynała napotykały

jednak, jeżeli nie na cichy opór, to przynajmniej na obojętność gubernatorów hiszpańskich w Medjolanie, którzy się często zmieniali. Publiczność zresztą popierała w tej mierze gubernatorów. Hiszpanie zanadto lubili wszelkiego rodzaju widowiska, aby się stosować do woli Borromeusza. Don Alvaro di Sande, zastępca gubernatora, kazał w r. 1572 urządzić olbrzymie polowanie na placu przed katedrą w Medjolanie, nie pytając arcybiskupa o pozwolenie. Borromeusz, dotknięty do najwyższego stopnia tym brakiem poszanowania dla religji, rzucił klątwę na Hiszpana. Don Alvaro przeniósł wprawdzie owo widowisko z placu katedralnego na plac przed zamkiem, lecz, jak mógł, dokuczał kardynałowi i drażnił jego religijne uczucia. Sprowadził zaraz komedjantów do Medjolanu, urządzał bale i uczty i wpływał na panów włoskich, aby szli za jego przykładem. Borromeusz skarżył się w Rzymie, lecz Watykan niezawsze podzielał wielkie rygory kardynała, zwlekał z odpowiedziami, albo dawał rezolucje, które go nie zadawalniały.

Następny gubernator, Don Luigi de Requesens, także był przychylny komedjantom, więc kardynał i na niego rzucił klątwę. Lecz gubernator znalazł franciszkanina, który go rozgrzeszył, został przeniesiony na wyższe stanowisko do Flandrji i nie zważał na kościelne gromy medjolańskiego arcybiskupa.

Wreszcie w r. 1574 ku wielkiemu zadowoleniu kardynała Grzegorz XIII zakazał w Rzymie przedstawień teatralnych z powodu jakiejś bardzo nieprzyzwoitej komedji, odegranej wobec kilku kardynałów. Pociecha nie trwała długo, gdyż nowy gubernator markiz d'Ayamonte sam lubił komedje i miał młodych synów, którzy z całym zapałem popierali «komedjantki». Ci więc przeszkadzali wykonaniu biskupich rozporządzeń. Co gorsza, Borromeusz wkrótce się dowiedział, że dzięki wpływom Jakóba Boncompagnego, syna papieskiego, ukazała się kompanja komików w Rimini i że miała patent, pozwalający jej na publiczne występy. Jakiś proboszcz nie pytał się Rzymu, ale dowcipnie sobie z nimi poradził. Do miasteczka przyjechali komicy, zwani «Toscani»; paroch nic nie miał przeciwko temu, aby budę postawili, ale

skoro tylko przedstawienie zostało przygotowane i publiczność się zeszła, zaczął dzwonić na kazanie. Mieszczanie, posłuszni proboszczowi, poszli do kościoła i komicy musieli grać przed pustemi ławkami. Wtedy «Toskani» wzięli się na sposób i ogłosili, że przedstawienia odbywać się będą w nocy, przy pochodniach. Lecz pochodnie ich dużo kosztowały, a publiczności w nocy mało się zbierało, więc wyjechali z niegościnnego miasteczka i «arciprete» zwyciężył.

Kardynał Borromeusz walczył jednak bez wielkiego powodzenia. W r. 1582 zwołał drugi synod prowincjonalny, na którym, w myśl jego życzenia, powzięto uchwałę, zakazującą wszystkim wiernym przyjmować pod swój dach «histrjonów», mimów, kurtyzan i wogóle wszystkich ludzi złych obyczajów. Kto przyjmie w dom tych włóczęgów, popełni grzech śmiertelny. W długiem piśmie wyłożył kardynał namiestnikowi, że zgorszenia, jakie dają komedjanci, dalej cierpieć nie można, zwłaszcza, że jak go zapewniają duchowni, komedjantki ze szczególnem upodobaniem uwodzą ludzi żonatych. Na nieszczęście jednak, właśnie po ogłoszeniu tych surowych postanowień, przyjechała do Medjolanu najlepsza kompanja komików, ukazali się «Gelosi». Dyrektor teatru poszedł do namiestnika, który widocznie miał wielką ochotę widzieć grę sławnych komików, lecz tłumaczył się, że dając pozwolenie grania «Gelosim», naraziłby się na popełnienie grzechu śmiertelnego, że trzeba zatem porozumieć się z kardynałem. Władza kościelna trochę złagodniała wobec słynnych «Gelosich», pozwoliła więc na przedstawienia pod warunkiem, że komedje, które będą grali komicy, przedłożą do arcybiskupiej cenzury. «Gelosi» odpowiedzieli, że takiemu żądaniu uczynić zadość nie mogą, gdyż grają «ex tempore», a taki rozkaz równa się zakazowi.

Medjolanowi zagrażało niebezpieczeństwo, że «Gelosi» dalej pojadą; uratował ich syn namiestnika, hr. di Camerate, który gorąco się zajął sprawą teatru i ostatecznie tyle uzyskał, że komicy mogą dawać przedstawienia pod warunkiem, że już nie całe sztuki, ale tylko scenarjusze będą przedkładane do kardynalskiej cenzury. Zadowolono się półśrodkami.

Wkrótce po tym układzie umarł kardynał Borromeusz

w r. 1584, towarzystwa komików grały dalej, musiały tylko mniej lub więcej stosować się do kościelnej cenzury.

Z teatrem walki niema. Człowieka tylko człowiek prawdziwie zajmuje; każdy więc chętnie widzi na scenie odbicie wad, śmieszności, przymiotów ludzi, pomiędzy którymi żyje, z którymi się styka. Co więcej, niemal w każdym z nas, ukrywa się wewnętrzne pragnienie odegrania jakiejś roli dramatycznej, wylania swych namiętności, zostania przynajmniej na chwilę bohaterem. Ponieważ sposobność do uwydatnienia tych pragnień nie codziennie się zdarza, więc chętnie odczuwamy wymyślone dramaty i komedje, które zresztą mają to dobrego do siebie, że nam nie przynoszą żadnej szkody. Jeżeli romans i powieść zawsze i w każdem kulturalnem społeczeństwie należą do koniecznego duchowego pożywienia, o ile ważniejszemi są w tej mierze dramat i komedja, w których się plastycznie widzi życie przed sobą.

Komedja dell'arte upadła po dwuwiekowem istnieniu, lecz upadła nie z powodu zakazów medjolańskiego arcybiskupa, lecz wskutek tego, że się przeżyła, że straciła pierwotną siłę. Typy arlekinów, kapitanów skostniały, zasób dowcipów, łączących się z temi maskami, wyczerpał się, zresztą i społeczeństwa wytworzyły nowych ludzi, niepodobnych do tych, jakich miał wyśmiewać Pulcinella lub kapitan Fracassa. Ostatni cios komedji dell'arte zadał Goldoni, który stworzył inną formę komedji, więcej zastosowaną do wymagań włoskiego społeczeństwa w XVIII wieku. Maski Arlekinów i Pulcinelli wegetują jeszcze w Neapolu, lecz są to już niemal archeologiczne zabytki świetnej epoki komedji dell'arte, która bezpowrotnie minęła.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

SIOSTRY DE LA TRÉMOUILLE

I

Nie pamiętam już, który z pisarzy porównał rozwój Hiszpanji w XVII wieku do owego kaktusa, który rośnie na południowych skałach, wypuszcza wysoką łodygę, kwitnie i zaraz po rozkwicie zamiera. Kultura hiszpańska, podsycana bogactwami nowo odkrytej Ameryki, strzeliła także do niebywałej wysokości, stworzyła w krótkim przeciągu czasu bogatą literaturę, wspaniałą sztukę, zapłodniła dramat francuski, wywarła ogromny wpływ na poezję i na teatr włoski i zeschła, zżółkła, jak owa łodyga aloesu. Naród hiszpański potrafił wzbudzić podziw u zachodnich ludów Europy, lecz zarazem i nienawiść ku sobie. Teofil de Vian, mieszkając jakiś czas w Holandji, pisał wtedy:

L'Espagne, mère de l'orgueil,
Qui préparait notre cerceuil,
Et de la corde et de la roue
Et venait avec des vaisseaux
Qui portaient peintes sur la proue,
Des potences et des bourreaux!

Od Amsterdamu po Palermo Hiszpan stał się synonimem okrutnego wroga. Narody, olśnione chwilowym blaskiem

wszystkiego, co kastylskie, szybko zaczęły się odwracać od Hiszpanji, jak tylko urok jej potęgi blednąć zaczął. W drugiej połowie XVII wieku otrząsano się z hiszpańszczyzny, więcej z odrazy do narodu, aniżeli z innych przyczyn.

Włochy miały niemało powodów, aby odpychać kulturę hiszpańską, gdyż obok Holandji najbardziej uczuły ucisk hidalgów, rozbestwionych na krwi maurytańskiej. Nie dziw też, że rozwój kultury francuskiej, który do wysokiego stopnia doszedł za Ludwika XIV, musiał nieprzeparty wywierać urok na ludność apenińskiego półwyspu.

Jeżeli hiszpański zwyczaj i obyczaj przynosili do Włoch przeważnie mężczyźni: ambasadorowie, dygnitarze Kurji rzymskiej, posyłani do Madrytu, wojskowi, magnaci włoscy, szukający łask i odznaczeń u Karola V i Filipa II, tudzież poddani króla katolickiego, udający się do Włoch za błyskiem fortuny, to kulturę francuską rozszerzały w Rzymie po większej części kobiety. Za niemi szły mody, szły wszystkie drobnostki, stanowiące okrasę życia. Dwie siostry Mancini rozpoczęły swój wpływ wesołym uśmiechem i towarzyską łatwością, małżonki ambasadorów francuskich działały w tym samym kierunku, śpiewaczki i aktorki włoskie wracały z Paryża do domu z odmiennemi, jak dotąd, wyobrażeniami, a z końcem XVII wieku znowu dwie siostry de la Trémouille, córki księcia de Noirmoustier, najstarszego księcia Francji, dokonały reszty.

Pierwsza, Marja Anna, była ową słynną princesse des Ursins, może najznakomitszą kobietą z końcem XVII wieku, która w sprawach sukcesji hiszpańskiej nadzwyczaj ważną odegrała rolę. Urodzona w Paryżu r. 1642, wyszła jako młoda panna zamąż, za Adrjana Blaise de Talleyrand, księcia de Chalais. Nie należała do skończonych piękności, lecz zwracała uwagę bystrością umysłu, wielkim wdziękiem i wielkopańskiem zachowaniem się. Średniego wzrostu, o smukłej postaci, niebieskich oczach, które wyrażały, stosownie do okoliczności, co było potrzeba, umiała sobie pozyskać każdego, kto się do niej zbliżył. Nadzwyczaj wymowna, dowcipna, zabawna, gdyż znała cały wielki świat paryski, rzymski i hiszpański, była jakby stworzona do politycznych intryg.

Zawsze widziała przed sobą jasno cel, do którego dążyła, a idąc w wytkniętym kierunku, nie przebierała w środkach. Myśli swe i zamiary pokrywała wielką elegancją, równym humorem, tudzież panowaniem nad sobą, połączonem z ostrożnością, aby nie powiedzieć coś niepotrzebnego.

Jeszcze za Henryka IV stały się pojedynki we Francji prawdziwą zarazą; król, a potem Richelieu wydawali nadzwyczaj surowe, prawie okrutne prawa przeciw temu mordowaniu się najwyższych klas społeczeństwa, lecz skutek zakazów był niewielki. W r. 1663 zabity został w pojedynku duc de Beauvilliers; książę Chalais sekundował mu, musiał więc jak najprędzej uciekać z kraju. Dostał się do Hiszpanji, księżna pojechała za nim, lecz nie chcąc w Madrycie osiedlić się, zamierzali zamieszkać w Rzymie.

Madame de Chalais wybrała się najprzód, aby tam dom urządzić; lecz zaledwie stanęła w papieskiej stolicy, otrzymała wiadomość, że mąż, jadąc na północne Włochy, umarł w pobliżu Wenecji.

Stolica papieska była wtedy pełna Francuzów, a pomiędzy innymi był tam kardynał Cezar d'Estrées, poseł francuski przy Watykanie. Kardynał zajął się nią, a jak złośliwy duc de Saint'Simon sądzi, może aż zanadto; ułatwił jej pierwsze chwile pobytu, a nawet ułożył małżeństwo pomiędzy księżną a Flaviem Orsinim, dukiem na Bracciano i grandem hiszpańskim. Madame de Chalais miała wtedy trzydzieści trzy lat, Flavio był od niej o dwadzieścia dwa lat starszym i bezdzietnym wdowcem.

To Bracciano, które widzieliśmy przed stu laty niemal kolonją wpływu hiszpańskiego we Włoszech, naraz otworzyło swe bramy Francusce, i to takiej, która nie myślała cierpieć obcych zwyczajów. Ślub odbył się w r. 1675, a dwór francuski, jako dowód swego zadowolenia z tego związku, przysłał Orsiniemu najwyższy order królewski.

Księżna otworzyła w Rzymie salony, które się w krótkim czasie stały ogniskiem towarzyskiego i politycznego ruchu. Ponieważ zaś wtedy istniały ciągłe zatargi pomiędzy Ludwikiem XIV a Innocentym XI Odescalchim, przeto księżna stała się właściwym ambasadorem króla francuskiego i osią,

około której obracały się polityczne sprawy francuskie w Rzymie.

Orsini nie podzielał namiętności księżnej do polityki i do przewodzenia rzymskiemu towarzystwu, owszem, spoglądał niechętnie na to stanowisko swej żony, które go wobec niej poniżało. Jako Włoch i głowa rodu, oddanego prawie zawsze papieżom, czuł więcej sympatji do Innocentego XI, aniżeli do króla Francji, i w przeciwieństwie do swej żony stał po stronie papieża, a podobno nawet odesłał Ludwikowi XIV nadany mu order.

Księżna za dużo wydawała, co stało się powodem małżeńskich nieporozumień. Jeszcze przed ożenieniem się z Anną de Trémouilles musiał Orsini sprzedać prawie połowę swych dóbr; brat jego Lelio także odstąpił duży majątek ziemski Cervetri Ruspolim i mimo to długów swoich nie pokrył. Stare rody rzymskie chyliły się ku upadkowi. Flavio zresztą nie był zdolny do gospodarstwa, młodość swoją poświęcił pisaniu arkadyjskich sonetów, komedyj i libretów do melodramatów.

Pomiędzy małżeństwem nie było harmonji; nie przyszło wprawdzie do otwartej nieprzyjaźni, ale księżna, znudzona postępowaniem Flavia, wyjeżdżała dwa razy na dłuższy czas do Paryża, aby odetchnąć po domowych kwasach, zwłaszcza że ją łączyła wielka przyjaźń z maszałkową de Noailles, przed którą pragnęła się wyżalić. O Orsinim zaś mówiono, że nie mając potomków, zapisał tajemnym aktem księstwo Bracciano nepotowi papieskiemu, Liviuszowi Odescalchiemu.

Na przyszłe losy księżny miała wielki wpływ przyjaźń, którą zawiązała w Rzymie z arcybiskupem z Toledo, nazwiskiem Portocarrero, jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Hiszpanji. Portocarrero był dygnitarzem niewielkich zdolności, ale upartym, dumnym, któremu się zdawało, że jemu się należy pierwsze stanowisko w kraju, nawęt przed królem; wielką miał wszakże zaletę, że na jego przyjaźń liczyć było można. On też starał się usuwać nieporozumienia pomiędzy małżeństwem Orsinich, a nawet w ważnej chwili, podczas ciężkiej choroby księcia, skłonił go, aby zapisał Bracciano swej małżonce. Po śmierci Flavia (5 kwietnia 1698) wystąpił

wszakże Don Livio Odescalchi przeciw temu zapisowi, przedkładając dokumenty, które miały dowodzić, że został adoptowany przez zmarłego. Niektóre z dokumentów okazały się podrobione, a gdy Ludwik XIV wdał się w tę sprawę, Don Livio przyznał wprawdzie nielegalność swych papierów, lecz opierając się na innych dowodach, żądał stanowczo wprowadzenia go w posiadanie księstwa Bracciano. Trybunał roty, który miał tę sprawę rozstrzygnąć, zwlekał rzecz naumyślnie, nie chcąc się narażać wpływowym osobistościom, co widząc księżna i Don Livio zawarli pomiędzy sobą układ. Odescalchi kupił od niej tak Bracciano, jak i tytuł książęcy, przywiązany do tej posiadłości, za dwa miljony lir, a wdowa po Orsinim przybrała nazwisko księżnej «des Ursins», pod którem jest znaną w historji. Miała ona wszakże tyle długów i proces tyle kosztował, że po spłaceniu wszystkiego pozostało jej tylko siedmnaście tysięcy liwrów renty. Ludwik XIV dopomagał jednak swej zasłużonej dyplomatce znacznemi kwotami, potrzebując nadal jej wpływów w papieskiej stolicy. Księżna umiała zręcznie prowadzić polityczne sprawy, tak że potrafiła nawet usunąć nieprzyjaznego sobie posła francuskiego w Rzymie, kardynała de Bouillon, a natomiast przyczyniła się do zamianowania uległego sobie ambasadora, księcia Monaco. Były to chwile największej jej świetności; książę Monaco zamieszkał w pałacu księżnej, który stał się właściwą ambasadą Ludwika XIV. Aby okazać całemu światu swój triumf, wydała księżna wspaniałe przyjęcie, na którem nikogo nie brakowało ze znakomitych osobistości rzymskich, prócz kardynała de Bouillon, który udał chorobę i wyjechał do Frascati. Najsłynniejsi artyści występowali podczas festynu, a przeszło 20.000 ludzi oblegało pałac, aby przynajmniej z daleka widzieć przepych powozów i liberyj.

W czasie pobytu księżnej w Rzymie nastąpił wielki przewrót w stosunkach papiestwa. Ostatni papież, który jeszcze popierał nepotów, Aleksander VIII, Pietro Ottoboni, panował niespełna dwa lata (1689—1691); ale już jego następca, Innocenty XII, Antonio Pignatelli, zadał śmiertelny cios szkodliwemu zwyczajowi nepotyzmu, który urósł w formalną instytucję. Innocenty, człowiek surowych obyczajów,

oddany najzupełniej tylko Kościołowi, wydał w r. 1692 ową słynną bulę «Romanum decet Pontificem», na mocy której zakazywał na przyszłość wzbogacać nepotów kościelnemi dobrami i dochodami, a zarazem zniósł owe urzędy i godności, które nepoci dotąd piastowali. Wskutek tej reformy oszczędził Innocenty skarbowi papieskiemu 80.000 skudów rocznych wydatków, a przedewszystkiem zniszczył szkodliwy wpływ nepotyzmu. Kardynałowie, wstępujący do conclave, jakoteż wybrani papieże, mieli obowiązek składać przysięgę, że przeciw przepisom tej bulli nie wykroczą.

Innocenty wydał zaciętą walkę teatrom i kazał zburzyć teatr Tor-di-Nona. Można sobie wystawić, ile zjadliwych satyr posypało się na zbyt gorliwego papieża, a jedna z nich wyrzucała mu nawet zniesienie nepotyzmu, który uważa za

Splendor di Roma e base del governo.

Pasquino stale nazywał Innocentego XII Pulcinellą, gdyż pochodził z Neapolu, w przeciwieństwie do Aleksandra VIII, którego zwano papa Pantalone. Abbé de Coulange, z którym niebawem się bliżej zapoznamy, nie brał sobie bardzo do serca surowych zarządzeń Innocentego XII, pocieszając się tem, że ponieważ matka papieża jest z domu Carafa, a w herbie Pignatellich są trzy garnuszki, więc wprawdzie do teatru nie będzie wolno chodzić, ale spijać dobrego wina papież nie zabroni.

Pisał też francuski monsignor:

Notre pape est napolitain
Mais c'est un saint, ce qui s'appelle,
Qui veut de l'empire romain
Chasser à jamais la donzelle,
Bannir les jeux, les opéra,
Le carneval et caetera.
Mais au moins de boire en repos
Nous permettra-t-il, le saint père,
Son nom, ses armes sont de pots,
Une «Caraffe» fut sa mère;
Pour moi je veux avec éclat
Célèbrer son pontificat.

Ale i księżna d'Ursins, zapatrująca się na rzeczy z poważniejszego stanowiska, aniżeli Coulange, była zadowolona z rządów Innocentego XII, gdyż papież sprzyjał Francuzom i pozostawiał im dość swobody, aby się w Rzymie mogli rozgospodarować, jakby u siebie.

II

Księżna wyswatała swą młodszą siostrę, Luizę Angelikę, w r. 1682 za księcia Antonia Lanti della Rovere, bardzo bogatego patrycjusza, należącego do stronnictwa francuskiego. Ludwik XIV, zapewne wskutek starań księżnej Orsini, nadał mu order świętego Ducha, co tak gniewało duka de Saint Simon, iż w swych pamiętnikach zanotował, że «ces Lanti ne sont rien du tout», a Rovery także byli chłopami.

Księżna Lanti nie wdawała się w polityczne intrygi, natomiast lubiła się bawić. Piękna, dowcipna, poetka, układająca zręcznie wiersze okolicznościowe, miała dom urządzony zupełnie na sposób francuski, dawała uczty, wesołe obiady, nie obawiała się wypić pięciu lub sześciu kieliszków wina «de Cassapine». Salon jej był prawie cały rok otwarty, a stangreci wyższego towarzystwa rzymskiego wiedzieli, że wieczorem bez poprzedniego rozkazu jedzie się do «madama Lanti».

W owych czasach prawie całe towarzystwo mieszkało nawet w lecie w Rzymie; wyjazdy na dłuższy czas na willegiaturę zostały zaprowadzone dopiero z początkiem XIX w. Urządzano wprawdzie wycieczki do zamków, ale tylko na czas krótki. Księżna Lanti stała na czele wszelkich zabaw, a na jej salonach bywał prawie codziennym gościem markiz de Coulange, znany z listów pani de Sévigné wesoły abbé. Coulange musiał mieć jakiś majątek, bo był wolny jak ptak, lubił się bawić i wodzić swoje próżniactwo z jednego końca ziemi na drugi.

Un homme
Qui maître de sa liberté
Promène son oisiveté
Aux deux bouts de la terre.

W karnawale r. 1690 przebrał się po węgiersku i kazał się odportretować z maską w ręku, w kołpaku i dołmanie à la hongroise. Jezuita Jan Bertet, przyjaciel Coulangea, podpisał też pod tym portretem wierszyk, który nam potwierdza wesołe usposobienie i niczem nie krępowaną wolność francuskiego «abbé».

Francia mi diè il natale,
Strana veste di Roma il Carnevale
Corpo san, genio allegro, amica stella
E l'alma libertà sorte rubella.

Coulange należał do nadzwyczajnych lubowników win włoskich; z jego wierszy dowiadujemy się, że «le jus divin» z winnic w Albano, Genzano, Marino, z Frascati, zwane «connétable», było wówczas już w wielkiem poważaniu, a Chianti nazywało się nektarem hiszpańskim.

Coulange po raz ostatni wyjeżdżając z Włoch, zatrzymał się umyślnie w Montefiascone, które słynęło z dobrego wina. Tam uklęknął przed nagrobkiem Jana Fuggera i pomodlił się za duszę prałata, którego zdradziecki napój powalił. O Fuggerze opowiadano tę samą anegdotę, co o Radziwille Panie Kochanku, że także posyłał naprzód swego dworzanina, aby mu donosił, gdzie się warto zatrzymać. Dworzanin przybył do Montefiascone i posłał swemu panu wiadomość, że dobre tam wino, a prałat tak się rozsmakował w muszkatelu, że z przepicia umarł.

Coulange rozczulał się wprawdzie nad niefortunnym lubownikiem włoskiego wina, lecz nie posuwał rzeczy do ostateczności; ale zjadając dobre obiady i zwiedzając nawet tak zwane «grotte romane», osterje, gdzie dobry sprzedawano napój, miał zawsze świeży umysł, zdolny do złożenia dowcipnego wiersza. Nie możemy też lepiej przedstawić życia wielkoświatowego w ówczesnym Rzymie, jak przytaczając wprawdzie trochę długą, ale charakterystyczną ramotę markiza.

Coulange pisał do markiza de Torcy we Francji:

Sans vous faire un fort long discours,
Si vous voulez, je vous apprendrai comme

Nous passons à Rome
Presque tous les jours.

Nous visitons vignes, palais, églises,
Nous entendons des musiques exquises.
Nous vivons, comme en France.

Chez l'ambassadeur
A plus d'une Eminence
Nous rendons honneurs.
Au cours on se salue;
Mais quand la nuit est venue
Tout retentit du cri
«Da madama Lanti!»
Qui donc est madama Lanti?
Ecoutez-moi, je m'en vais vous le dire:
Digne d'un empire,
Elle regne ici;
Tous ses aïeux étoient gens d'importance,
Son coeur répond à sa grande naissance;
L'Hymen, au bord du Tibre,
A conduit ses pas.
Voulez vous être libre?
Ne la voyez pas.
Plus on la trouve aimable,
Plus elle est redoutable.
Defendez-vous des feux
Qui partent de ses yeux.

Oprócz salonów sióstr de la Trémouille było jeszcze trzecie ognisko francuskiej kultury w Rzymie; dom księstwa de Nevers był zawsze otwarty. Księżna, siostrzenica markizy de Montespan, Djana Gabrjela de Damas Fanges, słynna za młodu piękność, w latach sześćdziesięciu jeszcze była kobietą pełną wdzięku. Książę mieszkał częścią w Rzymie, częścią we Francji i z dziwną szybkością przenosił się z miejsca na miejsce. Bywało, że z rana zaledwie wstawszy z łóżka, wchodził do pokoju księżnej, kazał jej się szybko ubierać i wsiadłszy z nią do powozu, zawołał do stangreta: «Do Rzymu!», jeżeli księstwo bawili w Paryżu, albo «Do Paryża!», jeżeli mieszkali w Rzymie. Księżna była przyzwyczajona do tego rodzaju niespodzianek. Nevers pisał także wiersze, zajmował

się literaturą i sztuką, więc śniadania i obiady u nich były bardzo wesołe, a któryś z Francuzów zauważył, że

Rome étoit aimable
Plaisante, agréable
Pendant le regne de Nevers,
Toujours de jolis vers,
Toujours une table
De peu de couverts.

Podobnie jak dzisiaj na Monte Pincio i do willi Borghese, jeździło towarzystwo rzymskie, począwszy od r. 1692, ku Porta Pia. W lecie odbywało się tam wielkie «corso», najznakomitsze osobistości brały udział w tej przejażdżce. A więc przedewszystkiem w świetnym powozie rozpierała się «panująca księżna», Marja Moretti, małżonka Don Antonia Ottoboniego, nepota Aleksandra VIII, którego panowanie wkrótce miało się zakończyć, papież umarł bowiem jeszcze tego samego roku. W następnych karetach można było widzieć innych członków papieskiej rodziny. Dalej jechał hrabia Ditrichstein, ambasador austrjacki, spuściwszy firanki swej karety, chciał bowiem zachować incognito z powodu sporów, jakie miał wtedy z Watykanem o «franchigie» ambasadorów. Poseł zaś hiszpański, duca di Medina Coeli, miał powody, aby go widziano, a mianowicie, aby go spostrzegła śpiewaczka Giorgina, z którą utrzymywał stosunek. Konie jego pyszne podrzucały łby i parskały, znudzone powolną jazdą. Z wyrytym smutkiem na twarzy towarzyszyła mu małżonka Marja de Las-Nieves, zazdrosna o młodą rywalkę. Siostra ambasadora, zamężna za connetablem Colonną, zwracała uwagę swą bladością i wyrazem cierpienia; toczyła ją ciężka choroba, której niebawem uległa. Cały szereg powozów postępował dalej, w których się rozsiadały rodziny nepotów Borghesów, Pamfilich, Chigich, Barberinich i Altierich.

Zazwyczaj piętnaście razy objeżdżano naznaczone koło, a przypatrzywszy się sobie, swoim koniom i karetom, wracano do domu.

Wiele z tych rodów świeciło jeszcze dzielnemi końmi i złoconemi karetami, ale ich fortuny chyliły się już ku upadkowi. Zbytek coraz się bardziej rozrastał, a długi mnożyły się

także. Innocenty XI Odescalchi, dbały o dobro dawnych rodów, polecił kardynałowi Cybò, aby zbadał ich obdłużenie i zmuszał do oszczędności. Kardynałom także zakazał jeździć w zbytkownych karetach. Ale te przepisy nie na wiele się przydawały, pod innemi rządami wszystko się znów działo po dawnemu.

W niektóre dnie, zwłaszcza na wiosnę, zwracał się cały ruch powozowy w inną stronę miasta, ku Janikulowi. Tam miała swoją siedzibę «Arcadia», owa akademja, którą założyła jeszcze królowa szwedzka. Król portugalski Jan V, także Arkadyjczyk, darował akademji lasek, nazwany Bosco Parrasio, na Janikulu i tam zbudowała akademja dla swych muz przybytek. Był to niewielki pawilon z ogrodem, altanami i dwoma amfiteatrami dla słuchaczy, którzy się mieli rozkoszować poezją.

Z końcem XVII wieku można było Arkadję nazwać po dzisiejszemu akademją «flirtu». Pasterze i pasterki tego towarzystwa poprzybierali wprawdzie greckie imiona, lecz więcej im chodziło o wzajemne miłe uśmiechy, o kwiaty, któremi się nawzajem obdarzano i rozmaite inne grzeczności, aniżeli o naukę.

W oznaczone dnie dążyły do «Bosco» panie wielkiego świata w przepysznych lettigiach i portantinach, ozdobionych polnemi kwiatami, albo winnym liściem, aby pod poważną pokrywą akademickich posiedzeń używać miłej pogadanki i umawiać się o czułe schadzki. Obok tego deklamowano sielankowe utwory poetyczne, a czasami zdarzało się, że nawet znakomici ludzie tam występowali. Akademja wzięła sobie za wzór poezyj «Arcadię» Sannazara i zczasem rozwinęła się rzeczywiście w ważną narodową instytucję, do której należeli najznakomitsi poeci, jak Vincenzo Filicaja, Alessandro Guidi, Francesco Balducci i wielu innych. Ducha początkowej poezji Arkadyjczyków oddają wybornie utwory Benedetta Menziniego, «Scherzi giovanilli sopra materie appartenenti a Bacco e ad Amore», w których się znajduje śliczna canzonetta «Do wiosny».

O di fiori
E d'amori

Genitrice primavera,
Deh, ritorna
Tutt'adorna
Della vesta tua primiera!
Onde ornata,
Coronata
Di bei fior vermigli e gialli,
Te ne andasti
E scherzasti
Qual donzella ai nuovi balli.

Ów Menzini był ubogim księdzem; prześladowany w Toskanji przez jezuitów, udał się do Rzymu pod skrzydła królowej szwedzkiej i tam już pozostał. W jednej ze swych heroicznych kanzon opiewał oswobodzenie Wiednia przez Sobieskiego.

III

Powodzenie, jakie miała księżna d'Ursins w Rzymie, nie dawało jej spokoju; pragnęła czegoś więcej, a może chodziło jej tylko o pomnożenie dochodów, które pomimo pomocy Ludwika XIV były jeszcze za małe. Stosunki, które sobie wyrobiła przez arcybiskupa Portocarrero, ciągnęły ją do Hiszpanji.

Pierwszego listopada 1700 umarł słabowity, bezdzietny Karol II, król hiszpański i stosownie do życzenia Ludwika XIV został ogłoszony jego następcą duc d'Anjou, jako Filip V, a za małżonkę wybrał sobie, także za zgodą dworu wersalskiego, Marję Ludwikę, księżniczkę sabaudzką. Papież Klemens XI, ambasada hiszpańska w Rzymie i wielu wpływowych Hiszpanów sprzeciwiało się zrazu temu małżeństwu, obstając za księżniczką niemiecką. Księżna d'Ursins umiała jednak tak bronić interesów francuskich, że wkrótce całe stronnictwo rzymskich Hiszpanów, a nawet i papieża potrafiła pozyskać dla księżniczki sabaudzkiej. Pracowała wszakże i we własnym interesie. Chciała zostać ochmistrzynią młodego małżeństwa, tak zwaną na dworze hiszpańskim «camera mayor», którą to godność zajmowały zazwyczaj panie z najwyższej hiszpańskiej arystokracji. Z pomocą Portocarrera i wpływów francuskich rzecz się udała. Księżna d'Ursins była tak pewną powodzenia na nowem stanowisku, że pisała do swej przyjaciółki, pani de Noailles, że będzie w Madrycie robiła «la pluie et le beau temps» i że wyda w Hiszpanji dobrze zamąż z tuzin kuzynek marszałkowej.

Ażeby odrazu świetnie wystąpić, porobiła wielkie przygotowania do drogi i do urządzenia swego pałacu. Czterech dworzan z najwyższych rodzin hiszpańskich i francuskich i sześciu paziów z tak wysokiej szlachty, aby mogli zostać kawalerami maltańskimi, miało stanowić jej honorową służbę; zabierała z Rzymu kapelana, kilku oficerów, dwunastu lokai, kazała zrobić jedną wspaniałą karetę bez złotych i srebrnych okuć, drugą zaś złoconą do zaprzęgu w sześć koni i wogóle dwór urządziła w wielkim stylu. Była zresztą pewna, «że zdarzy się jej przynajmniej tyle nadzwyczajnych przygód, co Don Quixottowi», lecz miała dość odwagi, aby wszystkiemu stawić czoło.

W Villefranche, koło Nizzy, spotkała się ze swą przyszłą czternastoletnią królową, Marją Ludwiką sabaudzką, i zaraz objęła nad nią ochmistrzostwo. Pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobiła młoda pani, było dobre; księżna wyraziła się, że Marja Ludwika potrafi «faire la reine à merveille». Tam pożegnało sabaudzką księżniczkę włoskie otoczenie, a czekały na nią «les furies de Madrid», które się gniewały, że będzie im przewodziła Francuzka. Że to były rzeczywiście furje, można się było przekonać zaraz na wstępie do Hiszpanji. W Figuieres spotkała się królewska para. Młodzi małżonkowie podobali się sobie; wieczorem podano pierwszy obiad, który stosownie do zarządzeń ochmistrzyni składał się po połowie z hiszpańskich dań, a po połowie z półmisków, przyrządzonych na sposób francuski. Damy dworu z wielkich rodzin hiszpańskich miały królestwu usługiwać do stołu; gdy jednak przyszło do obnoszenia potraw, furje madryckie potłukły wszystkie francuskie półmiski i roznosiły tylko hiszpańskie potrawy. Król oniemiał, królowa narazie powstrzymała się od płaczu, ale wróciwszy do swego pokoju, zaczęła łkać z żalu i złości i oświadczyła, że ani kroku nie pojedzie

dalej, lecz wróci natychmiast do Piemontu. Orsini miała ciężkie zadanie wszystko załagodzić, tem bardziej, że Marja Ludwika oświadczyła stanowczo, że po takiem przywitaniu króla do małżeńskiego łoża nie przypuści. Hiszpańscy dygnitarze zaczęli radzić, co począć; stanęło na tem, że następującej nocy król miał się wstrzymać od wszelkich zaczepnych kroków i zamknąć się sam w komnacie. Tak się też stało, a ta wstrzemięźliwość tak ubodła młodą kobietę, że trzeciej nocy swoje drzwi sama otworzyła. Małżeństwo zostało spełnione i cały dwór pojechał do Madrytu.

Na nowem stanowisku umiała księżna z niesłychaną zręcznością zjednać sobie króla i królowę i doprowadzić do tego, że przez trzynaście lat mianowała ministrów, obsadzała najwyższe posady swoimi ludźmi, rzec można, rządziła Hiszpanją. Cały ten okres życia wszechwładnej ochmistrzyni wychodzi, niestety, poza plan, tej książce nakreślony. Niepodobna wszakże przemilczeć, w jaki sposób ta niepospolita kobieta zgotowała sobie upadek, który był zakończeniem jej dyplomatycznego zawodu.

Księżna d'Ursins nie lubiła jezuitów, lecz uważała ten zakon za jedyny, którym można osłabić zgubny dla dynastji hiszpańskiej i dla kraju wpływ Inkwizycji, będącej w ręku dominikanów. Inkwizycja spaliła w czasie panowania Filipa V 1574 osób na stosach, 782 in effigie, a 11.730 skazała na więzienia i na rozmaite kary. Aby z wielką uroczystością przyjąć Filipa V w r. 1701, urządzono w Madrycie na jego cześć auto-da-fé, w którem miano spalić trzech niewiernych, a w kilka dni później miały się odbyć walki byków. Filip odmówił uczestniczenia w «tych widowiskach», co bardzo dotknęło inkwizytorów, ponieważ dotąd każdy z monarchów uważał sobie za obowiązek być przytomnym paleniu niewiernych, «temu wielkiemu aktowi religji».

Mimo niechęci do zakonu Loyoli chciała Orsini zaraz na początku swoich rządów dać królowi na spowiednika jezuitę. Ponieważ jednak wpływowy ten urząd był dotąd przywilejem dominikanów, więc każda zmiana w tej mierze byłaby napotkała na ogromne przeszkody i księżna musiała odstąpić od pierwotnej myśli. Zamiar ten wszakże źle już usposobił ku niej najpotężniejszy zakon w Hiszpanji, zwłaszcza że księżna przecież później swego celu dopięła, gdyż jezuita O. Robinet został spowiednikiem Filipa V. Na tem jednak nie spoczęła. Długie lata pracowała nad tem, aby zmniejszyć wpływ inkwizytorów, a tem samem wzmocnić władzę królewską; chciała zmusić wielkiego inkwizytora Giudice, aby się podał do dymisji, a na jego miejsce wprowadzić jezuitę, wskutek czego w łonie zarządu Inkwizycji powstałyby spory i zmniejszyły jej władzę. Z królem słabego charakteru, chwiejnym i lękliwym, jakim był Filip V, nie łatwo było dojść do stanowczego działania, ile że i papież sprzeciwiał się usunięciu kardynała Giudice. Watykan obawiał się, że ze zmianą stosunków utraci dochód 200.000 talarów rocznie, które mu przynosił trybunał nuncjatury hiszpańskiej. Trybunał ten przestałby był istnieć, gdyby tej instytucji nie był popierał wielki inkwizytor.

Mimo wszelkich przeszkód udało się królewskiej ochmistrzyni osłabić wpływ strasznej duchownej magistratury. Pomógł jej w znacznej części rząd angielski, który imieniem protestantów żądał, aby pałac ambasady w Madrycie miał prawo schronienia wobec Inkwizycji. Za Anglikami stała księżna. Przed zapalonym stosem można było uciec do angielskiego poselstwa.

Księżna doszła do ogromnego znaczenia w czasie wojny sukcesyjnej, pokrzyżowała plany Ludwika XIV, który chciał zupełnie objąć kierunek spraw hiszpańskich. Intrygi francuskie wygnały ją z dworu madryckiego, lecz po roku wróciła do Hiszpanji, a wpływ jej na króla był jeszcze większy, jak poprzednio.

W r. 1714 umarła królowa Marja Ludwika. Księżna pozostała przy Filipie V i dalej dzierżyła swą władzę, posuwając ją nawet za daleko, skazując na więzienie dwóch potężnych swoich przeciwników, don Manuela de Sylva, komendanta galer, i don Valeria d'Aspetia, jednego z namiestników. W czasie zawarcia pokoju w Utrecht chciała koniecznie wytargować dla siebie jakie małe księstwo w Luxemburgu. Filip V bardzo ją w tej mierze popierał, ale rzecz się rozbiła o opór Ludwika XIV, który był temu przeciwny. Księżna miewała

już czasem przeczucia, że jej panowanie w Hiszpanji źle się skończy, nie bardzo wszakże w nie wierzyła, mówiąc raz, «że bez żalu przeszłaby od dyktatury do pługa».

Im bardziej się nad nią gromadziły chmury, tem silniej starała się przywiązać króla do siebie, tem bardziej chciała mu być potrzebną. Nie dopuszczała nikogo do Filipa, kazała nawet przebić jakiś ganek pomiędzy swojem mieszkaniem a królewskiemi pokojami, aby każdej chwili czuwać nad nim i wiedzieć, kto do niego przychodzi. Złośliwi zaczęli rozsiewać pogłoski, że król zamierza poślubić siedmdziesięciodwuletnią ochmistrzynię. Mówiono, że Filip, widząc raz swego spowiednika jakiegoś zakłopotanego, zapytał, co ma na sercu. O. Robinet odpowiedział, iż głoszą, iż król chce zaszczycić swoją ręką panią d'Ursins. Na co Filip V miał się żachnąć i powiedzieć: «Ożenić się z nią? Co to, to nie...» Mówiono także, że księżna, opiekując się pod każdym względem Filipem, szczególnemi łaskami otaczała pannę D. C. i wprowadzała ją do komnat królewskich.

Wszystkie te plotki dochodziły do uszu Filipa i zaczęły go trochę gniewać, a już posądzenie o możliwość małżeństwa ze starą ochmistrzynią dotkliwie go ubodło. Czując jednak, że jej rady są mu koniecznie potrzebne i nie mogąc się obejść bez tej najzręczniejszej może dyplomatki, jaka w Europie istniała, powiedział jej raz otwarcie: «Cherchez moi une femme; nos tête-à-tête scandalisent le peuple».

Księżna zajęła się też szukaniem małżonki dla króla, chodziło jej tylko o znalezienie takiej, któraby nie przeszkadzała jej dalszym rządom.

Inkwizytorzy czuwali i gotowali zemstę.

Wybór padł na Elżbietę, księżniczkę Parmy, która pochodziła wprawdzie z rodziny papieskich bastardów, lecz matka jej z domu austrjackiego, była siostrą królowej wdowy hiszpańskiej, mieszkającej w Bayonnie. Księżniczka mogła po śmierci bezdzietnego stryja, ówczesnego księcia Parmy, przynieść Hiszpanji Parmę, Piacenzę i Guastallę, a po najdłuższem życiu wuja, starego Gastona de'Medici, księcia Toskany, może nawet powiększyć przyszłą swą ojczyznę Toskanją i wyspą Elbą.

Do układów użyła Orsini młodego jeszcze, bardzo zręcznego monsignora Alberoniego, syna ogrodnika dworu parmezańskiego, później słynnego kardynała. Sądziła, że Alberoni, potrzebując poparcia, odpowie jej oczekiwaniom i przedstawi ją przyszłej królowej w najlepszem świetle. Lecz Alberoni przeczuł, że gwiazda księżnej d'Ursins zachodzi, i w układach służył wielkiemu inkwizytorowi, kardynałowi del Giudice, i połączonej z nim królowej wdowy, która nienawidziła wszechwładną ochmistrzynię.

Po raz pierwszy pomyliła się ks. d'Ursins w swych rachubach i zanadto wierzyła w przyjaźń słabego Filipa V. Księżna nie przeczuwała, że jej upadek już postanowiony pomiędzy wielkim inkwizytorem, królową matką a Filipem i że zemsta Inkwizycji spełni się z całą bezwzględnością.

Elżbieta Farnese jechała na Genuę i Bayonnę. Królowa matka czekała na nią w Saint-Jean-Pied-de-Port, porozumiawszy się poprzednio z kardynałem del Giudice, który kierował całą sprawą z ukrycia z Bayonny. Dwie godziny trwała rozmowa pomiędzy starą a młodą królową, co wystarczyło, aby przeprowadzić plan wielkiego inkwizytora. Farnese nadawała się do energicznego działania, była odważna i stanowcza. Przedstawiono jej, że zyska sobie odrazu sympatję całej Hiszpanji, jeżeli usunie księżnę d'Ursins.

Wielka ochmistrzyni przygotowywała tymczasem wszystko na przyjęcie Elżbiety i urządziła jej dwór według swych zamiarów. Ślub miał się odbyć w Guadalaxara, małej mieścinie na drodze z Burgos do Madrytu; Filip V przybył tam 22 grudnia 1715, a z nim księżna d'Ursins, nie odstępując go prawie na krok. Cały wieczór przepędziła z nim, aby nikt obcy się nawet nie zbliżył. Nazajutrz, w wigilję Bożego Narodzenia wyjechała w małem otoczeniu do Quadragué, w celu przyjęcia królowej na ostatnim jej noclegu. Ubraną już była w wielką tualetę dworską, a otrząsnąwszy się tylko z drogi, poszła do królowej, przedstawiając jej się śmiało, ufna w swoje stanowisko.

Elżbieta przyjęła ją zimno, prawie gniewnie, wyrażając swe zdziwienie, że śmie do niej przychodzić bez pozwolenia. «Mam list od króla» — odpowiedziała księżna. Ale Farnese nie dała ochmistrzyni przyjść do słowa, robiąc jej dalsze wy-

rzuty, że się ubrała niestosownie do audjencji u swej pani i że się zachowuje w sposób zbyt śmiały. A nie pozwalając się księżnie usprawiedliwić, zaczęła ją gromić za jej rządy w Hiszpanji i za wszystkie mniemane jej zbrodnie, a wreszcie, obsypując ją obelżywemi słowy, zawołała oficerów i kazała wyrzucić za drzwi «tę warjatkę». Zarazem powiedziała komendantowi gwardji, aby natychmiast zaprzężono karetę w sześć koni i bezzwłocznie wywieziono księżnę na Burgos i Bayonnę do Francji, bez wytchnienia, bez zatrzymywania się, chyba aby konie zmienić.

Rozkaz został wykonany, wsadzono księżnę do karety, w ubraniu, w jakiem przyszła do królowej, bez okrycia, bez pieniędzy, bez żywności na drogę, w towarzystwie tylko panny służącej i dwóch oficerów gwardji. Konie ruszyły z miejsca o siódmej wieczór w wigilję Bożego Narodzenia, w ciemną noc, drogą, oświeconą tylko blaskiem śniegu, ku Francji. Woźnica rękę sobie odmroził, tak było zimno; rano zatrzymano się w jakiejś wiosce, aby popaść konie, do jedzenia nie było nic, prócz jaj i chleba, którym można było lepić ściany. A podróż była daleka; księżna z heroicznym spokojem znosiła wszelkie przykrości, nie narzekała, tak że gwardziści, którzy ją odprowadzali, byli pełni dla niej uwielbienia. Nareszcie dopiero czternastego stycznia dojechała do Saint-Jean-de-Luz, gdzie znalazła łóżko, bieliznę do przebrania się i wolność. Jej siostrzeńcy, Lanti i Chalais, którym powyrabiała świetne posady w Madrycie, przybyli z listem od Filipa V, w którym się król tłumaczył, że bardzo boleje nad tem, co się stało, lecz że nie mógł się oprzeć woli swej małżonki.

IV

Księżna udała się do Paryża, do Wersalu, aby się wkrótce przekonać, że w rodzinnym kraju mieszkać nie może. Ludwik XIV umierał, rejencję w czasie małoletności następcy tronu miał objąć książę Orleański, który ją nienawidził. Król wprawdzie wyznaczył księżnie dożywotnią pensję, mimo to trzeba było uciekać z Francji. Myślała o zamieszkaniu w Holandji; tam wszakże nie życzono sobie hiszpańskiej intrygantki, zwróciła się więc do Włoch, skarżąc się w liście do pani de Maintenon, że nie wie, gdzie jej umrzeć pozwolą.

W drodze do Chambéry dowiedziała się o śmierci Ludwika XIV; osiadła więc w Genui, obawiając się jechać do Rzymu, aby jej stamtąd nie wydalono. Filip V miał jednak wyrzuty sumienia, że za trzynaście lat wiernych i niepospolitych usług w tak straszny sposób porzucił swą najlepszą przyjaciółkę; kazał jej więc powiedzieć przez swego posła w Genui, że nie będzie przeszkadzał, aby osiadła w Rzymie, a nawet polecił wypłacać jej dość znaczną pensję. Król użył w tej mierze pośrednictwa Alberoniego, który już tymczasem został kardynałem i wszechwładnym ministrem na dworze hiszpańskim.

Księżna przybyła do Rzymu w r. 1718 i dobrze została przyjęta tak przez Klemensa XI Albaniego, jak i przez całe święte kolegjum. Jeżeli w sercu nosiła jeszcze żal do wielkiego inkwizytora w Hiszpanji, to mogła teraz być zadowoloną: Alberoni potrafił do tego stopnia pozyskać łaski Filipa V i jego małżonki, że w krótkim czasie zgniótł kardynała Giudice. Wielki inkwizytor musiał uciekać z Hiszpanji i był teraz w Rzymie posłem cesarskim. Ale triumf Alberoniego także nie trwał długo; i on upadł, a wygnany z Hiszpanji, szedł tą samą drogą, co księżna. Udał się do Genui, rzeczpospolita go jednak nie przyjęła i dopiero w Rzymie znalazł schronienie.

W roku 1721 znaleźli się u progów Watykanu księżna d'Ursins, kardynał Giudice i Alberoni.

Księżna, która pragnęła wokoło siebie ruchu i potrzebowała dworu, znalazła się znowu w swoim żywiole, zaprzyjaźniła się z wygnańcami, ze Stuartami i była dla nich niejako honorową ochmistrzynią. Znowu zajęta intrygami, zdrowa, wyprostowana, ubierająca się, jak można najświetniej, wygorsowana, bywająca na obiadach i wieczorach. Krewna jej, młoda wówczas markiza de Créquy, widywała ją w Rzymie i zapisała z tego powodu w swych pamiętnikach złośliwą uwagę. Księżna wydawała się markizie kobietą przesadną, intrygantką i bardzo niesympatyczną. Trzeba jej wszakże było

przyznać, że miała wielkopańskie zachowanie się, a pomimo późnego wieku ubierała się zbytkownie, odsłaniając swoje zwiędłe łono i zeschłe ramiona. Raz w towarzystwie zapytała się księżna Mansfeld markizy de Créquy, komu właściwie chce księżna d'Ursins robić przyjemność wystawianiem swych brzydot. «Nam młodym kobietom, odpowiedziała markiza, a szczególniej hrabinie Fagnani». Hrabina bowiem należała do najpiękniejszych salonowych postaci.

Ochmistrzostwo księżny na dworze kawalera de St. George, zwanego w Rzymie królem angielskim, nie na wiele się przydawało, albowiem «chevalier» miał romans z guwernantką, Mrs Hoy, zwaną hrabiną Inverness, która była właściwą ochmistrzynią. Stosunek ten zatruwał życie małżonce Stuarta, Marji Klementynie Sobieskiej, do tego stopnia, że młoda kobieta, nie mogąc patrzeć na arogancję i kokieterję Angielki, opuściła pałac mężowski i zamieszkała w klasztorze św. Cecylji na Trastevere. Dopiero wdanie się papieża Benedykta XIII, tudzież króla Filipa V hiszpańskiego i jego małżonki, Elżbiety Farnese, a wreszcie groźba, że Hiszpanja przestanie płacić Stuartowi pensję, którą mu wyznaczyła, zmusiły go do oddalenia hrabiny Invernes. Stosunki te wszakże zupełnie podkopały zdrowie Marji Klementyny.

Księżna d'Ursins nie doczekała już tych przejść tragicznych, po krótkiej bowiem chorobie umarła 5 grudnia 1722.

W lateraneńskiej bazylice, za główną bramą, na prawo, znajduje się mała, opuszczona kaplica Orsinich, dziwnie odbijająca swem ubóstwem i zaniedbaniem od innych świetnych kaplic tej wspaniałej świątyni. Zatarty kamień grobowy poucza, że tam pochowana owa niepospolita kobieta, która w Rzymie przyczyniła się niemało do rozszerzenia francuskiej kultury czasów Ludwika XIV, a w Hiszpanji wykonywała przez lat trzynaście prawie nieograniczoną dyktaturę.

Stolica papieska stała się odtąd przytułkiem dla wielkości, które się przeżyły, dynastów pozbawionych tronu, lub owdowiałych monarchiń, jak Marja Kazimiera. Rzym zaczął być tem, czem był w ciągu prawie całego XVIII wieku, miastem spokojnem, ogniskiem cudzoziemskich salonów, w których błyszczą dowcipni monsignorzy, stolicą zabaw karnawałowych, uroczystości wielkanocnych i europejskich plotek. Jeszcze pani de Rambouillet mawiała, że szczęśliwą jest, iż nie mieszka w plotkarskim Rzymie, gdyż z pewnością przyczepionoby jej jakiego kardynała. Miasto, gdzie z końcem XVII wieku było nad 150.000 ludności, 30.000 cudzoziemców, nic nie robiących i blisko 13.000 księży, zakonników i mniszek, także niezbyt obarczonych pracą, gdzie nadto połowa z pozostałej ludności rozlegała się po przedpokojach kardynałów i ambsadorów, musiało się nudzić i brzmieć od nowinek.

W Rzymie utworzyło się ognisko artystycznego próżniactwa. Muzyka, rozkoszowanie się zabytkami przeszłości nęciło ku sobie połowę Europy, a wieczne miasto przetrwało w takim stanie poetycznego letargu prawie cały wiek XVIII. Odrodzenie ducha włoskiego wyszło z Włoch północnych, jak to już nieraz bywało.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

BILANS BAROKU

I

Najniebezpieczniejszem zajęciem w drugiej połowie XVI i w XVII wieku było rozmyślanie nad zagadnieniami, tyczącemi się wszechświata i ludzkości; za filozofję ścinała angielska Elżbieta głowy katolikom, Kalwin zamykał teologów do więzienia, a rzymska Inkwizycja paliła mędrków na stosie. Każda religja pragnęła mieć filozofów po swojej myśli; człowiek o własnym, niezależnym rozumie był niebezpiecznym dla społeczeństwa, nazywał się heretykiem i zawadzał panującemu Kościołowi, czy był katolikiem, czy protestantem.

Zaraz na początku XVII wieku, 17 lutego 1600 prowadzono w Rzymie na stos na Campo di Fiore, uczonego, który blisko ośm lat był zamknięty w więzieniu Inkwizycji, w Santa Maria della Minerva. Pomimo starań inkwizytorów, aby ów filozof, a był nim Giordano Bruno, wyparł się zasad, głoszonych ustnie i w licznych pismach, nie można było osiągnąć tego zeznania; uczony trwał w swoich zasadach i oświadczył, że chętnie podda się męczeńskiej śmierci, gdyż ma przekonanie, że duch jego uniesie się do raju wraz z dymem, w którym ciało spłonie, a sędziom Inkwizycji odważył się powiedzieć, że zapewne z większą trwogą wyrok na niego wydali, aniżeli on śmierci oczekuje.

Uczony ten fantasta urodził się w r. 1548 w Noli pod Neapolem, w kilka lat po ukazaniu się wiekopomnego dzieła Mikołaja Kopernika (1543) «O obrotach ciał niebieskich»; był zrazu dominikaninem, a gdy mu myśli filozoficzne głowę zaprzątnęły, poróżnił się z zakonem i poszedł w świat szukać szczęścia. Został wędrownym uczonym, podobnie jak Bernardo Ochino, szedł od uniwersytetu do uniwersytetu, aby wykładać swoje teorje. Bawił najprzód w Genewie, a nie znalazłszy tam utrzymania, udał się do Tuluzy, na najbardziej uczęszczany uniwersytet we Francji, który wówczas liczył około 10.000 studentów. Tam osiągnął profesorską posadę, wykładał o Arystotelesie i astronomji, a gdy jego teorje nie zgadzały się z zapatrywaniami tamtejszych uczonych, pojechał do Paryża. W stolicy Francji zbliżył się do Henryka III Walezjucza, który był ciekaw jego filozoficznych poglądów, a stamtąd ruszył do Londynu jako gość francuskiego posła, Michała de Castelnau, człowieka wysokiej umysłowej kultury.

W Anglji przeżył Giordano dwa najszczęśliwsze lata (1583—1585), uzyskał nawet wolność czytania na uniwersytecie w Oxfordzie i wziął tam udział w czerwcu r. 1583 w słynnej dyspucie filozoficznej, która się odbyła dla uświetnienia pobytu znakomitego gościa polskiego, wojewody Olbrachta Łaskiego. Giordano wyłożył wtedy swoją najważniejszą teorję, którą pierwszy w nowszych czasach rzucił w świat, myśl wielką o niezliczonej ilości systemów słonecznych w nieskończonym wszechświecie, i uplastycznił to pojęcie powiedzeniem, że żadne ciało niebieskie, żadna gwiazda, żaden atom nie leży w środku wszechświata, lecz że tyle jest centrów w nieskończonej przestrzeni, ile jest światów i atomów. Światy i systemy niebieskie zmieniają się i znikają, ale energja, która je tworzy, nie ginie i służy do przetworzenia materji w coraz to odmienne formy.

Giordano wysnuł swoją naukę z systemu Kopernika, poszedł jednak dalej i rozszerzył jego system słoneczny w nieskończoność. Filozof z Noli przeczuł abstrakcyjnem myśleniem to, do czego po nim doszedł Galileusz drogą empiryczną, drogą doświadczenia. Te trzy potężne umysły: Koper-

nik, Giordano Bruno i Galileusz łączą się, z myśli poprzedniej wysnuwa się myśl następna.

Teorje Giordana napotkały na stanowczy opór u angielskich profesorów i uczonych; stali oni wiernie przy nauce Arystotelesa i szydzili z włoskiego fantasty. Wskutek owej dysputy wobec Łaskiego odebrano Włochowi wolność nauczania, to też Bruno nazwał Oxford «wdową po prawdziwej wiedzy», «la vedova di buone lettere».

Ponieważ Castelnau został w r. 1585 odwołany ze swego poselstwa w Londynie, więc Giordano wrócił z nim do Paryża. Tam spotkało go mniej więcej to samo, co w Oxfordzie; rektor Sorbony pozwolił mu wprawdzie na publiczną dysputę, ale fachowi uczeni podnieśli taki krzyk oburzenia przeciw jego zasadom, że Włoch musiał wkrótce Francję opuścić i udał się do Niemiec, gdzie się spodziewał znaleźć w ojczyźnie Lutra więcej zrozumienia dla swoich teoryj, aniżeli gdzie indziej. I rzeczywiście, w Wittemberdze mógł wykładać dwa lata fizykę i metafizykę; gdy jednak poszedł dalej, do Pragi, a stamtąd do Halberstadt, spotkał się znowu z namiętną opozycją pastorów i prawie całe Niemcy były już dla niego zamknięte.

Wtedy to zaprosił go Giovanni Mocenigo do Wenecji, chcąc poznać jego system filozoficzny. Giordano wrócił do ojczyzny, sądząc, że będzie bezpiecznym pod opieką rządu weneckiego, lecz zapomniał, że nie jest weneckim obywatelem i że Signoria nie będzie miała powodu walczyć o niego z Rzymem. Mocenigo, podmówiony przez spowiednika, zdradził swego gościa w brzydki, podstępny sposób i filozof z Noli został w nocy 22 maja 1592 uwięziony i oddany w ręce Inkwizycji.

Pisma Giordana Bruna mało były czytane w XVII wieku; niszczyli je z zawziętością jezuici i zawodowi perypatetycy, tak, że niektóre z nich odnaleziono dopiero w ostatnich czasach. Do braku popularności dzieł nolańczyka przyczynił się także jego styl najczęściej dość ciemny, powikłany, mający wielkie podobieństwo do sposobu pisania Rabelaisgo. W dziełach Giordana trzeba się przebijać przez cały las filozoficzno-barokowych manowców, aby dojść do zrozumienia jego śmiałych pomysłów. Wielcy uczeni nie zapomnieli wszakże nigdy o Giordanie, a z bogactwa myśli, jakie w nich spoczywa, korzystało wielu filozofów, którzy chętnie przemilczali swą zależność od znakomitego Włocha. I tak nie ulega wątpliwości, że Spinoza, a nawet Leibnitz czerpali z jego pism. Najwięcej jednak wpłynął filozof z Noli na niemieckich uczonych drugiej połowy ośmnastego wieku i na Goethego. Wielki poeta niemiecki zajmował się bardzo szczegółowo dziełami włoskiego filozofa, a nawet niektóre pojęcia o najwyższych zagadnieniach filozoficznych, jak np. o harmonji wszechświata brał prawie dosłownie z dzieł Giordana. Goethe widzi, podobnie jak Giordano, w każdym ruchu, w każdem przeobrażaniu się materji, w całym rozwoju wszechświata boskie działanie, a filozofia Giordana natchnęła go do wielu idei, przeprowadzonych w najpotężniejszem jego dziele, w «Fauście». Goethe, podobnie jak Fichte, nie uznaje filozofji doświadczenia, która chce tylko sprawdzać faktyczne zjawiska, wiązać je i wysnuwać z nich wnioski i prawa, które rządzą światem, nie wnikając w wewnętrzną istotę przyrody. Goethe odprawia też naturalistę-fizyka, który lekceważy badania metafizyczne i tylko to chce uważać za prawdę, co zbada na powierzchni ziemi, pogardliwemi słowami:

Natur hat weder Kern
Noch Schale,
Alles ist sie mit einem Male.
Dich prüfe Du nur allermeist,
Ob Du Kern oder Schale seist.

Podobnie jak Goethe, ulegają Schelling i Hegel wpływowi filozofji Giordana i dopiero w nowszych czasach straciły jego poglądy cokolwiek na znaczeniu, gdyż poczęści odwrócono się od «filozofji natury» do empirycznego badania; jedna wszakże z zasad Nolańczyka panuje ciągle w dziedzinie filozofji, a mianowicie idea o życiu, które przenika wszelkie istnienie, począwszy od światów w przestworzu, a skończywszy na najniższego rzędu roślinie lub odłamie skały, idea jednej poruszającej i odtwarzającej siły w wszechświecie.

W szeregu badawczych duchów nastąpił po Giordanie Galileo Galilei, który właściwie położył podstawy pod metodę eksperymentalną i zapewnił rozwój fizyce. Spuścizna po starożytnych uczonych w zakresie fizyki nie była wielka; spostrzegali oni tylko fakty w ekonomji przyrody, ale nie umieli ich sobie wytłumaczyć i tem samem nie zdołali wysnuć z nich dalszych wniosków.

Galileusz pozostawił kilku uczniów, którzy znając już metodę mistrza, prowadzili dalej swe badania. Do najznakomitszych należeli Benedetto Castelli, zakonnik benedyktyński z Monte Cassino, człowiek odważny, który otwarcie bronił odkryć astronomicznych Galileusza, tudzież Bonawentura Cavalieri, autor licznych rozpraw z zakresu geometrji, następnie Ewangelista Torricelli, słynny z konstrukcji barometru, a wreszcie najmłodszy z nich, Viviani, autor «Żywota Galileusza», znakomity matematyk.

Tych uczniów Galileusza nazwano czterema ewangelistami nauk przyrodniczych, bo też ich zasługi około zastosowania metody eksperymentalnej w badaniu zjawisk przyrody są niezrównane. Umieli oni tak zainteresować wyższe klasy społeczeństwa otwieraniem nowych horyzontów dla myśli ludzkiej, że książę Leopold toskański w połączeniu z licznem gronem uczonych założył w r. 1657 akademję «Del Cimento», aby skupić siły celem badania zjawisk przyrody. «Provando e riprovando», oto było hasło tej akademji, a jej członkowie byli tak przejęci ważnością swego zadania, że wspólnie pracowali i nawzajem się wspierali, poświęcając zupełnie osobiste ambicje wielkiemu celowi, jaki mieli przed sobą. Aby o ile możności ochronić się od argusowych spojrzeń Inkwizycji, postanowili wykluczyć ze swych posiedzeń wszelkie rozprawy nad przyczynami zjawisk przyrody i ogłaszać tylko dowiedzione zjawiska. Owocem tych wspólnych prac była książka «Saggi di naturali esperienze fatte nell'Accademia del Cimento» (Firenze 1667), w której są zestawione rezultaty badań akademików, bez wymienienia tych członków towarzystwa, którzy pierwsze myśli podawali do poszczególnych badań. W ten sposób odpowiedzialność za naukowe dochodzenia spadała na całe towarzystwo, a nie na tego lub owego

członka akademji i łatwiejszą się stała obrona przed Inkwizycją. Akademja del Cimento pierwsza w Europie zaprowadziła regularne spostrzeżenia meteorologiczne i począwszy od roku 1654, przesyłano jej odpowiednie sprawozdania ze stacji w Vallombrozie, w Bolonji, Parmie, Medjolanie, Insbruku i Warszawie. Dyrektorem tej sieci meteorologicznej był O. Luigi Antinori, teolog wielkiego księcia toskańskiego. Równocześnie zaprowadziła akademja spostrzeżenia nad chyżością głosu i światła, nad oporem powietrza wobec ciał spadających i nad wielu innemi kwestjami z dziedziny fizyki, fizjologji i astronomji.

Dziesięć lat istniała akademja z największym pożytkiem dla nauki, lecz wkońcu przecież było Rzymowi tych badań za wiele. Inkwizycja obawiała się, że znajomość praw przyrody zaszkodzi wierze i religji. Rzym porozumiał się zatem z wielkim księciem Leopoldem, prezydentem akademji, i pożyteczne to towarzystwo rozwiązano. Książę Leopold za «usługi» oddane Inkwizycji został kardynałem.

Myśli jednak raz powstałej już stłumić nie zdołano; nauka, nie mogąc się krzewić we Włoszech, rozbiła swoje namioty na Północy, gdzie więcej było wolności.

Skarby Odrodzenia, skrystalizowane niejako w genjuszu Leonarda da Vinci, odziedziczyli uczeni czasów baroku, pielęgnowali je pomimo wszelkich stawianych im przeszkód i pomnożyli stokrotnie dorobkiem własnym. Ścisłe badanie przyrody usunęło starożytnych mędrców, powstały nowe nauki, nowe pojęcia, przed któremi i wielki Arystoteles musiałby pochylić swą osiwiałą głowę.

Oto największe «plus», największe «habet» w bilansie epoki baroku.

II

Rzeźba i architektura włoska znalazły w XVII wieku najwyższy swój wyraz w Berninim, o czem jużeśmy mówili. Inaczej rzecz miała się z malarstwem; genjusz barwy przeniósł się na Północ, do Flandrji, Holandji, do Niemiec i pod

wpływem północnym wybujał w Hiszpanji i doszedł do niewidzianego rozkwitu. Włochy żyły poczęści odblaskiem przeszłości, częścią naśladowały hiszpański i flamandzki realizm. Siła włoskiego malarstwa wyczerpała się po kilkowiekowem, światowem działaniu, a i stosunki nie były potemu, aby nowej nabrała energji. Kościół dążył do tego, aby i malarstwo stało na jego usługach, każda praca ducha ludzkiego miała mu pomagać do osiągnięcia celów, które sobie zakreślił. Więc i malarstwo powinno było przedewszystkiem ilustrować biblję i pisma Ojców Kościoła, przedstawiać wiernym męki piekielne i apoteozować świętych. Wszelkie nagości musiały być zakryte, na grzeszne ciało spadły draperje. Postaciom sądu ostatecznego Michała Anioła zakryto wszelkie gorszące części ciała, aby w tak ważnej chwili wystąpiły ubrane. Wenery i Kupidyny odesłano do malarzy-krawców, aby starożytne postacie miały odzienie, odpowiednie duchowi czasu. Ale naprzekór nakazanej cnocie artyści w samej biblji zaczęli wyszukiwać tematy i osobistości, które pomimo zarzuconych opon jeszcze więcej kazały się domyślać, aniżeli poczciwe starożytne posągi, które nigdy nie nasuwały gorszących myśli. Nastała więc epoka «Zuzanny ze starcami», «Cór Lota» w prawdziwie bachicznym szale, a przedewszystkiem ulubieńcem artystów i publiczności stał się «Józef z żoną Putyfara». Nie było to cnotliwe, ale o ile możności zakryte.

Obrazy, przedstawiające mękę Chrystusa, albo straszne sceny z żywotów świętych powinny były przejmować widzów grozą. Więc zdawało się, że co do kolorytu wracają czasy początków włoskiego malarstwa, że się odnawia epoka przedsieneńska i przedgiottowska. Aby wywołać ascetyczne wrażenia, nakładają malarze barwy malaryczne, zielonkawoszpitalne na twarze świętych postaci, każą się wić męczennikom w konwulsyjnych ruchach, a ponieważ chodzi o «naturalezzę», więc jakiś malarz prosi księcia Mirandoli, ażeby w jego obecności kazał ściąć głowę zbrodniarzowi, skazanemu na śmierć. W ten sposób mógł artysta wymalować ścięcie św. Jana tak, aby obraz na wiernych robił wielkie wrażenie. Guido Reni stał się ideałem tego kierunku; jego zielonkawe, jakby od wodnej puchliny nabrzękłe twarze świętych mogły

wyciskać łzy kobiet rekonwalescentek, albo panien zawiedzionych w swych uczuciach i rozczulających się łatwo na widok sentymentalnego cierpienia.

Istniał jeszcze inny zastęp malarzy, którzy radzi byli wstępować w ślady Michała Anioła. Tym się zdawało, że im dłuższe narysują postacie, im wyrazistsze oddadzą muszkuły, jakby u cyrkowych atletów, tem bardziej zbliżą się do artystycznego ideału, im więcej zaś nałożą czerwonych i żółtych barw na płótno, tem wyżej staną w opinji znawców.

Znaleźli się wreszcie artyści, który, nie sięgając tak wysoko, zapatrywali się na ostatnich wielkich Wenecjan, na Tycjana i Tintoretta, na mistrzów z Padwy, na Correggia i Parmegianina, a chwytając nieprzerwaną jeszcze nić tradycji malarskiej, weszli może na najlepszą drogę. Byli nimi trzej Caracci, Lodovico i dwaj jego krewni Annibale i Agostino. Byli oni z rodu Bolończykami, wzięli sobie za zadanie odnowienie wielkich tradycyj włoskiego malarstwa i jak na ludzi XVII wieku przystało, założyli w rodzinnem mieście akademję rysunku i nazwali się «Desiderosi», «Pragnący» sławy poprzedników. Najdalej w tym kierunku poszedł Lodovico, naśladując, o ile się tylko dało, Wenecjan i Correggia. Ażeby zaś dodać coś nowego, starał się wywoływać jak najsilniejsze wrażenia grą światła i cieni, stał się mistrzem «chiaroscura». Agostino nie igrał wprawdzie światłocieniem, ale natomiast zapatrywał się na kogo mógł z dawniejszych artystów; jedynym zaś, który się pomiędzy towarzyszami wybił na wyżyny sztuki, był Annibale. Najszczerszy z nich artysta, nie dbał o honory i tytuły, jak Lodovico, ani o towarzystwo poetów i dworzan, chodził po ulicy, jak dziki człowiek, w pomiętym kapeluszu, wytartym płaszczu, z włosami, które rzadko grzebień widywały, lecz pragnął stworzyć coś, czemby po Rafaelu i mistrzach weneckich mógł się zapisać w dziejach włoskiego malarstwa. I rzeczywiście osiągnął cel; jego freski w palazzo Farnese w Rzymie są najwspanialszem dziełem malarskiem XVII wieku we Włoszech. Opierał się tam o mistrza, którego najwięcej cenił, o Rafaela, i czerpał natchnienie w jego sali Psychy, w Farnesinie. Chciał przedstawić ulubiony wówczas temat o boskiej i ziemskiej miłości, temat zanadto abstrakcyjny, aby

go plastycznie uchwycić w całym szeregu malowniczych scen. Mimo to rzecz się powiodła, starożytne postacie pełne wdzięku, koloryt żywy, a rozczłonkowanie całej kompozycji w podłużnej sali nadzwyczaj zręczne. Całość niezmiernie zyskuje na szerokiem zastosowaniu «chiaroscura» do malowniczego obramienia poszczególnych obrazów, chiaroscura tak wybornego, że czasami trudno rozpoznać, czy mamy przed sobą rzeźbione ornamenty, czy dzieło pendzla.

Obok reminiscencyj sztuki Odrodzenia, nurtował tak u Caraccich, jak w całem malarstwie włoskiem prąd nowy, który polegał na wiernem oddawaniu przyrody, na zstąpieniu z Olimpu na ulicę, na malowaniu tego, co się widzi. Najwięcej może do szerzenia tego kierunku przyczynił się Caravaggio, Neapolitańczyk, człowiek porywczy, nie cofający się przed żadną nowością, i jego następca, Hiszpan Giuseppe Ribera, który głównie działał w Neapolu. O tych pracach wspominaliśmy, mówiąc o Salvatorze Rosa; szły one z Flandrji i Holandji.

Z drogi, ubitej przez dawne włoskie malarstwo, nie zbaczał Domenico Zampieri, zwany Domenichinem, abok Annibala Caracciego największy może talent malarski XVII wieku we Włoszech. Cichy, skromny, spokojny, sumienny, był on prawie wyjątkową osobistością w czasach baroku, w czasach blichtru i dążenia artystów, aby wszelkiemi sposobami wywoływać nowe wrażenia. Jest to niejako artysta piętnastego wieku, który się zabłąkał w późniejsze czasy, ale nie będąc dzieckiem swej epoki, nowych dróg nie utorował.

Malarstwo włoskie straciło w XVII wieku swe kierujące stanowisko; wydało wprawdzie niejednego znakomitego artystę, lecz musiało oddać berło, które dzierżyło w czasach Odrodzenia, w ręce innych narodów.

III

W XVII wieku doszedł zakon jezuitów do najwyższego rozkwitu i do zdumiewającej potęgi. W r. 1540 otaczało Ignacego Loyolę zaledwie dziesięciu oddanych mu przyjaciół, w sto lat później liczyło Towarzystwo Jezusowe przeszło 16.000 członków w trzydziestu pięciu prowincjach. Bogactwo Towarzystwa było niezmierne; w r. 1760 szacowano wartość nieruchomej własności zakonu na jeden miljard, dwieście pięćdziesiąt miljonów franków, co na owe czasy było prawie bajeczną sumą.

Z jakich źródeł pochodził ten majątek. Przedewszystkiem składały się na to zapisy; wstępujący do zakonu członkowie musieli się zobowiązywać, że najpóźniej w czwartym roku należenia do Towarzystwa zrzekną się wszelkich praw do swego majątku na rzecz wspólną. Ponadto staraniem jezuitów było pomnażać fortunę prywatnemi zapisami osób im oddanych. Zresztą już w XVII wieku posiadał Zakon kopalnie srebra i rafinerje cukru w Meksyku, plantacje cukru w Paraguayu, tudzież tak liczne stada mułów, że rocznie mógł sprzedawać 80.000 tych nadzwyczaj poszukiwanych zwierząt. Te daty dają tylko słabe pojęcie o potędze finansowej Towarzystwa.

Mając olbrzymią podstawę materjalną, mógł Zakon opanować publiczne wychowanie prawie we wszystkich katolickich krajach. W szkołach jezuickich uczono bezpłatnie, młodzież więc garnęła się pod skrzydła Zakonu. Głównym przedmiotem nauki był język łaciński, a w części i grecki, na wyższych kursach wykładano filozofję według Arystotelesa, zastosowaną do celów Kościoła, albo teologję, opartą na pismach Tomasza z Akwinu. Literatura narodowa nie miała tego znaczenia, co literatura rzymska. Mimo niezliczonych szkół i profesorów nie osiągnęli jezuici tej wysokości w naukach, do której doszli dawniej benedyktyni; było pomiędzy nimi wielu historyków, astronomów, archeologów, matematyków, numizmatyków, a nawet i fizyków, ale ludzi mających wiekopomne zasługi dla umiejętności niewielu, gdyż uczeni jezuici mieli zawsze główny cel na oku, interes wojującego Kościoła i do niego zastosowywali swe badania i rozumowania. Ich pisma były po większej części polemiczne, a więc tendencyjne, nie naukowe. Zresztą całe wychowanie członków Zakonu zmierzało do pewnych praktycznych celów, a nie do ścisłych naukowych badań, chciał on mieć profesorów, spowiedników, ka-

znadziejów, a nie filozofów. Panowała tam pewna obawa przed wszelką filozoficzną spekulacją, wykraczającą poza ustanowione formuły arystotelesowskie. Zakon wychowywał działaczy, wojowników Kościoła, a nie filozofów.

Dwóch jezuitów, Lainez i Salmeron, przyczyniło się w wysokim stopniu do uchwalenia kanonów soboru w Trydencie, a cały Zakon uważał za pierwszorzędne zadanie przeprowadzić wszelkiemi sposobami te zasady. Jedność Kościoła, jedność nauczania, słowem, jedna powszechna religijna kultura, powszechne moralne państwo pod kierunkiem Zakonu, oto były cele jezuitów. Wszelkie narodowe odrębności tak Kościoła katolickiego, jak pojęć obyczajowych i filozoficznych miały zniknąć. Bezwzględne posłuszeństwo, które było hasłem tej wybornie zorganizowanej armji, miało się stać także hasłem całego katolickiego świata. Członkowie Zakonu nie mogli mieć innej woli, jak wolę jenerała Towarzystwa, a narody katolickie innych praw, jak rzymskie dekrety.

Ponieważ członkowie Towarzystwa Jezusowego w znacznej części przyczynili się do powzięcia uchwał soboru trydenckiego, a jeszcze większą mieli zasługę w wykonaniu tych postanowień, przeto Zakon stał się główną podporą papiestwa, zwłaszcza, że papieże, począwszy od Pawła III aż do Grzegorza XIV, tj. od r. 1540 do 1591 dali mu prawie nieograniczoną władzę w rzeczach kościelnych, a nawet ogromny wpływ na stosunki papiestwa z świeckimi panującymi. Jezuici w tej epoce kierowali zagraniczną polityką Watykanu.

Z centralizacyjnego, cały świat katolicki obejmującego systemu wynikało, że jezuici tak wielki kładli nacisk w swych szkołach na język łaciński. Zazwyczaj przez siedm lat uczyli swych wychowanków gramatyki łacińskiej, osławionego Alvara. Z pomocą tej powszechnej mowy mogli łatwiej kierować różnemi narodami i społeczeństwami o różnych zwyczajach i kulturach. Ten kosmopolityzm naukowy był pod wielu względami bardzo szkodliwy, gdyż spychał języki żyjące na drugi plan i przeszkadzał rozwojowi narodowych literatur. W czasie też największej potęgi Zakonu we Włoszech, w katolickich krajach Niemiec i w Polsce nastała epoka makaronizmu, epoka chwilowego upadku literatury w XVII wieku.

Wprawdzie w Polsce znalazło się kilku nadzwyczaj wybitnych jezuitów, a przedewszystkiem Skarga, którzy w swych kazaniach starali się utrzymać i rozwinąć piękność języka, przekazanego przez wiek XVI, ale ci krasomówcy nie potrafili powstrzymać złego, które za sobą pociągał kosmopolityczny system naukowy szkół jezuickich. Wyjątkiem powszechnego upadku literatury w krajach katolickich była Hiszpanja, gdyż jezuici nie mogli tam zapanować nad hiszpańsko-narodowym zakonem dominikanów, najpotężniejszą organizacją w kraju. Natomiast Portugalja, równie jak Polska, uległa zupełnie wpływowi zakonu Loyoli.

Jezuici pracowali wyłącznie w jednym kierunku, w kierunku wzmocnienia potęgi Kościoła, a tem samem i rozszerzenia własnego wpływu. Temu celowi poświęcali wszystkie inne względy, względy na dobro narodów i państw, które zdołali opanować. Zapominali, że powodzenie Kościoła zależało także od powodzenia tych, nad którymi Kościół rozciągał swą piekuńczą władzę. Fakt to niezaprzeczony, że kraje, w których Zakonu jezuitów miał wielką przewagę w XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku, upadały pod względem ekonomicznym i intelektualnym. Do tych krajów należały Włochy i prawie wszystkie kraje romańskie. Na Francję sprowadzili jezuici po kilka razy straszne klęski, a przedewszystkiem odwołanie edyktu nantejskiego, czego oni byli powodem, a co stało się na długie czasy przyczyną ekonomicznej i materjalnej ruiny. W Polsce działanie Possewina było w skutkach zgubne dla przyszłości Rzeczypospolitej, tak samo, jak rady O. Voty, dawane Janowi Sobieskiemu, były może korzystne dla Rzymu, ale nie dla Polski.

Potęga Towarzystwa Jezusowego zaczęła się chwiać już w pierwszej połowie XVII wieku. Swą pychą, swem mieszaniem się do wszelkich spraw publicznych i prywatnych, swą chciwością w pomnażaniu dochodów, wreszcie bezwzględną i sarkastyczną polemiką odwrócili jezuici od siebie większą część opinji publicznej prawie w całej Europie. Do tej niechęci przyczyniła się niemało i konkurencja, jaką Zakon czynił światu handlowemu. Jezuici należeli wówczas do najpotężniejszych bankierów świata; w Ameryce prowadzili handel

na olbrzymie rozmiary, w Chinach pożyczali kupcom, stosując się do tamtejszych zwyczajów kupieckich, na 25—100 od sta, w Europie przedsiębrali wielkie pieniężne transakcje. Gdy August Mocny wybierał się objąć tron polski, otworzyli mu wiedeńscy jezuici duży kredyt u swych współbraci w Warszawie. Niemało też do wywołania niechęci przeciw jezuitom, zwłaszcza w Rzymie, przyczynił się jenerał Zakonu, dumny O. Oliwa, ów protektor Berniniego, który wykraczając przeciw tradycjom Towarzystwa, otaczał się zbytkiem, jak średniowieczny opat benedyktyński, i słynął z sybarytyzmu. Zakon zresztą czuł się w XVII wieku już tak potężnym, że lekceważył rozkazy papieskie i stosował się do woli Watykanu tylko wtedy, kiedy się to zgadzało z jego interesami. We Francji, gdzie jezuici przeważny wpływ wywierali na Ludwika XIV, coraz większa przeciw nim powstawała niechęć, zwłaszcza, gdy na usilne ich starania monarchja bezwzględnie zgniotła jansenizm, któremu hołdowały najznakomitsze umysły kraju. Tej niechęci dał wyraz Pascal w swych listach «Lettres d'un Provincial», pisanych z nadzwyczajnym dowcipem, które zadały Zakonowi we Francji cios niemal śmiertelny. Walkę, którą Pascal rozpoczął, prowadzili dalej filozofowie francuscy drugiej połowy XVIII w., dopóki Zakon nie stracił tam podstaw swego istnienia. Ostateczną klęskę poniósł Zakon w kraju, który potrafił najbardziej ujarzmić, w Portugalji, a nieubłaganą wojnę przeciw jezuitom prowadził minister Pombal, ich wychowaniec. Pombal skonfiskował wszystkie, olbrzymie dobra jezuitów na rzecz państwa, skazał wszystkich portugalskich członków Zakonu na wygnanie i w r. 1759 kazał w sposób prawdziwie barbarzyński wielu uwięzić, a resztę wpakować na kilka nędznych kupieckich statków i wysadzić na wybrzeżach państwa papieskiego.

Cios po ciosie zaczął spadać na Towarzystwo Loyoli. W r. 1762 parlament paryski uchwalił zniesienie Zakonu we Francji; w kilka lat później rząd hiszpański kazał uwięzić około 6.000 jezutów w całem państwie, a następnie odesłać ich okrętami papieżowi, podobnie jak postąpiła Portugalja. Wygnańcy mieli zawinąć do portu w Cività Vecchia, lecz Klemens XIII nie pozwolił im wylądować, a władze portowe

przyjęły nadpływające statki armatniemi strzałami. Jezuici zwrócili się do Korsyki, i tam wreszcie znaleźli przytułek. Rząd papieski nie wiedział, co począć; wszystkie państwa powstawały przeciw jezuitom, nie było innej rady, jak rozwiązać Zakon. Klemens XIV zdecydował się na ten krok stanowczy, podpisał 21 lipca 1773 r. bullę, na mocy której Zakon przestał istnieć. Jenerała Towarzystwa Jezusowego, Ricciego, zamknięto w więzieniu zamku św. Anioła, pomimo, że właściwie nic nie popełnił, coby tę ciężką karę usprawiedliwiało. Losy były tym razem dziwnie złośliwe, gdyż Klemens XIV, Lorenzo Ganganelli, wyszedł z zakonu franciszkanów, należał do mnichów żebrzących, którymi jezuici zawsze pogardzali.

Zakon znalazł jednak potężną protektorkę. Katarzyna II nie uznała papieskiego dekretu, rozwiązującego Towarzystwo Jezusowe, pozwoliła jezuitom wybrać w Królestwie Polskiem i na Litwie jeneralnego wikarjusza, a w ten sposób Towarzystwo istniało dalej i stanowiło zawiązek, z którego wyszło wznowienie Zakonu. Następca Klemensa XIV, papież Pius VI sprzyjał jezuitom, pozwolił, aby książę Parmy sprowadził do Włoch kilku «Ojców polskich», a Pius VIII Chiaramonti uznał Zakon w Rosji i w królestwie Neapolu i Sycylji. Jezuici znowu powstali.

Kościół zawdzięczał w XVI i XVII wieku jezuitom dużo, a może byłby im zawdzięczał jeszcze więcej, gdyby Zakon był postępował bardziej umiarkowanie, gdyby jego taktyka nie była w wysokim stopniu zaczepna, a przedewszystkiem przeprowadzenie strategicznych planów nie takie gwałtowne, bezwzględne, często okrutne.

Czy powszechna kultura zyskała na działaniu jezuitów? Odpowiedź na to pytanie dały erupejskie narody prawie jednogłośnie, wydalając ich ze swych krajów.

IV

W kulturze włoskiej XVII wieku uderza wielka sprzeczność pomiędzy usiłowaniami Kościoła do przeprowadzenia

religijnych reform, pomiędzy wytężeniem wszelkich sił rzymskiej hierarchji celem umoralnienia duchowieństwa a faktycznym stanem ludności, którego w żaden sposób moralnym nazwać nie można. Otóż ta sprzeczność ma różnorodne przyczyny. Przedewszystkiem Odrodzenie bynajmniej nie pozostawiło XVII wiekowi moralnego społeczeństwa w spuściźnie; ciągłe wojny, gnębiące rządy małych tyranów, najazdy francuskie i hiszpańskie, spustoszenia, jakie robiły hordy kapitanów «di ventura», wreszcie rozluźnienie, jakie panowało w duchowieństwie świeckiem i klasztornem, wszystko to działało szkodliwie na społeczeństwo. Rzymskim reformatorom łatwiej było wprowadzać karność w wyższe szeregi duchownej hierarchji, aniżeli wpoić wyobrażenia etyczne w szerokie warstwy ludności. Zresztą działanie papiestwa i zakonów wojujących w końcu XVI i w całym XVII wieku było głównie do tego skierowane, aby napowrót odzyskać zdobycze protestantyzmu, aby prowadzić skuteczną walkę z północną Reformacją; na umoralnienie ludności zapewne i sił już nie starczyło. W samem zresztą niższem duchowieństwie nie było jeszcze dość materjału do etycznego działania, stało ono na niskim poziomie kultury. Owa zaczepna walka Kościoła z protestantyzmem pociągała to za sobą, że Rzym potrzebował ujmować sobie panujących i wogóle zyskiwać sobie wyższe klasy społeczeństwa, mające wpływy polityczne i materjalne, aby je zużywać w swych celach. Stąd wynikała wielka różnica w zastosowaniu praw moralności do ludzi możnych, a do niższego społeczeństwa. Możnym przebaczano łatwiej i więcej, aniżeli ogółowi ludności, liczono się, jak zawsze i wszędzie, z siłą. To zastosowanie nierównej miary w rzeczach moralności rodziło w klasach niższych słuszne zresztą przekonanie, że możnym wszystko wolno i że nawet w sprawach, tyczących się religji, nie było sprawiedliwości. Poczucie to wyrabiało gorycz, która coraz to głębiej sięgała i coraz to szersze zapuszczała korzenie. Do rozżalenia społeczeństwa przyczyniały się wielce rządy w Hiszpanji i we Francji, rządy w najwyższym stopniu arystokratyczne, co oddziaływało i na włoskie stosunki. Skoro ludność widziała, że inne reguły etyczne istnieją dla klas panujących, a inne dla niej, więc tem samem

musiała się zachwiać powaga wszelkich praw moralności. Na złagodzenie tych różnic we Francji wpływało tamtejsze duchowieństwo, które bez porównania wyżej stało, aniżeli duchowieństwo włoskie. W Rzymie widziano tylko główne zadanie przed sobą, zwycięstwo Kościoła, a jak dalece w tamtejszych kołach górowało dążenie do wzmocnienia władzy hierarchji kościelnej nad staraniem o umoralnienie społeczeństwa, bardzo wyraźnie okazuje się z zapatrywań cenzury kościelnej. Cenzorom głównie o to chodziło, aby w książkach nie ubliżano w niczem duchowieństwu; ustępy, które mogły jakikolwiek cień rzucić na księży lub zakonników, kreślono niemiłosiernie, rzeczy wysokiej nawet niemoralności pozostawiano jako nieszkodliwe. Ilustracją tej zasady są wydania nowel Bandella z XVII wieku. Ilekroć tam mowa o jakim członku hierarchji kościelnej, zawikłanym w miłosną intrygę, zawsze zamiast «biskupa» lub «zakonnika» wpisywano «profesora» lub «studenta», a «ksienię» zamieniano na «mieszczkę», zresztą niemoralność nowel niewiele obchodziła cenzorów. Tak samo postępowano z innymi pisarzami. Nadzwyczaj niemoralne pisma Giovanniego da Capugnano przechodziły cenzurę, wyrzucono lub zmieniono w nich tylko to, co uchybiało duchowieństwu. W nowelach Straparoli trzymano się tego samego systemu.

Słynnych pisarzy ochraniał cokolwiek przed duchowną cenzurą patrjotyzm włoski. Były to czasy hiszpańskiego ucisku; duch narodu mógł żyć tylko w literaturze, więc nawet i kongregacja Indeksu, składająca się najczęściej z samych Włochów, była cokolwiek łagodniejszą wobec wielkich nazwisk przeszłości. Gdy się we Florencji dowiedziano, że rzymska cenzura zabiera się do «oczyszczenia» «Dekamerona» Boccaccia, powstała taka panika pomiędzy publicznością, że zarzucano kongregację listami, błagającemi o łaskę dla jednego z najpiękniejszych dzieł literatury. Ferdynand de' Medici zwrócił się do jednego z cenzorów, do monsignora Cirillo, zapewniając go, że mu będzie nadzwyczaj wdzięcznym, jeżeli osłoni swoją protekcją «Dekamerona», gdyż zamiar «okrojenia» Boccaccia tak boleśnie dotknął całą Florencję, że

wielu znakomitych ludzi udaje się do niego, aby się wstawił za wielkim pisarzem, chlubą włoskiego narodu.

Największą trudność miała rzymska cenzura z «umoralnieniem» Petrarki; zmieniać sonety niełatwo. Znalazł się jednak tak odważny zakonnik, fra Hieronimo Malipieri, który się podjął tego zadania i wydał swego «Petrarca spirituale». Aby się zaś usprawiedliwić przed publicznością, że porobił w pismach wielkiego poety przeróżne zmiany, opowiedział w przedmowie, że gdy razu pewnego przechodził w Arqua koło grobu Petrarki, stanął przed nim duch poety w skarżył się, że dopóty musi się błąkać po świecie, dopóki jego sonety nie będą «oczyszczone». Prosił więc Malipierego, aby mu wyświadczył tę łaskę i zmienił w «Canzonierze» to, co się nie zgadza z moralnością. Malipieri z taką sumiennością zabrał się do tego zadania, że np. z pierwszego sonetu pozostał zaledwie jeden wiersz niezmieniony.

Na poprawianie «Boskiej Komedji» Dantego nie odważył się wszakże ani Malipieri, ani inny z tych «sławnych» cenzorów, pomimo, że Dante gorzkiemi nieraz słowy obrzucał rzymską hierarchję.

Trochę łagodniej, aniżeli z autorami Odrodzenia, obchodziła się cenzura papieska z starożytnymi pisarzami, chociaż i oni nie wyszli bez szwanku. Trzeba przypuścić, że i tutaj uczucie patrjotyzmu musiało wstrzymywać od przykładania siekiery do poważnego, odwiecznego drzewa.

Wszystkie jednak starania i zabiegi, aby spowić myśl ludzką i odebrać jej wolność badania i dociekania, na nic się nie przydały; rozwój narodów poszedł naturalnemi, żywotnemi drogami, a późniejsze pokolenia odwróciły się od tych, którzy chcieli człowiekowi zasłonić wszechświat ciężką kotarą.

Reakcja XVII wieku była powodem strasznych kataklizmów, które o wiek później wybuchły prawie w całej Europie; stulecie baroku stało się podłożem francuskiej rewolucji. Jest to obrót rzeczy, powtarzający się zawsze w dziejach; narody, czy klasy społeczne, mające chwilowo władzę, lub czujące się silniejszemi od drugich, nadużywają

swej potęgi, aby gnębić słabszych. Po niejakim czasie ci słabsi stają się silniejszymi i zaczynają tak samo postępować, jak dawniejsi ich nieprzyjaciele. Vendetta za vendettę. Do równowagi w społeczeństwach, do harmonji prawie nigdy nie przychodzi, a ci, co marzą o wiecznym pokoju, o czasach bezwzględnej sprawiedliwości, są nieuleczalnymi idealistami.



CHRONOLOGJA PAPIEŻY

OD PAWŁA III DO KLEMENSA XI, 1534—1721

CHRONOLOGJA PAPIEŻY
OD PAWŁA III DO KLEMENSA XI, 1534—1721.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
Paweł III, Alessandro Farnese, ur. w r. 1468 w Rzymie, obrany papieżem 13 paźdz. 1534, um. 10 listop. 1549.	1538. Pokój zawarty w Nizzy pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I. 1541. Nowa wojna Karola V z Francją. 1545. Otwarcie koncyljum w Trydencie. 1547. Przeniesienie koncyljum do Bolonji. 1548. Zygmunt August, królem polskim.
Juljusz III, Giovanni Marja Ciocchi, ur. w roku 1487 w Rzymie, obrany papieżem 8 lutego 1550, um. 23 marca 1555.	1550. Giorgio Vasari przedkłada księciu Cosimowi Medyceuszowi swoje dzieło «Vite dei pittori». 1552. W Wenecji ur. fra Paolo Sarpi (um. 1623). 1553. Marja Tudor, królową Anglji.
Marceli II, Marcello Cervini, urodzony w r. 1501 w Montefano, obrany papieżem 9 kwietnia 1555, um. 30 kwietnia 1555.	1555. Książę Alba gubernatorem Medjolanu 1555. Ur. Lodovico Carracci (um. 1619).
Paweł IV, Gian Pietro Carafa, ur. 1476 w S. Angelo della Scala, obrany 23 maja 1555, um, 18 sierpnia 1559.	1555. Pokój religijny w Niemczech. 1556. Karol V zrzeka się 27 sierpnia cesarskiej korony na rzecz swego brata Ferdynanda, króla rzymskiego. 1556. Filip II królem Hiszpanji i Sycylji.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
	1557. Wojna pomiędzy księciem Alba a Pawlem IV. Alba w Rzymie. 1558. Elżbieta królową Anglji, Ferdynand I cesarzem. 1559. Traktat zawarty w Chateau Cambresis (z kwietnia). 1559. Franciszek II królem Francji. 1559. Index librorum prohibitorum.
Pius IV, Giovan Angelo Medici ur. w r. 1499, obrany 25 grudnia 1559. umarł 9 grudnia 1565.	1560. Karol IX królem Francji. 1560. Ur. Annibale Carracci (um. 1609). 1564. Maksymiljan II cesarzem. 1564. Sobór w Trydencie ukończony. Pius IV ogłasza 27 stycznia 1564 «Professio fidei Tridentina». 1565. Pierluigi da Palestrina pisze swoją sławną mszę, zwaną «Messa di papa Marcello».
Pius V, Michele Ghislieri, urodzony w Bosko koło Tortony w roku 1504, obrany 7 stycznia 1565 um. 1 maja 1572. Wielki Inkwizytor; Kanonizowany w r. 1713 przez Klemensa XI.	1566. Obostrzenie Inkwizycji we Włoszech. 1567. Początek powstania w Niderlandach. 1568. Cosimo de'Medici wielkim księciem toskańskim. 1570. Pius V ogranicza handel księgarski we Włoszech. 1571. Zwycięstwo Don Giovanniego d'Austria i Marc'Antonia Colonny pod Lepanto.
Grzegorz XIII, Hugo Boncompagni, urodzony w Bolonji, obrany 13 maja 1572, um. 10 kwietnia 1585.	1572. Noc św. Bartłomieja (24 sierpnia). 1573. Henryk Walezy królem polskim. 1574. Henryk Walezy królem Francji, jako Henryk III. 1575. Stefan Batory królem polskim. 1575. Rzymski jubileusz (jedenasty). 1576. Rudolf II cesarzem rzymskim. 1580. Filip II zajmuje Portugalję. 1582. Zaprowadzenie nowego, gregorjańskiego kalendarza w katolickiej Europie. 1583. Odnalezienie grupy Niobidów.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
Sykstus V, Felice Peretti, urodzony w r. 1521 w Grottamare, obrany 24 kwietnia 1585, um. 27 sierpnia 1590.	1587. Ścięcie Marji Stuart. 1587. Ukończenie kopuły św. Piotra. 1587. Zygmunt III królem polskim. 1587. Ferdynand I wielkim księciem toskańskim. 1589. Henryk IV królem Francji (Bourbon). 1589. Galileo Galilei profesorem w Pizie. 1590. Sykstus V ogłasza tekst katolickiej Biblji (Vulgaty), poprawiony później w r. 1592.
Urban VII, Giambattista Castagna, ur. w r. 1521 w Rzymie, obrany 15 września 1590, umarł 27 września 1590.	
Grzegorz XIV, Niccolo Sfondrati, ur. w r. 1535 w Kremonie, obrany 5 grudn. 1590, um. 15 października 1591.	
Innocenty IX, Giannantonio Facchinetti ur. w roku 1519 w Bolonji, obrany 29 paźdz. 1591, um. 30 grudnia 1591.	
Klemens VIII, Hipolit Aldobrandini, ur. w r. 1535 w Fano, wybrany 30 stycznia 1592, um. 5 marca 1605.	1595. Henryk IV powraca do katolickiego kościoła. 1595. † Torquato Tasso, 25 kwietnia. 1595. † Alfons II d'Este, a w r. 1598 Ferrara, odebrana Estom, zostaje połączona z papieskiem państwem. 1598. Edykt Nantejski. 1598. † Filip II hiszpański. Filip III.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
Leon XI, Alessandro de'Medici, ur. w r. 1535 we Florencji, wybrany 1 kwietnia 1605, um. 27 kwietnia 1605.	1598. Ur. Lorenzo Bernini w Neapolu († 1680). 1600. Giordano Bruno spalony jako heretyk. 1603. Połączenie Anglji ze Szkocją. Jakób I.
Paweł V, Camillo Borghese, urodzony w r. 1552, wybrany 16 maja 1605, um. 28 stycznia 1621.	1607. Pokój zawarty pomiędzy papieżem a Wenecją. 1608. Ur. Fr. Borromini, architekt. († 1667). 1610. Ostateczna redakcja Bulli «In coena Domini». 1610. Jezuici zakładają rzeczpospolitą w Paraguai. 1610. Henryk IV zamordowany. Ludwik XIII. Marja de'Medici rejentka. 1612. Maciej rzymskim cesarzem. 1613. Dynastja Romanowów w Rosji. 1613. Ur. w Rzymie Kasper Dughet, zwany Poussin († 1675). 1614. Ukończenie budowy kościoła św. Piotra. 1615. Ur. Salvator Rosa. 1616. † Shakespeare. 1618. Początek wojny trzydziestoletniej. 1619. Ferdynand II cesarzem. 1621. Filip IV królem Hiszpanji.
Grzegorz XV, Aleksander Ludovisi, ur. w r. 1554 w Bolonji, obrany 9 lutego 1621, um. 8 lipca 1623.	1621. Ferdynand II wielkim księciem Toskanji. 1622. Budowa willi Ludovisi.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
Urban VIII, Maffeo Barberini, urodzony w r. 1568 we Florencji, wybrany 6 sierpnia 1623, um. 29 czerwca 1644.	1624. Księstwo Urbino przyłączone do państwa papieskiego. 1625. Karol I królem Wielkiej Brytanji. 1630. Gustaw Adolf w Niemczech. 1632. Bitwa pod Lützen, śmierć Gustawa Adolfa. 1632. Krystyna królową szwedzką. 1632. Władysław IV królem polskim. 1334. Wallenstein zamordowany w Eger. 1637. Ferdynand III cesarzem. 1639. Urodził się Racine. († 1699). 1640. Dynastja Braganza w Portugalji. 1642. † kardynał Richelieu. Ministerstwo Mazarin. 1642. Wojna o Castro. 1643. Ludwik XIV królem Francji.
Innocenty X, Gian Battista Pamfili, ur. w r. 1572 w Rzymie, wybrany 15 września 1644, um. 6 stycznia 1655.	1644. Wygnanie Barberinich. 1646. Ur. G. W. Leibnitz († 1716). 1647. Rewolucja w Palermo i w Neapolu. Masaniello. 1648. Pokój westfalski. 1648. Jan Kazimierz królem polskim. 1649. Ścięcie Karola I, króla Wielkiej Brytanji. Rzeczpospolita angielska. 1653. Olivier Cromwell. 1654. Krystyna szwedzka ustępuje z tronu.
Aleksander VII, Fabio Chigi, ur. w Sienie w r. 1599, wybrany 7 kwietnia 1655, umarł 22 maja 1667.	1656. Morowa zaraza w Rzymie. 1658. Leopold I cesarzem, 1660. † Diego Velasquez. 1660. Karol II królem Wielkiej Brytanji. 1663. † Otton Lineusz, wielki botanik. 1665. Karol II królem hiszpańskim, ostatnim z domu Habsburgów. 1665. Krystyna szwedzka w Rzymie.
Klemens IX, Giulio Rospigliosi, urodzony w r. 1600 w Pistoi, wybr. 20 czerwca 1667, umarł 9 grudnia 1669.	1668. Pokój w Akwisgranie. 1669. Turcy opanowują Kretę. 1669. Michał Wiśniowiecki królem polsk. 1670. Cosimo III wielkim ks. Toskanji.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
Klemens X, Emilio Altieri, urodzony w r. 1590 w Rzymie, wybrany 29 kwietnia 1670, um. 22 lipca 1676.	1673. Jan III Sobieski królem polskim. 1674. † Milton, poeta angielski.
Innocenty XI, Benedetto Odescalchi, ur. w r. 1611 w Como, wybrany 21 września 1676, um. 12 sierpnia 1689.	1685. Ludwik XIV odwołuje edykt nantejski. 1687. Wenecjanie zdobyw. Moreę i Attykę. 1687. † Calderon de la Barca. 1688. Angielska rewolucja. Jakób II pozbawiony tronu. Wilhelm III z Oranji. 1689. † Królowa szwedzka, Krystyna.
Aleksander VIII, Pietro Vito Ottoboni, ur. w r. 1610 w Wenecji, wybrany 6 paźdz. 1689, um. 1 lutego 1691.	
Innocenty XII, Antonio Pignatelli, ur. w Spinazzola w Bazylikacie, wybrany 12 lipca 1691, um. 27 września 1700.	1695. Piotr Wielki carem Rosji. 1697. August II królem Polski. 1697. Karol XII królem Szwecji. 1700. † Karol II hiszpański. Wojna sukcesyjna. Filip V.
Klemens XI, Gian Francesco Albani ur. w r. 1649 w Urbino, wybrany 23 listopada 1700, um. 19 marca 1721.	1701. Fryderyk I królem Prus. 1702. Anna królową Anglji. 1704. Stanisław I Leszczyński królem polskim. 1705. Józef I cesarzem rzymskim. 1705. Bulla «Vineam Domini» przeciw Jansenistom. 1707. Ur. Carlo Goldoni († 1793). 1709. Karol VI cesarzem rzymskim. 1713. Pokój w Utrecht. Rozbiór Monarchji hiszpańskiej. Sankcja pragmatyczna.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
	1714. Filip V pojmuje za małżonkę Elżb. Farnese. 1714. Dynastja hanowerska na tronie angielskim. 1715. † Ludwik XIV; Ludwik, XV królem Francji, książę Orleański regentem.

LITERATURA

LITERATURA

Ademollo A. I teatri di Roma nel secolo decimosettimo. Roma. L. Pasqualucci, 1888.

Ademollo A. Il brigantaggio e la corte di Roma nella prima metà del secolo decimosesto. Nuova Antologia. 1 Dicembre 1880.

Ademollo A. Uno scrittore di aneddoti romani del secolo decimosettimo. Nuova Antologia. 1877 Febraio.

Ademollo A. I primi fasti della musica italiana a Parigi (1645—1662). Milano, Edizioni Ricordi. Nr. 49, 289.

Ademollo A. La bell'Adriana a Milano. Edizioni Ricordi, Milano. Nr. 49, 997.

Ademollo A. La bell' Adriana ed altre virtuose del suo tempo. Città di Castello. Tip. Lapi 1888.

Ademollo A. La Leonora di Milton e di Clemente IX. Milano, Edizioni Ricordi. Nr. 50281.

Ademollo Agostino. Beatrice Cenci romana. Storia del Secolo XVI. Firenze 1839 i 1849.

Amayden Teodoro. La storia delle famiglie Romane con note del Carlo Augusto Bertini. Vol. I. Roma. Collegio araldico 1910.

Amayden T. Vitae Paparum et cardinalium. Rękopis w Bibl. Casanatense w Rzymie (Coll. E. III, 12).

Andreini Francesco da Pistoia, comico Geloso. Le bravure del capitano Spavento. Venetia 1669. Per Michel Angelo Barboni.

Arckenholtz C. & B. Memoires concernant Christine, Reine de Suède. Amsterdam et Leipzig, chez Pierre Mortier. 1751—1760. Tomów 4.

Avvisi di Roma, rękopis z XVII w. Bibl. Corsiniana w Rzymie.

Bachet Armand. Les comédiens italiens à la cour de France sous Charles IX, Henri III, Henri IV. et Louis XIII. Paris E. Plon & Co. 1882.

Baglione Giov. Romano. Le vite de'pittori, scultori, architetti, ed intagliatori dal pontificato di Gregorio XIII fino a tempi di papa Urbano VIII nel 1642 con la vita di Salvator Rosa napoletano scritta da Giov. Battista Passari Napoli 1733.

Baldinucci Filippo. Vita di Bernini.

Barberini Maphaei card., nunc Urbani VIII poemata, Poesie toscane. Roma stamperia della camera Apostolica 1638.
Beani G. Clemente IX. Notizie storiche. Prato. Giacchetti, 1893.
Belloni Antonio. Il Seicento. Stanowi część wydawnictwa p. t. Storia letteraria d'Italia scritta da una società di Proffessori. Milano. Ediz. Fr. Vallardi. Bez daty. Około 1905.
Bernini Domenico. Vita di Gianlorenzo Bernini.
Berti Domenico. Vita di Giordano Bruno 1868.
Bertolotti A. Francesco Cenci e la sua famiglia. Studi istorici. Seconda edizione. Firenze tip. della Gazzetta d'Italia 1879.
Bertolotti A. Musici alla corte dei Gonzaga in Mantova dal secolo XV al XVIII. Milano. Ricordi & Co. Nr. 54,866.
Bildt, Le baron de. Christine de Suède et cardinal Azzolino. Lettres inédites (1666—1668) Paris. E. Plon. 1899.
Bildt, Le baron de. Un banchetto al Quirinale nel seicento. Nuova Antologia giugno 1901.
Bildt, Le baron de. Queen Christinas Pictures «Nineteenth Century». Dec. 1904.
Bildt, Le baron de. Christine de Suède et le conclave de Clément X. (1669—1670). Paris, Plon, 1906.
Bildt, Le baron de. Pensées de Christine reine de Suède. Stockholm. P. A. Norstadt & söhners. 1906.
Bildt, Le baron de. Les médailles de Christine de Suède. Rome. Loescher & Co,. 1908.
Bossi Gaetano Prof. La Pasquinata «Quod non fecerunt barbari fecerunt Barberini». Roma, Liberia E. Feliziani, 1898.
Borzelli Angelo. Il cavalier Giambattista Marino. Napoli, Gennaro Priore edit. 1898.
Bournet. Mission et voïage. Histoire de son temps.
Brozzi Paglicci Antonio. Contribuito alla storia del teatro. Il teatro a Milano nel secolo XVII. G. Ricordi, Milano Nr. 95.142.
Brunnhofer. Giordano Brunos Weltanschauung und Verhängnis. 1882.
Bruno Giordano. Le opere Italiane de Giordano Bruno. Edit. Paolo de Lagarde. 1888.
Cancellieri Francesco. Il Mercato. Il lago dell'acqua Vergine ed il palazzo Panfiliano nel circo agonale. Roma, Per Fr. Bourlié. 1811.
Cancellieri. Lettera di Francesco Cancellieri al Sig. D. Koreff sopra il Tarantismo. Roma 1817. O pobycie Urbana VIII w Castel Gandolfo, str. 92—283.
Canevazzi Giovanni. Papa Clemente IX poeta. Modena Tip. Forgieri e Pellequi. 1900.
Cantu. Storia degl'Italiani. Vol. III.
Chasles Philarète. Études sur L'Espagne et sur les influences de la littérature espagnole en France et en Italie. Paris, Amyot. 1647.

Chantelou, M. de. Journal du voyage du cavalier Bernin en France. Manuscript inédit publié et annoté par M. Ludovic Lalanne, Gazette des Beaux Arts. 2-e periode.
Giampi Ignazio. Viaggiatori romani men noti. Nouva Antologia. Agosto e Settembre 1874.
Ciampi Ignazio. Innocenzo X. Pamfili e la sua corte. Roma, 1878. Tipi dei Galeati in Imola.
Combes M. François. La princesse des Ursins. Paris. Didier & Co., 1858.
Coulange M. de. Mémoires, publiés par M. de Monmarqué. Paris. I. I. Blaise, 1820.
Créquy, Marquise de. Souvenirs. Paris Librairie de Fournier jeune, 1834.
Darowski A. Jan Kazimierz w Rzymie. Przegląd polski. Kraków, 1897 r., kwartał II i III.
Dejob. De l'influence du Concile de Trente sur la littérature et les beaux arts etz. Paris, Thorin, 1884.
Dubarry Armand. La belle-soeur d'un pape. Paris, André Sagnier, 1878.
Favoro Antonio. Galileo Galilei e lo studio di Padova. Firenze. Successori Le Monnier, 1883. 2 tomy.
Favaro Antonio. Galileo Galilei e suor Maria Celeste. Firenze, Barbéra 1891.
Ferrari Francesco. Vita del Cav. Marino. Venetia 1623.
Fraschetti Stanislao. Il Bernini. Milano U. Hoepli, 1900.
Galileo Galilei. Opere. Edizione nazionale. Firenze 1890. Barbèra.
Geffroy M. A. Lettres inédites de Madame des Ursins. Paris, Didier & Co.
Geffroy A. Studjum o książce Bertolottego «Francesco Cenci». Revue des deux mondes 1880, p. 941.
Giordano Paolo. Rime di P. G. II. duca di Bracciano. Bracciano, Andrea Fei 1648.
Gnoli Domenico. Vittoria Accoramboni. Firenze. Le Monnier, 1870.
Goldschmidt, dr. Hugo. Die italienische Gesangsmethode des XVII. Jahrhunderts und ihre Bedeutung für die Gegenwart. Breslau, Schlesische Verlagsanstalt 1892.
Gonzalès Emmanuel. Les caravanes de Scaramouche. Paris. E. Dentu 1881.
Grauert W. H. Christina Königin von Schweden und ihr Hof. Bonn bei Eduard Weber, 1837.
Gregorovius Ferdinand. Urban VIII im Widerspruch zu Spanien und dem Kaiser. Stuttgart, Cotta 1880.
Grotanelli Lorenzo. Alfonso Piccolomini. Storia del secolo XVI. Firenze, Uffizio della Rassegna nazionale. 1892.

Gualdi l'Abbé. Histoire de donna Olimpia Maidalchini. Leyde, chez Jean Du Val. 1666.

Gualtieri Guido. Relatione della venuta degli Ambasciatori Giapponesi a Roma fine alla partita di Lisboa. Roma 1586.

Guglielmotti Alberto. Marcantonio Colonna alla battaglia di Lepanto. Le Monnier, 1862.

Gurlitt Cornelius. Geschichte des Barockstiles in Italien. Stuttgart, Verlag Elner & Seubert, 1887.

Guillet de Sainte-Georges. Mémoires inedites. Tom I, pag. 236.

Histoire des intrigues galantes de la reine Christine de Suède, et de sa cour, pendant son séjour a Rome. Amsterdam. Chez Jean Henri Libraire, 1697.

Hübner M. le baron. Sixte-Quint. Paris, Hachette & Co. 1882. 2 Tomy.

Jaworski Franciszek. Jadwiszka ze Lwowa. Z dziejów serca królewskiego. «Lwów stary i wczorajszy», Lwów 1911. Wydanie drugie.

Kraushar Aleksander. Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki. Warszawa, 1882.

Kubala Dr. Ludwik. Jerzy Ossoliński. 2 tomy. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, 1883.

Kuhlenbeck Ludwig. Giordano Bruno. Gesammelte Werke, ins Deutsche übertragen. Diederichs in Leipzig 1904.

Kwiatkowski. Dzieje Władysława IV. Warszawa 1892.

Leti Gr. Il Nepotismo in Roma. 1667. 2 tomy.

Louis Gustaw. Giordano Bruno. Seine Weltanschauung und Lebensauffassung. Berlin, E. Felber. 1900.

Mancini Marie Connétable. Apologie. Leide. J. Van Gelder, 1678.

Marcheix Lucien. Un Parisien a Rome et a Naples en 1632 (J. J. Bouchard). Paris. E. Leroux. Bez daty (około 1900).

Marino Cavalier. Giambattista. Opere. Napoli. C. Boutteaux edit. 1861.

Mascardi Vitale. Festa fatta in Roma alli 25. di Febraio. 1634. Roma.

Montaigne Michele de. Journal de Voyage en Italie. Edit. par le prof. A. D'Ancona. Città di Castello. S. Lapi 1895.

Moland Louis. Molière et la comèdie italienne. Paris. Didier & Co. 1867.

Morgan Lady. The life and times of Salvator Rosa. London, David Bryce. 1855.

Negri Paolo. Disegni di Cristina A. di Svezia per un'impresa contro il regno di Napoli. Roma. Archivio della R. Società Romana di storia patria. Vol. XXXII. (1909).

Neri S. Filippo. Veri sentimenti di S. Filipo Neri intorno al teatro Roma 1755. Stamp. de'Pagliarini.

Novaes. Elementi della storia dei summi Pontefici. Vol. IX.

Odescalchi D. Baldassare. Memorie istorico critiche dell'accademia de Lincei e del principe Federico Cesi. Roma 1806. Stamp. Luigi Perego Salvioni.

Ozzola Leandro Dr. Vita e opere di Salvator Rosa. Strassburg. J. H. Ed. Heitz, 1908.

Pac Stefan. Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku. Z rękopisu wydał J. H. Plebański. Wrocław 1854.

Perey Lucien. Marie Mancini Colonna. Paris, Calmann-Lévy.

Pieralisi Sante. Urbano VIII e Galileo Galilei. Roma Tipografia poliglotta. 1875.

Porębowicz Edward. Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezji polskiej. Kraków. Nakład Akademji Umiejętności, 1893.

Preveti Luigi. P. S. I. Giordano Bruno e i suoi tempi. Prato, Giachetti. 1887.

Ranke Leopold v. Die römischen Päpste in den letzten vier Jahrhunderten. Leipzig, Dunker & Humblot. 1900. 3 Bde.

Reumond, Alfred von. Beiträge zur italienischen Geschichte. Berlin 1853—7 Deckersche Druckerei.

Ricci Corrado. I teatri di Bologna nei secoli XVII e XVIII. Bologna. Edit. Monti 1888.

Riccoboni Louis. Histoire du theatre italien (jusqu'a l'an 1660).

Riegl Alois. Die Entstehung der Barockkunst in Rom. Wien, Anton Schroll & Comp. 1908.

Rinieri P. Ilario. Beatrice Cenci, secondo i costituti del suo processo. Storia di una leggenda. Siena. Tipogr. S. Bernardino, 1909.

Rome, L'etat du siège de. Les papes, leurs familles. A. Cologne chez Pierre Marteau. Bez daty. Wydanie za Innocentego XI.

Ronca Umberto. La Secchia rapita di Alessandro Tassoni, studio critico. Roma. Loescher, 1884.

Rosa Salvator. Satire e vita con note d'Anton Maria Salvini. Firenze. Torchi. 1833.

Rua Giuseppe. Poeti della corte di Carlo Emanuele I. di Savoia. Torino E. Loescher. 1899.

Saint-Simon duc de. Mèmoires. Paris 1. Hachette & Cie. 1863. Tomów 13.

Sand Maurice. Masques et Bouffons (comèdie italienne) Paris, Michel, Lévy frères. 1860.

Scaramouche. La vie de; par Mezetin. Edit. Louis Moland. Paris 1876.

Scherillo M. Dot. La commedia dell'Arte in Italia. Studi e profili. Torino. E. Loescher, 1884.

Solerti Angelo. Gli albori del Melodrama. Edit. Remo Sandron. Milano-Palermo, Napoli. 1904.

Stendhal. (Henryk Beyle) Chroniques et Nouvelles. Paris 1855. «Les Cenci».

Strozzi Carlo. Storia, o vogliano dire, Discendenza della famiglia Barberini diretta a D. Taddeo Barberini, prefetto di Roma. Roma 1640.

Tassoni Alessandro. La secchia rapita. Poema eroi-comico e la vita del poeta composta da L. A. Muratori. Modena 1744. Stamp. Ducale.

Tassoni Alessandro. Lettere publicate da Bartolomeo Gamba. Venezia 1827.

Terlinden Ch. Le pape Clèment IX. et la guerre de Candie. Louvain. Typ. Charles Peeters, 1904.

Tetio Hieronimus Comes. Aedes Barberinae ad Quirinalem descriptae. Romae, Typis Vitalis Mascardi, 1647.

Ursins Madame de. Lettres inèdites avec introduction et èclaircissement par M. A. Geffroy. Paris, Didier et Cie. 1 Vol. in. 8.

Vicchi Leone Dott. Villa Borghese nella storia e nella tradizione del popolo romano. Roma, Forzani 1885.

Weibel Walther. Jesuitismus und Barockskulptur in Rom. Strassburg. J. H. Ed. Heitz. 1909.

SPIS RYCIN

INDEKS

SPIS RZECZY.

